

Jacqueline
BRISKIN



Onyx DC

Briskin Jacqueline

Onyx

Koniec ubiegłego stulecia. Tom Bridger, młody robotnik z Detroit, postanawia zrealizować swoje marzenie – zbudować środek lokomocji, który uniezależniłby człowieka od zwierząt i szyn kolejowych. Przy pomocy brata, Justina, i duchowym wsparciu Antonii, w której zakochuje się bez pamięci, zmierza do celu.

Kiedy po latach powstaje Onyx, najbardziej popularny samochód w Ameryce, i mała firma staje się prawdziwym imperium, Toma zaczyna doganiać przeszłość – ożywa miłość do Antonii, którą po tragicznym rozstaniu zamknął w najgłębszym zakamarku duszy, a obietnica złożona ukochanej rodzi nieustanne konflikty Toma z rodziną, synem i własnym sumieniem.

Prolog

To nie był pogrzeb.

Właściwy pogrzeb, jak wszystkie rytuały w rodzinie Bridgerów, odbył się w ścisłym gronie najbliższych. Przed oczami tłumu, przy nieustannie błyskających fleszach reporterskich aparatów, wolno przesuwała się procesja limuzyn marki Swallow, za którą podążał cały sznur Onyxow. Sunące po jezdni samochody miały coraz bardziej kanciaste maski, a każdy kolejny model reprezentował starszy rocznik. Popołudnie dwunastego marca 1947 roku zamarło w pełnym szacunku bezruchu: rzadkie płatki śniegu zawisły w smugach reflektorów, dym z ośmiu wyniosłych kominów elektrowni Onyxa nie wzbijał się w powietrze ani nie znikał, ale trwał w nieruchomych kłębach nad rzeką Detroit, flagi szesnastu państw zwisały smętnie w połowie masztu przed budynkiem Światowego Centrum Koncernu Onyx. Tutaj tłum był najgęstszy, tłoczył się na chodniku, blokował przejście. Każdy z obecnych miał czarną opaskę na rękawie.

Pierwsza limuzyna, pusta, ozdobiona rozetami z czarnego jedwabiu, przejechała wolno ulicą. Mężczyźni zdjęli czapki i kapelusze.

- Odszedł gorszy Bridger - wycedził półgębkiem wysoki robotnik.

Stojący obok mężczyzna w skórzanej kurtce przytaknął mu.

- Gdyby to stary odszedł, już wkrótce wszyscy stracilibyśmy robotę. Dzisiaj tylko drań da sobie radę. Onyxowi potrzeba takiego twardego sukinsyna czystej wody jak stary Tom.

Gwałtowny podmuch wiatru wzbił w powietrze tuman śniegu, rozproszył obłok dymu w tysiące postrzępionych smug i przyniósł szept obu mężczyzn do uszu żołnierza w mundurze sierżanta sztabowego. Młody człowiek o ściąg-

niętej w nieruchomym grymasie twarzy uśmiechnął się. Salut, który oddał pustej limuzynie, był tylko parodią pełnego czci gestu należnego zmarłym.

Sierżant Ben Hutchinson mieszkał w Detroit, kiedy miał osiem lat i pewne wydarzenia z tamtego okresu tkwiły w zakamarkach jego pamięci jak senny koszmar. Zamglone, na wpół zapomniane obrazy nierozzerwalnie wymieszały się z przerażającymi scenami, których był świadkiem podczas wyzwania Buchenwaldu.

Ludzie wyciągali szyje, żeby zobaczyć ozdobione flagami oficjalne limuzyny, które wiozły prezydenta Harry'ego Trumana, gubernatora Kima Siglera, burmistrza i senatora Artura Vandenburga. Ale Ben się odwrócił i zaczął się przeciskać w stronę opustoszałej Archibald Avenue. Szedł wolno, a jego ciężkie wojskowe buty rozgniatyły świeży śnieg, pod którym ukazywało się obrzydliwe, brązowe błoto. Co jakiś czas przystawał i spoglądał przez ogrodzenie z drucianej siatki na wielkie, oszklone hale maszyn, połączone taśmami przenośników, na trójpoziomą platformę wyładowaną nowymi samochodami, na stożkowate hałdy węgla, wapienia i krzemionki, które wyrastały wzdłuż nabrzeża, oraz na olbrzymie hangary i odlewnie. To był największy na świecie kombinat przemysłowy, jedyny w swoim rodzaju potwór, który zapoczątkował erę produkcji masowej. Co dwie minuty z jego trzewi wyłaniał się nowy samochód.

Upłynęło może półtorej godziny, kiedy Ben ruszył z powrotem w kierunku Jefferson Avenue. Parada się skończyła, ruch uliczny wrócił do normy, a tłum się rozproszył. Był już spóźniony na umówione spotkanie, więc milę biegł truchtem po pustym chodniku, mijając budynki administracyjne. Rażno pokonał ceglane schody prowadzące do okazałego, nowego budynku w stylu kolonialnym. Na szaroniebieskiej marmurowej fasadzie, tuż nad półkolistym zwieńczeniem drzwi, wyryto napis „Muzeum Onyxa”. Drewniana tablica, którą zastawiono wejście, informowała, że muzeum jest zamknięte. Ben pchnął oba skrzydła drzwi. Lewe ustąpiło pod naciskiem. Zdjął przemoczoną czapkę i płaszcz w kolorze khaki i rzucił je niedbale na biurko biletera. W bladym świetle zimowego dnia, sączącym się przez oszkloną kopułę, zobaczył, że okrągły hol jest pusty.

Dopiero po dłuższej chwili Ben spojrzął na ciemne, przepastne sale.

W samym końcu, na honorowym miejscu, stał samotny eksponat. Było to dziwaczne, wyglądem przypominające ważkę urządzenie, którego mechaniczny odwłok wspierał się na czterech rowerowych kołach. Na wąskim siodełku, przeznaczonym dla kierowcy pojazdu, siedział jakiś człowiek, pochylony nad drążkiem do kierowania.

Twarz zwiotczała mu z bólu, ale nawet w tym słabym świetle można było rozpoznać wysoką, kanciastą sylwetkę, błyszczące siwe włosy i wargi, stale ściągnięte w kpiącym grymasie, które tak często pojawiały się na tysiącach zdjęć w gazetach, encyklopediach, podręcznikach do historii i w złośliwych karykaturach.

Odgłos kroków Bena wibrował w wielkiej sali.

- Przepraszam za spóźnienie, panie Bridger - odezwał się przybysz.

- Ben?

Strach wymieszał się z nienawiścią, starannie pielęgnowaną przez wiele lat, i dodał Benowi wojowniczości.

- Tak, jestem sierżant Hutchinson - odparł zimno chłopak. Przelotny uśmiech zadrgał na zaciśniętych ze smutku ustach.

- Do twojego ojca zwracałem się po imieniu. Ben wzruszył ramionami.

- O co tu chodzi? - Wyjął z kieszeni munduru wymięty telegram. - Dlaczego Caryll Bridger miałby akurat mnie coś zapisać? Dlaczego zostawił mi dwieście pięćdziesiąt akcji Onyxa?

- Ojciec nic ci nie wyjaśnił?

- Uznał, że skoro pan mnie tu zaprosił, to pan sam powinien mi wszystko wytłumaczyć. Powiedział, że dowiem się wszystkiego na miejscu.

- Justin... Mogłem się domyślić, że tak zrobi, że pozwoli mi przedstawić swoją wersję wydarzeń. Twój ojciec to sprawiedliwy i przyzwoity człowiek. Zawsze taki był. - Długie palce drżały na jasnym drewnie drążka, wystukując niepewny rytm smutku, starości i zagubienia.

Na krótką chwilę Ben złagodniał, ale zaraz jego głęboko osadzone, niebieskie oczy nieprzyjaźnie się zwęziły.

- Bardzo mi przykro z powodu śmierci pańskiego syna, ale nie rozumiem, dlaczego miałby mi zostawić jakiś spadek. Bridgerowie i Hutchinsonowie na zawsze pozostaną wrogami. A poza tym, Caryll Bridger nawet mnie nie znał.

Starzec sztywno zsiadł z pojazdu.

- Przejdźmy się po muzeum.
- Podczas parady zobaczyłem wystarczająco wiele przestarzałych samochodów.
- Jeśli chcecie się czegoś dowiedzieć, sierżancie Hutchin-son, to musicie wykazać trochę cierpliwości.
- Najpierw ojciec, a teraz pan. Nic nie rozumiem. Po co te tajemnice?

Tom Bridger westchnął. Nacisnął przełącznik i światło jarzeniowe oświetliło liczne rzędy szarych, solidnych samochodów z dawnych lat.

- Odpowiedzią na twoje pytanie jest długa i smutna historia mojego życia.

KSIĘGA PIERWSZA

Kwadrycykl

Jeśli kiedyś w przyszłości historyk miałby
badać najważniejsze przyczyny zmian
w trybie życia ludzi na naszej planecie
w dwudziestym wieku, powinien
przede wszystkim skupić swą uwagę na samochodach.

Michael E. Knes „*Wiek automobilizmu: biografia Thomasa Bridgera*”

I

28 września 1894 roku chłodne, srebrnawe światło porannego słońca zacierało odległości tak, że krajobraz wokół nie miał granic. Na tej olbrzymiej przestrzeni z rzadka pojawiał się błysk szyn kolejowych, a jeszcze rzadziej dawały się zauważyć cienkie jak włos linie dróg. Na tych krętych, splątanych ścieżkach, zarośniętych usychającymi chwastami, widoczne były trzy głębokie koleiny - dwie zewnętrzne, wyłobione skrzypiącymi kołami wozów, i środkowa, wydeptana pracowitymi końskimi kopytami. Odległość to był wróg, z którym toczono ciężką walkę.

Na niedawno zasiedlonych Wielkich Równinach człowiek tę walkę przegrywał. Stożące tu kryte darnią chaty i nie osłonięte drzewami szare budynki farm stanowiły wyspy bezsilności. Zbyt daleko było stąd na niedzielną wyprawę do kościoła czy zebranie kółka farmerskiego. Najbliższa sąsiadka mieszkała zwykle tak daleko, że nie mogła pomóc w przetrwaniu trudnych chwil, a lekarz nie przyjeżdżał, żeby ulżyć w śmiertelnym bólu. Nie było nikogo, kto pocieszyłby farmera, kiedy susza zniszczyła całe zasiane zboże. Tak jak wielu innych, Coraline Bridger została pokonana przez samotność.

Jednak południowa część stanu Michigan była od dawna zasiedlona. Lepki pył węglowy z fabryk opadał na przeludnione miasta. O ile farmerzy żyli jak zesłańcy w swoich wiejskich samotniach, o tyle mieszkańcy miast byli więźniami przywiązanyymi do miejsca pracy. Biedniejsze ulice Detroit, w pobliżu rzeki, roiły się od mężczyzn, kobiet i dzieci mozolnie podążających do fabryk. Przedmieścia wyglądały inaczej. W bogatej willowej okolicy wokół Woodward Avenue wielkie jawory i klony strzegły okazałych domów, których mieszkańcy nie musieli jeszcze opuszczać swych domostw.

Strzępy porannego śpiewu ptaków dobiegały spod konarów wspaniałych drzew, wśród których, niby w zielonym tunelu, biegła Woodward Avenue. Tom Bridger stał w chłodnym cieniu. Kiedy popatrzył na rezydencję majora Stuarta, skóra na policzkach mu zbieła. Rozmieszczone symetrycznie narożne wieże z szarego wapienia, połyskujący w porannym słońcu wielki mansardowy dach kryty łupkową dachówką, szeroki portyk i liczne misternie rzeźbione kwiaty lilii nadawały domowi charakter szesnastowiecznej budowli francuskiej. Mieszkańcy Detroit z szacunkiem, choć nielogicznie, nazywali go „zamkiem *châteaut*”. Tom, który miał zaledwie dziewiętnaście lat i był podwładnym majora, mechanikiem w Fabryce Mebli Stuarta, bał się wybicia godziny siódmej, kiedy to będzie musiał wkroczyć do tego onieśmielającego domostwa. Otworzył tani stalowy zegarek i zobaczył, że jest dokładnie za pięć siódma.

Co gorsza, przyszedł tutaj, żeby o coś prosić. Ze swoją dumą, najmniejszą nawet prośbę Tom traktował jak żebranie. A poza tym, co będzie, jeśli major go zwolni? To prawda, że był wykwalifikowanym robotnikiem, ale wolne miejsca pracy dla dobrego mechanika trafiały się nieczęsto. Takie rozterki rzadko mu się zdarzały. Z natury był impulsywny i kierował się intuicją. Wolał działać, niż rozmyślać. Jednak wciąż go prześladowało wspomnienie pierwszego roku w Detroit, kiedy to on i Hugh cały czas głodowali.

Jedyną zewnętrzną oznakę niepokoju stanowił błakający się na ustach chłopaka kwaśny uśmiezek. Twarz Toma była pociągła i sympatyczna. Ciężkie łuki brwi, ciemnych tak jak i włosy, podkreślały jasnoszary, trudny do określenia kolor oczu. Mimo wyjątkowo trudnego dzieciństwa oraz wypełnionej pracą i głodowaniem młodości, wyrósł na wysokiego mężczyznę, którego wyprostowana sylwetka świadczyła o wielkiej sile witalnej. Nawet źle skrojony, kupiony z drugiej ręki garnitur nie mógł ukryć energii i siły szczupłego, dobrze zbudowanego ciała. Palce, w których trzymał otwarty zegarek, były długie, niemal kobiece, poznaczone bliznami po licznych oparzeniach. Pod paznokciami widać było czarne obwódki, chociaż zaczerwieniona skóra świadczyła o niedawnym szorowaniu ostrą szczotką.

Gdzieś z tyłu z wściekłością zaszczekał pies.

Tom się odwrócił.

Naprzeciw, za bramą, której słupki oplecione były różami, wznosiła się willa we włoskim stylu. Jakaś szczupła dziewczyna ścinała paśowe kwiaty. Tom, pochłonięty własnymi problemami, zauważył ją wcześniej i w roztargnieniu uznał, że to mieszkanka tej willi. Jednak wielki łaciaty dog angielski przysiadł za bramą na rozstawionych łapach i szczekał ochryple, wyciągając pysk w kierunku dziewczyny. Tom domyślił się, że pies pilnuje domostwa i zapewne może być groźny dla obcych. Zamiast posłuchać głosu rozsądku i odejść, dziewczyna zawiesiła koszyk z kwiatami na zgiętym ramieniu i zbliżała się do zwierzęcia, wyciągając przyjaźnie prawą dłoń.

- Cofnij się! - krzyknął Tom. - Odgryzie ci rękę!

Szczekanie psa musiało zagłuszyć jego ostrzeżenie. Nieznajoma nadal usiłowała zaprzyjaźnić się z bestią. Tom przeraził się, że ta szalona dziewczyna za chwilę zostanie rozszarpana na strzępy. W tym miejscu Woodward Avenue była szeroka na siedemdziesiąt pięć stóp, a cedrowa kostka, którą wyłożono jezdnię, w wielu miejscach niebezpiecznie się zapadała. Mimo to chłopak rzucił się biegiem do dziewczyny, która przyklękła, żeby obłaskawić psa.

- Dobry piesek, dobry - przemówiła łagodnie, błędząc palcami tuż nad głową zwierzęcia.

Chociaż głuchy pomruk wydobywający się z masywnej piersi nieco ucichł, pies nadal szczyrzył mokre i ostre kły.

Dziewczyna położyła rękę na czarno- płowym łbie doga.

- Dobry piesek - powtórzyła. Podniosła głowę, uśmiechnęła się do Toma i wygięła nadgarstek o szczupłych kostkach. - Widzisz? Wciąż na swoim miejscu.

A więc słyszała jego ostrzeżenie. Powinien czuć złość lub zakłopotanie, a może i jedno, i drugie. Tymczasem zapomniał o niebezpieczeństwie, jakie zagrażało dziewczynie, ponieważ całą uwagę pochłonęła jej uroda.

Zamrugał powiekami, jakby się znaleźli w jasnym, południowym słońcu, a nie w zielonym cieniu drzew. Pomyślał, że to najpiękniejsza dziewczyna, jaką w życiu widział. Po chwili zmienił zdanie. Rzeczywiście, błyszczące, gęste czarne włosy, luźno związane kokardą, i duże, ciemne oczy ocienione gęstymi rzęsami były piękne, tak samo jak przejrzysta cera, ale łukowato wygięty nos z delikatnymi garbkami rysował się zbyt śmiało na szczupłej twarzy, a różowe usta robiły wrażenie zbyt pełnych i łakomych.

Czuając na sobie badawczy wzrok, dziewczyna podniosła się lekko i zwiewnie i wygładziła fałdy granatowej spódnicy. Tom doszedł do wniosku, że nieznajoma jest za wysoka i zdecydowanie za chuda. Pod białą bluzką, wsuniętą za pasek spódnicy, ledwo zauważalnie rysowały się drobne piersi. Miała szczupłe, bezbronne ramiona i wąskie biodra. Nie wyglądała na więcej niż szesnaście lat. Chłopak zastanawiał się, kim może być ta nieznajoma. Zrywa róże przed siódmą, kiedy tylko służba jest na nogach. Nie ma jednak na sobie fartuszką ani czepka.

Starając się zebrać myśli zapytał:

- Mieszkasz tutaj?

Poklepała doga po grubej szyi. Zwierzę warczało usadowiwszy się naprzeciw Toma.

- Myślisz, że straszylby mnie tak, gdybym mieszkała w tym domu? - zapytała z uśmiechem.

- Szczeka na mnie, nie na ciebie - zauważył Tom.

- To prawda. - Nadal głąskała miękką sierść zwierzęcia. -Dobrze wypełniasz zadanie, prawda, piesku? Bronisz swojego królestwa przed złodziejkami róż i błędnymi rycerzami?

Wesołość dziewczyny unosiła się w ciepłym, porannym powietrzu i chociaż nieznajoma flirtowała z Tomem, w jej zachowaniu nie było sztuczności, zalotnego spuszczenia oczu, odwracania twarzy i wystudiowanej pozy. Wydała mu się inna niż wszystkie poznane dotychczas. Bo tak naprawdę, to nie wiedział zbyt wiele o dziewczętach. Nie miał czasu na randki, i dlatego w towarzystwie kobiet był nieco onieśmielony, nawet tych tanich prostytutek, którym płacił w pokojach na piętrze w barze Golden Age. Na szczęście był inteligentny i jego nieco uszczypliwy sposób przekomarzania się z kobietami był zwykle dobrze przyjmowany.

- Zapomniałem dzisiaj przywdziać zbroję. Jak się domyśliłaś, że jestem rycerzem?

- Czyż nie przygalopowałeś mi na ratunek?

- Przecież w legendach niewinne panny zawsze znajdują wybawiciela.

- Skąd wiesz, że jestem panną? Może mam męża. Albo tragicznie owdowiałam.

- Tak, i pewnie nieszczęsny mąż został okrutnie pożarty przez wielkiego łaciatego psa.

Roześmiała się. Jej śmiech miał niezwykłą właściwość. Zmniejszył odległość między nimi i sprawiał, że z nieznajo--

mych zmieniali się w przyjaciół. Kiedy się śmiała, delikatne piersi odznaczały się wyraźniej pod cienkim białym płótnem.

Pies, zapewne usłyszawszy gwizd, który nie docierał do ludzkich uszu, pobiegł do domu, wybijając łapami żółtozielone ślady na pokrytej srebrzystą rosą trawie.

- Wiem o tobie tylko tyle, że kradniesz róże - oświadczył Tom.

Dotknęła jednego z pąków. Dotychczas nie zwracał uwagi na kwiaty i traktował je jak luksus dla bogatych kobiet, teraz jednak skupił się na tej jednej róży. Poczul jej słodką, korzenną woń, spostrzegł doskonały zarys ząbkowanych liści, drobne, zakrzywione brązowe kolce i szkarłatne aksamitne płatki, które ku środkowi kwiatu stawały się coraz ciemniejsze, przechodząc niemal w czerń w tajemniczym sercu róży.

- Prawdziwy ze mnie Jesse James, jak tutaj mawiacie - stwierdziła dziewczyna.

- Jesse James grasował w Missouri, a nie w Michigan.

- Miałam na myśli Stany Zjednoczone.

Mówiła bardzo starannie, ale w jej czystym sopranie nie słyszał śladów obcego akcentu.

- Pochodzisz z Europy?

Wesołe iskierki zniknęły z jej oczu. Później zastanawiał się, skąd się wziął ten nagły smutek. Jednak w tym momencie czuł tylko przemożną chęć, żeby zamknąć w uścisku jej drobne ramiona i pocieszać dziewczynę, którą przecież dopiero przed chwilą poznał.

- Ty nie lubić cudzoziemców? - zapytała rezolutnie, doskonale imitując francuski akcent.

- Chciałem się tylko więcej o tobie dowiedzieć.

- Ty nie lubić tajemnic?

Spojrzał na nią i nagle przypomniał sobie, po co tutaj przyszedł. Przed oczami stanęły mu pełne, czerwone usta majora, otoczone siwą brodą. „Punktualnie o siódmej, pamiętaj.” Cofnął się.

- Jestem umówiony na spotkanie z majorem Stuartem. Mieszka w tej okropnej ruderze naprzeciwno. Pracuję u niego w fabryce, więc lepiej będzie, jak się nie spóźnię.

Z twarzy dziewczyny zniknął ostatni cień smutku. Przechyliła głowę na długiej, smukłej szyi i zapytała:

- Major Stuart, tak? Pewnie jest okrutnym tyranem.

- Znasz bogatego, grubego i starego szefa, który nie jest

tyranem? - Tom musiał już śpieszyć na spotkanie, choć wolałby zostać. Miał zamęt w myślach i znów ogarnął go lęk. Chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy, jego górna warga uniosła się nieco, w bezbronnym grymasie odsłaniając białe, nierówne zęby. - Nazywam się Tom Bridger - oznajmił z nadzieją, że nieznajoma również mu się przedstawi i powie, gdzie mieszka.

- Niech więc pan się śpieszy, panie Bridger. Nie dajmy szefowi czekać. - Ponagliła go ruchem ręki. - W drogę!

III

Kiedy przechodził przez szeroką, ocienioną aleję, wciąż się uśmiechał. Myśl o przekroczeniu progu zamku majora już nie przyprawiała go o dreszcze. Pomyślał sobie, że przecież nie idzie o nic żebrać. Chce tylko przedstawić majorowi propozycję zrobienia dobrego interesu. Żeby dodać sobie animuszu, obejrzał się na dziewczynę. Podniosła rękę i pomachała mu. Z uniesioną głową rażno wbiegł po szerokich marmurowych schodach. Zanim dotarł do frontowych drzwi, ktoś je gwałtownie otworzył. Przysadzista kobieta spoglądała na niego gniewnie. Sztywno wykrochmalony biały fartuch i czapka kucharska jeszcze bardziej upodobały ją do złośliwego gnoma.

- Major Stuart mnie oczekuje. - Tom zwilżył usta. - Nazywam się Thomas K. Bridger.

Gdzieś w mrocznej głębi holu zegar zaczął dźwięcznie wybijać godzinę.

- Spóźniłeś się - warknęła kucharka. Jej spódnice szeleściły, ocierając się o kolumny. Tom myślał, że kobieta śpieszy powiadomić majora o jego przybyciu, więc grzecznie czekał. Odwróciła się. - Co to, zapuściłeś korzenie?

Znów zdenerwowany Tom poczerwieniał i upokorzony pobiegł za nią do wielkiej, bogato wykładanej boazerią jadalni. Major siedział przy końcu stołu w stylu z epoki Jakuba I, wykonanym przez jednego z jego najlepszych stolarzy. Przed nim ustawiono batalion porcelanowych misek, kryształowych kompotierek, wysokich dzbanków i srebrnych półmisek z odsuwanymi przykrywkami.

- A, jesteś już, mój chłopcze, jesteś, dokładnie o wyznaczonej porze - odezwał się głębokim basem. Strzepnął połyskliwą adamaszkową serwetę i wsunął jej róg między dwa górne guziki kamizelki. - Chodź tutaj i siadaj.

Tom kurczowo zacisnął w rękach czapkę. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że przeżyje tu coś tak strasznego, jak wspólne śniadanie z majorem. Jednak gospodarz z dobrotliwym uśmiechem kogoś, kto zawsze stawia na swoim, już wskazywał miejsce po swojej prawej stronie. Kropelki potu wystąpiły Tomowi między łopatkami. Przeżył chwilę okropnego zakłopotania, nie wiedząc, co zrobić z czapką. Najpierw schował ją za plecami, potem znów przez moment trzymał ją przed sobą, żeby wreszcie wcisnąć do lewej kieszeni, gniotąc przy tym daszek.

Służąca wyszła i major obserwował rozkołysane drzwi, obite zielonym materiałem, za którymi zniknęła.

- Nasza Ida to gderliwa kobieta - rzekł. - Trzymam ją, bo jest najwspanialszą kucharką w całym Detroit. - Szczodłą ręką nakładał pełne łyżki owsianki do dwóch fajansowych misek. - Spróbuj tego, mój chłopcze, tylko spróbuj. To prawdziwy przysmak. Ida trzyma owsiankę na ogniu przez całą noc. - Posypał swoją porcję kilkoma łyżeczkami brązowego cukru, który rozpuszczał się, spływał złotawymi strużkami i mieszał się z żółtawą śmietanką.

Brzydka kucharka wniosła srebrną tacę, a starszawa służąca utykając podążała za nią z przykrytym półmiskiem.

Wyszły w tym samym szyku. Tom zobaczył przed sobą smażoną szynkę i befsztyki, puszystą jajecznicę, apetycznie wyrośnięte bułeczki, brązowe krostki z jesiotra z jeziora Michigan i postrzępione na brzegach placki z jabłkami.

Wszystko to zapewne roztaczało wspaniałą woń, ale Tom czuł tylko zapach rozgrzanego oleju. Bez apetytu uszczknął kilka niewielkich kęsów z podanych mu potraw. Chwilami wracał rozgorączkowaną myślą do spotkania z czarnowłosą dziewczyną i znów odczuwał pełne radości uniesienie, ale już po chwili ogarniało go denerwujące skrepowanie, kiedy uświadamiał sobie, że siedzi przy stole pracodawcy.

Major wciąż mówił przeskakując z tematu na temat i nie oczekiwał od gościa odpowiedzi. Siwiejącą brodę przycinał według mody wprowadzonej przez księcia Walii, do którego był bardzo podobny. Miał takie same, głęboko osadzone oczy, przysłonięte ciężkimi powiekami, pełne czerwone usta, dobroduszną minę człowieka zadowolonego z siebie i tęgie ciało, w doskonale skrojonym ubraniu.

Podobieństwo nie ograniczało się do wyglądu.

Tak samo jak starzejący się następca tronu królowej

Wiktorii, major był nie pozbawionym męskich zalet rozpustnikiem o szerokim geście. Pod szarym dachem jego domu przewinał się cały szereg pięknie zbudowanych młodych kobiet, przysyłanych tu, jak mówiono w fabryce, przez osławioną panią Corbett z Nowego Jorku. Tom nieraz widywał jaskrawo wystrojone dziewczęta, jak wdzięczyły się u boku majora, kiedy jego powóz, ciągnięty przez dwójkę czarnych koni, sunął wokół Grand Circus lub przejeżdżał mostem na Belle Isle. Po kilku miesiącach rezydowania w posiadłości majora dziewczyna wsiadała do pociągu na Union Station, zabierając ze sobą niezliczoną ilość nowych pudeł na kapelusze, kufrów podróży obitych mosiężnymi listwami, waliz i szkatulek na biżuterię.

Niewzruszona obojętność, z jaką major traktował krążące o nim plotki, jego niepodważalna pozycja towarzyska - oboje rodzice wywodzili się ze starych bostońskich rodów - męstwo, jakim odznaczył się w młodości podczas służby wojskowej, i wznosząca się nad brzegiem rzeki Detroit olbrzymia trzypiętrowa sylwetka Fabryki Mebli Stuarta sprawiały, że ludzie wybaczały mu korowód prostytutek, które przekraczały progi jego rezydencji. Żadna szanująca się dama nie zagościłaby pod dachem majora, ale on był zapraszany do najlepszych domów w mieście. Wsypał do kawy cztery łyżeczki cukru i zamieszał.

- Widzę, mój chłopcze, że apetyt nie bardzo ci dopisuje.

- Z panem na pewno nie mógłbym stanąć w zawody.

- A więc potrafisz mówić. I to całkiem rezolutnie. - Major roześmiał się. - Jak długo dla mnie pracujesz?

- Osiem miesięcy.

- Trelinack mi mówił, że masz prawdziwe powołanie. „Ten chłopak to urodzony mechanik!” - Major doskonale naśladował kornwalijski akcent głównego brygadzysty. - Opowiadał mi, że kiedy się popsuł silnik parowy Becka, po prostu go dotknąłeś i od razu zaczął działać. Twierdzi, że jesteś czarodziejem, Bridge.

- Nazywam się Bridger. Z „r” na końcu.

- No dobrze, Bridger. Gdzie się nauczyłeś zawodu? Tom spojrzał na czarne linie, znaczące skórę na jego dłoniach. Odkąd sięgał pamięcią, miał smykałkę do maszyn. Nie skończył jeszcze ośmiu lat, kiedy ojciec pozwolił mu naprawić młockarnię i pompę. Przy kowadle doznawał uczucia tajemniczej radości, co nigdy mu się nie zdarzało

podczas mozolnej pracy na polu. - Dwa lata pracowałem w Fabryce Zbrojeniowej Farnhama.

- A, tak. Oni tam używają precyzyjnych maszyn do produkcji karabinów. Dlaczego rozstałeś się z Farnhamem? Co noc prześladowały Toma wizje ciał przeszywanych kulami. Rzadko zdradzał swoje uczucia i nie potrafiłby przyznać się do tego podświadomego wstrętu do broni, tym bardziej pod byстрыm, uważnym spojrzeniem majora. - Po prostu odszedłem - wyjaśnił.

- Nie lubisz wiele o sobie mówić, co? - zauważył pracodawca. - Trelinack wspominał również, że czynisz cuda z zepsutymi zegarami.

- Kiedyś pracowałem wieczorami u zegarmistrza. Major rozparł wygodnie tęgie ciało na stylowym krześle.

- A o czym to chciałeś ze mną porozmawiać, mój chłopcze? Na policzkach Toma wystąpiły jaskrawoczerwone plamy.

Wciągnął głęboko powietrze.

- Jest taki barak na dziedzińcu fabryki, niedaleko głównej bramy - wydusił. - Nikt go nie używa, więc chciałbym go od pana wynająć.

- Wynająć, powiadasz? Wynająć?

- Zapłacę, ile pan zażąda.

- No cóż, Bridger...

- Bridger - poprawił go Tom.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak niezwykła jest ta sprawa, z którą do mnie przychodzisz.

- Niezwykła?

- Absolutnie niezwykła. Za każdym razem, kiedy robotnik z fabryki prosi mnie o rozmowę, chodzi mu tylko o podwyżkę, więc wymyśliłem małą sztuczkę. Zapraszam go do siebie. Ten dom zwykle go przytłacza, tak samo jak stół, suto zastawiony przez naszą gderliwą Idę. Nie zapominajmy, że i moja majestatyczna postać go onieśmiela. Rzadko który zdobywa się na to, by wydusić z siebie prośbę, Bridger. Teraz chyba poprawnie wymówiłem twoje nazwisko? Jesteś pierwszym, który przyszedł tutaj i zaproponował, że będzie płacić mnie. Barak? Po co ci ten barak?

- Potrzebny mi warsztat. Trelinack często każe mi zostawać dłużej w fabryce. Gdybym miał warsztat, to mógłbym zajmować się swoją pracą, kiedy nie naprawiam maszyn.

- Swoją pracą?

- Czy wie pan coś o pojazdach, które same się poruszają,

bez konia? - Głos Toma, który zwykle brzmiał matowo, nabrał dźwięczności.

Major wybierał cygaro z szylkretowego pudełka. Spojrzał ostro na Toma. Ukryte wśród gęstej brody usta rozciągnął uśmiech.

- Słyszałem wiele razy o próbach zastąpienia konia maszyną, ale to tylko dziecinne mrzonki - odparł pocierając zapałkę.

- To coś więcej niż mrzonki. Ja sam pracuję teraz nad modelem silnika. I nie tylko ja. Zajmuje się też tym mój przyjaciel z Detroit, Henry Ford. Jest głównym inżynierem w zakładach Edisona. Na całym świecie dokonuje się nowych wynalazków. Dotychczas udało się zbudować działające pojazdy tylko we Francji i w Niemczech, dzięki Daimlerowi, Benzowi, Panhardowi i braciom Peugeot.

- Więc do tego potrzebna ci moja własność? Chcesz zmontować pojazd napędzany mechanicznie? Powiedz mi tylko, jaki byłby z niego pożytek? - Chociaż major zadawał pytania pełnym szczerości tonem i spoglądał na gościa otwarcie, to szykował się do ataku jak stary, doświadczony kocur, uwielbiający polowania.

Policzki Toma zaróżowiły się. Oczyma wyobraźni widział przyszłość, w której ludzie będą podróżować na siedmiomilowych kołach, więc nie spostrzegł, że staje się łatwym łupem dla majora.

- Niech pan tylko pomyśli. Maszyna szybsza od konia, która nie potrzebuje odpoczynku i nigdy się nie płoszy. Nie trzeba jej też poić. Mając taki pojazd, farmerzy nie byłiby przywiązani do ziemi. Ludzie mogliby podróżować. Robotnikom żyłoby się lepiej.

- A co poruszałoby ten cudowny lek na wszystkie utrapienia ludzkości? Silnik parowy? Tom potrząsnął głową.

- Niektórzy wierzą w parę, ale ja uważam, że palenisko i kocioł są o wiele za ciężkie. Silnik spalinowy jest lepszy. Paliwem do niego jest benzyna - bezużyteczny produkt uboczny po przeróbce ropy naftowej.

- W zeszłym miesiącu byłem w Paryżu... - Major leniwie wydmuchnął kółko z dymu i wyciągnął asa z rękawa.

-Widziałem tam jeden z tych pojazdów na benzynę. Zbudowano go w warsztatach Panharda i Levassora.

Szyję Toma zalał rumieniec.

- Pan wszystko o nich wie! - wykrzyknął chłopak. Zawsze

miał wybuchową naturę i teraz, kiedy tak go upokorzono, gniew zawładnął nim niepodzielnie, przyćmiewając nawet lęk o pracę.

- Chociaż tobie zapewne wydają się stary, Bridger, z pewnością nie jestem dinozaurem. Śledzę najnowsze wynalazki. Rzecz jasna, że kiedy byłem we Francji, chciałem zobaczyć jedną z tych nedorzecznych maszyn. Ani gniew, ani zażenowanie nie mogły stłumić ciekawości Toma.

- Więc jechał pan Panhardem? Jak daleko?

- Dobry Boże, Bridger! Benzyna jest tak łatwo palna. Pojazd mógłby w każdej chwili wybuchnąć. Jasne, że do niego nie wsiadłem, bo nie chciałem narażać życia.

- Ale widział pan, jak jedzie?

- Jedzie? - Major z obrzydzeniem zmarszczył nos. - To miała być jazda? Trzęsąc się i klekocząc sunął w ślimaczym tempie Avenue d'Ivry. Zostawiał za sobą chmurę cuchnącego dymu i straszył konie. Nagle zadrżał jak w agonii i stanął. Kierowca wyskoczył i zaczął grzebać w silniku. Pewnie do dzisiaj nie może sobie dać z nim rady. Posłuchaj mnie, Bridger. Zdaję sobie sprawę, że ty i jeszcze kilku mechaników jesteście pełni zapału, ale gdybyś tylko usłyszał ten diabelski hałas, poczuł odrażający smród spalin i zobaczył kierowcę, od stóp do głów umazanego czarnym smarem, doszedłbyś do wniosku, że tylko skończony wariat chciałby podróżować jednym z tych wynalazków. - Major nadgryzł koniec cygara. - To wszystko i tak nie ma znaczenia. Powiem wprost. Nie mogę ci wynająć tego budynku.

- Ale proszę pana...

- Jest mi potrzebny.

- Zapłacę, ile tylko pan...

- Mamy nadmierny zapas rozsuwanych stolików nocnych. Musimy zamienić barak w magazyn.

Tom zamrugał powiekami i głośno przełknął ślinę. Rozczarowanie zakłuło go niczym sztylet. Od tak dawna pragnął mieć własny warsztat, że to marzenie stało się nierozdzieloną częścią jego osobowości, a ponieważ pracował u Stuarta jako dyżurny mechanik na obu zmianach, tylko ten barak nadawał się na jego miejsce pracy. Miał wielką nadzieję, że uda mu się go zdobyć. Górna warga Toma wykrzywiła się w bezbronny grymasie i wyglądał teraz jak dziecko, które niesprawiedliwie dostało lanie.

Major odwrócił wzrok. Jako hedonista pełną gębą, z rozkoszą dręczył młodego podwładnego, teraz jednak doszła do głosu ukryta na dnie duszy łagodność i zrobiło mu się przykro, że sprawił ból temu niepokornemu chłopcu.

Tom zacisnął kolana pod stołem.

- W takim razie będę musiał poszukać innego milionera, który zechce przyjąć ode mnie zapłatę.

Ta beznamiętna, krótka odpowiedź sprawiła majorowi ulgę. Podniósł się. Jego szary garnitur w paski zręcznie ukrywał pokaźny brzuch.

- Nie jadę prosto do fabryki, ale jeśli masz ochotę na przejażdżkę zwykłym konnym pojazdem, podwożę cię do końca Woodward Avenue.

Chłopak zawahał się. Dzisiaj nie pracował, ponieważ w nocy miał przeprowadzić remont trójbębnowej szlifierki taśmowej, ale mieszkał tylko kilka przecznic od fabryki. W dodatku w przyjacielskim zaproszeniu majora słusznie wyczuł ukryty rozkaz.

- Bardzo dziękuję, proszę pana - odparł.

IV

Kiedy przeszli do holu, wysoka, szczupła dziewczyna zbiegała właśnie po szerokich schodach, przemykając wśród różnobarwnych błysków, rzucanych przez witraże w wielkich niczym w katedrze oknach. Jej dłoń płynęła tuż nad wypolerowaną poręczą. Tył granatowej spódnicy zaczepiał się na krótką chwilę o każdy mijany stopień, ukazując białą pianę halek.

Tom spojrzał na nią nie wierząc własnym oczom.

Jego czarnowłosa złodziejka róż mieszkała w domu majora.

Dotarła do ostatniego stopnia, kiedy gospodarz zawołał:

- Antonio, moja droga, jesteś prawdziwym rannym ptaszkiem. Chodź tutaj. Przedstawię ci jednego z moich najlepszych pracowników. Oto pan Bridger. Panie Bridger, to jest panna Dalzell, moja bratanica.

Przed rokiem, w marcu, wraz z trzystoma innymi pracownikami Stuarta Tom stał w ulewnym deszczu nie opodal otwartego grobu, w którym złożono Isaaca Stuarta. Przedstawiciele najlepszych rodzin Detroit kulili się pod parasolami wokół rozkopanej ziemi. Nad samym grobem, samotnie, nie kryjąc łez, stał major. Najważniejszy żałobnik - syn zmarłego. Jedyne

żyjący krewny Isaaca Stuarta. Dlatego też teraz, z konsternacją bliską przerażeniu, Tom uznał słowo „bratanica” za eufemizm. Ta dziewczyna, która właśnie odsuwała z czoła niesforne kosmyki włosów, musi być najnowszym nabytkiem majora.

- Miło mi pana poznać, panie Bridger - odparła radosnym tonem, z figlarną miną współniczki, dając mu znać, że ich wcześniejsze spotkanie i jego niezbyt grzeczne uwagi na temat majora pozostaną tajemnicą.

- Bardzo mi miło, panno Dalzell. - Tom zdobył się na zdawkowy, sztywny ukłon. Dlaczego ogarnęła go wściekłość, ból i niepokojąca zazdrość o dziewczynę, którą dopiero co poznał? Jediną racjonalną myślą, jaka przyszła mu do głowy, było to, że ta czarnowłosa dziewczyna jest bardzo młoda, o wiele za młoda.

Jej młodość przestała go wzruszać, kiedy wzięła majora pod ramię.

- Jest pan pierwszym mieszkańcem Detroit, którego tu poznałam.

- Moja bratanica przybyła do mnie cztery dni temu -pośpieszył z wyjaśnieniem major.

Oboje spojrzeli na Toma oczekując odpowiedzi.

- Wybrała pani odpowiedni czas. Jesień to u nas najpiękniejsza pora roku.

- Pogoda jest wspaniała. - Zawahała się i posłała mu dziewczęco zalotny uśmiech. Ze ściśniętym z goryczy gardłem Tom doszedł do wniosku, że musiała trafić w tłuste łapy majora prosto z pokoju dziecinnego. - Wciąż jeszcze kwitną róże.

Odpowiedział jej kolejnym sztywnym ukłonem.

- Czy lato macie tu równie piękne? - zapytała.

- Absolutnie nie. W lecie jest tu parno i gorąco niczym w łaźni tureckiej.

- Niech mi pan powie coś więcej.

- Nasze komary są wielkie jak wróble. Ich żądła są postrachem całej zachodniej półkuli. - Usta Toma były drętwe i zimne.

- Słyszę powóz - odezwał się major. - Do zobaczenia wieczorem, moja droga.

Dziewczyna ostrzegawczo pogroziła palcem.

- Lepiej się nie spóźnij.

Zapewne nawiązała do jakiegoś osobistego żartu, bo major roześmiał się czule.

- Wrócę dzisiaj wyjątkowo wcześniej.

Antonia Dalzell miała już wyciągnąć do Toma szczupłą, nie ozdobioną pierścionkami dłoń, kiedy z niewiadomego powodu zarumieniła się i opuściła ramię.

- Bardzo się cieszę, że pana poznałam, panie Bridger.

v

Major zręcznie strzelił z bicia o srebrnej rączce i lakierowany dwuosobowy powozik dołączył do innych szykownych ekwipaży. Konie, wysoko unosząc nogi, ciągnęły je w stronę centrum miasta. Znał tu wszystkich, więc stale uchylał kapelusza, żeby pozdrowić członków swojego doborowego kręgu towarzyskiego.

Tom siedział u boku pracodawcy na rozdygotanej ławeczce. Mięśnie twarzy miał zeszywniałe i nerwowo wbijał naznaczone czarnymi obwódkami paznokcie w uda. Przypomniawszy sobie żartobliwą uwagę dziewczyny, że być może nie jest niewinną panienką. Teraz zrozumiał aluzję. Wydała mu się tak smutna, jak przemoczona laleczka, którą ktoś przez zapomnienie zostawił na deszczu. Tom nie był moralistą surowo osądającym innych - wystarczająco dobrze znał życie, by wiedzieć, że w trudnych chwilach ludzie chwytają się różnych sposobów, aby przeżyć, i to że dziewczyna decyduje się sprzedawać własne ciało, bywa raczej oznaką desperacji, a nie bezwstydnego wyuzdania.

- Dzień dobry, sędzio! - zadudnił major.

Tom zmrużył oczy. Cała jego nienawiść zwróciła się przeciw temu zadowolonemu z siebie grubasowi, który kupił dziewczynę. Stary drań, wstrętny stary drań.

Na Cadillac Square major zatrzymał konie przed budowlą z marmuru przypominającą ozdobny tort weselny, Pomnikiem Żołnierza i Marynarza.

- Tutaj cię pożegnam, Bridger - oznajmił wesoło. Mamrocząc słowa podziękowania, Tom wyskoczył z powozu.

Detroit rozrosło się żywiołowo podczas okresu ożywienia

gospodarczego w latach osiemdziesiątych. Tom wszedł między mrowie tętniących pracą fabryk nad rzeką. Szczęk dochodzący ze stoczni rozchodził się po ulicach, na których i tak można było ogłuchnąć od monotonnego zgrzytu walcowni i fabryce wagonów.

Przy bocznych uliczkach stało jeszcze kilka starych domów, które podzielono na niewielkie mieszkania. W niegdyś

pięknie utrzymanych ogrodach stały teraz ponure baraki dla cudzoziemskich robotników sezonowych. Troje wychudzonych, odzianych w łachmany dzieci patrzyło z szacunkiem na Toma, wchodzącego na rozchwiany ganek domu. Rozsypujący się budynek uważano tutaj niemal za pałac, ponieważ na każdym jego piętrze znajdowała się przeciekająca dębowa ubikacja, a do małych mieszkań doprowadzono wodę i elektryczność.

Tom mieszkał na piętrze w tylnej części domu. Dwa grubo ciosane sosnowe taborety stały wsunięte pod stół z marmurowym blatem, który kiedyś był dumą Coraline Bridger. Obok zlewu stała kuchenka na długich nogach. Reszta pomieszczenia była wyposażona jak warsztat. Wzdłuż ścian biegły półki ze starannie ułożonymi narzędziami. Na parapecie tłoczyły się butle z kwasem. Woń nafty i świeżo piłowanego metalu przenikała wszystkie zakamarki. Tom, wciąż napięty, zatrzymał się przy szerokim blacie i poruszył koło zamachowe jakiegoś dziwnego, niedużego urządzenia.

- Tom? - usłyszał łamiący się głos dorastającego chłopca. - Czy to ty?

Zmarszczył brwi i otworzył drzwi do drugiego pomieszczenia.

Wąską klitkę, kiedyś stanowiącą część korytarza, zajmowały od ściany do ściany dwa sienniki. Hugh Bridger rozłożył się na jednym z nich, tuż pod owalnym oknem o zabrudzonych szarymi szybami. Białe słońce kładło się promieniem na jego żółtawych włosach. Chłopiec leżał nakryty dwoma płaszczami, swoim i Toma - podczas pierwszej ciężkiej zimy w Detroit byli zmuszeni sprzedać pościel, która pochodziła jeszcze ze ślubnej wyprawy ich matki. Na chudych kolanach opierał blok rysunkowy.

- Co się stało? Czyżby w szkole ogłoszono święto państwowe? - zapytał kwaśno Tom. Dzisiaj był w złym nastroju i nie chciało mu się znosić na wpół urojonych dolegliwości brata.

- Kiedy tylko wyszedłeś, dostałem ataku, i to bardzo ostrego. Tak długo robiłem sobie inhalacje, że aż rozboleły mnie oczy.

- Jeśli dziś dokucza ci astma, to jak to się dzieje, że możesz rysować?

- Rysowanie pomaga mi zapomnieć o tym, jak podle się czuję.

- No jasne.

- Naprawdę jestem chory.

- Bzdura! Wagarujesz, bo wstyd ci w klasie, że tak chrapliwie oddychasz.

Zraniony takim przytykiem do własnej próżności Hugh odrzucił blok rysunkowy.

- Zamiast współczuć, wydzierasz się na mnie, a ja tymczasem czuję się tak, jakby jakaś stalowa obręcz zaciskała mi się wokół szyi!

Hugh Bridger miał trzynaście lat i przypominał amorki, które unoszą się w przestworzach na średniowiecznych malowidłach. Jasne loki wiły się wokół wypukłego czoła, na okrągłych policzkach wykwitał rumieniec, a oczy miały błękitny kolor miśnieńskiej porcelany. Tylko usta chłopca nie uśmiechały się anielsko. Nawet teraz, kiedy usiłował wzbudzić współczucie brata, wargi miał zaciśnięte w twardym, przebiegłym grymasie. Leżał na materacu i ze świstem wypuszczał z płuc powietrze, drżąc przy każdym oddechu.

Po minucie Tom odezwał się szorstko:

- Mam wstawić wodę na herbatę? Hugh przyjął to jako przeprosiny.

- Może później - odparł.

Tom był od niego sześć lat starszy, pełen siły i energii, a w dodatku co tydzień przynosił do domu wypłatę. Taka sytuacja nieznośnie ciążyła młodszemu bratu. Nic dziwnego, że wykorzystywał hipochondrię, żeby przechylić szalę na swoją stronę. Trzeba jednak przyznać, że troszczył się

o Toma równie mocno, jak Tom o niego. Uczucie łączące obu braci było głębsze, niż im się wydawało.

Żaden się nie odezwał, kiedy Tom zdjął wyjściowy garnitur, powiesił go na drzwiach i odpiął celuloidowy kołnierzyk. Jednak kiedy sięgnął po ubrudzony czarnym smarem kombinezon, Hugh jęknął. Nie znosił zgrzytu pilników i dźwięku metalu trącego o metal.

- Czyżby major nie wynajął ci baraku? Tom pokręcił głową.

- Kiedy się dowiedział, po co mi potrzebny, nieźle nabił mnie w butelkę. Dał sobie tłumaczyć jak dziecku, co to takiego te mechaniczne pojazdy. A sam osobiście widział taką maszynę! W Paryżu. Zrobił ze mnie głupca i dopiero potem odrzucił moją propozycję.

- Stary, tłusty przyk! - ze współczuciem wykrzyknął Hugh. - Tom, jak jest wewnątrz *château*? - Młodszy brat często

przechadzał się o zmroku po Woodward Avenue, w nadziei że w którymś z wielkich domów zapalą się światła, zanim jeszcze służba zaciągnie ciężkie kotary w oknach, i będzie mógł zajrzeć do środka. Wydawało mu się, że bogaci mieszkają w jakimś innym świecie i z prymitywną, dziecięcą zazdrością podglądał ich życie w pięknych, egzotycznych domostwach. - Czy ten zamek jest podobny do rodzinnej posiadłości mamy w Massachusetts?

- Hugh, przecież żaden z nas nie widział domu mamy - odparł sztywno Tom.

- Ale mama często go opisywała. Wielkie okna, wspaniałe meble, jak ten nasz stół, stare piękne srebra z herbem Neville'ów...

- Jakoś nie widzę tego herbu u nas. - Tom westchnął.

- Wywodzimy się z tej rodziny! Naszym przodkiem był młodszy syn Richarda Neville'a, księcia Warwick, który żył w piętnastym wieku. Jesteśmy spokrewnieni z brytyjską rodziną królewską. Mama wszystko nam wytłumaczyła! Zmyślona przez Coraline Bridger historia stawała się mniej wiarygodna, im częściej bracia o niej rozmawiali, ale Hugh nadal ślepo w nią wierzył, co sprawiało Tomowi nieustanny ból. Zmienił temat.

- Dom majora to nic wielkiego. Główny hol jest niewiele szerszy od Union Station, a witraże, które widać na prawo od *porte cochère*, są tylko trochę większe od witraży w Głównym Kościele Metodystów.

- Mów dalej.

Tom nie potrafił dłużej tłumaczyć burzliwych uczuć wywołanych poznaniem Antonii Dalzell. Musiał o niej z kimś porozmawiać.

- Major znowu kogoś ma.

- Masz na myśli następną kochankę? Starszy brat mruknął potakująco.

Hugh usiadł na posłaniu i splótł chude ramiona na piersi, ukazując podarte rękawy uczniowskiego munduru.

- Widziałeś ją?

- Z początku nie wiedziałem, kim jest. Kiedy doszedłem do domu majora, stała po drugiej stronie ulicy. Wielki pies niemal się na nią rzucił, więc pośpieszyłem na pomoc, ale już po sekundzie tak go obłaskawiła, że lizał ją po rękach.

- Rozmawiała z tobą?

- Aha.

- Co mówiła? Jaka jest?
 - Nie potrafię jej opisać, ale kiedy jest przy tobie, to czujesz się lekki i szczęśliwy. Nie rozmawialiśmy długo, ale byłem wstrząśnięty, kiedy major przedstawił mi ją jako swoją bratanicę.
 - Może to prawda - odezwał się rozczarowany Hugh.
 - Wykluczone. Byłem na pogrzebie Isaaca Stuarta i wiem, że major nie ma żadnych krewnych. Na miłość boską, wszyscy w fabryce wiedzą, że każdą swoją utrzymankę przedstawia jako bratanicę albo młodą kuzynkę.
 - Przestań się złościć i powiedz mi, jak ona wygląda. Czy to różowy amerek o złotych lokach? A może ma wielki biust jak ta ruda, którą widzieliśmy z nim przed Teatrem Wielkim? -Ciekawość Hugh'a tylko w części wynikała z nadmiernej fascynacji płcią przeciwną, właściwej wiekowi dorastania. Interesował się dziewczyną, ponieważ była związana z jednym z najbogatszych ludzi w Detroit. - Czy ta też zlewa się całą perfumami?
 - O Chryste! Zupełnie opacznie mnie zrozumiałeś. Próbuję ci wytłumaczyć, że ona jest inna od swoich poprzedniczek.
 - Chodzi ci o to, że jest prawdziwą damą?
 - Nigdy o niej w ten sposób nie myślałem, ale masz rację. Powinna się teraz uczyć w jakiejś prywatnej szkole. To jeszcze dzieciak. Jest niewinna, a przynajmniej takie sprawia wrażenie. Jeszcze nawet nie upina włosów. Hugh z miną mędrca pokiwał głową.
 - Major jest stary. Starcom podobają się coraz to młodsze dziewczęta. Tom z dreszczem przypomniał sobie, jak przystrzyżona broda majora otarła się przy pożegnalnym pocałunku o różowy policzek dziewczyny.
 - Właśnie tego uczą cię w szkole? - zapytał brata.
 - Tak jest napisane w Biblii. Dawid i Abisaga - odciął się Hugh. - I dlaczego się na mnie złościysz? Może zakochałeś się w dziwce majora?
- Tom z wściekłością kopnął cienkie drzwi, tak że zamknęły się z hukiem i oddzieliły go od brata.

VI

Stał przy warsztacie i opuściwszy ramiona wzdłuż boków zaciskał pięści. Dlaczego targnął nim gniew, kiedy Hugh

stwierdził, że dziewczyna zarabia na życie pracując w najstarszym zawodzie świata? Przecież to prawda. Antonia należy, choć być może tylko chwilowo, do majora. Stuknęła paznokciem o silnik.

Niewielu rozpoznałoby w tym przedmiocie silnik. Zwykle kojarzono to urządzenie z wielką czeluścią paleniska, połączonego z kopulasto zakończonym kotłem. Prosty silnik Toma był konstrukcją delikatną. Cylinder, zrobiony z jedno-calowej rury, przypominał lufę dawnego pistoletu. Łączył się *i* kilkoma przekładniami zębatymi i kołem zamachowym od tokarki. Kilka miesięcy temu Tom zobaczył schemat skomplikowanego silnika spalinowego w „Amerykańskim Konstruktorze”. Sam nie odebrał wykształcenia technicznego. Prawdę mówiąc, nigdy nie uczęszczał do żadnej szkoły. Nie miał też skrawarki do metalu. Sklep z artykułami żelaznymi Gundela ograniczył mu kredyt do pięciu dolarów, więc zbudowany przez Toma mechanizm z konieczności bardzo się różnił od pierwowzoru.

Chłopak schylił się, sprawdził jedną z klamer mocujących urządzenie do deski i przysunął całość do zlewu. Zaczepił przewód uziemiający o kurek i wszedł na taboret, żeby wykręcić żarówkę. Potrzebował prądu do zapłonu. Oznaką prawdziwego zamiłowania do zawodu jest to, że podczas jego wykonywania zapomina się o wszystkich troskach. Kiedy Tom wkładał drut w oprawkę żarówki, jego kanciasta twarz przybrała wyraz skupienia, a długie palce, jakby działając samodzielnie, poruszały się pewnie i z gracją.

- Hugh! - zawołał. - Chodź tutaj.

Młodszy brat otworzył drzwi. Klęcząc w nogach materaca spoglądał lękliwie na druty i silnik.

- Jest gotowy do próby - oznajmił Tom.

- Tutaj? Możesz wysadzić w powietrze cały budynek!

- Nie dostanę warsztatu. Możesz mi zaproponować inne miejsce, gdzie mógłbym go wypróbować? Jesteś mi potrzebny do wlewania oleju.

- Benzyna wybucha - wycharczał Hugh. - Pali się i...

- Używa się jej jako paliwa do silników okrętowych i silników Otta. Sam dolewałbym oleju, ale potrzebne mi są obie ręce.

Hugh w ogóle nie znał się na maszynach i uważał skonstruowane przez brata domowym sposobem urządzenie za złośliwego dzina. Jednak czuł na sobie spojrzenie szarych

oczu Toma. Z pierśią ściśniętą strachem, stawiając drobne kroki po splekanym linoleum, zbliżył się do silnika. Tom podał mu olejarkę.

- Widzisz to? - Stuknął palcem w jakąś rurkę. - Kiedy ci powiem, wpuść tu kilka kropel oleju.

- Przecież mnie znasz, Tom. Nie nadaję się do takich rzeczy.

- Hugh! - Głos brata nie brzmiał ostro, ale głucho i rozkazująco.

Chłopiec ostrożnie przechylił naczynie z długim dziobkiem.

Tom dokręcił śrubę pod miską olejową i jednocześnie energicznie zakręcił kołem. Powietrze wymieszane z benzyną zostało wessane do cylindra. Światło zamigotało, jakby na zewnątrz rozszalała się burza. Urządzenie zakrztusiło się mechanicznym warkotem, który odbijał się od ścian pokoju. Silnik działał w cyklu czterosuwowym. Przy pierwszym suwie tłok wciągał mieszankę do cylindra. Drugi suw spręzał paliwo, aż w szczytowym momencie iskra wywoływała jego eksplozję, która w trzecim suwie odpychała tłok do poprzedniej pozycji. Czwarty suw wyrzucał gazy pozostałe po spaleniu mieszanki, zostawiając cylinder gotowy na przyjęcie nowej porcji benzyny.

Stalowy tłok zaczął się poruszać, śląc błyski, które odbijały się w oczach Toma.

Drobne kropelki potu wystąpiły chłopcu na czole.

- To działa, Hugh - wyszeptał. - To działa...

Hugh, odsunawszy się jak najdalej od drobnych żółtych płomieni, które wydobywały się z rury wydechowej, wysunął ramię i nadal wkraplał olej do silnika. Po ciągnącej się w nieskończoność minucie zapytał:

- Wystarczy?

- Tak, dziękuję.

Hugh zamknął za sobą drzwi i chwycił blok do rysowania. Tom trwał wpatrzony w silnik długo po tym, jak maszyna zakrztusiła się i zamarła w bezruchu.

VII

Kiedy Obediah Bridger asystował przy narodzinach swojego pierwszego dziecka, Toma, umysł jego żony, Coraline Neville Bridger, był już zachwiany przez ciągle obcowanie z monotonnym, pozbawionym drzew krajobrazem, uciążli-

wości życia w prymitywnej, krytej darnią chacie, duszne l.ila, mroźne, rozbrzmiewające wyciem wilków zimy i przytaczającą pustkę Dakoty. Przyjechali na zachód rok temu. Ona była młodą żoną, nawykłą do wygod cywilizacji w miasteczku w Massachusetts, on zaś farmerem, skuszonym łanią ziemią.

Wypukłe łuki brwiowe ocieniały głęboko osadzone oczy Obediaha, przez co ich błękit wydawał się jeszcze ciemniejszy. Z całej postaci ojca Tom najdokładniej zapamiętał właśnie te niebieskie, głęboko osadzone oczy.

Obediah był człowiekiem małomównym i rozkazy wydawał spojrzeniem.

Paplanina gadatliwej z natury Coraline otaczała Toma od wczesnego dzieciństwa. Szkoła mieściła się piętnaście mil na wschód, ale równie dobrze mogła się znajdować na innej planecie, więc piskliwy głos matki bezustannie wwiercał się w uszy chłopca. Ponieważ ojciec potrzebował syna do pomocy w gospodarstwie, zanim Tom skończył dziewięć lat, domowa nauka skurczyła się do nieregularnych lekcji w zimie. Hugh był sześć lat młodszy i kiedy pojawił się na świecie, w nieustające monologi matki zaczęły się już wplatać barwne nici opowieści o utraconym bogactwie i rycerskiej przeszłości rodu Neville'ów.

Jako młoda dziewczyna z jasnymi włosami i dołączkiem w brodzie, Coraline zwracała uwagę mężczyzn, więc zapewne było nieuniknione, że w jej fantazjach pojawiał się wątek zmysłowy. W wyobraźni stworzyła sobie kochankę, kapitana dragonów. Widziała jego lśniący hełm ze wspaniałym piórem, które unosiło się ponad łanami wysokiej pszenicy gdzieś w Szkocji. Pewnej gorącej wrześnie nocy, gdy Obediah głęboko spał, upięła rzednące włosy w wysoki kok, uszczypnęła się kilka razy w policzki, żeby nabrały rumieńców, i przeniknęła zalany światłem księżyca podwórzem do stodoły.

Tom znalazł ją rano.

Zaschnięta krew z przeciętych nadgarstków splamiła jej najlepszą koszulę nocną. Soki życia uszły z niej już dawno, dało zapadło się w słomę, a rozwarte usta ułożyły się w *ricius sardonius*, uśmiech śmierci. Wyglądała, jakby zastygła w miłosnej pozie.

Następnego roku, w czerwcu, Obediah skonał wyjął z bólu z powodu pękniętego wyrostka robaczkowego.

Tom, który miał wtedy czternaście lat, z wściekłością wbijał łopatę w ziemię kopiąc grób ojca. Oboje rodziców

pokonał ten sam nieprzyjaciel. Samotność i odległość. Nienawidził szarozielonych połaci nie kończącej się prerii. Sprzedał farmę pewnemu Szwedowi za cenę dwóch biletów kolejowych do Detroit. (Hugh skończył dopiero osiem lat, ale Tomowi nawet przez myśl nie przeszło, że mógłby zostawić brata w sierocińcu w Fargo.) Przez pierwszy rok pobytu w Detroit pracował w walcowni metali kolorowych. Dla dorastającego chłopca praca ta była o wiele za ciężka i niebezpieczna. Jego zarobki nie wystarczały na jedzenie dla obu braci, nie mówiąc już o mieszkaniu. Wieczorami i w niedziele naprawiał zegarki, w zamian za co zegarmistrz pozwalał im mieszkać na poddaszu, gdzie zimą trzęśli się z chłodu, a latem dusili od upału. Wtedy to twarz Toma przybrała chmurny, zdesperowany wyraz biegacza, który przekroczył już próg wytrzymałości.

Twarde dzieciństwo sprawiło, że zdolność kochania ukryła się gdzieś głęboko na dnie duszy Toma, tak jak diament spoczywający pod ciężką warstwą ziemi. Miłość stała się dla niego czymś niezwykle trudnym i rzadkim. Inne cechy charakteru również się zmieniły. Wesoły dowcip przekształcił się w ironiczny humor, a żywiołowe wybuchy gniewu nigdy nie wydobywały się na powierzchnię i często obracały się przeciwko niemu. Ciężkie życie nie zdołało odmienić jednego - intuicyjnego związku między bystrym umysłem a zręcznymi palcami, nieprzewyciężonej potrzeby tworzenia.

VIII

Zanim major Stuart zakończył rozmowę ze starym przyjacielem, senatorem McMillanem, minęła dziesiąta. Fort Street nie była o tej porze tak zatłoczona, więc luźno trzymał wodze. Wrócił myślą do swojego mechanika, który odwiedził go rano. Co za niezwykle chłopak. Co w nim takiego było? Dlaczego ten młody Bridger wyróżniał się spośród innych biednie ubranych robotników Stuarta, którzy zjawiali się w jego domu? Może to, że zachowywał się tak, jakby byli sobie równi, i zaproponował, że będzie płacił za wynajem baraku? Lakierowana skóra ozdobnej upręży błyszczała w słońcu. Major doszedł do wniosku, że chodzi o coś więcej. Kiedy młody mechanik opowiadał o tych nowych pojazdach, wydawał się większy, silniejszy. Jego twarz przybierała skupiony wyraz, a oczy spoglądały z napięciem.

Było w tym coś zniewalającego. Do licha, pomyślał major, tak właśnie muszę wyglądać, kiedy mam ochotę zabrać do łóżka jakąś ładną kobietę. Otello machał połyskliwym ogonem, a Jagon dumnie wyginał szyję. Wspaniała zwierzęta. Nic dziwnego, że od niepamiętnych czasów ludzie są zafascynowani końmi. A któż mógłby się zachwycać tą cuchnącą maszyną, którą widział na Avenue d'Ivry? Tylko mechanik! Major parsknął śmiechem. Jasne, że tylko mechanik!

Dotarł do budynku, który ciągnął się aż do następnego rogu ulicy. Nad płaskim dachem wyrastały olbrzymie żelazne litery: FABRYKA MEBLI STUARTA. Dokładnie w środku napisu, pod EBL półkoliście zwieńczony wjazd prowadził na dziedziniec. Fabryka mebli majora, jako jedyna w całym stanie, miała swoją własną halę do korowania drewna i tartak. Dochodzący z nich okrutny hałas, potęgowany w tunelu wjazdowym, wydobywał się dziką kakofonią na ulicę jak wystrzelona kula armatnia. Major ujął srebrną rączkę biczka i ponaglił narowiste konie. Stał na stopniach wiodących do biura i mrużąc oczy spojrzał na niewielki budynek, na którym Bridgerowi tak Irardzo zależało. Gruba warstwa żółtawego pyłu pokrywała okna, a podwójne drzwi były niemal zmurszałe. Zacisnął usta. Zwykle starał się nie patrzeć na tę chatkę z piernika. Pochlebiał sobie, że umie dobrze prowadzić interesy. Pięć lat temu postanowił wytwarzać nowy rodzaj intarsjowanych mebli i kazał wybudować pomieszczenie, w którym można by było demonstrować piękne produkty jego fabryki. Jednak przecenił zapotrzebowanie na luksusowe meble i stracił sporo pieniędzy. Do dziś pozostała mu jeszcze pewna liczba nie sprzedanych nocnych stolików, które trzeba było gdzieś składować. W przyjemnym życiu nie ma miejsca na porażki, stwierdził major i wszedł do biura. Chuderlawy sekretarz dotknął zielonego daszka na czole w służalczym powitaniu.

- Dzień dobry, majorze - zagał nerwowo. - Ładna pogoda, prawda?

- Wspaniała. Heldenstern, napisz list do naszych komiwojażerów, żeby się jakoś pozbyli tych nocnych stolików. Za wszelką cenę.

- Nawet ze stratą dla fabryki?

- Jeśli będzie trzeba, tak - odparł major. - Pracuje u nas mechanik o nazwisku Bridger. Znajdź go i przyślij do mnie.

Biuro majora, w odróżnieniu od domu, urządzone było po spartańsku. W małym pokoju tłoczyły się zniszczone meble, należące kiedyś do jego ojca. Mimo starannych porządków, których Heldenstern dokonał tu rano, na płaskich powierzchniach już się osadził pył drzewny. Major przejechał chusteczką po obrotowym krześle i usiadł.

Kilka minut później Trelinack, główny brygadzysta, wszedł do biura.

- Heldenstern mi mówił, że chce pan rozmawiać z Tomem, ale chłopak ma dzisiaj w nocy naprawiać trójbębnową szlifierkę, więc nie ma go w fabryce.

John Trelinack był mocnym, krępy Anglikiem o spadzistych ramionach, kuzynem Jackiem, jak nazywano kornwalijskich górników z kopalni cyny, którzy uciekli przed głodem ze swoich rodzinnych stron podczas zarazy ziemniaczanej. W Stanach Zjednoczonych Trelinack porzucił swój dawny fach, przekazywany z pokolenia na pokolenie, i zajął się stolarką. U Stuarta awansował na stanowisko głównego brygadzysty i choć żona nie dała mu syna, tylko trzy córki, którym nadano wytworne imiona Izolda, Melisanda i Maud, uważał, że powiodło mu się w życiu.

- Co to ma znaczyć? Nie przyszedł do pracy? - warknął major.

Brygadzysta potarł wywoskowany koniec ciemnych wąsów i cofnął się o krok.

- Będzie pracował całą noc.

- I wobec tego zażądał w zamian wolnego dnia?

- To był mój pomysł - uspokajał pracodawcę Trelinack. - To nasz najlepszy mechanik, prawdziwy czarodziej, proszę pana. Musi mieć jasny umysł i pewne ręce, kiedy zabierze się do tej szlifierki.

Major oparł łokcie na biurku. Gniew go powoli opuszczał.

- Wydaje mi się, że masz do niego słabość.

- To dumny, niezależny chłopak. Nie lubi nikogo o nic prosić. Chciałbym mieć takiego syna.

- Może ty też interesujesz się pojazdami, które się poruszają bez konia?

Oczy Trelinacka rozszerzyły się w niekłamanym zdziwieniu.

- Już pan słyszał o tej jego manii? Proszę mu tego nie brać za złe. Nieraz mu powtarzałem, żeby się uspokoił i skupił na pracy. Ten chłopak ma szalone pomysły. Pojazd bez konia. Coś podobnego!

- W Europie już takie zbudowano. Ścigały się na trasie z Paryża do Belfont.
- Tylko Francuzi mogli wymyślić coś takiego. To dziwaczny naród, jedzą ślimaki i inne paskudztwa.
- Francuzi wiedzą, jak używać życia na wszelkie sposoby odrzekł major i dobrotliwie mrugnął okiem. - Poślę po Hridgera do domu.

IX

Tom siedział w poczekalni biura, ściskając w ręku kartkę od majora. Upewniwszy się, że chuderlawy sekretarz wciąż jest zajęty pracą - siedział na skraju stołka, a jego zielony daszek niemal dotykał księgi rachunkowej - chłopak rozwinął papier. Pot z dłoni rozmazał atrament, ale trzy wypisane stanowczym pismem, obiecujące słowa można było bez irudu odczytać. „Przyjdź natychmiast, Stuart.”

Przez godzinę, którą przyszło mu spędzić w poczekalni, nękały go narastające wątpliwości. Czyżby Antonia Dalzell zatelefonowała do swego dobroczyńcy i opowiedziała mu, że jego pracownik próbował z nią bezwstydnie flirtować? Ta promienna dziewczyna? Prędzej skowronek mógłby go zdradzić. A może to ta złośliwa, brzydka kucharka? Kręciła się przy frontowych drzwiach i zapewne widziała ich razem. Jeśli tak, to czy doniosłaby na dziewczynę? Tom skrzywił się i potarł czoło. Chryste, może zaraz zostanie zwolniony? Drażniło go, że nie potrafi opanować nerwów i myśleć o czymś innym, a to z kolei napełniało go jeszcze silniejszą niechęcią do majora. Siary łobuz, może sobie wsadzić tę robotę gdzieś!

Z biura dobiegł nie znoszący sprzeciwu, metaliczny dźwięk dzwonka i wzbił się ponad stłumiony murami biura fabryczny hałas. Tom drgnął, ale zaraz nakazał sobie pozostać na twardym, drewnianym krześle.

- Pośpiesz się - powiedział Heldenstern, nie podnosząc wzroku znad ksiąg. - Major jest gotowy.

Stuart zapalał właśnie cygaro.

- Ach, jesteś już, Bridger - powitał go uprzejmie. - Zastanawiałem się nad sprawą, o której rozmawialiśmy rano przy śniadaniu. Chodzi mi o twoją propozycję wynajęcia tego pomieszczenia. Wydałem polecenie komiwojażerom, żeby upłynnili pozostałe nocne stoliki. Budynek należy do ciebie, jeśli wciąż jesteś nim zainteresowany.

Tom czuł, że szczeka mu opada.

- Jestem, proszę pana.

- Świetnie, znakomicie. - Major dobrze się bawił. - Teraz pozostało nam tylko omówienie warunków. Co powiesz na dwa dolary tygodniowo?

Tom miał ochotę powiedzieć, że to bardzo dużo. Ale na szczęście żaden wykwalifikowany mechanik w Detroit nie zarabiał tyle co on: sześćdziesiąt miesięcznie.

- Stać mnie na to.

- I dwadzieścia pięć procent będzie należało do mnie.

- Chce pan zostać moim współnikiem? Ależ ja będę płacił za wynajem.

- Często się zdarza, że właściciel budynku ma udział w całym przedsięwzięciu.

Chłopakiem targnęły sprzeczne emocje. Miał ochotę wymierzyć cios prosto w czerwoną, rozbawioną twarz tego rozpustnika, deprawującego młode dziewczęta, a jednocześnie chciał z wdzięcznością uścisnąć pulchną, ozdobioną sygnetem dłoń. Domyślił się, że ten gest musiał majora trochę kosztować.

- Nie wierzy pan w mechaniczne pojazdy. Pana zdaniem, nikt nie będzie chciał ich kupować, dlaczego więc zastrzega pan sobie prawo do dwudziestu pięciu procent moich dochodów?

- Dochodów? - W brązowych oczach Stuarta zamigotały ogniki. - Nie zarobisz na tym ani grosza, Bridger. Ja natomiast jestem zapalonym amatorem wszelkiego rodzaju wyścigów. Niewątpliwie słyszałeś o zawodach na trasie Paryż-Belfont?

- Tak, odbyły się w lipcu. Piętnaście maszyn dotarło do mety.

- Jeśli kiedykolwiek taki wyścig zostanie zorganizowany w Ameryce, a tobie uda się zbudować pojazd, chciałbym się wslawić jako twój sponsor.

- Moim celem nie są wyścigi, kiedy w kraju brakuje taniego, wygodnego środka transportu.

Major nie potrafił dłużej tłumić uśmiechu.

- Widziałem, jak ta maszyna pełźnie po drodze, widziałem, jak się psuje. Uwierz mi, ona nadaje się tylko do rozrywki. Można robić zakłady, który z pojazdów pierwszy dowiecze się do końca trasy. To są tylko zabawki.

Przemijająca moda. Żart.

Ciemne obwódki wokół jasnych źrenic Toma stały się bardziej wyraziste.

Teraz rozumiem, o co panu chodzi. Chce pan, żeby Detroit dobrze się bawiło patrząc, jak pan mnie wspiera.

-Zamierzał powiedzieć to lekko i ironicznie, ale jego słowa zabrzmiały jak głuche warknięcie.

Stuart roześmiał się bez złości. Ta rozmowa sprawiała mu przyjemność.

Jesteś prawdziwym wizjonerem, przekonany o słuszności swoich celów, prawda? Nie boisz się wygłaszać własnych opinii. Mnie interesuje tylko trochę rozrywki. Budynek jest twój. Dodam jeszcze elektryczność.

Dziękuję panu. - Krępująca wdzięczność przytłumiła Hiiiew Toma. - Doceniam, co pan dla mnie zrobił. Major podał mu duży klucz.

Na dziedzińcu Tom nie zwrócił uwagi na gorączkową krzątanicę robotników, którzy za pomocą stalowych haków przeciągali bukowe pnie do wanien z gorącą wodą. Całą uwagę skupił na niewielkim budynku tuż obok głównego wjazdu. Mój warsztat, pomyślał. Ogarnęła go silna, niemal zmysłowa ekstaza. Podbiegł do budynku. Przed drzwiami nagle podskoczył, energicznie jak młody koziołek, i wyciął hołubca w powietrzu.

Krokami zmierzył powierzchnię szopy, zostawiając ślady stóp w grubym pyłe. Dwadzieścia na dwadzieścia osiem.

Pierwszy warsztat magnata pojazdów mechanicznych, T. K. Bridgera! Roześmiał się. Co za mrzonki. W Ameryce nikt jeszcze nie zbudował takiej maszyny. Ja to zrobię, myślał Tom. Ja to zrobię. Stanął na środku zasypanego pyłem drzewnym pomieszczenia i wyciągnął ramiona.

- To trzeba uczcić - powiedział na głos.

Tom, choć był z natury samotnikiem, czasami zaglądał do haru Golden Age, gdzie razem z innymi prorokami nadchodzącej epoki pojazdów mechanicznych dyskutował o wyższości benzyny nad parą i elektrycznością, wymieniał zniszczone egzemplarze „Amerykańskiego Konstruktora” I szkicował plany cylindrów. Dochodziło południe i bar tętnił życiem. Klienci w zniszczonych ubraniach łapczywie pochłaniali darmowy lunch, który podawano do zamówionych trunków. Tom nie dostrzegł nikogo znajomego. Zaniósł swoje piwo do zbitego z desek stołu, za którym siedziało stosunkowo niewielu gości, zdmuchnął pianę i znowu się

rozejrzała. Ruda kobieta o pełnych kształtach stała opierając się o bar w odległym końcu sali.

- Belle! - zawołał machając ręką. - Hej, Belle! Uśmiechnęła się i kołysząc szerokimi biodrami zaczęła się przeciskać wśród popijających klientów. Była najlepszą z trzech prostytutek, które pracowały w Golden Age.

- Wcześniej się dzisiaj zjawiasz, Tom.

- Kto rano wstaje... - zażartował. - Belle, postawię ci kolejkę. Dzisiaj zdobyłem własny warsztat.

- Coś takiego! - wykrzyknęła i wprawnym ruchem przysunęła się do niego tak, że poczuł ciepło obfitych piersi i duszący, słodki zapach taniej wody kwiatowej. - Masz pewnie ochotę pobaraszkować.

Południowe słońce wlewało się przez brudne okna, ukazując ciemne odrosty jej nienaturalnie płomiennych włosów, grubą warstwę pudru, pod którym starała się ukryć zmarszczki wokół oczu, i liczne plamy na gorsie z żółtego jedwabiu. Belle wyglądała na to, czym była - na tanią dziwkę, która za pięćdziesiąt centów zabierała gościa do klitki na piętrze, gdzie dochodził odór siarki z pobliskich zakładów chemicznych. Tom nigdy nie myślał o niej w ten sposób, ale teraz porównywał ją z kimś o całą klasę lepszym. Podniecenie, które już dawało o sobie znać niepokojącym mrowieniem w pachwinach, zostało wywołane wspomnieniem niedojrzałego, szczupłego ciała i ciemnych, radosnych oczu. Chłopak ze wszystkich sił starał się nie myśleć o kobiecie majora.

Belle głaskała go po rękawie.

- W takim szczególnym dniu jak dzisiaj młody i silny chłopak musi wypuścić trochę pary.

- Mam czas tylko na jedno piwo.

Opróżnili kufle i Tom niespokojnym krokiem wyszedł na ulicę. Jego twarz wyrażała triumf. Biegiem mijał tłoczące się wokół straganów otulone w chusty świeżo przybyłe do Ameryki kobiety i śpieszył podzielić się z bratem radosną nowiną o warsztacie, w którym zbuduje swój pierwszy mechaniczny pojazd.

I

Pierwszy pojazd napędzany silnikiem spalinowym został wynaleziony przez niemieckiego Żyda, Siegfrieda Marcusa, w 1864 roku i wzbudził zainteresowanie jedynie policji, która zakazała hałaśliwej maszynie poruszania się po ulicach. Tempo prac nad wynalazkiem osłabło. W latach osiemdziesiątych dwóch innych Niemców, Gottfried Daimler i Karl Benz, pracując niezależnie, zdołało połączyć silnik spalinowy z kołami. Tym razem pojazd okazał się bardziej udany. Szczególnie dobrze spisywał się na prostych, szarych drogach Francji. Do połowy lat dziewięćdziesiątych zbudowano kilkaset maszyn. Słownictwo związane z automobilizmem wzbogaciło się o takie francuskie słowa jak *garage*, *carburettor* i *chauffeur*.

W Stanach Zjednoczonych, kraju rozległych nizin i gór, gdzie tak trudno było pokonać dalekie odległości, te innowacje powinny wywrzeć wrażenie na bankierach i przemysłowcach. Jednak bogacze nie okazali zainteresowania. Jedynie kilku młodych, nikomu nie znanych Amerykanów wypróbowywało nowe pojazdy. Ludzi tych prowadziło natchnione marzenie o przyszłości, w której wszyscy będą się poruszali szybciej i łatwiej niż jakiegokolwiek zwierzę. Nie byli to ludzie sławni, więc ich dokonań nigdzie nie odnotowano. Nic nie wiedzieli o sobie nawzajem, o swoich sukcesach i porażkach, chyba że przypadkiem mieszkali w tym samym mieście.

W Detroit Henry Ford, Charles King, rudowłosi bracia Dodge, Ransom Olds i Tom Bridger czasami spotykali się w Golden Age. Wspólne projekty i przewidywania rozpały Toma, ale zawsze miał dziwne poczucie, że nie należy do tej grupy. Jak poeta żył pełnią życia tylko wtedy, gdy pracował samotnie w swoim warsztacie.

Dwa dolary, które płacił majorowi, znacznie zaważyły na jego sytuacji finansowej. Całe życie cierpiał biedę, ale teraz odczuwał ją inaczej. Jego marzenie przybierało wreszcie konkretne kształty i dzięki temu wiele potrafił znieść. Zbierał obrzynki metalu i przekuwał je na kowadło. Ani on, ani Hugh nie jadal mięsa, a ich buty domagały się podzelowania, a pieniędzy brakowało i tak. Podobnie jak czasu, choć przychodził do warsztatu na kilka godzin przed fabrycznym gwizdkiem o szóstej, a do domu wracał rzadko przed dziesiątą.

Pewnego chmurnego popołudnia w listopadzie Tom odszedł od kowadła, żeby otworzyć drzwi, do których ktoś się dobijał. Posłaniec od Stuarta podał mu złożoną kartkę.

- Major oczekuje odpowiedzi - odezwał się rumiany chłopak i rozejrzał się ciekawie. Wszyscy w fabryce wiedzieli, że Tom Bridger buduje diabelski pojazd. Starsi stolarze pochodzenia polskiego robili znak krzyża za każdym razem, kiedy mijali budynek. Jednak posłaniec nie zobaczył nic niezwykłego w tokarkach, wiertłach, pilnikach, rozżarzonego palenisku i kilku kołach rowerowych. W spoczywającej na kołach konstrukcji, złożonej z przekładni, pasów, koła zamachowego i mosiężnych cylindrów, nie rozpoznał silnika benzynowego. Dla niego ten warsztat różnił się od innych jedynie tym, że panował tutaj porządek i wszystkie narzędzia były ułożone w odpowiednim miejscu, tam gdzie Tom ich potrzebował.

Ręce Toma były czarne. Chwycił kartkę grubego papieru za róg i potrząsnął, żeby ją rozłożyć. „W moim domu popsuł się jeden z zegarów. Może potrafisz go zreperować? Stuart.”

Tom wiedział, jak naprawiać wszystkie typy zegarów, a jednak się zawahał.

Nie chodziło o to, że do majora musiałby iść trzy mile (kogo stać na omnibus?) ani o trudności z naprawą. Chodziło o Antonię. Przez ostatnie miesiące starał się wyrzucić ją z myśli i więcej jej nie wspominać. W fabryce huczało od złośliwych plotek o nowej dziewczynie na Woodward Avenue, tak niepodobnej do poprzedniczek. Jednak Tom, zaprzątnięty czym innym i stale zapracowany, nie słyszał tych komentarzy. Nawet jeśli Antonii miałyby tam nie być, wizyta w *château* ożywiłaby i tak nie dające się wyciszyć emocje. Niezdecydowanie spoglądał na kartkę. Jak to **się** często

zdarzało w warsztacie, światło na chwilę przygasło i Tom zamrugał oczami. Wtedy przypomniał sobie, że nie musi majorowi płacić za światło. Chłopak nie lubił mieć długów.

- Powiedz majorowi Stuartowi, że zaraz się do niego wybieram.

II

Drzwi otworzyła kucharka Ida. Nie dając po sobie poznać, że kiedyś już go tu widziała, znacząco popatrzyła na zniszczoną skórzaną teczkę, w której Tom przyniósł narzędzia zegarmistrzowskie.

- Wejście dla rzemieślników jest od tyłu - oznajmiła.

- Major Stuart kazał mi tu przyjść, żeby naprawił zegar. Ida wskazała grubym palcem na tabliczkę ze strzałką kierującą na tyły domu.

- Nie potrafisz czytać?

- Kto przyszedł, Ido? - Rozległ się szelest lekkich kroków i w drzwiach stanęła Antonia. - Ach, to pan, panie Bridger! Miała na sobie białą bluzkę zapiętą wysoko pod szyję i różową kokardę w lśniących czarnych włosach, ale na Tomie nie zrobiła wrażenia niewinnego dziewczątka. Od czasu, kiedy dowiedział się o jej związku z majorem, widział wokół niej jakąś erotyczną poświatę. Poczł podniecający, rozkoszny dreszcz.

- Dzień dobry, panno Dalzell. Major zawiadomił mnie, że jest tu zegar do naprawy.

- Telefonował do domu ponad godzinę temu i zawiadomił nas, że pan przyjdzie. Nie mogłam się już doczekać.

Proszę wejść.

- Zabrudzi podłogę w holu.

- Daj spokój, Ido. Na dworze taki mróz. Panie Bridger, za chwilę wszyscy zmarzniemy na sople.

Przekroczył próg i poczuł, że ciepło parzy mu uszy. Kucharka odmaszerowała wśród kolumn i zniknęła za odległymi drzwiami.

- Dużo szczeka, ale rzadko gryzie - wyszeptała Antonia. - Tak samo jak nasz przyjaciel po drugiej stronie ulicy.

- Delikatnie zarysowane czarne brwi uniosły się, a koniuszek dziwnego, garbatego noska zadrżał, w uroczy sposób przypominając mu, że łączy ich wspólne przeżycie. - Wezmę od pana czapkę i szalik. Proszę za mną. Zegar jest w gabinecie.

Gabinet wydał się mu o wiele mniej onieśmielający niż hol i jadalnia. Był to przytulny pokój wyłożony perskimi dywanami, których kolory z czasem spłwiałały i stały się różowawe. Stały tu trzy oszklone biblioteczki. Za starymi szybkami w lawendowym odcieniu piętrzyły się stosy periodyków. Spłwiała szarfa majora z czasów wojny domowej i szabla ze złotą rękojeścią wisiały na ozdobnej wykładzinie nad zapadającą się sofą.

Stojący na kominku zegar miał zapewne ze sto lat. Para mosiężnych lwów na wyciągniętych łapach podtrzymywała zbrazowaną porcelanową tarczę. Czarne kute z metalu wskazówki zatrzymały się kwadrans po jedenastej. Nad tarczą połączony orzeł rozpiął skrzydła nadnaturalnych rozmiarów.

- To jest właśnie to paskudztwo - oznajmiła Antonia.

- Czy pamiątki rodzinne mogą być paskudne?

- Prawie wszystkie rodzinne pamiątki są okropne. - Podeszła do ognia i wyciągnęła ręce. Nie patrząc na Toma mówiła dalej: - Myślałam, że wcześniej nas pan odwiedzi.

Co za niezwykła uwaga z ust kochanki majora.

- Dlaczego?

- Miałam taką nadzieję - odparła odwracając się do niego. Tom powtarzał sobie w duchu, że jej czuły, nieśmiały uśmiech nie powinien robić na nim wrażenia, bo jest to dziewczyna majora. Z zawodowym chłodem skupił uwagę na zegarze.

- Czy może mi pani dać jakąś gazetę? Nie chciałbym zabrudzić biurka oliwą.

Skinęła głową i wybiegła z pokoju. Bardzo długo nie wracała i Tom doszedł do wniosku, że spłoszył ją jego chłód. Chociaż o to mu właśnie chodziło, zawiedziony chłopak ciężko westchnął. Zobaczył na fotelu egzemplarz „Detroit Tribune”. Rozłożył go na biurku i ustawił na nim ciężki, stary zegar. Otworzył właśnie klapkę z tyłu zegara, kiedy dziewczyna wróciła. Pod szczupłym ramieniem miała gazetę, a przed sobą niosła czarną lakierowaną tacę, na której stała ładna filiżanka w kwiatki, patera do ciasta i srebrny dzbanek, z którego unosiła się pachnąca czekoladą para. Tom skoczył naprzód, żeby odebrać od niej ciężar.

- Och, znalazł pan gazetę - odezwała się z uśmiechem. - W każdym razie w takim dniu jak dzisiaj z ochotą napije się pan czekolady.

Patrzył, jak wlewała do filiżanki pieniący się napój.

- To bardzo uprzejmie z pani strony, panno Dalzell.

- Wcale nie o tym pan myślał.

- Doprawdy? Czyżby widziała pani cudze myśli w szklanej kuli?

- Nie potrzebuję kuli. Patrzył pan na moje nadgarstki.

Zastanawiał się, czy kostki dziewczyny są równie eleganckie i delikatnie zbudowane. Powinien czuć się zażenowany, ale wesołe iskierki w ciemnych oczach były zaraźliwe.

- Szukałem śladów po kajdanach - odparł. - Ma pani taką ciemną, złodziejską przeszłość.

Uśmiechając się wręczyła mu filiżankę i nałożyła na talerzyk kawałek ciasta przekładanego owocami.

- To strudel Idy. Upiekła go dziś rano. Chciałam jej pomóc, ale ciasto trzeba wałkować, dopóki nie będzie cienkie jak bibułka, a mnie się to nie udaje.

- Czy właśnie tym się pani zajmuje całymimi dniami? Gotowaniem?

- A co mam robić, skoro w okolicy nie ma już róż, które mogłabym ukraść? - Oparła się na łokciach i spoglądała na mechanizm zegara. - Rozłoży go pan na części?

- Oczywiście.

- I będzie pan pamiętał, skąd pan wyjął każdy z tych elementów?

- Jestem czarnoksiężnikiem. Roześmiała się.

- Panie Bridger, chciałam pana zapytać...

- *Mademoiselle* Dalzell - rozległ się w holu kobiecy głos. - *Mademoiselle!*

- Zapomniałam, która godzina - wyszeptała Antonia. Zmrużyła oczy w bezbronnym grymasie, który wyrażał mieszaninę bólu i poczucia winy i był tak wzruszający, że chłopak miał przemożną chęć chwycić ją w ramiona i pocieszyć. Wtedy rano również ogarnęło go podobne uczucie, ale tym razem miał ochotę dać jej coś jeszcze, tej ślicznej, zagubionej dziewczynie, która była skarbem majora. - Proszę mi wybaczyć.

- O co chciała mnie pani zapytać?

- Zapomniałam. - Stała już na progu.

Jeszcze długo po tym, jak drzwi się za nią zamknęły, Tom wpatrywał się w ciemne, wypolerowane drewno. Zastanawiał się, jak smutne musi być tutaj życie dla tej dziewczyny.

Siedzi cafyimi dniami zamknięta w wielkim, ponurym domostwie, nadzorowana przez nieprzyjazną służbę, a w nocy musi znosić ciężar zwalistego cielska majora. Jest tylko bardziej elegancką wersją Belle, a dziwki wiedzą, na co się decydują. Jednak wewnętrzny głos, któremu Tom zawsze wierzył bez zastrzeżeń, mówił mu, że to tylko radosna, młoda dziewczyna, nie dość jeszcze dojrzała, żeby w pełni rozumieć, na co się decyduje.

Nie czując smaku szybko przełknął gęstą czekoladę i delikatne ciasto, a potem wrócił do pracy. W mechanizmie zegara wyszczerbiło się jedno z kół zębatach. Najprawdopodobniej uda mu się kupić odpowiednią część. Ciemność przesłoniła już okna. Zanim dotrze do Cadillac Square, sklepy będą zamknięte.

Wyszedł na korytarz i zawołał:

- Jest tu kto? - Miał nadzieję, że odpowie mu Antonia. Niestety, zamiast niej ze schodów ciężko zeszła jakaś kobieta w ciasno zasznurowanym gorsecie i szeleszczącym uniformie pielęgniarstwa w niebieskie pasy.

- *Je ne parle pas anglais* - oznajmiła.

Rozpoznał głos, który przed chwilą wywołał Antonię z gabinetu. Tom natychmiast znienawidził tę cudzoziemkę, która skradła mu chwilowe, ulotne szczęście. A poza tym, co tutaj robi pielęgniarka? Czyżby Antonia cierpiała na jakąś tajemniczą chorobę? Kobieta przypatrywała mu się z uwagą. Poznał trochę francuski pracując z kanadyjskimi stolarzami. Krótko wyjaśnił, że zostawia rozłożony zegar, ponieważ musi dokupić potrzebną część. Jutro z samego rana dokończy naprawy.

III

Gdy tylko otworzono sklepy, Tom wybrał się na zakupy. Kiedy wreszcie znalazł odpowiednie koło, zaczął padać zimny deszcz. Gęste korony drzew na Woodward Avenue trochę chroniły go przed ulewą, ale zanim dotarł na miejsce, jego buty całkiem przemokły. Pod osłoną wielkiego portyku domu majora tupnął kilka razy, żeby strząsnąć z nich wodę. Drzwi otworzyła Antonia.

- Utopi się pan - zawołała.

- Przepraszam za spóźnienie. Trudno jest znaleźć części do okropnych pamiątek rodzinnych.

Odwiesił płaszcz na wieszak. Spływające z niego krople wody hałaśliwie padały na cynową płytkę na podłodze. Proszę do gabinetu. Zaraz do pana przyjdę. Kilka minut później wniosła tę samą tacę, tym razem zastawioną wielkim półmiskiem pełnym pociętych w trójkąty kanapek, ozdobnym srebrnym serwisem do kawy, ciastem, które wyglądem przypominało cegłę, talerzykami i srebrnymi łyżeczkami dla dwóch osób.

Wymarzona pogoda na piknik - zakomunikowała. Perspektywa wspólnego posiłku napełniła go radosną euforią, ale również wyrzutami sumienia. Czułby się podobnie, gdyby bez zezwolenia pożyczył sobie szablę majora ze złotą rękojeścią. Stojąc jadł różowe płaty pieczonej wołowiny na świeżo upieczonym chlebie. Dziewczyna gryzła kanapki z niefrasobliwą przyjemnością. Tom zauroczony patrzył, jak delikatnie zlizuje okruchy z warg.

Ma pan teraz ochotę na ciasto?

Bardzo proszę. Kiedy podawała mu talerzyk, ich palce przypadkowo się zetknęły. Poczuł lekki dotyk ciepłej, gładkiej skóry. Trwało to tylko chwilę, ale Tomem wstrząsnął elektryzujący dreszcz, tak silny, że aż zadrżała mu ręka. Dziewczyna cofnęła dłoń i z trzepotem rzęs odwróciła wzrok.

Żeby nieco ochłonać, Tom podszedł do kominka i odgryzł kęs ciasta. Było kleiste i czuło się w nim smak sody oczyszczanej. Przełknął z wysiłkiem gumowatą masę.

Ani słowa, ani słowa - odezwała się Antonia. - Wyraz pana twarzy wszystko mi powiedział.

Sama pani to upiekła?

Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że była to moja pierwsza samodzielna próba - wyjaśniła. - Ojciec uwielbia podróże, więc wychowałam się w zajazdach i hotelach rozrzuconych po całej Europie. Gotowe potrawy zjawiały się w pokoju same.

Przy wysokiej stojące bluzki, tam gdzie kobiety zwykle przypinają broszki, miała żółtą różę. W rozmowie wyjaśniła, że zerwała ją całkowicie legalnie w szklarni. Ciepło ciała sprawiało, że wokół rozchodził się zapach kwiatu. Tom czuł to wyraźnie.

- Powinna pani odejść z tego domu. - Niespodziewanie usłyszał własny głos. Deszcz bębnił o szyby przytulnego pokoju.

- Ale dlaczego? - zapytała. - Jestem szczęśliwa. - Drzenie głosu zdradziło, że kłamie.

- To nie jest miejsce dla pani.

- Ma pan na myśli Detroit?

- Wiele pani podróżowała, na pewno zna pani mnóstwo języków. Mogłaby pani zostać nauczycielką albo guwer-
nantką.

- Ja?

- Pani rodzice nie żyją, prawda?

- Mama umarła. - Zawahała się. - Ojciec choruje.

Wszystkie części układanki znalazły swoje miejsce i pasowały do siebie jak skomplikowany mechanizm zegara. Pie-
lęgniarka. Sytuacja, która zmusiła ją do przyjęcia propozycji majora.

- Dlaczego nie znajdzie pani innego sposobu zarabiania na utrzymanie ojca i siebie? - zapytał łagodnie.

Patrzyła na niego zdumiona. Nagle zaczerwieniła się po czubek głowy. Płatki pod szyją zadrżały.

- Ida wspominała coś o zwyczajach stryja, ale nigdy nie powiedziała mi tego otwarcie. Więc to prawda, że sprowa-
dzał tu sobie kobiety?

Tom przez chwilę czuł zamęt w głowie. Przed oczami stanęła mu mgła, w której widział tylko różowy owal
zaczerwienionej twarzy Antonii.

- Naprawdę jest pani jego bratanicą?

Rumieniec trochę przybladł, ale policzki dziewczyny nadal płonęły. Kokieteryjnie przechyliła głowę i zamrugała
powiekami.

- To prawda? - zapytał Tom.

- No proszę, a ja wyobrażałam sobie, że nikt niczego się nie domyśli, jeśli major przedstawi mnie jako swoją krewną,
ale pan mnie zdemaskował. Nie pozostaje mi nic innego, jak przyznać się do winy i prosić o radę. Zna pan majora.

Widział pan, jak postępował z innymi... kuzynkami. Niech mi pan powie, jakiej biżuterii mogę się spodziewać?

-Dotknęła róży i koniuszków uszu. - Brylanty czy szmaragdy? A może nie jest taki hojny? Turkusy i granaty? Nigdy
nie zgodzę się na imitacje. Nie ma mowy.

Wesołość dziewczyny nie wprawiła Toma w jeszcze większe zakłopotanie. Wręcz przeciwnie. Sam nie wiedział
dlaczego, ale poczuł się trochę swobodniej.

- Jak mam panią przeprosić? Co mogę powiedzieć?

przemówił sztywno, a po chwili dodał: - Chryste, ale ze mnie dureń!

- Jest pan spostrzegawczy. Przecież cała Europa mnie zna jako *La Grande Horizontale*.

Polano osunęło się w kominku i na dźwięk głośnego trzasku oboje podskoczyli. Kiedy ich oczy się spotkały, dziewczyna znowu dotknęła róży, tym razem nieśmiało, jakby żałowała, że posunęła się w słowach za daleko.

- Ojciec i stryj to przyrodni bracia - wyjaśniła.

- Strasznie się zbłądziłem - rzekł zdeprymowany Tom. Antonia spróbowała kawałek ciasta.

- Rzeczywiście okropne.

- Tłumaczy mi jedynie to, że nie było pani na pogrzebie. Nic mi nie usprawiedliwia, ale...

- Wystarczy już, wystarczy - przerwała mu. - Stryj mi opowiadał, że pracuje pan nad jakimś wspaniałym mechanicznym pojazdem. Co pan z nim robi, kiedy go pan wreszcie zbuduje?

- Sprzedam. Potrzebuję pieniędzy, żeby budować następne.

- He chce ich pan zbudować?

Usiadł u jej stóp na podnóżku fotela. Chciał wynagrodzić jej swoje nieszczęsne, bezmyślne zachowanie, więc ujawnił całą prawdę o swoim szaleńczym marzeniu.

- Chciałbym zbudować milion albo więcej. - Nikomu jeszcze tego nie powiedział, nawet bratu. - Proszę sobie tylko wyobrazić. Ludzie będą mogli szybko przemierzać duże odległości, z prędkością dwudziestu pięciu albo nawet trzydziestu mil na godzinę. Maszyna nie potrzebuje odpoczynku, karmienia ani pojenia.

- Jak pociąg?

- Pociąg! Pociągi są przywiązane do szyn.

- Wehikułem Bridgera ludzie będą podróżować, dokąd tylko zapragną - przytaknęła z zapalem i pochyliła się ku niemu tak, że jej wilgotny, słodki oddech owiewał jego twarz. Miał wrażenie, że zamiast krwi płynie w nim jakiś palący płyn. Zapomniał, gdzie są, nie pamiętał już, że dziewczyna jest stworzona do życia w domach takich jak ten, a on ma w butach brudną tekturę, ponieważ nie stać go na nowe podeszwy. Zapomniał o mechanicznych pojazdach, o tym, co było i co będzie. Istniało tylko tu i teraz.

Wyciągnął rękę i dotknął kostki na jej nadgarstku, palcem

zatoczył wokół niej kółko na ciepłym ciele. Oczy Antonii zaszyły świetlistą mgłą. Przysunęli się do siebie. W holu zadudniły ciężkie kroki. Dziewczyna skoczyła na nogi, nie zauważając, że serweta spadła jej z kolan na podłogę. Sztywno przycisnęła ręce do boków. Pielęgniarka zastukała do otwartych drzwi.

- *Mademoiselle?*

- *Pardonnez-moi, soeur Girardin. J'ai oublié l'heure.* -Zwróciła się do Toma. - Proszę mi wybaczyć, panie Bridger, ale obiecałam ojcu, że mu dzisiaj poczytam.

Wybiegła z pokoju. Uniosła spódnicę i pomknęła na górę po szerokich schodach, ukazując szczupłe, delikatne kostki w białych pończochach. Wreszcie zniknęła w mroku pierwszego piętra. Tom usłyszał trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Podniósł serwetę. Oczy mu pociemniały ze smutku, że tak nagle ją utracił. Ogarnęło go również współczucie. To, co czekało na Antonię za zamkniętymi drzwiami, było równie przytłaczające, jak piskliwy, natarczywy głos matki, który prześladował go w dzieciństwie.

IV

Założywszy, że pewne cechy charakterystyczne ujawniają się u wszystkich członków rodziny, łatwo było się domyślić, że pan Dalzell i major Stuart odziedziczyli zamiłowanie do wygodnego życia po wspólnej matce. Tylko w tym byli do siebie podobni. Major, cztery lata młodszy, potężny, tryskający zdrowiem mężczyzna, z takim samym zapałem cieszył się z sukcesów w interesach, jak z doznań zmysłowych. Pan Dalzell, szczupły i zamknięty w sobie, znajdował przyjemność we wrodzonym braku witalności. Większą część dzieciństwa i młodości spędził w Bostonie z rodziną ojca, która zaszczerpiła mu beznamienne zainteresowanie architekturą gotycką. Kiedy skończył dwadzieścia jeden lat, odziedziczył niewielki majątek i popłynął do Europy, gdzie, dzięki korzystnej pozycji dolara, mógł sobie pozwolić na liczne podróże. W czterdziestym roku życia ożenił się ze starą panną, pochodzącą ze skłóconego, zubożałego włoskiego rodu. Chaotyczna włóczęga po Europie pogłębiła chroniczne kobiece dolegliwości żony. Matka Antonii zmarła, zanim dziewczynka skończyła pięć lat. Gdyby pan Dalzell był mniej zauroczony córką, z pewnością oddałby ją do

jakiejś szkoły zakonnej z internatem. Towarzystwo wesołego dziecka sprawiało mu przyjemność, chociaż jednocześnie niepokoiła go porywczą żywiołowość dziewczynki. Wciąż starał się stłumić jej dziecięcy entuzjazm. „Nie wolno ci tak łakomie zjadać lodów” - strofował ją. „Czy musisz tak głośno klaskać w teatrze kukielkowym?” Jeśli będziesz tak serdecznie ścisnąć pomywaczkę, straci do ciebie szacunek.” Jednak w końcu radosna natura córki okazała się zbyt silna i pouczenia ojca na nic się nie zdały. Nie dawała sobie odebrać małych radości równie stanowczo, jak kurczowo zaciskała w ramionach małe kotki, które usiłował jej zabrać za każdym razem, kiedy przeprowadzali się do innego miasta.

Pan Dalzell był jedynym stałym elementem w życiu Antonii. Kochała go bezgranicznie.

W dniu jej szesnastych urodzin przebywali akurat w Paryżu. Żeby uczcić święto córki, ojciec zabrał ją na *Akestę*, swoją ulubioną operę, w której występowała *madame* Galli-Marie. Podczas uwertury dostał nagłego ataku gorączki. Zanim dotarli do hotelu, jego wątłym ciałem zaczęły wstrząsać niepokojące dreszcze.

Przerażona Antonia zadeszowała do Ameryki, do stryja, którego nigdy w życiu nie widziała. W ciągu ostatnich dziesięciu lat przyrodni bracia nie wymienili między sobą nawet jednego listu, ale major natychmiast wyruszył do Paryża. Za ten serdeczny gest dziewczyna pokochała go pełną wdzięczności miłością.

v

Antonia cicho zamknęła za sobą drzwi. - Dzień dobry, ojcze.

Pan Dalzell siedział w fotelu przy kominku. Jego głowę podtrzymywała duża poduszka. Błede ręce leżały bezwładnie na kolanach. Ułożone równolegle stopy, obute w ciepłe kaptcie, spoczywały na podłodze. Przy każdym oddechu brązowy szlafrok unosił się lekko na piersiach. Pasma siwych włosów były starannie zaczesane w poprzek łysej głowy, a świeżo ogolone policzki lekko się zaróżowiły. Żalotne linie wokół ust rozluźniły się nieco i wąskie usta układały się teraz w pogodny uśmiech.

Dziewczyna stanęła przed ojcem i dotknęła jego ramienia.

Oczy chorego, dotychczas wpatrzone w jakiś nieokreślony, odległy punkt, przeniosły się na jej twarz.

- Przepraszam za spóźnienie - oznajmiła. - Pan Bridger znowu nas odwiedził. Pamiętasz? Opowiadałam ci o nim. Naprawia ten okropny zegar w gabinecie. Wiesz, ten, który kiedyś należał do dziadka stryja. Jest taki stary, że pan Bridger pewnie nigdy podobnego nie widział, a jednak wszystko wiedział o jego mechanizmie. Prawda, że jest zdolny?

Przechyliła głowę i zaczęła, aż chory mrugnie powiekami.

- Coś sobie ubzdurał na mój temat. - Zaczerwieniła się i nie próbowała tłumaczyć, o co chodzi. Święcie wierzyła, że pan Dalzell zachował pełną świadomość. - Trochę mu dokuczałam. Ma wspaniałe poczucie humoru, ale tym razem nie udało mi się obrócić wszystkiego w żart. Nadal jest bardzo zmartwiony.

Kolejne mrugnięcie.

- Ojciec, w nim jest coś niezwykłego. Opowiadałam ci już o mechanicznym pojeździe, nad którym pracuje. Kiedy mówi na ten temat, oczy mu ciemnieją. Ma szare oczy. Prawdziwie szare. Bez domieszki zieleni, błękitu czy brązu. Sam wiesz, jakie to rzadkie. Te pojazdy na pewno wzbudzą powszechne zainteresowanie, więc pan Bridger założy własną fabrykę i będzie je budował. - Specjalnie podkreślała ambicje Toma, szczerze licząc na to, że w ten sposób pozyska dla chłopaka sympatię ojca. - Tak bardzo podziwiam ludzi, którzy planują swoją przyszłość. Ja nie potrafiłabym wybiegać myślą tak daleko. Ojciec, zawsze mówiłeś, że jestem jak kolorowa łódeczka, dryfująca bez celu po zalanej słońcem rzece. Pan Bridger.... Niech no pomyślę. On jest parowcem. Tak. To dobre porównanie. Jest parowcem, który nie lęka się żadnych prądów. Nie znaczy to, że jest jakimś ponurakiem. Prawdę mówiąc, jest bardzo zabawny. Kogoś mi przypomina. Ale kogo? Kogo?

Z ust chorego wydobył się głębszy oddech.

- Przepraszam. Ja tutaj paplam o głupstwach, a tymczasem mamy już godzinę spóźnienia. - Wybrała czekoladkę z wielkiej, ozdobionej kokardą bombonierki i z przyjemnością obgryzała czekoladę, którą oblano nugatowe nadzienie. Usiadła na krześle przy ojcu, wygodnie podciągnęła kolana pod brodę i otworzyła książkę na stronie zaznaczonej skórzaną zakładką. Zaczęła czytać: - „Natasza nie miała dla

siebie wolnej chwili i ani razu nie zastanowiła się nad swoją przyszłością. W wilgotnym, chłodnym powietrzu, siedząc w ciasnym, mrocznym wnętrzu kołyszącego się powozu, po raz pierwszy myślała o tym, co ją czeka na balu, w rześcicie oświetlonej sali - muzyka, kwiaty, tańce i car, wspaniali młodzi ludzie z Petersburga. To, co miało ją spotkać, wydawało się tak cudowne, że..." - Antonia podniosła oczy i napotkała pusty wzrok ojca. - Wiem już, kogo on mi przypomina! Księcia Andrzeja! Mały palec ojca poruszył się w nerwowym skurczu.

- Och, na pierwszy rzut oka nie wydają się podobni, ale naprawdę są. - Podniecona dziewczyna zerwała się z miejsca i wzięła jeszcze jedną czekoladkę. - Książę Andrzej, tak, oczywiście! Chciałabym... Chciałabym... Sama nie wiem, czego bym chciała!

Deszcz zaczął głośniejsz dzwonić o szyby. Antonia wróciła do *Wojny i pokoju*.

- „Pojęła w pełni, co ją czeka, dopiero kiedy po czerwonym dywanie weszła do westybulu..." - Nieświadomie nadała głosowi melodyjny rytm, jak zawsze, kiedy czytała fragment o Nataszy, upartej, wspaniałej Nataszy, z którą się utożsamiała. Zamglony uśmiech migotał w jej oczach, gdy książę Andrzej porwał Nataszę do tańca, który miał odmienić jej życie.

Głowa pana Dalzella opadła na pierś. Wróciła siostra Girardin i nakryła go wełnianym szalem.

- Ojciec dzisiaj dłużej mnie słuchał. - Antonia zamknęła książkę oprawną w czarną tłoczoną skórę, zaznaczywszy stronę zakładką.

- *Oui*.

- Wyraźnie widać, że jego stan się poprawia, zgodzi się pani ze mną?

Siostra Girardin oparła stopy pana Dalzella o otomanę. Podobno w tego rodzaju przypadłościach powrót do zdrowia nie jest wykluczony, ale ona nigdy nie słyszała o takim przypadku.

Dziewczyna patrzyła na nią z nadzieją. Francuzkę zawsze wzruszała do głębi nieugięta wiara Antonii, że jej ojciec zachował pełną świadomość. Bardzo polubiła córkę swojego podopiecznego.

- *Mais certainement* - odparła. W jej głosie głucho pobrzmiwały zwątpienie i litość.

Antonia wybiegła z pokoju chorego. W ponurym korytarzu oparła się o wykładaną drewnem ścianę. Z pobladałą twarzą zacisnęła pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się w dłoń, a kostki na palcach zbieleły i wyraźnie prześwitywały przez skórę. Cierpiała niewypowiedzianie, tym bardziej że nie mogła z nikim podzielić się swoim nieszczęściem. Zaburzenia umysłowe to hańba dla rodziny. Dotknięci taką przypadłością ludzie trzymani są w ukryciu, prawdę o ich chorobie spycha się na dno pamięci i nigdy nie wspomina o chorym poza domem. Major i służba nigdy nie rozmawiali o panu Dalzelli, tak samo jak Antonia.

Przygarbiona, wcisnąwszy głowę w ramiona, wolno poszła do swojego pokoju.

VI

Antonio, chciałbym z tobą porozmawiać - oznajmił major.

- Czy coś się stało, stryju?

Czekali w gabinecie na gong wzywający na obiad. Stuart podszedł do kominka.

- Ida mi powiedziała, że zjadłaś lunch razem z Bridgerem.

- Tak, zjedliśmy tu kilka kanapek. - Jej ojciec rozszyfrowałby lekkie uniesienie delikatnie zarysowanych czarnych brwi. Dziewczyna zawsze przybierała taki buntowniczy wyraz twarzy, kiedy chciał jej odebrać coś, co darzyła uczuciem. Spojrzała na zegar. - Dzięki panu Bridgerowi wskazuje teraz dokładny czas.

- Dlaczego nie. Przecież Bridger jest zegarmistrzem. I mechanikiem! - warknął major. Nie zamierzał okazywać gniewu, ale nigdy dotąd nie musiał besztać podopiecznej, a nie bardzo wiedział, jak pouczać młode dziewczęta o szlachetnym charakterze, i czuł się nieswojo. - Jak mogłaś zaproponować mu wspólny posiłek?

- Wydawało mi się, że postępuję właściwie - odparła spokojnie.

Odwrócił się i uderzył pogrzebaczem w tłące się polano.

- Sama tak zdecydowałaś? Bez mojego pozwolenia?

- Cały ranek szukał potrzebnej części do mechanizmu, pogoda była okropna, nadeszła pora lunchu, więc...

- W takim wypadku „właściwe” byłoby wysłanie chłopaka do kuchni, żeby zjadł razem ze służbą. Moje drogie dziecko, my się nie zadajemy z robotnikami.

- Czyż w Ameryce wszyscy nie są równi?

Co za zuchwalstwo! Major gwałtownie się odwrócił, oczekując bezczelnego uśmiešku. Zobaczył przed sobą pobladałą Antonię, która szybko chwytała oddech, jakby starała się powstrzymać łzy. Serce w nim zmiękło. Bardzo się przywiązał do tego dziecka. Przecież wniosło do jego świata tyle młodzieńczego śmiechu i niewinnej radości! Tylko ze względu na Antonię sprowadził do domu tego żalostnego chudzielca Oswalda, który dawno już stracił wszystkie władze umysłowe.

- Nie winię cię za to, moja droga. Mam żal do siebie. Jesteś pełną wigoru uroczą dziewczyną, a ze mnie po prostu niezdarny stary kawaler. Powinienem wiedzieć, że długo nie zniesiesz takiego życia w zamknięciu i samotności, bez własnego kręgu przyjaciół.

- Nigdy nie miałam przyjaciół, stryju - odparła przywołując na twarz blady uśmiech. - Kiedy ojciec wyzdrowieje, będziemy tańczyć od rana do nocy.

W holu zawibrował dźwięk gongu. Major podał Antonii ramię.

- Jesteś podobna do mnie. Lubisz się dobrze bawić. Potrzebujesz towarzystwa. Urządę przyjęcie dla młodzieży. Zobaczysz, że jeszcze przed świętami będziesz miała wielu nowych znajomych.

Zycie towarzyskie majora ograniczało się do rzadkich, hałaśliwych wieczorów w męskim towarzystwie, podczas których grano w pokera i pito whisky. Stuart miał też stałe kółko zaprzyjaźnionych par małżeńskich, z których część była rodzicami chłopców i dziewcząt mniej więcej w wieku Antonii. Heldenstern wypisał osiemnaście zaproszeń na „podwieczorek towarzyski”, a Flaherty, irlandzki stangret majora, doręczył adresatom kremowe koperty z satynowego papieru.

Następnego ranka listonosz przyniósł pół tuzina odmownych odpowiedzi. Pozostałe osoby nie odwołały swego przybycia.

Dzień przyjęcia upłynął Antonii na gorączkowych przygotowaniach. Najpierw przystroiła dom, a następnie zajęła się sobą, żeby wyglądać jak najpiękniej.

O siódmej trzydzieści zeszła na dół. Musiała podłużyć suknię i na materiale widać było lekki ślad po starym szwie,

ale poza tym wyglądała uroczo i świeżo w białej tiulowej kreacji z bufiastymi rękawami. Wokół szczupłej szyi miała sznur drobnych pereł, które odziedziczyła po matce. Gęste czarne włosy związała wielką szkarłatną kokardą, spod której wymykały się niesforne kosmyki. Była zdenerwowana, podniecona i gotowa na przyjęcie gości. Major czekał u stóp schodów. Ucałował końce jej palców.

- Cudowna - oznajmił.

- Jesteś bardzo szarmancki, stryju - odparła. Jej głos drżał z niepewności i nadziei na wspaniały wieczór.

- Zapewniam cię, że wszyscy chłopcy legną u twoich stóp. Przeszli do salonu. Zapach doniczkowych hortensji, które przyniosła tu z cieplarni, nie mógł zagłuszyć lekkiej woni stęchlizny, wydobywającej się z wielkich hiszpańskich gobelinów. Telefon dzwonił bez przerwy. Rozlegały się trzy krótkie brzęczyki i jeden długi, sygnał majora. Słuchawkę podnosiła Ida. Na właściwy sobie szorstki sposób polubiła swoją figlarną pomocnicę, tak inną niż pozostałe kobiety, które gościły w domu Stuarta. Po każdym telefonie wkraczała do salonu i nie patrząc na dziewczynę oznajmiała pracodawcy, że jeszcze jeden zaproszony gość uległ nagłemu atakowi grypy.

Antonia tak mocno zaciskała splecione dłonie w rękawiczkach, że tiulowe bufki na rękawach drżały.

O ósmej trzydzieści odwołał przybycie ostatni gość. Dziewczyna siedziała nieruchomo, jej ciemne oczy błyszczały szkliście, jakby i ona padła ofiarą tej wysoce zaraźliwej choroby. Major nie odważył się na nią spojrzeć. Przeklinał się w duchu za głupotę. Oczywiście, że żaden z jego przyjaciół nie pozwolił swojemu niewinnemu dziecku na przekroczenie tego progu, skoro żadna szanująca się dama z towarzystwa nigdy go nie odwiedziła. Głośno sapiąc wyszedł z salonu i po chwili wrócił z otworzoną butelką Lafitte Rotschild i dwoma kieliszkami w kształcie tulipanów z delikatnego szkła. Napełnił je szampanem.

- Proszę bardzo, moja droga - odezwał się burkliwie. Palce Antonii zacisnęły się kurczowo wokół wąskiej nóżki.

Rozległ się głośny trzask. Obie części kieliszka upadły na parkiet i roztrzaskały się w drobny mak.

- Twoje przepiękne kryształki! - zawołała dziewczyna. - Och, stryju, zniszczyłam cały komplet. Przepraszam. Jestem taka niezdar. Wszystko zepsuję.

Wbiegła na górę.

Ta dziecinnie odważna próba ukrycia rzeczywistej przyczyny zdenerwowania poruszyła w majorze najczulszą strunę. Stał niezdecydowany. Wiedział, że bratanica nie życzyłaby sobie, żeby za nią poszedł, ale tak bardzo chciał to zrobić. Przestał już uważać Antonię za zabawne urozmaicenie swojego życia. W jego stosunku do dziewczyny nie zostało już nic z dawnego beztroskiego rozbawienia. Narodziło się w nim nowe, trudniejsze uczucie, które sprawiło, że czuł się za nią odpowiedzialny i na zawsze z nią związany. Jej cierpienie stawało się jego cierpieniem. Z bezradną miną spoglądał na okruchy szkła w kałuży musującego trunku.

- To dziecko potrzebuje prawdziwego ojca - wymamrotał wreszcie.

VII

Reszta mijającego roku i początek następnego były dość ciepłe, ale na początku marca na całym Środkowym Zachodzie zapanowała mroźna zawierucha. Kiedy wreszcie Detroit wyswobodziło się nieco z zalegających zwałów śniegu, otworzono ślizgawkę w parku na Belle Isle.

Pewnego ranka, gdy Antonia podawała majorowi płaszcz, usłyszała pytanie:

- Umiesz jeździć na łyżwach?

- Tak, i uwielbiam to!

- W takim razie po południu idziemy na ślizgawkę - oświadczył Stuart. - Potrzebuję rozrywki, która podniosłaby mnie na duchu. Mam dzisiaj wyjątkowo nieprzyjemne spotkanie z dłużnikiem. Firma Lewis Emporium z Cleveland zbankrutowała. Paskudna sytuacja. - Major przeklinał w myślach spekulantów z Wall Street, odpowiedzialnych za panikę na giełdzie w dziewięćdziesiątym trzecim roku, która pociągnęła za sobą nie kończący się łańcuch tych przeklętych bankructw. - Ta firma jest mi winna mnóstwo pieniędzy.

Antonia wręczyła mu kapelusz i odezwała się z poważną miną:

- Jeśli będę częściej pomagać przy ojcu, to pielęgniarce zostanie więcej czasu na inne prace. Nie musielibyśmy zatrudniać dodatkowych praczek. - Pan Dalzell, który wymagał opieki jak niemowlę, codziennie potrzebował całych stert czystej pościeli.

Oczy majora zwęziły się. Ostatnio coraz bardziej niechętnie odnosił się do faktu, że Antonia spędza tyle czasu z chorym.

- Wiesz, jakie jest moje zdanie. Chcę, żebyś mniej czasu spędzała w pokoju chorego, a nie odwrotnie. To cię zbyt wiele kosztuje... - Uciszył ją gestem dłoni. - Nie, nie sprzeczasz się ze mną. Wiem, że wychodzisz stamtąd błada i poruszona. W dodatku twoje wysiłki idą na marne. - Znowu podniósł szeroką dłoń. - Pozwól mi skończyć. Biedny Oswald nie jest już sobą. - W głosie Stuarta zabrzmiała braterska troska. - Gdyby był tylko sparaliżowany, z największą rozkoszą spędzałbym z nim wolne popołudnia, byłaby to dla mnie przyjemność. - Rozejrzał się, żeby się upewnić, czy są sami, i dodał cicho: - Obaj specjaliści twierdzą, że gorączka zniszczyła jego umysł.

- Doktor McKenzie mówi, że ojciec wyzdrowieje.

- McKenzie to tylko lekarz domowy, a nie specjalista. Zresztą nawet on powiedział, że taka możliwość jest mało prawdopodobna.

Na twarzy Antonii odmalował się desperacki upór. Dziewczyna nie odezwała się ani słowem.

- W pawilonie przy ślizgawce jest kawiarnia - kusił major. - Czy jest coś przyjemniejszego po wysiłku na lodzie niż filiżanka gorącej czekolady?

Antonia nadal na niego nie patrzyła. Major pocieszał się, że zły humor szybko jej minie. Postawił sobolowy kołnierz, żeby ochronić uszy przed mrozem.

- Flaherty przywiezie cię koło drugiej.

VIII

Antonia nigdy nie była w zakładach Stuarta ani w żadnej innej fabryce. Kiedy rozkołysany powóz wjechał w bramę wjazdową, hałas uderzył ją z niemal fizyczną siłą. Dziewczyna rozglądała się ciekawie.

Robotnicy pakowali wielkie, osłonięte cienkimi pokrowcami meble w olbrzymie skrzynie z nie heblowanych desek i dla lepszej ochrony upychali w nich wiechcie słomy. Przysadzisty człowiek z wywoskowanymi wąsami - był to Trelinack, którego jeszcze nie poznała - stał nad otwartą skrzynią i sprawdzał coś w papierach.

Dostrzegła niewielki budynek ze spadzistym dachem.

Odgadła, że to musi być warsztat Toma. Gdy przejeżdżali obok, przysiadła na kolanach na ławeczce powozu i przyglądała mu się przez małe, tylne okienko. Od czasu wspólnego lunchu nie widziała więcej Toma, ale wspominała go za każdym razem, kiedy patrzyła na zegar w gabinecie czy na jakikolwiek inny. Zazgrzytał hamulec i powóz stanął. Antonia zachwiała się i opadła na skórzane poduszki. Sekretarz stryja wyłonił się z biura i nie założywszy nawet kapelusza pośpieszył, żeby pomóc jej wysiąść. Rozpoznała go, ponieważ niekiedy przynosił do domu ważne papiery.

- Dzień dobry, panno Dalzell - zawołał. Jego kwaśny oddech zamieniał się w obłoki pary i kłębił w zimnym powietrzu. - Major musi wykonać jeszcze kilka telefonów.

- W takim razie nadarza się świetna okazja - krzyknęła. -Panie Heldenstern, proszę oprowadzić mnie po włościach. Ten niewielki budynek...

- Major kazał mi natychmiast przyprowadzić panią do biura.

Właśnie w tej chwili podwójne drzwi do warsztatu rozwarły się i pojawił się Tom. Przeciągał się unosząc i opuszczając ramiona.

- Panie Bridger! - zawołała Antonia, chociaż wiedziała, że jej nie usłyszy. Zamachała mufką, żeby zwrócić jego uwagę.

Heldenstern nerwowo oblizwał wargi.

- Major wyraźnie polecił, że ma pani czekać w moim kantorze, panno Dalzell.

Jednak Antonia już biegła po odśnieżonym dziedzińcu. Sekretarz wyrzucił w górę dłonie i potrząsał nimi bezsilnie, a następnie schował się w biurze.

Zanim spostrzegł dziewczynę, dla orzeźwienia wciągał głębokie, ożywcze hausty świeżego powietrza. Przez ostatnie dwa dni nie wychodził z warsztatu. Hugh przynosił mu jedzenie, które odgrzewał na palenisku i łapczywie pochłaniał. Nie zmrużył oka i choć oprócz tego odpracowywał normalną dwunastogodzinną zmianę, nie czuł zmęczenia. Podniecenie huczało w jego krwi, działając silniej niż narkotyki. Wyjął zegarek. O drugiej pięć po południu, w mroźny, słoneczny dzień, 12 marca 1895 roku T. K. Bridger zakończył budowę swojego pierwszego pojazdu mechanicznego. Na tę myśl Tom odsłonił zęby w uśmiechu.

Wtedy zobaczył Antonię. Jej wąskie stopy obute w czarne błyszczące trzewiki mknęły w jego stronę. Czuł, jak coś zaciska mu się na dnie żołądka. Skóra mu zwilgotniała. Ileż to razy budził się w środku nocy zlany takim samym zimnym potem? Jak mógł tak bezmyślnie się wygadać, że uważają za kochankę majora? Nic dziwnego, że dręczyły go koszmary. Był zadowolony, że od tamtej pory jej nie spotkał, a przynajmniej tak sobie wmawiał. Zauważył, że wstyd w żaden sposób nie umniejsza radości na widok Antonii. Zapamiętał ją jako bardzo wysoką dziewczynę, ale teraz, w otoczeniu krzepkich mężczyzn, wydała mu się delikatna i niska. Kapelusik z białego futra, pod którym ukryła włosy, i dopasowana do niego futrzana mufka nadawały jej zachwycający wygląd romantycznej Rosjanki.

- Dzień dobry, panie Bridger - powitała go, z trudem łapiąc oddech.
 - Panno Dalzell. - Żołądek Toma zachowywał się jak mały psiak, który kuli się ze strachu, a jednocześnie podskakuje z radości. Chłopak uśmiechnął się półgębkiem. - Więc jednak chce pani ze mną rozmawiać?
 - *La Grandę Horizontale* jest bardzo łaskawa.
 - Wtedy coś mnie chyba opętało.
 - Czyżby nie wierzył pan, że mężczyźni zasypują mnie klejnotami?
 - Nigdy nie spotkałem prawdziwej damy...
 - Mam nadzieję!
 - Proszę mi powiedzieć, jak mam panią błagać o wybaczenie.
 - Niech pan powie, że jestem godna swojego tytułu, tego przezwiska, jakim mnie obdarzono, i niech pan o wszystkim zapomni. - Jej żartobliwe docinki brzmiały tak naturalnie, że Tom nieco się uspokoił. - Jak idzie praca nad mechanicznym pojazdem?
 - Jest już gotowy.
 - Chce pan powiedzieć, że już go pan zbudował?
 - Skończyłem kilka minut temu.
 - W takim razie, gdzie jest szampan?
 - Otworzymy butelkę wieczorem, jeśli uda nam się uruchomić pojazd.
 - Czy mogę zobaczyć pana dzieło?
- Otworzył szerzej drzwi, spodziewając się, że tylko zajrzy

do środka. Jednak Antonia wkroczyła do mrocznego pomieszczenia i obeszła dokoła dziwaczną maszynę, która najbardziej przypominała wielką ważkę na kołach.

- Z pewnością nie jest to podobne do bryczki ani karety - stwierdziła. Ściany budynku tłumiły hałas i nie musiała podnosić głosu.

- Nazwałem to urządzenie kwadrycyklem.

Widać było, że delikatna, niewielka konstrukcja jest blisko spokrewniona z rowerem. Koła, wsparte na wysokich na osiemnaście cali klockach, miały pneumatyczne opony i niklowane szprychy. Obite brązową skórą siodełko zamontowano między tylnymi kołami. Łańcuch napędowy pochodził z roweru firmy Pope. Dzwonek, który Tom przymocował przy drążku do kierowania, również był dawniej częścią roweru.

Nie obudowany silnik, stanowiący odwłok konstrukcji „owada”, był czymś zupełnie nowym. Składał się z płataniny rurki, misek olejowych, wypolerowanych mosiężnych cylindrów, zaworów, śrub, sworzników, przekładni, koła zamachowego, okrągłego stalowego gaźnika i lakierowanej skrzynki z wiśniowego drewna, w której mieścił się akumulator.

- Sam pan wszystko zbudował?

Pełen zachwytu podziw Antonii nappełnił go dumą.

- Niektóre części wykonano w warsztatach mechanicznych według moich wskazówek. Musiałem je wszystkie przerabiać. Nie umiem planować na papierze. Pracuję metodą prób i błędów. Paru kolegów pomogło mi zmontować całość. Charlie Bixby, Trelinack...

- Czy pan Trelinack nie jest przypadkiem głównym brygadzystą stryja?

- Tak. To ten, który nadzoruje dziś wysyłkę mebli.

- Brygadzista pracował dla pana?

- Mam zdolność namawiania ludzi, żeby mi pomagali przy budowie maszyn - oznajmił Tom. - Jak pani ocenia mój pojazd?

- Spodziewałam się jakiegoś kotła z przodu.

Tom zbyt często słuchał wywodów o przewadze pary wodnej nad benzyną, żeby nie wziąć uwagi Antonii za krytykę, więc szybko pośpieszył z wyjaśnieniem:

- Silnik parowy jest za ciężki. Poruszający się swobodnie po drogach pojazd musi być lekki. Liczy się przede wszystkim lekkość konstrukcji. Moja maszyna waży niespełna pięćset funtów, a silnik ma moc czterech koni.

- Ale gdzie jest mechanizm, który wszystko to wprawi w ruch?

Uśmiech Toma zajaśniał w mroku. Chłopak wskazał na silnik.

- Tutaj.

Potrząsnęła głową, jakby chciała przeprosić za swoją ignorancję.

- Niewiele wiem o mechanice, prawda?

- Tak samo jak mój brat.

- Jak ma na imię?

- Hugh. Jest sześć lat ode mnie młodszy. - Po krótkim wahaniu dodał: - Ja mam na imię Tom.

- Przedstawił się pan, kiedy ratował mnie przed psem. Nazywam się Antonia.

- Wiem.

- Skąd? Nie przedstawiłam się.

- Po prostu jestem geniuszem - roześmiał się. - Major tak panią nazywał.

Jeszcze raz okrążyła maszynę.

- Nie rozumiem, w jaki sposób silnik porusza ten pojazd.

- Chciałaby pani zobaczyć?

- Jeśli można.

Tom skłonił się wytwornie.

- Do usług panienki.

Chwycił korbę znajdującą się z boku wehikułu i z rozmachem zakręcił. Rozległ się metaliczny zgrzyt. Tors chłopaka skręcał się i napinał. Tom wkładał całą siłę w każdy ruch, ale rezultatem była tylko seria bezsilnych, skrzypliwych stuków. Przecież dziesięć minut temu udało się go uruchomić! Tom przeklinał zdrażliwą maszynę. Mięśnie na ramionach napięły się, a czoło zrosiły krople potu. Nagle rozległ się huk i z silnika wydobył się kłęb dymu. Antonia podskoczyła. Maszyna zaterkotała miarowo, triumfalnie. Ten charakterystyczny dźwięk miał stać się hymnem nadchodzącej epoki. Tom słuchał w skupieniu, uśmiechając się marzycielsko. Ustawiony na klockach kwadrycykl trzął się, jeszcze bardziej przypominając teraz ważkę.

Chłopak przerzucił nogę przez siodełko. Podskakując w takt drżenia maszyny, wskazywał na przekładnie, które przenoszą obroty na łańcuch. Antonia spoglądała na niego zaciskając ręce pod białym futerkiem mufki. Zagryzła pełną dolną wargę i w skupieniu marszczyła pięknie zakreślone brwi.

Wspólnie przeżyta tajemnicza chwila tworzenia złączyła ich bardziej niż słodki, wilgotny, zmysłowy uścisk zroszonych potem ciał. Nie dotykając się połączyli się w akcie równie intymnym jak cielesne zbliżenie. Stali się jednością w akcie obdarowywania ludzkości cennym skarbem - ogniem, poezją, wolnością. Tom czuł rozkoszne dreszcze, płuca głęboko wciągały powietrze. Obraz Antonii stojącej obok dygoczącego kwadrycykla wrył się w komórki pamięci Toma, stał się jego niezniszczalną częścią.

Wyłączył silnik. Maszyna jeszcze przez chwilę drżała i terkotała. Tom spojrzął na dziewczynę.

Mufka zwisała luźno na tasemce. Antonia rozpostarła szeroko ramiona w geście, w którym nie było nic zakłamanego ani teatralnego. Świadczył on tylko o jej zachwycie i podziwieniu. Nie spuściła powiek. Spoglądała prosto na Toma. Oszołomiony spalinami chłopak miał ochotę, nie bacząc na nic, zagubić się w jej wielkich ciemnych oczach, utonąć w nich na zawsze.

Ponad fabryczny hałas i milknące terkotanie kwadrycykla wzbił się nagły dźwięk trąbki powozu. Antonia zamrugła nerwowo. Wyszła bez słowa pożegnania i wymijając robotników pakujących zestawy mebli, podbiegła do majora, który stał w płaszczu z sobolowym kołnierzem obok pary czarnych koni i niecierpliwie tupał nogami.

IX

W powozie Stuart zapalił cygaro. Był wściekły, ale nie bardzo wiedział, jak zareagować, więc zaciskał zęby na hawanie, żeby powstrzymać się przed udzieleniem reprimendy podopiecznej. Postanowił, że musi ukrócić tę znajomość, ale tak, żeby biedne dziecko nie czuło się zbesztane. Spojrzął na bratanicę. W rozmarzeniu spoglądała na konary drzew, przykryte śnieżnymi czapami, podobne teraz do wystrojonych panien młodych. Majorowi nie spodobał się zamyślony wyraz twarzy Antonii. Doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli więcej nie dopuści do jej spotkań z Tomem.

Przejechali most na zachodnim krańcu Belle Isle. Powóz dołączył od szeregu innych ustawionych przed pawilonem o przysypanej śniegiem kopule i wspaniałych półkolistych oknach. Na werandzie starszawa para szatniarzy przywiązała im łyżwy do butów.

Major pierwszy był gotów. Zdjął płaszcz i czekał na Antonię stojąc na nierównym lodzie tuż przy schodkach.

- Majorze Stuart! - zawołał jakiś męski głos. - Majorze! Wysoki młody człowiek długimi ślizgami zbliżał się ku niemu. Zdjął kapelusz przykrywający ryże włosy i uśmiechał się radosnym, szczerym uśmiechem, który tak często się spotyka u nieśmiałych ludzi. Młodzieniec byłby wyjątkowo przystojny, gdyby nie kwadratowe, wystające przednie zęby.

- Witaj, Hutchinson - powiedział wylewnie major. - Co tutaj robisz w godzinach pracy?

- Dzisiaj po południu nie miałem żadnych klientów.

Major znał tego młodego prawnika, ponieważ obaj należeli do Detroit Club. Claude Hutchinson miał dwadzieścia sześć lat, ale wyglądał poważniej. Odziedziczył po rodzicach znaczną fortunę i kiedy poprzedniego roku przeprowadził się z San Francisco do Detroit, miejscowa śmietanka chętnie widziała go w swoich salonach. Jednak on nie przylgnął mocniej do nikogo i pozostawał na obrzeżach rozgrywek towarzyskich.

- A co pana tutaj sprowadza, majorze? - Pogawędki o niczym peszyły Claude'a i zwykle w tego typu rozmowach przybierał sztucznie żartobliwy ton.

- Goszczę u siebie bratanicę i postanowiłem zrobić jej przyjemność - wyjaśnił major.

- A tak, jak widać, łyżwy to doskonały sport dla młodych panien. - Hutchinson spojrzął na dwie rozchichotane małe dziewczynki, które na niepewnych nogach krążyły po lodzie.

- Mój brat niedomaga i dziecku dobrze zrobi, jeśli od czasu do czasu oderwie się od łóżka chorego. O, właśnie idzie. Antonia nie była już zamyślona. Stukała łyżwami po drewnianych stopniach z takim rozmachem, że zaniepokojony major podbiegł, żeby uchronić ją przed upadkiem. Ale dziewczyna odepchnęła się od ostatniego stopnia i wyprostowana, z ramionami odchylonymi do tyłu, pomknęła po lodzie z gracją łabędzia. Dotarła tam, gdzie lód był najgładszy, i nakreśliła doskonałą ósemkę. Spódnica furkotała wokół jej nóg, a jeden czarny kosmyk wyswobodził się spod futrzanego kapelusika i opadł na zaróżowiony od mrozu policzek.

Claude patrzył na nią jak na nieziemską zjawę.

- To doskonała łyżwiarka! I w dodatku urocza młoda dama. Nie podejrzewałem... Przecież mówił pan, majorze, że to jeszcze dziecko. A może mi się zdawało?

- Chodź, przedstawię cię - zaproponował major. Wziął nie opierającego się Claude'a pod ramię i doprowadził go do Antonii. - Moja droga, za tę sztuczkę należy ci się medal. Pozwól, że ci przedstawię mojego dobrego przyjaciela, pana Hutchinsona. Oto moja bratanica, panna Dalzell.

- Miło mi panią poznać.

Mnie również, panie Ilukliinson przywitała go Antonia. Czy to nie cudowny dzień! Roześmiała się i szeleszcząc spódnicą nakreśliła jeszcze jedną ósemkę.

- Hutchinson, musimy ją powstrzymać, bo inaczej z radości uniesie się w powietrze.

Cała trójka, z Antonią w środku, krążyła po zewnętrznym obwodzie lodowiska wraz ze statecznymi starszymi łyżwiarzami, dostosowując tempo do kroku Claude'a.

- Panno Dalzell, jest pani tutaj jedną z najlepszych łyż wiarek.

- Co to znaczy jedną z najlepszych? - zapytał major z szerokim uśmiechem. - Jest najlepsza.

- Prawda, że jestem wspaniała?

Claude w odpowiedzi odsłonił w uśmiechu wystające zęby.

- Prawdziwa królowa lodu - odparł. - Jak długo jest pani w Detroit?

- Od września. A pan jest tubylcem, panie Hutchinson?

- Wywodzi się z dalekiego zachodu - wtrącił major.

- Z San Francisco - wyjaśnił Claude.

- Kalifornia! - zawołała Antonia. - Złoto, maki, pomarańcze i cytryny. *Kennst du das Land, wo die Zitronen blii-hen?*

- Goethe - rozpoznał Claude i dodał: - Cytryny rosną w południowej Kalifornii, a nie w okolicach San Francisco.

- Nie moglibyście przenieść drzew na północ?

- Były takie próby, ale nic z tego nie wyszło.

- No, trudno. Widziałam już dzisiaj cud. Widocznie jeden cud dziennie musi mi wystarczyć... - Jej uśmiech stał się marzycielski. Poruszała się teraz wolniej.

Major mocniej zacisnął dłoń na szczupłym ramieniu bratanicy. Przechylił głowę, tak żeby widzieć Claude'a i rzekł:

- Mają tutaj przyjemną kawiarenkę. Może później do nas dołączysz?
- Z przyjemnością. Panno Dalzell, co to był za cud?
- Pojazd, który porusza się bez konia i bez kotła parowego - odparła.

x

Potem trudno było ustalić, który z pionierów wskoczył na swoją maszynę i terkocząc silnikiem jako pierwszy przejechał się automobilem amerykańskiej produkcji. Pamięć bywa zawodna, do głosu dochodzą nie spełnione ambicje, a i nie wszystkie fakty są ogólnie znane. Każdy z konstruktorów, jak kret ryjący tunel w ciemnościach, dążył do spełnienia swych snów, wyśmiewany przez wątpiących, wtedy gdy najbardziej potrzebował słów otuchy; pracował wyężdżając wszystkie siły, żeby wreszcie chwycić drążek do kierowania i ruszyć przed siebie. Czy to ważne, który z nich był pierwszy? Wszyscy zasłużyli na chwałę, Frank Duryea ze Springfield, Elwood Haynes z Kokomo, Ransom Olds z Lansing, Hiram Percy Maxim (jego ojciec wynalazł pistolet Maxim), Aleksander Winton, Charles King, Henry Ford, Tom Bridger.

Tej nocy o dziesiątej trzydzieści Hugh wjechał rowerem na dziedziniec fabryki Stuarta. Jego anielską twarz wykrzywił chmurny grymas. Tom pożyczył rower marki Pope, żeby brat mógł jechać przed nim i dzwonkiem ostrzegać przechodniów, którzy mimo późnej pory mogli znajdować się na ulicy. Hugh pomyślał rozżalony, że przecież jemu samemu grozi to śmiercią, a brat w ogóle się nim nie przejmuje. Grube chmury przesłaniały księżyc w pełni i stojący otworem warsztat Toma wyglądał w ciemnościach jak jasno oświetlona jaskinia.

- Tom? - zawołał Hugh.

- Jestem gotowy. - Starszy brat wyjął już klocki spod kół. Nasunął głębiej czapkę. - Zaczynamy.

Silnik odmówił posłuszeństwa. Tom kręcił korbą sapiąc z wysiłku, aż w całym warsztacie słychać było jego chrapliwy oddech. Obaj bracia, nękani tak odmiennym lękiem, popatrzyli na siebie bez słowa.

- Może odłożymy to do jutra? - z nadzieją w głosie zaproponował Hugh.

- Nie ma mowy - odparł Tom i podwoił wysiłki. Kiedy wreszcie kwadrycykl zawarczał, wskoczył na siodełko i ujął drążek.

Koła na gumach zaczęły się obracać i pojazd ruszył naprzód. Podskoczył na niskim stopniu i wjechał na bruk.

Tom był całkowicie pochłonięty prowadzeniem i kierowaniem swoją konstrukcją. Była to czynność, której nikt jeszcze przed nim nie próbował i nie zgłębił.

Hugh, chociaż nie współpracował z bratem, był świadkiem powstawania maszyny. Zdał sobie sprawę, że ta chwila jest dla Toma uwieńczeniem wielu nie przespanych nocy, wieloletnich oszczędności na najmniejszych drobiazgach, wyrzeczeń, bolesnych oparzeń, prób i niezliczonych błędów. Kiedy kwadrycykl podskoczył na progu, chłopiec krzyknął:

- Hura! Brawo Tom! Udało ci się!

Pojawił się jeden z nocnych stróżów. Światło jego latarni wydobywało z mroku rozchwiane cienie. Był to stary O'Reardon.

- Matko Boska! - przeżegnał się. - Boże, miej mnie w swojej opiece!

Hugh powtórzył w duchu prośbę staruszka, pedałując zawzięcie przed kwadrycyklem. Wyjechał na Fort Street.

Rozmokły w dzień śnieg znowu zamarzł, tworząc na jezdni oblodzone tafle i niebezpieczne grudy lodu. W tym tygodniu wypadała pełnia księżyca, więc w Detroit nie zapalono latarni, a mała niklowana latarka roweru nie rozpraszała panujących wokół ciemności. Hugh, dzwoniąc jak na pożar, obawiał się jechać zbyt szybko, ale jeszcze bardziej bał się pedałować zbyt wolno, słysząc za sobą warkot i parskanie tej piekielnej maszyny. W głębi duszy był wściekły na Toma, że wyznaczył mu takie samobójcze zadanie. Jednak braterska duma łagodziła złość i strach. Doznał podobnego uniesienia, jak po zwycięskim meczu drużyny baseballowej szkoły Central High. Tak jak wtedy, czuł, że ma udział w zwycięstwie i część chwały spływa na niego. Tom dopiął swego! Chude nogi Hugh pracowały jak tłoki kwadrycykla. Już tak bardzo się nie bał, że pojazd Toma za chwilę rozgniecie go na miazgę. Udało nam się!

Przebyli zaplanowaną trasę i minawszy sześć przecznic wrócili na dziedziniec fabryki. Grupka podnieconych ludzi tłoczyła się w bramie, powstrzymywana przez nocnych stróżów.

Na dziedzińcu czekało kilku mechaników.

- Hej, Tom! Po co marnujesz czas i pieniądze na coś, co koń potrafi robić sto razy lepiej?

- Ciekawe, czy ty potrafiłbyś zbudować taką maszynę! -krzyknął piskliwie Hugh.

Tom śmiał się radośnie.

- Nigdy nie lubiłem patrzeć na końskie zady! Dlatego się tym zająłem.

Zgromadzeni również wybuchnęli śmiechem i pomogli wepchnąć wciąż terkoczący pojazd do warsztatu. Kiedy bracia zostali wreszcie sami, uścisnęli się gorąco.

- Chryste! - odezwał się Tom. - Kto by pomyślał, że wszystko pójdzie tak gładko?

- Tom, będę ci pomagał.

- Przy kwadrycyklu? Ty?

- Zbudujemy ich więcej.

- My?

- Nie bardzo znam się na maszynach, ale z piórem świetnie sobie radzę. Będę prowadził twoją korespondencję i księgi rachunkowe. Potrafię rysować. Łatwo nauczę się kreślarstwa.

- A co ze szkołą? Musisz skończyć Central High.

- Będę pracował po lekcjach. - W jego szczery i poważny ton nagle wplątała się żalonna nuta. Rezygnował z wielkiego marzenia, że kiedyś stanie się znanym, potężnym człowiekiem, i wreszcie uniezależni się od starszego brata.

Policzki Toma zapadły się ze zmęczenia.

- Dobrze, ja się zgadzam.

Tak po prostu przyjął jego ofertę! Hugh zamrugał oczami. Powtarzał sobie, że to lodowaty wiatr, który smagał go w czasie jazdy rowerem wywołał piekące pod powiekami łzy.

XI

Następnego ranka około godziny dziesiątej Tom naprawiał właśnie tokarkę, kiedy rumiany posłaniec przyniósł mu wezwanie do biura.

Major stał przy zakurzonem oknie. Opuścił ramiona i wypiął pierś, jakby przyjmował defiladę. Tonące w pulchnej twarzy oczy spoglądały lodowato.

Tom wciągnął rozgrzane palącym się w piecu węglem, przesycone dymem z cygar powietrze, starając się uciszyć denerwujący lęk.

- Tak majorze?
- Wszyscy w fabryce mówią tylko o twojej maszynie.
- Dziś w nocy ją uruchomiłem.
- Nie widzę, żebyś się z tego cieszył.
- Wczoraj rozpierała mnie duma - odparł Tom. Co się kryje za tym wezwaniem? Do czego ma prowadzić ta rozmowa? - Ale jeszcze nie mam hamulca, a łańcuch transmisyjny klekocze tak, że można ogłuchnąć. Pękła sprężyna od zapłonu. Znalazłem setki drobnych usterek. Naprawy będą mnie kosztowały majątek.
- Moja bratanica to młoda dama z dobrej rodziny - rzekł nagle major.
Twarz Toma zeszywniała, jakby krew zastygła mu w żyłach. Spłoszone myśli rozbiegły się chaotycznie. Antonia? Antonia?
- Jej matka wywodzi się z utytułowanego włoskiego rodu, ze starej, szacownej rodziny. Ojciec pana Dalzella był prawdziwym dżentelmenem. Jej babka ze strony ojca, a moja matka, nosiła panieńskie nazwisko Cabot.
- Co przodkowie panny Dalzell mają wspólnego z moim wehikułem?
- Nie jesteś głupcem, Bridger, więc nie udawaj, że nie rozumiesz, o co chodzi. Potrzebujesz wsparcia.
Zaskoczony Tom mrugnął powiekami.
- Co takiego?
- Ja chętnie za ciebie poręcę.
- Teraz rozumiem. W zamian chce pan obietnicy, że zniknę jej z horyzontu.
Policzki majora zaczerwieniły się pod gęstą brodą.
- Jaki z ciebie cyniczny młody człowiek. Myślisz, że nie zastanawiałem się, czy nie lepiej będzie się ciebie pozbyć? Bardzo długo nad tym myślałem. Miałeś czelność jeść lunch z moją bratanicą! Zwabiłeś ją do warsztatu! Młodą damę, która zna pięć języków i pochodzi z doskonałej rodziny!
- Więc dlaczego mnie pan nie zwolni?
- Właśnie, dlaczego? Jeszcze wczoraj wieczorem, leżąc w łóżku, major rozważał takie rozwiązanie. Ale Bridger był w fabryce niezbędny. Zanim przyjęto go do pracy, co tydzień zdarzało się, że ten czy inny wydział miał wielogodzinne przestoje. Czasami praca zamierała nawet na cały dzień, robotnicy siedzieli beczynn timer, a jakiś niezdara nieudolnie dłubał w popsutej maszynie. Trzeba przyznać, że Bridger to złota rączka.

Major usiadł za biurkiem.

- Nie ma sensu wpadać w złość. Oczywiście nie wykluczam tego, że moja bratanica żywi w stosunku do ciebie przyjazne uczucia. Jest młoda i w Detroit czuje się samotna. Ale ty jesteś od niej starszy. Z pewnością rozumiesz, że tak źle dobrana para przyjaciół nie ma przed sobą żadnej przyszłości. Co ty wiesz o świecie, w którym ona się obraca, o książkach, muzyce, nadzorowaniu służby, o pięknych strojach?

Na policzku Toma nerwowo zadrgał mięsień. Chłopak nie odpowiadał. Major przechylił się do przodu.

- Jak wygląda życie kobiet w twoim świecie? Zmagają się z codziennymi kłopotami. Przemęczone, obarczone dziećmi, starzeją się jeszcze przed trzydziestką.

Tom przymknął na chwilę oczy. Przypomnił sobie matkę, jej przerzedzone włosy upięte w niestaranny węzeł, blade policzki, zapadnięte z powodu braku zębów, które straciła w czasie kolejnych zaniedbywanych ciąż. Cztery razy urodziła martwe dziecko. I ten piskliwy, nerwowy głos... Kiedyś była śliczną, cieszącą się powodzeniem dziewczyną. Major obserwował go. Tęga, ozdobiona sygnetem, piegowata dłoń podała mu kartkę zapisaną maszynowym piśmem.

- Masz - odezwał się cicho. - Przeczytaj.

W zamian za 25% (dwadzieścia pięć procent) wszelkich dochodów z warsztatu Thomasa K. Bridgera, major A.S. Stuart zobowiązuje się poręczać za zaciągane przez niego kredyty.

Tego rodzaju umowy były dość często podpisywane, ale Tom nie zastanawiał się nad finansową stroną zagadnienia.

Przekonywał się, że musi opanować szaleńcze porywy serca, zanim nieopatrznie wyrządzi krzywdę Antonii.

- Zgadzasz się? - zapytał major.

- Gdzie jest pióro?

Kiedy kreślił podpis poczerńiałymi od smarów palcami, major opadł na oparcie fotela i odetchnął z ulgą.

3

I

W słoneczny dzień w maju 1899 roku major siedział po południu w swoim biurze, rozmyślając nad oprawną w czarnej skórze księgą rachunkową. Obok niego stała zniszczona teczka ze świńskiej skóry, ozdobiona złotymi okuciami na rogach.

W ciągu ostatnich czterech lat, od czasu kiedy Tom zbudował swój pierwszy kwadrycykl, Stuart znacznie się zmienił. Choć przybrał na wadze - nawet doskonale skrojony surdut, który miał na sobie, nie był w stanie ukryć wielkiego brzucha - jego twarz stała się szczuplejsza. Policzki nad przystrzyżoną brodą nie były już krągłe. Zwiotczała, pomarszczona skóra układała się w dziwaczne fałdy, jakie niekiedy widuje się na starych figurkach z porcelany. Mimo postarzałej sylwetki i wyrazu zatroskanego skupienia na twarzy wciąż wyglądał na majątnego światowca.

Stuknął wypielegnowanym paznokciem w liczby zapisane czerwonym atramentem. Wydatne, łakome wargi wygięły się w podkówkę. Bał się czekającej go podróży do Nowego Jorku. Miał się tam spotkać ze swoim bankierem i jednocześnie starym przyjacielem, J.P. Morganem, żeby go prosić o pożyczkę. Kredyt był mu absolutnie niezbędny do dalszej działalności.

Załamanie gospodarki, które w czasie ostatniej dekady przetoczyło się jak sztormowa fala przez cały kraj, pochłonięło niezliczone przedsiębiorstwa, podczas gdy wiele innych, między innymi Fabryka Mebli Stuarta, z trudnością utrzymywało się na powierzchni.

Major zwrócił strapiony wzrok na cichy, zalany słońcem dziedziniec. Robotnik ubrany w dziwaczne, szerokie spodnie rozładowywał wóz z drewnem. Tu, gdzie kiedyś zatrudniano trzystu pracowników, teraz znajdowało zajęcie zaledwie

osiemdziesięciu. Większość z nich przybyła niedawno z obcych krajów i zgadzała się pracować za nędzne grosze. Stuart spojrzął na warsztat Toma. Jasne nowe gonty i jaskrawsza farba odróżniały nowe skrzydło, które dobudowano w zeszłym roku, podwajając rozmiary budynku. W otwartych drzwiach stała jedna z maszyn. Ponura twarz majora wyrażała teraz pogardę. Zastanawiał się, dlaczego Bridger nie zbuduje czegoś okazałego i luksusowego, jak Daimler 12, w którym sfotografowano księcia Walii? Curved-Dash Bridger, też coś! Według majora wehikuł przypominał dziecięce sanki ustawione na trumnie na kołach. To prawda, że osiągał dwadzieścia pięć mil na godzinę, ale podczas jedynej przejażdżki, na którą dał się namówić, major tak podskakiwał na siedzeniu obok Toma, że bał się, by jego tęgie ciało nie rozpadło się na kawałki. Taka cena za szybkość? Podczas jazdy Curved-Dash Bridger dwa razy stawał i nie chciał zapalić, dopóki wynalazca nie wczółgał się pod niego i czegoś nie naprawił.

Biorąc pod uwagę fatalny stan gospodarki, kto by przypuszczał, że udało im się sprzedać czterdzieści dwa egzemplarze.

Bridger sprzeciwiał się każdej z tych transakcji. Gdy chodziło o jego pojazdy, działał z takim uporem i energią, jak łośność płynący w górę strumienia na tarło. On dąży do doskonałości, pomyślał zirytowany major. Jakby ta nedorzeczna zabawka miała jakąkolwiek przyszłość. Trzeba wyciągnąć z niej jak największy profit, zanim przeminie moda. Z każdej maszyny mieli niezły zysk, ale Bridger upierał się, żeby marnować pieniądze na udoskonalanie poszczególnych części.

Obrotowe krzesło zazgrzytało, kiedy major odwrócił się do biurka. Wyjął mały klucz z wewnętrznej kieszeni kamizelki, otworzył szufladę, wyciągnął dwie rolki szkiców, z namysłem uderzył nimi w rozwartą dłoń i schował do teczki ze świńskiej skóry. Zamknął ją złotym kluczykiem przyczepionym do tego samego łańcuszka co klucz do szuflady.

Spoglądając ponuro na księgę sięgnął po mosiężny dzwonek. W drzwiach ukazała się głowa Heldensterna.

- Słucham, majorze? Stuart poklepał księgę.
- Doskonała robota - oznajmił.
- Dziękuję panu.
- Wejdz, Heldenstern. Zamknij za sobą drzwi i siadaj.

Oparł się o biurko i mówił dalej stłumionym tonem spiskowca: - Kiedy będę w Nowym Jorku, spotkam się z finansistami. Zawsze twierdzą, że nie należy obciążać czyjejś pamięci zbędnymi liczbami.

Taka sama pełna niedopowiedzeń i aluzji rozmowa odbyła się między nimi w zeszłym roku, kiedy towarzystwo ubezpieczeniowe Lloyda chciało przejrzeć księgi rachunkowe przed odnowieniem ubezpieczenia.

Pomarszczone powieki Heldensterna opadły nerwowo. Major wiedział, że wiecznie płaszczący się przed nim sekretarz kładzie teraz na jednej szali fałszerstwo rachunków, a na drugiej żonę inwalidkę, dwie brzydkie córki, stare panny, zadłużony dom na Bagley Avenue, bezrobocie panujące w Detroit i swoje pięćdziesiąt siedem lat. Po krótkim wahaniu cicho westchnął.

- Może lepiej będzie, jeśli wygładzę niektóre szczegóły?

- O, właśnie - przytaknął major i odwrócił wzrok. Jako dobrze wychowany człowiek nie znosił skrajności, do jakich musiał się posuwać ze względu na desperacką sytuację fabryki. - Wyjeżdżam jutro pociągiem o dziesiątej osiem.

Przynieś mi księgę na dworzec.

II

Antonia odprowadzała wuja do pociągu. Ubrała się na tę okazję w nowy beżowy kostium wiosenny i dopasowany do niego płaszcz z wysoką stójką, obramowany szkarłatnym galonem.

- Czerwień doskonale podkreśla twoją cerę i czarne włosy - powiedział major, rozpierając się wygodnie na poduszkach w powozie i z czułością spoglądając na bratanicę.

Często zdarzało mu się zapominać, że Antonia nie jest jego własną córką. Darzył ją uwielbieniem, cierpiał razem z nią i denerwował się drobnymi przewinieniami podopiecznej. Dzięki niej zapominał o kłopotach. (Nie znaczy to, że Antonia zdawała sobie sprawę z jego problemów finansowych. Stuartowi po prostu nigdy nie przyszło do głowy, że mógłby ograniczyć wydatki na swoje przyjemności, więc dziewczyna nie dostrzegła w kamiennym *chateau* żadnych oznak ubożenia.) Rzecz jasna, wciąż mógł zagłuszyć niepokojące myśli podczas zmysłowych zabaw w łóżku, ponieważ cały czas był jeszcze prawdziwym mężczyzną. Szczerze mó-

więc, jedynym radosnym elementem jego wizyty w Nowym Jorku był fakt, że już wynajął pokoje w luksusowym domu publicznym pani Corbett na Madison Avenue. Jednak tylko za sprawą tej pełnej życia dziewczyny katastrofa finansowa wydawała mu się mniej bolesna.

- Dziękuję za komplement.

- Antonio, jedno mi musisz obiecać.

- Ostatnie życzenie? Stryju, brzmi to tak, jakbyś jechał do Nowego Jorku, żeby stanąć przed plutonem egzekucyjnym.

Major skrzywił się nerwowo.

- Chciałbym, żebyś więcej czasu spędzała z młodym Hutchinsonem.

Od czasu spotkania na ślizgawce prawnik odwiedzał dom majora co najmniej dwa razy w tygodniu, uparcie nie zwracając uwagi ani na to, że Antonia, choć serdeczna, traktowała go jak brata, ani na niewidzialny zaczarowany krąg, który wokół dziewczyny zakreśliła śmietanka towarzyska Detroit. Mimo że za plecami Claude'a major żartował sobie z jego nudnawego charakteru, to zawsze serdecznie witał gościa w swoim zamku. Kawaler z odpowiedniej sfery, przynoszący Antonii kwiaty i przewiązane jedwabną wstążką bombonierki z jej ulubionymi czekoladkami, łagodził nieco poczucie winy dręczące Stuarta z powodu samotności, w jakiej żyła bratanica.

- Jeszcze więcej czasu?

- Wiem, wiem - ze współczuciem odparł major. - Musisz jednak przyznać, że Claude dobrze wypełnia swoje zadanie.

Trzyma cię z dala od pokoju chorego.

Ranek był pogodny, opuszczono dach powozu, a koniom założono żółte siatki, które miały je chronić przed owadami. Antonia mocniej ścisnęła parasolkę i patrzyła na żółte frędzle podskakujące przy końskich uszach.

- Stryju, dobrze wiesz, jak ojciec ostatnio chorował. Doktor McKenzie twierdzi, że grypa może zaatakować płuca, jeśli ojciec nie będzie zażywał ruchu. Muszę wyprowadzać go na spacer.

- To jest zadanie pielęgniarki! - warknął major. Niewzruszone oddanie Antonii dla ojca, tego żywego trupa, budziło jego wściekłość. - Żadną miarą nie mogę zrozumieć, dlaczego taka ładna dziewczyna zaprzęta sobie głowę chorobą. Towarzystwo Hutchinsona wydaje mi się bardziej ekscytujące.

- Nie chciałabym dawać mu żadnych nadziei. To nie byłoby w porządku.

- Nie w porządku? Moja droga, głupstwa opowiadasz. Właśnie po to są młodzi ludzie, żeby rozbudzać ich nadzieje. Przyznaję, że Claude nie jest szczególnie błyskotliwy. Możesz go jednak wykorzystać dla doskonalenia własnego dowcipu. - Naśladując krzywy zgryz młodego prawnika doskonale parodiował jego sztywny ton: - To doskonała okazja, żeby sobie wyostrzyć ząbki.

Antonia nie zdołała stłumić chichotu.

- Stryju, jesteś niemożliwy! Och, dlaczego ten Claude jest taki miły? Dlaczego nie jest po prostu nadęty? Wtedy mogłabym się z niego śmiać.

- I tak się z niego śmiejesz - stwierdził major i również parsknął wesoło. - Interesy zatrzymają mnie w Nowym Jorku trochę dłużej, mam też coś do załatwienia w Waszyngtonie. Prawdopodobnie zabierze mi to kilka tygodni. Zaproś go na lunch albo na herbatę. Nie sprawi ci to przykrości, a ja poczuję się lepiej, wiedząc, że ktoś dotrzymuje ci towarzysztwa.

Pociąg wydał z siebie trzy długie, przesywające gwizdy. Flaherty dopilnował, żeby podróżny kufer majora znalazł się w wagonie bagażowym, a nową, lekko zakurzoną walizkę umieścił w przedziale. Major trzymał w ręku tylko teczkę ze świńskiej skóry. Rozglądał się po zatłoczonym peronie, wypatrując Heldensterna. Nigdzie nie mógł dostrzec sekretarza. Ale przed eleganckim pulmanowskim wagonem pierwszej klasy dostrzegł Bridgera.

Gwałtownie wciągnął powietrze.

Bridger, choć opętany ideą budowy coraz to doskonalszych wehikułów i obdarzony ostrym językiem, był uczciwy. (Major określał to w myślach słowem „czysty“.) Dotrzymał warunków umowy. Nie spotykał się z Antonią. Dziewczyna przestała napomykać o nim w rozmowach. Major ufał Tomowi. Ale teraz, w eleganckim garniturze z serży, lekko opalony i tryskający energią, stanowił wzór młodego, atrakcyjnego człowieka. Wyglądał jak młody lekarz stojący u progu kariery. Major doceniał siłę fizycznej fascynacji.

Zatrzymał się i nakazał bratanicy:

- Nie idź już dalej, moja droga. Wracaj do powozu. Flaherty będzie tam na ciebie czekał. Jednak Bridger już machał słomkowym kapeluszem i śpieszył w ich stronę.

Antonia zachwiała się. Major mocniej chwycił jej drżące ramię.

- Panno Dalzell, co za przyjemność. - Bridger skłonił się szarmancko i zwrócił do majora: - Spotkałem Heldensterna, kiedy wychodził z tym z biura.

Dopiero wtedy major zauważył, że Tom trzyma w rękach czarną księgę rachunkową. Policzki nad brodą pokryły się czerwonymi plamami.

- Nie powinieneś być mieszać się do spraw mojego sekretarza.

- I tak chciałem panu przynieść fotografie. - Bridger miał przy sobie również wypchaną papierową kopertę. - Kiedy usłyszałem, że wybiera się pan na wschód, pomyślałem, że mógłby pan pokazać ludziom naszego Curved-Dasha.

- Nie wybieram się do Nowego Jorku po to, żeby handlować twoimi pojazdami - odparł major. Antonia odsunęła się. Opuściła rzęsy i zacisnęła miękkie, pełne wargi tak mocno, że jej kości policzkowe uwydatniły się. Major, dręczony podwójnym lękiem - o bratanicę i o stan księgi rachunkowej - postanowił jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

- Właściwie, jeśli się nad tym zastanowić, to doskonały pomysł. Mam wielu przyjaciół uprawiających sporty, pokażę im zdjęcia. Antonio, proszę, weź to. - Podał jej teczkę, a sam wyrwał księgę Tomowi. - Moja droga, musimy się śpieszyć.

- Miło było pana spotkać, panie Bridger - odezwała się dziewczyna zadziwiająco normalnym tonem.

Tom odsłonił w uśmiechu białe zęby.

- Pasażerowie do Nowego Jorku i stacji pośrednich! Proszę wsiadać!

- Idziemy, moja droga, idziemy. Bo inaczej spóźnię się na pociąg. - Przycisnął księgę i kopertę do tęgiej piersi i ponaglając bratanicę pośpieszył do pociągu. Pomógł jej wejść po stromych, wąskich stopniach do przedziału, gdzie w spokoju mogli się pożegnać.

III

Stojąc za barierką Tom patrzył, jak Antonia wychodzi z wagonu, staje na palcach przy otwartym oknie i mówi coś do majora. Kiedy koła zaczęły się obracać, przez chwilę biegła za pociągiem.

Chociaż przez ostatnie lata Tom często ją sobie wyobrażał

i marzył o niej, zaskoczyło go, że jej pojawienie się wstrząsnęło nim tak głęboko i przywołało falę czułości, erotycznego podniecenia, jakiejś poetycznej tęsknoty. Przez chwilę miał mgłę przed oczami, a w nogach czuł szczególne drżenie.

Fotografie były tylko pretekstem. Przyszedł tu specjalnie, żeby ją zobaczyć.

Nigdy nie przypuszczał, że umowa, którą zawarł z majorem, dotyczyła bezpośrednio jego osoby. Według niego, jej celem była ochrona Antonii przed biedą. A teraz jemu zaczęło się lepiej powodzić. To prawda, że całą gotówkę wkładał w udoskonalanie Curved-Dasha i daleko mu było do tego, żeby major uznał go za bogacza, ale przecież nie cierpiał niedostatku. W takim razie zakaz spotkań z Antonią przestał go obowiązywać.

Pociąg z hukiem wyjechał z hali dworca.

Tom szedł po peronie mijając rzadniejący tłum dążących w przeciwnym kierunku ludzi. Nie spuszczał wzroku ze szczupłej, wysokiej postaci w beżowym płaszczu z czerwonymi lamówkami.

- Panno Dalzell.

Zatrzymała się nagle, usta jej pobladły.

- Nie chciałem pani przestraszyć.

- Witam jeszcze raz - odparła. Jej głos wydawał się chłodny i obcy.

- Czekałem na panią.

Oparła czubek parasolki na ziemi i przerzucała rzeźbioną rączkę z kości słoniowej z jednej dłoni do drugiej.

- Widzę. - Zarumieniła się, ale w jej głosie nadal czuło się lodowaty powiew.

Z zaciśniętym gardłem Tom tłumaczył sobie w duchu, że przecież minęły już cztery lata, od kiedy wtłoczył uwielbienie dla niej w najgłębszy zakamarek duszy. Czy tych kilka spotkań ma dla niej teraz jakieś znaczenie?

Dlaczego pewne wspomnienia - złodziejka róż, *Grande Horizontale* - miałyby nadal tkwić w jej pamięci? Była piękna, wesoła, dobrze urodzona. Dlaczego miałyby go pamiętać? Z pewnością odwiedza ją wielu wielbicieli. Z rozpaczliwą zazdrością spojrział na jej szczupłe, ruchliwe dłonie. Pod cienką skórą rękawiczek nie dostrzegł wypukłości pierścionka zaręczynowego.

- Wolałaby pani, żebym na panią nie czekał?

- Myślałam... Minęło tyle czasu... Nie sądziłam; że nadal jesteśmy przyjaciółmi...

- Mam nadzieję, że tak jest. - Uśmiechnął się nerwowo. Ona również uśmiechnęła się bez przekonania.

- Mimo mojej złodziejskiej przeszłości?

Poczuł taką ulgę, że od razu przemówił radośniejszym tonem.

- Czy udało się pani zgarnąć jakiś większy łup? Może obrazy? - Nawiązywał do niedawnej kradzieży kilku wielkich malowideł z posiadłości Algerów.

- Ciii. Policja ma wszędzie swoich szpiegów. Roześmiali się oboje. Napięcie zniknęło. Szli w stronę barierki, dopasowując do siebie rytm kroków.

- Dokąd się teraz pani wybiera? - zapytał.

- Do domu.

- Widziała pani kiedyś panoramę z ostatniego piętra City Hall?

Potrząsnęła głową.

- Chciałaby pani ją zobaczyć? Zawahała się.

- Obiecałam ojcu, że wrócę wcześniej na lunch.

- Jest dopiero po dziesiątej. Mamy dużo czasu.

- W takim razie z przyjemnością się tam wybiorę. - Wyszli z budynku dworca w hałas ulicy. - Powiem tylko Flaherty'emu - oznajmiła i lekkim krokiem pomknęła między konnymi pojazdami do powozu majora.

Detroit leży na równinie, więc z wysokiej na sto osiemdziesiąt stóp wieży budynku City Hall mieli wspaniały widok na okolicę. Na horyzoncie majaczyła zielonkawa linia lasów. Farmy wystroiliły się w kolorowe, wiosenne suknie kwitnących drzew owocowych i zieleniejących zbóż. Bliżej miasta wieże kościołów wyłaniały się z płataniny gałęzi o świeżo rozwiniętych liściach. Promy, holowniki, barki i statki płynęły po zalanej słońcem rzece Detroit. Widać było całe miasteczko Windsor, jak również wysepkę Belle Isle, która, jak zauważyła Antonia, miała kształt grotu strzały. Tuż pod nimi tętniło życiem handlowe centrum miasta o zatłoczonych ulicach.

Antonia z entuzjazmem krążyła po tarasie widokowym i zarażony jej radosnym zachwytem Tom też zaczął dostrzegać piękno i różnorodność krajobrazu. W drodze do City Hall zapytała go o warsztat. Powiedział jej, że pracuje z nim teraz Trelinack, Hugh i pięciu mechaników. Jej podziw dodał mu odwagi.

Proszę mi opowiedzieć o swojej rodzinie - poprosił.

O rodzinie?

Znam tylko majora.

- Ojciec... - Z westchnieniem powiodła wzrokiem za gołębiem o połyskujących zielonkawo piórach, który oddzielił się od stada i przysiadł na gzymsie. - Ojciec jest wspaniałym naukowcem, historykiem. Wie wszystko o architekturze gotyku.

- Mówiła pani, że był chory. Czy teraz czuje się lepiej? Znowu westchnęła. Unikała wzroku Toma.

- Stale mu się polepsza.

- Wiem, że matka nie żyje - ciągnął Tom łagodnie. - Pamięta ją pani?

- Nie bardzo. Miała ciepłe, miękkie ramiona i mówiła po włosku. Pochodziła z Rzymu.

A co się dzieje z jej krewnymi?

- Nigdy ich nie poznałam. Ojciec ich nie lubi.

- Dlaczego?

- Może dlatego, że ciągle się między sobą kłócą i wojują, z kim się da, a może to z powodu listów z prośbami o pieniądze, które dostaje raz do roku.

Nie wyglądało to na imponujące koligacje i Tom zastanawiał się, jak zapytać ją o szlachecki tytuł, który jakoby posiadali owi włoscy krewni, kiedy trzasnęły drzwi. Na tarasie pojawił się mężczyzna z małym chłopcem na ramionach.

- Henry! - zawołał Tom.

- Tom Bridger! - ucieszył się nieznajomy. Jego powitalny uśmiech zniekształcały rączki dziecka, które obejmowało mu głowę. Mężczyzna postawił chłopca na ziemi i zdjął melonik, żeby powitać Antonię. Był dobrze zbudowany, średniego wzrostu, ciemne włosy miał starannie rozdzielone przedziałkiem na środku głowy. Najbardziej przykuwały uwagę jego bystro patrzące, niebieskie oczy. Wyglądał jak dobrze prosperujący komiwojażer. - A więc tym się zajmujesz całymi dniami.

- Nie spodziewałem się, że akurat ciebie tu spotkam, i to w godzinach pracy.

- Od miesiący obiecuję Edselowi tę wycieczkę.

- Witaj, Edsel. Panno Dalzell, chciałbym pani przedstawić mojego dobrego przyjaciela, Edsela Forda. Ten starszy jegomość to jego ojciec.

Chłopczyk zdjął czapkę i poważnie wyciągnął rękę. Anto-

nia przykłęka i uścisnęła dłoń dziecka, a potem przywitała się z jego ojcem. Tom podniósł Edsela, żeby malec mógł się przechylić przez parapet.

- Spójrz na te zatłoczone powozami ulice. Widzisz? Tam, obok tego budynku koń się spłoszył, zboczył z drogi i wóz zablokował przejazd. Na dwadzieścia minut zatrzymał cały ruch.

- W przyszłości nie będzie takich problemów - oznajmił Henry Ford.

- Drogi staną się bezpieczniejsze i czystsze - dodał Tom. - Nie spotka się spłoszonych koni ani...

- Tato - przerwał Edsel z posmutniałą buzią. - To nie będzie już nawet jednego konia?

- No, może kilka zostanie - odparł ojciec.

- Nie będzie żadnych koni - stanowczo oświadczył Tom. Zwrócił się do Antonii: - Jeśli jeszcze pani nie odgadła, to powiem, że Henry i ja zajmujemy się tym samym.

- Obaj postawiliśmy sobie za cel, panno Dalzell, żeby ludzie w tym kraju przesiedli się do pojazdów mechanicznych.

- Do automobili - podpowiedział Tom, starannie wymawiając nowe, zapożyczone z francuskiego słowo. - Niedługo na ulicach zobaczy pani automobile Forda i Bridgera.

Spojrzał ponad głowę Edsela prosto w niebieskie oczy Henry'ego Forda. Majowe słońce było zbyt jaskrawe dla takich marzeń, liczne przeszkody i ograniczenia wydawały się w nim wyraźniejsze i trudniejsze do przezwyciężenia. Obaj zamrugali powiekami.

Po kilku minutach rozmowy ojciec i syn rozpoczęli zabawę, polegającą na wymienianiu nazw widocznych z wieży budynków.

Antonia i Tom zostawili ich samych.

Kiedy schodzili na niższe piętro, Tom oznajmił cichym głosem:

- Nie odwiedzałem pani, ponieważ major mi zabronił.

- Ach, tak. - W jej głosie nie było zdziwienia.

- Nazajutrz po tym, jak zademonstrowałem pani kwadrycykl, wezwał mnie do biura i wytknął mi, że nie jestem dostatecznie bogaty. - Zatrzymali się na podeście. Stali tak blisko siebie, że Tom wyczuwał ciepło emanujące z jej ciała. A może tylko tak mu się zdawało. - Z pewnością teraz też nie chce, żebyśmy się widywali. Ale nie on jest najważniej-

szy. To pani ojciec ma więcej do powiedzenia. Chciałbym go poznać.

- Mówiłam już, że jest chory. - Gołębie krążące za zapyłonymi oknami rzucały lotne cienie na jej twarz. - Ale on wszystko o panu wie. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo się interesuje mechanicznymi pojazdami. Zaznacza mi artykuły w gazetach i magazynach, żebym mu czytała o najnowszych wynalazkach. - Mówiła szybko i nerwowo.

Ona kłamie, pomyślał urażony Tom. Ogarnęła go złość. W ustach czuł gorzki posmak.

- W takim razie - odezwał się ostrożnie - będziemy mieli wiele wspólnych tematów.

- Lekarze nie pozwalają nikomu go odwiedzać.

- Żadnych gości?

- Jeszcze nie.

- Rozumiem.

Drobne mięśnie na policzkach dziewczyny drgały. Miotana jakimiś niejasnymi uczuciami, starała się zachować panowanie nad sobą. Ale czy to nie przez jej kłamstwo nagle powstała między nimi przepaść? Tom patrzył w milczeniu na tańczące w powietrzu obłoki kurzu.

- W czwartki odwiedzam sklep J.L. Hudsona. Czy pan uwierzy? O drugiej trzydzieści zawsze jestem przy stoisku z pasmanterią.

Ukradkowe spotkania, pomyślał Tom. Czy mam ochotę na takie gry?

- W czwartki - powtórzyła z żalną miną.

- W czwartki? - upewnił się.

Skinęła głową i uśmiechnęła się smutnym, pełnym nadziei uśmiechem. Po długim milczeniu Tom odezwał się:

- Przypadkiem tego dnia również kupuję tam wstążki. - Wziął ją pod ramię.

Schodzili po kamiennych stopniach, przyśpieszając na każdym zakręcie. Śmiejąc się bez tchu wypadli na ulicę.

IV

Pewnej niedzieli po południu Antonia wprowadziła Claude'a do wysokiego salonu, który nieuchronnie przypominał jej o tamtym nieszczęsnym podwieczorku towarzyskim. Rzadko tutaj zaglądała. A jednak bez uprzedniego zastano-

wienia, jakby podświadomie chcąc się ukarać za to, co za chwilę zrobi, wybrała ten niemiły jej pokój na miejsce rozmowy. Położyła na okrągłym stole pudełko karmelków, które przed chwilą podarował jej Claude, i zwróciła się do gościa. Jej twarz była blada jak ściana.

- Claude... - Urwała i zaraz wyrzuciła z siebie bez wstępu: - Nie możesz tu przychodzić, chyba że chcesz odwiedzać stryja.

- Ale przecież tak lubisz słodczy. Obiecałem mu, że podczas jego nieobecności będę cię nimi dokarmiał.

- Nie - odparła bawiąc się bibelotami stojącymi obok na etażerce.

- Chyba nie wyrzekłaś się karmelków?

- Wydaje mi się, że nie powinnam pozwalać ci na dalsze wizyty, chyba że będziesz przychodził, żeby spotkać się ze stryjem.

- Nie rozumiem.

Aniołek z miśnieńskiej porcelany niemal się przewrócił. Antonia ze zduszonym krzykiem chwyciła go w ostatniej chwili.

- Nie odwiedzaj mnie więcej, Claude.

Młody człowiek usiadł na kanapce i schował głowę w ramionach. Nie był tęgi, ale w jego ruchach dostrzegało się niezdarność charakterystyczną dla grubasów.

Chociaż Antonia przewidywała, że to będzie trudna chwila, nie podejrzewała, jak głębokie jest uczucie Claude'a.

Kiedy zobaczyła, jak bardzo mu na niej zależy, poczuła drżenie na całym ciele.

- Tak mi przykro - wyszeptała.

- Nigdy nie rozbudzałaś moich nadziei - odparł.

- Claude... - Po jej twarzy można było poznać, że z trudem powstrzymuje łzy współczucia.

- Myślałem, że to z powodu twojego młodego wieku. - Wbił wzrok w kolana. - Dlatego też jeszcze się nie oświadczyłem.

- W moim życiu jest ktoś inny. Znamy się od bardzo dawna.

- Jak długo?

- Spotkaliśmy się w pierwszym tygodniu mojego pobytu Detroit.

- No, no, co za nowina - wymamrotał. Słowa te, wypowiedziane z niezręczną żartobliwością, zabrzmiały niemal scenicznie.

Zapadła długa cisza. Claude nie podnosił głowy.

- Jesteś taki miły... Czuję się okropnie z powodu tego, co się stało. - Głos jej drżał. - Nie powinnam była pozwolić stryjowi, żeby tak często cię zapraszał. To wszystko moja wina.

- A więc to już koniec - odparł tym samym sztucznie wesołym tonem i z wysiłkiem wstał z miejsca. Popatrzył na pudełko karmelków, jakby nie wiedział, co to jest; niezdecydowanie wyciągnął po nie rękę, ale zaraz opuścił ją ciężko i zostawił słodycze na stole.

Zgarbiony, wyszedł niezgrabnym krokiem z salonu. Podążyła za nim.

Kiedy drzwi się za nim zatrzasnęły, opadła na twarde, niewygodne krzesło w holu i ukryła twarz w dłoniach. Antonia nie potrafiła patrzeć na ból i upokorzenie Claude'a i nie czuć tego samego cierpienia, co jej nieszczęsny wielbiciel.

v

Belle Isle, największy park w mieście, chlubił się nie tylko pawilonem ze ślizgawką, ale również krytym gontem budynkiem Klubu Wioślarskiego (najstarszego w kraju), kortem tenisowym, boiskiem do baseballu i zagajnikiem z jeleniami. Jednak Tom i Antonia nie dali się skusić takim atrakcjom. Wędrowali rzadko uczęszczanymi ścieżkami po osuszonych bagnach. Kiedy okrążali jezioro, słońce przeświecało przez liście dębów i klonów, kładąc na głowach spacerujących jasne błyski. Zatrzymali się przy ławce. Tom wyjął chusteczkę i oczyścił miejsce dla Antonii. Lilie wodne unosiły się na powierzchni i czasami rozlegał się plusk wywołany przez jakąś niewidoczną żabę.

- Jak pięknie - wyszeptała.

- Spokojnie - zgodził się Tom. Spletli palce w sekretnym, drżącym uścisku.

- W Bois de Boulogne jest podobny staw z liliami...

- Gdzie?

- W Paryżu.

Obserwowali wiewiórkę, która z ogonem uniesionym na kształt znaku zapytania skakała po ścieżce. Nagle jednocześnie spojrzeli na siebie. Tom miał wrażenie, że cały ten zielony świat i spokojna woda zbliża się do niego i natychmiast oddala, przyprawiając o zawrót głowy i sprawiając, że

młot, który wali mu w piersiach, uderza jeszcze silniej. Nachylił się i lekko, czule pocałował ją w usta.

- Te cztery lata były dla mnie bardzo trudne, prawie niemożliwe do wytrzymania - wyszeptał jej do ucha.

- Tom...

- Obiecałem twojemu stryjowi, że będę się trzymał z dala od ciebie, dopóki nie stanę na nogi. - Kiedy jej to powiedział, skruszyła się jakaś twarda skała, która przygniatała mu duszę.

- Sądziłam... Byłam za głupia, żeby się domyślić. Antonia wierzyła, że on jest mądry! Czy ją też dręczyły takie same lęki, jak jego? Jak to możliwe? Otoczył ją ramieniem.

- Jesteś piękna, cudowna, o wiele, wiele lepsza ode mnie. - Dotknął ciepłego, miękkiego płatka jej ucha. - Chcesz usłyszeć o naszej umowie?

- Nie.

- Jesteś pewna?

- Tom...

- Słucham?

- Po prostu lubię wymawiać twoje imię.

- Antonia. - Obwiodł palcem jedwabistą skórę na jej wargach. I znowu mu się wydało, że opadające gałęzie i lilie wodne zbliżyły się do niego i oddaliły, przyprawiając o utratę tchu.

Jakiś chłopiec toczył obręcz po ścieżce, więc rozdzielili się, wstali i ruszyli dalej w głąb spokojnego parku.

Mówili niewiele, ale mocno trzymali się za ręce, a kontury przedmiotów rozmywały się wokół nich jak obraz namalowany akwarelą. Szczęście Toma mąciła świadomość ulotności chwili. Antonia poddała się całkowicie poczuciu zmysłowej radości.

VI

Major przybył do Nowego Jorku w bardzo nieodpowiednim czasie.

Andrew Carnegie zaczął już gromadzić w swoich rękach cały przemysł stalowy, a główna podpora finansowa Stuarta, J.P. Morgan, został bankierem tego hutniczego magnata. W dniu przyjazdu majora J.P. został odwołany do Pittsburga. Podczas jego nieobecności major wypytywał innych bankie-

rów o możliwość pożyczki dla największej fabryki mebli w Michigan, położonej w znakomitym miejscu na nabrzeżu rzeki Detroit, ubezpieczonej przez firmę Lloyd'a z Londynu na dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Nie miał nawet okazji pokazać księgi rachunkowej, tak starannie opracowanej przez Heldensterna. Niektórzy z bankierów zachowywali się uprzejmie, inni byli opryskliwi. Wszyscy odpowiadali mu, że kredyt nie wchodzi w grę, jeśli zabezpieczeniem jego spłaty ma być fabryka mebli.

Major miał wrażenie, że to wszystko jest jakimś straszliwym koszmarem sennym. Stale powtarzał sobie w duchu, że J.P. to jego dobry przyjaciel, z którym przeżyli wspaniałe, męskie przygody na jachcie bankiera, Korsarzu III, i że taki człowiek go nie zawiedzie. Żeby uciec przed osaczającym go zewsząd ponurym zwątpieniem, major spędzał jak najwięcej czasu w towarzystwie jednej z protegowanych pani Corbett, wysokiej, szczupłej brunetki z Południa o niewyczerpanych talentach seksualnych. Miała niezwykle upodobania.

W poniedziałek, po dwóch tygodniach nieobecności Morgana, major wszedł do zatłoczonego rannego pociągu do Waszyngtonu. Postanowił odwiedzić swojego rzecznika od spraw patentowych, Mitchella Polhemusa.

Znalazłszy się w eleganckim biurze, otworzył teczkę ze świńskiej skóry i wyjął dwie rolki szkiców.

- Następne? - zdziwił się prawnik. Był garbaty i nosił obszerny surdut, uszyty według mody, która przeminęła już trzydzieści lat temu. - Czy te plany również dotyczą pojazdów mechanicznych?

- Tak. Udoskonalony gaźnik i system chłodzenia.

- Majorze Stuart, czy pan naprawdę wierzy, że ta maszyna stanie się kiedyś popularna? - Mitchell Polhemus był uczciwym prawnikiem. Traktował swój zawód poważnie. Często grał wobec swych klientów rolę adwokata diabła, zanim pozwolił, żeby nowe projekty spoczęły na jego biurku.

- Popularna? Nigdy, panie Polhemus, nigdy. Jednak w Europie sporo ich już zbudowano, a w tym roku w Ameryce sprzedano już tysiąc sztuk.

- Tak dużo. Nigdy bym się nie spodziewał.

- To są dane z „Miesięcznika Automobilisty”, więc z pewnością nieco przesadzone. Proszę jednak nie zapominać

o Newport. Pani Belmont urzęduje tam wyścigi na terenie swojej posiadłości. Jej przyjaciele przystrajają automobile kwiatami. Vanderbiltowie, Stuyvesant Fishowie, Whitneyowie.

- Zabawki dla nielicznych nie przyniosą dochodu wystarczającego na zapłacenie sum należnych mi za rejestrację.

- Inni bogaci ludzie z całego kraju będą ich naśladować -odparł major.

Mitchell Polhemus z powagą skinął głową. Dopełnił swojego obowiązku. Czas przejść do interesów.

- Czy chciałby pan, żebym podjął działania w sprawie projektów, które złożył pan uprzednio? Jak już mówiłem, patent jest ważny siedemnaście lat od chwili rejestracji.

Stuart w zadumie pogładził brodę.

- Czy korzystniej będzie zaczekać i sprawdzić, jak wzrasta zainteresowanie? A może w tysiąc dziewięćset szesnastym roku ta nowinka dawno już zostanie zapomniana? -Zmarszczył brew i utkwiał wzrok w blacie biurka. - Co roku powstają nowe warsztaty.

- Postąpię według pańskich życzeń.

- Odłożmy rejestrację - zdecydował Stuart.

Mitchell Polhemus zgarnął rolki szeleszczącego papieru długimi palcami garbusa.

- Czy te projekty, tak samo jak pozostałe, mają być zapisane na pana nazwisko?

- Tak, wyłącznie na moje nazwisko - przytaknął bez wahania major. - Jak już mówiłem, sam wynalazca, mój młody mechanik, jest doskonałym projektantem, ale nie ma pojęcia, jak się prowadzi prawdziwe interesy. Nie uznaje patentów.

- Coś takiego!

- Niech pan sobie wyobrazi, że on twierdzi, jakoby urząd patentowy istniał tylko po to, żeby hamować wynalazczość. Działam bez jego wiedzy, bo chcę nas obu zabezpieczyć.

- Ma szczęście, że trafił mu się taki opiekun jak pan -odparł prawnik i wstał, żeby schować projekty do głębokiej szafy. - Młodzi bywają czasami niebezpieczni.

- Tak, przez swoją głupotę i ideały oderwane od rzeczywistości - zgodził się major.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

Biuro znajdowało się przy Pennsylvania Avenue. Kiedy major wyszedł na zatłoczoną główną arterię stolicy kraju,

nie oglądał się za ładnymi kobietami w powiewnych letnich sukienkach ani nie zauważał śpieszących gdzieś, zaaferowanych własnymi sprawami urzędników rządowych, wypielegnowanych koni i eleganckich powozów. Na myśl, że J.P. może nie pośpieszyć mu z pomocą, jego żołądek kurczył się ze strachu. Tęsknił za radosnym towarzystwem Antonii, ale w obliczu kłopotów finansowych musiał zapomnieć o sprawach osobistych. Oczami wyobraźni ujrzął odbity w lustrze obraz klęczącej nad nim kosztownej prostytutki z Południa, której lśniące czarne włosy spływały na jego grube, nagie uda. Wspomnienie to nie dało mu ukojenia, tylko rozgrzało do czerwoności cielesne żądze.

Z westchnieniem podniósł rękę, żeby przywołać dorożkarza. Zamyślony pojechał na dworzec, gdzie wsiadł do najbliższego pociągu do Nowego Jorku.

I

Tom ugryził kęs jajka na twardo i spojrzał na pięć automobili w różnych stadiach produkcji, od nagiego szkieletu karoserii, do wykończonego, lśniącego żółtą farbą pojazdu. Na jego twarzy malowała się duma i zatroskanie. Widział przed sobą Curved-Dashe, ale czy na pewno mógł je nazwać pojazdami Bridgera? Nie miał wystarczających funduszy na zakup maszyn, więc musiał sprowadzać silniki od Lelanda, drewnianą obudowę od B.F. Everitta i tak dalej. Każdą część trzeba było wypróbować i dostosować do własnych potrzeb. Nawet po tych zabiegach nie był całkiem pewny jej jakości. Przełykając kęsy jajka myślał, że wiele by dał za to, żeby mieć pełną kontrolę nad produkcją.

W przerwie na lunch towarzyszyli mu Hugh i Trelinack. Przez otwarte okna warsztatu dobiegały rozleniwione głosy jego pracowników, jedzących posiłek w cieniu przed budynkiem.

Trelinack wychylił kufel piwa. Przejechał kciukiem i palcem wskazującym po nawoskowanych wąsach i oświadczył:

- Mamy dziś znowu czwartek. - Mrugnął znacząco do Hugh.

Hugh przechylił się z krzesłem do tyłu, unosząc przy tym przednie nogi deski kreślarskiej.

- Tak, czwartek.

- Mniej więcej za godzinę nasz Tom gdzieś zniknie -mówił dalej Trelinack.

- Wyruszy na tajemniczą czwartkową wyprawę - dodał Hugh.

- Taki jest wystrojony, że przypomina mi dni, kiedy ja sam ruszałem w konkury.

Szyja Toma zaczerwieniła się groźnie.

- Do diabła z waszą gadaniną!

- Ach, więc nas słyszałeś - odrzekł były brygadzysta. - Myślałem już, że nagle straciłeś słuch, tak samo, jak nagle udaje ci się stawać niewidzialnym. A może tak się dzieje tylko w towarzystwie pewnej czarnulki?

Hugh spoglądał to na Trelinacka, to na brata. Nogi deski kreślarskiej z hałasem opadły na ziemię. Sam lubił dokuczać Tomowi w żartach, ale takie otwarcie złośliwe przytyki, które mogły wzbudzić gniew brata, napępiały go strachem.

W wieku siedemnastu lat Hugh przerósł brata o pełny cal. Nadal był chudy jak patyk, co w połączeniu z wysokim wzrostem nadawało mu wygląd dyrektora szkoły tańca. Perłowoszary garnitur z alpaki leżał na nim jak rękawiczka. Do pracy chłopak zawsze ubierał się modnie, twierdząc, że elegancki strój robi dobre wrażenie na potencjalnych klientach i pomaga zwabić ich do warsztatu. Chociaż jego twarz nie była już po dzieciennemu okrągła, zachowała jasną niewinność. Za słodkim, anielskim wyglądem kryła się przebiegłość finansisty, podczas gdy to właśnie Tom, który był o wiele bardziej prostolinijny, robił wrażenie twardego przeciwnika w interesach. (Obaj bracia mieli jeszcze inne cechy, które mogły zmylić obserwatora. Tom stale odczuwał zmysłowe pożądanie, ale wrodzona łagodność i z gruntu przyzwoity charakter nie pozwoliłyby mu na zaciągnięcie do łóżka dziewczicy czy jakiegokolwiek innej kobiety, oprócz tych, którym za to płacił. Hugh nie odczuwał wielkich potrzeb seksualnych, ale z próżności spróbował szczęścia z dwiema najładniejszymi dziewczętami z Central High i mu się powiodło. Miał opinię podrywacza.)

- Przecież wiesz, jak tej pannie na imię - powiedział chłodno Tom.

- W zeszły czwartek moja córka, Maud, kupowała jakieś wstążki do swojej krawieckiej roboty. Widziała ciebie i pannę Dalzell, jak wychodziliście ze sklepu Hudsona.

- No i co z tego?

- A co będzie, jeśli major po powrocie do Detroit rozwali ci głowę?

Toma wciąż paliła twarz.

- To nie jest interes majora, tylko jej ojca.

- To ona ma ojca? Widziałeś go? Nie. Tego się spodziewałem. Może ta postać istnieje tylko w jej opowieściach?

- Trelinack nigdy się nie przyzwyczaił do tego, że dawny mechanik jest jego przełożonym. Nadal zwracał się do Toma

równie szorstko i rubasznie jak do każdego, kto pracował pod jego kierownictwem. - Mówisz, że to nie jest interes majora, a ja twierdzę, że wręcz przeciwnie. Major ma w tym swój wielki interes, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

- Przestań wygadywać świństwa! - krzyknął Hugh i chwycił brata za ramię. Poczuł, że jego mięśnie stwardniały jak stal. - Nie denerwuj się.

Tom strząsnął dłoń Hugh.

- Nie, Trelinack, nie wiem, o co ci chodzi. Wytłumacz mi.

- Moja pani i dziewczęta stale o tym mówią. Pytają mnie, dlaczego nie widzą jej imienia obok imienia majora na łamach kolumny towarzyskiej? Nie wiem, co odpowiedzieć. Przecież lo moja żona i córki. Jak mam im wytłumaczyć, dlaczego nie zapraszają jej do przyzwoitych domów? Nie mogę im powiedzieć, że miejscowe dziwki nie są dla majora wystarczająco dobre. Musi sobie sprowadzać różne ślicznotki i nazywać je kuzynkami.

- Ona jest jego bratanicą! - wrzasnął Hugh.

- Wyjdź na zewnątrz - wyszeptał Tom.

Trelinack nadal siedział okrakiem na krześle. Podwinięte rękawy koszuli odsłaniały potężne ramiona, pokryte rudawymi, kręconymi włosami. Brygadzysta był doświadczonym bokserem.

- Nie, Tom, nie będę się z tobą bił z takiego powodu. Nie chcę ci zrobić krzywdy. Jesteś moim przyjacielem. Chciałem ci tylko otworzyć oczy.

- Wyjdź na zewnątrz, ty zasrany sukinsynu!

Trelinack stęknął głucho i pośpieszył na dziedziniec.

Pracownicy warsztatu rozmawiali podnieceni. Razem z robotnikami Stuarta, którzy również mieli przerwę na lunch, utworzyli krąg wokół obu mężczyzn. Słońce mocno prażyło. Ludzie wycierali spocone czoła. Wyciągali pieniądze i w różnych językach zakładali się, kto wygra. Przeciwnicy zbliżyli się do siebie.

Trelinack był o trzydzieści funtów cięższy od Toma, i te trzydzieści funtów stanowiły mięśnie. Przukucnął i delikatnie przesuwając stopy po ziemi wyciągnął przed siebie ramiona, jakby obejmował wielki balon. Oceniając odległość, zamarkował cios prawą ręką, a potem wczekawszy odpowiedni moment wyrzucił lewą pięść, która wylądowała prosto na nosie rywala.

Tom usłyszał chrzęst, oczy napełniły mu się łzami, ale

wściekłość, która rozpalala go do białości, zadziałała jak środek znieczulający. Trelinack zarzucił mu na kark ramiona i mocno zacisnął. Zwarli się w klinczu. Ciężko dysząc, Tom wyrwał się z uścisku. Natężając wszystkie siły, okładał pięściami duży, twardy brzuch Trelinacka. Skóra na kostkach rąk zaczęła pękać.

Pod brygadzystą ugięły się nogi. Poślizgnął się na rozlanym oleju. Wymachując ramionami, z zaskoczenia rozwarłszy usta w duże „o”, wolno upadł na plecy, opierając się na łokciach. Tom stał nad nim i ciężko dyszał.

Hugh pociągnął brata za rękę.

- Wystarczy! To nie ma sensu! Koniec. Proszę. Czuję, że zaraz będę miał atak.

- Bijcie się! Bijcie się! - skandował zgromadzony tłumek. Oszołomiony Trelinack podniósł wzrok.

- Kto by pomyślał? - wymamrotał. - Powaliłeś mnie na ziemię prawie bez walki. To pewnie przez to ostatnie piwo.

- Bijcie się!

Tom dotknął nasady nosa. Wściekłość już go opuściła. To, że pobił Trelinacka, swojego przyjaciela, nappełniło go obrzydzeniem. Wyciągnął rękę.

- Proszę.

Tłum jęknął zawiedziony.

- Nie powinienem pić w robocie, bez względu na upał -stwierdził były brygadzysta. Objął Toma ciężkim ramieniem i ruszyli do warsztatu. - Więc ta panna Dalzell to naprawdę jego bratanica?

Tom zwinął chustkę i przyłożył ją do nosa, żeby zatamować krew.

Hugh zamknął za nimi drzwi i odpowiedział na pytanie Trelinacka.

- Przyrodni brat majora mieszka w *chateau*. Jest chory. Antonia to jego córka.

- No cóż, w każdym razie, Tom, możesz teraz obwieścić całemu światu, że znokautowałeś Johna Trelinacka.

Przepraszam za niewyparzoną gębę.

Tom również chciał przeprosić, ale nie zdołał wydusić słowa, więc tylko krzywiąc się mocniej przycisnął chusteczkę. Znów Hugh przemówił zamiast niego.

- Znasz Toma i ten jego wybuchowy charakter.

- Tak, to jego najgorszy wróg. - Trelinack odwinął z gazety duże kawałki wypieczonego na złoty kolor mięsa w cie-

ście i wręczył porcję każdemu z braci. Rozszedł się zapach ziemniaków i jagnięciny. - Nie powinienem powtarzać głupich plotek. Ale spacer po odludnych miejscach nie służy dobrze reputacji młodej damy.

Antonio, automobil jest gotowy do ostatecznej próby. Chciałabyś się dziś wybrać na przejażdżkę? Wychodzili z działu pasmanteryjnego w sklepie Hudsona.

- Tom, twój nos... Co się stało?

Więc nareszcie zauważyła biały plaster.

- Nic takiego. Najwyżej jutro będę miał sine oko. To nic. Antonio, chcesz, żebym dziś był twoim szoferem? - Francuzi określali słowem *chauffeur* każdego, kto kierował automobilem.

- Właśnie taką propozycję chciałam usłyszeć. Czy jej entuzjazm był wymuszony?

- Major się o tym dowie, kiedy wróci do miasta.

- Sama mu powiem.

- Ojciec też o tym usłyszy.

- I to dziś wieczorem. Ode mnie - rzekła. - Panna Dalzell z radością przyjmuje uprzejme zaproszenie pana Bridgera. Jej wesołość była niewątpliwie sztuczna.

Na Gratiot, przed ceglany budynek sklepu ożywiona grupka ludzi tłoczyła się wokół złotego Curved-Dash Bridgera. Jeszcze więcej gapiów się zbiegło, kiedy Tom owijał długi szal wokół słomkowego marynarskiego kapelusza Antonii. Podczas gdy sprawdzał skrzynię biegów i smarownice, mężczyźni jak zwykle zadawali mu pytania, w których dał się słyszeć podziw zmieszany z drwiną. Kiedy ruszyli, mali chłopcy rzucali za nimi kamykami.

Tom skierował się na Grosse Pointę, gdzie przyjaciele majora spędzali letnie miesiące w domkach na brzegu jeziora St Clair. O tej porze na ulicach nie było tłoczno, ale Tom zwalniał, gdy tylko dostrzegł zbliżającego się konia - zawsze istniało niebezpieczeństwo, że zwierzę się spłoszy i spowoduje wypadek. Antonia mocno zaciskała w dłoniach małą, haftowaną torebkę i nic nie mówiła. Tom był wprawdzie zajęty prowadzeniem auta, ale doskonale wyczuwał w jej milczeniu jakąś sztuczność. Na Belle Isle długa cisza, jaka między nimi zapadała, była przesycona romantyczną

tęsknotą, przeplatana spojrzeniami i dotykiem. Ta cisza rozdzielała ich jak przepaść. W Tomie narastał lęk. Wyjechali poza granice miasta. Automobil podskakiwał na wąskiej drodze z głębokimi koleinami. Poprzedniej nocy spadł krótki deszcz, nie na tyle duży, żeby zamienić pył w błoto, które utrudniałoby im jazdę, ale wystarczająco zwilżył ziemię i teraz koła pojazdu nie wzbijały w powietrze tumanów duszącego kurzu. Po obu stronach drogi grube liany bluszczu oplatały drzewa. Otaczały ich bujne krzewy jeżyn i dzikiego bzu, jakby jechali przez dziką, nie zbadaną krainę. Tom czułby się szczęśliwy, gdyby nie milczenie towarzyszki.

- To takie dziwne. Poruszamy się bez konia, a tak szybko

- odezwała się w końcu. - Czuję zapach drzew, krzewów i kwiatów.

- Ja nie czuję nic oprócz benzyny - odparł krótko. Jego ukryte pod goglami oczy rozświetlała dziwna jasność. Pragnął ją zmusić, żeby mu wyjawiała, co jest między nimi nie tak. Według niego miało to związek z tym, że nie chciała mu pozwolić na spotkanie ze swoim ojcem. Uważa, że nie jestem wystarczająco dobry, pomyślał. Powinienem się z tym pogodzić. Nie zniosę dalszych wykrętów i kłamstw.

Zdjął nogę z pedału, przesunął dźwignię zmiany biegów i z całej siły pociągnął za hamulec. Przekładnie zazgrzytały ogłuszająco. Szarpnąwszy kilka razy, automobil zatrzymał się przy łanie dzikiej pszenicy.

- Muszę sprawdzić gaźnik, więc przy okazji możemy się tu trochę rozejrzeć. O ile pamiętam, zza tych drzew roztacza się piękny widok na rzekę.

- Dojdziemy tam tą ścieżką?

- Biegnie we właściwym kierunku. - W ustach czuł suchość.

Nie zdjęła płaszcza, który podczas jazdy chronił ją przed kurzem, ponieważ wąska ścieżka biegła zakosami przez kolczaste krzewy jeżyn. Nagle dróżka rozszerzyła się w niewielką polanę. Zatrzymali się pod wiekowym jaworem, którego gałęzie splatały się wysoko ponad ich głowami. Gęste listowie zatrzymało deszcz i powietrze tutaj było wilgotne, ciepłe i nieruchome jak w szklarni.

- Nie ma chyba przepisu mówiącego, że musimy się spotykać w czwartkowe popołudnia? - odezwał się Tom.

- Nie masz na to ochoty? Myślałam, że tak, ale to przez...

- Zamilkła.

- Przez co?

- Dlaczego jesteś zły?

- Ja? A ty? - Jego głos zadudnił groźnie. - Myślami byłaś tysiąc mil stąd.

Usta Antonii rozchyliły się bezgłośnie. Dziewczyna odwróciła się twarzą do porośniętego mchem pnia. Ku przerażeniu Toma, jej ciałem niespodziewanie zaczęło wstrząsać spazmatyczne łkanie. Poczul się jak ostatni łobuz.

Bezradnie i czule pogłaskał ją po ramieniu.

- Przepraszam cię. Błagam, nie płacz. Nie chciałem na ciebie krzyczeć. Coś mi odbiło i tyle. Tak wiele dla mnie znaczysz. Ze szlochaniem chwytając powietrze Antonia opanowała płacz i wydmuchnęła nos.

- Chodzi o ojca - wyjaśniła.

- Dowiedział się o nas?

- Od początku o wszystkim wie.

- Zabronił ci się ze mną spotykać? - Dłoń Toma błędziła po jej ramieniu.

- Nie.

- Co mówi o naszej znajomości?

- Nic.

- Więc o co chodzi?

- Jest przeziębiony.

- Przeziębiony? - zdziwił się Tom. - I to wszystko?

- To trwa już prawie od dwóch miesięcy, a w jego stanie...

- Przeszło w coś gorszego?

- Doktor McKenzie mówi, że to zwykłe przeziębienie.

- Nikt nie wpada w taką rozpacz z powodu przeziębienia. Chodzi o coś więcej. Powiedz mi, co twój ojciec sądzi o naszej znajomości.

Podniosła na niego wzrok. Delikatnie zarysowany, nieregularny nos zaczerwienił się, oczy rozwarły się szeroko.

Tom był pewien, że dziewczyna znowu się rozpłacze. Lecz ona oznajmiła cichym, szybkim głosem:

- W dniu moich szesnastych urodzin, kiedy byliśmy w Paryżu, ojciec zachorował. Dostał bardzo wysokiej gorączki.

Od tego czasu stracił mowę.

- Przez gorączkę? Czy w takim razie pisze to, co chce powiedzieć?

Złożyła dłonie jak do modlitwy.

- Nie reaguje prawidłowo - wyszeptała. - Ale wyzdrowieje.
- Chcesz powiedzieć, że jego umysł nie działa?
- Umysł ojca jest zdrowy - odparła ze złością. - Ojciec rozumuje normalnie, tylko nie potrafi się z nami porozumieć. Kiedy mu się polepszy, wszystko będzie jak dawniej. - Wyprostowała ramiona. - Tymczasem nie może sam się sobą zająć. Dlatego tak bardzo mi zależy, żeby się nim opiekować. Co będzie, jeśli przeziębienie zaatakuje płuca?
- Nic takiego się nie stanie - pocieszał. A więc za jej milczeniem krył się taki sekretny, wstydlivy problem. Ogarnęła go tak wielka miłość i współczucie, że aż go coś ścisnęło na dnje piersi. Ale to wyznanie było dowodem miłości Antonii, więc jednocześnie poczuł się silny, prawie nieśmiertelny. - Ojciec ma najlepszą opiekę.
- Dziś rano siostra Girardin stwierdziła, że byłoby lepiej, gdyby ojciec dostał zapalenia płuc. Doktor nic nie powiedział, ale on myśli tak samo.
- Czy to znaczy, że nie opiekują się nim jak trzeba?
- Robią wszystko, co w ich mocy. - Wyciągnęła rękę, zerwała palczasty jaworowy liść i rozrywała go wzdłuż zielonych żyłek.
- W takim razie...
- Tylko ja widzę w nim człowieka, takiego, jakim jest naprawdę, a nie przypadek medyczny. Dla innych jest tylko ciężarem.

Tom pocałował ją w wilgotne czoło.

Stado wróbli wpadło na polanę, ze świergotem podfrunęło wyżej, między gałęzie drzew, żeby wreszcie skrócić w kierunku rzeki. Ptasie odgłosy zagłuszył szum starych drzew i znowu zostali sami w przesyconym erotyzmem ciepłym powietrzu.

Otoczył ją ramionami. Wydało mu się, że ciało Antonii, jakby pozbawione kości, wtapia się w niego. Jej drżący oddech dotykał wilgotnym powiewem jego szyi. Dotyk miękkich piersi, zapach gęstych, jedwabistych włosów - pachniały jak róże - podniecał go do nieprzytomności, jednak ta chwila niosła nie tylko fizyczną przyjemność, ale poruszała najgłębiej ukryte struny, wyzwalając nieopanowane uczucia miłości, radości, dumy, zadziwienia, ulgi i słodkiej, niezrozumiałej melancholii. Palce Antonii drgały na jego szyi. Kiedy pochylił głowę, żeby ją pocałować, zderzyli się nosami. Ból pogłębił tylko uczucie zupełnie odmienne -ekstazę, jakiej doznał dotykając jej ust. Zrzucił płaszcz

z ramion dziewczyny i grube płótno z szelestem opadło na trawę u ich stóp. Pieściła jego szyję i ramiona. W tym oddzielonym od czasu miejscu, gdzie rosły wieczne drzewa dowiedział się, że nie jest księżniczką z kamiennego zamku, ale Antonią, Antonią, której czułe, lekkie pieszczoty przeznaczone są specjalnie dla niego. Rozłożył płaszcz i oboje tuląc się w objęciach osunęli się na ziemię. Całując jej bluzkę tuż nad bijącym jak oszalałe sercem rozpiął szkarłatne guziki żakietu. Przez chwilę mocował się ze złotą zapinką pod szyją. Zalewała go jakaś wielka fala, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że pragnie czegoś bardziej stałego niż ta chwila zmysłowej rozkoszy. Ten akt zwiąże z nim Antonię.

Wkrótce biała haftowana bielizna dziewczyny i jego ubranie leżało bezładnie rozrzucone wokół nich. Spojrzał na Antonię przejęty i zachwycony. Delikatne wypukłości jej ciała połyskiwały białą, jak księżyc nocą.

- Jesteś taka piękna - wyszeptał.

- Ach, Tom...

- Będę cię zawsze kochał - powiedział rozchylając usta na jej ustach.

Kiedy natrafił na barierę, dziewczyna drgnęła i wbiła paznokcie w jego ramiona. Gwałtownym ruchem posunął się dalej. Krzyknęła cicho, ale już po chwili otoczyła go w pasie ramionami i przyciągnęła bliżej. Całując jej twarz, szyję, uszy poruszał się coraz szybciej, wchodził coraz głębiej, aż w szczytowym momencie wykrzyczał jej imię. Kiedy oboje ucichli, uniósł się na łokciu. Antonia uśmiechnęła się i spojrzała na splecione gałęzie, których zieleń odbijała się ciemnymi plamami w jej oczach. Chociaż wciąż był z nią złączony, wydała mu się daleka, jak leśna pogańska istota, której nie można schwytać.

- Jesteś moja? - zapytał, pociągając kosmyk jej rozsypanych w nieładzie włosów.

- Kocham cię.

- Na zawsze?

- Na zawsze.

- Chciałbym się z tobą ożenić już teraz, ale nie stać mnie na utrzymanie twojego ojca. W tym roku sprzedaliśmy dwa razy tyle samochodów, co od czasu otworzenia warsztatu. Wkrótce, najdalej za sześć miesięcy, będę już miał wystarczającą ilość pieniędzy. - Chryste, co za banalne słowa.

Mówić o pieniądzach, które nigdy nic dla niego nie znaczą, w chwili gdy jego uczucia rozpały się do czerwoności i powinien dać im wyraz deklamując poezje lub śpiewając pieśni. - Wtedy się pobierzemy.

- Tak.

- Nie jestem bez wad, Antonio. Chciałem, żebyś była moja, dlatego wykorzystałem moment twojej słabości.

- Nie. - Wzięła jego rękę i przycisnęła do piersi. - Ja też cię pragnęłam - powiedziała i pocałowała go w podbródek.

- Nie chciałem, żeby tak się stało. To ja jestem twój.

W drodze powrotnej do Detroit opowiedział jej o śmierci ojca w męczarniach, o szaleństwie matki i o jej samobójstwie.

III

Bryczka z gumową budą czekała przed drzwiami *chateau*.

- Doktor McKenzie przyjechał! - krzyknęła Antonia. Zanim Tom zdążył jej pomóc, wyskoczyła z auta i nie trafiwszy na owalny schodek straciła równowagę i upadła na kolana. Szybko wstała, potykając się na żwirze podniosła spódnicę i przeskakując po dwa stopnie wpadła na ganek. Jak ptak tłukący o pręty klatki, uderzyła kołatką przymocowaną z boku drzwi.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast i stanął w nich niski, szczupły człowiek ze skórzaną torbą.

- Doktorze McKenzie! Czy coś się stało z ojcem?

- Ależ nic, zupełnie nic. Rano tak się martwiłaś, że zdecydowałem zajrzeć do niego w powrotnej drodze. Płuca są jak dzwon.

Antonia zdjęła płaszcz, gogle i szal. Zwinęła wszystko nieporządnie i podała Tomowi.

- Dziękuję za pokaz, panie Bridger - powiedziała. W jej głosie brzmiał triumfalny ton. Uśmiechnęła się promiennie i wbiegła do domu.

Doktor wyciągnął dłoń. Pomarszczona skóra, tak samo jak twarz, była pokryta piegami.

- Jeśli pan jeszcze nie odgadł, to jestem doktor McKenzie.

- Tom Bridger.

Kiedy ściskali sobie dłonie, bystre orzechowe oczy lekarza z zawodową przenikliwością spoczęły na Tomie.

- Nos może być złamany. Proszę pozwolić mi go obejrzeć.

- Nic mi nie jest, bardzo panu dziękuję.
- Jak pan sobie życzy. - Doktor podszedł do samochodu. - Więc zabrał pan pannę Dalzell na przejażdżkę swoim mechanicznym pojazdem.
- To jest Curved-Dash Bridger. - Tom złożył płaszcz i szal i razem z goglami schował do wiklinowego kosza.
- Teraz sobie przypominam, gdzie słyszałem pana nazwisko. Jest pan tym młodym wspólnikiem majora. - Okrążył maszynę. - W Chicago jechałem elektrycznym pojazdem. Ale ten działa na benzynę. Jak pan to robi, że to urządzenie nie wybucha?

Doktor zastosował swoją sztuczkę. Kiedy Tom wyjaśniał zasadę działania silnika spalinowego, McKenzie szacował jego osobowość.

Lekarz zerknął na dom.

- To nie jest życie, szczególnie dla radosnej, ślicznej dziewczyny. Całe dni spędza zamknięta ze starymi służącymi i chorym. W dodatku nie robi tego z wyboru.

- Ale Antonia sądzi, że tylko ona potrafi odpowiednio zaopiekować się ojcem - odparł Tom i na chwilę zamilkł. - Czy to major ją do tego zmusza?

- Andrew? On uwielbia to dziecko. Gdyby tylko mógł, siłą trzymałby ją z dala od chorego.

- Ale powiedział pan...

- Jej natura zmusza ją do tego. Bridger, pracuję jako lekarz od blisko trzydziestu lat, więc miałem możliwość obserwować ludzkie życie w jego najlepszych i najgorszych przejawach. Jednak wciąż spotykam zjawiska, które przekraczają moją zdolność rozumienia. Dlaczego niektórzy ludzie są tak bezbronni wobec własnych uczuć?

Większość z nas bardzo wcześnie uczy się tłumić zarówno uczucia skrajnej przyjemności, jak i bólu. Nie odczuwany prawdziwej radości i prawdziwego cierpienia. I właśnie tak jest najlepiej. Zostaje jednak nieliczna grupka. Nazywam takich ludzi sensorywami. Kochają głębiej. Doznają większego szczęścia, ale ich cierpienie jest również bardziej okrutne. Boję się o Antonię. Obecnie pan Dalzell czuje się nieco lepiej, ale jest bardzo chory. - Doktor powstrzymał się przed rzuceniem Tomowi znaczącego spojrzenia, które byłoby zdradą tajemnicy zawodowej. - Szczerze mówiąc, bardziej się lękam o córkę niż o chorego ojca. Jest taka bezbronna. Czy wyraziłem się jasno? Rozumie pan teraz, co to znaczy, że nie ma wyboru?

Tom znieruchomiał w popołudniowym słońcu.

- To wspaniała dziewczyna - oświadczył.

- Major wyjechał do Nowego Jorku, więc musi być teraz bardzo samotna.

- Jestem jej przyjacielem.

- A jak pan myśli, dlaczego powiedziałem panu, co mi leży na sercu? No, proszę się pochylić. Chcę spojrzeć na nos. Kiedy palce lekko musnęły twarz Toma, do oczu chłopaka napłynęły łzy.

Nie jest złamany - zawyrokował doktor. - Założę porządny opatrunek. Zamykając torbę lekarską, McKenzie powiedział:

- Zapisuję pannie Dalzell przejażdżki w pana towarzystwie. - Wsiadł do bryczki i potrząsnął lejcami. Kasztanowaty koń z dala ominął Curved-Dash Bridgera, jakby wyczuł w nim wroga.

IV

Auto wyścigowe? - zapytał Hugh.

- Tak. Dwa cylindry, a nie jeden jak w Curved-Dash Bridgerze. Jednak jest lekkie. Lekkie, ale ma moc.

Nie wybiła jeszcze szósta, a oni już byli w drodze do pracy. Czerwone słońce płonęło na niebie. Mimo wczesnej pory już panował upał.

- Nie rozumiem cię. - Hugh przesunął słomkowy kapelusz na tył głowy. - Chyba z tysiąc razy mi powtarzałeś, że wyścigi cię nie interesują.

Tom pokazał zęby w uśmiechu.

- A ty z tysiąc razy mi mówiłeś, że tylko w ten sposób ludzie usłyszą o Curved-Dashu.

Przebiegła natura Hugh popychała go w stronę nowego zawodu, który miał się później nazywać *public relations*, zawodu specjalisty od kontaktów z potencjalnymi klientami, który potrafiłby rozgłosić nazwę danego produktu i przybliżyć go ludziom bez uciekania się do płatnej reklamy. Major miał rację co do wyścigów automobilowych. Było w nich coś pociągającego, jakieś prymitywne oczarowanie szybkością. Gazety zaspokajały potrzeby czytelników i dostarczały im wiadomości o wyścigach. Każdy rajd oznaczał długi artykuł, opisujący zwycięskie maszyny. Darmowa reklama.

- Organizują właśnie zawody tutaj, w Detroit - mówił z namysłem Hugh. - Pomyśl tylko, jak nasze gazety będą się o tym rozpisywać, jeśli zwycięży miejscowy kierowca. Nie opędzimy się od nowych zamówień.

- Najpierw musimy zbudować maszynę.

- Nie mam żadnych wątpliwości, że nam się to uda - zapewnił Hugh.

Postępowaniem Toma zwykle kierowały jakieś niezbadane siły, których sam nie mógł do końca pojąć. Tym razem wiedział, co go pcha do działania. Czwartkowe popołudnia przestały mu wystarczać. Pragnął budzić się przy niej rano, stale widzieć przy sobie jej uśmiech, dogadzać jej apetytowi na słodczyce i dostawać od niej dar radości i szczęścia.

Przez upalny czerwiec i lipiec Tom przemknął jak roziskrzona kometa. Wybudował drewniane ścianki, którymi oddzielił niewielkie pomieszczenie od reszty warsztatu. Tam w każdej wolnej chwili pracował nad nowym autem. Zwykle działał się to w nocy. Hugh ziewając garbił się nad deską kreślarską i usiłował rysować szkice nowych części, które powstawały w kipiącej pomysłami głowie brata. Rysowanie nie przychodziło mu łatwo. Tom działał metodą prób

i błędów, Hugh nie był doświadczonym kreślaczem, więc ciągle się sprzecjali. Ich kłótnie często kończyły się wzajemnym obrzucaniem wyzwiskami i gdyby nie to, że byli braćmi, dawno już rozeszliby się w niezgodzie.

W sierpniu auto wyścigowe przybrało konkretne kształty.

Jeśli kwadrycykl przypominał ważkę, to nowa maszyna była podobna do konika polnego. Miała długi wąski szkielet z żelaznych kątowników, stali i wzmacnianego drewna, który tylko czekał, żeby pomknąć przed siebie na pneumatycznych oponach, zamówionych w fabryce gum i opon Goodyeara w Akron.

V

Pociąg z Nowego Jorku wtaczał się do hali dworca w Detroit. Siedzący w przedziale major z żalnym brakiem pewności siebie, charakterystycznym dla starych ludzi, kolejny raz sprawdzał, czy zabrał wszystkie bagaże: księgę rachunkową, walizkę, kapelusz, płaszcz, parasol i teczkę.

Kilka ostatnich dni zadziałało na Stuarta jak paraliżujący

wylew krwi do mózgu. 6 sierpnia J.P. Morgan wrócił do Nowego Jorku i major natychmiast pośpieszył do trójkątne-
go, wykładanego marmurem budynku banku na Wall Street. Tam, w przeszklonym biurze przyjaciela, poprosił o
udzielenie kredytu. Z początku bankier zareagował ciepło i radził mu, żeby zebrał wszystkie siły i starał się
przetrwąć trudny okres. Próbuąc nadać głosowi poważny, urzędowy ton, major wyjaśnił, że pożyczka to dla niego
sprawa życia i śmierci. Morgan powtórzył swoją radę, tym razem chłodnym tonem bankiera. „Przetrwaj trudny okres
i dziękuj opatrności, że masz jeszcze inne środki.” Major, który poważnie uszczuplił swój osobisty kapitał, wstydził
się przyznać do tego śmiertelnego grzechu.

- Mam doskonałe zabezpieczenie - zapewnił i położył starannie opracowaną księgę na biurku Morgana. Bankier
lekceważąco machnął ręką.

- Przykro mi, Stuart, ale nie mogę z czystym sumieniem przyznać kredytu, jeśli w grę wchodzi tylko fabryka mebli,
nawet twoja.

Major zebrał wszystkie siły jak osaczony ranny niedźwiedź. Siedział ciężko dysząc przez całą minutę, zanim
oznajmił bankierowi:

- W takim razie postaraj się znaleźć kupca na moją fabrykę. - Kiedy wypowiedział te słowa, ostry, promieniujący ból
przeszył mu gardło. Sprzedanie fabryki, którą założył jego dziad, a ojciec rozbudował, było równie bolesne, jak
odcięcie własnej ręki czy nogi.

Koła pociągu nagle znieruchomiały, major stracił równowagę i opadł na miękką ławkę.

- Czy mam jakiś wybór? - wymamrotał do siebie. Pozostałe dochody spadły do tysiąca rocznie. Wystarczyłoby to
zaledwie do utrzymania na służbie w domu kilku prostych irlandzkich dziewcząt. Nie byłoby go stać na kucharkę,
powóz, konie, huczne zabawy, londyńskich krawców i piękne kobiety. (Major bał się utraty możliwości
zaspokajania swoich potrzeb erotycznych równie mocno, jak upokorzeń wynikających z bycia biedakiem.) - Nie
mogę pozwolić, żeby fabryka ubezpieczona na ćwierć miliona dolarów stała beczynnie, nie przynosząc żadnych
dochodów!

Otworzył drzwi na wąski korytarz. Antonia weszła do wagonu. Pośpiesznie minęła tłoczących się w korytarzu
pasażerów i rzuciła się majorowi na szyję,

witając go nieskrępowanym, żywiołowym uściskiem radosnego dziecka.

- Stryju! Tak długo cię nie widziałam!

Pocałował ją w policzek i wciągnął do przedziału. Trzymając ją za ręce przyjrzał się rozświetlonej szczęściem, niepowtarzalnej twarzy. Pytał się w duchu, jak mogło mu się wydawać, że wulgarna ulicznica z Południa trochę ją przypomina.

- Moje kochane dziecko... Tak bardzo za tobą tęskniłem. - Jego głębokie westchnienie przeszło w szloch. Natychmiast opanował wzruszenie. - Pięknie wyglądasz - stwierdził pociągając nosem. - Pewnie młody Hutchinson przynosił ci właśnie takie czekoladki, jakie najbardziej lubisz.

Delikatny rumieniec wykwitł na jej policzkach.

- Poprosiłam Claude'a, żeby więcej nie przychodził.

- Jak to?

- Powiedziałam mu, że nie może mnie więcej odwiedzać.

- Nie wspominałaś o tym w listach. Czy znowu zaczęło cię dręczyć to niedorzeczne poczucie winy? Tyle razy ci powtarzałem, że nie powinnaś mieć wyrzutów sumienia. To naturalne, że taka śliczna dziewczyna złamie jedno czy dwa serca.

Roześmiała się.

- To okropne, że jestem taka ładna, taka piękna jak żadna. - Bez słów zanuciła dwa takty arii Papageny.

Niespodziewanie dla samego siebie, major roześmiał się. Mój Boże, jak ona potrafi mnie rozweselić! Antonia spuściła wzrok.

- Tom zabierał mnie na wycieczki na wieś.

Uśmiech zamarł na ustach Stuarta. Nie wierzył własnym uszom.

- Tom?

- Pan Bridger. Twój współnik ze Spółki Automobilowej Bridgera.

Major ciężko opadł na ławkę i oparł głowę na zagłówku przykrytym sztywno wykrochmalonym koronkowym pokrowcem. Niewidzącym wrokiem spoglądał na przedstawiające Wielkie Jeziora fotografie w kolorze sepii, które wisiały na drewnianej wykładzinie przedziału. Doznał takiego samego bólu w gardle, jak w chwili, gdy przyjaciel odmówił mu pożyczki. Zdrada, wszędzie wokół zdrada.

Antonia usiadła obok.

- Co się stało, stryju? - zapytała wystraszonym głosem.
- Chciałbym już być w domu - oznajmił chrypliwie. -Sprawy w Nowym Jorku nie poszły dobrze.
- To okropne. Jesteś taki blady, zmęczony. Jak mogłam nie zauważyć? - Ze skruchą chwyciła teczkę ze świńskiej skóry. - Idź do powozu. Ja poszukam bagażowego.

Kiedy wjechali w zielony cień drzew na Woodward Avenue, policzki majora znów się zarumieniły.

- Część twoich interesów idzie znakomicie - odezwała się Antonia. - W zeszłym tygodniu Tom sprzedał dwa automobile jednego dnia. - Chociaż uśmiechała się i mówiła beztroskim tonem, jej broda uniosła się w nieświadomej, wyrażającej upór pozie. Major rozpoznawał tę postawę, ponieważ wychowanica zawsze ją przybierała, kiedy usiłował namówić ją, żeby spędzała mniej czasu w pokoju chorego Oswalda. - W październiku weźmie udział w wyścigach. Wtedy klienci zbiegną się jak muchy do miodu.

- Jak dotąd nie miałem z tego warsztatu żadnych dochodów, ani jednego dolara - odparł zduszonym głosem. Na wspomnienie nowojorskiego niepowodzenia ścisnęło go w gardle.

- Tom rozwija działalność, kupuje maszyny, części i tak dalej.

- Najwyższy czas, żeby mój wkład zaczął procentować. -Powóz podskoczył na wyboju i major przerwał na chwilę. Chciał wytłumaczyć, co go dręczy, powiedzieć jej, że okoliczności zmuszają go do sprzedania dorobku trzech pokoleń Stuartów, ale tylko oznajmił: - Nie mogę dłużej bawić się w dobroczyńcę Bridgera.

Cień zdobiących parasolkę frędzli przesunął się po czole Antonii.

- Stryju, nie możesz odbijać sobie własnego niepowodzenia na Tomie.

- Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Ale cieszę się, że poruszyłaś ten temat. - Major bał się, że utraci Antonię, która co prawda nie była krwią z jego krwi, ale od dawna uważał ją za własną córkę. Ten strach sprawił, że twarz mu skamieniała i wyglądała jak grecka maska o wyciągniętych ustach i zwężonych oczach. Kiedy przemówił szorstko, mogło się zdawać, że nienawidzi swej podopiecznej. - Porządnie wychowany młody człowiek, zanim zabierze dziewczynę na przejażdżkę, prosi o pozwolenie jej opiekuna.

- Przyjdzie do nas dziś wieczorem.
- A więc powiedziałaś mu o ojcu?
- On chce się z tobą spotkać, stryju - wyszeptała.

To jest o wiele gorsze, niż sobie wyobrażałem, pomyślał major zamykając oczy w ostrym, sierpniowym słońcu.

VI

Antonia siedziała w ciemnej altanie. Podczas upałów było to jej ulubione schronienie, z pnąciami wiciokrzewu wspinającymi się po ozdobnej żelaznej kracie, kopulastym dachem zwieńczonym dziwaczną iglicą i miękkimi poduszkami wyścielającymi stare, rustykalne meble z wikliny. Przychodziła tu czytać, przeglądać nuty nowej piosenki lub wypoczywać zrywając kwiaty wiciokrzewu, żeby posmakować ich słodkiego nektaru, i marzyć o Tomie. Teraz jednak nie zwróciła uwagi na przyjemną, chłodną bryzę ani na wspaniałe zapachy bezksiężycowej, rozgwieżdżonej nocy. Całą uwagę skupiła na żółtym świetle, sączącym się spoza zaciągniętych zasłon w oknie gabinetu. Stryj wprowadził tam Toma piętnaście minut temu i jak strażnik więzienny zamknął z hukiem drzwi. Żywiółowa niechęć, jaką major czuł dla Toma, powinna rozwścieczyć Antonię. Jednak za każdym razem, kiedy dziewczyna była tego bliska, przypominała sobie, jak wielką ulgę poczuła, kiedy zwałisty, otoczony wonią cygar stryj zjawił się na Gare du Nord. Przybył do Europy specjalnie po to, żeby pomóc jej ojcu.

Za zasłoną poruszył się widmowy, bezcielesny cień. Antonia wychyliła się z altany i ze źrenicami zwięzonymi jak główka od szpilki usiłowała rozpoznać, czy to major czy Tom. Z tej odległości nie sposób było tego stwierdzić. Drugi cień przysunął się bliżej z widoczną wrogością, która przyprawiła dziewczynę o dreszcz. Zaraz jednak lekkim ruchem usunął się z pola widzenia. Odgadła, że to musiał być Tom.

Tom...

Nawet teraz, opanowana bezsilnym strachem, na myśl o nim czuła, że miękną jej nogi i cała wilgotnieje. Ostatnio coraz bardziej ją przerażało, że ich miłość przybrała tak fizyczne oblicze. Przez nietypowe wychowanie z dala od ludzi Antonia wiedziała o tajemnicach seksu mniej niż większość panien z dobrych domów w jej czasach. Nie była, jak to się mówi, w pełni uświadomiona. Sam akt płciowy był

dla niej czymś, co pojmowała instynktownie. Wszystko w Tomie było dla niej pociągające. Kiedy patrzyła, jak do niej mówi, wspominała ich zmysłowe pocałunki. Męski zapach Toma, w którym zawsze dawało się wyczuć lekką woń benzyny, nasuwał na myśl gwałtowne, rozkoszne spełnienie, kiedy ich ciała pokrywały się kwaśnym potem. Nawet podziw dla niezłomnej wiary Toma we własne wizje zamieniał się w oszalamiającą, zmysłową tęsknotę za jego ciałem. Obdarzona gorącym sercem, kochała z niewinną namiętnością.

Otworzyły się frontowe drzwi i wyszedł z nich Tom.

Antonia zerwała się na nogi i odruchowo splótła ramiona na piersiach, jak dawniej, gdy ojciec usiłował odebrać jej kolejnego zapchlonego kotka z niezdarnie zawiązaną na szyi kokardą.

- Tom, zaczekaj! - krzyknęła cicho i pobiegła wąską ścieżką na podjazd. Jego kroki chrzęściły na żwirze nie zwalniając tempa. Dogoniła go. Przed nimi świeciły zamocowane przy bramie pochodnie i w ich mdłym świetle twarz Bridgera nabrała nieziemskiego wyglądu zbieleńszych czaszek, które Antonia widziała kiedyś w rzymskich katakumbach. - Co się stało? Co ci stryj powiedział?

- Najpierw mieliśmy krótkie zebranie w sprawach służbowych.

Ludzie często nie rozumieli wymijających odpowiedzi Toma i nawet Antonia nie zawsze go pojmowała, ale intuicyjnie odgadła, że kiedy ktoś go zrani, wyrzuca ostre strzały zatrute goryczą i kpina.

- Tom, czy było aż tak źle?

- Zdaje się, że kiedy wyraził zgodę na poręczenie mojego kredytu, miałem w zamian zrezygnować ze wszelkich kontaktów z tobą. I to na zawsze.

- Co takiego?

Tom wzruszył ramionami.

- On uważa, że go oszukałem. A ja chciałem tylko uchronić cię przed cierpieniem. Chryste! Jak on mógł pomyśleć, że się ciebie wyrzeknę za pieniądze?

W ciemnościach zachwiała się i potknęła na jakiejś nierówności. Nawet nie poczuła, że ostry żwir rozdarł jej pończochę na kostce. Odzyskała równowagę i pobiegła za nim.

- Kiedy są twoje urodziny? - zapytał.

- Dopiero osiemnastego kwietnia. Dlaczego pytasz?

- Skończysz dwadzieścia jeden lat i dopiero wtedy będziesz mogła się ze mną spotykać, jeśli jeszcze będziesz miała na to ochotę.
- Proszę, nie bądź taki złośliwy.
- Chciałaś wiedzieć, co mi powiedział twój stryj, więc ci to powtarzam. Stwierdził, że teraz znajdujesz się pod jego opieką i on podejmuje za ciebie wszystkie decyzje. Po dwudziestych pierwszych urodzinach możesz znów się ze mną widywać, jeśli będziesz miała takie życzenie.
- Stryj ostatnio źle się czuje. - Westchnęła.
- Wyślę mu kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia. - Dotarli do bramy. Pochodnie jaśniej oświetliły śmiertelnie pobladłą twarz Toma. - Pozostała jeszcze sprawa warsztatu. Do pierwszego października mam się wynieść z zajmowanego pomieszczenia i wypłacić majorowi jego udział w maszynach i nie sprzedanych samochodach. Chwyciła go za ramiona.
- Stryj musi zwiększyć zyski z fabryki. Powiedział mi, że ostatnio interesy idą źle, bardzo źle.
- Dopiero teraz o tym usłyszałaś?
- A ty wiedziałaś?
- Tak jak wszyscy w Detroit. Mamy wielki kryzys. Ludzie biedują.
- Nigdy nie wspomniał mi o tym ani słowem. Pamiętam, że kiedyś chciałam przejąć część obowiązków pielęgniarki, żebyśmy mogli odprawić Minnie, naszą drugą praczkę, ale stryj tylko się zdenerwował. Nigdy nam niczego nie żałował.
- Jesteś jego księżniczką. A ja nie mam zamiaru odgrywać roli świniarki, chociaż moje brudne paznokcie doskonale by do niej pasowały. - Tom mówił głośno. Rozmowa z majorem jeszcze bardziej pogłębiła gryzący go kompleks poczucia niższości wobec Antonii. Świadomość, że Stuart, którego od czasu do czasu niechętnie podziwiał, uznał go za człowieka zdolnego wyrzec się Antonii w zamian za kredyt, paliła go jak kwas wylany na nagą skórę.
- Tom, on jest taki smutny. Wygląda teraz o dziesięć lat starszej niż przed wyjazdem. Zauważyłeś to? Ma ziemistą cerę, a broda całkiem mu posiwiała.
- Rozumiem, że trzymasz stronę tego starego dziwkarza? Tomowi zdarzało się przeklinać, ale nigdy dotąd nie robił tego w obecności Antonii. Cofnęła się o krok.

- Był bardzo hojny dla mnie i dla ojca. - Bolesne westchnienie złagodziło chłód w jej głosie. - Znajdziesz innego partnera, inny warsztat.

- Antonio, czy ty nie słyszałaś, co ci powiedziałem? On nie pozwoli nam się więcej spotykać.

- Musimy się widywać. Będziemy postępować tak jak przedtem.

- W czwartki u Hudsona? Będziemy się kryć jak przestępcy? Cudownie!

Rozległ się śpiew drozda. Drgnęli zaskoczeni i w ciemnościach starali się wypatrzeć, skąd dochodzą te melodyjne dźwięki.

Nagle gorycz opuściła Toma. Czuł teraz tylko przytłaczającą bezradność. Wyrzucono go z warsztatu, musi spłacić udział majora, a w dodatku wyścigowy automobil jeszcze nie jest ukończony. Wspólne życie z Antonią wydało mu się chorą mrzonką, wytworem rozszalałej wyobraźni.

- Mówiłaś, że twój ojciec ma jakieś dochody - wymamrotał. - Dużo?

Antonia zrozumiała, o co mu chodzi. Czy mogli się pobrać już teraz? Jej rysy stały się ostrzejsze, jak to czasem bywa, kiedy człowiek doznaje fizycznego bólu. Pochyliła głowę.

- Siostra Girardin jest droga. Przeszkolono ją w Hôtel-Dieu, jak zajmować się przypadkami takimi jak choroba ojca. Robi mu masaże, pomaga w gimnastyce, wie, jak go żywić... Dochodzą jeszcze lekarstwa i opłaty za pranie pościeli, całych stert pościeli. Specjalista, doktor Abler, przyjeżdża raz w miesiącu z Chicago, czasami w towarzystwie doktora Russela. Trzeba też płacić rachunki doktora McKenzie. Nie wiem, ile to wszystko razem wynosi, ale dochody ojca nie pokryłyby nawet jednej piątej.

Usta Toma wykrzywiły się żałością.

- Rozumiem.

Rozsądek nakazywał jej milczenie, ale zwyciężyła stale obecna potrzeba połączenia się z Tomem i ciałem, i duchem.

- Dochody ojca nie mają znaczenia. I tak nie mogłabym odejść. Nie teraz, nie w takiej chwili. Nie wiem, co się przytrafiło stryjowi w Nowym Jorku, ale to było coś, co go załamało.

W świetle syczących pochodni spoglądała na niego z determinacją. Tom miał ochotę wymierzyć jej policzek, żeby

zetrzeć z jej twarzy uparty wyraz, ale nagle zauważył jej ręce. Spuściła ramiona i wbiła paznokcie w dłonie. Ten nerwowy, nie kontrolowany odruch, tak niezwykły w jej zachowaniu, zdradził, jak bardzo czuje się bezbronna.

Zrozumiał, że jeśli nie chce zniszczyć Antonii, musi się pogodzić z jej oddaniem dla stryja, swojego wroga.

- A więc u Hudsona? - zapytał. Nazwa sklepu była dla niego symbolem haniebnego klęski.

- Dziękuję ci, Tom - odparła chwytając go za ramiona. Obsypywała pocałunkami jego podbródek i szyję. Z początku stał obojętny i rozżalony, ale nagle z jego piersi wydobył się nieartykułowany, głęboki jęk. Przyciągnął dziewczynę i gwałtownie, desperacko pocałował. Przywarli do siebie, jakby byli jedną osobą, jednym uczuciem, a krew płynącą w ich żyłach poruszały uderzenia jednego serca. - Altana - wyszeptała Antonia drżąc.

- Nie chcę wracać na jego teren.

- Ogród Hammondów?

Włoska willa Hammondów, z bramą oplecioną pnączami róż, przy której pierwszy raz się spotkali, stała pusta.

Właściciele wraz ze służbą i psami przenieśli się do letniego domu w Grosse Pointę. Tom pociągnął Antonię w nieprzeniknione ciemności, między artystycznie przyszyżone krzewy bukszpanu, i rozłożył marynarkę na szorstkiej trawie. Dysząc i drżąc, jakby tej ciepłej letniej nocy przebiegli długie mile, na oślep, nie rozbijając się do końca, połączyli się w jedno.

I

Po południu 15 września posłaniec z Western Union wjechał na rowerze na dziedziniec fabryki Stuarta. Major wybiegł z budynku i rzucił chłopcu monetę. Zaniósł nie otworzony telegram do biura i stał ważąc żółtą kopertę w drżącej dłoni. Czy to wiadomość od J.P. Morgana?

Od czasu powrotu do Detroit nie miał żadnej wiadomości z Nowego Jorku. Sam napisał do bankiera cztery listy z zapytaniami. Kiedy czytał je, wydały mu się wołaniem o pomoc człowieka w potrzebie. Nie potrafił się zdobyć na ich wysłanie. Przyszedł mu do głowy inny pomysł. Nawet jak na późne lato panowały nieznośne upały. Nocami, leżąc w łóżku, na wilgotnym od potu, ozdobionym monogramem prześcieradle, obmyślał szczegóły nowego planu. Ciągle miał nadzieję, że nie będzie musiał wprowadzić go w życie, bo J.P. Morgan jednak pośpieszy z pomocą.

Ciężko wzdychając wziął nóż do papieru z trzonkiem z kości słoniowej i rozciął kopertę. DOSTAŁEM OFERTE NA PIĘĆDZIESIĄT TYSIĘCY DOLARÓW STOP PROSZĘ O DECYZJE MORGAN.

Krew odpłynęła z brodatej twarzy majora. Zmiał w rękę żółtą kartkę, powłócząc nogami podszedł do pokrytego pyłem drzewnym okna i spojrzął na dziedziniec. Przecież to nic takiego, pomyślał. Fabryka. Wielka, hałaśliwa fabryka. Nic więcej. Nic mniej. Dlaczego mam takie uczucie, jakby stanowiła część mnie samego, jak krew, kości czy serce?

Oczy zaszczyły mu łzami słabości.

Gwałtownie zamrugał powiekami i wyprostował ramiona imitując swą dawną wojskową postawę. Jeszcze raz przyjrzał się fabrycznemu dziedzińcowi, jasnej stercie dobrze wysuszonych świerkowych desek i zwałom ciemnych, nierównych bali drewna pochodzącego z rozbiórki starych

domów, które w zeszłym tygodniu kupił za grosze. Zapewniał wszystkich, że grubo polakierowane doskonale się nada do produkcji tanich mebli na eksport.

Przez minutę wytrzymał w wymuszonej wojskowej postawie, a potem wrócił za biurko. Znalazł blankiet depeszy i napisał: ZGODZĘ SIĘ NA NIE MNIEJ NIŻ SIEDZIEDZIESIĄT PIĘĆ TYSIĘCY PROSZĘ NEGOCJOWAĆ STUART.

Zadzwoił na Heldensterna.

Wyciągnął depeszę.

- Proszę.

- Nadam ją natychmiast, panie majorze. - Fabryka nie zatrudniała już tego rumianego chłopca na posyłki.

- Czy ktoś jest w twoim kantorze?

- Nie, jestem sam.

- Dobrze, zanim wyjdiesz, muszę z tobą pomówić. Heldenstern zdjął zielony daszek i nerwowo przyglądał rzadkie kosmyki siwych włosów zaczesane w poprzek głowy.

- Najpierw zamknij drzwi wejściowe - polecił major rozkazująco. Jego twarz przybrała stanowczy wyraz.

II

Dwa dni później, o ósmej trzydzieści wieczorem, Tom stał nad zlewem i wcierał w ręce aż po łokcie szorstką pastę mydlaną. O dziewiątej miał spotkanie z Trelinackiem i agentem wynajmu nieruchomości. Warsztat, który znaleźli na Anthon Street, był tak mały, że ledwie starczało w nim miejsca na budowanie trzech samochodów. Była to mroczna stodoła o małych oknach, ale na nic lepszego nie było ich stać. W dodatku właściciel, nie będąc entuzjastą „tych piekielnych maszyn”, zażądał również podpisu Trelinacka.

Hugh wyłonił się zza deski kreślarskiej w oddzielnym dyktą kantorku. Przez nie zamknięte drzwi widać było, jak wpatruje się w wycinek z dzisiejszej gazety, przypięty pod listą obecności.

„Wielki wyścig samochodowy, który odbędzie się w październiku na nowym torze w Grosse Pointe, tuż nad rzeką Detroit, jest największym wydarzeniem w historii tego sportu. Trasa została tak przygotowana na wirażach, że pojazdy będą mogły pędzić z zapierającą dech szybkością mili na minutę.

Zaplanowano cztery konkurencje, między innymi wyścig

elektrycznych wehikułów na dystansie jednej mili i pięćmilowy rajd dla maszyn parowych. Na najdłuższej, dwudziestopięćmilowej, trasie ścigać się będą pojazdy benzynowe. Lista uczestników jest imponująca. Pośród innych znajdują się na niej Winston (Cleveland), Apperson (Kokomo), Bridger (Detroit) i W.K. Vanderbilt, którego słynna francuska maszyna, Czerwony Diabeł, kosztowała podobno 1 000 dolarów plus 7000 dolarów cła. Oczekuje się, że cała śmietanka towarzyska Detroit i wszyscy wielbiciele automobili jak jeden mąż przyjdą obejrzeć tę imprezę."

Zadowolonym z siebie tonem Hugh przeczytał ostatni akapit.

„Szczególne zainteresowanie budzi kierowca z Detroit, Thomas K. Bridger, producent automobili Curved-Dash Bridger. Jego maszyna wyścigowa została już wypróbowana na miejskich bulwarach. Według Hugh Bridgera, brata kierowcy, bez wysiłku przebywa pół mili w trzydzieści sześć sekund."

Tom zanurzył dłoń w słoju i nabrał więcej mydła.

- Ile razy jeszcze będę musiał tego słuchać? - W zaczepnym tonie kryło się ziarno szacunku dla brata.

Wspólna praca nad nową maszyną otworzyła szerokie wrota, które ich od siebie oddzielały. Do tej pory Tom ochraniał brata, utrzymywał go, pracował dla niego ponad siły, więc naturalnie nie mógł czuć dla niego respektu.

Przygotowania do wyścigu i zabiegi wokół reklamy wydobyły na światło dzienne ukryte zdolności młodszego Bridgera. Tom słuchał zaskoczony, jak Hugh udzielał błyskotliwych, zręcznych odpowiedzi na pytania reporterów. Podziwiał jego przebiegłość w negocjacjach z organizatorem wyścigów. Hugh, czując się teraz równy bratu, potrafił wreszcie obdarzyć Toma takim samym nie zabarwionym zazdrością braterskim uczuciem, jakie tamten czuł do niego od dawna.

- To dzięki mnie nazwisko Bridger pojawiło się w Evening News" cztery razy.

- A skąd ta wiadomość, że maszyna została już wypróbowana?

- Sam mówiłeś, że może rozwinąć szybkość pięćdziesięciu mil na godzinę. - Zmiana układu między braćmi nie oznaczała, że przestali się kłócić.

- Powiedziałem tylko, że mam taką nadzieję - odparował Tom. - Co tam, nie czepiajmy się szczegółów. Ten artykuł

bardzo nam pomoże. - Znacząco spojrział na częściowo skończone automobile. Koniecznie musieli szybko je sprzedać, ponieważ nie mieli gotówki, żeby spłacić dwudzie-stopięcioprocentowy udział majora w narzędziach i maszynach. - Lepiej będzie, jeśli wyścigówka dobrze się spisze, bo inaczej nasza firma może sobie zamówić napis *requie-scat in pace*.

- Znasz łacinę?

Tom włożył ramię pod kran i patrzył, jak woda spłukuje pianę.

- Czy w tłumaczeniu nie znaczy to tyle, co Jeśli nie wygramy wyścigu, znajdziemy się po szyję w gównie"?

III

Po wyjściu Toma Hugh wrócił do kantorka i usiadł przy desce kreślarskiej. Reporter z „Evening News” prosił go, żeby narysował auto dla gazety. Zwisająca na sznurze żarówka kładła łagodne światło na jasnej głowie chłopca, kiedy trudził się, żeby nadać rysowanemu pojazdowi pozory ruchu. Wydłużył nieco maskę, a włosy kierowcy układały się prosto i opadały na tył głowy, jakby rozwiewane przez wiatr. Miał wrodzone zdolności, tak przynajmniej stwierdziła krągła nauczycielka rysunków z jego szkoły, i gdyby go odpowiednio przeszkolono, mógłby zostać dobrym ilustratorem. Taka perspektywa nie kusila Hugh ani przez chwilę. Dawno już postawił na wspólną pracę z Tomem i widział się w przyszłości jako bogatego, eleganckiego światowca. Prawdopodobnie tak już musiało być, że Tom, opętany ideą tworzenia, nie przywiązywał wagi do bogactwa, ale Hugh oczekiwał za pracę wynagrodzenia w konkretnej formie. Kiedy kreślił ołówkiem ślady opon, wyobrażał sobie opleciony bluszczem dom przy Woodward Avenue, lokaja otwierającego drzwi, siebie we fraku i urzekająco piękną kobietę w jedwabnej sukni, która wspiera się na jego ramieniu, podczas gdy on wita przybyłych na bal gości, o jakich czytywał w magazynach ilustrowanych. Zaczął ciężiej oddychać. Zatopiony w marzeniach i pochłonięty rysowaniem, nie zauważył, że to odór dymu wywołał lekki atak astmy.

Jakieś syczące trzaski sprawiły, że spojrział w okno.

Za szybkami dostrzegł różowo-czarne błyski, które przechodziły w czerwoną lunę.

Wybiegł do drugiego pomieszczenia, żeby lepiej zobaczyć, co się dzieje.

Stos świerkowych desek buchał setkami małych płomyków, które połyskiwały jak pomarańczowa rybia łuska. W powietrzu kłębiły się obłoki dymu. Wybuchały snopy iskier i unosiły się w górę, jak świecące zarodki ognia. Od sierpnia nie spadł deszcz. Sterta używanego drewna już się zajęła w kilku miejscach. Piec do suszenia również płonął, a jęzory ognia wyciągały się złowieszczo w stronę bramy wjazdowej.

O'Reardon, wiekowy Irlandczyk, jedyny nocny stróż zatrudniany teraz, przez majora, biegł przez jasno oświetlony dziedziniec niezdarnym krokiem starca.

- Pożar! Pożar! - Ryk płomieni zagłuszył jego krzyki, kiedy zniknął w tunelu wjazdowym.

W pierwszym odruchu Hugh chciał z wrzaskiem podążyć w ślady Irlandczyka.

Zatrzymał się jednak i spojrzał na oświetlone jasnym blaskiem pożaru delikatne, podłużne sylwetki automobili, dwie wiertarki, wiórkarkę, ściernicę, nowe palenisko i wszystkie narzędzia, na które Tom musiał tak ciężko pracować.

Za przepierzeniem stało auto wyścigowe. Jego maska połyskiwała na czerwono.

- Muszę je stąd wyprowadzić - szepnął Hugh.

Ta decyzja, tak niezgodna z jego charakterem, nie została podjęta w panice. Umysł Hugh natychmiast zaczął funkcjonować jak chłodna maszyna do liczenia. Wszystko, czego się dorobili, ulegnie zniszczeniu. Wyścigówka wiele ich kosztowała i nawet jeśli Tom zdołałby sobie przypomnieć wszystkie zmiany i udoskonalenia, jakie w niej zastosował, nie stać by ich było na zbudowanie drugiej maszyny. Auto było Tomowi potrzebne do wygrania wyścigu. Muszą mieć to auto, żeby znaleźć nowego partnera, który ich sfinansuje. Tylko dzięki tej maszynie zaczną wszystko od nowa.

Otworzył szeroko drzwi i cofnął się przed falą ciepła bijącego z podwórza. Z oczu pociekły mu łzy. Zaniósł się płytkim, chrypliwym kaszlem.

Pośpiesznie uruchamiając automobil, zapomniał opóźnić iskrę. Kiedy chwycił za korbę, sama się obróciła. Upadł w tył, jakby go kopnął muł. Wybity kciuk sterczał na zewnątrz dłoni pod nienaturalnym kątem, ale Hugh nie czuł bólu. Chwycił bok wyścigówki obiema rękami, również tą uszkodzoną. Wysokie,

szczupłe ciało chłopca zgięło się do przodu. Jak często bywa w takich okolicznościach, strach dodał mu niezwyklej siły. Szlochając i z trudem łapiąc powietrze pchnął maszynę z całej mocy. Olbrzymie koła zaczęły się obracać.

IV

System skrzynek alarmowych był podłączony do dzwonu w City Hall, który odzywał się, ilekroć gdzieś w mieście wybuchał pożar. Tom i Trelinack czekali na agenta w warsztacie przy Anthon Street, kiedy rozległy się chaotyczne, głośnie dźwięki.

- Następny pożar - odezwał się Trelinack i podszedł do wąskiego okna. Nagle głos mu się zmienił. - Mój Boże! Tom, to gdzieś w pobliżu fabryki!

Tom wybiegł na zewnątrz, spojrzął na czerwoną łunę i pognał w dół ulicy.

- Zaczekaj! - wołał za nim Trelinack, ale Bridger nie zwalniał.

Przed fabryką gromadził się tłum, przyciągnięty blaskiem ognia. Zagradzał drogę konnemu wozowi straży pożarnej, który dzwoniąc jechał Fort Street. Z zaciekawieniem przyglądano się hakom i drabinie. Policja z wysiłkiem powstrzymywała poszukiwaczy mocnych wrażeń.

Wysokie na dziesięć stóp żelazne litery FABRYKA MEBLI STUARTA gorzały przytłumioną czerwienią. Niżej, przez popękane od żaru okna, wydobywał się dym. Ostre zęby ognia pojawiały się na dachu i w bramie wjazdowej.

- Tom! - O'Reardon chwycił Bridgera za ramię. - Bogu dzięki, że jesteś bezpieczny.

- Gdzie jest Hugh?

- Hugh?

- Pracował w warsztacie.

- Słodki Jezu! On tam był? Nie widziałem go.

Tom strząsnął z ramienia powykęcianą artretyzmem rękę i przeciskał się przez tłum, dopóki nie natrafił na zagradzającą mu drogę plecy policjanta.

Daleko w głębi bramy wjazdowej zauważył jakiś błysk. Wyteżył wzrok i rozpoznał mosiężny płaszcz chłodzący automobilu. Posuwał się niepewnie wśród tańczących płomieni.

- Hugh! - krzyknął desperacko Tom. - Zostaw to żelastwo! Uciekaj stamtąd!

Jego głos utonął w huku pożaru. Maszyna nadal wolno sunęła wśród kłębow dymu.

Utorował sobie drogę łokciem i wyminął policjanta. Drogę zastąpił mu strażak. Wymachując ramionami nie pozwalał dalej iść.

Cofnij się, ty cholerny głupcze! Ściana frontowa zaraz się zawali!

Tom bez namysłu wymierzył cios prosto w czerwoną, zlaną potem twarz i rzucił się naprzód prosto w żar tak Intensywny, że czuł go na skórze niczym dotknięcie suchego lodu.

Silnik samochodu stał w płomieniach.

- Uratować... go... - Usta poruszały się w szerniałej twarzy Hugh niczym otwarta rana. - Uratować...

- Uciekajmy! - Tom starał się oderwać poparzone dłonie brata od karoserii maszyny. Jak czarne, uparte szpony drapieżnego ptaka, chwyciły się każdej szczeliny. Tak jak przed chwilą, nie namyślając się ani przez sekundę, Tom wycelował prosto w szczękę Hugh. Kiedy chłopiec upadł, chwycił go w ramiona i skoczył na ulicę.

Półtorej minuty później frontowa ściana zadrżała. Stopione litery zachwiały się. Na krótką chwilę dym przygasił płomienie. Z ogłuszającym hukiem dwa najwyższe piętra magazynu zwały się na tunel wjazdowy, grzebiąc pod gruzami płonący samochód.

v

Pięć minut wcześniej w gabinecie domu przy Woodward Avenue major krążył nerwowo po perskim dywanie.

Telefon w holu wydzwonił jego sygnał. Podeszedł do biurka, usiadł i czekał, utkwivszy oczy w drzwiach. Rozległo się pukanie.

- Tak?

Na brzydkiej twarzy Idy współczucie mieszało się z zadowoleniem posłańca, który jako pierwszy przynosi wiadomość o wstrząsającym wydarzeniu.

- Majorze, dzwoni Paddy O'Reardon...

- Mój stróż nocny? Czego chce?

- Obawiam się, że to zła wiadomość. W fabryce wybuchł wielki pożar.

Major poderwał się i oparł o biurko.

- Wezwał straż pożarną?

- Tak powiedział.

- Powiedz mu, że zaraz tam jadę. - Major przemawiał zduszonym głosem. - I każ Flaherty'emu zaprzęgać.

Zanim major przyjechał na miejsce, eksplodowały beczki żywicy w magazynie i wszystkie budynki stały w płomieniach, jakby setki błyszczących, złotych demonów roztańczyły się w kłębach dymu. Nie było żadnego sposobu, żeby ocalić wysuszone na wiór drewniane zabudowania, więc strażacy polewali sąsiednie fabryki wodą i dziękowali opatrności za bezwietrzną noc.

Tłum rozstał się przed powozem majora. Ludzie patrzyli z szacunkiem na właściciela budowli, która właśnie ginęła w pożodze.

Zbliżył się do niego sam dowódca strażaków.

- Jestem kapitan Beldon - oświadczył i podniósł skórzany kask, żeby wytrzeć czoło. - Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, ale kiedy przybyliśmy na miejsce, było już za późno na opanowanie ognia. Przykro mi.

Czerwona poświata odbijała się mdło w oczach majora.

- Mój dziadek założył tu swój pierwszy warsztat stolarski, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie...

- To dla pana straszliwa strata - stwierdził kapitan. - Całe szczęście, że w środku był tylko jeden człowiek.

- Tak, O'Reardon, mój stróż.

- Stary uciekł z pożaru, jeszcze zanim rozszalał się na dobre. To nie on. Ktoś próbował ocalić jedną z tych piekielnych maszyn. Nie dziwiłbym się, gdyby się okazało, że benzyna miała coś wspólnego z tą katastrofą. Wie pan, że jest wyjątkowo łatwo palna.

Major ścisnął mocniej laskę.

- Bridger był w fabryce?

- Tak się chyba nazywa. Jego starszy brat wymienił to nazwisko. Zabrali go do szpitala Providence.

- Mówi pan, że jest w szpitalu?

- Jedna ofiara przy takim olbrzymim pożarze to nie jest tragedia - pocieszał kapitan.

Ręce majora gwałtownie się trzęsły. Laska upadła na podłogę powozu i potoczyła się w odległy kąt.

- Czy ten chłopiec zginął? - wyszeptał.

- Nie przeżyje nocy. Widziałem już ludzi w takim stanie jak on. Pan wybaczy, majorze. - Jakiś strażak podszedł do dowódcy, pytając o dalsze rozkazy.

Kryty gontem dach warsztatu Toma zapadł się z ogłuszającym rykiem. Wielkie iskry posypały się na ulicę i tłum zaczął się cofać, tłocząc się i rozpychając. Długo po tym, jak Flaherty uspokoił spłoszone konie, mięśnie nóg majora odmawiały posłuszeństwa, jakby obcięto mu obie stopy.

Przesiedział całą noc w swojej stylowo urządzonej jadalni, tak jak wtedy, gdy umierali jego rodzice. W kościach czuł tę samą bolesną sztywność, a na barkach taki sam przygniatający ciężar nieszczęścia. Nie wypił whisky ani kolejnych filiżanek herbaty, które przynosiła mu Antonia. Poprosił tylko bratanicę, żeby przy nim została. W małym pokoju tuż przy głównym holu bez przerwy dzwonił telefon. Ida przekazywała wiadomości. Sam major nie mógł się zdobyć na rozmowę nawet z najbliższymi przyjaciółmi. Dopiero kiedy dziennikarze niezbyt uprzejmie, wręcz grożąc, nalegali na wywiad, słabym głosem zgodził się na spotkanie z prasą o dziewiątej rano.

Zegar na kominku, ten sam antyk, który naprawił Tom, wybijał godzinę, kiedy Stuart wkroczył do gabinetu ciężko opierając się na lasce. Antonia przysłała za nim i cicho usiadła obok, co odnotował każdy z obecnych reporterów. Większość pytań, obcesowych i niemal grubiańskich, dotyczyła problemów finansowych. Gazety chciały wiedzieć, czy majątek Stuarta został bardzo uszczuplony na skutek pożaru. Major wyjaśnił, że ostatnio podjął decyzję o wycofaniu się z interesów, a jego bankier, finansista o międzynarodowej sławie, J.P. Morgan, przekazał mu właśnie bardzo korzystną ofertę kupna fabryki. To prawda, że pożar strawił wielką część jego majątku, ale straty sięgają o wiele głębiej. Ze spuszczoną głową tłumaczył:

- Mój dziad otworzył warsztat stolarski, zanim się urodziłem... To jest koniec rodziny Stuartów.
- Czy to prawda, że w szpitalu Providence leży ciężko poparzona ofiara? - zapytał pracownik „Detroit Tribune”.
- Kiedy wybuchł pożar, na terenie fabryki pracował brat mojego wspólnika z przedsiębiorstwa automobilowego.
- Usłyszał, że Antonia wydała z siebie cichy jęk, i szybko dokończył: - Jestem pewien, że ten młody człowiek niedługo wróci do zdrowia.

Kiedy Ida wyprowadziła dziennikarzy, Stuart bezwładnie opadł na fotel.

- Byli jak stado wilków. Tylko czekali, żebym się potknął. - I nie mylił się. W oczach całego Detroit major Andrew Stuart zbyt długo prowadził wystawne, beztroskie życie i otwarcie lekceważył zasady moralne, które inni również łamali, ale byli na tyle przyzwoici, żeby robić to za szczelnie zasłoniętymi oknami. Dziennikarze wiedzieli, że wiadomość o zasłużonej karze, jaka spotkała majora, doskonale się sprzeda w dodatku nadzwyczajnym.

Antonia westchnęła.

- Jak oni mogą myśleć wyłącznie o pieniądzach? Czy nie rozumieją, jakie to wszystko dla ciebie straszne? - Podeszła do oszklonego barku i naląła stryjowi brandy. - Dobrze ci to zrobi.

Stuart ujął kieliszek obiema dłońmi, nie po to, żeby ogrzać trunek, ale dlatego, że inaczej nie utrzymałby kruchego naczynia w rękach, tak bardzo mu drżały.

- Nie potrafiłbym stawić im czoła, gdyby nie ty, moja droga. Twoja obecność przy moim boku bardzo mi pomogła.

- Już odeszli, stryju. Skończyło się.

- Bogu dzięki.

Dotknęła lekko jego ramienia i zapytała:

- Czy Flaherty może mnie zawieźć do szpitala Providence?

Kilka kropel brandy wypłynęło z kącika ust majora, a on, zwykle tak schludny, nie wytarł brody.

- Co takiego? - zapytał. - Po co?

- Reporterzy powiedzieli, że tam jest Hugh.

- Ten chłopak nic dla ciebie nie znaczy, zupełnie nic.

- Nie przestałam spotykać się z Tomem - wyjaśniła spokojnie. - Cały czas się widzimy. Kiedy idę na zakupy do miasta. Czasami kiedy wieczorami wychodzę na spacer. Jeśli nie mogę wziąć powozu, pojedę omnibusem.

- Nie chcę się z tobą spierać, nie mogę. - Major z wysiłkiem panował nad sobą. - Jednak nie ma sensu, żebyś szła do niego z wizytą. Providence to szpital katolicki i mają tam bardzo surowe przepisy. Nie wpuszczą cię za drzwi. Tylko bliskim krewnym pacjentów wolno wchodzić do budynku, tylko członkom rodziny. - Nie był tego pewien, ale postanowił namówić doktora McKenzie, żeby potwierdził jego słowa.

Antonia przekładała z ręki do ręki kryształowy korek od karafki. Stuart dawniej już zauważył u niej ten nieświadomy odruch, ilekroć dziewczyna była czymś poruszona.

- Ten dziennikarz powiedział, że Hugh jest poważnie ranny.

- Naprawdę?

Skinęła głowę.

- Nie słyszałem. No cóż, to smutna wiadomość. Nie płacz, proszę. Nie mogę tego znieść. Antonio, przestań. Powiem ci, co zrobię. Poproszę doktora McKenzie, żeby dowiedział się, w jakim stanie jest chłopiec. Albo jeszcze lepiej, zapytam, czy nie zechciałby się nim zająć. McKenzie to najlepszy lekarz w całym Detroit. Będzie nas o wszystkim informował.

Kiedy przywieziono Hugh do szpitala Providence, lekarze nie dyskutowali, czy chłopiec przeżyje uszkodzenie płuc i poparzenia trzeciego stopnia, które pokrywały go od pasa w górę. Najpoważniejszym zagrożeniem był wstrząs całego organizmu. Kilka godzin w takim stanie czyni nieodwracalne szkody. W poranione nozdrza włożono mu sondę, przez którą dokarmiano go wodą z glukozą. Rozcięto nożyczkami ubranie i zdjęto je z chorego. Potem owinięto go kocami i dodatkowo obłożono gorącymi cegłami.

W ambulatorium jedna z sióstr miłosierdzia, które pracowały w szpitalu jako pielęgniarki, posmarowała oparzenia Toma mieszaniną oleju lnianego i wody wapiennej. Dłonie i opuszki palców Toma Bridgera były pokryte bolesnymi pęcherzami, więc założyła mu opatrunki, zanim wyprowadziła go do wysokiego, słabo oświetlonego korytarza, gdzie kilka siedzących w mroku z dala od siebie postaci ścisnęło w rękach różańce.

- Zaczekaj tutaj - powiedziała.

- Ale co z moim bratem? Jak on się czuje?

- Zawiadomimy cię, jeśli... - Nie dokończyła, ale z tonu jej głosu można się było domyślić, że dopuszcza najtragiczniejszą możliwość. Odeszła w głąb korytarza. Jej spowita w biały habit sylwetka rozplynęła się w mroku. Tom usiadł na twardej ławce. Miał wrażenie, że jego ciało jest zrobione z ołowiu. Dręczyły go wyrzuty sumienia, w głowie huczało od pytań. Czy brat umrze? Gorzko sobie wyrzucał, że pozwolił Hugh pracować o tak późnej porze. Czy aż tak go pochłonęła budowa auta wyścigowego i plany poślubienia Antonii, że zapomniał o innych zobowiązaniach? Jak mógł zostawić młodszego brata samego, w opustoszałej fabryce, pełnej wysuszonego drewna? (Tom

zapomniał, że kiedy był o wiele młodszy niż Hugh teraz, jeszcze bardziej się narażał, żeby przetrwać samemu i utrzymać brata.) Dlaczego nie było go w warsztacie razem z nim, kiedy wybuchł ten cholerny pożar? Czy Hugh umrze?

Kilka razy siostra czy salowa przechodziła spowitym w półmroku korytarzem. Wtedy gwałtownie prostował się na ławce, jakby oczekiwał najgorszego, i wstrzymywał oddech, dopóki postać go nie minęła. Tylko raz wstał z miejsca, żeby pójść do toalety.

W końcu pierwsze światło spoczęło na oknach szpitala.

Wraz ze świtem na korytarzu zaroilo się od personelu.

O drugiej trzydziści po południu zaczęli napływać odwiedzający, a o trzeciej wysoka, bardzo tęga siostra otworzyła drzwi oddziału.

Tom wstał poruszając zesztywniałymi w stawach nogami jak drewniany żołnierz.

Łóżko Hugh stało w odległym rogu, oddzielone od reszty sali wysokim parawanem, rzucającym na chorego ponury cień. Wolny, świszczący oddech wydobywał się z ust zabandażowanej mumii. Karta szpitalna, przymocowana w nogach żelaznego łóżka, nic nie powiedziała Tomowi o stanie brata. Na szerokiej, osłoniętej zakonnym welonem twarzy siostry oddziałowej malowała się zawodowa obojętność. Tom dowiedział się, że stan chorego się nie zmienił. Pielęgniarka nie chciała albo nie mogła dodać nic więcej.

Kiedy upłynęła godzina odwiedzin, Tom krążył w labiryncie korytarzy, aż odnalazł młodego, łysiejącego lekarza ze stetoskopem na szyi.

- Doktorze, jaki jest stan Hugh Bridgera?

- Mamy tu setki pacjentów, więc...

- Bridger. Na oddziale urazowym.

- Chwileczkę, coś o nim słyszałem. Czy to nie ten poparzony?

- Tak.

- To pacjent doktora McKenzie.

- McKenzie? - Tom wytrzeszczył oczy. - McKenzie?

- Jak się panu udało skłonić wielmożnego doktora z kliniki Harpera, lekarza najlepiej urodzonych, żeby zjawił się w naszym skromnym szpitaliku?

Przez chwilę oczy Toma spoglądały chłodno. Kto przysłał tu McKenziego? Antonia? Major? Co to za różnica? Czy Hugh przeżyje?

- Co z moim bratem? Wydaje mi się, że jest w bardzo ciężkim stanie.

- McKenzie z panem nie rozmawiał? Pana brat jest na liście pacjentów w stanie krytycznym. To oznacza, że może my się spodziewać wszystkiego.

Następnego dnia po południu złowróżbny parawan wciąż rzucał cień na łóżko Hugh. Chłopiec mamrotał pod nosem:

- Auto... wyścigówka... muszę ją uratować...

- Nic się jej nie stało, Hugh. Jest tylko trochę osmalona.

- Ciężko... pchaj...

- Już ją wypchnąłeś. - Tom nachylił się nad spoconym czołem. - Bardzo nam pomogłeś.

- Tommy?

- Tak, to ja.

- Pomóż mi pchać - łkał Hugh dziecięcym, piskliwym głosem. - Tommy, jak boli...

Tom przebiegł przez całą salę do stojącego przy drzwiach biurka dyżurnej pielęgniarki, chwycił zabandażowaną dłoń za pulchne, krągłe ramię zakonnicy i przyprowadził ją do łóżka brata.

Nazajutrz na stoliku za parawanem pojawił się bukiet czerwonych róż. Stał w kubku z wodą, a zapach kwiatów tłumiał przytłaczającą woń śmiertelnie chorych ciał i kwaśny odór wody wapiennej. Rozwieszane w korytarzach tabliczki zabraniały wnoszenia kwiatów na oddział.

- Doktor przyniósł... od panny Dalzell.

Tom potarł niebieskie żyłki na nadgarstkach. Oddychał teraz swobodniej. W jakiś irracjonalny sposób bukiet od Antonii łączył się w jego umyśle z faktem, że Hugh odzyskał świadomość.

- Zaraz wrócę - obiecał bratu i podszedł do biurka siostry dyżurnej, klucząc wśród wysokich łóżek, przy których siedzieli odwiedzający - jeden przy każdym chorym.

- Wydaje mi się, że brat poczuł się lepiej - oznajmił pielęgniarce. - Czy skreślono go już z listy przypadków krytycznych?

- A skąd wiedziałeś, że na niej był? - zapytała i uśmiechnęła się bladym, dziewczęco nieśmiałym uśmiechem. - Nie. Ale dziś rano stoczył ciężką walkę.

Parawan zasłaniający łóżko nie wydawał się już tak ponu-

ry i złowróźbny. Przez trzy dni i noce niepokój sprawiał, że Tom zapomniał o potrzebie snu i głodzie, ale teraz zmęczenie, jak zimny pot, spłynęło mu po karku i łopatkach. Usiadł na stołku przy bracie. Czerwone róże od Antonii zmieniły się w zamazaną plamę.

II

Tom.

Drgnął i gwałtownie się ocknął. Przy łóżku zobaczył Trelinacka.

Tuż za nim stała młoda kobieta, ubrana w brązowy jedwabny kostium z wysoką stójką, sięgającą okrągłego podbródka o zdecydowanym zarysie. Była to Maud, najstarsza z trzech córek Trelinacka. Obszywany brązowym aksamitem kapelusz siedział prosto na gęstych, ciemnych, połyskujących włosach. Orzechowe oczy spoglądały otwarcie, na policzkach wykwitał zdrowy rumieniec. Chociaż odziedziczyła po ojcu krzepką budowę ciała - miała grube kostki i nadgarstki - jej talia była wąska, a piersi jędrne i kształtne. Wszystko razem sprawiało, że Maud Trelinack uchodziła za atrakcyjną kobietę i znajome zachodziły w głowę, dlaczego ciągle nie wychodziła za mąż, mimo że skończyła już dwadzieścia trzy lata. Trelinack nieustannie się chwalił, że córka zarabia na własne utrzymanie jako krawcowa pań z towarzystwa, więc krążyła opinia, jakoby niezależność finansowa Maud i jej całkiem niekobiecea bezpośredniość odstraszały potencjalnych kandydatów na męża.

- Dzień dobry, Tom. - Maud odziedziczyła po Trelinacku również szeroki, miły uśmiech.

- Witaj, Maud.

Goście nachylili się nad obandażowanym ciałem Hugh i powitali go radosnym, głośnym szeptem, jakby chcieli przebić się głosem przez opatrunki.

- Jak wam się udało zmylić tego smoka przy drzwiach? -zapytał Tom. - Wpuszczają tu tylko członków rodziny. Trelinack podkręcił węża.

- Jestem twoim kuzynem Jackiem, nie pamiętasz?

- Co to za róże? - zaciekawiała się Maud. - Przecież kwiaty też są tu zabronione.

- Panna Dalzell przysłała je przez doktora - wyszeptał Hugh. Poruszenie ustami sprawiało mu ból.

- Czy ona nie musi stosować się do przepisów? - chciała koniecznie wiedzieć córka Trelinacka.
- Dziecko, dziecko - uspokajał ojciec. - Nie przyprowadziłbym cię ze sobą, gdybym wiedział, że będziesz się kłócić z pacjentem.
- Tato, za każdym razem, kiedy zadaję rozsądne pytanie, mówisz mi, że się kłócę albo zachowuję jak mężczyzna -odparowała Maud.

Trelinack z czułością mrugnął okiem. Dziewczyna była jego ulubienicą.

- Chłopcy, posłuchajcie mojej rady. Kiedy założycie rodzinę, nigdy nie płódźcie córek. Tom, może byś przyszedł do nas na herbatę?

Właśnie w tej chwili za parawan wkroczyła siostra.

- Zaszła pomyłka. Przy chorym może być tylko jeden odwiedzający. Proszę opuścić oddział. - Zmierzyła Trelinacka i Maud surowym wzrokiem i wróciła na posterunek przy drzwiach.

- Lepiej będzie, jak sobie pójdziemy. No to jak, Tom?

- Dziękuję, Trelinack, ale nie mogę. Godzina odwiedzin dopiero się zaczęła.

- Idź... - wymamrotał Hugh.

- Będzie ci przyjemniej, jeśli tu zostanę.

W szczelinie między bandażami widać było, że pozbawione rzęs powieki chłopca zamknęły się. Pokrzepiające głosy docierały do osłoniętych opatrunkiem uszu.

- Chce mi się spać...

- Poczekam, aż zaśniesz - oświadczył Tom.

- A więc przyjdiesz? - nalegał Trelinack.

- Jeśli zaproszenie będzie nadal aktualne.

- Wrócę od razu do domu, żeby zawiadomić moją panią. - Trelinack włożył kapelusz na głowę. On i Maud pożegnali się głośnym szeptem.

Kiedy Tom opuścił salę, zobaczył, że Maud czeka w wysokim korytarzu.

- Tata mnie tu zostawił, żebym nie dała ci uciec -oznajmiła.

- Myślisz, że ci się to uda? - Tom z wysiłkiem uśmiechnął się do młodej, krągłej kobiety.

Trelinack często zapraszał do siebie obu braci, więc dobrze znali wszystkie trzy Trelinackówny. Tomowi najbliższa była Maud. Kierowała się w życiu zdrowym rozsądkiem,

zarabiała na siebie; zawsze szczerza i uczciwa, miała uroczy zwyczaj ściągania brwi, kiedy przyglądała mu się oczami krótkowidza. Hugh twierdził, że jako wprawna krawcowa powinna ubierać się bardziej elegancko. Uważał, że jest przyziemna. Tom określał to inaczej. Jego zdaniem dziewczyna twardo stąpała po ziemi. Nie miała poczucia humoru, ale z pogodą przyjmowała jego dowcipy.

Kiedy znaleźli się przed masywnym, zbudowanym z kamienia budynkiem szpitala, wsunęła mu rękę pod ramię. Mimo śmiertelnego znużenia i dręczącej go troski, Tom jak zwykle starał się podrażnić trochę z Maud.

- Boisz się, że więzień ucieknie? Nie wypuściła jego ramienia.

- Tom! - upomniała go z szerokim, miłym uśmiechem.

- A co będzie, jeśli spróbuję się wyrwać?

- Dlaczego zawsze chcesz mi dokuczyć?

- laki już jestem. - Przez minutę szli w milczeniu po Grand Boulevard. Twarz Toma poszarzała ze zmęczenia.

- Zdaje się, że Hugh ma się trochę lepiej - pocieszała go.

- Dlaczego tak sądzisz? - Był przytomny, nie majaczył.

- Zabawna z ciebie dziewczyna.

- Ja? Zabawna? Dlaczego?

- Kto inny by powiedział, że Hugh wygląda bardzo dobrze.

- Przecież wiesz, że nigdy nie kłamie. Co ci powiedzieli w szpitalu?

- Nic.

- Nic?

Czuł, że łzy kłują go pod powiekami.

- Maud, tak bardzo się o niego martwię. Mocniej przycisnęła rękę do jego ramienia.

- To zupełnie naturalne. Jest dla ciebie całą rodziną.

- Wyjdzie z tego - oświadczył z mocą Tom. - Na pewno.

- Przed chwilą mówiłaś, że nie wyglądał zbyt dobrze.

- Hugh wyzdrowieje - odparła stanowczo.

- Można z tobą konie kraść, Maud. - W jego głosie nie było zartobliwej nuty. Mówił poważnie. - Prawdziwa z ciebie przyjaciółka.

W głowie Toma huczało. Czuł w niej tylko pustkę. Nie zauważył, że przez niebrzydką, rumianą twarz Maud przebiegł dziwny cień, ni to smutku, ni rezygnacji.

- Jesteśmy z tej samej gliny, Tom, ty i ja - stwierdziła. - Oboje, jeśli coś postanowimy, to nam się spełnia.

W niewielkim, schludnym domu Trelinacków przy East Alexandrine Avenue herbata oznaczała kolację. Jaja ugotowane na miękko w porcelanowych kieliszkach, długi półmisek pełen starannie ułożonych plastrów szynki i pieczonej wołowiny, piekące w język marynowane cebulki, ser stilton i grube kromki wiejskiego chleba domowego wypieku, które smarowano gęstą jak masło śmietaną i dżemem malinowym. Tom myślał, że jest zbyt zmęczony, żeby jeść, ale od czasu pożaru nie zasiadł do prawdziwego posiłku i ze zdziwieniem stwierdził, że z apetytem pochłania wszystko, co nakładano mu na talerz. Rozmowa przy stole dotyczyła głównie nowej pracy Trelinacka, którą miał rozpocząć w przyszłym tygodniu.

- Dostałem posadę głównego brygadzysty w fabryce mebli Fenninga. Poznali się na dobrym fachowcu - oświadczył gospodarz z promiennym uśmiechem. Posiłek zakończył się herbatą, podaną w dużych fajansowych filiżankach. Kobiety wstały, żeby sprzątnąć ze stołu.

- Tom - zagadnął Trelinack. - Chyba lecisz z nóg.

- Tak, jestem strasznie zmęczony.

- No to chodź. - Brygadzysta odprowadził go na wąski ganek i zamknął za sobą drzwi. - Zanim pójdziesz, chciałem ci coś powiedzieć. Właśnie dlatego skłamałem, że jestem twoim krewnym i dostałem się do szpitala, żebyś usłyszał to ode mnie osobiście. - Nabił tytoniem fajkę.

- O co chodzi?

- Dzisiaj rano zajrzałem do fabryki, żeby sprawdzić, czy nie da się czegoś uratować z warsztatu. Nic nie znalazłem, ale to inna historia. Kręcił się tam jakiś młody elegancik w sztylpach. Niewiele mówił, do czasu, kiedy mu zdradziłem, że kiedyś pracowałem tu jako brygadzysta. Wtedy puścił farbę. To miejscowy przedstawiciel towarzystwa ubezpieczeniowego Lloyda z Londynu.

- Mów dalej - polecił Tom.

- W tym tygodniu sprowadzi paru detektywów z agencji Pinkertona, żeby przeczesali dziedziniec.

- Detektywi?

- Tak. W grę wchodzi wielki majątek. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.
 - Dwieście pięćdziesiąt tysięcy!
 - To była największa fabryka mebli w mieście. Powiedział mi, że zawsze w przypadku tak wielkiego pożaru zarządza się śledztwo. Teraz już wiesz. Nic więcej ci nie powiem. Idź do domu i kładź się do łóżka. - Tom się nie poruszył. - Masz taką minę, jakbyś chciał kogoś zamordować. Nie ma żadnego dowodu, Tom. Nawet najmniejszego śladu.
 - Lloyd ma na ten temat inne zdanie.
 - Ten goguś mówił, że w takich wypadkach to rutynowe postępowanie. A poza tym, czy to ma jakieś znaczenie, co znajdą spece od Pinkertona? Pożar już wygasł. Stało się.
- Drzwi się otworzyły.
- Maud wyciągnęła koszyk nakryty serwetą w czerwoną kratę.
- Cieszę się, że cię jeszcze złapałam. Zapakowałam ci trochę szynki i resztę chleba, który upiekła mama.

Gdy tylko Tom wyciągnął się na posłaniu, zapadł w ciężką drzemkę. Nie wiedział, jak długo spał. Mogło to być kilka godzin albo parę minut. Nagle ocknął się i wbił wzrok w ciemne okno. Zacisnął pięści, usta miał zacięte. Myślał całkiem jasno.

Ćwierć miliona. Podły, stary dziwkarz ubezpieczył fabrykę na ćwierć miliona dolarów!

Jednocześnie widział przed sobą sylwetkę Hugh majaczącą w kłębach dymu i szerniałe palce, żałośnie chwytające się samochodu.

Myśl o majorze i obraz poparzonego brata splotły się ze sobą jak włókna stalowej liny, mocne i nierozdzielne. Nie potrafił już oddzielić pewności co do przestępstwa popełnionego przez Stuarta od ran brata.

IV

Tego dnia około szóstej dwóch sanitariuszy przyszło zmienić opatrunki Hugh. Uważano, że ze względów profilaktycznych należy zerwać zwęgloną skórę. Hugh rzucał się na łóżku, żeby umknąć przed pincetą. Jego słabe krzyki słychać było na całym oddziale. Nadbiegła pielęgniarka, żeby go przytrzymać. Kiedy jego rany pokryła wazeli-

na i świeże bandaże, chłopiec zapadł się w czeluść, gdzie diabły skakały wokół niego i dźgały go rozpalonymi widłami.

Ocknął się, gdy poczuł na ramieniu lekki dotyk.

- Cii - wyszeptał kobiecy głos. - Wszystko w porządku. Śnił ci się jakiś koszmar.

Niechętnie wracał do rzeczywistości. Przykrecono płomienie lamp gazowych i jeden z wątych kręgów światła wydobywał z mroku niezwyklej profil i wielkie, błyszczące oko. Hugh widział raz Antonię. Było to pewnej niedzieli, kiedy Tom przyprowadził ją do warsztatu, żeby obejrzała nie wykończone auto wyścigowe.

- Panna Dalzell? - wyszeptał, usiłując wymawiać słowa bez poruszania ustami.

- Antonia - poprawiła go kiwając głową.

- Jak...?

- Doktor McKenzie to załatwił. Boli cię, kiedy mówisz, prawda? Nie musimy rozmawiać.

- Ty... proszę...

Antonia doceniała tę potrzebę mówienia. Tak często sama próbowała przebić słowami ścianę, która oddzielała od niej ojca.

- O czym mam mówić, Hugh?

- Twój... dom...

Wyjęła szpilkę z kapelusza, zdjęła go i usiadła na stołku.

- Stryj zbudował dom na trzech akrach ziemi, które odziedziczył po ciotecznej babce. - Przemawiała łagodnym tonem. Pochyliła nisko głowę, tak że owiewał go zapach wody różanej, wydobywający się z jej włosów, i tłumiał ostrą woń szpitala. - Stryj chciał, żeby wyglądał imponująco. Tom mówi, że kiedy tam wchodzi, ma wrażenie, jakby dom chciał go wypluć na ulicę. W holu wisi olbrzymi szklany żyrandol i co trzy miesiące Flaherty poświęca cały tydzień, żeby wypolerować poszczególne kryształki. Główną postacią na witrażach, wykonanych przez Tiffany'ego, jest rycerz z herbem stryja na zbroi. W salonie wiszą piętnastowieczne gobeliny. Sprowadzono je z Andaluzji.

Przedstawiają sceny biblijne. Za sprawą czasu przybrały smutny, brązowawy odcień.

Hugh z trudem poruszył zabandażowaną dłoń, tym słabym gestem prosząc Antonię, żeby mówiła dalej. Tom powiedział jej, że brat lubi fantazjować na temat

życia bogaczy, więc ze szczegółami opowiadała o wszystkich luksusach, wiedząc, że sprawi mu przyjemność.

- Ida, kucharka, ma w kuchni wielki stół z marmurowym blatem, specjalnie do zagniatania ciasta. Co piątek, przy śniadaniu, stryj kładzie na kredensie kilka złotych monet, żeby kupiła zapasy jedzenia, potrzebne na następny tydzień. A...

Hugh był zbyt osłabiony, żeby rozumieć wszystko, co do niego mówi, ale głos Antonii, tak spokojny i delikatny, jak spadający śnieg, ukoił jego ból i strach. Słuchając zapadł w pozbawiony koszmarów sen.

v

Dwie przecznice od Trelinacków na East Alexandrine Avenue wynajmował dom Henry Ford wraz z rodziną. Pewnego popołudnia Tom stanął pod jego drzwiami. Na pukanie zjawił się Henry w świeżo wyprasowanym szarym kombinezonie.

- Tom. Próbowałem się z tobą zobaczyć. Jak się czuje Hugh?

- Coraz lepiej, dziękuję.

- To dobrze. Martwiliśmy się o niego z Klarą. Wejdiesz do środka?

- Chyba się właśnie gdzieś wybieralesz?

- Do warsztatu.

Energia i poczucie jasno nakreślonego celu, jakie dostrzegł u Forda, przygnębiły Toma. On po ostatnich przejściach zatracił te cechy.

- Henry, czy jest jakaś szansa na posadę inżyniera u Edisona?

- Ty o to pytasz? Nie wracasz od budowy aut?

- Skończyłem z tym.

- Z powodu pożaru?

- To bardziej skomplikowane - odparł Tom czerwieniejąc. Henry pociągnął wąs.

- Rozumiem. Ja mam zamiar całkowicie się temu poświęcić. Moje stanowisko wkrótce się zwolni.

- Nie zatrudnią mnie od razu jako głównego inżyniera.

- A kto, zaraz po mnie, jest najlepszy w Detroit? - W niebieskich oczach Forda zamigotały ogniki. - Szepnę o tobie słówko. Dwa słowa. Trzy. O nic się nie martw.

VI

Po dwóch tygodniach pobytu Hugh w szpitalu Providence wysoka, tęga zakonnica kazała Tomowi przyjść następnego dnia, punktualnie o ósmej, z ubraniem dla chorego i środkiem transportu. Przybył następnego dnia wynajętą bryczką i polecił woźnicy czekać.

Obok łóżek stały emaliowane dzbanki i miski. Dwie siostry, w wielkich białych fartuchach założonych na habity, myły pacjentów.

Doktor McKenzie siedział za biurkiem siostry dyżurnej i studiował jakieś papiery. Tom nie widział go od czasu, kiedy poznali się przed domem majora. Wyciągnął dłoń. McKenzie uściśnięła ją, a potem obejrzał świeże blizny na dłoni i opuszkach palców.

- Ładnie się goi. Czuje pan ból?

- Nie - odparł Tom. - Chciałem panu podziękować za opiekę nad bratem.

- Przeglądałem właśnie jego kartę. Proszę trzymać go w łóżku, dopóki nie powiem, że wolno mu chodzić. Astma i dym to zła kombinacja.

- Chce pan powiedzieć, że Hugh zostanie inwalidą?

- Nic podobnego. Nie będzie mógł wykonywać ciężkich, fizycznych prac, i to wszystko.

- I tak nigdy za tym nie przepadał. - Tom uśmiechnął się. - A co z bandażami?

- Kiedyś je zdejmujemy. Jednak na razie trzeba go przyprowadzać do ambulatorium dwa razy w tygodniu, na zmianę opatrunków.

- On bardzo się boi tego zabiegu. Czy to konieczne? Doktor podrapał się w piegowaty podbródek, zostawiając czerwone ślady. Jego poirytowanie nie było obrócone przeciwko Tomowi. Złościły go wszelkie pytania zadawane przez ludzi nie związanych z profesją medyczną.

- To normalny zabieg leczniczy - stwierdził. - Na lewej stronie twarzy są poparzenia trzeciego stopnia. To może oznaczać blizny.

Górna warga Toma uniosła się. Wyglądał teraz młodziej. Przebijając wzrokiem smugi bladego światła, padające przez rząd okien, przyglądał się, jak zakonnica pomaga bratu wstać i włożyć marynarkę.

- To major Stuart poprosił pana, żeby się pan nim zajął, prawda?

- Tak.
- Chciałbym, żeby rachunki przysłano do mnie.
- Major zawsze otacza opieką ofiary wypadków w fabryce.
- Ale to jest mój brat. Lekarz odchrząknął.
- Wiem, że wszystkie wasze mechaniczne pojazdy zostały zniszczone w pożarze i...
- Już z tym skończyłem - przerwał mu Tom. - Mam teraz normalną pracę. Zostałem głównym inżynierem u Edisona. Zarabiam wystarczająco dużo, żeby panu zapłacić.
- Sam pan dobrze wie, że nie chce pan przyjąć pomocy z powodu śledztwa zarządzanego przez towarzystwo ubezpieczeniowe. Zapewniam, że to wszystko bzdury. Jacyś ludzie przez tydzień przeszukiwali pogorzelisko. Co za strata czasu! Nic nie znaleźli. Jasne, że nic nie znaleźli. Nie było tam nic do znalezienia. Lloyd się przekonał i wypłaci odszkodowanie. - Tęga zakonnica podeszła do biurka szeleszcząc habitem. Doktor nie zwrócił na nią uwagi, talcsmo jak na pacjentów z pobliskich łóżek, którzy im się przyglądali. - Strata fabryki to najgorszy cios, jaki mógł spaść na Andrew Stuarda. Znam go od bardzo dawna i nigdy go jeszcze takim nie widziałem, nawet kiedy został ranny pod Gettysburgiem. Ten człowiek jest w rozpacz.
- Doktorze, proszę przysłać mi rachunki za leczenie brata.
- Dobrze, dobrze. Zachowuje się pan jak głupiec, ale ja to rozumiem.
- Dziękuję panu. Szybko dostanie pan pieniądze.
- Nie martwię się o zapłatę. Niepokoi mnie lewa strona twarzy mojego pacjenta. - Doktor spojrział na sztywną kartkę i przeniósł wzrok na zakonnice. - Co siostra myśli?
Westchnęła.
- Moim zdaniem zostanie ślad na całe życie.
- Podzielam zdanie siostry. - Zwrócił się do Toma: - Nie należy wspominać o tym bratu. Lepiej, żeby się tym nie zamartwiał, zanim odzyska trochę sił. Mamy szczęście, że przeżył. Duże szczęście. A teraz niech pan zabiera go do domu.

VII

Ranek był zimny i wietrzny. Chłodny wiatr przenikał do wnętrza bryczki, więc kiedy tylko dotarli do domu, Tom

przykrył brata pościelą z obu łóżek i przyrządził rozgrze wający napój z gorącego mleka, cukru i whisky. Hugh zdrzemnął się. Tom siedział, położywszy ręce na okrągłym stole. Palce o różowej od niedawnych oparzeń skórze spoczywały beczynn timer. Przed pożarem zawsze przynosił do domu jakąś sprężynę do naprawy, sworzeń do opiłowania lub blok do szkicowania, nad którym zastanawiał się, jak udoskonalić montaż pojazdów. Teraz mijające chwile nie miały żadnego znaczenia, jak kamienie ciskane w mętną wodę.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Intuicja podpowiedziała mu, że to Antonia.

Chociaż nie widział jej od dnia pożaru, była wciąż obecna w jego myślach. Antonia, Antonia. Już dawniej czuł żywiołową niechęć do jej opiekuna, ale od pożaru - to zabawne, jak czas rozdzielił się dla niego na dwie części, a linię graniczną wyznaczały jęzory ognia buchające z Fabryki Mebli Stuarta - jego uczucie przekształciło się w nienawiść. Nie mógł pogodzić się z faktem, że Antonia mieszka w tym szarym, niby-francuskim domu. Na myśl o tym, że przebywa tam w towarzystwie majora, coś ścisnęło go w piersi. Zdecydował, że natychmiast musi się z nią ożenić. Nie wiadomo dlaczego, ale nagle wyrzucił z pamięci wszystko, co stało na przeszkodzie ich związkowi: brak pieniędzy, stan zdrowia brata, górę nie zapłaconych rachunków za opiekę w szpitalu, kosztowną chorobę pana Dalzella i osobiste życzenia Antonii. Dla Toma istniała tylko jedna obsesyjna prawda. Antonia nie może dłużej mieszkać z jego wrogiem.

Jeszcze jedno ciche pukanie.

Zebrał wszystkie siły, żeby wytłumaczyć swoje nieugięte postanowienie i podszedł do drzwi. Przyszła obładowana paczkami.

- Przyniosłam kilka rzeczy dla Hugh - oznajmiła i pośpiesznie dodała: - Tom, musiałam się z tobą zobaczyć, musiałam. Minęło tyle czasu. - Pod jej oczami widać było delikatne cienie.

- Nic ci nie jest?

- Bardzo się martwiłam - odparła i położyła pakunki na stole. Zawinięta w bibułę długa paczuszka zapewne zawierała książkę. Cztery brzoskwinie z cieplarni leżały w koszyczku. W słoiku brązowił się rosół, który zastygł na galaretkę. - Jak on się czuje?

- Śpi. Właśnie przywiozłem go ze szpitala.
- Doktor McKenzie mi powiedział.
- Chorowałaś? Potrzęsnęła głową.
- Nie, tylko się niepokoiłam.

Sine kręgi pod oczyma odebrały mu odwagę. Nie wiedział, jak wyrazić swoje żądanie, więc powiedział:

- Dziękuję za listy. - Codziennie dostawał od niej jedną lub dwie wiadomości. - Ja sam nie lubię pisać, ale twoje listy bardzo mi pomogły.

Uśmiechnęła się i lekko uniosła ramiona, jakby zachęcając go do uścisku. Przez krótką chwilę Tom zastanawiał się, czy nie uwieść jej pocałunkami, nie złamać jej woli swoim ciałem, ale odrzucił ten pomysł, jako niegodny siły jego uczucia do Antonii. Podsunął jej krzesło, sam usiadł naprzeciw i patrzył na nią spoza stosu prezentów, nie wiedząc, co zrobić.

- Tom... - Z namysłem wodziła palcem po koszyku. - Mam perły po matce i złotą spinkę. Mógłbyś je sprzedać.

Pieniądze pomogłyby ci zbudować nowy samochód.

- Nie będzie więcej samochodów.
- Przecież mówiłeś, że udział w wyścigu przyciągnąłby klientów.
- Już z tym skończyłem - oświadczył twardo. - Żadnych samochodów.
- Spotkało cię niepowodzenie, bardzo dotkliwie, ale...
- To mnie otrzeźwiło.
- Sprzedawałeś wszystkie maszyny, które wyprodukowałeś.
- Bogatym ludziom. Nigdy nie interesowały mnie luksusowe zabawki.
- Tom, błagam cię, nie mów w ten sposób. Zwykle jesteś taki... rycerski.
- Wyrzuciłem srebrną zbroję - odparł. - Jak ci się tu podoba?

Zdziwiona uniosła brwi.

- Słucham?

- Jak ci się podoba to mieszkanie?

Spojrzała na pozbawione zasłon okna, na piętrzące się w zlewie naczynia, tanią kuchenkę i uśmiechnęła się smutno.

- Od razu widać, że to kawalerskie gospodarstwo.

To oczywiste, że nie dostrzegła w tym mieszkaniu oznak

nędzy. Oczy Antonii nigdy nie dzieliły ludzi według posiadanego majątku i to dodało Tomowi odwagi do dalszej rozmowy.

- Henry Ford zrezygnował z pracy u Edisona. Poleciał mnie swojemu szefowi i dostałem jego dawne stanowisko. Zostałem głównym inżynierem. Dobrze mi płacą. - Dobitniejszym tonem, który w jego własnych uszach brzmiał żałościwie i sztucznie, dodał: - Możemy się pobrać.

Na moment radosny uśmiech ożywił stężałą twarz Antonii.

- Cały czas o tym myślę.

- Jutro rano przekroczymy granicę, pojedziemy do Windsor i znajdziemy tam jakiegoś sędziego.

- Jutro? Do Kanady?

- Nie jesteś pełnoletnia, a tutaj żądają metryki urodzenia. Tam nie mają takich wymagań.

- Ojciec od tygodnia kaszle i...

- Antonio, twój ojciec już nigdy nie wróci do zdrowia - odparł Tom tak łagodnie, jak tylko potrafił, kiedy usłyszał z jej ust wymijającą odpowiedź. - Bardzo cię teraz potrzebuję.

- A ja ciebie - wyszeptała.

Jej drżący, napięty głos przywrócił mu pewność siebie.

- Wyliczyłem, że zapłacenie rachunków za szpital zabierze mi cztery miesiące, potem będziemy mogli wynająć dom, zatrudnić do pomocy jakąś cudzoziemkę i sprowadzić do siebie ojca. On nawet nie zauważy, że spędzi te cztery miesiące bez ciebie.

- Ojciec to nie jest kłoda drewna. On myśli, rozumie. - Spuściła wzrok na koszyk. - Stryj choruje. Utrata fabryki była straszliwym ciosem. Załamał się.

Tom natychmiast poczuł zazdrość zmieszaną z podejrzliwością.

- Doktor McKenzie twierdzi, że Hugh będzie miał blizny - powiedział ochrypłym szeptem.

- Och, Tom. - Oczy zaszyły jej łzami.

- Cała lewa strona twarzy. Bóg wie, jak będzie wyglądał. Oto sprawka twojego biednego, załamanego stryja.

- A więc słyszałeś o tym niedorzecznym dochodzeniu. - Wstała z miejsca. - Dla stryja to jakby strata dziecka.

- On nie stracił dziecka, tylko je sprzedał za ćwierć miliona dolarów.

- Był w domu, kiedy wybuchł pożar.

- Czy ja mówię, że sam zapalił zapałkę? Był właścicielem fabryki, która nie przynosiła dochodów, a on potrzebował pieniędzy, więc Hugh został zmiażdżony jak mrówka podczas pikniku! - Miotła nim wściekłość. Mocno przygryzł wargę, żeby odzyskać nad sobą kontrolę.

- Tom, dlaczego się kłócimy? - zapytała wyciągając do niego rękę.

- Ja nie zacząłem, mówiłem o nas, o naszym ślubie. -Ogarnęło go nieprzewyciężone pragnienie, żeby ją objąć, zatonać w jej szczupłym, żarliwym ciele i upewnić się, czy ona naprawdę go kocha. Jednak gniew i zazdrość sprawiły, że odrzucenie wyciągniętej dłoni wydało mu się jedyną rozsądną reakcją. - Wszystko inne nie ma znaczenia. To tylko wykręty. - Zabębnił kostkami palców po marmurowym blacie. - Pytanie brzmi, czy jedziesz jutro ze mną do Windsor.

Delikatny podbródek uniósł się w takim samym geście zdeterminowanego uporu jak zawsze, gdy broniła czegoś, co kochała.

- Tom, kocham cię bardziej niż kogokolwiek pod słońcem. Ale stryj, kiedy go potrzebowałam, przyjechał do mnie aż do Paryża. Sprowadził tu ojca i mnie. Był dla nas zawsze bardzo hojny, chociaż, jak się okazało, nie bardzo mógł sobie na to pozwolić. Jest naprawdę zdruzgotany. Na jakiś czas muszę przy nim zostać. Po raz pierwszy to ja mogę mu pomóc.

Czy ona należy do mnie, czy do tego starego łobuza podpalacza? Pytanie podziało na Toma jak narkotyk, który przyjmują hinduscy zabójcy przed dokonaniem zbrodni. Skóra go piekła, zmysły oddzieliły się od niego, jakby nabrały jakiejś nieziemskiej mocy. Zazdrość wybuchła w nim ze straszliwą siłą.

- Więc nie pojedziesz?

- Stryj...

- Tak czy nie?

- Stryj całymi dniami siedzi w fotelu, a ojciec...

- Jedno słowo! Czy to takie trudne?

- Tom, błagam. Jesteś dla mnie wszystkim...

- Do cholery, wyjedziesz ze mną, czy nie?

- Nie mogę, dopóki wszystko się nie uspokoi. - Jej westchnienie przeszło ciszę, która nagle zapadła w ubogim mieszkaniu. - Nie.

Tomowi zabrakło tchu. Usłyszał własne ciężkie sapanie, zanim opętańcza zazdrość do reszty odebrała mu rozum.

- Więc chcesz zostać z tym degeneratem, który cię zdemoralizował!

Opadła na krzesło.

- Rozmawialiśmy o tym na początku znajomości. To była niemądra pomyłka.

- Czyżby?

Spojrzała przez okno na nędzne, nie malowane baraki wyrastające na terenie, który kiedyś był ogrodem.

- Ty, lepiej niż ktokolwiek inny, wiesz, jak było naprawdę - wyszeptała przeraźliwie zbielełymi ustami.

Tom czuł tylko jedną potrzebę. Chciał zniszczyć Antonię, tak jak jej odmowa zniszczyła jego.

- To, co wiem, może również świadczyć o czymś zupełnie przeciwnym - odparł z fałszywie brzmiącym śmiechem.

- Jasne, za pierwszym razem doskonale odegrałaś swoją rolę. Ale potem! Antonio, co się działo potem! Nigdy nie było mnie stać na kobiety o takiej klasie. Nigdy nie całowała mnie i nie pieściła taka doświadczona dziwka. - Kiedy

to mówił, opadły go wspomnienia. Widział przejrzystą biel jej ciała w zielonym cieniu drzew, rozpaloną miłością twarz, czuł pełną uniesienia radość, którą wyrażała czułymi, błędzącymi po całym ciele pocałunkami. Mój Boże.

Pragnął czołgać się u jej stóp i błagać o wybaczenie. Jednak cały czas pamiętał, że zdecydowała się zostać z jego wrogiem. W oczach Toma wybór Antonii nie dawał się pogodzić z miłością. - Daleko zajdziesz. Dzwinki, które

wyglądają jak niewinne panienki, a znają wszystkie kurewskie sztuczki, to najbardziej poszukiwany towar.

Dotychczas przekładała z ręki do ręki małą haftowaną torebkę, ale teraz zacisnęła ją mocno w dłoniach.

- Zachowywałam się tak... bo było to częścią mojej miłości, miłości do ciebie... - wyszeptała błagalnie. - Tom, czy ty nie czułeś tego samego?

Płakała, a on był również bliski łez.

- Ja się świetnie bawiłem, jak nigdy w życiu! Podeszła do drzwi. Chwycił słoik z rosołem i próbował wcisnąć go w jej rękę.

- Proszę. Nie potrzebujemy jałmużny. - Słoik upadł i roztrzaskał się z głośnym hukiem. Pachnąca wołowiną galaretką osuwała się po jej spódnicy, znacząc brązowy materiał ciemnymi plamami. Cofnął się.

- Budzisz we mnie wstręt - oświadczył zduszonym głosem.

Chmura przesłoniła słońce i w cieniu duże, wilgotne oczy Antonii połyskiwały czarnym światłem. Te niezgłębione oczy opłakiwały wszystkie niewytłumaczalne okrucieństwa i smutki, jakich doświadczyli ludzie od początku świata. Odwróciła się i wyszła.

Tom oparł się o surowe deski drzwi i nasłuchiwał jej kroków. Z trudnością chwycił powietrze. Myśli kłębiły się bezładnie. Czyżby astma była u Bridgerów rodzinną przypadłością? Czy cierpiałby bardziej, gdyby wyrwał bijące serce z własnej piersi?

- Tom?

Słyszając wołanie brata wolno podszedł do zlewu i ochlapał twarz zimną wodą. Dopiero potem wszedł do wąskiej klitki, służącej im za sypialnię. Pozbawione rzęs błękitne oczy patrzyły na niego spomiędzy bandaży.

- Nie przypuszczałem, że lubisz wyrywać skrzydełka motylom.

- Podśluchiwałeś.

- Obudziły mnie twoje krzyki. Major na pewno ją do tego zmusił.

- Nic podobnego. Była niewinna, całkiem niewinna. Nawet nie w pełni rozumiała, co robimy.

- Więc jak mogłeś mówić jej takie rzeczy?

- Lubię wyrywać skrzydełka motylom - warknął Tom. Nagle opadł na własne posłanie i ukrył twarz w poduszce w szare pasy. Plecy mu drżały od gwałtownego szlochu.

Hugh nie pamiętał, żeby brat kiedykolwiek płakał, nawet gdy pochowali matkę, a potem ojca, w grobie na podwórzu samotnego domu w środku prerii. Okropne dźwięki docierały przez warstwę bandaży do jego uszu. Chciał pocieszyć Toma, ale miał tylko siedemnaście lat, zawstydział go ten nagły wybuch żalu, nie przyszedł jeszcze do siebie po porannym wysiłku, a poza tym był przyzwyczajony do tego, że to zwykle starszy brat otaczał go opieką.

15 października, w dniu, kiedy doktor McKenzie zdjął bandażę Hugh, spadł niezwykle wczesny śnieg. Lekarz, w obawie że drogi staną się nieprzejezdne, natychmiast wyruszył na wizyty domowe.

Kiedy badał pana Dalzella, Antonia czekała na zewnątrz. Po skończonej wizycie zawiadomił ją, że stan ojca się poprawił.

- Wspaniale - odparła i spuściła oczy. Mrok korytarza nie pozwalał dostrzec wyrazu jej twarzy.

- Doktorze, jak się miewa Hugh Bridger?

- Głębokie blizny pokrywają lewą stronę jego twarzy. Oparła się o wykładaną boazerią ścianę.

- Nic ci nie jest, dziecko?

- Trochę kręci mi się w głowie, i to wszystko.

- Nie podoba mi się, że ostatnio tyle straciłaś na wadze. Niewykluczone, że coś ci dolega. Chodź, rzucę na ciebie okiem.

Zaprotestowała, ale zaprowadził ją do pokoju o niebieskich tapetach, którego półkoliste okna wychodziły na zaśnieżony ogród z tyłu domu. Kiedy zdjęła suknię i została tylko w ładnej, haftowanej koszulce, doktor ją zbadał. Zadawał pytania, które brzmiały coraz bardziej klinicznie.

W końcu oznajmił jej swoją diagnozę.

Z doświadczenia wiedział, że dziewczęta, które znalazły się w podobnej opresji, zwykle łkając wszystkiemu zaprzeczają lub oskarżają mężczyznę. Antonia tylko opadła na poduszki i patrzyła na niego wielkimi, czarnymi oczami.

- Niczego się nie domyślałaś? - spytał zatrzasnąwszy torbę. Pokręciła głową.

Wsparł się o mosiężną barierkę w nogach łóżka. Pod surową powłoką profesjonalizmu ukrył rozczarowanie Antonią. Nie wolno ci tyle przebywać w pokoju chorego. Powietrze jest tam wyjątkowo niezdrowe. Odżywiaj się odpowiednio, lesteś o wiele za szczupła. Po lunchu ucinaj sobie krótką drzemkę. I... - Chciał dodać, żeby wybiła sobie z głowy wszelkie głupoty. Miał na myśli użytek, jaki mogła zrobić z szydełka, drutów do robótek ręcznych, soli trzeźwiących, pieprzu czy liftingu pokątnej babki. Powstrzymało go jednak pełne bólu spojrzenie wielkich, ciemnych oczu. - Pierwsze, co powinienem ci zalecić, to chyba ślub z tym młodym człowiekiem.

(kiwróciła głowę. Wyjaśni pan wszystko stryjowi? Jeśli sobie tego życzysz.

Major siedział skulony przy kominku w gabinecie. Jego miniona otulał szal, broda wspierała się na rączce laski.

Wydawało się, że zmałał, i patrząc na niego trudno było uwierzyć, że nie skończył jeszcze sześćdziesiątki. Jednak kiedy wysłuchał doktora, nagle ubyło mu lat. Niecierpliwie zrzucił szal na oparcie fotela i wstał. Niemożliwe!

Niczemu nie zaprzeczyła.

Bo w ogóle nie wie, o co chodzi!

Moim zdaniem, to trzeci miesiąc.

Na Boga, wszystko z niej wyciągnę! - zadudnił major i cisnął laską w kratę kominka. Schody drżały pod jego krokami.

Antonia, ubrana w biały szeroki peniuar, stała we wnęce okna. Była przybita, ale nie paliła się ze wstydu, jak się tego spodziewał major. Kiedy zamknął drzwi, odrzuciła głowę w tył i opuściła ramiona wzdłuż boków. Przybierała taką pozę, kiedy on na fortepianie akompaniował jej do śpiewu.

Czy doktor McKenzie już ci powiedział? - zapytała szybko.

Jeszcze minutę temu major pogardzał nią za to, że tak się zhańbiła i w ten sposób zniszczyła jedyną czystą rzecz w Jego życiu. W obecności bratanicy ogarnęło go pełne miłości współczucie i stłumiło wszelkie niższe uczucia.

Tak, powiedział mi - wymamrotał zmieszany.

Więc sam rozumiesz, że musimy wyjechać, ojciec i ja.

Bzdura. Wyjdiesz za mąż za Bridgera.

To już skończone. - Stała wyprostowana i nieruchoma

jak posąg, a białe fałdy batystowej szaty wyglądały jak wyrzeźbione w marmurze. - Pojedziemy do Newport. Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego wybrała Newport.

- Bridger cię kocha. Błagał mnie, żebym mu pozwolił się z tobą spotykać. Ty czujesz coś do niego. Udowodniłaś to aż nazbyt widocznie. - Bojąc się, że ostatnie zdanie zabrzmiało oskarżycielsko, zbliżył się do Antonii. - Moja droga, rzecz jasna, w takich okolicznościach wszystkie moje uprzednie zastrzeżenia się nie liczą.

Odwróciła się do okna.

- Pewnie ma żal, że zabroniłem mu cię widywać. Czy to jest główny problem? - zapytał major. McKenzie opowiedział mu, jak Tom nalegał, żeby osobiście zapłacić rachunki, więc domyślił się, że jego obwinia za wypadek brata. Jednak z własnej woli nigdy nie zdobyłby się na to, żeby wspomnieć o pożarze. - Pokłóciliście się o to, że byłem takim zazdrosnym strażnikiem?

- Nie poszło o ciebie, stryju. Chodziło o mnie... - Nie widział jej twarzy, ale usłyszał cichy jęk, podobny do tego, jaki wydaje pies przejechany kołem powozu.

Poczuł, że ogarnia go jeszcze większa niż zwykle miłość, czułość i współczucie dla dziewczyny. Zaprowadził ją do łóżka. Kiedy się położyła, powiedział:

- Zejdę teraz na dół i napiszę do niego.

- Nie!

- Bzdura. Żadne nieporozumienie, żadna kłótnia zakochanych nie jest ważniejsza niż to. Ma prawo o wszystkim się dowiedzieć. Moja droga, ten chłopak jest w tobie zadurzony. Potrafi być szorstki i czasami trudno go zrozumieć, ale wyraźnie widać, że za tobą szaleje.

Siłą woli powstrzymywała łzy. Poklepał ją po dłoni.

- O nic się nie martw. Sama zobaczysz. Jak tylko dostanie wiadomość, przybiegnie tu co sił w nogach.

Major, choć nie okrutny albo nieczuły, był człowiekiem w każdym calu samolubnym. W życiu niczego nie stawiał wyżej od własnych potrzeb. Teraz, kiedy wreszcie miał to zrobić, postanowił uczynić z tego prawdziwą ceremonię. Najpierw posłał po Flaherty'ego.

- Czy ulice są przejezdne? - zapytał.

- Tak, proszę pana.

- Dobrze. Chciałbym, żebyś jeszcze przed lunchem doręczył pewien list.

Został sam w gabinecie. Kilka razy przesunął krzesło, żeby ustawić je dokładnie pośrodku biurka, starannie ułożył przybory do pisania na blacie i z powagą patrzył na ozdobiony herbem papier listowy, zanim zamaszystym ruchem ręki nakreślił datę.

Mój drogi Thomasie,

To najtrudniejszy list, jaki mi przyszło w życiu ułożyć. Po pierwsze, chciałbym Cię przeprosić, że tak Cię źle potraktowałem w sprawach dotyczących mojej bratanicy. Na swoje usprawiedliwienie mam tylko to, że była promieniem szczęścia i radości w moim życiu, więc chciałem ją zatrzymać u siebie tak długo, jak to tylko możliwe. Antonia to mój skarb, ale bez wątpienia dla Ciebie jest dwakroć cenniejsza.

Znalazła się teraz w takiej sytuacji, że Ty stałeś się osobą, której najbardziej potrzebuje.

Wydaje się zrozumiałe, że w stosunku do mnie zachowałeś gorzkie uczucia. Nikt nie lubi, kiedy ktoś mu zarzuca, że jest niegodny ukochanej kobiety. Nie będziesz musiał znosić mojej obecności, możesz też zabronić Antonii widywać się ze mną. Z góry zgadzam się na wszystkie Twoje warunki.

Antonia nie zostanie bez grosza. Kilka lat temu przeznaczyłem dla niej sumę dwudziestu pięciu tysięcy dolarów.

(Major jeszcze tego nie zrobił, ale zdawał sobie sprawę, że Tom nie zaakceptowałby żadnej darowizny, dokonanej w obecnych okolicznościach.) Moja bratanica nie chce rozstawać się ze swoim ojcem, ale ufam, że pozwolisz mi spełnić braterski obowiązek i nadal łożyć na utrzymanie Oswalda.

Dotarł do końca strony i starannie wysuszył atrament bibułą. Przeczytał list jeszcze raz i usta wykrzywiły mu się z bólu. Rezygnował z własnych żądań, upokarzał się przed Bridgerem. Wziął drugą kartkę. Resztę listu pisał szybkimi, ostrymi pociągnięciami stalówki, zostawiając na papierze maleńkie rozpryski atramentu.

Bridger, ona nie miała najmniejszego pojęcia, w jakim znalazła się stanie. Jest przerażona do nieprzytomności.

Szczerze mówiąc, jej wygląd napawa mnie strachem. Proszę, przybądź jak najszybciej. Antonia desperacko Cię potrzebuje. Błagam Cię, przyjdź tu, kiedy tylko otrzymasz ten list.

Z poważaniem Andrew Stuart (major kawalerii stanu Michigan)

Włożył list do koperty i rozgrzał wosk nad płomieniem świecy. Odciskał właśnie pieczęć sygnetem, kiedy Flaherty zapukał do drzwi.

III

Antonia z otwartymi oczami leżała na łóżku. Od czasu kłótni z Tomem nie mogła w nocy zasnąć dłużej niż na dwie godziny. Brak snu jednocześnie wyostrzył i spowolnił jej proces myślenia. Nie rozumiała jeszcze, że będzie miała dziecko. Małe ziarenko w jej ciele, które jakimś sposobem odkrył doktor McKenzie, przerastało teraz jej zdolności pojmowania.

Jak zwykle rozmyślała o kłótni. Zdrowy umysł jest w stanie odtworzyć tysiące wrażeń z przeszłości. Umysł Antonii nie funkcjonował prawidłowo. Wspomnienie z ostatniego spotkania z Tomem ograniczało się do jednej chwili, jakby wbitej sztyletem w jej pamięć. Powiedział: „budzisz we mnie wstręt”. Przed oczami miała jego pobladłą twarz i rozwścieczone szare oczy. Słyszała jego zduszony głos.

Twarz dziewczyny wykrzywił grymas. Słyszała bicie własnego serca, które przed każdym uderzeniem na chwilę zamierało.

Tom, rozdierany własnym cierpieniem, trafił w najczulszy punkt Antonii.

Już przedtem niepokoiło ją, że jej miłość przybrała tak fizyczny wymiar. Z większości lektur odniosła wrażenie, że tylko upadłe, nic nie warte kobiety mają przyjemność z cielesnej strony miłości. (W czytanych przez nią powieściach utrata dziewictwa w noc poślubną określana była eufemistycznie jako „wielka ofiara niewinności”.) Teraz, ogarnięta obrzydzeniem do siebie, wspominała, jak na różne sposoby dotykała Toma i pozwalała mu się dotykać, jak całowała tajne miejsca jego ciała i sama przyjmowała takie pocałunki, znów słyszała, jak mimowolnie wykrzykiwała jego imię

w chwilach ekstazy. Te poniżające wspomnienia budziły w niej tym większe poczucie winy, że nawet teraz wywoływały w niej dreszcz fizycznego pożądania.

Nic dziwnego, że mną pogardza, myślała. Nagle poderwała się i oparła na łokciu, jakby wyrwana z koszmaru.

Przypomniała sobie o liście. Jeśli po otrzymaniu listu od stryja Tom do niej wróci, będzie to oznaczało, że kocha i jest w stanie wybaczyć jej upadek. Jeśli przyjdzie, to da jej dowód, że nie czuje do niej wyłącznie wstrętu.

Rozchwiany umysł Antonii uznał takie rozumowanie za logiczne.

Nagły przypływ energii przeszył ciało dziewczyny. Zaczęła się ubierać. Z trudem wciągnęła białe jedwabne pończochy i nie zauważyła, że zakłada gorset na lewą stronę. O halce zupełnie zapomniała. Trzęsącymi się rękami upinała włosy. Grzebień wysunął się z palców, szpilki posypały się na podłogę. Zrezygnowała z fryzury i czarne lśniąco włosy spływały luźno na ramiona.

Jeśli przyjdzie, powtarzała w myślach, jeśli tylko przyjdzie...

Pobiegła na dół. Oczy jej błyszczały w gorączkowym podnieceniu hazardzisty, który położył na stole do ruletki ostatni szton.

IV

Tom potarł zapałkę. Mała niebieska główka rozbłysła i mógł teraz przyłożyć płomień do zmiętych papierów i drewniek we wnętrzu kuchenki. Hugh przyglądał mu się mrugając oczami, dopóki brat nie zamknął czarnych żelaznych drzwiczek i nie zasłonił ognia.

Prawa strona twarzy młodszego Bridgera była jasnoróżowa, gładka jak pupa niemowlęcia i tak samo pozbawiona zarostu. Następnego dnia po bolesnym zabiegu zdjęcia bandaży doktor McKenzie zapewnił go, że odbarwienia znikną, brwi i rzęsy odrosną, a w przyszłości pojawi się broda.

Jednakże lewa połowa twarzy była o dwa tony ciemniejsza. Od linii podbródka do skroni, między uchem (z którego pozostał tylko niekształtny szczątek) a zgrabnie zarysowanym nosem, ciągnęła się twarda skorupa przebarwionej skóry. Poparzona skóra marszczyła się i ściągała usta w krzywy grymaś. Uszkodzenie było nieodwracalne.

- Czyżby wizyta w ambulatorium odebrała ci apetyt? -zapytał Tom.

- Chyba tak.
- Chcesz, żebym ci odgrzał gulasz od pani Trelinack?
- Wystarczą mi jajka.
- Trochę szynki? - nalegał brat.
- Nie, dziękuję. Usłyszeli pukanie.

Hugh rozejrzał się wokół wystraszonymi oczami, które jakby szukały ucieczki z klatki zniekształconej twarzy. Tom otwierał właśnie okno, żeby sięgnąć do umieszczonej na parapecie zamkniętej skrzynki na jedzenie.

- Zobacz, kto to, dobrze?

Ale Hugh umknął do ciasnej sypialni i zamknął za sobą drzwi.

Tom musiał sam przyjąć gościa.

Flaherty wyciągnął kopertę. Bridger wyrwał mu ją z ręki. Miał nadzieję, a właściwie modlił się w duchu, że to Antonia do niego napisała.

Żył w ciągłym przerażeniu tym, co zrobił. Nie mógł uwierzyć, że naprawdę wykrzykiwał do Antonii tak kłamliwe, brudne zarzuty. Kilka razy wsiadał do omnibusu jadącego na Woodward Avenue, ale zawsze wyskakiwał z niego tuż przed następnym przystankiem. Po tym, jak go odepchnęła, pierwszy nie wyciągnie ręki do zgody. Szarpany rozpaczliwą nadzieją, jak dżin, który nie może się uwolnić, dopóki ktoś nie potrze ręką o lampę, czekał na znak od Antonii, choćby najmniejszy sygnał, że pozwoli mu się przeprosić.

Rozpoznał zamaszyste pismo majora i oczy mu się zwęziły.

- Major oczekuje na odpowiedź - oznajmił Flaherty. - Mam tutaj zaczekać?

- Na dole. - Tom głośno zatrzasnął drzwi. Na stole leżały nożyce. Jednym ostrzem przeciął kopertę i wyjął z niej potrójnie złożone kartki.

- Poszedł sobie? - zawołał Hugh.

- Tak.

Hugh uchylił drzwi.

- Kto to był?

- Stangret Stuarta, z listem. Major oczekuje odpowiedzi.

- To znaczy, że ten stangret tu wróci?

Tom spostrzegł grymas przerażenia na prawej połowie twarzy brata i wykrzywione rysy drugiego policzka.

- Wszystko w porządku, Hugh. Będzie czekał na dole. Młodszy brat wrócił do pokoju.

- Nie przeczytasz tego listu?

- A po co? Mam dla majora tylko jedną odpowiedź. Nie rozkładając listu przeciął go nożycami na połowę. Hugh roześmiał się gwałtownie.

- Bardzo dobrze - stwierdził.

Tom przeciął papier jeszcze raz i włożył kawałki nie przeczytanego listu do koperty.

- Chyba zrozumie, co chcę mu przez to powiedzieć -oznajmił.

Dwoje zdziwionych dzieci patrzyło z okna, jak ich sąsiad brnie w świeżym śniegu, żeby cisnąć coś w ręce stangreta w liberii, siedzącego na koźle błyszczącego powozu.

v

Antonia bawiła się jedzeniem na stawianych przed nią podczas lunchu talerzach i cały czas z ożywieniem o czymś mówiła. Kiedy przeszli do gabinetu, nadal prowadziła taką samą nie znaczącą rozmowę. Zatrzeszczał śnieg, rozgniatany końskimi kopytami i kołami na gumach. Dziewczyna umilkła i schyliła głowę, tak że błyszcząca grzywa prostych czarnych włosów ocieniła zbielełą twarz.

Flaherty zapukał.

Major zobaczył swoją własną kopertę i szybko powiedział:

- Dziękuję, Flaherty, to już wszystko. - Zamknął drzwi i odezwał się do Antonii: - Kolejny nudny list w sprawie ubezpieczenia. Co to będzie za ulga, kiedy to wszystko się wreszcie skończy. - Wsunął list do przegródki w biurku.

Antonia wyjęła go. Chciał odebrać jej kopertę, ale powstrzymał go błysk jej oczu.

- Napisałeś tu nazwisko Toma - powiedziała wyjąwszy fragment listu.

- O mój Boże! - jęknął major. - Daj, moja droga. Wyrzucę to do śmieci.

Popatrzyła na niego bez słowa. Bał się jej dotknąć, tylko patrzył, jak drżącymi palcami składa w całość ścinki obu kartek. Pochyliła się i zaczęła czytać. Jej palce wygięły się w łuk, jakby chciała wbić paznokcie w blat biurka. Do majora wróciło dawne wspomnienie. Kiedy został ranny pod Gettysburgiem, zaniecono go do zatłoczonego szpitala polowego. Leżący obok niego młody porucznik konał, podobnym ruchem szarpiąc palcami ziemię.

Antonia podniosła wzrok. Głęboka zmarszczka przecinała jej czoło.

- Stryju, kiedy wczoraj mówiłam, że wyjedziemy stąd z ojcem, wspomniałam o Reims czy Canterbury?

- Chciałaś jechać do Newport.

- Newport? - Wyszła zza biurka i krążyła po perskim dywanie. - Dziwne. Bardzo dziwne. W Newport nie ma katedry. A to właśnie interesuje ojca. Gotyckie katedry. Stryju, on tutaj nie ma czym zająć umysłu. W Europie byłoby inaczej. Pamiętam, jak się zachwycił balustradą prezbiterium w Chartres. Całe dwa dni studiował płaskorzeźby. Jeśli pozwolę mu znów zająć się tym, co lubi, jego powrót do zdrowia będzie tylko kwestią czasu. Zamierzał pojechać do Turcji... a może do Rosji? Jaki dzisiaj dzień?

- Środa.

- Wyjedziemy pociągiem w piątek rano. Mam całe dzisiejsze popołudnie i jutrzejszy dzień, żeby się spakować i zamówić bilety na statek. Stryju, czy siostra Girardin może zostać w swoim pokoju, dopóki nie znajdzie nowej posady? Jestem pewna, że nie będzie długo szukać. Ma doskonałe kwalifikacje. Byłeś dla nas taki dobry i nie chciałabym cię dłużej wykorzystywać, ale zgódź się, dobrze? Najpierw pojedziemy do Chartres. Bagaże każę wysłać za nami. Postaram się dawać sobie sama radę ze wszystkim, dopóki ojciec nie wyzdrowieje.

- Antonio, moja droga, przestań chodzić w kółko. Usiądź tutaj, na kanapie.

- Nie, nie pojedziemy do Paryża. To miasto przypominałoby mi o chorobie.

- W twoim stanie...

- W moim stanie? Doktor McKenzie mówił coś o dziecku, prawda? Ale on się mylił. Ten człowiek na niczym się nie zna! Przykro mi, stryju. Wiem, że jest twoim przyjacielem, ale taka jest prawda. Zobacz, jak nie może dać sobie rady z przypadkiem ojca. Zmienia jego zwyczaje, każe mu siedzieć w domu. Nic dziwnego, że ojciec nie jest sobą. Co o tym sądzisz?

- No, cóż...

- Zgadzasz się chyba, że będzie lepiej, jeśli zabiorę go do Europy?

- Przedyskutuję ten plan z doktorem McKenzie...

- To szarlatan!

- Narodzi się z doktorem Ablerem z Chicago - uspokajał ją major. Odwrócił się w nadziei, że nie zauważy jego łez.
- Zaraz do niego zadzwonię.

O trzeciej, kiedy przyjechał lekarz, Antonia ochrypla już od nieustannego snucia planów podróży. Doktor podstępem zaprowadził ją na górę. Jej przeciążony, zmęczony umysł zwalczał kolejne porcje laudanum i w końcu McKenzie musiał zaaplikować jej większą dawkę, niż nakazywały wymogi bezpieczeństwa względem każdego chorego, nie mówiąc już o kobiecie w ciąży. Gdy wreszcie usnęła, obaj mężczyźni zastanowili się nad możliwością podróży.

- Dla tego nieszczęśnika, twojego brata, nic nie ma już znaczenia. Ale to biedne, wystraszone dziecko nie może zostać w Detroit.

- Chciałbym dostać tego Bridgera w swoje ręce!

- I pomyśleć tylko, że sam go zachęcałem. Oczywiście, nie miałem pojęcia, Andrew, że nie życzysz sobie tej znajomości. Antonia wydawała się samotna, a on był twoim współnikiem. Robił wrażenie porządnego człowieka. Zwykle trafnie oceniam ludzkie charaktery.

- Błagałem go, żeby do niej wrócił, po prostu błagałem. - Major nie potrafił opanować drżenia głosu i żeby się uspokoić, spoglądał na rzadkie płatki śniegu szybujące we wczesnym mroku.

- Ten chłopak to potwór! Bazyliszek! Tak mnie omamił. Major westchnął.

- Dlaczego nagle tak się zapaliła, żeby ciągnąć biednego Oswalda do Europy?

- To taka sztuczka psychologiczna, z której każdy z nas nieświadomie korzysta w większym lub mniejszym stopniu. Żeby nie myśleć o czymś, czego nie możemy znieść, koncentrujemy się na czymś innym. - Doktor wyjął mały notes i coś w nim zapisał. - Przyślę tu sanitariusza, żeby zajął się w podróży twoim bratem. Girardin będzie miała pełne ręce roboty przy Antonii.

- Te... hmm... zaburzenia to sprawa przejściowa, prawda!

- Moim zdaniem, tak. Martwi mnie coś jeszcze. Dziewczyna jest o wiele za blada i przemęczona. Potrzebuje najlepszej opieki. Dam siostrze Girardin odpowiednie instrukcje. Gdzie zamierzasz wyjechać?

- Najprościej byłoby przenieść się do Londynu. Lekarz wydarł kartkę i starannie coś na niej napisał.

- Oto nazwisko najlepszego specjalisty z Harley Street.

Tego samego wieczoru major posłał po swojego prawnika, trzech przedstawicieli agencji handlu nieruchomościami i licytatora. Chciał się pozbyć terenu, na którym stała fabryka, domu i należącej do niego połaci lasu nieopodal Pontiac. Cały czas miał przed oczami szczupłą, nerwowo wygięte dłonie Antonii. Bardzo się martwił o bratanicę, co nie przeszkodziło mu w szybkim załatwieniu interesów. Znowu był sobą. W głębi serca przyznał, że wyjazd z Detroit bardzo mu odpowiada. Śledztwo, przeprowadzone przez towarzystwo ubezpieczeniowe, wywołało wśród jego przyjaciół falę złośliwych plotek.

8

I

Kronika towarzyska

Major A. Stuart opuścił dzisiaj miasto i udał się w długą podróż po kontynencie europejskim. Jego znajomi mają nadzieję, że wyjazd pomoże mu dojść do siebie po tragicznym pożarze Fabryki Mebli Stuarta, która od wielu lat stanowiła jeden z charakterystycznych punktów naszego miasta. W podróży majorowi towarzyszy brat, pan O. Dalzell, i bratanica, panna Dalzell. Wyjazd majora Stuarta zmartwił jego licznych przyjaciół i dawnych towarzyszy broni z kawalerii stanu Michigan. Pan...

Pukanie przerwało lekturę Hugh, który właśnie leniwie jadł późne śniadanie, złożone z chleba i dżemu truskawkowego. Wiedział, że to albo Trelinack, albo któraś z jego trzech córek, które na zmianę ich odwiedzały. Mimo to jego głos załamał się nerwowo, kiedy zapytał:

- Kto tam?

- To ja, Maud.

- Odpoczywam - odparł Hugh. Odsunął zasuwę i rzucił się biegiem do sypialni. Usiadł na posłaniu, tak zwracając twarz, żeby z pokoju był widoczny tylko nie oszpecony policzek.

- Wybieram się właśnie do Newberrych. Dzisiaj u nich pracuję. Pomyślałam sobie, że po drodze do was zajrzę - oznajmiła. Odstawiła koszyk i zdjęła płaszcz. Na jej czarnym krawieckim fartuchu połyskiwały wpięte igły.

Szczupłą talię otaczał pasek z czerwoną poduszczką do szpilek. Złożyła „Detroit Journal”, wpatrując się w druk skupionym wzrokiem krótkowidza. - Widziałeś notatkę o majorze Stuarcie? - zapytała zbierając ze stołu naczynia i niosąc je do zlewu.

- Tak.

- Kiedyś widziałam Toma, jak wychodził od Hudsona z bratanicą majora. Chyba dość dobrze się znali, co? - Głos Maud brzmiał trochę za głośno i piskliwie.

Hugh przechylił głowę. Maud zawsze mówiła otwarcie, o co jej chodzi, skąd więc to dziwnie pokrętne pytanie o Toma i Antonię? Nagle drgnął, bo uświadomił sobie, że Maud ma oko na jego brata. Maud? Ta dziewczyna o ciężkim kroku i przesadnej, graniczącej z prostactwem szczerości? Ta oszczędna chłopka?

- Nigdy nie rozmawiałem z bratem o panie Dalzell -odparł chłodno.

Maud nie dała się zniechęcić.

- Kiedyś robiłam dla niej jakies poprawki. Jak na swój wysoki wzrost, ma zbyt szczupłą talię i za wąskie biodra. Ile w niej energii! To było podczas wojny na Kubie. Włożyła moje okulary i udawała pułkownika Roosevelta atakującego wzgórze San Juan. - Jej krótki wybuch śmiechu nie był udawany. - Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego towarzystwo z Woodward Avenue tak się na nią uwzięło. Co za rzeczy wygadywali o niej i o majorze! Słyszałeś te plotki?

- Dlaczego miałbym ich słuchać?

- Mówili, że jest kochanką majora.

- Jest córką jego przyrodniego brata.

- Wielu ludzi o tym wiedziało, a mimo to upierali się przy swoim.

- Szyjesz dla bardzo miłych dam - odparł Hugh kurczowo zaciskając zęby. Antonia miała to wszystko, czego brakowało Maud: lekkość, radość, dobre pochodzenie, czułość. Niechęć Hugh do tej rozmowy przybrała zupełnie nieproporcjonalny wymiar.

- Trudno mi było w to uwierzyć. Te damy z towarzystwa to banda plotkarek - stwierdziła Maud. - Ja i tak ją lubiłam.

- Hugh znał dobrze Maud i w ostatnim zdaniu wyczuł jakąś niepewną nutę. Rozległ się brzęk talerza stawianego na marmurowym blacie. - Przyniosłam ci piernik, dziś rano upieczony. Odgrzać ci do niego trochę kawy?

- Później zaparzę sobie świeżej.

- Hugh, jest jeszcze pół dzbanka!

- Aha - wymamrotał w odpowiedzi.

- Dodałam dwa gatunki rodzynków.

Jaka szkoda, że to nie pani Trelinack, która miała szczodłą rękę i nie szczędziła masła, upiekła ten piernik.

- Maud, jesteś dla nas bardzo dobra - podziękował Hugh, starając się, żeby nie zabrzmiało to ironicznie.

- Zostaw kawałek dla Toma.

Kiedy tylko wyszła, wylał zawartość wysokiego dzbanka do zlewu. Jego irytacja z powodu Maud zaczęła wygasać, i to z dość szlachetnego powodu. Poczłł litość dla dziewczyny. Biedna Maud, zadurzyła się w Tomie. Rzecz jasna, wrodzony zdrowy rozsądek, który posiadała w nadmiarze, musiał ją ostrzec, że każdy mężczyzna, poznawszy taką słoneczną, radosną dziewczynę jak Antonia, może najwyżej żywić uczucie przyjaźni dla kogoś takiego jak Maud. To śmiechu warte, pomyślał Hugh, a jednocześnie bardzo smutne. Ugryzł mały kęs piernika i zmarszczył nos, czując woń smalcu.

Po kolacji Tom przeglądał gazetę. Kiedy natrafił na kronikę towarzyską, na czole wystąpiły mu krople potu i konwulsyjnie wykrzywił usta. Notatka miała obojętny, urzędowy ton, jak zaświadczenia o zgonie. Odeszła, odeszła nie odezwawszy się do niego ani słowem. Odjechała w towarzystwie jego wroga, nie zostawiła nawet krótkiego listu. Już nigdy nie pozwoli mu paść przed sobą na kolana i błagać o wybaczenie.

Rzucił gazetę do paleniska kuchni i patrzył, jak zwija się i zmienia w czarny, szklisty popiół, a potem znika w płomieniach. Z rozmachem otworzył szafkę i wyjął prawie pełną butelkę wódki.

Pił do utraty przytomności. Hugh zaprowadził go na posłanie, włożył mu pod głowę zwinięty ręcznik, na wypadek, gdyby zwymiotował, zdjął mu buty i przykrył kocem. W ciągu ostatnich kilku tygodni niejednej nocy usługiwał Tomowi w taki sposób.

III

Pewnej szczególnie chmurnej niedzieli, pod koniec listopada, odwiedził ich Trelinack.

- Kobiety poszły do kościoła - oświadczył i postawił na stole beczułkę piwa. Roztarł ręce, żeby je rozgrzać. - Tom, wybacz, że ci to mówię, ale wyglądasz okropnie.

- Dwudziestoczwierogodzinne dyżury to ciężka robota

skłamał Tom. Poznał już wszystkie tajniki dynama Rice'a, generatora Armingtona i Simsa oraz hałaśliwego silnika parowego Becka. W pracy miał tak mało zajęć, że nuda pogłębiała tylko jego depresję. Zdjął z haczyków trzy kufle i zawołał:

- Hugh, Trelinack przyniósł nam piwo.

Hugh pogardzał piwem, które uważał za napój plebejuszy.

- Ja dziękuję, nie będę pił, ale to bardzo miło z twojej strony, Trelinack - oświadczył przez szparę w uchylonych drzwiach.

Trelinack nalał sobie pełny kufel.

- Tom, pewien człowiek mnie prosił, żebym ci przedstawił jego propozycję. Zastanawia się, czy nie zainwestować w jakiś zakład produkujący automobile.

- Powiedziałeś mu, że już mnie to nie interesuje?

- Tak powiedziałem. Zdziwił się, bo nigdy nie podejrzewał, że tak łatwo rezygnujesz. Wyjaśniłem mu, że ten pożar bardzo cię załamał.

- Akurat, pożar! Tylko osioł jeszcze nie pojął, że moda na automobile się kończy. To już przeszłość.

- Tom - cicho powiedział Trelinack. - Ona wyjechała z Detroit.

Tom huknął pięścią w stół. Piwo rozlało się na marmurowy blat.

- Uderz mnie - zachęcił Trelinack. - Jeśli to ci pomoże, uderz mnie. Ale to nie zmieni faktów. Krew nie woda. Ona wyjechała ze swoją rodziną, więc lepiej, żebyś zaczął układać sobie życie bez niej.

- Powinieneś iść razem z kobietami. Kościół to odpowiednie miejsce do wygłaszania kazań.

- Nie rzucam słów na wiatr. - Trelinack sięgnął do kieszeni kamizelki.

- Ile razy mam ci powtarzać? Żadnych cholernych zabawek dla bogaczy!

- To dobrze, że jesteśmy przyjaciółmi, bo inaczej obraziłbym się na ciebie. - Brygadzista położył na stole złożoną żółtawą kartkę.

Hugh słuchał ich rozmowy. Na anielskiej połowie jego twarzy malował się wyraz skupienia. Skóra prawego policzka była normalna, świeżo ogolona, brwi i rzęsy zaczynały odrastać. Chłopak w pełni wrócił do formy. Był wystarczająco

zdrowy i silny, żeby objąć jakąś urzędniczą posadę, do której uprawniało go świadectwo ukończenia szkoły średniej. W poprzednim tygodniu wyruszył z domu z wyciętym z gazety ogłoszeniem o wolnej posadzie w Firmie Importowej Soamesa z siedzibą w Hammond Building. Piętnastominutowy spacer po ulicach stał się dla Hugh Golgotą. Ludzie albo prześlizgiwali się po nim spojrzeniem, albo wbijali w niego wzrok. Po niezwykle przyjemnych latach, kiedy otaczała go nie zasłużona admiracja, boleśnie odczuwał odruchy obrzydzenia, na które również nie zasłużył. Każdy przechodzień zwracał uwagę na jego twarz, co wywoływało u chłopca nieprzyjemny dreszcz. W pewien sposób spojrzenia ludzi wywoływały w nim podobne odczucia, jak wspomnienie szczypiec, zrywających poparzony naskórek. Nie dotarł do Hammond Building. Minąwszy siedem przecznic zawrócił biegiem do domu. Nie mam wystarczającej odwagi, żeby być odmieńcem, pomyślał. Wiedział, że tchórzostwo, które w myślach nazywał delikatnością, uczyni go więźniem na całe życie. Jak długo Tom będzie prostym mechanikiem, skromna klitka, jak ta, w której teraz mieszkali, pozostanie dla Hugh celą więzienną.

Kiedy za Trelinackiem zamknęły się drzwi, młodszy Bridger wolno wstał z posłania. Działaj ostrożnie, nakazał sobie w duchu. Następna taka okazja prawdopodobnie nigdy się nie zdarzy. Wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić, i wszedł do pokoju, na teren ostatniej szansy.

- Nie chcesz zobaczyć, co to jest? - zapytał podnosząc żółty papier.

Ze złożonej kartki wysunął się czek.

- Tom, zobacz! - zawołał Hugh z niekłamany zdziwieniem. - Czek na tysiąc dolarów, wystawiony na ciebie!

Podpisano: John Trelinack.

Tom bez słowa wyrwał mu czek, złożył i schował do kieszeni. Zdecydowanym szarpnięciem zdjął ciężką kurtkę z haczyka za drzwiami.

- Dokąd idziesz? - zaniepokoił się młodszy brat.

- Im szybciej oddam to Trelinackowi, tym lepiej.

- To mnóstwo pieniędzy - stwierdził Hugh. Rozsądek kazał mu uważać, żeby w jego głosie brzmiało tylko czyste uczucie przyjaźni dla byłego brygadzysty. - Pewnie wziął pożyczkę pod zastaw domu. Pomyśl tylko, jakie on ma do ciebie zaufanie.

Tom zatrzymał się przy drzwiach.

- Co jest napisane na tej kartce? Hugh rozłożył list.

- John Trelinack przekazuje Thomasowi K. Bridgerowi sumę tysiąca dolarów w zamian za dziesięć procent dochodów ze Spółki Automobilowej Bridgera." Major nie wyłożył żadnych pieniędzy, a zażądał dwudziestu pięciu procent udziału.

Tom potrząsnął głową. Na jego twarzy malowało się wzruszenie i konsternacja. Chrząknął nerwowo.

- Nie potraktowałem go zbyt dobrze.

- Nie możesz mu tego po prostu rzucić w twarz.

- Zaczekam kilka dni.

- Udawaj, że się nad tym zastanawiasz. - Hugh sięgnął po czek i pośpiesznie schował go między aromatycznymi ziarnami kawy w słoiku. - Tutaj będzie bezpieczny.

IV

Tom starannie uczesał włosy i ogolił się. Hugh odgadł, że brat wybiera się na dziwki do Golden Age. Robił to po raz pierwszy, odkąd dostał się pod władanie Antonii. Patrzył nie-widzącym wzrokiem i wyglądał tak, jakby w barze oczekiwała go jakaś straszna tortura, a nie kobiece ramiona. Hugh odczekał pięć minut i wyjął szkicownik.

Jest strasznie późno - stwierdził Tom. Miał czerwoną twarz i załatywało od niego whisky, tanimi perfumami i seksem. - Co tam rysujesz w środku nocy?

Hugh odwrócił blok grzbietem do góry.

- Wyobraź sobie, wielki bracie, że jestem wystarczająco dorosły, żeby rysować, kiedy mi się podoba.

Tom podniósł szkicownik.

- To wyścigówka - rzucił oskarżycielsko.

- No i co z tego?

- Ano nic, dopóki nie przyjdzie ci do głowy, żeby mnie do czegoś namawiać - odparł wojowniczym tonem.

- A kto został tak ciężko poparzony? Tom westchnął i potrząsnął głową.

- Nie chciałem cię urazić. Jestem zmęczony, to wszystko.

- I pijany?

- No, trochę. Żeby chociaż picie cokolwiek mi pomogło. - Tom usiadł za stołem i ukrył twarz w ramionach. - Nic mi nie

pomaga, Hugh, nic. Im bardziej staram się o niej nie myśleć, tym częściej ją wspominam. - Jego głos był stłumiony.

- Może ci trochę ulży, kiedy o tym porozmawiamy? - zapytał ze współczuciem brat, chwilowo zapominając o swoim celu. - Wyrzucić to z siebie.

- Nie potrafię. Wszystko jest zamknięte w duszy i bardzo boli.

- Wiem, co masz na myśli. - Hugh zwilżył wargi. - Dlatego właśnie rysowałem auto. Żeby zobaczyć, czy potrafię stawić czoło wyzwaniom.

Tom uniósł głowę i wskazał rysunek palcem z czarną obwódką pod paznokciem.

- Cylindry wyszły ci za krótkie.

- Naprawdę? Wydawało mi się, że były właśnie takie. Starszy Bridger sięgnął po ołówek i zaczął rysować.

- Tak powinny wyglądać - oznajmił.

Jedli śniadanie, a zimny wiatr od rzeki Detroit tłukł o szyby. Hugh skończył owsiankę.

- Tom... - Zawahał się. - Czy Edison zatrudni księgowego, który pracowałby w domu?

- Nie musisz pracować, Hugh - odparł szorstko Tom.

- A co z rachunkami za szpital?

- Spłacam je.

- Czuję się jak duch. Siedzę tu, gapię się w ścianę i nic nie robię!

Tego dnia około piątej zepsuł się generator. Tom wrócił do domu po dziesiątej. Hugh spał, a spod jego materaca wystawał róg czasopisma. Tom wydobył go ostrożnie, uważając, żeby nie obudzić brata. Był to stary numer „Wieku Automobilizmu”, z 1898 roku.

Tom szczypał się w ucho, aż odpłynęła z niego krew, i spoglądał to na pismo, to na brata. Pochylił się i lekko trącił chłopca w ramię.

- Co... A, Tom. Wróciłeś.

- Musimy porozmawiać.

Hugh spojrział na czasopismo i nachmurzył się.

- Czy musisz grzebać w moich rzeczach?

- Tysiąc od Trelinacka to więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek naraz widziałem, ale to nie wystarczy - wyrzucił Tom.

- Bez kredytu nic nie zdziałam.

- Tom, tylko dlatego, że czytałem stare czasopismo...

- Obaj wiemy, że próbujesz mnie urobić od czasu wczorajszej wizyty Trelinacka - stwierdził Tom bez złości czy oskarżenia w głosie.

Hugh'czuł się jak na widelcu, wieczny młodszy braciszek, jakby nadal miał pięć lat. Widząc, że brat wszystkiego się domyślił, usiadł prosto i zaatakował go gwałtownie:

- Bardzo mi przykro, że nie potrafię delikatniej nakłonić cię do decyzji, którą dawno już podjąłeś. Ale przynajmniej jestem wystarczająco inteligentny, żeby dojść do wniosku, że powinniśmy zacząć od Curved-Dasha. Zrobiliśmy ich tak dużo, że nietrudno będzie znaleźć egzemplarz do skopiowania. Wyścigówka? Nigdy sobie nie przypomnisz, jak ją zbudowałeś. Każdą część unowocześniałeś po trzy razy, tylko po to, żeby znowu ją zmienić. W dodatku kosztowało nas to majątek.

- Cylindry. Myślałem o cylindrach. Powinno ich być cztery, a nie dwa. - Policzki Toma zaczerwieniły się od marszu w chłodzie nocy i od pomysłów i wizji, które się w nim kłębiły. - Skąd wezmę na to środki?

Hugh przełknął urazę. Czyż Tom nie zachowywał się dokładnie tak, jak on tego pragnął? - Możemy żyć oszczędniej.

- Zostały rachunki do zapłacenia. I tak nie pławimy się w luksusie.

- A gdybyśmy tak znaleźli warsztat z mieszkaniem na piętrze albo na tyłach?

- Nie musielibyśmy płacić podwójnego czynszu - Tom roześmiał się podniecony. - No, dalej, Hugh. Masz jeszcze jakieś pomysły?

- Być może nasi dawni dostawcy ufają nam wystarczająco, żeby z nami współpracować, chociaż nie mamy kredytu.

Horacy i John dobrze cię znają. - Hałaśliwi, wybuchowi rudzielcy, bracia Dodge, byli z Tomem dość blisko zaprzyjaźnieni. - Można też zapytać właścicieli Curved-Dashów, czy nie chcieliby wykupić udziałów.

- Widać, że naprawdę dużo o tym myślałeś, Hugh. Chodź, ułożymy umowę z Trelinackiem.

Hugh założył kurtkę i obaj spierając się krążyli po pokoju tak zimnym, że ich oddechy zmieniały się w parę. Tom chciał, żeby Trelinack dostał dwadzieścia pięć procent z dochodów, ale Hugh, który nigdy nie zamierzał przeznaczyć dla kuzyna Jacka więcej niż dziesięć procent, o które sam

prosił, nie zgadzał się. Twierdził, że tak hojna oferta byłaby dla przyjaciela obrazą.

Irelinack dostanie dwadzieścia pięć procent. - Tom gwałtownie uciął dyskusję. - Spisz to wszystko, a ja zrobię noble coś do zjedzenia.

Hugh usiadł za stołem i otworzył kałamarz. Chociaż nie był zadowolony, że tak dużo ofiarowują Trelinackowi, było mu lekko na sercu. Poczul ulgę, kiedy się przekonał, że potrafi nakłonić Toma tylko do tego, na co brat i tak ma ochotę. Ten fakt wyznaczył granicę, której nie będzie musiał |UŻ przekraczać uciekając się do gier i obłudy.

v

W następną niedzielę deszcz ze śniegiem bębnił hałaśliwie w dach i szyby okien. Tuż przed pierwszą Trelinack wniósł do mieszkania Bridgerów olbrzymi wiklinowy kosz. Żona i córki, ciepło otulone, podążały za nim z mniejszymi koszykami.

Cztery kobiety, wykrzykując coś na temat okropnej pogody, zdjęły przemoczone wierzchnie okrycia. Pani Trelinack, niska, tęga kobieta z przypominającymi perukę gęstymi, siwymi włosami, które układały się w fale, miała delikatną, Świeżą cerę i zawsze wyglądała tak, jakby dopiero co wyszła z kąpieli. Szybko rozpakowała kosz. Wyjęła z niego mięso zapiekane w złotawym cieście, tłustego pieczonego kurczaka, babeczki owocowe, które rozsiewały słodki aromat, deser waniliowy i orzechy w miodzie. Każdy z tych przy-urnaków, wykonany jej pulchnymi białymi rękami, wyrażał Jej czystą, szczodłą naturę.

Dziewczęta pomagały matce. Maud. Chuda Melisanda, nosząca jasne włosy upięte w skomplikowane sploty, na wzór kobiet z rysunków Charlesa Dana Gibsona. I najmłod-uza, Izolda, zwana Yssy (rodzina wymawiała to imię Jessi"), która w wieku szesnastu lat miała już obfity biust i osiągnęła wzrost czterech stóp i dziesięciu cali. Wyglądała jak pękata wiktoriańska matrona i pewnie dlatego, podobnie jak królowa Wiktorja, wyznaczyła sobie za cel urodzenie dziewięciorga dzieci.

Chcąc uniknąć kobiecej paplaniny Tom i Trelinack wycofali się na korytarz, do którego światło wpadało przez jedno małe okno.

- W wolnym czasie będę pracował w warsztacie - obiecał były brygadzysta.
 - Będziemy wdzięczni za każdą pomoc. Przyszła Maud i stanęła obok nich.
 - Tato, jeśli Yssy i Melisanda pomogą mi przy fastrygowaniu i prasowaniu, to będziemy mogli wpłacić trochę więcej pieniędzy.
 - Panna Maud Trelinack, panna Mądrała Trelinack - zagrział jej ojciec.
 - Im więcej pieniędzy włożymy w warsztat, tym lepiej -podkreśliła.
 - Prędzej umrę, niż przyjmę jakieś pieniądze od swoich córek.
 - Trelinack, Maud! - zawołała żona. - O co znowu chodzi?
 - Ach, ta twoja córka - odparł Trelinack i objął wąską talię swojej ulubienicy.
 - Przestań gadać i chodź stworzyć butelkę brandy -ponagliła pani Trelinack.
- Brygadzysta wrócił do mieszkania. Tom chciał pójść za nim, ale zatrzymała go Maud.
- Tom?
 - Co takiego?
 - Mam sto dwadzieścia trzy dolary własnych oszczędności. Chciałabym zainwestować je w twój warsztat.
- Wzruszony Tom czuł, że coś go ściska w gardle.
- Bardzo dziękuję, skarbie. Ale nie mogę ci na to pozwolić. - Nagle przypomniał sobie dzień, w którym Antonia chciała mu oddać swoje perły i złotą zapinkę. Potem ta straszliwa scena... Boże, pomyślał, mój Boże.
- Maud patrzyła, jak jego usta rozchylają się w łagodnym uśmiechu, a potem twarz przybiera ponury wyraz. Westchnęła. Absolutna prostolinijność Maud nie zostawiała miejsca na żadne niejasności. Dlaczego więc, skoro nie wiedziała, co tak niespodziewanie zatroskało Toma, sama poczuła nagły smutek? Skąd ta narastająca pewność, że jest na przegranej pozycji? W końcu powiedział do niej „skarbie”.
- Przecież zgadzasz się na pomoc innych.
 - Maud, bardzo ciężko na te pieniądze pracowałam.
 - Wierzę w ciebie.
- Tom czuł, że palą go policzki.
- Jesteśmy gotowi - zawołała z kuchni pani Trelinack.
 - Nie mam żadnych wątpliwości. Żadnych.

Po długim milczeniu uściskał jej mocną, szeroką, niedużą dłoń.

- Jesteśmy współnikami - oznajmił.

Uśmiechnęła się szczerym, otwartym uśmiechem. Wszyscy zasiedli przy zastawionym stole.

Trelinack nalał brzoskwińowej brandy produkcji swojej żony w znalezione w kuchni Bridgerów wyszczerbione kubki, kufle i gliniany słoik.

- Za Spółkę Automobilową Bridgera! - wznosił toast.

- Nie! - ostro zaprotestował Tom.

- Dlaczego?

- Ta nazwa jest pechowa.

- Uniosłem już kufel, Tom. Wiedz, że kuzynowi Jackowi nie wolno przerywać rozpoczętego toastu. Wybierz inną nazwę.

- Onyx - odezwał się z sypialni Hugh.

- Słucham? - zapytał Tom.

- Onyx - powtórzył brat.

Wiele myślał nad nazwą nowego samochodu i zdecydował, że Curved-Dash Bridger brzmiało ciężko i niezręcznie. Sprawdził w słowniku, co oznacza słowo „onyks”. Okazało się, że to agat, odmiana kwarcu. Ludzie uważają go za klejnot, chociaż nie jest zbyt drogi ani rzadki. Onyx to dźwięczne, interesujące słowo. Wyglądałoby dobrze na masce samochodu.

- Onyx... - zastanawiał się Tom. - Tak, coś w tym jest.

- W takim razie wzniesmy toast za Spółkę Automobilową Onyx! - zagrział Trelinack.

Inni mu zawtórowali:

- Za Spółkę Automobilową Onyx!

KSIĘGA DRUGA

Piątka

Piątka odniosła natychmiastowy sukces.
Wyprzedzała swoje czasy o wiele lat,
jej cena kształtowała się na najniższym możliwym poziomie
dla samochodów tej klasy, wносиła powiew czegoś zupełnie nowego.

Bruce McCalley,
*„Onyx Model 5,
klasyczny samochód na przestrzeni lat”*

9

I

Na przełomie wieków przemysł motoryzacyjny rozwijał się żywiołowo, jak wszechświat po wielkim wybuchu, kiedy atomy wirują w próżni, nie zorganizowane w żadne systemy. Onyx był tylko jednym z setek małych zakładów, rozrzuconych po całym kraju, które konstruowały jedno lub dwa auta, a potem kończyły działalność.

Czwartego kwietnia 1900 roku Tom wysiadł z wyposażonego w cztery cylindry samochodu wyścigowego. Czarny smar pokrywał go od stóp aż po sportowe gogle. Można go było rozpoznać tylko po obnażonych w uśmiechu nierównych białych zębach. Ustanowił właśnie nowy rekord Ameryki, rozwijając na torze prędkość jednej mili na 1,04 minuty.

Dwa dni później stanęli z Maud przed ołtarzem. Była to podwójna uroczystość, ponieważ jednocześnie śluby składali pulchna, niska Yssy i Rogers Sinclair, komiwojażer firmy Eclipse, produkującej rowery. W tym czasie niewielu Amerykanów widziało automobil na własne oczy i tylko dzięki rajdowej sławie Toma Rogers zdołał namówić współpracujących z nim kupców handlujących rowerami, żeby zajęli się również sprzedażą maszyn produkowanych przez szwagra. Pierwsze cztery modele Onyxa były najsolidniejszymi samochodami na rynku. Należały również do najtańszych. Kosztowały od 650 do 870 dolarów. Onyx, tak jak Marmon, Cadillac, Buick, Wayne, Packard, Maxwell, Ford czy Olds, był nadal tylko jednym z wielu niewyraźnych światełek, połyskujących na automobilowym horyzoncie.

Potem, w roku 1907, Tom pokazał Onyxa Model 5 na wystawie samochodowej w Detroit. Piątka...

Ten dziwny samochód, o dość wysokiej, zwartej sylwetce, przypominający małego, zwinnego teriera, odznaczał się mosiężną kratownicą, która lśniła niczym nos zdrowego psa, dużymi, okrągłymi oczami lamp acetylenowych i dzielnym, mocnym silnikiem, który prychając i poszczę kując pokonywał nawet strome góry. Piątka miała swoje tajemnice i lepiej było od razu je poznać. Kiedy uruchamiano ją w chłodny poranek, korba potrafiła nieźle przyłożyć kierowcy, a żeby dowiedzieć się, czy samochód nie potrzebuje oleju, należało się wczołgać pod podwozie i odpowiednio manipulować dwoma kurkami. Jednak gdy już zgłębiło się sekrety tej maszyny, Piątka odpłacała się lojalnością i posłuszeństwem. Mknęła po najgorszych drogach, a wtedy w Ameryce wszystkie drogi były złe. Właściciele zaklinali się, że w wyjątkowych sytuacjach potrafiła jechać bez paliwa. Sprzedawano ją z roczną gwarancją, co dotychczas się nie zdarzało na niepewnym rynku samochodowym. Wiele elementów dawało się łatwo wymienić, co również było rewolucyjną innowacją, wprowadzoną przez Toma. Onyx nie był maszyną luksusową. Wszystkie wersje - sportowa, osobowa, mini i dostawcza - miały podobną sylwetkę i były w tym samym kolorze nieciekawej, ciemnej szarości, wkrótce nazwanej szarości onyksową.

Skromność stanowiła główną zaletę tego wozu.

Pierwszy model kosztował 465 dolarów.

Wiosną 1907 roku farmerzy, lekarze, sklepikarze - zwykli ludzie, którzy nigdy nie marzyli, że będzie ich stać na taki zbytek, jak kupno samochodu - nie bacząc na wichury i ulewne deszcze, ustawiali się w kolejce po Piątkę. W taki sukces trudno było uwierzyć nawet Tomowi. Zamówienia napływały szerokim strumieniem. Bridger wynajął więc architekta, specjalistę od obiektów przemysłowych, Alberta Kahna, który zaprojektował nową fabrykę ze szklanymi, spadzistymi dachami, wyrastającymi na tle nieba niczym rząd ostrych zębów. W jej murach tysiące robotników sprawnie obsługiwało maszyny, których zakup kosztował niemałą fortunę.

Nad tym nowym kombinatem, jak również nad starym, działającym od kilku lat zakładem, zawisł miecz Damoklesa, który mógł położyć kres żywiołowej ekspansji Onyxa.

Sprawa Seldena.

II

W 1879 roku George B. Selden z Rochester w stanie Nowy Jork wniósł zgłoszenie patentowe na benzynowy pojazd drogowy i opóźniał jego wydanie, wnosząc coraz to nowe poprawki i zmiany. Jego pojazd został opatentowany dopiero w roku 1895. Selden twierdził, że każdy automobil wyprodukowany lub sprzedany w ciągu siedemnastu lat, przez które jego patent zachowywał ważność, musi być przez niego licencjonowany. Z początku wytwórcy samochodów śmiali się z niego. Kto to jest ten Selden? Przecież nie zbudował ani jednej maszyny! Wtedy Selden pozwał do sądu Aleksandra Wintona z Cleveland za naruszenie należnych mu praw. Sędzia, który niewiele wiedział o prawie patentowym i - co łatwo zrozumieć - jeszcze mniej o samochodach, stwierdził, że patent Seldena ma moc prawną. Jak zwykle bywa w takich wypadkach, kiedy na ludzi pada błąd strach, zwyciężył instynkt stadny i wszyscy jak owce gromadnie przyłączyli się do założonego przez Seldena Zrzeszenia Licencjonowanych Producentów Automobili, ZLPA. Kiedy już znaleźli się w jednym stadzie, zaczęli dostrzegać płynące z tego korzyści. ZLPA określało limity produkcyjne i ustalało ceny. ZLPA uzyskało monopol, stało się trustem. Hura! Na początku roku 1902 do nowej fabryki Toma przy Rock Avenue przyjechała delegacja, żeby wyjaśnić mu, jakie korzyści daje przynależność do zrzeszenia. Tom odpowiedział:

- Zająłem się produkcją dlatego, że chcę zmniejszyć ceny automobili, tak żeby każdy mógł sobie na nie pozwolić.
- To czyste szaleństwo. Jeśli położymy kres niezdrowej konkurencji i rynek będzie się sam regulował, każdy zakład stowarzyszony w ZLPA przetrwa najtrudniejsze chwile.
- Nie wierzę w patenty i monopole.
- Będziesz musiał się do nas przyłączyć, Bridger. Przekonasz się, że na dłuższą metę patent Seldena to dla nas dobrodziejstwo.

Tom stracił cierpliwość.

- Możecie sobie gdzieś wsadzić ten patent! - krzyknął i kazał wyprowadzić delegację z terenu fabryki.

ZLPA oznajmiło Henry'emu Fordowi, że jeśli jego nowa spółka, wciąż jeszcze niepewnie stojąca na nogach, zgłosi swój akces, to prośba zostanie przychylnie rozpatrzona.

Dwudziestego drugiego października 1903 roku ZLPA, występując w imieniu Seldena, pozwało do sądu Onyxa i Ford Motor Company. Przegranie sprawy oznaczało, że te dwie firmy, borykające się w owym czasie z poważnymi trudnościami, będą musiały zapłacić olbrzymie kary za każdy samochód, który dotychczas wyprodukowały. To pociągnęłoby za sobą bankructwo. Utrata dorobku nie przerażała Toma. Już mu się to kiedyś zdarzyło. Ale jak mógłby zrezygnować z samochodów? Nigdy nie spełnić swojego marzenia, nie stworzyć powszechnego środka transportu?

Zimna, prawna walka toczyła się wolno, jak posuwający się jezior lodowca.

We wrześniu 1909 Bridger i Ford otrzymali silny cios.

Sędzia Charles M. Hough z Sądu Federalnego stanu Południowy Nowy Jork utrzymał w mocy ważność patentu Seldena.

Tom Bridger i Henry Ford pozornie zachowali wobec siebie dawną serdeczność, ale nieuchronnie nasuwające się porównania Modelu T z Piątką nadwątlily starą przyjaźń. Fotografowano ich razem, jak z ponurymi, sztywnymi minami zapowiadają, że będą walczyć z ZLPA, który nazywali trustem automobilowym. Wynajęli nowy batalion prawników, żeby odwołać się od decyzji sądu.

III

Hugh nigdy nie otrząsnął się z przerażenia własnym wyglądem.

Gdy tylko zaczęli zarabiać pieniądze, wybudował dom w stylu elżbietańskim przy małym uczęszczanej drodze nad jeziorem St Clair, za Grosse Pointe Shores. Otoczył posiadłość wysokim na dziesięć stóp murem, zwieńczonym żelaznymi szpikulcami. Nie wyciął okolicznych drzew, żeby dodatkowo chroniły jego królestwo przed wzrokiem ciekawskich. Prawie nie opuszczał posiadłości i nie widywał nikogo, oprócz służby, dwóch sekretarzy i rodziny. Jednak w kwietniu 1910 roku, kiedy zadzwonił do niego Mitchell Polhemus z prośbą o spotkanie, Hugh bez wahania zaprosił go do domu. Mitchell Polhemus był głównym radcą prawnym Seldena i ZLPA.

Hugh przyjął prawnika w swoim biurze, długim, wykładanym dębem boazerią pokoju z rzędem okien tak zaprojek-

towanych, że światło słońca nigdy nie padało na elżbietański stół, którego używał jako biurka. Na blacie przed nim stały trzy telefony, za pomocą których władał księgowością Ony-xa oraz działem reklamowym.

Bridger wiedział, że Polhemus jest garbusem. Widząc zniekształcony tułów starego prawnika poczuł, że serce bije mu trochę spokojniej pod doskonale skrojoną marynarką. Mimo to nie wychodził z cienia i sztywno przemawiał do gościa.

- Panie Polhemus, zaskoczył mnie pan. Wysłannik z obozu wroga! Czy mogę mieć nadzieję, że przybywa pan z gałązką oliwną?

- Przychodzę tutaj w imieniu innego klienta - odparł prawnik. - Pozwoli pan, że od razu przejdę do sedna sprawy. Mój klient jest w posiadaniu planów pewnych wynalazków motoryzacyjnych, które noszą datę wcześniejszą niż patent Seldena...

- Co takiego?

- Dostałem polecenie, żeby je panu zaoferować. Wstrząśnięty niespodziewanym obrotem wydarzeń, Hugh zapytał o coś, co właściwie nie miało dla niego znaczenia.

- Czy to nie jest dla pana konflikt interesów?

- Moi klienci akceptują fakt, że prowadzę szeroką i różnorodną praktykę.

Hugh splótł palce i nadał głosowi urzędowy ton.

- Ile nas to będzie kosztowało?

- Są dwa warunki. Żaden z nich nie ma nic wspólnego z pieniędzmi.

- Panie Polhemus, wszystko ma coś wspólnego z pieniędzmi.

Błada, pomarszczona twarz prawnika wykrzywiła się w rzadkim u niego uśmiechu, który był tak sztywny, jakby pewne mięśnie twarzy zanikły z braku używania.

- Dla mojego klienta pieniądze nie są istotne - odparł ciepło Polhemus.

- Jak brzmiały te warunki?

- Po pierwsze, nigdy, pod żadnym pozorem, nie może się pan kontaktować z moim klientem.

- Może nie najlepiej świadczy to o mojej inteligencji, ale nie rozumiem.

- To całkiem proste. Mój klient nie życzy sobie, żeby go łączono z tą sprawą.

- Zgoda, żadnych kontaktów. - Hugh potrząsnął głową. -Zatrudniamy cały zespół prawników i tutaj, i w Europie. Jak to się stało, że tak ważne patenty uszły ich uwagi?

- Nigdy nie zostały zarejestrowane. Dostałem takie polecenie.

Hugh skinął głową.

- Kto jest wynalazcą?

Garbaty prawnik zignorował pytanie.

- Projekty te, nigdy nie zarejestrowane, nie mają mocy prawnej. Na ich podstawie nie można unieważnić patentu Seldena.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ale pan wie równie dobrze, że to ważny argument na naszą korzyść w rozprawie apelacyjnej - odparł Hugh i powtórnie zapytał: - Kto jest wynalazcą?

- Zgłoszenie opatrzone nazwiskiem Andrew Stuart. Słowa zapadły w Hugh miękko, jak w puchowe posłanie. Zapanowała ciężka, obezwładniająca cisza, w której trudno było oddychać. Zadzwoił telefon po lewej stronie i prawnik spojrzał wyczekująco najpierw na aparat, a potem na Bridgera. Po jednym sygnale dzwonięcie ustało. Skomplikowany system umożliwiał sekretarzom odbieranie telefonów w ich biurze. W końcu Hugh przemówił dziwnie zdyszonym głosem:

- To on panu dał te plany?

- W latach 1895-1899 przyjeżdżał do Waszyngtonu, przywożąc mi różnorodne szkice. Potem nigdy już się do mnie nie zgłosił. I już się nie zgłosi. Zmarł.

Hugh patrzył nie widzącym wzrokiem.

- Major nie żyje?

- Umarł w zeszłym roku, w sierpniu.

Blizna na prawej stronie poblądłej twarzy Hugh pociemniała. Wiadomość tak wstrząsnęła Bridgerem, że poczuł ucisk w płucach. Mięśnie napięły się spazmatycznie, zmuszając go do chrypliwego kaszlu. Żeby ukryć zdenerwowanie, wstał zza biurka i podszedł do szaf z dokumentami, które zrecznie wbudowano w ścianę i oklejono zabytkowymi wykładzinami z dębu, takimi samymi jak te, które pokrywały resztę ścian pokoju. Stare ciemne drewno falowało mu przed oczami. Nie, to niemożliwe, pomyślał. On nie mógł umrzeć. Nie chcę, żeby tak było. To niesprawiedliwe. Hugh spędził niezliczone godziny rozmyślając, jak zemścić się na majorze, doprowadzić go do bankructwa albo przekupić kogoś ze służby, żeby podał mu jakieś proszki, po których

kona się w bólach, albo wolno działającą truciznę. Nie były to zwyczajne, nierealistyczne fantazje, ale starannie obmyślane plany. Powstrzymywał się z wprowadzeniem ich w życie nie dlatego, że miał jakieś skrupuły, ale ze strachu, że jeszcze nie jest wystarczająco potężny i coś mogłoby się nie udać. Teraz nie może już się zemścić, wymierzyć równie bolesnego ciosu, jaki sam otrzymał. Żal, że zemsta nigdy się nie dopełni, wstrząsnął nim do głębi. Kaszląc w chusteczkę czuł jakiś wewnętrzny chłód.

- Panie Bridger, czy mogę panu jakoś pomóc?

- Astma - wysapał Hugh. Kiedy mógł już mówić, zadał pytanie: - Kto w takim razie jest pana klientem?

- Bratanica majora Stuarta, jego spadkobierczyni. Antonia? Hugh cofnął się o dziesięć lat, do tego zimnego dnia, kiedy leżał cierpiąc ból, chociaż jeszcze nie w pełni zdawał sobie sprawę z tragedii, jaka go spotkała.

Przypomniawszy sobie, jak obudziły go rozwścieczone krzyki Toma i ciche odpowiedzi Antonii, która próbowała ukoić wściekłość i urażoną dumę brata. Tom nigdy nie wypowiadał imienia Antonii, ale Hugh, dla którego uwielbiany brat był całym życiem, z właściwą sobie przenikliwością odgadł, że chociaż Tom żywi dla Maud ciepłe uczucia, jego zdolność do romantycznej miłości została zamknięta razem z Antonią w lochu wspomnień. Obelgi Toma musiały wstrząsnąć dziewczyną równie mocno, jak nim samym. Od dziesięciu lat nie dawała znaku życia, a teraz śpieszy im z pomocą? Co to ma oznaczać? Tom wziął głęboki, świszczący oddech.

- Czy ona nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi? Dużo bym za to zapłacił. Ludzie Seldena również. Traci wielką fortunę.

- Powiadomiłem ją o wartości tych dokumentów. - Mitchell Polhemus znowu uśmiechnął się niewprawnie i ciepło. - To niezwykła dama. Jest przekonana, że plany nie należały do jej wuja, więc teraz nie należą i do niej.

Hugh usiadł za biurkiem.

- Mówił pan, że jest też drugi warunek.

- Thomas Bridger nie może się dowiedzieć, że te plany pochodzą od niej.

A więc Tom nie był dla niej nic nie znaczącą postacią z przeszłości. Jeśliby tak było, z satysfakcją zademonstrowałaby mu swoją wielkoduszność albo przynajmniej chciałaby, żeby się dowiedział, że wszystko puściła w niepamięć.

- Major kradnie wytwory umysłu Toma, bratanica mu je zwraca. Jak mam utrzymać to w tajemnicy?
- Niech pan wykorzysta swoją reputację, panie Bridger. Słyszałem, że jest pan nadzwyczajny, jeśli chodzi o zdobywanie informacji.

To miał być komplement i w innych okolicznościach Hugh tak właśnie potraktowałby te słowa. Teraz, targany szczególną żalobą po majorze, któremu przez całe lata życzył śmierci, prześladowany pytaniami z przeszłości i nękany atakiem astmy, zastanawiał się, dlaczego on, który przez całe lata pracował nad tym, żeby Tomowi się powiodło, i pragnął jedynie jego dobra, wypracował sobie sławę czarnego anioła własnego brata, jego psa gończego?

- Nie zdradzę mu prawdy.
- Czy mam na to pana słowo?
- Spełnię oba warunki pana klientki.
- Mam u siebie całe pudło szkiców. Mój sekretarz przywiezie je panu do Detroit.

Hugh odprowadził gościa do frontowych drzwi i śpiesznie wrócił do swojego pokoju. Czarnoskóry lokaj, przeszkolony medycznie, zrobił mu zastrzyk na uspokojenie.

IV

O siódmej trzydzieści Hugh znów był w dobrej formie. Zaprosił rodzinę na kolację i jako gospodarz - wysoki, elegancki w dobrze skrojonym ubraniu z połyskującymi u mankietów brylantowymi spinkami - oczekiwał gości w wysokim salonie. Kasetonowy sufit tej sali zaprojektowano wzorując się na angielskim Knole House. Miękkie zasłony z czerwonego aksamitu zdobiły liczne witrażowe okna. Na ścianach wisiały spękane ze starości obrazy. W całym pomieszczeniu ustawiono liczne sofy o wyszywanych ozdobnie obiciach. Salon byłby idealnym miejscem spotkań towarzyskich dla dużych, wesołych grup gości. Hugh przypominał sobie młodzińcze marzenia o wydawaniu hucznych przyjęć. Z goryczą pomyślał, że jego życie towarzyskie, dzięki majorowi, nie było zbyt bujne. Drżącą ręką włożył czarną cygaretkę Sobranie do bursztynowej fifki. Humor trochę mu się poprawił, kiedy przyrównał wielkość i arystokratyczną harmonię swojej rezydencji do *château* na Woodward Avenue.

Deszcz zagłuszył pomruk silnika Daimlera Trelinacków i Hugh zauważył ich przyjazd dopiero, kiedy lokaj otwierał przed nimi frontowe drzwi.

Potężne mięśnie Trelinacka zwiotczały i obrosły tłuszczem. Nad ciasnym, wysokim kołnierzykiem jaśniała jego niepokojąco czerwona, pogodna twarz. Kiedy dwa lata temu przeszedł atak serca, błagał Toma, żeby wykupił jego udział. Tom zapłacił mu cztery razy więcej, niż go o to proszono, i w ten nieoczekiwany sposób Trelinack został milionerem. Gęste, podobne do peruki włosy pani Trelinack całkiem posiwiały. Na obfitym biuście nosiła teraz naszyjnik z szafirów i brylantów. Mimo tych zmian nadal zachowała świeży wygląd kogoś, kto przed chwilą wyszedł z kąpieli w wiejskiej mosiężnej balii.

Witając gości, nawet tych miłych, prostych staruszków, Hugh czuł się trochę nieswojo. Szybko wypił sherry podane mu przez angielskiego kamerdynera. Następni przybyli Rogers i Yssy Sinclairowie. Yssy, spełniając swoje marzenie o wielodzietnej rodzinie, urodziła już czterech synów i znowu była w ciąży. Rogers górował nad swoją pulchną żoną. Był to postawny mężczyzna o szerokim uśmiechu cieszącego się z sukcesów komiwojażera. Melisanda i Olaf Baardsonowie przyjechali swoim Pierce-Arrowem 66. Olaf, z pochodzenia Norweg, wysoki i przystojny, pracował kiedyś u Toma jako główny modelarz, jednak kiedy o tym wspominało, jego żona zaraz zmieniała temat rozmowy. Mieli jedno dziecko i Melisanda twierdziła, że tylko mając na względzie przyszłość tej cichej, bladej dziewczynki, a nie własne aspiracje towarzyskie, przenosi się na lato do Newport i znosi rygory tamtejszego życia.

Rogers nadzorował sprzedaż, Olaf był dyrektorem fabryki przy Rock Avenue, więc obaj natychmiast zaczęli rozmawiać o interesach firmy. Pani Trelinack, Yssy i Melisanda rozmawiały o dzieciach, a Trelinack, który wciąż nie mógł się przyzwyczaić do tego, że jest emerytem, krążył między mężczyznami i kobietami, jak pszczoła, która zgubiła drogę do ula. Hugh, jak to miał w zwyczaju, przyglądał się zebranym siedząc w fotelu z wysokimi oparciami. Widział wyraźnie, że wszyscy w oczekiwaniu spoglądają na boki, jakby przyjęcie jeszcze się nie zaczęło.

Dobiegała ósma, nienaruszalna godzina kolacji, kiedy w szum deszczu wmieszał się urywany warkot Piątki. Kobie--

ty przyglądały ozdobione futrem suknie wieczorowe, Rogers i Olaf wyprostowali się w fotelach, gotowi w każdej chwili powstać, a Trelinack, już na nogach, czekał w gotowości. Te mimowolne oznaki szacunku wywołały uśmiech na twarzy Hugh. Ale i on sam pośpiesznie ruszył do drzwi, żeby powitać ostatnich gości.

W ciemnych włosach Toma pojawiły się przedwczesne pasma siwizny. Wokół oczu i ust widać było zmarszczki, pogłębione przez charakterystyczny dla niego ironiczny uśmiech. Policzki Maud wciąż były rumiane, ale jej nienaturalnie powiększone orzechowobrazowe oczy spoglądały zza okularów w złotej oprawce, które teraz musiała nosić na stałe. Jednak upływ ostatnich dziesięciu lat mniej się odcisnął na tej parze niż na pozostałych. Hugh doszedł kiedyś do wniosku, że oni nie muszą się zmieniać, ponieważ i tak świat rozpoznaje w nich nie koronowaną parę królewską. Teraz zmienił zdanie. Tom i Maud stworzeni byli z niezniszczalnego materiału, którego nie mogły zepsuć ani pieniądze, ani władza, ani czas. Kiedy Hugh ujął dłoń Maud, przypomniał sobie wydarzenia minionego dnia i w jego głowie zaświtała myśl: gdyby jej miejsce zajmowała Antonia, byłoby tu o wiele weselej i nie musiałbym wysilać się jako gospodarz.

Uczepiony ręki Toma stał Caryll.

Między dorosłymi ten sześciolatek wydawał się jeszcze drobniejszy i młodszy. W sportowej marynarce, koszuli z wykładanym, sztywno nakrochmalonym kołnierzem, krótkich spodenkach i starannie naciągniętych czarnych rajtuzach wyglądał jak wychuchane przez kochających rodziców dziecko, do których był zresztą bardzo podobny. Szare oczy Toma błyszczały w okrągłej twarzy Maud.

- No i co, Caryllu - zagadnął go Hugh.

Malec z wahaniem podszedł do niego i nieśmiało cmoknął w prawy policzek. Stryj doskonale rozumiałby nieśmiałość chłopca, gdyby Caryll nie okazywał jej również wobec niego. Hugh zwykle doskonale odczytywał motywy ludzkich działań, z jednym wyjątkiem. Wszystkie reakcje na własną osobę przypisywał swojemu zeszeconemu wyglądowi. Dlaczego oni wszędzie ciągną ze sobą tego dzieciaka, pomyślał zirytowany i skrzywił się, nie zdając sobie z tego sprawy.

Caryll cofnął się.

- Stryju - wymamrotał. - Zrobiłem coś dla ciebie.

- To bardzo ładnie z twojej strony.
- Położyłem to razem z prezentem od mamy - oznajmił chłopiec i ukrył się za ojcem, który zaraz posadził go sobie na kolanach.

v

Hugh posadził Maud po swojej prawej stronie i przy ostrygach napomknął:

- Caryll wspomniał, że ma dla mnie prezent.
- Znalazł zdjęcie pięciu wielbłądów i Piątki na Saharze. Bardzo mu się spodobało. Wyciął je z czasopisma i przykleił na tekturce. Zostawiłam je w korytarzu, razem z prezentem ode mnie, z książkami.
- Bardzo wam obojgu dziękuję - odparł starając się stłumić to dziwne uczucie, niemal pogardy, jakie żywił do zamożnej szwagierki. Pomyślał, że mimo wielkiej fortuny, była równie skąpa, jak dawniej. Jednakże wiedział, że książki, które sama przeczytała, zanim je tu przyniosła, sprawią mu przyjemność. Maud czytała wszystko, co jej wpadło w rękę, i przekazywała mu te dzieła, które najbardziej jej się podobały.

Hugh bez powodzenia starał się wywołać ożywioną rozmowę. Rodzina w milczeniu zajadała ostrygi, gęstą ciemną zupę żółwiową, homary, pieczeń jagnięcą z puree z kasztanów, szparagi, wyjątkowo białe i delikatne dzięki temu, że ogrodnicy Hugh starannie przysypywali je ziemią, sałatkę z grejpfrutów i pomarańcz sprowadzonych pociągiem ze specjalnego sadu w pobliżu kalifornijskiej miejscowości Riverside, granatowe jeżyny i śnieżne góry musu waniliowego. Dwie służące usługiwały przy stole, a Larkin nalewał do kieliszków Chateau--Latour, Moet & Chandon i Cios de Vougeot.

Kobiety wróciły do salonu. Caryll zasnął w ramionach babci, w których leżał już od chwili podania jagnięciny.

Hugh, wspaniały gospodarz, poczęstował mężczyzn cygarami i brandy, a potem zagadnął brata:

- Chodźmy na chwilę do mojego biura.

Obaj przeszli na drugą stronę domu. Tom opadł na fotel naprzeciw elżbietańskiego stołu.

- Co za koszmarny dzień - jęknął. Nawet kiedy był zmęczony, od jego szczupłego, zwartego ciała biła energia. - O czwartej rano zadzwonili z Hamtramck. - Kończył właśnie budowę nowych zakładów w tym niewielkim miasteczku, wysepce

polskiej siły roboczej, na obrzeżach Detroit. - Nowy prze nośnik do chłodnic się popsuł. Chryste! Wszystko musi być gotowe, zanim wyjadę do Anglii.

- Miałem dziś po południu gościa.

- Ty?

- Odwiedził mnie Mitchell Polhemus. Tom gwałtownie się wyprostował.

- Polhemus? Przyjechał tu aż z Waszyngtonu? Co chciał nam powiedzieć? Żebyśmy się poddali i błagali o litość?

- Prawdę mówiąc, zaoferował nam coś, co bardzo może nam pomóc.

- Daj spokój, Hugh. Jestem zbyt zmęczony na twoje gierki.

- Przez niemal całe lata dziewięćdziesiąte pewien klient przekazywał mu projekty automobili. Żaden z nich nie został opatentowany, ale i tak bardzo by nam się przydały.

- Jak możemy je zdobyć?

- Polhemus twierdzi, że należą do ciebie.

- Do mnie? - Oczy Toma się zwięzły, szczęki ciasno zwarły. Patrzył przenikliwie z wyrazem twarzy, który przypomniał o dreszcze niejednego podległego mu dyrektora Onyxa. Tom nie miał pojęcia, jak jego gniew, choć milczący, działa na ludzi. - Chcesz mi powiedzieć, że major ukradł moje plany?

- Ładniej byłoby powiedzieć, że pożyczył - cierpko zauważył Hugh.

- Wiedział, że nie uznaje patentów, więc sam je zgłosił. Kłamliwy stary złodziej i podpalacz!

- Możemy dostać te projekty pod jednym warunkiem.

- Słucham.

- Nie wolno nam się kontaktować z klientem Polhemusa, który mu zlecił to zadanie.

- To z pewnością mogę mu obiecać - prychnął Tom. Hugh poczuł miłe zadowolenie, że tak łatwym manewrem udało mu się wygrać tę potyczkę.

- Nareszcie zdobyliśmy coś, co zrobi wrażenie na sądzie apelacyjnym. Teraz idź do domu i prześpij się.

VI

Dom, jak inne przy Chandler Avenue, zbudowany był z czerwonej cegły. Od ulicy dzielił go zielony kwadrat

trawnika. Na piętrze, krytym dachem o zielonkawej dachówce, znajdowały się trzy sypialnie i jedna łazienka, którą Bridgerowie dzielili z francuskojęzyczną dziewczyną z Kanady, zatrudnianą do pomocy. Reszta rodziny nieco się wstydziła, że ich domy prezentują się o wiele bardziej okazale, i za plecami Toma i Maud szeptali, że ze względu na prestiż Onyxa nie powinni mieszkać tak skromnie. Jednak Maud kupiła ten mały, funkcjonalny dom po okazji cenie, a Tom zamienił stajnię w wygodny garaż. Żadne z nich nie myślało o przeprowadzce.

Tom zaniósł śpiącego syna na górę i wrócił odstawić Piątkę do garażu. Kiedy zamknął wrota, spojrzął w niebo. Deszcz przestał padać godzinę temu i między zwiewnymi, srebrzystymi chmurami ukazała się połowa księżyca. Noc była wyjątkowo romantyczna, jedna z tych, kiedy to cienie zwykłych drzew i budynków zdają się ukrywać jakieś tajemnice. Krótki wybuch gniewu, wywołany perfidią majora, już Tomowi minął, w nieunikniony sposób zostawiając po sobie wspomnienie o Antonii. Pamięć go zawodziła, bo czy można dokładnie zapamiętać ekstazę albo ból? Nie potrafił już powiedzieć, czy Antonia była piękna, czy może zbyt chuda i miała dziwne rysy. Mijające lata sprawiły, że stała się dla niego nie konkretną osobą, ale dotykiem, szybkim, lekkim ruchem, jedwabistą gładkością wewnętrznej strony ud, dźwiękiem niepohamowanego śmiechu i drzeniem radości na jego skórze. Mokre bzy rozsiewały zapach tak słodki, że łzy napłynęły mu do oczu. Antonia, Antonia... Czy istnieje większy żal niż żal za utraconym światem?

- Tom! - usłyszał wołanie żony z okna na piętrze.

- Jestem tutaj, skarbie.

- Caryll czeka.

Chłopiec leżał już w łóżku i wyczekująco unosił świeżo umytą buzię. To był ich cowieczorny rytuał. Jeśli tylko Tom był w domu, kiedy syn kładł się spać - a starał się, żeby tak było codziennie - opowiadał mu o wszystkich wydarzeniach dnia. Dzisiaj opisał Caryllowi awarię przenośnika, który zaprojektował specjalnie po to, żeby transportował wykończone chłodnice z warsztatu na piętrze, gdzie je budowano, do olbrzymiej hali, w której montowano Piątki.

- Tato - odezwał się chłopiec. - Tak sobie myślałem, czy nie dałoby się robić czerwonych.

- Czerwonych chłodnic?
 - Nie, samochodów.
 - Dlaczego?
 - Czerwony ładnie by wyglądał przy takich ciemnych kolorach jak szary.
 - Wszystkie samochody, które produkujemy, muszą być takie same. Są wtedy tanie i każdy może sobie na nie pozwolić.
 - Tak sobie tylko myślałem - szybko uspokoił go chłopiec.
 - Zawsze jestem ciekaw twoich pomysłów - odparł Tom i przytulił szczupłe, zwinne ciało syna, obejmując dłońmi krągłą głowę, w której kłębiło się tyle pytań i myśli. I znów siła uczucia doprowadziła go niemal do płaczu. - Coś ci powiem - wyszeptał w miękkie, ciemne włosy. - W sobotę pojedziemy razem do Hamtramck. Zobaczysz, jak chłodnice wędrują pod sufitem. To niezwykły widok.
- Caryll opadł na poduszkę i uśmiechnął się patrząc w oczy ojca, które były równie szare jak jego. Tom pocałował go na dobranoc.
- Warkocze Maud błyszcząły na tle niebieskiego szlafroka z flaneli. Żona siedziała przy biurku i wpisywała liczby do notesu, w którym zaznaczała nawet najmniejsze wydatki. Odłożyła pióro, kiedy Tom zamknął drzwi do sypialni.
- Czego chciał Hugh? - zapytała.
 - Wynałazł gdzieś moje stare plany. - Tom usiadł i rozwiązał sznurowadła. Mimo że Maud była mu bardzo bliska, nie mógł powiedzieć jej nic więcej. Ukradzione plany wiązały się z Antonią.
 - Czy pomogą nam w sądzie?
 - Tak myślę!
 - Może to już wszystko zakończy? - Maud zdjęła szlafrok. Jej koszula nocna z mieszanki wełny i jedwabiu opinała się na kobiecych wypukłościach. Odznaczały się pod nią duże piersi z okrągłymi sutkami. - Pomyśleć tylko, Onyx wydaje fortunę na prawników, a tymczasem Hugh wydobywa skądś ważne dowody. - Weszła do solidnego, orzechowego łóża i położyła okulary na nocnym stoliku. - Dobranoc, kochanie.
- Tom spał nago. Rozebrał się, zgasił światło i przytulił do ciepłych pleców żony. Pocałował ją w ramię i przez miękką tkaninę dotknął jędrnych, dużych piersi. Jej koszula i pościel pachniały lekko naftaliną i ziołami, wonią ich małżeń-

skich nocy. Rozpiął dwa guziki i lekkim jak piórko ruchem dotknął jedwabistej, nierównej powierzchni sutka.

- Och, Tom - westchnęła Maud. - Myślałam, że jesteś zmęczony.

- Mineło tyle czasu... - Jego ręce przesunęły się niżej, łagodnie, zachęcająco, błagalnie.

Maud poruszyła się.

- No, dobrze, skoro nalegasz.

- Czy ty nigdy nie masz na to ochoty, skarbie?

- Dla kobiety to jest co innego - odparła.

Tym razem Tom żałował, że żona jest zawsze taka szczerą. Przed oczami stało mu tamto lato, kiedy uczucia wylewały się z niego jak płynne złoto, jak nasienie, a ciało otaczał jakiś blask. Zawstydział się, że jego erekcję wywołała inna kobieta, która dawno już odeszła. Odwrócił się na drugi bok.

- Tom, zawsze podchodzisz do tego tak romantycznie. Odwróć się do mnie. Dla mnie to naprawdę nic strasznego.

- Nic strasznego?

- Melisanda i Yssy tego nienawidzą.

- Chcesz powiedzieć, że rozmawiacie o naszych osobistych...

- Nie - zaprzeczyła. - Ale one o tym rozmawiają. Jak to kobiety. Melisanda twierdzi, że to jest okropnie niechlujne i zawsze zaraz potem się kąpie. Yssy natomiast zwykle czuje tylko ból i znosi Rogersa tylko dlatego, że chce mieć następne dziecko. Dziewczynkę. Mam nadzieję, że tym razem jej się uda.

Czy mu się zdawało, czy głos żony zadrżał w ciemnościach. Kiedy urodził się Caryll, lekarz z trudem zatrzymał krwotok. Nie mogli mieć więcej dzieci. W ciemnym zakamarku umysłu Tom gorzko tego żałował. Sięgnął po dłoń Maud.

- Tak mi przykro, skarbie.

Jednak Maud była zbyt praktyczna, żeby płakać po dzieciach, które nigdy nie miały się urodzić.

- Mam wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłam. Ciebie, Carylla, ten dom. - Dotknęła ramienia męża. - Tom...

- W porządku, skarbie.

- W takim razie dobranoc, kochany.

Jutro pójdę na lunch do hotelu Pontchartrain, zdecydował Tom. Mężczyźni związani z przemysłem samochodowym pili przy zielonym marmurowym blacie hotelowego

baru, jadali w restauracji i siedząc przy stolikach nakrytych białymi obrusami z adamaszku szkicowali gaźniki, skrzynie biegów i przekładnie, a potem niektórzy z nich odwiedzali jednopiętrowy budynek kilka przecznic dalej. Te wyprawy nie wywoływały u Toma poczucia winy. Nie dający zadowolenia seks za pieniądze nie miał nic wspólnego z Maud, jego najlepszą przyjaciółką. Oddech żony wydłużył się.

Tom nie mógł zasnąć. Ostatnio często zdarzały mu się bezsenne noce, wywołane troską o wynik rozprawy apelacyjnej. Jeśli przegrają, będzie musiał wnieść opłaty licencyjne, które go zrujnują. Nie miał takich sum. Chociaż wypłacał olbrzymie coroczne premie swoim dyrektorom i nie oszczędzał na premiach dla robotników, bardzo niewielką część dochodu przeznaczal na własny użytek. Hugh stale go namawiał, żeby wycofał z przedsiębiorstwa jakieś większe sumy na wypadek nagłych strat. Tom nie potrafił kierować się ostrożnością. Jak pijak albo nawiedzony święty, nie miał nad sobą całkowitej kontroli. Idealistyczne cele wciąż świeciły mu gdzieś na odległym horyzoncie, więc dochody przeznaczal na dalszy rozwój fabryk. Obrócił się niespokojnie w pościeli. Maud zachrapała cicho.

Założył szlafrok, po omacku zszedł do salonu i wyciągnął się na kanapie. He nocy tutaj leżał, rozmyślając o sędziach w czarnych togach, widząc ich spokojne, nieugięte miny? Co zadecydują?

Za oknami wstawał świt, kiedy wreszcie udało mu się zasnąć. Śnił, że znów jest na tej polanie, a zielone cienie jawora kładą się na przejrzystym, jasnym ciele Antonii, która czule wyciąga do niego ramiona w geście erotycznego zaproszenia.

- Och, Tom... - zamruczała. - Tak bardzo za tobą tęskniłam... - Ten sen, jak wszystkie jego sny, był przesycony taką intensywnością, jakby pochodził wprost z jego duszy. Miłosny akt widział tak realistycznie, że obudził się z głośnym, triumfującym krzykiem. Wstydlivy wypadek, który przydarza się dorastającym chłopcom, tym razem spotkał Toma.

VII

Hugh zasiadł w fotelu za biurkiem i ze zmarszczoną brwią przyglądał się pojedynczej kartce, którą wyjął z zakładowanej koperty z napisem „Osobiste i poufne”.

Śledzenie życia innych ludzi i zdobywanie informacji niepostrzeżenie stało się dla młodszego Bridgera czymś naturalnym.

Rogers Sinclair nadzorował sprzedaż, ale Rogers był tylko komiwojazerem, pełnym zapału, lecz niezbyt lotnym, więc wielu handlowców zatrudnionych przez firmę na początku jej działalności okazało się nieudacznikami, oszustami, a jeden z nich, o czym rozpisywały się gazety, był bigamistą. Wobec tego Hugh wynajął dwóch detektywów, którzy podróżowali po kraju, sprawdzali każdego kandydata i przesyłali mu raporty. Życiorysy, często kryjące w sobie pokrętne tajemnice, okazały się emocjonującą lekturą dla samotnika. Od czasu do czasu zlecał śledztwo dotyczące poważniejszych spraw niż drobne grzeszki przyszlých handlowców i w takich wypadkach korzystał z usług pewnej nowojorskiej firmy.

Londyński pracownik tej właśnie firmy opracował listę najważniejszych wydarzeń w życiu Antonii Dalzell od roku 1899 do chwili obecnej. Hugh marszczył brew z niezadowoleniem, ponieważ niewielki pożar w urzędzie stanu cywilnego zniszczył dwie informacje, które miały dla niego podstawowe znaczenie.

Chodziło mu o datę ślubu Antonii z Claude'em Hutchinso-nem, Amerykaninem - list informował go, że nastąpił on w roku 1899 lub 1900 - i o dokładną datę narodzin jej najstarszego dziecka, syna, Justina. Wiadomo było tylko, że urodził się w 1900 roku.

Pozostałe dane były dokładniejsze. Oswald Dalzell, jej ojciec, zmarł na zapalenie płuc 27 stycznia 1901 roku.

Najmłodsze dziecko, córka Zoe, urodziła się 1 września 1906. Było jeszcze jedno dziecko, syn Artur, który jednak zmarł na szkarlatynę 25 marca 1906. Tydzień później, 1 kwietnia, Claude'a Hutchinsona pokonała ta sama choroba. Wdowa mieszkała przy Rutland Gate, w Londynie, w domu odziedziczonym po stryju, majorze Andrew Stuarcie, zamieszującym kiedyś pod tym samym adresem. Major zmarł na raka 17 sierpnia 1909 roku.

Najbardziej intrygował Hugh chłopiec. Kiedy urodził się syn Antonii?

Nigdy nie zadawałby sobie tego pytania, gdyby więcej myślał o Caryllu, a mniej o Tomie. Nie darzył sympatią Carylla, choćby dlatego, że zachowanie chłopca odczytywał

jako wyraz lęku przed stryjem. Nie mógł się pogodzić z faktem, że ten bojaźliwy niezdara jest jedynym synem jego wspaniałego brata. A może jest inaczej? Hugh zapatrzył się w jakiś punkt w przestrzeni. Doszedł do wniosku, że musi zobaczyć syna Antonii. Znowu zmarszczył brew. Z niezadowoloną miną długo spoglądał na raport, aż w końcu złożył go wzdłuż zagięć i schował do koperty.

Niezła suma! - zagwizdał Tom.

Obaj bracia przeglądali w biurze Hugh bilans roczny Onyxa. Liczba, zapisana czarnym atramentem na dole arkusza, była bardzo duża.

- Tom, podejmij to wszystko i przelej na swój rachunek.

- Zwariowałeś? Potrzebuję tych pieniędzy, a i to za mało, na budowę fabryki w Anglii.

Pomysł wybudowania fabryki w Anglii przyszedł Tomowi do głowy rok wcześniej, kiedy odwiedził go Montgomery Edge, który był przedstawicielem Onyxa w Londynie. Monty był zdolny, ambitny i - co dla Toma miało największe znaczenie - znał prawie wszystkie tajemnice silnika spalinowego.

- To nie jest odpowiednia pora na rozwój - oznajmił Hugh. - Nie czas teraz budować nowe fabryki.

- Mówisz jak księgowy.

- Jeśli przegramy apelację, sąd oskubie Onyxa ze wszystkich pieniędzy, nakazując zapłacenie zaległych należności. Zatrzymaj ten zysk. W razie czego będziesz miał pół miliona w zanadrzu.

- Nie zamierzam przegrać, a nawet jeśli tak się stanie, to mam zabezpieczenie.

Hugh zdawał sobie sprawę, jak mizerne jest to zabezpieczenie. Na jego polecenie detektywi z Nowego Jorku zbadali stan konta Toma Bridgera. Kto by uwierzył, że wielki magnat samochodowy ma niespełna dziesięć tysięcy dolarów w gotówce, i to zapisane na żonę? Hugh zastanawiał się, jak to możliwe, że brat tak całkowicie poświęcił się dla swoich wizji, nie dbając zupełnie o własny interes. Jednak zdążył już pogodzić się z faktem, że straceńcza odwaga Toma, tak samo jak jego szczególny geniusz, składały się na ostateczny sukces Bridgera.

- Jadę z tobą do Anglii - oznajmił.

Tomowi, który właśnie się przeciągał, ze zdziwienia opadły ramiona.

- Co takiego?
- Popłynę z tobą *Oceanikiem*.
- Wyjdiesz ze swojej jaskini?
- Jeśli ty jesteś na tyle szalony, że chcesz tam jechać, to ja muszę dotrzymać ci towarzystwa - odparł Hugh, patrząc bratu prosto w oczy. - Będziemy musieli zatrudnić wielu nowych pracowników. Powiniennem być na miejscu, żeby sprawdzić, czy się nadają.
Tom przełknął ten wykręt.

- Dla Onyxa nie cofniesz się przed żadnym poświęceniem? - zapytał radosnym, beztroskim tonem.

- Właśnie, właśnie.

- Pamiętasz, Hugh? Zawsze chciałeś odbyć podróż po Europie. Może wybralibyśmy się również do Francji?

- Jadę tam wyłącznie w interesach, chociaż wiem, jak bardzo pragniesz mieć kogoś do towarzystwa.

Obaj się uśmiechnęli. Wśród przemysłowców Tom cieszył się sławą człowieka, który w ogóle nie dba o wyrafinowane rozrywki, za którymi przepadał nowi magnaci automobilizmu. Bridger nie miał nawet własnego smokingu.

Duże pudło wyblakłych planów zostało w maju przekazane prawnikom. Pozostało tylko czekać. W listopadzie trzech sędziowie Okręgowego Sądu Apelacyjnego mieli wysłuchać zeznań świadków, przyjrzeć się dowodom, przeczytać sprawozdania i naradzić się nad dalszym losem Forda i Onyxa.

W listopadzie...

Rankiem, jedenastego kwietnia, wśród gwaru i zamieszania, Tom i Hugh wsiedli do pociągu, którym mieli odbyć pierwszy etap podróży. Kiedy wyjeżdżali z dworca, Tom doświadczył szczególnego napięcia nerwów, jakie zwykle czuł na początku testu na wytrzymałość. Ta podróż była pewnego rodzaju wyzwaniem, rzuconym trzem sędziom. Hugh, lekko drżąc na ciele, siedział skulony w rogu przedziału. Żeby zagłuszyć lęk i zapomnieć o własnych fobiach, skupił się na rozmyśleniu, w jaki sposób wykryć prawdę o synu Antonii. Pochłonięty układaniem intryg, nie zauważył, że pociąg minął już brzydkie, przemysłowe okolice Detroit i wokół roztaczał się rozległy, wiejski krajobraz.

Nie spodziewali się, że w Southampton ktoś będzie ich oczekiwał, ale kiedy zeszli ze statku po osłoniętym płóciennym daszkiem trapie, zobaczyli, że macha do nich Montgomery Edge. Hugh nie spotkał Anglika, kiedy ten odwiedził Detroit, więc podczas powitania sztywno spoglądał przed siebie. Z napiętą twarzą i wyprostowanym ciałem mijał tętniące życiem zabudowania nabrzeża. Szofer Edge'a dotknął daszka czapki, otworzył drzwi samochodu i Hugh pośpiesznie zniknął we wnętrzu. Tom zatrzymał się i dotknął maski Rolls-Royce'a. Lustrzany połysk był efektem czterdziestu warstw lakieru, z których każdą polerowano ręcznie. Nakładanie ostatniej warstwy odbywało się w specjalnie uszczelnionym pomieszczeniu, do którego nie mogły się przedostać najmniejsze pyłki.

- Wspaniała maszyna - stwierdził z uznaniem Bridger.

- Tak, Silver Ghost, całkiem niezła - zgodził się Edge. -Dostałem go w prezencie od firmy, kiedy się z nią rozstałem.

Limuzyna prześlizgiwała się między wozami konnymi. Hugh, wciąż spięty, przyglądał się ukradkiem siedzącemu obok Anglikowi. Montgomery Edge. Średniego wzrostu, ze świeżą, zaróżowioną cerą i szczoteczką wąsów w takim samym piaskowym kolorze jak jego włosy, wyglądał, jakby urodził się po to, żeby ze sportową strzelbą na ramieniu spędzać czas na polowaniach podczas eleganckich weekendów na wsi. Jednak Hugh dokładnie zbadał jego przeszłość, zanim zaakceptował kandydaturę Monty'ego na tak kluczowe stanowisko, jak dyrektor londyńskiego przedstawicielstwa Onyxa. Monty urodził się jako Alfie Edge, syn rozwoziciela piwa z Manchesteru. Zaczynał jako czeladnik w warsztatach Henry'ego Royce'a, gdzie produkowano elektrycz-

ne dźwigi. Tak więc był pracownikiem Royce'a, jeszcze zanim ten wszedł w spółkę z człowiekiem o dość podobnie brzmiącym nazwisku, szlachetnie urodzonym Charlesem S. Rollsem. Egde zmienił imię na bardziej eleganckie, wypracował lepszy akcent i nauczył się panować nad swoją żywiołową inteligencją. Wziął też sobie żonę Edwinę, chłodną i wyniosłą córkę Nigela Alexandra, Doradcy Królewskiego. Małżonka zapewne nie pociągała go fizycznie, ponieważ miał kochankę, którą utrzymywał w zacisznym domu w St. John's Wood.

Hugh nie wiedział jednak, że Edge'owie zamierzali nakłonić Toma, żeby zatrzymał się w ich domu, i na wiadomość, że towarzyszy mu jego dziwaczny brat, Monty wbuchnął stekiem przekleństw, jakich nie powstydziliby się woźnica z Manchesteru. Miał zamiar wyrzucić na Tomie jak najlepsze wrażenie, ponieważ jego celem było objęcie stanowiska głównodowodzącego w ataku, jaki Piątka miała przypuścić na Wielką Brytanię.

Osobisty sekretarz Hugh, który wraz z bagażami udał się do Londynu pociągiem, czekał w hotelu Hyde Park. Chociaż było już po czwartej, Hugh wysłał bladego, sprawnego absolwenta Harvardu, żeby nawiązał kontakt z londyńską firmą detektywistyczną.

Następnego popołudnia młodszy Bridger otrzymał fotografię trzeciej klasy z Eddington College School przy Wigmore Street. Justin Hutchinson, trzeci od lewej w ostatnim rzędzie, był najwyższym z szesnastu chłopców. Hugh przyglądał się jasnemu owalowi twarzy i ciemnej czuprynie i uznał, że fotografia uchwyciła jakiś znajomy mu, zamyślony wyraz oczu. A może tak mu się tylko zdawało? Stanął bliżej okna i jeszcze raz popatrzył na zdjęcie. Dziecko się chyba poruszyło. Lekko zamazana twarz nadal pozostała enigmą.

II

Tom i Hugh wrócili do nawyków z kawalerskich czasów. Wciąż się sprzeczekali, ale byli sobie bardzo bliscy. Przy śniadaniu, kłócąc się o jakieś sprawy służbowe, obaj zapominali, że mieszkają w wielkim, wygodnym apartamencie hotelowym z widokiem na londyński Hyde Park, i wydawało im się, że znowu są biednymi chłopcami w nędznym mieszkanku. Co dzień Tom wychodził wcześniej rano i udawał się

z Montym na poszukiwanie terenu pod iabrykc Dwukrotnie, kiedy wystarczająco wcześnie kończyli pracę, Ldge'owie zaprosili go do siebie. Hugh spędzał całe dni i wieczory studiując podania o pracę przyszłych handlowców, zestawienia bilansowe tutejszego przedstawicielstwa Onyxa i możliwości reklamy w Wielkiej Brytanii. Fotografię zamknął w hotelowym sejfie. Z wyrachowaniem czekał na odpowiedni moment, żeby powiadomić Toma o swoich odkryciach. Wiedział, że jeśli zdradzi się zbyt wcześnie, brat zacznie się domyślać, jaki był prawdziwy powód jego nieoczekiwanej decyzji o podróży do Anglii.

Dopiero po ośmiu dniach pobytu w Londynie bracia pierwszy raz zjedli razem kolację. Kiedy kelner wywiózł już na wózku brudne naczynia, Hugh rozłupał orzech i uważnie wyjął jego miękkie wnętrze.

- Mam dla ciebie nowinę, Tom. Major Stuart nie żyje - przemówił bez emocji, chociaż nadal odczuwał ten dziwny, perwersyjny żal równie mocno, jak na początku. - Umarł na raka prawie rok temu.

Po długim milczeniu Tom odezwał się:

- Nie będę nosił po nim żałoby. - Nie odrywał wzroku od Hugh.

Obaj myśleli o tym samym. Antonia.

- Ja też po nim nie płaczę - odparł Hugh.

- Nie powiedziałaś mi wszystkiego.

- Ona tutaj mieszka.

Tom zmienił się na twarzy. Źrenice mu się rozszerzyły. Wstał, jak lunatyk podszedł do okna i rozsunął ciężkie kotary. Zaczął padać wiosenny deszcz. Latarnie i światła powozów i aut odbijały się na lśniącej czarnej powierzchni ulic.

- Tutaj, to znaczy w Londynie? - zapytał w końcu.

- Tak. Przy Rutland Gate, numer dwadzieścia. To niedaleko.

- Dlaczego tutaj?

- Nie wiem. Wyszła za męża za Amerykanina. On też już zmarł. Została wdową. Nazywa się teraz Hutchinson.

- Hutchinson... a więc знаła go przedtem... jeszcze w Detroit.

Tym razem zdziwił się Hugh.

- Naprawdę?

- Mówiła, że jest nudny, nie ma poczucia humoru... Wyszła za niego za męża?

- Tak. - Hugh nalał brandy do dwóch kieliszków. - To

wszystko, co wiem. No i jeszcze to, że w swojej wielkoduszności przekazała nam te plany.

- To była ona?

- Tak. - Hugh podszedł do Toma i podał mu kieliszek. Brat nie zwrócił na niego uwagi.

- Myślałem, że dostaliśmy je od majora.

- Prosiła, żeby ci o tym nie mówić, a ja uszanowałem jej życzenie...

Ale Tom go nie słuchał. Z nieprzytomnym spojrzeniem sztywno przeszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi.

III

Następnego ranka, w niedzielę, było nieoczekiwanie ciepło jak na tę porę roku. Słońce świeciło na czystym, błękitnym niebie. Na Rutland Gate, wczesnowiktoriańskim skwerze nie opodal Hyde Parku, wysokie, jasne domy stały obok siebie, otaczając ogrodzony żelaznym płotem prywatny ogród, gdzie starannie utrzymane wiązy szumiały świeżo rozwiniętymi liśćmi nad żółtymi narcyzami, kołyszącymi się na półkolistych klombach. Piękno tego dnia podziałało na Toma i chociaż sprężyście kroczył po błyszczącym chodniku, na twarzy miał rozmarzony uśmiech. Rewelacje Hugh dosłownie zwały go z nóg. Teraz dryfował po księżycowym oceanie miłosnych wspomnień. Dotarłszy do domu z numerem dwudziestym, wszedł po frontowych schodach i zatrzymał się. Na mosiężnej wizytówce wygrawerowano: „Pani Antonia Hutchinson”. Wypolerowany metal przypomniawszy mu o rzeczywistości i rozmarzony uśmiech zniknął z oblicza Toma. Tak się teraz nazywała. Nie była już tryskającą energią młodą dziewczyną, ale wdową po Claudzie Hutchinsonie. On też był w związku małżeńskim, i to szczęśliwym, z kobietą, którą uważał za najlepszego przyjaciela pod słońcem. On i Antonia byli już innymi ludźmi. Dotknął tabliczki i przypomniawszy sobie ostatnią kłótnię, która wszystko zniszczyła. Co jej powiem? Jak mam ją przeprosić? Ból przeszył mu skronie. Jednak nie przeszło mu nawet przez głowę, że mógłby zawrócić po świeżo umytych stopniach.

Gwałtownie zastukał kołatką w kształcie syreny.

Drzwi otworzył niski, gruszkowaty służący w kurtce z alpaki.

Tom odchrząknął.

- Czy pani Hutchinson jest w domu?

- Pan w jakiej sprawie? - zapytał służący. Patrzył na gościa nie podnosząc powiek, co działało wyjątkowo deprymująco.

Bridger zapomniał, że jest głównym właścicielem spółki, której łączną wartość oceniano na dwanaście milionów dolarów. Pamiętał tylko, że wieczorem zapomniał wystawić buty na korytarz i teraz były nie wyczyszczone.

- Jestem jej przyjacielem - odparł. Wyrzucał sobie w duchu, że po drodze nie wstąpił do kwiaciarni albo, jeszcze lepiej, do eleganckiej cukierni naprzeciw hotelu. - Byłem współnikiem jej zmarłego stryja. - Wyjął wizytówkę ze skórzanego etui.

T.K. BRIDGER SPÓŁKA AUTOMOBILOWA ONYX DETROIT, MICHIGAN

Mężczyzna wydał usta i uważnie przeczytał.

- Proszę do środka - powiedział.

Poprowadził Toma schodami w górę i zostawił go w dwóch połączonych salonach dla gości, które biegły przez całą szerokość domu. Wielkie drzwi, łączące oba pomieszczenia, były rozsunięte i Tom rozejrzał się. W oknach nie było zasłon, tylko koronkowe firanki, wydęte przez lekki wiatr. Lśnił ciemny, nie przykryty dywanem parkiet. Umeblowanie stanowiły rozstawione chaotycznie krzesła i dwie niskie kanapy, nakryte pokrowcami z jasnego lnu.

Miedziany kubełek, pełen kwiatów, ustawiono niedbale na podłodze. Wzrok przyciągały wiszące na ścianach liczne obrazy. Pejzaże w jaskrawych kolorach, różowawe portrety rodzinne, ogrody kwiatowe i akt nie upozowanej kobiety. Było to malarstwo naiwne, przysycone radosnym światłem i nie przypominało drogich, zwykle utrzymanych w ciemnych barwach dzieł starych mistrzów. W salonie panowała wesoła, ulotna atmosfera letniego pawilonu. Tom mimowolnie przypomniał sobie, że nawet kiedy byli jeszcze bardzo biedni, Maud zdołała zaoszczędzić pieniądze na ciężkie, mocne meble. Kierowała się zasadą: „Na dłuższą metę drogie sprzęty są tańsze, bo wystarczają na wiele lat”. Przez chwilę zastanawiał się nad sytuacją finansową Antonii, ale zaraz

uświadomił sobie, że przecież zatrudnia służącego i mieszka przy eleganckim skwerze w pobliżu parku.

Zza otwartego okna, wychodzącego na tył domu, dobiegł go dziecięcy śmiech.

Tom odwrócił się przerażony. Dziecko? Jak mógł zapomnieć o takiej możliwości?

Rozległo się głośniejsze wołanie.

- Nie! Justin, nie! Teraz moja kolej!

A więc jest dwoje dzieci, poprawił się w myślach i podszedł do wysokiego okna.

Poniżej znajdował się mały miejski ogródek, którego mury ukryły się za rozkwitłymi na biało krzewami rododendronów. Na zalanej słońcem części trawnika leżał orientalny dywan. Nagle zobaczył Antonię. Leżała na brzuchu, wsparta na łokciach. Uniosła jedną nogę i kołysała pantofelkiem, który trzymał się zaczepiony o stopę w cienkiej pończosze. Spódnica w różowo-białe pasy uniosła się i ukazywała pienisty skraj halek. Z tej odległości zdawało się, że Antonia nic się nie zmieniła. Dwoje dzieci siedziało naprzeciw niej, oddzielonych od matki planszą do gry. Patrząc z góry Tom mógł tylko stwierdzić, że chłopiec ma czarne, lśniące włosy Antonii i jest dużo starszy od Carylla, a włosy dziewczynki, bardzo jeszcze malutkiej, przypominają stopione złoto. Cała trójka śmiała się, kiedy dziewczynka rzuciła się, żeby wyrwać chłopcu kubek z kośćmi do gry. Malec z łatwością ją powstrzymał.

Tom miał wrażenie, że spogląda na kolejny bezpretensjonalnie radosny obraz i wkrótce sam stanie się jego częścią.

Usłyszał, że poniżej otwierają się drzwi. Antonia obciągnęła spódnicę, zakrywając śliczne, delikatne kostki, odwróciła się i usiadła. Pojawił się służący i podał jej wizytówkę.

Równie dobrze w ogrodzie mógłby wybuchnąć pocisk.

Nawet z tej odległości Tom widział przerażenie w jej oczach, kiedy spojrzała w okno. Był pewien, że dostrzegła jego postać za brukselską koronką. Szybko się podniosła, pociągnęła syna za rękę (kiedy stał, sięgał jej do ramienia i było coś w jego wzroście, co na chwilę zastanowiło Toma), potem wzięła na ręce dziewczynkę, która ze złości, że tak nagle oderwano ją od ziemi, wierzgała nóżkami w białych bucikach. Owczarek collie wyłonił się z cienia i szczekając towarzyszył znikającej z oczu grupce.

Tom stał bez ruchu, spoglądając na opustoszały ogród. Plansza do gry osunęła się na trawę. Nie był pewien, jak

będzie wyglądało spotkanie z Antonią, ale ten kataklizm, który spowodował swoim pojawieniem się, tak bardzo się różnił od romantycznych, młodzieńczych fantazji, które nie dawały mu spać minionej nocy, że poczuł się, jakby wymierzono mu fizyczny cios. Jeśli ona tak bardzo go nienawidzi, to dlaczego zwróciła mu projekty? Na schodach zadudniły ciężkie kroki służącego.

- Pani Hutchinson wyszła, proszę pana.
- Ale przed chwilą widziałem ją w...
- Przykro mi. Pani Hutchinson nie ma w domu.
- Kiedy wróci?
- Proszę za mną. Odprowadzę pana do drzwi.

Tom otarł czoło. Przez długie lata obywatłem się bez niej, myślał schodząc na ulicę. Jeśli tak mnie nienawidzi, to do diabła z nią, nic mnie to nie obchodzi. Jest mi już obojętna. Jednak pamiętał słodki dotyk jej nagiego ciała na swojej skórze, widział pobladałą, ściągniętą twarz w nędznym mieszkaniu. Myśli, które gwałtownie kłębiły się w głowie Toma, nie miały nic wspólnego z obojętnością. Do diabła z Antonią.

IV

Nie opowiedział bratu o swojej porażce, nie wspomniał słowem o Antonii, ale ona cały czas była w jego myślach, odsuwała w cień inne sprawy. Jak wysysający krew demon męczyła go w nocnych koszmarach, jakże innych od jego wcześniejszych czułych, erotycznych snów. Uwodziła go tysiącem wyuzdanych sztuczek, napełniała zwątpieniem i pogardą dla samego siebie. Całymi dniami chodził jak struty, chociaż nie miał po temu realnych powodów. Przeprowadził rozmowy z kandydatami, których wyselekcjonował Hugh, i odrzucił wszystkich trzech. Monty zawoził go na tereny pod przyszłą budowę, które spełniały wszystkie konieczne warunki. Mimo to w każdym z nich coś mu się nie podobało.

Pod koniec tygodnia Monty oznajmił najbardziej spontanicznym tonem, na jaki go było stać:

- Wybieramy się jutro wieczorem na bal do Comstocków. Bardzo chcieliby cię poznać.

Tom miał na końcu języka słowo „nie”, ale sam był już znużony swoim despotyzmem i wiecznym niezadowoleniem.

- Świetnie, z przyjemnością się do nich wybiorę - odparł.

Drzwi do łazienki były otwarte i Hugh patrzył, jak brat płucze pod strumieniem wody jedno z tych nowych ostrzy do golenia Gillette.

- Zastanawiam się, ile sznurków musiała pociągnąć Edwina Edge, żeby dostać to zaproszenie?

- Dlaczego wszędzie wiesz intrzygi? - zapytał opryskliwie Tom. - Jesteś cwany lisem, ale to nie znaczy, że inni są do ciebie podobni.

- Comstockowie należą do kręgów dworskich, a Monty to syn woźnicy. W tym kraju ludzie z tak różnych sfer nigdy się nie stykają. Edge'owie robią wszystko, żeby wyrzeć na tobie jak najlepsze wrażenie.

- Oczywiście. Tak samo jak wszyscy. - Tom osuszył ostrze. - Hugh, ojciec pani Edge to wybitny prawnik, znany adwokat.

- Ale nie należy do towarzystwa.

- Układy i hierarchie. Dlaczego Edwinie miałoby zależeć na tym, żeby mnie oszołomić?

Hugh popatrzył na brata szeroko rozwartymi oczami. Nie po raz pierwszy uświadomił sobie, że Tom, na swój sposób ascetyczny, nie ceni pociągającego zapachu władzy. Nie zwracał uwagi na jej przyjemną stronę. Nie zdawał sobie sprawy, że ponieważ władza tysiącami ludzkich losów, wszyscy obawiają się jego kaprysów i są gotowi spełnić wszelkie zachcianki.

- Ostatnio stale chodziłeś wściekły. Edge jest przekonany, że nie ma już szans na stworzenie brytyjskiej filii Onyxa. Przynajmniej nie z nim u steru. Jego żona chce ci udowodnić, że mąż to wartościowy człowiek.

- Dobrze, że mi to wyjaśniłeś. Do tej pory wydawało mi się, że po prostu chce zaciągnąć mnie na przyjęcie, na które wcale nie mam ochoty iść - odparł Tom i zaczął się ubierać w wieczorowe ubranie brata. Tego ranka wezwał krawca, żeby mu je dopasował. Tom był znacznie szerszy w torsie i trochę niższy od Hugh.

v

W owalnych lustrach, zawieszonych nad szerokimi schodami, odbijali się lokaje w czerwonych liberiach i wchodzący na górę goście, którzy rozmawiali ze sobą ściszymi głosami. Edwina Edge szła o krok przed mężem i Tomem.

W sukni z brązowej koronki, o twarzy przeciętej głębokimi bruzdami, biegnącymi od nosa do ust, z nieokreślonym, zimnym błyskiem w oczach, Edwina wydawała się o dziesięć lat starsza od męża, chociaż tak naprawdę dzieliła ją od niego różnica tylko dwóch. Jednak jej niewzruszona pewność siebie przekonywała znajomych, że brak urody i podeszły wiek to cechy, jakie Montgomery Edge najbardziej ceni w kobietach. I rzeczywiście, Monty spoglądał z pełną czułości dumą na kościste plecy żony. Jak słusznie odgadł Hugh, Edwina fortem zdobyła zaproszenie na ten bal. Małżonków najbardziej łączyła ambicja i dzięki temu byli sobie bliżsi niż większość par.

W tylnej części domu, na pierwszym piętrze, znajdowała się olbrzymia sala balowa, robiąca wrażenie wspaniałego, choć jednocześnie bardzo podupadającego wnętrza. Czarne przewody doprowadzające elektryczność przecinały ozdabiające sufit, wspaniale rzeźbione girlandy róż, złocenia odpadały z rozszerzających się ku górze kolumn, a kopułę nad środkiem sali pokrywały zacieki. Ogólnie mówiąc, większość gości była ubrana nie tak nieskazitelnie, jak uczestnicy podobnych spotkań w Nowym Jorku. Ubrania niektórych mężczyzn dawno już wyszły z mody, nie wszystkie kobiety imponowały eleganckimi sukniami, a większość ich biżuterii wykonano w ciężkim stylu minionych epok. Na balu Comstocków widziało się mieszaninę bogactwa i niedbałości, na jaką mogą sobie bezkarnie pozwolić tylko członkowie starej arystokracji.

Tom, które źle się czuł na dużych imprezach towarzyskich, zszedł po trzech niskich schodkach i zbliżył się do gospodarzy, którzy witali gości. Lord i lady Comstock byli przystojną parą po pięćdziesiątce. On miał sumiaste wąsy, ona podwójny podbródek. Oboje uśmiechali się radośnie.

Edwina przedstawiła Toma.

- Aaa, Bridger - odezwał się lord Comstock, zaczesując dłonią grzywę siwych włosów. - Widziałem pana raz w czasie wyścigu. Było to w jakiejś miejscowości o barbarzyńskiej nazwie. Rippie coś tam.

- Rappahanock.

- O, właśnie. Mknął pan tym szarym Onyxem jak błyskawica. Czy da pan szansę Anglikom, żeby zobaczyli pana w akcji?

- Tak właśnie reklamuję swój produkt.

Monty i Edwina zeszytnieli, słysząc tę niezręczność, ale Comstockowie roześmiali się rozbawieni.

- Racja - odrzekła pani domu. - Przecież pan produkuje te monstra.

Rozluźniony rozmową Tom przeszedł do sali balowej. Gwar rozmów, okrzyki powitań i tupot kroków na wywoskowanej podłodze tworzyły ogłuszający hałas, więc Edwina przysunęła się do niego bliżej, żeby mu wskazać najznakomitszych gości: księżę Louis Battenburg stał otoczony grupą ludzi w rogu sali, księżna Louisa z mężem, księciem Fife'u, wyraźnie znudzeni, skryli się w niszy.

Głośny wybuch męskiego śmiechu zwrócił uwagę Toma na wnękę przy oknie. Pięciu mężczyzn, w tym trzech w barwnych mundurach, otaczało kręgiem wysoką, szczupłą kobietę w kremowej, jedwabnej sukni. W granatowoczarnych włosach nie miała tiary; jedynym klejnotem, który ją zdobił, był naszyjnik z małych szafirów. Stała zwrócona do Toma profilem i światło kinkietu kładło się łagodnym blaskiem na delikatnym wzniesieniu nosa, który właśnie zmarszczyła, śmiejąc się z jakiejś zabawnej anegdoty.

Dopiero po kilku uderzeniach serca Tom rozpoznał Antonię, bo nie była to już samotna dziewczyna, którą pokochał, jego złodziejka róż. Ta Antonia była istotą stworzoną do zachwywania tłumów. W niej odbijała się radość życia, tak jak w brylancie odbija się światło. Uniosła rękę, jakby w szkockim tańcu, i mężczyźni znowu wybuchnęli śmiechem. Edwina zauważyła, gdzie spogląda Tom.

- To jest pana rodaczka, panie Bridger.

- Kto? Gdzie? - wtrącił się Monty. - Aaa, pani Hutchinson. Wspaniała kobieta, wspaniała. Chciałby pan, żebym pana przedstawił?

- Znam ją - odparł Tom. - Pracowałem jako mechanik w fabryce jej stryja.

Monty zaczerwienił się po uszy. Tymczasem z galerii dla orkiestry popłynęły głośne dźwięki walca. Panowie kłaniali się damom kładąc dłonie na śnieżnobiałych gorsach koszul. Pary wirowały na parkiecie. Rytmiczne stukanie pantofelków, brzęk ostróg i szelest sukni wzbijały się nad gwar rozmów i muzykę. Tom przepchnął się przez tłum i podszedł do okna.

- Antonio - powiedział ochryplym głosem. - Witaj. Zamrugła powiekami. Ożywienie i rumieńce znikły z jej

twarży. Dotknęła ręką szyi, gdzie wyraźnie pulsowała drobna żyłka.

- Czy mogę prosić cię do tańca? - zapytał.

- Wybacz, stary. Ten walc jest mój - odezwał się tęgi mężczyzna w szkockiej spódnicy i marynarce ze srebrnymi guzikami.

- Roderyku - przemówiła cicho Antonia - to jest pan Bridger z Ameryki.

Tom uznał to za zgodę i położył dłoń na jej szczupłej, giętkiej talii. Nie był dobrym tancerzem, zbyt późno zaczął się uczyć i miał za mało wprawy. Natomiast Antonia tańczyła wspaniale. Wirowała i kołysała się z wdziękiem, a jej stopy, obute w jedwabne pantofelki, lekko stapały po parkiecie. Jednak cały czas milczała i trzymała go na dystans, wpatrując się w jakiś punkt nad jego głową. Kiedy udało mu się raz napotkać jej wzrok, zatrzepotała powiekami i dostrzegł w jej oczach ten sam strach, który tak go zaskoczył, kiedy spojrzała na niego z ogrodu. Bała się go. Ale dlaczego? To prawda, że kiedyś cisnął w nią gromami złości, jednak przecież oddała mu projekty, więc upływ ponad dziesięciu lat musiał nieco złagodzić gorzkie wspomnienie tamtej sceny. Tom pragnął znów odczuć dawny zawrót głowy, jaki wywoływała u niego jej bliskość (było w tym wiele więcej niż tylko fascynacja erotyczna, jakiś wewnętrzny przymus, nad którym nie chciał się zastanawiać), ale pełne rezerwy milczenie Antonii zabijało wszelką przyjemność.

- Twoje obrazy są niezwykle - odezwał się w końcu. Na jej policzkach wykwitły różowe plamy.

- Nie powinieneś był przychodzić do mnie do domu. Urażony, postanowił jej odpłacić.

- A ty nie musiałaś uciekać, jakby odwiedził cię Kuba Rozpruwacz. Chciałem tylko podziękować za te projekty.

- Prosiłam pana Polhemusa, żeby nie mówił, skąd je ma.

- Zapomniałaś, jaki jestem domyślny. Kto, jeśli nie twój stryj, byłby w stanie mi je wykraść?

Opuściła głowę. Nie widział wyrazu jej twarzy, czuł tylko zapach włosów - nadal używała wody różanej - który tak głęboko zapadł mu w pamięć.

- Stryj zmarł w zeszłym roku.

- Słyszałem. Wiem też, że poślubiłaś swojego starego wielbiciela i on też już nie żyje. - Orkiestra, bez żadnej przerwy, zaczęła grać melodie z *Wesołej Wdówki*. Pomyślał,

że to bardzo dobrze dobrana muzyka. - Wdowieństwo ci służy.

Wyczuł dłonią, że głęboko nabrała powietrza. Zaczął tańczyć wolniej.

- Chyba pamiętasz, że mam złośliwe i okrutne poczucie humoru? Przepraszam. - Żeby zatrzeć przykre wrażenie, dodał: - Widziałem twojego syna i córkę. Wspaniałe dzieci. Ja też mam syna. A w jakim wieku jest twój?

Stopy Antonii znieruchomiały. Całe ciało napięło się. Z pobladłą twarzą patrzyła mu prosto w oczy.

- Jak śmiesz! - wyszeptała.

- Co się stało? Przecież zapytałem tylko o twoje dzieci.

- Stałeś się bardzo okrutny. - Na rzęsach dolnych powiek lśniły łzy.

- Antonio, nic nie rozumiem. Odsunęła się od niego.

- Skręciłam kostkę - oznajmiła. Stali na skraju tanecznego parkietu, tam, gdzie siedziały rozplotkowane starsze damy. Antonia opadła na krzesło o wytartym aksamitnym obiciu.

- Bardzo cię boli? Skinęła głową.

- Poszukać lekarza?

- Nie trzeba. - Spoglądała na wirujących w walcu tancerzy, jakby oni mogli ulżyć jej w bólu. Tom doskonale wiedział, że jej cierpienie nie ma nic wspólnego z nadwreżonymi ścięgnami szczupłej kostki.

Usiadł obok niej na złoconym krześle i przemówił cicho, ale dobitnie.

- Nie rozumiem, co takiego zrobiłem. Czy chcesz, żebym cię przeprosił za to, co zdarzyło się w Detroit? - Pytanie zawisło w powietrzu. W jej oczach błyszczało oburzenie i strach. Zmienił temat. - Te plany to jest właśnie to, czego nam było potrzeba. Zdaniem prawników, posłużą za dowód, że doszedłem do obecnej wersji mojego samochodu zupełnie inną drogą niż ta opatentowana przez Seldena. Będą miały podstawowe znaczenie dla naszej apelacji. - Nachylił się do niej. - Chryste, Antonio. Minęło już dziesięć lat od dnia, w którym zachowałem się jak potwór. Czy nie mogę skorzystać z jakiegoś przepisu o przedawnieniu?

- Dlaczego wężysz wokół mojego syna? - Głos jej drżał.

- Wokół twojego syna? Antonio, nic z tego nie rozumiem.

- Dlaczego przyszedłeś go zobaczyć?

- Przecież mówiłem, że chciałem ci podziękować. Czy jest jakiś powód, dla którego nie wolno mi przychodzić do twojego domu? Czy jesteś zaręczona... albo coś w tym rodzaju?

Jedna ze stojących w pobliżu dam podeszła do nich; brylantowa tiara połyskiwała w stalowosiwych włosach, kiedy kobieta schyliła się troskliwie nad Antonią.

- Co się stało? Tak bardzo pobladłaś.

- Skręciłam nogę w kostce.

- Biedactwo. Chodź do garderoby, przyłożymy trochę lodu. Dasz radę?

- Spróbuję, wasza miłość - odparła Antonia i wstała. Tom również się podniósł. Odeszła, nawet na niego nie spojrzawszy.

Patrzył, jak wraz ze starszą damą okrąża parkiet taneczny. Przytrzymała tren sukni za specjalnie w tym celu przyszytą pętelkę.

Nie utykała.

Skłamała, żeby się od niego uwolnić, i nawet nie starała się tego ukryć! Czuł suchość w gardle, a ręce zaczęły mu się trząść. Przeciskał się przez zatłoczoną salę, nie zauważając Edge'ów, którzy przestali tańczyć i do niego machali.

Państwo domu przerwali rozmowę ze spóźnionym gościem i patrzyli na niego spod oka, ale na nich też nie zwrócił uwagi. Na ulicy gwałtownie chwycił w płuca wilgotne wieczorne powietrze. Szedł dłuższy czas na oślep, zanim zatrzymał taksówkę.

- Dokąd jedziemy, szefie?

- Tam, gdzie są jakieś kobiety - odparł szorstko.

VI

Wrócił do hotelu Hyde Park w porze herbaty. Goście, zgromadzeni wokół niskich stołów w holu, taktownie odwracali wzrok, widząc jego wygnieciony frak.

Kiedy otworzył drzwi do apartamentu, Hugh wyskoczył zza biurka, na blacie którego piętrzyły się papiery.

- Tom! Gdzie się podziewałeś? Wysłałem już ludzi na poszukiwania.

- Do diabła z tym.

- Wcześniej wyszedłeś z balu. Tak powiedział mi Monty. Teraz jest już czwarta po południu.

- Londyńskie dziwki pracują całą dobę. - Taksówkarz

kluczył wąskimi uliczkami Soho, aż podjechał pod dom znacznie bardziej elegancki niż ten w pobliżu hotelu Pontchartrain. Tom wybrał rudowłosą dziewczynę z dużym biustem i po raz pierwszy w życiu nie był w stanie nic zdziałać. Wypił jedną po drugiej kilka szklanek whisky i zasnął na bezużytecznym łóżku prostytutki. - Nie życzę sobie, żebyś szpiegował również mnie!

Zamknął się w łazience. Zanim zaczął się golić, spojrzął przekrwionymi oczami na odbicie w lustrze o ciemnej mahoniowej ramie i prawie się nie poznał.

Mamrocząc słowa przeprosin wrócił do salonu ogolony, wykąpany i przebrany. Hugh zamówił herbatę. Tom poczuł, że jest głodny, więc rzucił się na cienko pokrojone sandwicze i małe, lukrowane ciasteczka. Nalał sobie kilka filiżanek mocnej, ciemnej herbaty ulung, takiej samej, jak parzyła jego teściowa.

Hugh zadowolił się jedną filiżanką.

- Od tygodnia zachowujesz się jak wariat, a teraz taka eskapada. O co chodzi? Martwisz się o wynik rozprawy?

- Widziałem ją.

Hugh udał, że nie rozumie.

- Kogo?

- Antonię. W zeszłym tygodniu poszedłem na Rutland Gate. Była w domu, ale nie chciała się ze mną widzieć.

Wczoraj spotkałem ją na balu. Udała, że skreśliła kostkę, żeby tylko się wyrwać. Hugh, ona mnie nienawidzi. I z jakiegoś powodu bardzo się mnie boi.

Brat odstawił filiżankę.

- A w jej domu, widziałeś go? - zapytał ostrożnie.

- A więc jednak ma kochanka. Kto to taki? Ktoś utytułowany?

- Miałem na myśli jej syna.

- Dzieci były w ogrodzie. Szybko zabrała je do domu.

- Jak on wygląda?

- Widziałem je tylko przez minutę, z okna na piętrze.

- Chłopiec ma dziesięć lat.

Tom zacisnął dłonie na oparciach fotela i wychylił się do przodu, spoglądając w napięciu na w połowie oszpeconą twarz brata.

- Dziesięć lat?

- Nie znam dokładnej daty jego narodzin. Próbowałem się dowiedzieć, ale zapis został zniszczony przez ogień.

Toma przeszło dziwne, piekące jak gniew uczucie, które jednak nie było gniewem. Gwałtownie odepchnął stolik na kółkach, na którym podano im podwieczorek. Mleko z dzbanuszką wylało się. Wypadł do przedpokoju i chwycił kapelusz.

Hugh pobiegł za nim.

- Dokąd idziesz?

- Muszę wydobyć kilka odpowiedzi.

- Uspokój się, Tom. Przemyśl wszystko, zanim... Ale brat już zatrzaskał za sobą drzwi.

VII

Gruszkowaty służący patrzył na niego tym samym spojrzeniem spod opuszczonych powiek.

- Obawiam się, że pani dzisiaj nie przyjmuje. Jest nieco...

- Muszę się z nią zobaczyć. - Tom siłą wszedł do wąskiego holu.

- Kto przyszedł, Drum? - rozległ się chłopięcy kontralt z wyraźnym akcentem angielskich klas wyższych.

- Jakiś dżentelmen, paniczku Justinie. Nalega na spotkanie z panią Hutchinson.

- Ja się tym zajmę, Drum. - Chłopiec zbiegł na dół. Drum wycofał się do cienia, jakby ustępował chłopcu miejsca na scenie i jednocześnie chciał pozostać w pobliżu, żeby go bronić. Przede mną, pomyślał Tom. - Moja matka odpoczywa, panie...?

- Bridger - powiedział Tom. Drzwi wejściowe były nadal otwarte, ale to nie wieczorny chłód wywołał dreszcze, które wstrząsały ciałem Toma. Uważnym spojrzeniem obrzucił twarz chłopca. Wydatny nos, który już zatracił dziecięcy wygląd, pełne usta, lśniące czarne włosy, wijące się nad wysokim, wypukłym czołem. Na pozór, cała Antonia. Wyłącznie jej dziecko. Jednak oczy nie były podobne do oczu matki. Szeroko rozstawione, intensywnie niebieskie, ocienione wydatnym łukiem brwiowym. Kiedy Tom popatrzył w te oczy, wszystko do niego wróciło: ojciec w milczeniu zmagający się z samotnością Wielkiej Równiny, wydający mu polecenia spojrzeniem, ojciec ze wzrokiem wbitym w sufit, kiedy spoczywał w koszmarnych objęciach śmierci.

Pod jego spojrzeniem chłopiec wyprostował się.

- Panie Bridger, czy panu zimno?

- Ja... - Tom zaczerpnął głęboko powietrza.

- Może powinniśmy zamknąć drzwi. Pan się cały trzęsie.
- Nic mi nie jest. Miałem nadzieję, że zobaczę się z twoją matką.
- Panie Bridger, czy to pan był tutaj w zeszłą niedzielę?
- Tak, ja.

Brzoskwiniowe piegi chłopca zaznaczyły się wyraźniej na różowobiałej skórze. Widać było, że pod szkolnym blezerem prostuje ramiona.

- Proszę nie myśleć, że jestem źle wychowany, ale mamie nie został już nikt oprócz mnie. Po pańskiej ostatniej wizycie była bardzo zdenerwowana. Wczoraj wieczorem wróciła wcześniej do domu, bo źle się poczuła. Ale nawet gdyby nic jej nie dolegało, lepiej by było, gdyby pan sobie poszedł. - Ostatnie zdanie wyrzucił z siebie gwałtownie, jakby długo się do niego przymierzał.

- Jesteśmy przyjaciółmi.

- Jest pan Amerykaninem, więc prawdopodobnie przypomina jej pan o moim ojcu - pośpieszyło z usprawiedliwieniem dziecko. - Bardzo jej go brakuje.

- Nie chcę jej denerwować, synku. - Tom zaczerwienił się i przełknął ślinę. - Jak się nazywasz?

- Justin. Justin Hutchinson.

- Justinie, byłbym zobowiązany, gdybyś przekazał to matce. - Wyjął kartę wizytową i napisał na odwrocie: „Musimy omówić pewne sprawy”.

Chłopiec, uważając, żeby nie patrzeć na napisaną przez niego wiadomość, odwrócił wizytówkę.

- Coś podobnego! Onyx! - Miał jeszcze mleko pod nosem. Pełen zachwytu uśmiech natychmiast zmienił go z rycerskiego obrońcy domu i mieszkających w nim kobiet w zwykłego dziesięciolatka. - To pan jest tym Bridgerem? Kierowcą wyścigowym?

- Tak.

- Gazety podały, że zgłosił się pan do wyścigu wokół Ben Nevis. Czy to prawda?

- Nie. W sierpniu będę już w domu, w Detroit.

- Świetnie!

- A to dlaczego?

- Wolałbym, żeby wygrał angielski samochód.

- Justin!

Na dźwięk przeraźliwego okrzyku obaj spojrzeli na schody. Antonia zbiegała na dół. Włosy w nieładzie spływały jej

na ramiona, a luźny, srebrnawy szlafrok powiewał w mroku, robiąc niesamowite wrażenie.

- Mamo, myślałem, że jesteś w łóżku.

- Dlaczego sam otworzyłeś drzwi, a nie Drum? - zapytała ostro.

- Zrobiłem to, proszę pani. - Odezwał się z cienia służący. - Wyjaśniłem temu dżentelmenowi, że pani dzisiaj nie przyjmuje. - Spojrzał z wyższością na Toma i teatralnym krokiem odszedł w mrok domu. Drzwi się zamknęły.

- To nie jest wina Druma, mamo - tłumaczył Justin. Policzki miał czerwone. Widać było, że ta rozwścieczona kobieta w niczym nie przypomina mu matki. Jej nowe oblicze wstrząsnęło chłopcem i sprawiło mu ból. - Chciałem wyjaśnić panu Bridgerowi...

- Idź na górę.

- ...że jesteś chora - dokończył stanowczo Justin i jeszcze bardziej poczerwieniał.

- Pani Drum przygotowała już kolację. - Antonia popchnęła syna.

Chłopiec nie chciał się ruszyć.

- Panie Bridger, zapamięta pan to, co panu powiedziałem?

- Tak, zapamiętam - odparł Tom.

- Miło mi było pana poznać. - Nagle uśmiechnął się. - Niech no tylko powiem w szkole, że nie startuje pan w wyścigu! - Pomknął na górę przeskakując po dwa stopnie.

Antonia patrzyła w ślad za nim, aż zniknął, a potem zwróciła się do Toma.

- Czy musisz nas nachodzić?

- Dlaczego nie chciałaś, żebym go zobaczył? Wystraszona rozejrzała się wokół.

- Nie możemy tutaj rozmawiać. Zaczekaj. Zaraz wrócę. Wyszedł na ulicę, zostawiając otwarte drzwi. Latarnik krążył po ulicy, spełniając swój obowiązek. Tom stanął w kręgu żółtego światła i zamyślił się.

Znalazł się twarzą w twarz z synem, którego istnienia nawet nie podejrzewał, i starał się teraz rozeznaczyć we własnych uczuciach. Chłopiec wykazał odwagę, przemawiając w ten sposób do nieznanego dorosłego mężczyzny. Bronił swojej matki. Dopiero w tej chwili zaskoczony zdał sobie sprawę, że Justin mówił z eleganckim, brytyjskim akcentem. Wysoki jak na swój wiek. Dobrze zbudowany. Miał na sobie szkolny blezer z wyszywanym czerwoną i złotą nicią godłem szkoły. Wyglą-

dał na myślące dziecko, a może to tylko oczy i układ twarzy wywierały takie wrażenie. Bardzo się starał sprawiedliwie osądzić sytuację. Jest pan Amerykaninem, więc prawdopodobnie przypomina jej pan o moim ojcu." Obraz chłopca stracił ostrość i Tom rozluźnił węzeł krawata. Dusił go przewrotna złość, że nie miał z Justinem nic wspólnego, a może raczej miał z nim zbyt wiele wspólnego. Nic mi nie powiedziała, pomyślał. Bez słowa wyjechała z Detroit. Istnienie tego chłopca w sposób ostateczny dowodziło, że Antonia czuje do niego tylko nienawiść.

Mój syn?

Dla niego słowo „syn” oznaczało chłopca o wiele młodszego, mniej stanowczego, który spoglądał na niego z uwielbieniem, a nie ze skrywaną niechęcią, chłopca, który nie przypominał mu o ojcu i jego przegranym życiu. Caryll był jego synem.

VIII

Antonia wyszła z domu po niespełna pięciu minutach. Nie założyła kapelusza, włosy związała na karku. Otulała ją szeroka, czarna peleryna. W dłoni bez rękawiczki trzymała duży żelazny klucz.

- Porozmawiamy w ogrodzie - oznajmiła spokojnie, ale kiedy dotarli do furtki, nie mogła trafić kluczem w dziurkę i Tom musiał to zrobić za nią. Ich kroki chrzęściły na ścieżce. Usiedli na ławce ukrytej w cieniu jakiegoś rozłożystego, pachnącego słodko krzewu.

- To bardzo udany chłopak - odezwał się Tom, starając się mówić bez emocji. - Mój.

Westchnęła potakująco.

- Powiedziałem niewybaczalne rzeczy, ale jak mogłaś wyjechać i nic mi nie powiedzieć?

- Stryj cię błagał, żebyś się ze mną ożenił.

Odwrócił się i spojrzał na nią uważnie. W ciemnościach nie widział wyrazu jej twarzy.

- Nic podobnego.

- Poniżył się. Stryj. Nigdy w życiu nie wykazywał pokory. - Głos jej się trząsał. - Powiadomił cię, że jestem chora, szaleję, rozpaczam. Zaproponował ci pieniądze w zamian za ślub. Obiecał, że będzie płacił za opiekę nad ojcem i że nigdy nie będziesz musiał go widywać.

- Naopowiadał ci kłamstw.

- Dlaczego nadal chcesz mnie dręczyć?
 - Okłamał cię.
 - Och, Tom.
 - Gdyby choć szepnął, że mnie potrzebujesz, nie sądzisz, że przyfrunąłbym do ciebie jak na skrzydłach? Mój Boże, byłaś dla mnie całym światem.
 - Flaherty ci to przywiózł.
 - Co takiego?
 - Błagania stryja.
- Ciało Toma pokryło się gęsią skórą.
- List - wyszeptał.
 - Tak, list.
 - Nawet na niego nie spojrzałem.
 - Tom, przestań. Proszę cię, przestań.
 - Mówię prawdę. Nie przeczytałem go.
 - Flaherty przywiózł twoją odpowiedź. - Jej głos był niemal niesłyszalny. - Widziałam ją. Czułam się tak, jakby i mnie ktoś pociął na małe kawałki.
 - Hugh właśnie wrócił do domu po zdjęciu bandaży. Blizny po oparzeniach wyglądały przerażająco. Nie chciałem mieć z twoim stryjem nic wspólnego... Nie rozłożyłem... Wziąłem nożyce... włożyłem z powrotem do koperty... Nie widziałem... Nie przeczytałem... - Ukrył twarz w dłoniach. Ochryple dźwięki wydobywające się z jego piersi przypominały odgłos ocierających się o siebie kamieni, jakby nie wydawała ich istota ludzka. Gwałtowna fizyczna reakcja była niczym w porównaniu z bezradnym, pozbawionym nadziei żalem, jaki targał jego duszą. W jednej chwili, w minucie wściekłości, odmienił życie Antonii, przeznaczenie tego czarnowłosego chłopca i własną duszę. Ta krótka chwila odeszła już w przeszłość i nie da się jej odmienić. W słowniku Toma nie było wyrażenia „co by było, gdyby...”, ale za każdym razem, kiedy usłyszy je z ust kogoś innego, będzie się zastanawiać, jakie zmiany przyniosłaby mu możliwość przeżycia tamtej minuty jeszcze raz. Dałby wszystko, co posiadał, żeby dostać taką szansę. Wciągnął głęboko powietrze i starał się nad sobą zapanować. Poczul delikatny dotyk Antonii na swoim ramieniu i przytulił jej rękę do wilgotnego policzka. - Wierzysz mi? - zapytał.
 - Tak, już cicho.
 - O, Boże... Boże...

- Teraz rozumiesz, dlaczego tak się przeraziłam? Tom, byłam pewna, że przyjechałeś, żeby mi go zabrać.
- Twojego syna?
- Tak, Justina. Bałam się, że go zabierzesz... albo że wszystko mu powiesz.

Poszukał chusteczki.

- Jak mogłem ci coś takiego zrobić...
- Przestań. To już minęło, skończyło się. Wydmuchnął nos. Antonia odsunęła się od niego. Kot zaszurał w krzakach, oczy zwierzęcia lśniły w ciemnościach elektrycznym blaskiem, wokół skweru jechał powóz, odgłos końskich kopyt zamarł w oddali.
- Justin uwielbiał Claude'a - rzekła cicho. - I Claude kochał go bardziej niż Artura i Zoe. Nie wiem dlaczego, ale tak było. W lecie razem żeglowali. Na czwarte urodziny Claude podarował mu szetlandzkiego kuca, nauczył, jak się nim zajmować. Razem jeździli po parku. Zabierał go na mecze krykieta, na wyścigi. Kiedy Claude zmarł, Justin był zrozpaczony. Stara się postępować tak, jak oczekiwałby tego Claude, przynajmniej w jego pojęciu. Nie znaczy to, że jest perfekcjonistą. To zwyczajny chłopiec, ale bardzo miły. Prawie nigdy nie kłóci się z Zoe, chociaż ona sama się o to prosi. Byłby takim samym dobrym dzieckiem nawet wtedy, gdyby nie czuł się do tego zobowiązany.
- Możesz być z niego bardzo dumna - odparł Tom i wydało mu się, że wypowiedział te słowa z niechęcią.
- Obraz Claude'a to dla Justina opoka, na której zbudował życie. Jeśliby się dowiedział prawdy o swoim pochodzeniu, to by go zniszczyło.
- Nie chcę ci go odbierać - zapewnił Tom. - Mam własnego syna.
- Ma na imię Caryll. - Uśmiech Antonii zajaśniał w ciemności. - Ożeniłeś się z Maud Trelinack. Poznałam ją. Jest piękna. I miła. Ma taką szczerą, otwartą osobowość.
- Poświęciła własne pieniądze, żeby mi pomóc w założeniu nowego warsztatu. Na początku naszego małżeństwa pracowała. Jest moją żoną i przyjacielem. - Chociaż mówił Antonii prawdę, jego głos brzmiał trochę wyzywająco.
- Więc śledziłaś moje losy?
- Trudno tego uniknąć. Twoje nazwisko tak często pojawia się w gazetach, kiedy bierzesz udział w wyścigach, no i głośno jest o angielskiej Piątce.

- Ja nic o tobie nie wiedziałem, dopóki Hugh nie wspomniał, że mieszkasz w Londynie. Przyjechał tutaj ze mną.
 - Hugh? - Znów ta metaliczna nuta strachu. - Czy on wie o... Justinie?
- Tom chciał jak najszybciej usunąć w niepamięć bolesne nieporozumienia.
- Oczywiście, że nie.
 - Jesteś pewien?
 - Nikt o tym nie wie - zapewnił cicho. - Jest synem twojego męża. - Było to wyświechtane kłamstwo, ale zdał sobie sprawę, że dla niego tak naprawdę jest: syn Antonii nie miał z nim nic wspólnego.
 - Owszem - przytaknęła. - Claude ożenił się ze mną przed narodzinami Justina.
- Tom przypomniał sobie, jak spojrzała na niego na balu u Comstocków. Piękne oczy były nieprzytomne z bólu. Mój Boże. Zrozumiał, dlaczego nie chciała, żeby się do niej zbliżał. Pod powiekami znowu poczuł łzy.
- Ile ty musiałaś wycierpieć - wyszeptał.
 - Na początku czułam się strasznie. Ale z Claude'em byliśmy szczęśliwi. Naprawdę. - Przerwała na chwilę. - Jeszcze dzisiaj bardzo za nim tęsknię.
 - Nienawidzisz mnie?
- Wstała i otuliła się szczelniej peleryną.
- Nigdy tego do ciebie nie czułam - odparła. - Nie potrafiłabym.

IX

Zbyt poruszona, żeby od razu iść na górę, wśliznęła się do pokoju tuż przy drzwiach wejściowych. Tutaj Claude przyjmował klientów. Na półkach ciemne tomy ksiąg prawniczych przetykane były równie ponuro oprawionymi dziełami historycznymi Carlyle'a i Macaulaya. Majątek Claude'a, w połączeniu z pieniędzmi, które przekazał jej stryj, sprawiał, że praktyka adwokacka była raczej jego hobby niż koniecznością. Miał wiele czasu na czytanie rozwlekłych prac historycznych, co bardzo lubił. Antonia nie zdjęła peleryny i nie zapaliła światła. Po omacku trafiła do biurka. Widok rozpaczy Toma sprawił jej głęboki ból, ale jednocześnie napełnił uniesieniem. Ochryple szlochaniem dowodziło, że okrucieństwa, o które go posądzała, te dawne

i te całkiem świeże, nie były przez niego świadomie zawinione.

Przetarła oczy, jakby odganiała resztki złego snu. W ciemnościach znowu poczuła lęk i zagubienie, jakiego doświadczyła podczas ostatnich kilku dni pobytu w Detroit. Środki uspokajające, które wstrzykiwała jej siostra Girardin uczyniły z niej więźnia nie kończących się wizji, w których Tom wymyślał jej od dziwek. Skrzywiła się boleśnie, wspominając, jak rozwścieczony głos Toma, zdawało się, że przez całą wieczność, wyliczał jej pieszczoty i pocałunki, które napawały go odrazą. Choroba morska pogłębiła cierpienia wywołane narkotykami. Kiedy przybili do brzegu, była tak osłabiona i nieprzytomna, że trzeba ją było znieść na ląd. W Londynie przerażony specjalista zakazał dalszego podawania laudanum. Antonia zaciągnęła wokół siebie zasłonę letargicznej melancholii, wyłaniając się zza niej tylko po to, żeby poczytać ojcu lub obdarzyć stryja wymuszonym uśmiechem. Jednak miała zbyt żywiołową naturę, żeby wycofać się z życia, więc kiedy nieco wzmocniła się fizycznie, zaczęła nieśmiało myśleć o przyszłości. Kiedy była w szóstym miesiącu ciąży, stryj natknął się na Claude'a podczas lunchu w American Club. Młody człowiek wyznał, że podróżuje po Europie ze starego jak świat powodu - żeby zapomnieć o nieszczęśliwej miłości. Zapadł wczesny zimowy zmierzch i major zaproponował mu, żeby razem wrócili do jego nowego domu przy Rutland Gate. Kiedy Antonia weszła do salonu, z zaskoczeniem spojrział na łagodne wybrzuszenie, rysujące się pod jej luźną suknią. Major taktownie zostawił ich samych. Zawstydzona Antonia, wciąż mając w pamięci scenę ich ostatniego spotkania w innym salonie i na innym kontynencie, podeszła do kominka. Z twarzą zaróżowioną od ciepła płomieni wyjaśniła mu, że wciąż kocha tego człowieka, ale on nie kocha jej wystarczająco, żeby się z nią ożenić. - W takim razie to głupiec, moje dziecko, po prostu głupiec - odparł Claude i po raz pierwszy jego sztucznie żartobliwy ton nie wydał się Antonii całkiem nie na miejscu. Po tej rozmowie znowu zaczął przynosić jej czekoladki, nie zważając na śnieżyce. Tak bardzo jej pragnął, że zgodził się nią dzielić z tajemniczym inwalidą, nie opuszczającym pokoju na piętrze, z majorem i z dzieckiem innego mężczyzny. Wiele lat później wyznał, że czuł się wtedy jak skazaniec, któremu dano jeszcze jedną szansę. Razem

z majorem skłonili Antonię do małżeństwa. Oczywiście, postąpili słusznie. Zrozumiała to o północy, na progu nowego wieku, kiedy Claude wziął w ramiona zawiniętego w kocyk, wierzgającego noworodka z ciemną czuprynką, wciąż wilgotną od krwi i śluzu, pozostałości ciężkiej wędrówki przez kanał rodny.

- Nasz syn ma wspaniałe włosy - oznajmił i pocałował dziecko.

Antonia ułożyła się wygodniej na poduszkach. Mimo wyczerpania czuła się nieco zażenowana, że Claude jest świadkiem poporodowego nieładu. Dotychczas jeszcze ze sobą nie spali. Jednak najsilniejszym uczuciem była pokorna wdzięczność za dziecko i za męża.

- Claude, dałeś nam wszystko - zapłakała słabo.

- Przestań już, dziecko. Zrobiłaś ze mnie najszcześliwszego człowieka pod słońcem.

Antonia potrafiła dawać szczęście, i Claude szczerze z niego korzystał. Z czułością przyjmowała jego namaszczonego sposób bycia, sztucznie ożywiony głos, kiedy rozmawiał z obcymi, i niezdarne uściski. W tym uroczym, jasnym domu, ogrzanym małżeńskim szczęściem Claude przestał uważać siebie za nudziarza i rzeczywiście już nim nie był. Razem przeżywali drobne nieporozumienia, przyjemności, zmartwienia i dumne uśmiechy rodziców w rozrastającej się rodzinie.

Antonia położyła ramiona na biurku męża, ukryła w nich twarz i przypomniawszy sobie dzień, w którym doktor wymówił straszno słowo „szkarlatyna” i nakazał zawiesić prześcieradło na frontowych drzwiach jako znak kwarantanny. Chociaż ze smutnym spokojem wspominała śmierć ojca i stryja, to nawet po latach przedwczesne odejście małego synka i męża napełniało ją pełną buntu i gniewu rozpaczą.

Na schodach rozległy się kroki pani Drum - znak, że Zoe leżała już w łóżku. Antonia wyszła do holu, odwiesiła pełerynę, wygładziła włosy przed lustrem i udała się na górę, żeby pocałować córkę na dobranoc.

Potem zapukała do pokoju syna.

X

Justin również siedział samotnie w ciemnościach. Skulił się przed wygaszonym kominkiem i otoczył ramieniem

Cezara, długonogiego kundla, który najbardziej przypominał owczarka collie. Kiedy Antonia zapaliła światło, spostrzegła zaczerwienione oczy syna. Żeby dać mu czas na doprowadzenie się do ładu, zawołała psa i zaczęła go drapać po płaskiej głowie między uszami.

Pokój Justina był duży. Chłopiec nie był przesadnie pedantyczny, ale układał swoje rzeczy według własnego porządku. Ołowiani gwardziści i huzarzy, niektórzy pozbawieni głów, stali w równych szeregach wzdłuż książek na półkach. O jeden bok komody opierały się kije do krykieta - Justin był uważany za najlepszego serwującego w młodszych klasach szkoły. Nad kominkiem wisiał stylizowany sztych Lanchestera 1909. Jak wielu chłopców w tym wieku, pasjonował się samochodami i ciągle nagabywał matkę, żeby kupiła auto. Część ściany na lewo od drzwi zamienił na kapliczkę poświęconą Claude'owi. Zawiesił tam jego oprawione w ramki zdjęcia i szklaną gablotę z należącymi kiedyś do niego przedmiotami: wstążkę do kapelusza i znaczek z symbolami stowarzyszenia Beta Theta Pi, ciężki, cebulowaty zegarek, złotą papierośnicę, którą Antonia kupiła kiedyś mężowi u Aspreya, i inne drobiazgi. Antonia usiadła w zniszczonym fotelu.

- Przepraszam, że tak się zdenerwowałam - powiedziała skruszonym głosem, takim, jakiego by użyła w rozmowie z dorosłym.

- Nic nie szkodzi, mamo.

- Skrzyczałam cię bez powodu.

- Pan Bridger nie powinien nas tak bezceremonialnie nachodzić - oświadczył gwałtownie chłopiec.

Zacisnęła usta i przygryzła dolną wargę. Po chwili wahania oznajmiła:

- Pracował dla stryja w Detroit.

- Naprawdę? Nigdy o tym nie wspominałaś. Wiesz, jak bardzo interesuję się wyścigami. Stryj Andrew też nie powiedział mi ani słowa.

- Wynajmował panu Bridgerowi budynek na terenie fabryki. Byli wspólnikami.

- Stryj Andrew był właścicielem części Onyxa?

- W tamtych czasach firma nie nazywała się Onyx, tylko Spółka Automobilowa Bridgera. W latach dziewięćdziesiątych ludzie rzucali w automobile kamieniami i nazywali je diabelskimi maszynami. Albo się z nich śmiali.

- Wiem o tym.
- Kiedy spłonęła fabryka stryja, brat pana Bridgera został okropnie poparzony. - Mówiła zdyszczanym głosem. - Pan Bridger obwiniał za to stryja.
- Co za bzdura! Przecież to nie była jego wina.
- Do Detroit przyjechała ekipa Lloyda, żeby przeprowadzić dochodzenie.
- Nozdrza Justina rozdęły się. Pytając spoglądał na matkę.
- Sytuacja w przemyśle meblowym była bardzo zła. -Z westchnieniem zaczerpnęła głęboko powietrza. - Nigdy się nie dowiedziałam, czy ich podejrzenia były słuszne. Ale i tak nie zmieniliby to moich uczuć do stryja. Rozumiesz mnie, Justinie?
- Chłopiec podszedł do okna. Zastony nie były zaciągnięte. Spoglądał w bezksiężycową noc na czerwoną plamkę Marsa. Antonia była przyzwyczajona do długich chwil milczenia syna. Najpierw musiał przyswoić sobie wiadomość, zanim rozsądził, co jest dobre, a co złe. Moralny porządek jawił mu się nie tylko w czerni i bieli, ale także we wszelkich odcieniach szarości, co nawet dorosłym, a tym bardziej dzieciom nie ułatwia widzenia świata.
- W szkole - zaczął wolno Justin - wszyscy bardzo dokuczają Rosburgowi, więc on skarży. Rozumiem, dlaczego nikt nie lubi skarżypyty. Ale przecież Rosburg nadal jest moim przyjacielem.
- Po raz pierwszy wspomniał w domu o kłopotach Rosburga, ale Antonia wiedziała od kierownika szkoły, że Rosburg, któremu dzieci dokuczały „z powodu wyznania”, skarżył się nauczycielom na swoich prześladowców i Justin, przywódca umorusanych, rozwrzeszczanych chłopców z niższych klas, robił wszystko, żeby chronić żydowskie dziecko. Na myśl o szlachetności syna Antonię aż coś ścisnęło w gardle. Jednocześnie wyrzucała sobie własne postępowanie. Jaką ścianę kłamstw zbudowała wokół siebie! I wciąż dokładała nowe cegielki.
- Ja czuję podobnie - oświadczyła.
- Pan Bridger to słynny kierowca wyścigowy, ale nie jest zbyt sprawiedliwy. - Przekleństwo Justina. - Uprzedził się do mnie, zanim jeszcze otworzyłem usta.
- Jestem pewna, że źle go zrozumiałaś - powiedziała głosem, jakim dorośli przekonują o czymś dzieci, chociaż wiedzą, że nie mają racji.

Nie martw się, mamó. Bardzo się starałem być dla niego grzeczny.

On już tu więcej nie przyjdzie.

Mamó... myślisz, że on mnie nie lubi ze względu na slyja Andrew?

Czuła, że gęsta, gorąca krew napływa jej do twarzy. (kiwróciła głowę.

Jadłeś już kolację?

Nie byłem głodny. Czy taki sławny człowiek może żywić do kogoś urazę?

- Kucharka przygotowuje mi coś do jedzenia. Emmy może przynieść dodatkowy talerz. Wczoraj kupiłam nowe płyty. „Pieśń Słowika" i „Un Bel Di" *madame* Farrar. Może razem zaczekamy na kolację i posłuchamy?

Pod łukiem brwi w niebieskich oczach Justina pojawiły się Iskierki. Jedną z jego największych przyjemności było słuchanie w towarzystwie matki dźwięków wydobywających się z tuby patefonu Victor. Był jeszcze na tyle dzieckiem, że dawał się kusić drobnymi prezentami.

- Pójdę do kucharki i powiem jej - zawołał. Z hałasem zbiegł kuchennymi schodami.

Antonia wolno przeszła słabo oświetlonym korytarzem do Hwojego pokoju. Chociaż postanowiła zrobić co w jej mocy, żeby utrzymać ojca i syna z dala od siebie, czuła irracjonalny, dręczący żal, że Justin zobaczył Toma w takim złym świetle, a Tom wyraźnie nie polubił Justina.

I

No i czego się dowiedziałeś o dziecku Antonii? - zapytał Hugh, kiedy Tom wrócił do hotelu.

- Przykro mi, ale muszę cię rozczarować. To syn Claude'a Hutchinsona.

- Tak ci powiedziała?

- Urodził się dopiero pod koniec października. To niewątpliwie dziecko z prawego łóża, i do tego dosyć niemiły smarkacz. - Tom ziewnął szeroko. - Ostatniej nocy trochę zaszalałem. Kładę się spać zaraz po kolacji.

Kiedy Tom poszedł do sypialni, Hugh czekał w salonie prawie pół godziny, a potem ostrożnie otworzył drzwi pokoju brata. Tom leżał na plecach, z rozrzuconymi ramionami i głęboko, spokojnie oddychał. Hugh wycofał się cicho. Chociaż było po jedenastej, zadzwonił do pokoju sekretarza na parterze, kazał mu się ubrać i przynieść na górę fotografię z hotelowego sejfu.

Hugh zabrał kopertę do swojej sypialni i przekręcił klucz w zamku. Usiadł pod lampą i marszcząc czoło wpatrywał się w grupę chłopców, ustawionych na schodach Eddington College School.

Następnego ranka polecił detektywowi, żeby czuwał przy wejściu do Hyde Parku od strony Rutland Gate.

II

Justin ciągnął za sznurek rombówatego latawca z czerwono-niebieskim ogonem. Cezar szczekał biegnąc obok. Chłopiec chciał złapać więcej wiatru, niespodziewanie wybiegł na alejkę i wpadł prosto na jakiegoś wysokiego człowieka. Mężczyzna zachwiał się i natych-

miast dzyskał równowagę, ale Justin upadł jak długi, wyciągając ręce, żeby ochronić twarz przed zderzeniem ze zwirem.

- Bardzo pana przepraszam - wysapał. - Cicho, Cezar, cicho! - Wstał z ziemi.

- Oto twój sznurek - powiedział Hugh. Justin spojrzał na niego krótko i odparł:

- Dziękuję panu.

- Zraniłeś się. Masz zakrwawioną rękę.

- To nic. - Justin wyjął chusteczkę, polizał ją i zaczął usuwać drobne kamyki, wbite w odrapaną skórę u nasady kciuka. - Powinienem patrzeć pod nogi.

- To dość trudne, kiedy się puszcza latawca.

- Czy w Ameryce też znacie latawce? Pan jest Amerykaninem, prawda?

- Jestem. I właśnie przy pomocy latawca Benjamin Franklin odkrył, że błyskawica to elektryczność.

- Ma pan rację - odparł chłopiec z uśmiechem. Antonia, z Zoe w ramionach, biegła w ich stronę. Jak wszystkie panie spacerujące po parku, ubrana była na czarno. W drugim tygodniu maja zapalenie płuc powaliło Edwarda VII i cały kraj pogrążył się w głębokiej żałobie. Chociaż Hugh był zapalonym anglofilem, patrzył na ten wyraz żalu bez cienia sympatii. Zmarły król Edward wypisz wymaluj przypominał mu majora Stuarta.

Justin, który pomagając sobie zębami obwiązywał chustką ranę na prawej dłoni, zamarł na dźwięk nazwiska Bridger.

O jedną chwilę za długo koncentrował się na swojej czynności, zanim wyciągnął niezdarnie opatrzoną rękę.

- Bardzo mi miło pana poznać - oznajmił z rezerwą.

- A to jest moja córka Zoe - przedstawiła Antonia.

Zoe cofnęła jedną stopę obutą w biały, zapinany na guziczek bucik i przykucnęła w głębokim ukłonie.

Wyglądała, jakby przed chwilą zstąpiła z obrazu Sargenta. Obłoczki lśniących rudozłotych włosów okalających jej twarzyczkę kontrastowały z wielkimi, ciemnobrązowymi oczami i drobnymi rysami, które zapowiadały, że w przyszłości staną się piękne i regularne. Zoe tupiała ze złości pulchną nóżką, kiedy próbowano jej włożyć ciemne, praktyczne ubrania, jakie zwykle nosiły małe Angielki. Ponieważ Antonia była na tyle niekonwencjonalną matką, że nie zatrudniała niani, Zoe zwykle stawiała na swoim. W różowej sukience

z małym bołerkami, na których teraz zieleniły się żółta trawy, mogła pozować do portretu. Cudowna, pomyślał Hugh. Bez żadnej przesady, cudowna.

- Jak się pani miewa, panno Hutchinson?

- Mamusi! On powiedział do mnie panno! - zawołała dziewczynka. - Masz twarz jak kłown.

- Zoe! - wykrzyknęła Antonia.

- Dawno temu miałem wypadek.

- Moje strupy zawsze odpadają i nie zostaje nawet ślad -oznajmiła Zoe. - Czy twój też odpadnie?

- Nie.

- Taki ładny kolor, jak gotowana śliwka. Mogę dotknąć? Hugh przysiadł na piętach, wziął rączkę dziewczynki i wodził małymi, wilgotnymi palcami po śliskiej, pozbawionej czucia skórze.

- Hugh, to wspaniale, że tak się spotkaliśmy. Wciąż mieszkasz w Detroit, prawda?

- W domu aż za Grosse Pointę - odparł. - Moja posiadłość przylega do jeziora St Clair.

Zoe pociągnęła matkę za rękę i głośno wyszeptała:

- Mamo, możemy zaprosić pana Bridgera, czy wszystko zniknie?

- Jestem pewna, że nie zniknie. Dziewczynka podniosła wzrok na Hugh.

- Mamy sekret - zakomunikowała.

- Jaki to sekret?

- Mamo, czy już czas?

Antonia spojrzała na zegarek na łańcuszku i skinęła głową.

- Zabierzemy cię tam ze sobą - oznajmiła Zoe.

- A więc ten sekret to jakieś miejsce?

- Nie. To czary.

- Czary? Jakie czary?

- Sam zobaczysz.

- Zapraszamy - wtrąciła ciepło Antonia.

- Jeśli Justin nie ma nic przeciw temu - zastrzegł się Hugh.

Chłopiec podniósł wzrok znad supłów na sznurku latawca, które starał się rozplątać.

- Proszę, niech pan z nami pójdzie, panie Bridger -powiedział grzecznie, ale chłodno.

Szli krętą ścieżką w kierunku Albert Memoriał. Serce młodszego Bridgera podskakiwało nerwowo, kiedy każdy

mijany spacerowicz przyglądał się z uwagą zeszpeconej twarzy. Zoe chwyciła za rękę Antonię i Hugh i od czasu do czasu podskakiwała, na chwilę zawisając w powietrzu. Justin ociągając się szedł o krok za nimi albo z psem wybiegał w przód. Nie włączał się do rozmowy, chyba że Hugh zadał mu jakieś pytanie.

Hugh rozważnie zmusił się, żeby zbyt często nie patrzeć na chłopca. Kiedy po raz pierwszy zobaczył go rozciągniętego na ziemi, inne szeroko rozstawione, głęboko osadzone oczy zamigotały w jego wspomnieniach z dawnych lat, odległych, ale wyraźnych. Poczul jakiś radosny paroksyzm, jakby zawiązywały się w nim więzy krwi. Gdyby nie był prawie pewien, kto jest ojcem syna Antoni, nie odważyłby się na opuszczenie hotelu. Jednak nie spodziewał się, że odczuje aż tak silny, atawistyczny związek z chłopcem. Nigdy nie poczuwał się do wspólnoty rodowej z Caryllem, którego uważał za wyjątkowo nieudane dziecko. Ten chłopak jest jednym z nas, myślał, ukradkiem zerkając na Justina.

Kiedy Justin zderzył się z nim na ścieżce, zareagował żywo, szczerze i ciepło. Teraz ukrywał oczy pod spuszczone powiekami i zmarszczoną brwią. (Antonia nazywała to spojrzeniem Heathcliffa.) Ciekawe dlaczego tak się zamknął w sobie, zastanawiał się Hugh. Miał pewność, że ta reakcja nie wynika ze strachu przed nim.

Zoe skubała go niecierpliwie za rękaw.

- Tędy, tędy - ponaglała i pociągnęła go do cienistego przejścia między dwoma rzędami żywopłotu.

Znaleźli się w miniaturowym zagajniku. Tutaj, na trawie, z dala od oczu przechodniów, trzy kanapowe poduszki otaczały obrus, na którym ustawiono małe porcelanowe filiżanki, talerz razowego chleba z masłem i srebrny dzbanek, z którego unosiły się smużki pary.

Hugh zaskoczony wciągnął głęboko powietrze.

- To robią wróżki, ale tylko dla nas - ze śmiechem wyjaśniła dziewczynka. - Tyle razy przyprowadzałam tu przyjaciółkę, Janey Smith-Tolliver, i jej nianię, ale nigdy nic nie znalazłyśmy. To się zdarza tylko, kiedy jesteśmy razem z mamą i Justinem. Wróżki już takie są!

Pies wyciągnął się w cieniu i uderzał ogonem o trawę. Zoe i Justin usiedli, a Antonia z wdziękiem przyklęła i nalewało kakao.

- Proszę, Hugh. - Podała mu filiżankę. - Ja się podzielę z Zoe. - Musiała dokładnie omówić ze służbą każdy szczegół tego przedpołudniowego pikniku, jednak kiedy spojrzała na niego znad złoconego brzegu miniaturowej filiżanki, w jej oczach nie było rozbawienia dorosłej osoby, która sprawiła przyjemność dzieciom, ale taka sama radość, jaka błyszczała w oczach Zoe.

Hugh usiadł między dziećmi.

- To jest pyszne, panno Zoe. Cieszę się, że nie jestem Janey Smith-Tolliver. Za nic nie chciałbym stracić tak niezwykłego przyjęcia. A wiesz, co jest największym cudem? Dzisiaj po raz pierwszy wyszedłem z hotelowego pokoju.

- Nie widział pan Tower? - zapytał Justin.

- Nie widziałem nawet zmiany warty przed pałacem. - Palce Hugh zacisnęły się mocniej na małym uszku. Bał się, że zgnie delikatną porcelanę, więc odstawił filiżankę na spodeczek. - Prawdę mówiąc, Justinie, jestem tchórzem, okropnym tchórzem. Nie znoszę, kiedy ludzie na mnie patrzą.

- Przecież to taki ładny kolor - pocieszyła Zoe i sięgnęła palcami do jego twarzy.

Antonia chwyciła umazaną masłem rączkę córki.

- Tchórze nigdy się nie przyznają do swojego tchórzostwa, Hugh - powiedziała łagodnie.

- To prawda, panie Bridger. - Rezerwa, z jaką odnosił się do niego Justin, zniknęła, a jednak w głosie chłopca nie było najmniejszej nuty litości dla takiego dziwadła, jak Bridger. Zwrócił się do Antonii: - Mamo, wpadłem na pomysł. Pamiętasz, jak wynajęłaś samochód podczas ferii wielkanocnych?

Antonia i Zoe kiwnęły głowami. Cała trójka wyczekująco wpatrzyła się w Hugh. Chcieli go zabrać na zwiedzanie miasta! Przecież nawet spojrzenia niań i spacerowiczów w parku zmieniały go w quasimodo. Poczuł, że wykrochma-lony kołnierzyk zaczyna go dusić i zaschło mu w ustach.

- Nikt nas nie widział - mówił dalej Justin, czerwieniejąc. - Siedzieliśmy w samochodzie i ze środka oglądaliśmy Tower i parlament. Zobaczyliśmy nowy fronton pałacu Buckingham. Wszystko. Zwiedzaliśmy to już przedtem, na piechotę. Ale z samochodu wszystko wygląda inaczej, jak obrazy z magicznej latarni.

- Bardzo chciałbym się z wami wybrać, ale jutro rano wyjeżdżamy.

Trzy tygodnie czekał jak na szpilkach, a rano, kiedy stracił już wszelką nadzieję, odezwał się dzwonek telefonu.

- W takim razie, dzisiaj po południu - zdecydował Justin.

Hugh spojrzął na poważną twarz chłopca, nie naznaczoną jeszcze piętnem czasu ani zwątpienia. Cóż to będzie za wspaniały człowiek, pomyślał. Przywódca. Prawdziwy syn Toma. Mogę się jeszcze nim trochę nacieszyć.

- Tak, to będzie wspaniała wyprawa na zakończenie mojego pobytu w Londynie.

Antonia poderwała się i wygładziła spódnicę.

- Kucharka przygotuje nam kosz z prowiantem, a Drum załatwi wynajęcie samochodu - oznajmiła.

W cieniu polanki został zmięty obrus i porozrzucane filiżanki.

III

Popołudnie minęło im nieśpiesznie, bez patrzenia na zegarek, niczym wyjęta z biegu czasu chwila szczęścia. Kiedy wrócili na Rutland Gate, balon w kolorowe pasy przepłynął im nad głową. Małe figurki pasażerów w gondoli machały im z wysokości. Hugh mógłby przysiąc, że to Antonia wyczarowała ten niezwykle, zamglony nadchodzącym zmierzchem widok jako pożegnalną niespodziankę.

- To było najszczęśliwsze popołudnie w moim życiu - wyznał szczerze. - Dlaczego wpadliśmy na siebie dopiero pod koniec mojej wizyty w Londynie?

- Będziemy pisywać długie listy - obiecała Antonia.

- Ja umiem pisać drukowanymi literami - pochwaliła się Zoe.

- Wyślę panu to zdjęcie. - Justin wcześniej obiecał Hugh, że specjalnie dla niego zrobi odbitkę najnowszej klasowej fotografii.

- Nie zapomnij zaznaczyć chłopców, o których mi opowiadałeś - rzekł Hugh. - Teraz, skoro pierwsze lody zostały przełamane, kiedy państwo Hutchinsonowie odwiedzą mnie w Detroit?

- Przyjedziesz jeszcze raz do Londynu i zatrzymasz się u nas - pośpiesznie odparła Antonia. - Prawie wcale nie widziałeś miasta.

Kierowca podał Drumowi duży wiklinowy kosz i w służbi-

stej postawie stanął przy otwartych drzwiach samochodu. Antonia cmoknęła powietrze tuż przy nie oszepeconym policzku Hugh, a Zoe uściskała nowego znajomego. Hugh popatrzył na Justina i zobaczył, że rozstanie zasmuciło chłopca. Podali sobie ręce.

- Do widzenia, panie Bridger - odezwał się Justin.

- Mamy zostać przyjaciółmi, więc mów do mnie Hugh.

- *Bon voyage*, Hugh - z powagą rzekł chłopiec. Widać było, że pozwolenie na zwracanie się do dorosłego człowieka po imieniu napawa go dumą.

Zatrzymali się na najwyższym stopniu. Antonia trzymała Zoe na rękach, syn stał obok niej. Wszyscy troje uśmiechali się i machali na pożegnanie. Wielką zaletą Hugh, która pomagała mu realizować wszelkie plany, była cierpliwość. Działał bez pośpiechu. Potrafił z kocią cierpliwością wyczekiwać, aż okoliczności ułożą się sprzyjające. Kiedy taksówka ruszyła, powiedział sobie w duchu: Prawdziwy spadkobierco Toma, to dopiero początek. Odwrócił się i pomachał znikającym postaciom.

Szofer Edge'ów miał ich odwieźć do Southampton. Tego wieczoru Hugh zatelefonował do Monty'ego, żeby się pożegnać, i oznajmił lekkim głosem:

- A tak przy okazji, sądzę, że mamy wspólną znajomą. Panią Hutchinson.

- Tak, poznałem ją. Urocza kobieta, urocza. Tom spotkał ją na balu u Comstocków.

- Znamy się od wieków.

Nic jeszcze nie zostało postanowione w sprawie brytyjskiego Onyxa.

- Chcesz, żebym miał na nią oko? - zapytał Monty z zapalem człowieka, który może wpłacić niewielką zaliczkę na dom, o którym marzył od lat.

- Ach, to nic ważnego, ale to moja dobra przyjaciółka - odparł Hugh.

IV

Dwudziestego drugiego listopada dziewięćset dziesiątego roku trzech sędziowie spotkali się w starym Post Office Building w Nowym Jorku, żeby ponownie rozpatrzyć sprawę Seldena. Chociaż ponad czterdziestu prawników tłoczyło

się w sali, każdej ze stron przyznano mniej niż pięć godzin na przedstawienie ustnych argumentów, zanim sędziowie zajmą się studiowaniem i analizowaniem wielkiej liczby zgromadzonych raportów i eksponatów. Jedynym nowym dowodem rzeczowym było pudło pełne rulonów pożółkłego, pomarszczonego papieru. Wczesne projekty pojazdów mechanicznych Thomasa K. Bridgera.

Tom sypiał jeszcze bardziej niespokojnie i coraz więcej czasu spędzał w Hamtramck.

Ta dzika gorączka, która pchała go do działania, była tylko w części wywołana troską o Onyxa. Potrzeba zobaczenia Antonii tak go opętała, że całe jestestwo Toma szarpało się w Ameryce jak w klatce i wrywało się na drugą półkulę. Jedynie godziny spędzone w towarzystwie Carylla przynosiły mu ukojenie.

Po sześciu tygodniach obrad, dziewiątego stycznia 1911 roku, sędziowie ponownie zebrali się w Post Office Building, żeby odczytać wyrok napisany skostniałym, prawniczym językiem. Zdecydowali, że patent Seldena musi zostać ograniczony. Dotyczył tylko jednego rodzaju silnika. Samochody produkowane przez Forda i Onyx nie naruszały patentu.

Tej nocy obie firmy dla uczczenia zwycięstwa wydały wspólny bankiet w hotelu Pontchartrain. Przy głównym stole, za bukietem goździków, siedzieli Tom, Rogers Sinclair, Olaf Baardson, Henry Ford i Edsel, już osiemnastoletni, oraz James Couzens, wspólnik Forda. Ich niedawni rywale z ZLPA, ludzie tacy jak William Durant, główny dyrektor General Motors, i Ransom Olds, zasiedli przy okrągłych stolikach. Podlewane alkoholem przyjęcie pomogło puścić w niepamięć stare urazy. Po obfitym posiłku kwartet czarnoskórych muzyków odegrał *Kiedy Ford maszeruje* i *Moja Piątka i ja*. Nuworysze o czerwonych twarzach rycząc wyśpiewywali słowa tych dwóch popularnych piosenek. Rogers Sinclair wstał z miejsca i unosząc potężne ramiona nakazał ciszę.

- Gospodarze dzisiejszego przyjęcia dziękują panom za tak pięknie odśpiewane hymny - powiedział. Odczytał głośno kilka depech z gratulacjami i wrzucił je z powrotem do wypełnionego nimi po brzegi wielkiego kosza. - Więcej nie będę się chwalił. Ale jestem komiwojażerem, więc zgodnie ze swoim zawodem chciałbym was przekonać, jak wiele zyskaliśmy usuwając z drogi pana George'a Seldena i jego patent. Od tej

chwili nie będzie już ograniczania produkcji. Teraz możemy się zająć wyłącznie dostarczaniem samochodów, o które dobijają się klienci. Prawdę mówiąc wolę, żeby dobijali się o Piątki, a nie o Modele T, ale nie mówcie tego Henry'emu. - Na te słowa Ford uśmiechnął się swoim ulotnym uśmiechem, a reszta zgromadzonych gromko zarechotała. Rogers zakolysał się na swych grubych nogach i znów ruchem rąk poprosił o ciszę. - A teraz poważnie. Widzicie przy tym stole dwóch największych ludzi wieku motoryzacji. Toma Bridgera i Henry'ego Forda. Walczyli z wielkim trustem. Stoczyli dobrą walkę. To dzięki nim każdy człowiek w tym kraju, biedny czy bogaty, może zdobyć swój własny środek transportu. Jak wszyscy wiemy, o to właśnie chodzi naszej wielkiej gałęzi przemysłu. - Burzliwe oklaski poruszyły obłoki dymu z cygar. - Mam zamiar poprosić naszych dzielnych wojowników, żeby w tę noc zwycięstwa powiedzieli nam, co myślą. Jeśli ktoś z was jeszcze o tym nie wie, to wyjaśnię, że Tom jest moim szwagrem. No, Tom?

Gdyby nie to, że Rogers wypił o wiele za dużo szklaneczek burbona, nigdy nie wywołałby Toma, który nie lubił i nie umiał przemawiać.

Bridger lekko się uniósł i wsparł na stole.

- Wolny - obwieścił ironicznym, suchym głosem. - Właśnie to słowo przychodzi mi na myśl. Jestem teraz wolny i mogę robić najlepsze samochody po jak najniższych cenach. - Opadł na krzesło.

Wkrótce potem wyszedł. Nie wrócił do domu, gdzie Maud wydawała obiad dla pani Trelinack, Yssy, Melisandy i innych żon dyrektorów Onyxa, które dzisiejszy bankiet pozbawił towarzystwa mężów. W tę zimną, księżycową noc pomknął aleją Jeffersona do domu brata.

- Jadę do Anglii, żeby rozpocząć budowę fabryki - oznajmił.

- Oczywiście - przytaknął Hugh, któremu trochę się kręciło w głowie od szampana.

- Natychmiast.

- Powodzenia, Tommy, powodzenia. Zbuduj nam światowe imperium.

v

Tom przybył do Londynu około godziny jedenastej przed południem. W hotelu Hyde Park panował dotkliwy

chłód. Recepcjonista wyjaśnił z przeproszającym uśmiechem, że zepsuł się bojler i właśnie go naprawiają, więc trzeba było wyłączyć centralne ogrzewanie. Tom nie zdjął płaszcza i oznajmił boyowi, że sam rozpakuje walizkę. Kiedy został sam, przyjrzał się aparatowi telefonicznemu, jakby to znajome urządzenie było maszyną z innego, bardziej rozwiniętego świata, a następnie podniósł słuchawkę.

Widocznie sala restauracyjna hotelu nie była uzależniona od centralnego bojlera. Miłe ciepło rozchodziło się z grzejników umieszczonych pod ścianami koloru starego wina. Kobiety jedzące posiłek miały na sobie fioletowe i szare suknie. Żaloba po zmarłym monarsze nieco zelżała. Nad stolikami unosił się gwar dystyngowanych rozmów, a z wnęki za palmami dochodziły słodkie dźwięki skrzypiec, harfy i wiolonczeli.

- Co oni grają? - zapytał Tom.

- *Medytacje z Thais* - odparła Antonia.

- Ładne. Skinęła głową.

- Dopóki nie pojawiłaś się w drzwiach, siedziałem przerażony, że nie przyjdiesz - wyznał.

Uśmiechnęła się, schyliła głowę i miękkie białe pióra, spływające z kapelusza zadrzały na jej czarnych, zaczesanych do tyłu włosach.

Tom podniósł kieliszek.

- Dziękuję ci za to, że tutaj jesteś.

Kelnerzy zebrali się wokół stolika, ceremonialnie obierali pstrąga z ości i nakładali im na talerze, nalewali wina z butelki, chłodzącej się we wspartym na trzech nogach srebrnym kubku z lodem.

Żadne z nich nie jadło wiele.

Milczenie Antonii nie było niezręczne. Harmonizowało ze srebrzystą delikatnością muzyki. Tom sączył wino i czuł się, jakby znów znalazł się na Belle Isle w leniwy dzień. Pragnął tylko tego, żeby tak było zawsze.

Odezwał się po szarlotce z bitą śmietaną.

- Przywiozłem dla ciebie prezent od Onyxa. Znak wdzięczności. W porównaniu z tym, jak nam pomogłaś, to drobiazg. Mam go na górze. - Nie chciał, żeby zabrzmiało to jak wabik, przynęta, kłamstwo, jednak ostatnie zdanie zawisło

ciężko nad stojącą na stoliku lampką z żółtymi frędzlami. Szybko podpisał rachunek. Ulotny nastrój prysnął. W windzie i w korytarzach panował katedralny chłód, przenikliwa zimowa wilgoć penetrowała jego apartament. - Zaraz wrócę - oświadczył i wybiegł po prezent do drugiego pokoju. Stojące tam podwójne łóżce, nakryte zieloną jedwabną kołdrą, wypłoszyło ostatni powiew romantyzmu. Odnalazł w walizce wieczorową torebkę ze złotej siatki od Tiffany*ego, nad której wyborem długo się zastanawiał.

Antonia czekała w salonie wygładzając zmarszczki na białych rękawiczkach z kozłej skórki. Pamiętał, że gdy była zdenerwowana, miała zwyczaj bawić się jakimś drobnym przedmiotem.

Odstawił pudełko z prezentem i otoczył ją ramionami. Sięgnął pod jedwabną podszewkę peleryny, uszytej z kremowego futra o długim włosie. Przywarli do siebie biodrami, piersiami, policzkami. Nie całowali się, słuchali oddechów drugiego. Antonia zacisnęła mocno powieki, on miał oczy otwarte, jakby płonące jasnym, intensywnym światłem. Objęli się mocniej ramionami. Po chwili odsunął się i spojrzał jej w oczy. Zarumieniła się. Rumieńce na jej policzkach dodały mu odwagi. Podszedł chwiejnie do drzwi i zamknął je na klucz.

Kiedy się obudził, pokój był skąpany w czerwonym blasku. Pomyślał, że jest już po czwartej. Przesunął dłoń wzdłuż kręgosłupa Antonii i pogładził delikatną linię łopatek. Jej szczupłość i kruchość sprawiała, że dwa nagie ciała wydawały się sobie jeszcze bliższe.

- Już się obudziłeś - powiedziała Antonia.

- Ty też spałaś? Potrząsnęła głową.

- Czy już ci mówiłem, jaka jesteś piękna?

- Kilka razy.

Chociaż pod kocami i kołdrą było im ciepło, Tom zobaczył, że para z ich oddechów kłębi się w powietrzu.

- Jak myślisz, co by zrobili, gdybym zszedł na dół i zaproponował, że pomogę naprawić bojler?

- Powiedzieliby „Wracaj na górę i ubierz się, szefie”. Roześmiał się.

- Jestem bardzo, bardzo szczęśliwy. Też ci było tak dobrze?

- Wspaniale.
 - Więc skąd ta smutna mina? Westchnęła.
 - Kiedyś nie zadawałeś tylu pytań.
 - Pragnęłaś mnie, prawda?
 - I to tak bardzo, że postanowiłam więcej się z tobą nie spotykać. Ale wtedy zadzwoniłeś i natychmiast zapomniałam o tym postanowieniu.
- Dotknął jej ust, a ona pocałowała go w koniuszki palców.
- Szczęśliwa?
 - Tak, i winna, winna.
- Z westchnieniem dotknął jej włosów. Nie potrafił sobie wmówić, że miłosne godziny z Antonią nie liczą się bardziej niż inne jego pozamałżeńskie eskapady.
- Wiem.
 - Nie jesteśmy już tacy jak dawniej.
 - Nie będę cię oszukiwał i nie powiem, że Maud nic dla mnie nie znaczy. Nie chciałbym jej zranić. Nigdy. Jesteśmy sobie bliscy w tak wielu sprawach. - Chciał jej wytłumaczyć swoje uczucie do żony, ciepło, troskę, przyjaźń i całkowity brak namiętności. Ale jak to zrobić, żeby jednocześnie nie pokazać, że jest wobec Maud nielojalny? Przecież to, że leży tu nago z Antonią, którą kocha, jest najdobitniejszym dowodem braku lojalności. - Jednak ta dziedzina życia nic dla niej nie znaczy. Nic jej nie odbierasz. Ona nie pragnie mnie w ten sposób... - Chwytał go za gardło jakiś bolesny skurcz. Tom zdał sobie sprawę, że to, co powiedział, to najbardziej wyświechtane zdania, jakie mężczyźni od wieków mówią swoim kochankom.
- Dotknęła go długą, szczupłą nogą. Wyraz współczucia.
- Antonio, kiedy powiedziałem, że cię uwielbiam, byłem szczery. Odpowiedziałaś, że mnie kochasz, ale czy to nie było podyktowane romantyzmem chwili?
- Odwróciła głowę.
- Nigdy nie przestałam cię kochać - wyszeptała. Usłyszał w jej wyznaniu te same bolesne wyrzuty sumienia, które sam odczuwał. Oboje poślubili przyzwoitych, dobrych ludzi. Chryste, co za mętlik.
- Jednak w tej chwili smutny nastrój Antonii sprawiał mu pewną przyjemność.
- Będę często przyjeżdżał - zapewnił. - Razem będziemy głużyć poczucie winy.

- Nie.

- Przecież ci wytłumaczyłem, jaka jest moja sytuacja. Maud to moje zmartwienie. A ty nie masz żadnej osoby, wobec której mogłabyś czuć się winna.

- Bardzo się boję o Justina.

- O syna? - zaskoczony Tom zamrugał powiekami.

- Nie mogę tak ryzykować.

Tom ujął ją pod brodę i odwrócił jej głowę ku sobie.

- Jest ktoś inny?

- Mężczyźni zabierają mnie do teatru, na kolację, do Ascot. - Wzruszyła ramionami pod kołdrą. - Nic więcej. Nie mam kochanka. Chodzi mi tylko o Justina.

- Nie rozumiem.

- Od kiedy zjawileś się u nas, nawiedza mnie pewien sen. Justin dowiaduje się o swoim pochodzeniu i jego twarz rozpływa się jak roztopiony воск.

- To tylko nocny koszmar.

- Wiem, ale... - Poczul, że jej ciałem wstrząsnął dreszcz. - Właśnie z tobą nie powinnam tego robić.

- Antonio...

- Justin jest wrażliwy i mądry. Potrafi dodać dwa do dwóch. To by go zniszczyło.

W mroku jej oczy zalśniły łzami. Krótkie włoski na karku Toma zjeżyły się. Zdał sobie sprawę, że choć jej rozumowanie jest nielogiczne, a nawet szalone, Antonia święcie wierzy, że ich znajomość zagraża Justinowi, i gotowa jest wyrzec się miłości, żeby tylko odsunąć od syna jakieś urojone zagrożenie.

Urojone? Przeszedł go nagły chłód. Pomyślał o żonie i o tym, jak uczciwie wobec niego postępuje. Co by się z nią stało, gdyby dowiedziała się prawdy? Pomyślał o swoim synu, Caryllu.

- Mnie też bardzo na tym zależy, żeby nikt się nie dowiedział - oznajmił.

- To był cud - powiedziała zduszonym szeptem. - Taki cud zdarza się tylko raz.

- Nikt nie wykryje prawdy o nas. - Tom ujął jej dłoń i położył na porośniętej szorstkimi włosami skórze na piersi. - Twój syn nigdy się nie dowie, że Claude Hutchinson nie był jego ojcem.

- Nie możesz tego obiecać.

- Właściciel Onyxa może. Patrzysz na człowieka, który ma władzę, pieniądze.

- Dyskrecji nie można kupić.

- Oczywiście, że można. - Przyciągnął ją do siebie. Jego głos z aroganckiego zmienił się w błagalny. - Przysięgam ci na własne życie. Wierzysz mi, Antonio?

Długie, drżące westchnienie wyrażało zgodę.

- Dziękuję - powiedział i dotknął ustami jej ust. Naciągnął kołdrę wyżej, żeby Antonii nie było zimno, kiedy całował małe dołeczki tuż u nasady szyi. Jej puls zaczął uderzać szybciej. Skórę miała rozpaloną i czuła na udzie jego sztyw-
ną męskość. Poruszyła się. Kiedy w nią wszedł, oboje chwycili z jękiem powietrze.

- Kochany, tym razem ja... - wyszeptwała.

Leżał nieruchomo, a ona owinęła się wokół niego i wolno, ale stanowczo prowadziła go coraz dalej i dalej, aż przestał zwracać uwagę na bicie oszalałego serca i dotyk jej pocałunków na ramionach. Nic do niego nie docierało, oprócz tej falującej radości, jakby zwrócono mu jakiś pierwotny instynkt i tylko rdzeniem świadomości był w stanie objąć nieskończoną cudowność świata. Nagle zalała ich oboje gwałtowna fala. Antonia krzyknęła w ekstazie. Poczul, że płynąca w jego żyłach krew wybucha jasnym światłem. Jednocześnie ogarnął go smutek, nieodłączny od każdej ludzkiej radości. To wszystko zawsze mogło być moje, pomyślał.

Kiedy ich oddechy się wyrównały, wsparł się na łokciu.

- Antonio, daję ci słowo. Chłopiec nigdy się nie dowie. -Głos Toma brzmiał chropowato. - Zaufaj mi.

- Ach, Tom, muszę, nie mam wyboru. - Przemówiła z taką miłosną pasją i brakiem nadziei, że przytulił jej twarz do piersi, żeby ją pocieszyć.

VI

Upper Swithin Place, oddalone około dwóch mil od Rutland Gate, było bezdrzewną enklawą bloków mieszkalnych. Nie zapuściłby się tutaj nikt z jej przyjaciół, a jednocześnie okolica była zbyt elegancka, żeby Antonii groziło spotkanie z kimś ze służby. W wysokim czerwonym budynku z cegły znalazło się mieszkanie na parterze, z drzwiami wychodzącymi prosto na boczną uliczkę. Wiodła do nich wąska cementowa ścieżka, widoczna tylko dla kogoś, kto wychyliłby się z okien na piętrach. Żeby zdobyć ten klejnot,

Tom musiał pobawić się w brata i zacierać ślady między swoim celem a własną osobą. Zdeponował w banku złote gwinee dla agenta wynajmu nieruchomości, który miał opłacać czynsz, zakupić meble i wynająć sprzątaczkę na dwa przedpołudnia w tygodniu. Posunął się nawet do tego, że wydrukował wizytówki z nazwiskiem J. Foreman, żeby jedną z nich wsunąć do małej, metalowej ramki nad dzwonkiem u drzwi.

Okazało się, że kilka pierwszych dni wyznaczyło stały rytm ich przyszłych spotkań. Tom, bardziej punktualny, przybywał pierwszy i zaciągał zasłony w oknach. Potem przychodziła ona i przyciskała chłodny, zaróżowiony policzek do jego twarzy. Zawsze miała coś dla niego. Czasem w obleczonej w rękawiczkę dłoni trzymała za sznureczek pudełko ciastek albo wyjmowała z futrzanej mufki zwinięte nuty piosenki, którą mu potem śpiewała, akompaniując sobie na pianinie. Jednak wszystko miało swoją kolej. Najpierw szybko szła do łazienki, gdzie wkładała mały gumowy krążek, zwany pesarium. Dostała je jeszcze w czasie trwania małżeństwa od pewnego holenderskiego lekarza. To wspaniałe urządzenie zwalniało ich z konieczności używania prezerwatyw. Kochali się powoli, sprawiając sobie nawzajem rozkosz. Jeśli kochali się drugi raz, robili to szybko i spontanicznie, jakby dopełniając pocałunek na pożegnanie. Zakładali szlafroki i przechodzili do salonu na herbatę. Osłonięte abażurami kinkiety i gazowy kominiek rzucały ciepłe światło. Ku swemu zaskoczeniu Tom stwierdził, że potrafi mówić o Maud, opowiadać o jej poczynaniach i chwalić zdrowy rozsądek żony, nie fałszując niczego i nie wstydząc się. Poczucie winy dotyczyło kogoś innego i teraz dobrze rozumiał matczyne niepokoje Antonii. Ani razu nie potrafił się zdobyć na to, żeby wymówić imię Carylla. Nawet opowiadając o jakimś codziennym wydarzeniu w rodzinie, kiedy należałoby wspomnieć o synu, czuł że język mu sztywnieje, i milkł. To, że miał dziecko z tą kobietą, którą przecież uwielbiał, nie było zdradą wobec ukochanego, prawowitego syna.

VII

Przez pierwsze dziesięć dni, kiedy tonął w czystej głębi wielkich, ciemnych oczu Antonii, nie zdradził Monty'emu,

że jest już w Londynie. Zadzwoił do niego pewnego chłodnego ranka.

- To świetnie, że jesteś na miejscu, Tom - ucieszył się Monty. - Znalazłem coś ciekawego w Southwark.

- Zjadłem już śniadanie. Przyjedź po mnie.

Szofer wiózł ich wzdłuż prawego brzegu Tamizy. Mijali fabryczne kominy i szeregi bloków mieszkalnych, przypominających więzienia. Otulone w chusty kobiety ciągnęły za ręce blade dzieci, klucząc między straganami, przy których handlarze wychwalali swój nędzny towar. Cienko ubrani bezrobotni kulili się w deszczu stojąc w długiej kolejce przed hutą.

- Doskonała okolica. Mnóstwo taniej siły roboczej - skomentował Edge.

- Nie musisz mi mówić. Mieszkałem w takich miejscach. Dojechali do długiego ceglanego muru. Monty wychylił się do przodu i zastukał w szybę. Rolls zatrzymał się płynnie przed wielką żelazną bramą, za którą ciągnął się wieloakro-wy, błyszczący od deszczu brukowany plac, poprzecinany liniami torów kolejowych. Rząd magazynów zasłaniał widok na rzekę.

Tom skrzyżował ramiona i objął dłońmi łokcie.

Tak, pomyślał. To jest to. Tak. Już dawno postanowił wybudować fabrykę w Wielkiej Brytanii, a teraz, kiedy odnalazł tu Antonię, potrzebował pretekstu, żeby częściej bywać w Londynie. Jednakże ogarniające go podniecenie nie wynikało z logicznego rozumowania czy chęci spełnienia własnych potrzeb. Była to reakcja instynktowna.

Niejednokrotnie już się przekonał, że najważniejsze jest pierwsze wrażenie.

Szofer otworzył zamkniętą na łańcuch bramę i wjechali do środka.

Monty otworzył wielki czarny parasol, żeby osłonić ich obu przed deszczem, ale Tom ruszył przodem. Obrzucił przelotnym spojrzeniem budynki magazynów z olbrzymimi, rozsuwanymi wrotami z żelaza. Przeskakując przez błotniste kałuże, dotarł na brzeg smaganej strugami deszczu Tamizy, na której wodach kołysały się przytulone do siebie łodzie. Nad każdą kłębił się obłok dymu.

Edge dogonił go. Wskazał na szerniałe kikuty wbitych w ziemię pali.

- Nabrzeże się spaliło, ale są tu świetne warunki do budowy portu.

- Widzę. To doskonale miejsce.

Uśmiech Monty'ego wyrażał triumf i niedowierzanie. Szary płaszcz Toma ściemniał na ramionach od deszczu.

- Stań pod parasolem - zachęcił Anglik. - Przemokniesz.

- Nie roztopię się.

- Obejrzyjmy budynki.

- Po co? Trzeba je będzie zburzyć albo kompletnie przebudować.

- Więc naprawdę zdecydowałeś się ruszyć z budową?

- I to pełną parą. Brytyjska Piątka będzie kosztowała siedemdziesiąt pięć funtów.

- Siedemdziesiąt pięć funciaków! - Starannie wyuczony akcent Monty'ego gdzieś zniknął. Zrozumiał teraz, o czym mówili jego amerykańscy koledzy, kiedy nazywali Toma nawiedzonym misjonarzem-szaleńcem. Spojrzał na szczupłą, mokrą od deszczu twarz, żeby sprawdzić, czy Tom nie żartuje. - Nawet za dwukrotnie większą sumę nia da się kupić żadnego brytyjskiego samochodu! Mój Boże, siedemdziesiąt pięć funciaków! Jak pokryjesz straty?

- Wyślę ładne dziewczyny, żeby zbierały datki na biednych producentów automobili. - W oczach Toma migotał okrutny, ironiczny błysk. - Chcesz zostać dyrektorem?

Jasne wąsy Monty'ego zadrżały. Co za ironia losu! Usłyszał pytanie, o jakim śnił przez całe życie - ale z ust szaleńca.

- Może nam się uda obniżyć cenę do stu dziesięciu - odezwał się ostrożnie. - Jeśli bardzo się postaramy. Obetniemy koszty. Zamiast wanadu będziemy używać zwykłej stali i...

- Piątka to maszyna najwyższej klasy. Po obu stronach oceanu ma być równie dobra.

- Jak to możliwe, przy takiej cenie?

- Zmniejszymy liczbę roboczogodzin koniecznych do jej wyprodukowania.

- Tom, jestem głupi, nic nie rozumiem. Oświeć mnie.

- To bardzo proste. Koszt każdego produktu, czy jest to bochenek chleba, statek oceaniczny czy samochód, zależy od liczby godzin, jaką poświęca się na jego budowę, począwszy od wydobycia surowców aż do skończonego wyrobu.

- A co z kapitałem? Zapominasz o zainwestowanych środkach.

- Kapitał to słowo wymyślone przez ekonomistów. Zwykły żargon. Budynki i maszyny to dzieło ludzkich rąk.

Ludzie je projektują i budują z produktów i surowców wytworzonych lub wydobywanych przez innych ludzi. Innymi słowy, składa się na nie określona liczba roboczogodzin. -Tom na chwilę zamilkł. - Ja się będę martwił o kapitał. Razem musimy się zastanowić, jak wyprodukować znakomity, ale tani brytyjski samochód.

Szli dalej przed siebie. Twarz Monty'ego przybrała teraz przebiegły wyraz jeszcze z czasów głodnej młodości.

- Tom, czy kiedykolwiek myślałeś, żeby podzielić pracę na oddzielne etapy.

- Co masz na myśli?

- Zespół robotników, z których każdy wykonuje tylko jedną czynność.

- Daj mi przykład.

- Weźmy taki iskrownik w kole zamachowym. W naszej branży wszyscy zatrudniają do ich budowy wykwalifikowanych mechaników. Ale powiedzmy, że ktoś podzieli cały proces na poszczególne etapy, ustawi małą linię montażową.

- To znacznie przyspieszyłoby produkcję.

- Tak, ale nie o to mi chodzi. Każda czynność byłaby prosta. Obrót klucza, dopasowanie jakiejś części.

- Co za nudna, nie dająca żadnego zadowolenia praca. Wkręcać jednakowe śrubki przez cały dzień!

- Zaoszczędzilibyśmy fortunę, gdyby nam się udało wykorzystać niewykwalifikowaną siłę roboczą. - Monty spojrzał znacząco na majaczące w oddali brązowe sylwetki bloków mieszkalnych. - Właśnie ich.

- To przytłaczające.

- To ty wyznaczyłeś cenę w wysokości siedemdziesięciu pięciu funtów. Do diabła, jak ci się udało wykombinować taką liczbę?

- Kiedy przyjechaliśmy tu pierwszy raz, Hugh zrobił badanie rynku. Doszedłem do wniosku, że to byłby wydatek, na który wielu Anglików byłoby stać.

- Przeciętny gość z ulicy mógłby sobie pozwolić na samochód? Nigdy, nawet za milion lat! - zahuczał Monty. - Tom, powinni cię zamknąć w domu wariatów.

- Nie ty pierwszy mi to mówisz - odparł z kwaśnym uśmiechem Bridger. - Zacznijmy od razu. Im szybciej zwrócimy się do agencji handlu nieruchomościami, tym wcześniej dostaniemy ten teren.

- To znaczy, że mówiłeś poważnie? Zostałem dyrektorem brytyjskiego Onyxa?
- Chyba że wolisz nadal być kierownikiem naszego londyńskiego przedstawicielstwa.
- To ty jesteś wariatem, a nie ja!

VIII

Znowu? - zapytała Maud. - Ostatniej wiosny byłeś tam z Hugh, potem spędziłeś tam ponad połowę stycznia i cały luty. A teraz mi mówisz, że wybierasz się tam w czerwcu. Po co?

- Fabryka w Southwark jest bardzo duża - wyjaśnił. - Kto inny mógłby skontrolować plany?

Siedział za stołem w kuchni, a żona przygotowywała mu jajecznicę na późną kolację.

- A Monty? - zapytała.

- Mamy tam mnóstwo problemów i tylko ja potrafię je rozwiązać. - Starał się mówić naturalnym tonem, ale reakcja żony na wiadomość o przyszłej podróży napełniła go pełnym poczuciem winy i niepokojem, że mieszkanie na Upper Swithin Place zostało zdemaskowane jako gniazdko miłosne.

- To mi przypomniało, że chciałam o czymś z tobą porozmawiać. - Żywe rumieńce Maud stały się jeszcze wyraźniejsze. Mimo praktycznego fartucha, który przykrywał brzydką wełnianą sukienkę, wyglądała ładnie. Widać było, że jest zdenerwowana, kiedy przysunęła sobie krzesło.

Tom zacisnął w dłoni nóż do masła i żałował, że przed kolacją nie wypił czegoś mocniejszego.

- To zabrzmiało bardzo poważnie. Proszę, strzelaj. Jej szczerze oczy spojrzały na niego zza okularów.

- Nie będę owijać w bawełnę - wyrzuciła w końcu. - Doszły mnie słuchy o domu w pobliżu hotelu Pontchartrain, gdzie urzędują pewnego rodzaju kobiety. Ktoś-powiedział, że ty tam bywasz.

Tom poczuł taką ulgę, że aż zrobiło mu się słabo. Ale przecież nikt nie mógł wiedzieć o Antonii. Na złodzieju czapka gore, pomyślał. Inna żona nie robiłaby problemu z tak błahego i nic nie znaczącego wykroczenia jak wizyta w domu uciech. Ale nie moja Maud, stwierdził w duchu z czułością, lekko zabarwioną irytacją. Ona zawsze wyklada na stół wszystkie karty.

- Skarbie, po co słuchasz plotek?
- Czy to prawda?
- Nie byłem tam od wieków. - Urwał nagle. Tymi słowami dowodził przecież wierności Antonii, a nie żonie. - Napiłbym się jeszcze kawy.

Stała przy kuchence i naląła odgrzewany napój z dzbanka. Nie patrząc mu w twarz, zapytała:

- Czy w Anglii też są takie domy?
- Nic o tym nie wiem.
- Tak często tam jeździsz.
- Wyłącznie w interesach.
- Nie krzycz, Tom. Chciałam ci tylko powiedzieć, że dobrze rozumiem takie sprawy. Nie powiem, że to mnie nie rani, bo tak nie jest, ale wolałabym wiedzieć. - Odwróciła się.

Jej twarz była tak smutna, że na chwilę stanęła mu przed oczami ich noc poślubna w hotelu Russel. Na wynajęcie pokoju wydali jej pieniądze. Maud stanęła na tle zaciągniętych zasłon i tym samym tonem, jakiego użyła teraz, oświadczyła mu, że zdaje sobie sprawę ze swojej sytuacji. Nie jest dla niego ideałem kobiety. Ta mimowolna, smutna szczerłość przywiązała go do żony więzami współczucia i cieplej przyjaźni. Wstał i poklepał ją po ramieniu.

- Maud, skarbie, jesteś moją żoną. Bardzo mi na tobie zależy.
- Ja nie mam pretensji - odparła. - Chodzi mi tylko o to, żebyśmy zawsze byli ze sobą szczerzy. Nie potrafiłabym znieść, gdybyś mnie okłamał.

IX

Przez następne trzy lata Tom często odwiedzał Anglię.

Antonia znosiła okresy jego nieobecności jak wyrok więzienia, ale kiedy przy niej był, potrafiła odciąć się od reszty świata i o wszystkim zapomnieć. Tom, który tęsknił za nią równie głęboko, nie potrafił żyć chwilą i w mieszkaniu na parterze nigdy do końca nie opuszczała go świadomość, że tykanie biedermeierowskiego zegara w saloniku nieubłaganie odmierza godziny dzielące ich od rozstania.

Wynalazki i udoskonalenia powstawały teraz po obu stronach Atlantyku, dodając rozpędu nowej inwestycji.

Iskrownik w kole zamachowym Monty'ego był tego pierwszym przykładem. Kiedy Tom wrócił do Detroit, zabrał do

Hamtramck swoją starą skrzynkę z narzędziami. Stał razem z mechanikami za warsztatem i wraz z innymi złożył pierwszy iskrownik. Zajęło mu to około dwudziestu minut. Następnej soboty wrócił do fabryki z Caryllem. Pracując bardzo wolno, jeszcze raz złożył urządzenie. Po każdej czynności przerywał pracę i opisywał chłopcu, co właśnie zrobił. Caryll z rozszerzonymi z przejęcia oczami zapisywał kolejny krok i opatrywał numerem. Tom odłożył klucz i zapytał:

- He ci wyszło?

- Dwadzieścia dziewięć, tato. Bridger wytarł ręce w szmatę.

- Chodź, idziemy do działu maszyn.

Kiedy wyszli, zapracowani mechanicy uśmiechnęli się. Wszyscy w Hamtramck wiedzieli o szefie dwie rzeczy: bardzo niewiele czasu spędzał w wielkim biurze, a jego syn zarabiał na kieszonkowe pracując w soboty w fabryce. Kolejka ludzi poszukujących zajęcia nigdy nie zniknęła przed biurą zatrudnienia na Conant Street. Dziesięć dni później Tom najął dwudziestu dziewięciu niewykwalifikowanych robotników. Poszli za nim w długim rzędzie podskakujących kapeluszy i włóczkowych czapek do budynku, gdzie zbudowano wysoką do pasa żelazną ławę. Była dokładnie tak szeroka, że mieściło się na niej koło zamachowe Onyxa. W ustawionych jeden przy drugim pojemnikach błyszczały różne metalowe elementy. Tom pokazał każdemu z mężczyzn, na czym polega jego proste zadanie. Pociągnął dźwignię. Zazgrzytał łańcuch wprawiany w ruch przez wał ślimakowy, zachrząściły przekładnie i koło zamachowe umieszczone na jednym końcu ławy drgnęło. Robotnik włożył w imadło następne.

Tom przysiadł na taborecie i skrzyżował ramiona. Na twarzy malował mu się pełen skupienia spokój, który czasami wychwytywało oko aparatu fotograficznego. Spędził wiele godzin tak ustawiając pracę na tej linii montażowej, żeby każdy robotnik mógł wykonać swoją czynność, nawet na krok nie ruszając się z miejsca. Dwu z nowych podwładnych nie dawało sobie rady. Tom zwolnił tempo przesuwu taśmy do osiemnastu cali na minutę. Już po chwili mógł znowu zwiększyć prędkość.

Policzki mu się napięły, a górna warga mimowolnie uniosła. Niewielu z obecnych zdawało sobie sprawę, że tym

eksperymentem zmniejszył czas montażu jednego urządzenia z dwudziestu do dwunastu minut. Będzie jeszcze mniej, o wiele mniej, pomyślał, kiedy tylko przyzwyczają się do ruchomej taśmy.

(Była to pierwsza ruchoma taśma montażowa na świecie.)

Tom wolno poszedł do budynku administracji, żeby opowiedzieć Olafowi Baardsonowi, który był teraz dyrektorem Hamtramck, o swoim nowym ruchomym warsztacie pracy. Sprzeciwiając się sugestiom szwagra, zarządził, żeby nowi niewykwalifikowani robotnicy przy taśmie dostawali taką samą stawkę jak mechanicy, i kilka tygodni później wydział inżynierski przewrócił całą fabrykę do góry nogami, reorganizując i zmieniając system pracy na każdej hali.

Uroczyste otwarcie brytyjskich zakładów Onyxa nastąpiło drugiego czerwca 1914 roku.

Wcześniej tego ranka mniej więcej przez godzinę padał deszcz, ale po południu na lazurowym niebie widać było tylko kilka wysokich, skłębionych chmur. Słońce wysuszyło płótno powiewających wokół flag. Na białych pasach widać było niby wymalowane patykami różowe zacieki czerwonej farby, a błękitne pola wypłwiały i stały się fiołkowe. Policja powstrzymywała tłum, który napierał na każdą limuzynę zbliżającą się do bramy. Chociaż od blisko dwóch lat fabryka produkowała Onyxy, które sprzedawano po osiemdziesiąt funtów, silniki do nich sprowadzano z Detroit. Dziesięć tygodni wcześniej pierwszy w pełni brytyjski Onyx zszedł z linii montażowej. Należało to uczcić. Młody książę Walii, równie rozmiłowany w samochodach jak jego zmarły dziadek, Edward VII, zgodził się przeciąć wstęgę.

W pobliżu głównej hali wzniesiono pasiastą markizę, która dawała schronienie mężczyznom w cylindrach i kobietom w letnich futrach, narzuconych na pastelowe popołudniowe suknie. Widać też było kilkoro dzieci, samych chłopców. Monty, zaróżowiony i roześmiany, krążył dokoła witając arystokratycznych gości.

Tom, Maud, Caryll i Trelinack przyплыnęli na tę okazję zza oceanu. Stojący samotnie Trelinack wydawał się wiele mniejszy w swoim nowym surducie. Jego żona zmarła minionej zimy i od tego czasu tracił na wadze jak opuszczony przez właścicieli pies. Żałośnie szukał oparcia w rodzinie. Rozglądał się nerwowo, ale ze swojego miejsca widział tylko brązowe rondo kapelusza Maud. Za to miał doskonały widok na Toma i Carylla, którzy pokazywali przenośnik do nadwozi sir Henry'emu Royce. Tom, tak samo jak Monty,

poczerwieniał z emocji. Obaj byli pijani szczęściem i rozpierała ich duma, że udało im się stworzyć najlepiej wyposażony kompleks przemysłowy w całej Europie.

Podjechał kremowy Lanchester i Drum, gruszkowaty służący w szarym uniformie szofera, wyskoczył, żeby otworzyć drzwi przed Antonią i jej dziećmi.

Tom, zajęty rozmową z sir Henrym, nie zauważył przybycia nowych gości, dopóki nie usłyszał głosu przemawiającego z amerykańskim akcentem, jej głosu. Przerwał w pół zdania i odwrócił się, zaskoczony i zmieszany. Chociaż podczas tego pobytu w Londynie nie spotkali się w mieszkaniu, to przecież przedtem mówiła mu nieraz, że nigdy nie przyjmie zaproszenia na żadne spotkanie, na którym on mógłby być obecny. „Co będzie, jeśli jedno z nas okaże zbyt wiele emocji? Albo zachowamy się nienaturalnie sztywno?” Nigdy nie porzuciła swojej *idée fixe*. Wręcz odwrotnie, bezpodstawne wyrzuty sumienia i obezwładniający strach, że wzbudzi podejrzenia syna, jeszcze bardziej przybrały na sile. A jednak była tu, z wysokim, czarnowłosym synem u boku i uderzająco śliczną dziewczynką, idącą kilka kroków przed nią. Mimo paniki Tom poczuł wielką radość.

Stała niedaleko, wysoka, smukła, w powiewnej, przezroczystej sukni, roześmiana, a jednocześnie onieśmielona jak leśna nimfa... kiedyś leżeliśmy razem w cieniu pod klonem... Udało mu się chyba wydusić z siebie jakieś logiczne wytłumaczenie, bo zobaczył, że Caryll razem z nim idzie w jej stronę.

- Antonio!

- Tom. Jak miło znowu cię widzieć. I to przy takiej uroczystej okazji! - Jej starannie wypracowany uśmiech zniknął z ust i Tom odgadł, że i przez nią przebiegają elektryczne impulsy, spowodowane wzajemną bliskością. - Byliśmy zachwyceni - ciągnęła trochę nerwowo - kiedy Monty i Edwina przysłali nam zaproszenie.

- Powiniennem sam o tym pomyśleć.

- Pamiętasz mojego syna, Justina?

- Oczywiście. Witaj, Justin. Będę oryginalny i nie powiem, że bardzo urosłeś, dobrze?

- Co za ulga. - Głos chłopca przeszedł już mutację, ale to rozważna, zdecydowana mina, a nie tylko fizyczna dojrzałość sprawiały, że wyglądał na więcej niż czternaście lat. - Gratuluję panu. - Wyciągnął rękę.

Kiedy ścisnął chłopięcą, twardą dłoń Justina, poznaną odciskami od kija krykietowego, poczuł się jak zdrajca, który oszukuje własnego syna, Carylla, i to w jego obecności.

- Dziękuję - odparł.

Antonia gładziła rudozłote włosy córki.

- Chyba nie poznałeś jeszcze Zoe.

Śnieżnobiała sukienka dziewczynki zawirowała, kiedy Zoe lekko dygnęła. Jej wdzięk był równie uderzający jak uroda.

- Bardzo się cieszymy, że zostaliśmy zaproszeni, panie Bridger. Tylko raz widziałam Jego Księżęcą Wysokość, podczas parady wojskowej z okazji urodzin króla.

- Dzisiaj będziesz mogła zobaczyć go z bliska - obiecał Tom. - Antonio, to jest mój syn, Caryll. Caryllu, pani Hutchinson jest naszą rodaczką. Kiedyś mieszkała w Detroit, przy Woodward Avenue. A to są Justin i Zoe Hutchinson.

- B-bardzo mi miło - wyjąkał chłopiec. Głowę miał pochyloną, ale cały czas zerkał nieśmiało na Zoe, która nie odrywała ciemnych, ocienionych gęstymi rzęsami oczu od jego twarzy, gdy ścisnął jej miękką, wiotką rękę. Matka nauczyła go, że trzeba należycie pełnić rolę gospodarza; ta niewiarygodnie urodziwa dziewczynka zrobiła na nim wrażenie, a w dodatku niebieskie oczy Toma spoglądały cieplej niż oczy innych małych angielskich gości, więc Caryll wymamrotał: - Czy macie ochotę coś zjeść, zanim zacznie się zwiedzanie fabryki?

- Cudownie - odparła łaskawie Zoe.

Kiedy opuścili towarzystwo dorosłych, jej oczy rozbłysły łobuzersko i pomknęła przed siebie jak wystrzelona z procy do długiego, nakrytego lnianym obrusem bufetu. Caryll, zarażony energią dziewczynki, pobiegł za nią. Justin starał zachowywać się godnie i został z tyłu.

Antonia wyszeptała:

- Tom, ja... - Nagle urwała. W ich stronę zmierzała Maud.

- Panna Dalzell! - zawołała radośnie. - Kto by pomyślał, że spotkam tu dzisiaj znajomą twarz.

- Już nie panna Dalzell, Maud - poprawił Tom. - Pani Hutchinson.

- A pani jest panią Bridger - powiedziała Antonia. - Co za wspaniała uroczystość.

- Święto Toma - z promiennym uśmiechem oznajmiła

Maud. Zwykle unikała publicznej demonstracji uczuć, ale teraz wzięła męża pod ramię. Obrót fortuny dał jej słodką, upajającą satysfakcję. Wiele lat temu szyla dla Antonii suknie i była o nią zazdrosna ze względu na Toma. A teraz stała przed nią jako żona Toma i gospodyni tej wspaniałej uroczystości. (Trzeba przyznać, że Maud rzadko myślała o sobie jako o multimilionerce. Ale czy jest na świecie kobieta, która nie cieszyłaby się z takiego zwycięstwa?) - Jak przyjemnie znowu panią spotkać - oświadczyła szczerze. - Wyszła pani za męża za Anglika? Antonia potrząsnęła głową.

- Za Amerykanina.

- Ale tam, z Caryllem, to pani dzieci, prawda?

- Tak, Justin i Zoe.

- Dziewczynka wyrośnie na prawdziwą piękność. Już teraz nią jest. Na pewno strasznie musi pani uważać, żeby mąż jej nie rozpuścił. - Maud rozejrzała się. - A gdzie on jest? Amerykanie powinni trzymać się razem.

- Od kilku lat jestem wdową.

- Och, tak mi przykro. - Maud zniżyła głos, składając hołd śmierci. Jeszcze mocniej przywarła do ramienia męża.

- Samotne wychowywanie dzieci, szczególnie chłopca, musi być bardzo trudne.

- Nawet sobie pani nie wyobraża, jak bardzo Justin opiekuje się mną i Zoe. - Ściągnięte wargi Antonii zbieleły, ale głos był spokojny.

Maud roześmiała się po swojemu, głośno i radośnie.

- Caryll to udany chłopiec - powiedziała Antonia. - Bardzo do pani podobny.

- Wszyscy tak mówią. Ale czy ma podobne do Toma, prawda, kochanie?

Tom skinął głową. Oddychał płytko, jakby ktoś wlewał mu do nosa jakiś płyn. To wrażenie, że się dusi, nie miało nic wspólnego z niespodziewanym pojawieniem się Antonii. Radość z jej bliskości cały czas pulsowała mu w żyłach.

Trudno mu było znieść ten dziwny, nieśmiały uścisk dłoni Maud na ramieniu.

- Tom! - Zbliżył się do nich Monty. - Czy możesz na chwilę porzucić to przemile towarzystwo?

- Oczywiście, że może. - Maud lekko popchnęła męża. - Idź, kochanie. Nie widziałyśmy się z panią piętnaście lat, będziemy miały o czym rozmawiać.

- Cii! - Antonia przyłożyła palec do ust. - Zdradza pani tajemnicę państwową.

Monty odciągnął Toma, a Maud znowu się roześmiała.

Obrzuciła Antonię badawczym spojrzeniem. Nadal jest o wiele za chuda, pomyślała. Założę się, że waży najwyżej jakieś pięćdziesiąt kilogramów, ale jej suknia na pewno jest od Poireta. Jak dawniej tryska energią. Wdowa, hmmm. Nagle uświadomiła sobie, że Antonia bardzo poufale rozmawiała z Tomem, kiedy ona do nich podeszła. Maud nigdy nie miała skłonności do analizowania niuansów ludzkich zachowań i nastrojów, ale teraz zauważyła, że przejrzysta cera Antonii bardzo pobladła, a uśmiech wygląda na nieco sztuczny. Poczuła, że opuszcza ją przyjazny nastrój, i mimo nowej karakułowej pelerynki przeszedł ją zimny dreszcz.

- Więc jest pani dobrą przyjaciółką Monty'ego i Edwiny? -zapytała czujnie.

- Czasami chodzimy na te same przyjęcia.

- Zapewne spotyka się pani na nich z Tomem? Antonia spuściła powieki.

- Nie widziałam go od lat. Ale Hugh był tu u nas. Dzieci często do niego pisują, a on chętnie odpowiada. To bardzo miło z jego strony. Nie znają wielu Amerykanów.

- Ale przecież Edge'owie ciągle starają się zabawić Toma. Ciągną go na różne przyjęcia. - Maud nie dawała za wygraną. -Jeśli obraca się pani w ich towarzystwie, nie rozumiem, jak mogliście się nie spotkać z Tomem.

- A jednak... Ma pani rację, to dziwne.

- Kiedyś bardzo się w pani durzył.

- To prehistoria. Nasze szczenięce lata. - Antonia mówiła lekko, żartobliwie, ale oczy wciąż ukrywała za zasłoną gęstych rzęs.

Gorzka zazdrość odżyła.

- Kiedyś sądziłam, że jestem dla niego tylko namiastką -wyrzuciła z siebie Maud.

- Antonio, kochanie! - zaszczebiotał piskliwy, dziewczęcy głos.

- Penelopa. Od wieków cię nie widziałam - odparła Antonia przez ściśnięte gardło. Zwróciła się do Maud: - Ja...

Bardzo panią przepraszam...

Podbiegła do matrony z obfitym biustem, którą wcześniej przedstawiono pani Bridger jako księżnę jakąś tam. Maud dotknęła chusteczką czoła. Zawstydzwały ją własne podejrze-

nia, ale w krótkiej rozmowie z Antonią zabrzmiało tyle fałszywych nut, że nawet ona, której daleko było do subtelności, nie mogła ich nie zauważyć.

Przez tłumek zgromadzonych pod gołym niebem ludzi przeszedł szmer. Dorośli odstawili kieliszki z szampanem, a dzieci stanęły na palcach, żeby wyglądać bardziej dojrzałe. Długi czarny Daimler z dwoma szoferami sunął po brukowanej alei, aż zatrzymał się przy pasiastej markizie. Z limuzyny wyłonił się z uśmiechem na twarzy niski, jasnowłosy młody człowiek. Mężczyźni uchylali kapelusze. Kobiety w głębokim, dworskim ukłonie dotykały kolan skrajem wielkich, ozdobionych tiulem kapeluszy.

Dwudziestoletni dziedzic tronu imperium brytyjskiego ścisnął dłonie amerykańskiego mechanika, jego żony, byłej krawcowej, ich nieśmiałego synka i wreszcie Trelinacka, który nie ukrywał łez. On, kuzyn Jack, górnik z kopalni cyny, wita się z prawnikiem starej królowej Wiktorii! Jaka szkoda, że żona nie dożyła tej chwili i nie może z bliska zobaczyć złotowłosego, przystojnego księcia.

Drzwi do głównej hali montażowej zagradzała gruba wstęga z niebieskiego jedwabiu, sztywna od deszczu. Złote ozdobne nożyczki okazały się tępe. Księżę z trudem dał sobie radę ze wstęgą.

- Moja matka jest w tym lepsza - wyznał z uśmiechem, którym oczarowywał cały świat.

II

Wzdłuż całej pięciusetjardowej linii montażowej szczykał pokryty smarem łańcuch, który prznosił niezliczone szkielety podwozi. Tutaj właśnie wmontowywano w nie osie, resory, błotniki, oprawy lamp, koła i tysiące innych części, żeby po ich dokręceniu, przyspawaniu, zamocowaniu, nasmarowaniu i ostatecznej kontroli odprowadzić całość do następnej hali.

Goście, jak chmara kolorowych komarów, krążyli wokół zapracowanych niczym mrówki robotników, z których każdy miał wpiętą w kombinezon miniaturową flagę brytyjską. Kiedy przechodził młody księżę, każdy na chwilę przerywał pracę i kłaniał się uchylając czapki. Księżę, wśród fabrycznego huku słuchający z uwagą wyjaśnień Toma, odpowiadał Im unosząc dłoń w królewskim pozdrowieniu, jak przystało

członkowi rodziny, która od pokoleń łączyła funkcje kościelne z monarszymi. Rozbawiony Tom lekko ironicznie wykrzywił wargi. Nawet jemu się zdawało, że księżę swoją obecnością w jakiś sposób błogosławi wielkie, ciężkie maszyny.

Panowie skupili się wokół Toma i Monty'ego, przysłuchując się im w skupieniu. Justin starał się nie przepychać wśród dorosłych, ale trzymał się blisko głównych postaci dzisiejszej uroczystości. Platformy, dźwigi, podwieszane przenośniki wydawały mu się imponujące i wielkie. Gorzko żałował, że to wspaniałe, niedostępne mu królestwo męskiej przygody jest własnością małodusznego człowieka, który obwiniał jego matkę za stare występki popełnione przez stryja.

Po półgodzinie Tom i księżę dotarli do końca linii montażowej, gdzie właśnie jeden z kierowców miał wsiąść do wykończonego szkieletu Piątki.

- Czy można? - zawołał księżę.

- Wasza Wysokość - równie głośno odparł Tom. - Jak widać, można tu usiąść tylko na baku z benzyną.

- W takim razie ostrożnie z ogniem - zażartował młody następca tronu i usiadł za kierownicą. Tom również wskoczył do środka i usiadł obok niego na cylindrycznym pojemniku. Robotnicy pełną piersią wzniesli radosny okrzyk, który zagłuszył metaliczny hałas fabryki, kiedy księżę wyprowadził z hali dzieło ich rąk. Taką chwilę można potem wspominać przez całe życie. Wzdłuż szerokiej alei namalowano białą linię i księżę podążał za nią, aż do przenośnika nadwozi, przy którym wprawnie zatrzymał maszynę.

- W każdej chwili znajdzie pan u mnie pracę, sir -oznajmił Tom.

Księżę roześmiał się.

- Słyszałem, że bardzo dobrze tu płacicie. Goście kłębili się wokół nich.

Na poziomie pierwszego piętra pojawiła się szara karoseria i podrygując na taśmie zjeżdżała w dół. Pod arystokratycznym spojrzeniem młodzieńca, ośmiu zaczerwienionych robotników przymocowało karoserię do podwozia.

Jeden z nich, ten najniższy, musiał stanąć na drewnianej skrzynce. Ukazały się następne karoserie, które miały być zamontowane do podwozi prowadzonych na miejsce już nie księżęcymi rękami, ale przez zwykłych robotników.

Goście przestali

się nimi interesować i przeszli pod markizę, gdzie Monty podarował księciu Walii złotą tacę z wygrawerowanym wizerunkiem Piątki. Potem wszyscy pili i jedli w towarzyskiej atmosferze.

III

Zoe i Caryll z jednego talerza zajadali kanapki z plasterkami ogórka.

- Ile masz lat? - zapytała dziewczynka.

- Dziesięć i pół.

- Ja dziewięć. - Zoe dodała sobie rok. Sięgnęła po następną kanapkę. - W którym jesteś oddziale?

- W Ameryce mamy klasy. W piątej.

- Ameryka! Klasy! Ha! Czy Hugh jest twoim stryjem?

- Tak.

- Pisujemy do siebie. Na święta przysyła nam piękne prezenty - oświadczyła. - Zawsze tak mamrociesz?

- Wcale nie mamrotałem - głośniej zaprotestował Caryll. Zoe uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Amerykanie zawsze mówią niewyraźnie - pocieszyła go łagodniejszym tonem. - Byłeś już kiedyś w fabryce samochodów?

- Byłem, ale nie w tej. Pracuję w soboty w Hamtramck.

- Ham-tra-mack - wymówiła z pogardą. Jej oczy tańczyły i migotały, jakby zastanawiała się, co by tu spsocić. Zza otwartego okna pobliskiego budynku dochodziły głucho hałasy. - Co się tam dzieje?

- Składają części samochodu, ale nie wiem jakie.

- Nic mnie to nie obchodzi. Przyszłam tu zobaczyć Jego Księżęcą Wysokość. To Justin ma bzika na punkcie samochodów, a nie ja. - Sięgnęła po następną kanapkę i oblizała różowym języczkiem śliczne usta. - Pokaż mi.

- Co mam ci pokazać?

- Głupi jesteś. Jasne, że to. - Wskazała na budynek, z którego rozchodził się hałas.

- Nie wolno nam się oddalać.

- Boisz się.

- Wcale nie - zaprzeczył.

- Udowodnij - syknęła. Jej wąskie czarne buciki zastukały na bruku. Dziewczynka zniknęła za rogiem hali.

Caryll rozejrzał się nerwowo. Każde z jego rodziców

rozmawiało z inną grupą gości, dziadek siedział na krześle obok matki pani Edge, wiekowej staruszki, której kapelusz, ozdobiony kaczymi piórami, bezustannie trząsł się na głowie. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Odstawił talerz na tacę, którą niósł mijający go lokaj, i pędem rzucił się za Zoe. Czatowała na niego za rogiem.

- HUUU! - krzyknęła i roześmiała się radośnie, kiedy podskoczył ze strachu. Trzymała kapelusz za różowe wstążki i machała nim w powietrzu. Caryll zdjął czapkę. - Tak jest lepiej - pochwaliła. - Więc ojciec każe ci pracować. Bardzo cię bije?

- Tata? Nigdy!

- To dlaczego tak się bałeś stamtąd odejść?

- Ma dzisiaj szczególny dzień. Nie chciałbym mu go popsuć.

- Justin go nienawidzi.

- Twój brat? Przecież nawet nie zna mojego taty.

- Kiedy był jeszcze mały, twój ojciec przyszedł do naszego domu i bardzo zdenerwował moją mamę. Przez niego się rozchorowała.

- Nie wierzę ci - warknął Caryll.

- Tyle ci powiem, że Justin dał mu niezłą odprawę. Już nigdy się u nas nie pokazał.

- Kłamczucha! - Szlachetny gniew wykrzywił okrągłą twarz Carylla. Głos mu ochrypł. - Kłamczucha!

Zoe odstąpiła krok w tył i zmarszczyła śliczną buzię. Delikatnie zarysowany podbródek zaczął drżeć. Caryll nie dał się łatwo nabrać. Może ta nieszczęśliwa mina to tylko gra? Jeszcze jedna sztuczka, żeby go nastraszyć? Nagle zobaczył, że piękne ciemne oczy napęniają się prawdziwymi łzami.

Komuś nie wtajemniczonemu wydawałoby się, że Zoe, pewna siebie i śliczna, niczym mała boginka w granatowej spódniczce i białej jedwabnej bluzce, beztrudnie spędza szkolne dni. W rzeczywistości jej poczucie bezpieczeństwa opierało się wyłącznie na Antonii i Justinie. Matka i brat byli jedynym pewnym elementem w jej życiu. Wiedziała, że ją kochają. Jeśli zaś chodziło o innych ludzi, przeżywała istne męki, nie wiedząc, czy ją akceptują. Jak mogła sobie zapewnić uwielbienie otoczenia? Nastrój dziewczynki zmieniał się błyskawicznie. Czasami, żeby upewnić się o ich wierności, dręczyła dziewczynki ze swojej grupy i dokuczała im, nierzadko doprowadzając do płaczu, żeby niedługo potem

zasypywać je komplementami, opowiadać najskrytsze sekrety i obdarowywać słodyczami, zakupionymi za całe kieszonkowe. Jej kapryśne zachowanie skrzyło się wdziękiem. Oszłomione nauczycielki jednym tchem ganiły Zoe Hutchinson za jej występki i wychwalały niezwykłą urodę oraz żywiołową uczuciowość. Sięgnęła po dłoń Carylla, ale chłopiec się wyrwał.

- Twój ojciec musi być bardzo mądry - oświadczyła Ugodowo. - Ta fabryka jest taka ważna, że przyjechał tu sam książę Walii.

- Mmm.

- Samochody Onyxa spotyka się na całym świecie. Caryll, który z własnych przykrych doświadczeń wiedział, że tak wygląda przyznanie się do porażki, mógł wykorzystać swoją przewagę. Jednak wrodzona wada, delikatność, nie pozwoliła mu pogięć dziewczynki.

- Mam album ze zdjęciami Onyxa z całego świata - oznajmił. - Z Basuto, z Himalajów, z Syberii. - Doszli do pomalowanych na zielono drzwi z szybą wzmocnioną drucianą siatką. - Masz ładne włosy - wydusił.

Zoe pociągnęła kosmyk z własnej czuprynki, a potem Carylla. Oboje zachichotali radośnie.

Wewnątrz olbrzymie wiertarki i prasy przytłaczały wielkością pracujących przy nich robotników, od których czuć było potem. Na płóciennych fartuchach mieli naszyte małe flagi. Stojący najbliżej wejścia mężczyźni podnieśli głowy znad szybko poruszających się maszyn, w nadziei że odwiedził ich honorowy gość. Widząc jedynie dwoje starannie ubranych dzieci wzruszali ramionami i wracali do swoich zajęć.

Coś podobnego! - rozległ się krzyk Justina. Zdyszany chłopiec stanął za nimi w drzwiach. - Co wy sobie wyobrażacie, smarkacze? Wszyscy was szukają. Caryll spuścił głowę. Zoe splotła ręce na jedwabnej szarfie. Nawet Jego Książęca Wysokość? - zapytała. Książę właśnie szykuje się do odjazdu. A mówiłeś, że wszyscy nas szukają. Miałem na myśli mamę - odparł Justin, a w jego niebieskich oczach pojawiły się niebezpieczne błyski.

Kiedy wyszli z budynku, długo i z lubością nakładała słomkowy kapelusz, wygładzała różowe wstążki i układała

je dokładnie na środku pleców, zanim ruszyła z powrotem pod markizę.

Rozległ się gwizdek. Maszyneria warta fortunę zatrzymała się z hurgotem i ponad pięć tysięcy robotników wylało się ze wszystkich budynków. Tłoczyli się, wymachiwali czapkami i głośno wiwatowali, kiedy książe Daimler sunął świeżo zamiecionymi alejami fabrycznego dziedzińca i zniknął za bramą. Na ulicy policjanci chwycili się za ręce i żywą zaporą odgradzili drogę biednie ubranemu, rozentuzjasmowanemu tłumowi, który nie chciał się rozjechać, dopóki ostatnia limuzyna nie opuściła fabryki. Pierwszy odjechał Lanchester Antonii. Rolls Edge'ów, w którym na rozkładanych ławeczkach siedzieli Caryll i Trelinack, zamykał kawalkadę.

IV

Tom zgodził się udzielić wywiadu reporterowi z „Daily Telegraph”, a Maud uparła się, że na niego zaczeka. Nie zwracała uwagi na obsługę, która rozmontowywała pasiastą markizę. Stała postukując okularami o dłoń w rękawiczce. Pochyliła głowę tak, że jej duży, praktyczny brązowy kapelusz wyglądał jak grzyb wyrosły na czarnej, karakułowej pelerynce.

Biedna Maud. Dopatrzyła się związku pomiędzy częstymi i długimi pobytami Toma w Anglii a nerwowym, nienaturalnym zachowaniem Antonii i teraz szalała z wściekłości. Więc cały czas przyjeżdżał tutaj, żeby się z nią spotykać? Mimo nie dającej się zagłuszyć, bolesnej zazdrości rozsądny i konkretny umysł Maud wytworzył cienką błonę wątpliwości, która nie pozwalała jej zapaść się całkowicie w otchłań cierpienia. Podejrzenia to jeszcze nie fakty, powtarzała sobie w duchu.

Tom zmierzał w jej kierunku. Był bez kapelusza. Wiatr rozwiewał mu wokół ogorzałej twarzy lśniące, przedwcześnie posiwiałe włosy. Nowy garnitur podkreślał dobrze zbudowaną sylwetkę. Ze ściśniętym gardłem zdała sobie sprawę, że jej mąż to przystojny, atrakcyjny mężczyzna w pełni sił.

- Jak poszło? - zapytała.

- W porządku - odparł. Radosny nastrój triumfalnego dnia już go opuścił.

Oboje milczeli, kiedy prowadził samochód. Jechali po nędznych ulicach, od czasu do czasu mijając wóz ciągnięty

przez rachityczną szkapę z klapkami na oczach, ale kiedy znaleźli się po drugiej stronie Tamizy, włączyli się w sznur zmotoryzowanych pojazdów: piętrowych autobusów z kolorowymi reklamami kakao lub mydła zdobiacymi górny pokład, ciężarówek, taksówek, drogich automobili, jak również mniej ekskluzywnych Onyxów, Morrisów, Austinów i Fordów. Nie minęło jeszcze piętnaście lat, a koń został niemal całkowicie wyparty z miasta.

Światła samochodów - naftowe, gazowe i elektryczne - tworzyły zamglone kręgi w fioletowozielonym zmroku.

Maud oparła się wygodniej na poduszkach. Niepokój i determinacja niemal fizycznie zwiększały ciężar jej ciała.

Wiedziała, że wkroczenie na teren uczuć męża to poważny błąd, i na samą myśl o tym oddech wiązał jej w piersiach, ale przecież musiała się dowiedzieć, czy jest coś między nim a tą chudą, czarnowłosą suką.

- Równie wesoła jak dawniej.

- Kto?

- Twoja dawna miłość. Antonia Dalzell. Pani Hutchinson. Na trzymającej kierownicę dłoni Toma ukazały się wyraźnie zarysy ścięgien.

- Tak - odparł i szorstko zmienił temat. - Reporter nieźle mnie wymaglował. Tutejsza prasa nie lubi cudzoziemców. Bogu dzięki, że Hugh wynajął miejscowego specjalistę od *public relations*.

- Widział się z nią, kiedy tu był.

- Hugh?

- A ty nigdy się na nią nie natknąłeś?

Rozległ się dźwięk staromodnego klaksonu i obok przemknął lśniący mosiądzem samochód z otwartym dachem.

- Napier 07 - rozpoznał Tom.

- To przyjaciółka Monty'ego, prawda? Tom nic nie odpowiedział.

- Wysłał jej zaproszenie. Nigdy nie spotkałeś jej u Edge'ow?

- Kilka lat temu zaciągnęli mnie na bal - powiedział. - Ona też tam była.

- Czy jej mąż już wtedy nie żył?

- Maud, ten reporter przepuścił mnie przez magiel. Na dziś mam już dosyć pytań. - Górna warga Toma uniosła się.

Wyglądał tak samo jak Caryll, kiedy uciekał do domu przed łobuziakami z ulicy, z tak nieszczęśliwą, przegraną i zawstydzoną miną, że wystarczała za wszelkie wyznania.

Ale umysł Maud był totalitarnym dyktatorem. Popychał ją do działania, dopóki nie wyjaśni ostatniej wątpliwości. Przełknęła ślinę.

- Chyba zostawił jej spory majątek. Byłam krawcową, więc z daleka rozpoznaję autentyczne paryskie kreacje. Miała od Paula Poiret. Kogo stać na takie stroje? Może w tym towarzystwie bogaci mężczyźni kupują swoim kochankom takie drogie suknie. - Mówiąc to uświadomiła sobie, kto mógł być tym szczodrym dobroczyńcą. Zadrżała i splotła lodowate dłonie. - Rzecz jasna, był jeszcze major - ciągnęła. - Założę się, że wszystko jej zapisał. Bardzo ją lubił. Panie z Woodward Avenue nie przestawały o nich plotkować. Co też one wygadywały!

- Już dobrze, Maud! Wystarczy! - warknął Tom. Osiągnąwszy ten stopień pewności, Maud zamierzała otwarcie wystąpić ze swoimi podejrzeniami. Jednak strach, ogromny, czarny strach przytłumił jej wrodzoną szczerłość.

- Nowa kochanka Monty'ego była na dzisiejszej uroczystości - oświadczyła. - Ta rozchichotana blondynka. *Lady Chapin*. Wiedziałaś o tym?

- Nie przyjeżdżam do Anglii, żeby słuchać plotek. Maud wyczuwała, że tylko cienka, napięta struna silnej woli powstrzymuje Toma przed wybuchem. Na wargach czuła słony smak. Chciała zamilknąć, ale słowa same wyrwały się z jej ust. - Edwina od razu mi powiedziała. Ta kobieta to bryła lodu. Nie wyobrażam sobie, jak można się z czymś takim pogodzić. Ale przecież my mamy ze sobą tyle wspólnego. Jest Caryll, farma. - Ostatnio zakupili od farmera kilkaset akrów dzikich terenów w pobliżu Bloomfield Hills i Maud pracowała nad planem domu z Albertem Kahnem, który zaprojektował fabrykę w Hamtramck. - Może tutaj są- inne zwyczaje.

Tom zahamował przed czerwonym dywanem hotelu. Podbiegł portier, żeby otworzyć drzwi od strony Maud. Boy hotelowy zbiegał już po schodach. Tom był jednym z nielicznych gości, którzy sami prowadzili samochód, i obsługa hotelu czekała tylko na okazję, żeby usiąść za kółkiem i odprowadzić auto do garażu. Cofnięty podbródek chłopca opuścił się smutno, kiedy Tom oświadczył:

- Nie teraz, dziękuję. Jadę dalej.

Maud, z jedną stopą na stopniu samochodu, spojrzała na męża oczekując, że zobaczy na jego twarzy wyraz wściekłej

niechęci. To, co zobaczyła w świetle hotelowych latarni, napełniło ją jeszcze większym strachem. Długa, szczupła twarz Toma wyrażała litość. Dla niej. - Idź beze mnie na przyjęcie do Monty'ego - pożegnał ją.

v

Tym razem, podczas jego pierwszej podróży do Europy z rodziną, nie umówili się na spotkanie w mieszkaniu, więc kiedy wszedł za próg, zapach róż go zaskoczył. Włączył światło i zobaczył na pianinie smukły wazon, a na stole pudełko czekoladek. Zjadł jedną, podczas gdy telefonistka łączyła go z numerem Antonii.

- Można wiedzieć, kto mówi? - zapytał Drum.

- Pan Foreman.

Antonia przyrzekła, że zjawi się za pół godziny.

Wyjął z wazonu jedną żółtą różę na długiej łodyżce i wyszedł na zewnątrz. Chodził po ulicy tam i z powrotem, czując na twarzy świeży powiew nocnego chłodu i przyjemne drżenie mięśni ud.

Rozwiódę się, pomyślał.

Zatrzymał się i spojrzął na różę, zadziwiony prostotą tej nagłej decyzji. Wydawało mu się, że wpadł na ten pomysł przed chwilą, ale tak naprawdę często myślał o rozwodzie, chociaż z poczucia lojalności do Maud i miłości do Carylla nie rozważał szczegółów. Ta możliwość zapadła mu głęboko w podświadomość i od czterech lat nękała go, dręczyła i szarpała nerwy. Być może zostałaaby na zawsze ukryta w zakamarkach świadomości, gdyby tak spontanicznie nie ucieszył się widząc Antonię w dniu swego triumfu i gdyby Maud nie osaczyła go pytaniami, a potem tak stanowczo nie zaatakowała jego ukochanej. Tom znów zaczął krążyć po chodniku. Radośnie odmierzał kroki i już nie mógł się doczekać spotkania.

Rozwód...

Światła taksówki przebiły mrok Upper Swithin Place. Tom odliczył monety dla kierowcy, a potem skłonił się ceremonialnie i wręczył Antonii różę.

- Ukradłem ją z pustego mieszkania - wyznał. Antonia roześmiała się podekscytowana.

- Czy uda mi się kiedyś odkupić dawne winy?

- Często tutaj przychodzisz?

- Nazwiesz mnie głupią romantyczką. Tęsknię za tobą.

Weszli do mieszkania i Tom zamknął drzwi.

- Dlatego przyszedłaś na otwarcie?

Nagle znów była pełna lęku i zdenerwowania.

- To okropne z mojej strony, prawda? Tom, nie mogłam postąpić inaczej. Monty przysłał zaproszenie i właśnie pisałam do niego odmowną odpowiedź, kiedy wszedł Justin. Zobaczył list. Zdaje się, że marzył o tym, żeby zobaczyć fabrykę od środka. A Zoe strasznie chciała z bliska zobaczyć księcia Walii. Oboje nie zostawili mi żadnego wyboru.

- Głos jej drżał. - Więc poszłam tam, jako intruz, jako „ta druga”.

- Antonio, właśnie ty byłeś tam najbardziej na miejscu. Pamiętasz kwadrycykl?

Zniknęły gdzieś żalose linie między delikatnie zarysowanymi brwiami.

- Też o nim myślałam. Od tej małej, dziwacznej maszyny doszedłeś do wielkiej fabryki!

- Więc zrobiłem na tobie wrażenie?

- Ściąłeś mnie z nóg! - odparła. - A co z balem u Monty'ego?

Schylił się i przyłożył zapałkę do gazowego paleniska kominka.

- Obędzie się beze mnie.

- Nie może cię tam zabraknąć!

- Usiądź.

- Chodzi o Maud? Coś podejrzewa? Tak bardzo się starałam zachowywać naturalnie, ale...

- Usiądź - powtórzył i zczekał, aż usadowi się na kanapie. - Antonio, czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że wpędziliśmy się w idiotyczną sytuację? Fałszywe nazwiska, tajemnicze telefony, udawanie, że prawie się nie znamy, sekretne spotkania w tym mieszkaniu. Na miłość boską, nie jesteśmy agentami wywiadu!

- Tak właśnie wygląda ukradkowy romans.

- Od kiedy to, co jest między nami, to zwykły romans?

- Przygoda miłosna. - Bawiła się zameczkiem od torebki. - Jak inaczej mógłbyś to nazwać?

- Zamierzam się rozwieść.

Jej ręka podskoczyła do gardła.

- Nie!

- To jedyne wyjście.

- Maud pomogła ci rozwinąć skrzydła. I co będzie z Caryllem?

- Maud nie jest małoduszna ani złośliwa, pozwoli mi się z nim widywać.

- Widziałam was obu razem. Twarz ci się ożywia. A on... kiedy patrzy na ciebie, to jakby spoglądał na słońce. Tom położył ramiona na gzymisie kominka i wsparł czoło na kostkach dłoni. Żar gazowych płomieni przebijał przez pasiaste spodnie. Westchnął długo i drżąco.

- Tylko dzięki niemu mam jeszcze siły. Ale ty, Antonio, jesteś dla mnie najważniejsza.

- Przestań! Wiesz, że to niemożliwe.

- Przynajmniej ci coś i słowa dotrzymam.

- Nie znasz Justina.

- Ma już czternaście lat. Już niedługo wyfrunie z domu i rozpocznie własne życie. A co z nami? - Tom urwał nagle. Przed oczami stanął mu nędzny pokój i młoda, pobladła Antonia, która kładła miłość do niego i miłość do rodziny na dwie szale wagi. Jej waga zawsze przechylała się na stronę słabszego i bardziej potrzebującego. - Nie popełnię drugi raz tego samego błędu - stwierdził. - Nie będę cię namawiał. Jeśli chcesz, nadal będziemy się spotykać tak jak teraz, ale...

- W takim razie, dlaczego mówiłeś o rozwodzie? - przerwała mu. - Maud wszystkiego się domyśliła, tak? To jej pomysł?

Tom potrząsnął głową.

- Nie. I żadne z nas nic nie powiedziało, że ciebie i mnie coś łączy, ale ona wie, wie. Zasypała mnie dzisiaj pytaniami. Chryste! Ona się męczyła, ja się męczyłem, i tylko tyle osiągnęliśmy. Tak bardzo było mi jej żal, że omal się nie rozplakałem. - Odwrócił się i spojrzał na Antonię pełnymi bólu oczami. - Nie mogę dłużej trzymać cię na marginesie mojego życia.

Ona była równie boleśnie rozdarta między dwoma uczuciami.

- Kochanie, posiwiłeś - powiedziała ochrypłym głosem, który słyszał u niej tylko w łóżku. - Nie było mnie przy tobie, kiedy siwiłeś.

- Od tamtego popołudnia w hotelu Hyde Park nie spojrzałem na inną kobietę - rzekł cicho. - Inne kobiety dla mnie nie istnieją.

Zbliżyła się do niego o krok. Zapomnieli o swoich problemach i zdrowym rozsądku. Nie byli ze sobą od ponad czterech miesięcy. Tom pragnął zaczerpnąć szczęścia i mi-

łości, pragnął Antonii. Ich ognisty pocałunek pachniał szampanem z przyjęcia w brytyjskiej fabryce Onyxa. Nie odrywając się od siebie opadli na kanapę i zaczęli zrywać ubranie. Kochali się w odwrotnej kolejności niż zwykle. Po raz pierwszy pośpiesznie i z zapamiętaniem, po raz drugi w łóżku, czule i leniwie, nie myśląc ani o przeszłości, ani o przyszłości. Antonia nic nie obiecała, ale już nie nalegała, jak zwykle, żeby wyjść z mieszkania przed północą. Tom wziął to za dobrą wróżbę.

VI

„Daily Telegraph”, środa, 3 czerwca 1914

Otwarcie fabryki

Wczoraj po południu księżę Walii uroczyście przeciął wstęgę podczas ceremonii otwarcia brytyjskiej fabryki Onyxa w Southwark. Wśród zgromadzonych gości byli obecni:

Księżę i księżna Battenburg, markiz Whitfield, księżna wdowa Dowling, lord i lady Allingham, lord i lady Comstock, lord Considine, sir John i lady Fielding oraz sir Henry Royce.

Każdy, kto widział brytyjską filię Onyxa, wie, że jest to najnowocześniejsza fabryka na świecie, napawająca nas wszystkich narodową dumą. Nie zaniedbano niczego, żeby produkować samochody osobowe i ciężarowe jak najwydajniej i najszybciej. Widać to po wyposażeniu fabryki: nie kończących się taśmach montażowych, ruchomych dźwigach i różnorodnych, specjalnie zaprojektowanych maszynach. Chwalebnym celem fabryki jest zaspokojenie wymagań przeciętnego człowieka za cenę osiągalną dla wielu Anglików. Panu Edge'owi i panu Bridgerowi należy pogratulować śmiałego przedsięwzięcia.

Maud stała w oknie salonu hotelowego apartamentu i czytała gazetę. Miała na sobie kostium podróżny w brązową kratę. Luźny krój zakietu sprawiał, że jej krągła, pulchna sylwetka wyglądała jak gruby pień drzewa. Szeroka twarz straciła świeży rumieniec i Maud wyglądała mizernie. Tej nocy nie spała. Wieczorem zatelefonowała do Monty'ego i bez żadnych tłumaczeń uprzedziła, że nie będzie jej na przyjęciu. (Chociaż Bridgerowie mieli być honorowymi gośćmi, Monty o nic nie pytał, ponieważ już przywykł do ekscentrycznych zachowań

Toma i bezceremonialności Maud.) Nie jedząc kolacji położyła się do łóżka. Nieobecność Toma potraktowała jak wypowiedzenie wojny. Kiedy przystępuje się do walki - obojętne, czy dotyczy to państwa czy człowieka - zapomina się o wygodach dotychczasowego życia. Trzeba zmobilizować spartańską siłę i wszystkie zasoby. Maud koiła swój ból układając plan bitwy. Zauważyła, że Edwina, Yssy i Melisan-da zatrzymały przy sobie współmałżonków dzięki temu, że ignorowały mężowskie wypadki poza nudne i twarde małżeńskie łoże.

Doszła do wniosku, że jedyny sposób, by zatrzymać Toma, to zachowywać się tak, jakby ta jego dziwka nie istniała. Czy potrafi to zrobić? Musi. Ukryła twarz w poduszce, żeby w przyległych pokojach syn i ojciec nie słyszeli jej rozdzierającego łkania.

O piątej trzydzieści, kiedy Tom chodził na palcach po garderobie, a potem położył się do drugiego łóżka, udawała, że śpi.

- Mamo.

Podniosła wzrok znad artykułu.

- Słucham?

Caryll siedział przy stole zaśmieconym gazetami, z których wycinał fragmenty. Jego raglanowa kurtka wisiała na oparciu krzesła.

- Może powinniśmy obudzić tatę?

- Pytasz mnie o to już setny raz.

- Ale mieliśmy wyjechać o dziewiątej, a już minęła dziesiąta. Tata nigdy nie śpi tak długo.

- Ma prawo wypocząć po wczorajszych emocjach. - Położyła przed nim „Daily Telegraph”. - Masz tu jeszcze jeden wycinek do swojego albumu.

Otworzyły się drzwi do sypialni. Tom wszedł do salonu przeciągając się. Miał na sobie za krótki szlafrok kąpielowy, który odsłaniał pokryte ciemnymi włosami łydki.

- Chyba zasnęłam - powiedział ziewając. Caryll zerwał się na nogi.

- Od paru godzin jesteśmy gotowi. Dziadek już czeka na dole.

- Wypadło mi coś ważnego, Caryllu. Nie mogę dzisiaj wyjechać - wymamrotał Tom. Nie mieli w planach powrotu do Londynu, a Tom nie chciał wyjeżdżać nie widząc się jeszcze raz z Antonią.

Okrągłe policzki Carylla drżały z rozczarowania.

- To znaczy, że wycieczka jest odwołana?

- Chyba żartujesz. Wyjedziemy za kilka dni.

- Ale to nam zmieni całą trasę. Tak starannie wyszukaliśmy miejsca, gdzie można kupić benzynę. - Chłopiec wziął mapę Anglii, na której małymi żółtymi flagami zaznaczył punkty, gdzie sprzedawano dwugalonowe beczułki benzyny BP. - Zobacz, tato. Znalazłem jeszcze jeden sklep w Kornwalii, niedaleko St. Just.

- Caryllu - wtrąciła Maud. - Daj ojcu spokój. Co to za zachowanie? A poza tym, nie widzę problemu. My troje wyruszymy jeszcze dzisiaj.

Tom spojrział na nią czujnie, zaskoczony tak niespodziewaną pomocą. Przecież Maud z pewnością domyśla się, dlaczego chce opóźnić wyjazd. Żona unikała jego wzroku.

- Tak będzie najlepiej - potwierdził. - Później do was dołączę.

- Dziadek nie potrafi nawet zmienić koła. - Chłopiec westchnął.

- Wynajęcie szofera nie jest tu drogie - oznajmiła Maud. - Hotel to dla nas załatwi.

- Tato, dlaczego pan Edge nie może się zająć tą sprawą?

- Caryll, co się z tobą dzieje? - upomniała go matka. Tom odwrócił twarz od patrzących z rozczarowaniem szarych oczu syna.

- Spotkamy się w Truro.

VII

Kiedy Tom przyjechał do gospody w Truro, Caryll cierpiał na ból żołądka połączony z wysoką temperaturą. Maud poleciła wstawić dodatkowe łóżko do pokoju chłopca i cały czas czuwała przy dziecku.

Tom zapłacił szoferowi, który pociągiem miał pokonać długą powrotną drogę do Londynu. Oboje Trelinackowie urodzili się w tej okolicy, więc Tom woził teścia od chaty do chaty, w których staruszkowie o twarzach tak okrągłych i pomarszczonych jak zeszłoroczne jabłka wspominali dawne dni. W ciepłym deszczu siedział na podwyższeniu obok Trelinacka i patrzył, jak teść roni łzy równie rzęsiste, jak deszcz, kiedy kładziono kamień węgielny pod budowę szpitala imienia Margaret Trelinack.

Caryll wyzdrowiał. Cała czwórka bez pośpiechu zwiedzała plaże, jaskinie pirackie, stare wioski z kamiennymi domami i otoczone klifami ruiny zamku Tintagel.

- Jestem Artur Pendragon! - krzyczał Caryll wśród zawodzenia wiatru.

Tom nigdy nie miał szansy porozmawiać sam na sam z Maud. Każdej nocy, gdziekolwiek ją spędzali, wcześniej kładła się spać i dzieliła pokój z synem.

- Z tymi kłopotami żołądkowymi nigdy nic nie wiadomo - mawiała. Tom nie wiedział, jak skłonić ją do rozmowy o rozwodzie. Miał wrażenie, że nie sprostał wymaganiom, jakie postawiło przed nim życie, i wyrzucał sobie okrucieństwo. Zrozumiał z przerażeniem, że zniszczył szczery i otwarty charakter żony. Czasami jej nienawidził. Bywały jednak chwile, kiedy z trudem się powstrzymywał, żeby nie wziąć jej w ramiona i nie utulić swojej silnej, wytrwałej żony i przyjaciółki. Nigdy jednak nie opuszczała go świadomość, że on i Antonia to jedno ciało i jedna dusza. Bez niej nie czuł się dopełniony i nie mógł dłużej pozostawać mężem innej kobiety.

Dwudziestego drugiego czerwca weszli na pokład *Jerzego Waszyngtona* i odkryli, że ich luksusowa kabina pęka w szwach od bukietów kwiatów i koszy owoców, przysłanych przez dyrektorów brytyjskiego Onyxa i tych nielicznych szczęściarzy, których Hugh zatrudnił jako handlowców.

Tom, czując pulsowanie w skroniach, przekręcił klucz w zamku.

- Co ci strzeliło do głowy, żeby zamykać drzwi na klucz? -zapytała Maud.

- Próbuję z tobą porozmawiać od czasu, kiedy przyjechałem z Londynu.

- Tom, jesteśmy ci wdzięczni za te cudowne wakacje -powiedziała z miłym uśmiechem. - Wspaniale odnosiłeś się do taty. I spójrz tylko na Carylla. Brązowy jak czekoladka. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby był taki szczęśliwy.

-Wyprasowana suknia koktajlowa leżała na jej łóżku. Maud podniosła ją.

Tom odebrał jej strój z brązowego jedwabiu i odłożył z powrotem na miejsce.

- Skarbie - zaczął. Chciał, żeby zabrzmiało to łagodnie, ale sam słyszał w swoim głosie szorstkość. - O nic nie mam

do ciebie pretensji. Nikt tu nie zawinił. Ale prawda wygląda tak, że od wielu lat nie jesteśmy sobie bliscy.

- Jesteś moim najlepszym przyjacielem - odparowała. - Jeśli zależy ci na łóżku, to zawsze chętnie spełniam twoje życzenia.

Silniki zadudniły, rozległo się żalosne buczenie syreny przeciwmgielnej.

- Po rozwodzie nadal pozostanę twoim przyjacielem -zapewnił Tom.

- Rozwód? - Maud drgnęła mimowolnie i zaczęła ramieniem o wielki kosz z owocami. Cicho krzyknęła i w ostatniej chwili uchroniła ozdobną kompozycję przed upadkiem. - Co za marnotrawstwo! - zawołała. - Kto potrzebuje zapasów jedzenia na statku? I tak opłaciliśmy tu wiele więcej, niż damy radę zjeść!

- Po prostu niewiele nas już łączy. - Tom zapadł w milczenie i myślał o Caryllu, uwielbianym przez nich oboje synu, który właśnie przebierał się do obiadu w kabinie po przeciwnej stronie korytarza. - Nie chcę sprawiać ci bólu -rzekł łagodnie. - Ale przecież wiesz, że jest ktoś inny.

- Nie obchodzi mnie, jak często wsadzasz tej czarnej, rozpalonej suce! Ja nie dam ci odejść! - wrzasnęła wysokim, piskliwym głosem. Z przerażeniem na twarzy chwyciła się ręką za gardło. Strategia Maud, żeby niczego nie dać po sobie poznać, o nic nie pytać, wyszła na jaw nie tylko przez jej wrodzoną szczerłość, ale również ukłucie zazdrości, miłość i inne nieuchwytnie emocje. Wybiegła do łazienki.

Syreny zawyły. Tom spojrział na czarne smużki dymu przepływające za świetlikami. Uświadomił sobie, jak bardzo zmienił konstrukcję psychiczną żony. Równie dobrze mógł utopić dawną Maud w tym wzburzonym morzu.

Po pięciu minutach wróciła. Twarz miała zaczerwienioną, a na ciemnej bluzce mokre plamy.

- Nie będzie żadnego rozwodu - oznajmiła. - Jesteśmy rodziną: ty, ja i Caryll. I tak ma zostać.

- Na miłość boską, Maud! Poprawiła okulary na nosie.

- Onyx jest wart fortunę i z każdym dniem zyskuje na wartości. Myślisz, że dam to sobie odebrać?

Tomowi żołądek podjechał do gardła i zrobiło mu się mdło. Poczł obrzydzenie nie do Maud, ale do siebie, za to, że ożenił się i żył z kobietą, która wszystkie sprawy, nawet

Ich cierpienia, potrafiła sprowadzić do materialnego poziomu.

- Dostaniesz, co tylko zechcesz. Czy nie możemy tak tego załatwić, żebyśmy pod koniec się nie znienawidzili?

Wzięła suknię z łóżka i zatrzymała się w drzwiach długiej, wąskiej garderoby.

- Ja nie dałam ci żadnych powodów do rozwodu i ty również nie. Żadnych.

- Kocham ją.

- Kocham! - Maud powtórzyła to słowo, jakby pochodziło z jakiegoś wymarłego, niezrozumiałego języka. - W stanie Michigan małżeństwo można rozwiązać z powodu zdrady, porzucenia rodziny, przestępstwa, alkoholizmu.

Również, Jeśli sędzia tak zadecyduje, z powodu okrucieństwa lub zaniedbywania współmałżonka.

- Widzę, że dobrze się przygotowałaś - stwierdził z goryczą.

- Jeśli będziesz się tarzał na moim łóżku z tą zdziwą, nie uznam tego za zdradę, jeśli będziecie spacerować nago tuż pod moim nosem, ja nie nazwę tego okrucieństwem. Jeśli uciekniesz do Anglii, żeby z nią być, ja nie powiem, że to porzucenie rodziny.

- Michigan to nie cały świat.

- Jedź, gdzie chcesz. Ale ja jestem twoją żoną, mam swoje prawa. Podział majątku, takiego jak nasz, może trwać 1 dwadzieścia lat.

- Chryste! Ile ty chcesz dostać?

Zatrzymam wszystko. I ciebie też - oznajmiła Maud. Jej głos znowu brzmiał cienko i piskliwie. Zatrzasnęła za sobą drzwi garderoby.

VIII

Na dwa dni przed zawinięciem do Nowego Jorku, dwudziestego ósmego czerwca, jeden z oficerów na statku *Jerzy Waszyngton* wywiesił na tablicy obwiedziony czarną ramką biuletyn specjalny. Arcyksiążę Franciszek Ferdynand, następca tronu Austro-Węgier, został zamordowany razem z żoną w Sarajewie przez serbskiego studenta, Gavrila Principa.

Strzały wymierzone w arcyksięcia odbiły się echem w całej Europie pogrążonej w letargicznym pokoju, brodzącej przez spokojne dekady, niewiele różniące się od siebie. To

podwójne zabójstwo tchnęło energię w panów w cylindrach i hełmach ozdobionych piórami, którzy zaczęli krążyć między ministerstwami, wysuwać żądania, zawierać przymierza, grozić, negocjować, stawiać ultimatum. Jeden po drugim, jak fragmenty kolorowej układanki, poszczególne kraje włączały się do gry.

Czwartego września 1914 roku, kiedy Anglia wypowiedziała wojnę, w jej armii nie było żadnego zmotoryzowanego pojazdu - ani samochodu dla generała, ani motocykla, ani ambulansu czy dostawczej ciężarówki. W całym kraju tylko brytyjska fabryka Onyxa mogła produkować samochody na skalę masową. Wkrótce Piątki w kolorze khaki zaczęły wyjeżdżać na plac nad brzegiem Tamizy, gdzie czekali na nie pośpiesznie przeszkoleni w ich obsłudze żołnierze. Uszkodzone części samochodów można było wymienić, więc maszyny te miały dla generałów większą wartość niż siedzący za kierownicą ludzie. Całe pokolenie uczyło się, że wojna to nie kolorowe szarże kawalerii, ale mężczyźni siedzący miesiącami w błotnistych okopach, zależni od pojazdów o zielonkawych barwach.

Tom nigdy nie rozumiał wojny i ten rozlew krwi napawał go odrazą. Kiedy przestał myśleć o osobistych kłopotach, z przerażeniem zdał sobie sprawę, że fabryka w Southwark, tak starannie zaplanowana i wzniesiona po to, żeby walczyć z nieprzejednanym wrogiem - odległością - stała się zakładem zbrojeniowym.

Piana kołysała się na powierzchni szarawej wody w wyszczerbionej, emaliowanej misce, kiedy Antonia płukała brzytwę.

- Bardzo pani dziękuję - odezwał się szeregowiec Mayberry, który potrzebował golenia zaledwie raz na tydzień.
- Mam dobre wiadomości. - Rzuciwszy badawcze spojrzenie na sąsiednie łóżko, przy którym siostra o ostrych rysach twarzy zmieniała choremu opatrunek, Antonia wyszeptła: - Prince Regent wygrał.

Wychudła, dziecięca twarz szeregowca rozjaśniła się.

- Ile za niego płacili?

- Pięć do jednego. - Ukradkiem sięgnęła do kieszeni pasiastego fartucha ochotniczki i wyjęła sześciopensówkę i dwa wymięte szylingi.

- Chciałbym przesłać matce czekoladki do Leeds. Czy mogłaby pani pójść do cukierni?

- Zrobię to z przyjemnością. Sama przepadam za słodyczami. - Antonia uśmiechnęła się. - Słyszałam, że Blue Charley ma duże szanse. Już na niego postawiłam. Chciałbyś się przyłączyć? - Wsunęła pieniądze z powrotem do kieszeni.

Cichy brzęk monet zwrócił uwagę siostry. Czerwona twarz, otoczona sztywno nakrochmalonym białym welonem zakonnym i wysokim kołnierzykiem, zwróciła się ku nim z uwagą. W zeszłym tygodniu zbesztła Antonię za postawienie zakładu dla szeregowca Mayberry'ego. Regulamin szpitala zabraniał gier hazardowych. Antonia schyliła się i szepcząc czesała jasne włosy młodego żołnierza.

Kiedy wyszła z oddziału, jej ożywienie zniknęło. Twarz poszarzała, a delikatny, garbaty nos zaczerwienił się.

- Pani Hutchinson! - zawołała zakonnica, śpiesząc za nią lodowatym, słabo oświetlonym korytarzem.

Antonia westchnęła.

- Słucham?

- Już z panią rozmawiałam na temat tego pacjenta z podwójną amputacją. Słyszałam, że znowu szeptaliście o wyścigach psów.

- Podobno jestem tu po to, żeby podnosić chorych na duchu.

- To jest szpital wojskowy. Personel i ochotnicy muszą stosować się do przepisów.

- Wiem, ale... Czy siostra pamięta, jak wyglądał szeregowiec Mayberry, kiedy go tu przywieźli? Leżał patrząc w ścianę i chciał tylko umrzeć. Wie siostra lepiej niż ja, że jeśli pacjent tak sobie postanowi, to mu się zwykle udaje. To dla niego tylko drobna przyjemność, która pomaga mu myśleć o przyszłości. Dopóki nie poczuje się lepiej, dajmy mu coś, co sprawi mu radość.

- Nie ja układam przepisy.

- Ale on ma dopiero siedemnaście lat! Stracił prawe ramię i prawą nogę.

- Znam swoich pacjentów, pani Hutchinson. - Głos zakonnicy był chłodny i bezosobowy. - Odpowiadam za ten oddział. Nie mogę pozwolić na łamanie regulaminu. Zwrócę się z prośbą do siostry przełożonej, żeby przeniesiono panią na inny oddział. - Odwróciła się i odeszła szeleszcząc habitem.

Bliska łez Antonia ze złością popatrzyła na jej sztywne plecy i pokazała im język.

II

Wysiadła z autobusu numer 14 tuż przy sklepach w pobliżu Upper Swithin Place. Było już ciemno i we wszystkich oknach zaciągnięto żaluzje. Obowiązywało zaciemnienie. Od początku stycznia 1915 roku niemieckie zeppelin-y zrzuciły bomby na Londyn.

Najpierw weszła do biura bukmachera i postawiła zakład dla szeregowca Mayberry'ego. Nieważne, co powie ta siostra miłosierdzia *sans merci!* Potem zatrzymała się na dłużej w cukierni Jenkinsa. Wyszła z pięcioletnim pudłem czekoladek, które zajmowało honorowe miejsce na kontuarze i kosztowało dziewiętnaście szylingów i jednaście pensów. Szybko minęła ciemny róg ulicy i weszła w wąską alejkę.

Wewnątrz mieszkania przyklekła tuż za drzwiami, pod otworem, przez który wrzucano pocztę, i macając dłonią po podłodze sprawdziła, czy nie przyszedł jakiś list. Nic nie znalazła. Zrzuciła buty na niskich obcasach, uważnie zasłoniła okna grubymi czarnymi zasłonami i włączyła światło. Czekając, aż w czajniku zagotuje się woda, usiadła przy kominku i czytała stare listy od Toma. Znała je wszystkie na pamięć.

Kiedy Tom wynajął Irvinga Elliota, starszego wspólnika w firmie adwokackiej specjalizującej się w sprawach rozwodowych, doznała niezmiernej ulgi. Decyzja nie należała już do niej, więc niech tak będzie. Nie mogła ani opóźnić, ani zmienić biegu wypadków. Szansa na małżeństwo stawała się coraz realniejsza. Czasami zdawało jej się, że stoi na dziobie statku i przez lunetę usiłuje zobaczyć swoje przyszłe życie. Czy ten szalony związek z Tomem, pełen namiętności i obsesyjnych wyrzutów sumienia, zmieni się w głęboką, bezpieczną miłość, kiedy już zostanie uświęcony przysięgą małżeńską? Miała taką nadzieję. Często zdawało jej się, że ciało poniżej piersi rozrywa siła tego nieokiełznanego uczucia, jakie żywiła do Toma. Skierowała wzrok na list. „Wracaj do Ameryki. Przecież to, że zamieszkamy na jednym kontynencie nie zdradzi nas. Tutaj będzie bezpieczniej dla ciebie i dla dzieci.” Nierówne pismo podskakiwało, nakreślone niecierpliwą, władczą ręką. Usta Antonii wygięły się czule i zmysłowo, jakby poczuła na sobie dotyk tej dłoni.

Zagwizdał czajnik. Schowała listy na miejsce, do blaszanego pudełka, i zaparzyła herbatę. Przyniosła tacę do wiklinowego stolika, na którym stał telefon. Wykręciła numer.

- Halo? Mama? - odezwał się Justin. W słuchawce jego głos brzmiał nisko, niemal po męsku. - Jest już trochę późno.
- Wiem. Mieliliśmy wszyscy dużo pracy. Rano przywieziono nowy transport rannych.
- Wojna się skończy, zanim będę wystarczająco dorosły, żeby się zaciągnąć.

Oby tak się stało, pomyślała i mocniej ścisnęła słuchawkę. Justin był zaledwie trzy lata młodszy od szeregowca Mayberry'ego.

- Czy ojcu by się podobało, że tak bardzo ci się śpieszy, żeby zastrzelić swojego Niemca? - zapytała. Dzięki ci Claude, że byłeś takim zaprzysięgłym pacyfistą.

- Tata nie chciał nawet polować - powiedział Justin łamiącym się głosem.

- Jak się miewa Zoe?

- Poszła na herbatę do Janey Smith-Tolliver. Mamo, pamiętasz, jak zeszłej wiosny przyjechali z Berlina kuzyni Rosburga? Wiele o nich myślałem. To byli całkiem porządni chłopcy. Ale teraz jest przecież wojna... A gdybym musiał strzelać do jednego z nich?

- Jadłeś podwieczorek?

- Jeszcze nie.

- To może porozmawiamy o tym przy kolacji?

- Dobrze! - Kiedy jadł z nią kolację sam na sam, rozkoszował się małym kieliszkiem wina, światłem świec i tym, że jest traktowany jak dorosły człowiek. - Powiem pani Drum, żeby coś przygotowała. (Ich kucharka prowadziła teraz kantinę w fabryce amunicji, gdzie pracowały również trzy dawne służące Antonii. Domem zajmowali się Drumowie i starszawa praczka. W dodatku Drum, chociaż miał sześćdziesiąt dwa lata, wciąż mówił, że chciałby zostać kierowcą ambulansu na froncie.)

Antonia odwiesiła słuchawkę. Usiadła z filiżanką herbaty na kanapie i rozmyślała o synu. Ta jego obsesja, żeby wszystko osądzać sprawiedliwie! Zastanawiał się i analizował każdy problem moralny. W kraju, gdzie nagle zakwitł powszechny szowinizm, wciąż starał się patrzeć na wszystko obiektywnie. Nie martw się, nie jest nudziarzem, pomyślała z uśmiechem. Kilka tygodni temu, podczas wakacji świątecznych, wraz z kilku kolegami został złapany, kiedy policja zrobiła nalot na jeden z tych music-halli, gdzie tancerki pokazują pulchne uda w czarnych pończochach, a w tym semestrze nauczyciel wychłostał go trzcinką za palenie papierosów. Szczerze mówiąc, te wykroczenia tylko rozczuliły Antonię. Dla niej było ważne, że Justin nigdy nie znęcał się nad słabszymi chłopcami i odnosił się z braterską życzliwością do nieznośnej siostry. Zgodził się też, żeby Cezar, ledwie dyszący ze starości i nie panujący nad funkcjami fizjologicznymi, spał w jego pokoju aż do naturalnego końca. Będzie z niego wspaniały mężczyzna, pomyślała i znów się uśmiechnęła. Od pierwszego wejrzenia znienawidzę wszystkie jego przyjaciółki. Kanapa zatrzęsała się.

Antonia krzyknęła, kiedy gorąca herbata wylała jej się na

kolana. Biedermeierowski zegar runął z kominka na ziemię, roztrzaskując się z hukiem o płytki podłogi.

Mieszkanie zadrżało, jakby ziemia, na której zbudowano Londyn, poruszyła się.

Antonia podeszła na miękkich nogach do okna, które nadał brzęczało.

- Światło - wymamrotała i szybko zgasila lampę. Pod bosą stopą wyczuła wibracje słabszej eksplozji.

W ciemnościach potknęła się o stół z telefonem. Taca z dzbankiem do herbaty spadła na dywan. Antonia przeskoczyła rozbite skorupy i odsłoniła okno.

W sąsiednim budynku ludzie stali w oświetlonych oknach. Wszędzie słyhać było okrzyki: - „Nalot zeppelinów!”

Przerażona spostrzegła, że w perspektywie wąskiej ścieżki widać bladą lunę pożaru. Otworzyła szerzej okno i wychyliła się. W górze snop światła z reflektora przesunął się na wschód i w jasnym promieniu dwie smukłe sylwetki zeppelinów, niczym drapieżne rekiny, napływały nad Hyde Park. W pobliżu Rutland Gate! Zoe poszła na Harley Street, do Janey Smith-Tolliver. Ale Justin był w domu!

- Justin! - krzyknęła, lecz z zaciśniętego przełyku wydobył się tylko zniekształcony dźwięk.

Włożyła buty i otuliła się grubą wełnianą peleryną. Zapomniała o kapeluszu, ale pamiętała o pudełku czekoladek. Zatrzasnęła drzwi i pobiegła wąską, cementową ścieżką.

III

Na ulicy płonął czteropiętrowy budynek. Dym i języki ognia wydobywały się z okien na niższych piętrach. Beładny tłum ludzi biegał wkoło, niektórzy rzucali się do wnętrza płonących mieszkań i sklepów, inni uciekali przed pożarem. Rozległ się głośny, natarczywy dźwięk dzwonka. Cofnęła się na ścieżkę, kiedy z hałasem przejechał konny wóz straży pożarnej, z uczepionymi boków pojazdu strażakami w mosiężnych kaskach. Ruszyła biegiem w kierunku domu. Przed nią niebo nasiąkało brązowym dymem. Następne pożary. Pędziła na złamanie karku, nie dając sobie odpoczynku przez ponad dwie mile. Na ulicach było mniej ludzi. Nagle niebo przeciął promień białego światła. Przez tę krótką chwilę zdołała zobaczyć, że najgęstsze kłęby dymu unoszą się z okolic Rutland Gate. Och, wy niemieckie świni,

pomyślała. Obrzydliwe świnie! Ciężko dysząc, mocno przyciskając ciężkie, nieporęczne pudło do rozszalałego serca, odruchowo zaczęła się modlić. Boże, pozwól Justinowi przeżyć. Spraw, żeby nic mu się nie stało. Błagam... Boże... Justin...

Skreśliła w brukowaną alejkę prowadzącą na Brompton Road. Był to jeden z uroczych zakątków Londynu, który w niemal nie zmienionej wiejskiej formie zachował się od czasów królowej Anny. Brunatne błyski rzucane przez pożary oświetlały sylwetki wiekowych domków. Czy jej się wydawało, czy rzeczywiście widoczny stąd dym nie wyglądał tak złowroźnie? Może jednak nie unosi się znad Rutland Gate? Boże, błagam. Nie była niczego pewna. Podniosła spódnicę wyżej kostek i na oślep biegła po nierównym bruku. Pot spływał strużkami po czole i niemal ją oślepiał. Szpilki wypadły z włosów i wilgotne kosmyki uderzały o policzki, przylepiając się do obnażonych zębów. Krew huczała w uszach.

Kierowca jechał bez zapalonych świateł, co w tej sytuacji było naturalne. Zauważyła samochód dopiero wtedy, gdy poczuła nagle uderzenie w plecy.

Usta Antonii otworzyły się do pełnego zaskoczenia jęku. Pudło wypadło jej z rąk, czekoladki rozsypały się wokół, a ona uderzyła ciałem o ścianę. Siła, z jaką została rzucona na mur, ogłuszyła ją.

Upadła bezwładnie na ziemię, jak lalka spadająca z wysokiego okna.

Uderzyła głową o kamienie starego bruku. Cały świat eksplodował w nie kończącym się wybuchu. Pod powiekami rozbłysły świetliste punkty i tańczyły jak oszalałe.

Kierowca zahamował. Rozbłysły reflektory samochodu.

To nie Onyx, pomyślała i weszła w ciemność.

IV

Po znajomej woni chloru odgadła, że jest w szpitalu, ale inne zmysły nie działały sprawnie, jakby jakaś kleista zapora oddzielała świat zewnętrzny od bólu rozdzierającego jej głowę.

Zamajaczyły niekształtne cienie. Ochryple szepty przechodziły przez małe chrząstki jej uszu i boleśnie uderzały o mózg.

- Odzyskuje przytomność.

- Pani Hutchinson - odezwał się poważny męski głos. -Pani Hutchinson. Słyszysz mnie pani?

Jak mógł oczekiwać odpowiedzi, kiedy spalała się w ogniu cierpienia?

- Mamo?

To Justin, pomyślała. Nic mu się nie stało. Złudny chłód przyniósł jej krótką ulgę.

- Mamusiu?

Coś uderzyło ją w szczękę. Spotęgowany ból rozdarł ciało. Usłyszała cichy jęk.

- Zoe! Nie wolno jej dotykać. Niech wie, że ty i Justin tu jesteście, i to wszystko. Proszę, stań obok mnie.

Antonia usiłowała się uśmiechnąć pocieszająco do poruszających się cieni, które zapewne były jej dziećmi, ale okazało się to zbyt wielkim wysiłkiem.

Zamknęła oczy.

Na płaskiej, bezkształtnej mrocznej równinie, ciągnącej się bez końca aż po horyzont, zobaczyła Claude'a, Artura, stryja i ojca. Stali nieruchomo, oddzieleni od siebie niezmierną odległością. Dziwne, przytłumione światło, które na nich padało, sprawiało, że wydawali się jeszcze bardziej samotni w tej chłodnej pustce. Ojciec utkwiał w niej nie widzący wzrok. Stryj, którego starannie przystrzyżona broda układała się dziwnie wokół zmienionej przez raka twarzy, patrzył na nią błagalnie. Claude uniósł ładnie zarysowany podbródek i dawał jej znaki ręką. I Artur, krągły, złotowłosego chłopczyk w pasiastej, flanelowej koszulce nocnej, popatrzył na nią skruszony i zawstydzony, jak wtedy, gdy przychodził jej wyznać, że zmoczył łóżeczko. Artur, nie tak samodzielny jak Justin ani władczy jak Zoe, ale zwykle słodkie, pulchne dziecko, które prosiło, żeby wzięła je na kolana i śpiewała kołysanki.

Dlaczego tu przyszli, zastanawiała się, płonąć w ognistym kręgu cierpienia. Dlaczego nie pocieszają się nawzajem?

Dlaczego przychodzą do mnie?

Mamo - głos Justina przebił się przez szum. Ile czasu minęło? Nie potrafiła ocenić. W głowie czuła rozdzierający ból, ale tym razem mogła odpowiedzieć przemawiającemu do niej cieniowi.

- Ju...

- To ja - odparł z radością. - Widzi pan, doktorze Smith-Tolliver, poznała mnie.

Poważny męski głos przyznał mu rację. Pochyliła się nad nią inna sylwetka, trochę niższa.

- Mamusiu, widzisz mnie? Widzisz? To ja, Zoe.

- Zzz...

- Mnie też poznała!

- Mamo, jesteś przytomna. To bardzo dobry znak. Wkrótce wyzdrowiejesz. - Palce syna objęły jej bezwładną dłoń.

Jaki stanowczy uścisk ma jej syn, który niedługo stanie się mężczyzną.

Dotyk ciepłej, mocnej ręki przywiódł jej na myśl Toma. Wydało jej się, że jest obok niej, w tej sali. Kochanie, pomyślała, tak strasznie cierpię. Obejmij mnie, to przestanie boleć.

Zamknęła oczy. Z niesamowitej, mrocznej równiny ojciec, stryj, mąż i mały synek spoglądali na nią smutno, błagalnie.

- Mamo?

- Mamusiu?

Spojrzała w górę i zbierając wszystkie siły wydobyła z mgły zarysy zniekształconych cieni. Nie ma tu Toma, pomyślała. Przez jej twarz przebiegł skurcz. Zamknęła oczy.

Sylwetki na ponurej równinie nadal stały z dala od siebie i Antonia zrozumiała, że była dla nich jedynym punktem oparcia w śmiertelnym świecie. Nawet teraz nie zdawała sobie sprawy, że posiada rzadki dar kochania nawet tych, których inni pokochać nie potrafili. Pomyślała tylko: jacy oni dobrzy, to wspaniale, że mogę ich pocieszyć, ogrzać ich pocałunkiem. Co to będzie za radość, kiedy wywołam uśmiech na ich twarzach. W tej zimnej pustce są tacy samotni, smutni i opuszczeni.

Ostatni raz na tej ziemi Antonii Dalzell Hutchinson dane było dokonać wyboru. Jej usta się rozchyliły, zabandażowana pierś wydała ostatnie tchnienie. W przesyconym szpitalną wonią powietrzu zawisł cichy jęk, a ona lekko i z gracją pobiegła w mrok, żeby pocieszyć samotne postacie swoich zmarłych.

I

ZESZŁEJ NOCY PANI HUTCHINSON ZGINEŁA PODCZAS NALOTU STOP ZAJĄŁEM SIĘ DZIEĆMI STOP
EDGE

Telegram z szelestem wysunął się z ręki Hugh i opadł cicho na biurowy dywan. Hugh pomyślał o łagodnym głosie, który prowadził go kiedyś przez czarną noc. Ukrył w dłoniach zniekształconą twarz kłowna. Łzy płynące z jego oczu nie były łzami żałoby, ale raczej ostatecznego pożegnania, niby capstrzyk odgrywany dniom młodości i szczęścia, którego dostępował jego brat, a on przeżywał je wraz z nim.

Tom...

Tom przeniósł się do hotelu Pontchartrain i chociaż nigdy nie wspominał o rozwodzie (również Maud, choć to dla niej niezwykle, unikała tego tematu) Hugh wiedział, co się dzieje. Przez ostatnie miesiące Toma ogarnęła pełna uniesienia wena twórcza, jak wtedy, gdy budował samochód wyścigowy dla Antonii. Zdawało się, że w powietrzu wibruje jego niecierpliwość, a szczęście biło od niego z niemal fizyczną siłą. Co się stanie z tą miłością? Gdzie znajdzie ujście? Czy jeśli zostanie Tomowi odebrana, to brat wykrwawi się na śmierć, tak samo jak matka podczas samobójczej nocnej wyprawy do stodoły?

Hugh wytarł nos. Boże, Boże. Ja muszę go o tym zawiadomić. Zaczerwienione oczy spoczęły na trzech telefonach. W ten sposób? Bezosobowy głos miał wymierzyć bratu śmiertelne uderzenie? Muszę pojechać do fabryki, pomyślał Hugh. Rozdrażnione nerwy klatki piersiowej odmówiły posłuszeństwa. Sięgnął do górnej szuflady biurka i wyjął nowy lek przeciw astmie. Wrzucił do ust żółtą pigułkę i połknął ją bez popijania wodą. Potem zadzwonił do sekretarza Toma i kazał mu sprowadzić szefa do biura.

Posłał po szofera i polecił zdziwionemu Kanadyjczykowi podstawić pod drzwi Packarda.

Dzień stanowił odpowiednią oprawę do zadania, jakie stało przed Hugh. Było zimno, na niebie kłębiły się sine chmury. W smutnym świetle dnia widać było pożółkłą trawę i nagie gałęzie drzew rosnących w małych osiedlach, które powstały na miejscu farm biegnących jak wstęga wzdłuż brzegów rzeki Detroit. W mieście wyrosły wysokie budynki. Pograżony w ponurych obawach Hugh nie zwracał uwagi na te zmiany. Gdy dojechali do niewielkich ceglanych domków i polskich sklepów w Ham-tramck, wciągnął gwałtownie powietrze, wychylił się z okna i patrzył na pięć bloków elektrowni Onyxa. Za betonowym murem w nieskończoność ciągnęły się budynki. Sam fizyczny ogrom tego miejsca oszałamiał! Duma przytłumiła żalobny strach Hugh. Poczł mrowienie w całym ciele. To wszystko powstało z niczego, i to w piętnaście lat! Osiągnięcie Toma. Po minucie namysłu zmienił to na „nasze osiągnięcie”. Druga zmiana pracowała pełną parą, ale przenośniki i dźwigi transportowały części z hali do hali, więc na szerokich ścieżkach między budynkami widać było niewielu robotników.

Była sobota, kierownictwo pracowało tylko przed południem. Wbiegając po szerokich, opustoszałych ceglanych schodach do bezludnego budynku administracji, Hugh dziękował w duchu Antonii za ten ostatni akt łaski - śmierć w odpowiednim dniu. Szybkim krokiem wszedł na piętro i chwilę błędził po korytarzach, aż stanął przed drzwiami, na szybie których wypisano: T.K. BRIDGER.

Studiował małe, bezpretensjonalne złote litery, aż napis zaczął mu falować przed oczami.

W pustym korytarzu zadudniły czyjeś kroki. Hugh wpadł do środka.

II

Jak zwykle w soboty, Caryll spędzał dzień w Hamtramck. Kiedy Tom otrzymał wiadomość, że Hugh wybiera się do jego biura, od razu wiedział, że stało się coś wyjątkowego, jeśli góra zdecydowała się przyjść do Mahometa. Zaraz odesłał chłopca, żeby obejrzał drewniane modele samochodów do produkcji w przyszłym roku.

(Wbrew powszechnej opinii, że Piątka przez lata pozostawała nie zmieniona, z roku na rok wprowadzano liczne ulepszenia.)

Hugh pośpiesznie zamknął drzwi. Sinawy odcień zdrowego policzka sprawił, że skorupa blizn na zeszpeconej stronie twarzy wydawała się jeszcze czerwiejsza. Stało się coś bardzo złego, pomyślał Tom nie odrywając wzroku od oblicza brata. Przyszły mu do głowy wszystkie możliwe katastrofy.

Hugh również patrzył mu w oczy, zdejmując kapelusz nieznośnie spowolnionymi ruchami.

- Hugh. W końcu złożyłeś mi wizytę.

- Tom. - Hugh opadł na fotel i przemówił łagodnym głosem, jak do kogoś śmiertelnie chorego: - Chodź, usiądź tutaj.

- Po co?

- Bardzo cię proszę.

Tom usiadł na dużym, obijanym skórą krześle konferencyjnym.

- Co się, u diabła, dzieje?

Hugh otworzył usta i zaraz je zamknął. Tom zauważył małe kropelki potu na ludzkiej połowie czoła brata.

- Ona nie żyje... - wymamrotał Hugh.

- Ona? - Przez jedną ulotną, okrutną chwilę Tom modlił się, żeby to była Maud.

Ale brat położył mu delikatnie dłoń na ramieniu.

- ...Antonia...

Tom strząsnął jego rękę i wstał. Z mikroskopijną dokładnością widział każde zgrubienie na zabliznionej skórze i szczątku ucha.

- Nie! - powiedział głośno. - Kłamiesz. Ty pieprzony łgarzu!

- Chciałbym," żeby tak było.

- Skąd miałbyś o tym wiedzieć?

- Od Monty'ego. Wie, że się przyjaźnimy. Zadepeszował. Nalot... to się stało w czasie nalotu.

Mózg odmawiał Tomowi posłuszeństwa. Antonia? Nie żyje?

- Ty parszywy sukinsynu! - krzyknął i uderzył brata w zdrowy policzek. Rozległ się suchy trzask. Hugh nawet nie drgnął. Tom patrzył, jak czerwony odcisk dłoni pojawia się na skórze. Bezwiedny niski dźwięk wydobywał się z głę-

bi jego piersi, jak pradawne, nie ludzkie wycie sprzed miliardów lat, wyrażające ostateczną, nieodwołalną prawdę. Nie żyje. Ona nie żyje. Zaczął dygotać.

Hugh zrobił to, czego nie był w stanie zrobić wiele lat temu, kiedy Tom utracił ją po raz pierwszy. Wziął brata w ramiona.

Stali tak przez kilka minut, ciepłem własnych ciał starając się zasłonić przed powiewem wiecznego chłodu. Tom, szlochając bez łez, wyswobodził się z uścisku.

- Dziękuję, że tu przyszedłeś... - powiedział w miarę wyraźnie. - Teraz już idź...

- Ale...

- Hugh. - To był szorstki rozkaz.

Hugh raz jeszcze spojrzał na brata, który podszedł do okna i wsparł się na parapecie. Drżące plecy rysowały się na tle ponurego nieba i olbrzymiej fabryki.

Caryll siedział w poczekalni i coś rysował. Kiedy zobaczył stryja, oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia.

- Stryju Hugh... C-co tutaj robisz? Hugh wciąż przeżywał cierpienie brata.

- Musiałem porozmawiać z twoim ojcem - wyjaśnił z krzywym, sztucznym uśmiechem.

Oczy Carylla zrobiły się jeszcze bardziej okrągłe. Chłopiec skulił się na krześle. Boi się mnie, pomyślał Hugh. Co za nieudany chłopak.

- Ojciec będzie teraz zajęty - oświadczył. - Chodź ze mną. Odwiozę cię.

W samochodzie siedzieli z dala od siebie. Wrażliwy Caryll wiedział, że czymś uraził stryja, ale nie potrafił przekroczyć dzielącego ich dystansu kilkudziesięciu cali eleganckiego obicia tylnych foteli samochodu i przeprosić go. Myśli Hugh wirowały wokół możliwości zastąpienia nie lubianego bratanka synem Antonii. Napływające zza oceanu listy umocniły pierwsze wrażenie i przekonały go do końca, że Justin jest silny, odważny i uczciwy. Miał nadzieję, że małżeństwo z Antonią otworzy Tomowi oczy na te zalety chłopca. Cóż, śmierć krzyżuje najstaranniejsze ułożone plany. Ze świstem wypuścił powietrze. Zastanawiał się nad bratem, który był jego całym życiem; przez chwilę myślał o wielkiej fabryce -imperium Toma.

Zdecydował, że musi pojechać do Anglii.

III

Dwa dni później, ukryty w apartamentach hotelu Hyde Park, podniósł słuchawkę telefonu już przy pierwszym dzwonku.

Usłyszał głos Monty'ego.

- Jesteśmy na dole.

- Dzieci?

- Są. Edwina też przyszła.

Hugh nigdy nie spotkał Edwiny Edge. Szybko wypił kieliszek sherry.

Edwina weszła pierwsza, majestatycznie brzydka w brudno zielonej, obszernej sukni. Patrząc na twarz amerykańskiego gościa rozdęła nozdrza.

Monty przedstawił żonę.

- Witamy znów w Londynie - oznajmił.

Zoe stała tuż przy bracie, kiedy oboje przywitali się cicho. Stroje, które wybrała dla nich Edwina, pasowały do sierociego stanu dzieci - grube, praktyczne ubrania, kilka rozmiarów za duże. W za długich, sięgających palców rękawach przypominały smutne poczwarki, które jeszcze nie przybrały ostatecznej postaci. Twarz Justina nie była już dziecinnie okrągła; kości policzków, szczęki i rzymskiego nosa zaczynały rysować się po męsku. Bardzo wyrósł i nie przyzwyczajony do nowego wzrostu poruszał się trochę niezdarnie. Okropne sieroce łachy nie zdołały ukryć urody Zoe. Wręcz odwrotnie, ich brzydota podkreślała cerę niczym płatki róży i ogniście rude włosy. Wielkie, ciemne oczy spoglądały na Hugh z takim błaganiem, że mogły złamać serce.

- Muszę przyznać, że zaskoczyłeś mnie decyzją o przyjeździe - odezwał się Monty.

- To było absolutnie zbędne - oświadczyła Edwina. - Wzięliśmy sprawy w swoje ręce. Najwyższy czas, żeby tych dwoje wysłać do szkoły.

Zoe zerknęła na Justina, który dla dodania otuchy siostrze otoczył ją ramieniem. Widząc to Hugh powiedział:

- Monty, pani Edge, jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałbym porozmawiać z dziećmi sam na sam.

- Doskonale rozumiemy - odparła Edwina ze swoim lodowatym uśmiechem. - Pójdziemy napić się kawy w barze na dole.

Kiedy tylko drzwi się zamknęły, zaciśnięte usta Justina rozluźniły się, a Zoe usiadła na kanapie obok Hugh.

- Szaleje ta okropna wojna. To z twojej strony bohaterstwo, że tu przyjechałeś - stwierdziła.

- Bzdura - orzekł Hugh, chociaż w pełni się z nią zgadzał. Nie tylko rzucał wyzwanie gniewowi Toma - dlaczego brat tak pochopnie nazwał jego pomoc w dobrej wierze brzydkim określeniem „mieszanie się w nie swoje sprawy”? - ale musiał przebyć ocean, chociaż w czasie wojny było to szczególnie niebezpieczne. Statek *Stephen Decatur* był wypełniony powracającymi ze Stanów brytyjskimi oficerami z intendentury i hałaśliwymi młodymi Amerykanami, którzy chcieli zaciągnąć się do wojska, więc musiał dzielić z sekretarzem niewielką kabinę na dolnym pokładzie. Nie opuścił jej ani na chwilę. Każda klaustrofobiczna mila żeglugi po wzburzonych wodach była skażona strachem, że jakiś nadgorliwy kapitan niemieckiego U-boota zignoruje amerykańskie flagi wymalowane na obu burtach.

- To pewnie zabrzmiało dziwnie w ustach dorosłego człowieka, ale oprócz rodziny wy jesteście moimi jedynymi przyjaciółmi.

- Uważamy cię niemal za krewnego - zapewnił Justin.

- Nie mamy prawdziwych - dodała Zoe.

- Nie potrafię wyrazić, jak mi przykro z powodu waszej matki. - Wypowiedziane niskim głosem wyrazy współczucia zabrzmiały szczerze. - To okrutna strata.

Justin gwałtownie zamrugał powiekami i przełknął ślinę.

- Mam wyjechać do Trackenham, w hrabstwie Kent, a Zoe jest zapisana do szkoły Lady's Court w Eastbourne.

- Nawet nie będziemy w tym samym mieście - powiedziała dziewczynka wysokim, drżącym głosem. - Justin zamieszka tysiące mil ode mnie.

- Czy pan Edge nic wam nie powiedział? - zapytał Hugh.

- Powiedział - odparł chłopiec. - Okazuje nam pan wyjątkową dobroć, chcąc nas zabrać do siebie, ale...

- W moim domu jest bardzo dużo miejsca.

- Pani Edge już rozmawiała z dyrektorem mojej szkoły, a jutro obie z Zoe pojedą pociągiem do Eastbourne, żeby obejrzeć szkołę.

- Ja tam umrę. - Bez żadnego wstępnego łkania dziewczynka zaczęła płakać. Odejście Antonii sprawiło, że zgasło dla niej słońce. Na myśl o tym, że rozdzieli ją z bratem,

teraz już jedynym człowiekiem, który darzył ją nie zasłużoną miłością, czuła się tak, jakby ktoś spychał ją w lodową otchłań.

Hugh podał jej chusteczkę nerwowym, niepewnym ruchem. Nie był przyzwyczajony do towarzystwa dzieci i nie wiedział, jak się zachować, ale kiedy Zoe uniosła ramiona, posadził ją sobie na kolanach. Zaskoczyło go, że jest taka lekka. Stwierdził też ze zdziwieniem, że czuje się związany z tą zapłakaną, śliczną sierotką, choć nie było to poczucie wspólnoty rodowej, jakie żywił do Justina. Poglaskał ją po miękkich, rudych włosach.

- Chciałabym... jechać do Ameryki - szlochała. - Tyle razy... mówiłam to Justinowi.

Brat usiadł na krześle obok. Kąciki ust mu zbieleły.

- Przynajmniej spróbuj mnie zrozumieć, Zoe. Wyjazd w takiej sytuacji byłby z mojej strony tchórzostwem.

- Ona mnie nienawidzi!

- Zachowuje się tak w stosunku do każdego. A pan Edge jest całkiem miły. Będziemy ją widywać tylko w czasie wakacji.

- Jeśli to ona wybrała szkołę, to na pewno jest tam strasznie! Będą mnie bili i głodzili...

- To nie są czasy Nicholasa Nickleby - przerwał jej Justin.

- Mama nie wysyłała nas do szkoły z internatem!

- Każdy tam w końcu trafia. Nawet się nie obejrzysz, jak będziesz miała tłumy przyjaciół. - Opuścił głowę i łamiącym się głosem dodał: - Zozo, to nie będzie w porządku, jeśli teraz wyjadę.

- Tak to widzisz? - zapytał Hugh. - Wydaje ci się, że wyjazd do Detroit to ucieczka?

Justin skinął głową.

- Tak.

- Nie możesz tak do tego podchodzić, szczególnie jeśli poświęcisz ten czas na przygotowanie się. Mamy doskonałą szkołę wojskową, prowadzoną przez absolwenta West Point, pułkownika Marshalla. Uczą tam musztry i tym podobnych. Syn mojego brata się tam uczy. Przyjmują też dziennych uczniów...

- Czy w Detroit jest też szkoła dla dziewcząt, Hugh? -przerwała Zoe pociągając nosem.

- I to kilka - odparł Hugh nie spuszczać wzroku z chłopca.

- Tutaj w kraju jest wiele do zrobienia - stwierdził Justin. - Niektórzy chłopcy ze starszych oddziałów pomagają uczyć młodszych. W ten sposób nauczyciele mogą zaciągnąć się do wojska. W Trackenham też wprowadzono ten system. - Spuścił oczy. - Mama została zabita, kiedy wracała ze szpitala. Była kobietą i Amerykanką, ale spełniała swój obowiązek. Pomyśl, jakie to dla mnie ważne, ważniejsze niż nauka w Detroit.

- Twój ojciec nie uznawał przemocy - rzekł spokojnie Hugh. - Pisałeś o tym w kilku listach. Wydaje mi się, że nie chciałby, żeby jego dzieci, szczególnie mała córeczka, były narażone na bombardowania.

- Ojciec nie zaakceptowałby tej wojny, tak samo jak ja - odparł Justin. - Ale rzeczywistość wygląda tak, że bierzemy w niej udział. Dopóki nie wygramy, moje miejsce jest tutaj. Masz jednak rację, jeśli chodzi o Zoe. Powinna z tobą pojechać.

Dziewczynka zsunęła się z kolan Hugh i chwyciła brata za ramię.

- Bez ciebie?

- Przestań się mazać, Zoe.

- Mamusia wolałaby, żebyśmy się nie rozdzielali!

- Będziesz razem z Hugh.

- Mamusia by sobie życzyła, żebyś się mną opiekował, i dobrze o tym wiesz! Wrócimy, jak tylko będziesz w odpowiednim wieku, żeby iść do wojska. Wtedy pani Edge nie będzie mi przeszkadzała... Nie... opuszczaj mnie... - Dramatycznie wyrzucała z siebie słowa między jednym a drugim łkaniem.

- Uspokój się, Zozo - wymamrotał Justin, zażenowany i przerażony.

- Jeśli mnie zostawisz... znienawidzę cię... na zawsze... Nigdy ci nie przebaczę...

Rzuciła się na ziemię, wierzgając nogami w niezgrabnych czarnych butach i bijąc pięściami w wielkie róże na axmin-sterskim dywanie. Hugh, wzburzony jej wybuchem, który jednak był mu na rękę, wycofał się do sypialni po nową chusteczkę, a Justin, widocznie nie pierwszy raz będąc świadkiem takiej sceny, ukląkł i chwycił ją za ramiona.

- Przestań - nakazał. Im bardziej rozpaczliwie powtarzał swoją prośbę, tym głośniejsze stawało się łkanie siostry. Jej piękna twarzyczka i szyja, na której wystąpiły węzły żyłek,

zaczerwieniły się. W końcu brat skapitulował, szantażowany |cj krzykiem. - *Pax* - westchnął. Mówisz poważnie? - wysapała.

- Pojedziemy do Ameryki.

- Oboje?

- Będziemy razem, dopóki nie skończę siedemnastu lat. Pozwoliła mu podnieść się z dywanu i usadzić na kanapie, gdzie histeryczny atak przeszedł jej zadziwiająco szybko, pozostawiając po sobie tylko lekką czkawkę.

- Więc mam załatwić dla was bilety? - zapytał Hugh, który już dawno zarezerwował trzy najlepsze kabiny na powrotną podróż *Stephenem Decaturem*.

Justin skinął głową i wytarł nos.

- Wybacz Zoe jej zachowanie, dobrze? Bardzo przeżyła śmierć matki. - Przełknął ślinę i mówił dalej łamiącym się głosem: - To bardzo przyzwoicie z twojej strony, że nas zabierasz. - Odwrócił się gwałtownie, ale Hugh zdążył dostrzec smutek i wielki wstyd w głęboko osadzonych, zaczerwienionych oczach.

Edwina Egde przyjęła nowinę chłodnym skinieniem głowy i oznajmiła, że wróci z dziećmi na Rutland Gate, gdzie Drumowie likwidowali dom i pakowali pudła, skrzynie i kufry. Drum wstąpił do Ochotniczej Brygady Zmotoryzowanej, a jego żona postanowiła wyjechać do Dorset, żeby pomóc bratu na farmie.

Monty został w apartamencie Hugh.

- Jest ważna sprawa, którą musimy przedyskutować - oświadczył.

Hugh zdążył już zmienić zdanie i zgodzić się z opinią Toma, że ich londyński dyrektor jest niezwykle uzdolniony, pracowity i godzien zaufania. Wygórowane ambicje Monty'ego już go nie irytowały, ale widział w nich łańcuch, który przykuwał go do Onyxa. Rozparł się wygodnie w fotelu.

- O co chodzi? Kontrakt wojskowy? - Armia podwoiła ostatnio zapotrzebowanie na Piątki.

- Potrzebują też większej ciężarówki, ze stutrzydziestocalowym rozstawem osi i czterdziestokonnym silnikiem.

Proponują nam umowę. Premier zwrócił się do mnie osobiście.

- Sam Asquith, co? To musi być ważna umowa.

- I to bardzo. Od wielu dni wysyłam depesze do Toma. Oczywiście nie możemy wykorzystać fabryki w Southwark,

bo od dawna pracuje pełną parą. Moim zdaniem powinniśmy zawrzeć subkontrakt i znaleźć odpowiednie miejsce na zbudowanie montażowni, takiej jak ten zakład Forda w Trafford Park. Wszystkie informacje wysłałem telegraficznie Tomowi, ale nie odpowiedział. - Monty wychylił się z fotela. - Zainwestował u nas olbrzymi kapitał. Czy obawia się, że Anglia zostanie pokonana? Wiem, że wielu Amerykanów opowiada się po stronie kajzera Wilusia.

Hugh opuścił Amerykę nazajutrz po wizycie w Ham-tramck, ale sekretarz codziennie do niego depeszował, więc wiedział, że Tom zamknął się w swoim apartamencie w Pontchartrain i nikogo nie przyjmuje.

- Brat nie najlepiej się czuje - wyjaśnił.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Zwykle przepracowanie. - Hugh spojrzął z namysłem na własne dłonie. Nie podzielał głębokiej awersji Toma do produkcji broni i zdawał sobie sprawę z finansowych korzyści z produkcji nowego samochodu ciężarowego. Poza tym był zaprzysiężonym anglofilem. - Będziemy wam przysyłać silniki z Detroit - oznajmił.

Z twarzy Monty'ego zniknął wyraz powątpiewania.

- Więc nas popierasz?

- W całej rozciągłości. - Hugh dał znak ręką, że nie oczekuje demonstracji patriotycznej wdzięczności. - Następnym razem, kiedy się zobaczymy, będę musiał się do ciebie zwracać „lordzie Edge”.

- Nie tak szybko.

Hugh nalał dwa kieliszki sherry.

- W takim razie wypijmy zdrowie sir Monty'ego.

- Kto wie? - roześmiał się Anglik i spełnił toast. - Jesteś zatwardziałym starym kawalerem. Myślisz, że dasz sobie radę z tymi dzieciakami?

- Ich rodzice byli moimi przyjaciółmi.

- Rzadko się zdarza tak urocza i piękna dama jak pani Hutchinson. - Monty uniósł z szacunkiem kieliszek. - Jednak dzieci to wielki kłopot.

IV

Tego popołudnia Hugh opuścił swoją kryjówkę w hotelu. Kiedy wyszedł na ulicę, zadrżał. Jednak tego wilgotnego, wietrznego dnia niewielu londyńczyków zwracało uwagę na

wysokiego, szczupłego mężczyznę, okutanego po czubek nosa szalikiem i z kapeluszem nasuniętym na lewe oko. Kiedy doszedł do szeregu wypalonych sklepów w South Kensington, oddychał spokojniej i był w stanie przyjrzeć się ruinom.

Starsza kobieta o bezkształtnej figurze zatrzymała się obok niego.

- Najazd Hunów - odezwała się. - Czworo zabitych. Świnie! Ci Niemcy to po prostu świnie! Hugh skrył się za rogiem.

Przeszukał brudne, wykładane kafelkami korytarze domu numer osiem przy Upper Swithin Place. Wspiął się aż na drugie piętro, zanim zdał sobie sprawę, że musi wyjść na zewnątrz i dostać się do mieszkania wąską ścieżką, po której hulał wiatr. Otworzył sobie drzwi do mieszkania C kluczem, którego zdobycie wiele go kosztowało.

Sprzątaczką, nic nie wiedząc o śmierci ukrywającej się pod pseudonimem pracodawczyni, nadal przychodziła dwa razy w tygodniu, więc we wnętrzu panował ład i jedynie szczątki rozbitego pozłocanego zegara leżały starannie ułożone na gazecie. Jednak Hugh miał wrażenie, że od ścian bije wilgocią charakterystyczną dla dawno opuszczonych domostw. Nie zdejmował płaszcza. Otworzył szafę i przejrzał męskie szlafroki i srebrzyste, zwiewne koszulki, pachnące kwiatowymi perfumami. Dokładnie przeszukał półki i szuflady. Już miał wychodzić, kiedy spostrzegł blaszane pudełko po cukierkach. Obrazek na przykrywcę, przedstawiający żołnierza w czerwonym mundurze, wydawał się nieco wytarty. Zdjął pudełko z półki.

W środku znalazł listy zaadresowane ręką brata do pani J. Foreman.

Zmarszczył brwi. Tom zawsze dyktował korespondencję, nie chcąc zdradzać swojej niepewnej ortografii i chwiejnego pisma.

Hugh nie przyszedł do mieszkania C podglądać ani szpiegować. Chciał spełnić braterski obowiązek. Wiedział, że Tom nie będzie w stanie sam tu wrócić i zawiadomić agencję, że lokal nie jest już potrzebny. Dlatego też podjął się usunięcia wszelkich śladów, które mogłyby zdradzić dawnych lokatorów, którzy obrali sobie to mieszkanie za miejsce schadzek.

Ułożył listy w kuchennym zlewie i potarł zapałkę. Trzymał ją w rękę tak długo, aż płomień zgasł. Usta miał mocno

zaciśnięte. Po minucie zaniósł listy do wyszorowanego sosnowego stołu.

Kiedy je czytał, oczy zaszczyły mu mgłą i musiał wycierać łzy. Ludzie widzieli w Tomie tajemniczą postać, kapryśnego geniusza, którego decyzje są trudniejsze do przewidzenia niż trzęsienie ziemi. Hugh spędził całe dotychczasowe życie jako cień i pomocnik brata i wydał niemałą fortunę, żeby zbadać jego życie osobiste, więc wydawało mu się, że rozumie wszystkie zawłości jego charakteru i zna najskrytsze tajemnice, przez co łatwiej było mu się pogodzić z rolą wiecznego aktora drugiego planu. Jednak kiedy zobaczył tęskne, pełne czułości i erotyzmu wyznania, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że brat ma jeszcze jedno, zupełnie odmienne oblicze. A może raczej je miał. Kiedy odeszła Antonia, zniknie również człowiek, który pisał te listy, pomyślał Hugh ponuro.

Wiedział, że powinien je spalić. Jednakże z dreszczem, jaki musi czuć hiena cmentarna, wcisnął cały pakiet do kieszeni płaszcza.

Powszechnie uważano, że szkoła oficerska w Detroit ma bardzo wysoki poziom nauczania, więc rodzice nie zwracali uwagi na czczą gadaninę o wojsku, jaką karmiono chłopców poza lekcjami, i wysyłali swoich synów do szkolnego internatu. Garstka dziennych uczniów dołączała do jednego z dwóch ponurych dormitoriów, których pawilony tworzyły lewe i prawe skrzydło trzypiętrowego ceglanego budynku szkoły. Mieszkańcy tych pawilonów, kompania A i kompania B, zaciekle ze sobą rywalizowali w ćwiczeniach z musztry i sporcie. Współzawodnictwo to rozciągało się również na nie tak istotne dla chłopców osiągnięcia w nauce i zdobywanie niebieskich rozetek za dobre zachowanie.

Justin został przydzielony do kompanii A. Chociaż nie skończył jeszcze piętnastu lat, dzięki dobrym wynikom testów umieszczono go w dwunastej klasie.

Rozpacz po śmierci matki ani na chwilę nie opuszczała chłopca i żeby złagodzić cierpienie, Justin postępował podobnie jak dawny hinduski władca, który po stracie ukochanej wznosił dla niej Taj Mahal. To dla zmarłej matki chłopiec zdobywał coraz to nowe wyróżnienia. Wyprzedzał kolegów w każdym przedmiocie, oprócz historii Stanów Zjednoczonych, i nie ukrywał ani swojej wiedzy, ani żywej inteligencji, w ten sposób zapewniając sobie najlepsze stopnie. Na otoczonym cisami placu musztry szybko opanował kroki i zwroty tego słoniowego baletu, a przy żadnej inspekcji majorowi nie udało się wykryć najmniejszej plamki na jego niebieskim mundurze ani smugi na białych rękawiczkach. Rozpoczął się sezon baseballowy. Justin grał w drużynie krykietowej w Eddington, więc szybko dał się poznać jako zręczny, pewny siebie zawodnik również w tej grze. Starsi chłopcy z obu dormitoriów, tworzący elitę szkoły, przyzna-

wali, że to nowy klejnot w koronie kompanii A. Nikt nie mówił o tym Justinowi; szanowano go, ale nie darzono sympatią i zostawiano w spokoju. Żaloba pogłębiła jeszcze jego wrodzoną powściągliwość. Wydawało mu się, że gdyby zaczął się uśmiechać i nabrał nowych, bardziej przyjacielskich amerykańskich manier, które zapewniłyby mu większą popularność, byłoby to równoznaczne ze zdjęciem z rękawa czarnej, żalobnej przepaski. W czasie przerw krążył samotnie wśród wiekowych cedrów, które rosły wokół zabudowań szkoły.

II

Pierwszego ranka po feriach wielkanocnych Zoe zasnęła. Szofer Hugh odwiózł dzieci do szkół później niż zwykle. Pierwszą lekcją Justina była łacina, a ponieważ chłopiec znał już niemal na pamięć pamiętniki Juliusza Cezara, wolał opuścić zajęcia, niż wejść do sali po czasie. Zbiegł pustymi schodami do toalety w suterenie, gdzie w odorze lizolu i ludzkich wyziewów, według niepisanej umowy starsi chłopcy mogli łamać zakaz palenia papierosów. Oparł się o ścianę pod rzędem okien, które znajdowały się na poziomie gruntu, i wyjął paczkę przemyconych papierosów, którą nosił schowaną pod lewą nogawką spodni.

Do pomieszczenia wpadło trzech szóstoklasistów. Chłopcy byli w wieku, kiedy ciało rozrasta się niespodziewanie wzdłuż albo wszerz. Granatowe mundury dwóch niższych (byli bliźniakami) opinały się na tęgich sylwetkach. Trzeci był wysokim chudzielcem o sprytnych, przymrużonych oczach błyszczących w pociągłej twarzy. Justin nieraz widział, jak ta dobrana trójka dręczy bardziej uległych kolegów z klasy, szczególnie tych w okularach i mniej sprawnych fizycznie. Nie znał żadnego z nazwiska i zwykle określał ich w myślach jako „tych trzech śmierdzieli”. Zapalił Caporala nie zwracając uwagi na zazdrosne spojrzenia nowo przybyłych, którzy urządzali sobie hałaśliwe zawody przy urynałach. Zapinali rozporoki, kiedy drzwi otworzył Caryll Bridger. Chłopiec spojrzał na nich lękliwie i wydawało się, że zaraz ucieknie. Nagle spostrzegł Justina. - Cześć, Hutchinson. - Wypowiadając głośno zakłęcie, jakim było nazwisko starszego ucznia, ostrzegął tych trzech, że nie powinni go atakować.

Justin machnął do niego obojętnie, ale życzliwie, tak jak dawniej do smarkaczy w szkole w Anglii.

- Cześć, Bridger - odparł.

Caryll wyminął urywały, przy których stali jego klasowi koledzy, i ruszył w stronę rzędu pomalowanych na zielono kabin.

- Bridger sika na siedząco - odezwał się jeden z bliźniaków.

- Jasne. Jak inaczej? - wycedził pająkowany spryciarz. Widać było, że jest przywódcą. - Wszystkie dziewczyny tak sikają.

Z nerwowym uśmiechem Caryll otworzył wysokie drzwi.

- Bridger to dziewczyna! Bridger to dziewczyna! - wykrzykiwali bliźniacy.

Justin był gospodarzem klasy w Eddington. Rzucił papierosa i wyprostował się.

- No, dobra. Już wystarczy - rozkazał. - Wracać do klasy. Wystraszone bliźniaki biegiem ruszyły do drzwi. Wysoki chudzielec stawił mu czoło.

- A co ty sobie wyobrażasz. Kim ty jesteś? „Do klaaasy"! - przedrzeźniał brytyjski akcent. Jego dwaj przyboczni wybuchnęli pełnym uznania chichotem. - Tam, u siebie, może byłeś wielkim panem, Angolu, ale tutaj jesteś nikim. Hej, Thatcherowie, zrobmy to dla kompanii B. Udowodnimy, że Bridger to dziewczyna. Ściągnąć mu spodnie!

Caryll, oddychając płytko i urywanie, rzucił się do drzwi. Kiedy już był niemal w progu, bliźniaki spojrzeli na siebie i w tym samym momencie rzucili się na małego Bridgera. Prześladowcy i ofiara upadli na zielonkawę płytki podłogi.

- Przestańcie! - krzyknął Justin.

Chudzielec dołączył do kłębiących się na ziemi niebieskich mundurów.

- Spieprzaj, Angolu - wysapał i sięgnął do guzików Carylla.

Ręce Justina zacisnęły się na kościstych ramionach chłopaka. Kiedy odciągnął przywódcę, bliźniaki uwolniły Carylla, który poderwał się na nogi i uciekł korytarzem na schody.

- Jeszcze cię dopadniemy! - krzyknął za nim chudzielec. - Zapłacisz nam, Bridger!

Justin cały zeszywniał. Wbił palce w wąskie, żylaste ramiona i potrząsał mniejszym chłopcem jak terier szczurem.

- Hutchinson!

Za szybą ukazały się krzaczaste, czarne brwi i siwe wąsy, wyrastające na czerwonej, apoplektycznej twarzy. To pułkownik Marshall przykląkł za oknem i zaglądał do środka.

III

Z początku wiadomość o śmierci Antonii ogłuszyła Toma. Na kilka tygodni, nie będąc w stanie myśleć ani działać, zaszył się w apartamencie w hotelu Pontchartrain. Nie odbierał bezustannie dzwoniących telefonów, mało spał i nie odsłaniał okien, tak że tylko wąski promień bladego światła wpadał do pogrążonej w nieładzie sypialni. Nie otwierał drzwi sprzątacze, czasami tylko wpuszczał kelnera, który przynosił mu sandwicze i butelkę szkockiej. Cały czas było mu zimno. I rzeczywiście, temperatura jego ciała spadła, jakby martwe, szczupłe ramiona Antonii obejmowały nie tylko jego umysł. Hugh wyjechał. Tylko Maud miała odwagę wejść do jego jaskini. Jej praktyczne spojrzenie nie dostrzegło psychicznego przygnębienia męża. Natomiast od razu poznała, że mąż jest bardzo chory. Przywołując imię syna, zwabiła go do domu. Okazało się, że Tom dostał zapalenia płuc.

Kiedy wyzdrowiał, odzyskał energię. Dopingowany żalem, rzucił się w wir pracy w Hamtramck.

Jeśli spytać przechodnia na ulicy o osiągnięcia Toma Bridgera, w dziewięciu przypadkach na dziesięć zacząłby od jakiegoś dowcipu o Piątce, a dopiero potem udzielił odpowiedzi. „Przecież to jasne. Po drogach jeździ ponad milion Onyxów.” A jeśliby go mocniej naciskać, hipotetyczny przechodzień zapewne dodałby: „Wynalazł w swojej fabryce w Hamtramck tę nowomodną masową produkcję.”

Jednak Tom, pogrążony w iście piekielnym bólu, inaczej widział swoją olbrzymią, lśniąca, nakrytą szklanym dachem fabrykę. Co za nieudolna bestia, myślał. Nic dziwnego, że nie mogę obniżyć ceny. Aby wyprodukować jeszcze tańszą Piątkę, wpadł na pomysł, żeby zyskać kontrolę nad jej produkcją od samego początku - od wydobywania surowców, wytwarzania gumy, drewna, silikatów.

Tego ranka, kiedy miało miejsce zdarzenie w suterenie szkoły kadetów, zdradził bratu nową ideę budowy jeszcze większego, zintegrowanego kombinatu.

Była to pierwsza wizyta Toma od śmierci Antonii. W głębi

duszy wściekał się na wścibskiego brata i czuł chorobliwy, dziwny skurcz strachu w żołądku, kiedy pomyślał, że Justin znalazł się tak blisko niego. Przecież jego ukochana Antonia chciała trzymać ich jak najdalej od siebie! Przedłużająca się nieobecność i milczenie brata przerażało Hugh, ale gdyby nawet mógł cofnąć czas, nie przesunąłby wskazówki zegara nawet o sekundę. Nie chodziło tu już tylko o dalekosiężne plany. Z każdym dniem czuł się coraz mocniej związany z tym poważnym, uczciwym chłopcem. Cieszył się też obecnością uroczej, kapryśnej Zoe. Życie przed ich przyjazdem wydawało mu się jałową pustynią.

Usłyszawszy, że Tom dzwoni do drzwi, wybiegł z biura i nerwowym krokiem przemierzył główny hol. Witając brata przyjrzał mu się chłodnym okiem. Rogers i Olaf powiadomili go, że od czasu choroby stał się innym człowiekiem, samowolnym, wiecznie niezadowolonym i opryskliwym. Mimo to zmiany, jakie zaszły w bracie, zaskoczyły Hugh. Tom stracił na wadze i w wychudłej, kanciastej twarzy oczy świeciły gruźliczym błyskiem. Chociaż nie przekroczył czterdziestki, gęste, połyskliwe włosy całkiem mu posiwiały.

Zignorował wyciągniętą dłoń Hugh i poszedł przed nim do biura. Krążąc od ściany do ściany zaczął wyliczać niedoskonałości Onyxa. Hugh siedział za biurkiem przyłożywszy dłoń do piersi, rozdarty między litością a strachem przed tą chwilą, w której braterska złość zwróci się przeciwko niemu.

- Chodzi o to - wyjaśniał Tom - że musimy wytwarzać własne szyby, opony, a nawet dyktę potrzebną do pakowania części. Wszystko.

- Ale... Tom, taka fabryka miałaby monstrualne rozmiary. Nigdy jeszcze nie zbudowano nawet w połowie tak dużej. To nie wchodzi w rachubę.

Tom obruszył się niecierpliwie.

- Pomyśl na przykład o oponach - powiedział.

- Co złego widzisz w dotychczasowym systemie? Kupujemy je od Seiberlinga z Akron.

- W zeszłym roku sprzedaliśmy jakieś dwieście dziewięćdziesiąt tysięcy Piątek. - Stanowiło to jedną trzecią całego amerykańskiego rynku samochodów. - Wkrótce dojdziemy do miliona.

Hugh uśmiechnął się z przymusem.

- Nie wydaje mi się, Tom.

- Twoi statystycy nie odróżniają własnego tyłka od głowy. Cztery miliony opon rocznie. Plus zapasowe. Potrafiłbym wytwarzać o wiele trwalsze niż Seiberling. I tańsze. Te lasy między twoim domem a miastem, należą do jakiegoś człowieka o nazwisku Farquar. - Tom skrzywił się boleśnie. Właśnie w tych lasach odbywali z Antonią przejażdżki Curved-Dash Bridgerem. - Kupię te tereny.

Hugh zamrugał oczami, zdziwiony tak nagłą zmianą tematu rozmowy.

- Ale Maud już zarządziła wykopanie fundamentów pod wasz przyszły dom.

- Czy ty mnie, do cholery, w ogóle nie słuchałeś? Potrzebny mi nowy, olbrzymi kombinat, w którym mógłbym produkować wszystko, co niezbędne do montażu Piątki. Nowa fabryka.

Hugh patrzył na brata. Co to znowu za mrzonki? Nowy kombinat? Produkcja opon? Wielka fabryka? Przecież Hugh na własne oczy widział Hamtramck. Nic dziwnego, że pielgrzymowali do niej przemysłowcy z całego świata. Był to najlepiej wyposażony i obmyślony zakład masowej produkcji. Wszystkie te wybujałe marzenia to wytwór porażonego bólem umysłu Toma. Miał właśnie pełnym współczucia głosem powstrzymać zapędy brata, kiedy zadzwonił telefon.

Słuchał głosu dobiegającego ze słuchawki, z wysiłkiem zachowując opanowaną minę, ale palce nerwowo bębniły w elżbietański stół.

- Wyślę zaraz szofera - oznajmił i na chwilę zamilkł. - Nie, bardzo mi przykro, ale to wykluczone. - Znowu przerwa.

- Tak, zdaję sobie sprawę z powagi sytuacji, ale ja nigdy nie opuszczam domu... z powodów zdrowotnych. - Jeszcze dłuższa przerwa. Hugh zbladł i wyglądał jak zwierzę złapane w potrzask. - Chwileczkę, pułkowniku Marshall. -

Nakrył dłonią słuchawkę. - Tom, Justin ma jakieś kłopoty. - Mówił spokojnym głosem, ale wypiełgnowane paznokcie nadal pośpiesznie uderzały w blat stołu.

Na dźwięk imienia Justina Tom zmrużył oczy. Wykrzywił się, jakby ktoś nasypał mu soli na świeżą ranę. Nic nie odpowiedział, tylko popatrzył groźnie.

Hugh zwilżył wargi.

- Dyrektor nalega na osobistą rozmowę. Bez niej nie pozwoli Justinowi wrócić do domu. Dobrze znasz pułkownika Marshalla.

- Nigdy nie spotykałem się z nim w takich sprawach. Z Caryllem nie mam tego rodzaju kłopotów. Hugh trochę się przeląkł, ale z dwóch rzeczy bardziej obawiał się ludzkich spojrzeń niż gniewu brata.
 - Ja nie mogę jechać. Sam wiesz. - W tej prośbie zawarty był emocjonalny szantaż i Hugh zdawał sobie z tego sprawę.
- Tom przeszedł na drugi koniec długiego biura.
- Kiedy skończę rozmowy z Farquarem na temat lasu -zgodził się.
 - Mój brat wkrótce się tam zjawi - powiedział Hugh do telefonu.

IV

Justin wyprostował się na twardej ławce w poczekalni przed biurem pułkownika Marshalla. Nie odrywał wzroku od ściany naprzeciw. Przyjrzał się już każdemu szczegółowi wielkiej akwareli, przedstawiającej akademię w West Point, nad którą na kłębiastej, białej chmurze wypisano słowa „Obowiązek, Honor, Ojczyzna”. Teraz skupił się na wiszącym zegarze. Wskazówka drgnęła. Pierwsza czterdzieści trzy. Siedział tu od ósmej pięćdziesiąt pięć, kiedy skończył już sucho tłumaczyć pułkownikowi, że w pożalowania godny sposób stracił panowanie nad sobą, usiłując rozdzielić bijących się młodszych kolegów. Z doświadczenia wyniesionego z Eddington wiedział, że jeśliby dodał coś więcej, tych trzech małych śmierdzieli dopilnowałoby, żeby Bridger -jeden z tych pryszczatych, spoconych chłopców, którzy na całym świecie są usuwani na margines życia klasowego -został pozbawiony towarzystwa nawet tych jemu podobnych mięczaków. W Anglii dyrektor szkoły zrozumiałby tę sytuację i po wymierzeniu Justinowi tradycyjnej chłosty dałby wszystkiemu spokój. Ale kto wie, jakie tutaj panują zwyczaje.

Trzech chłopców spędziło w gabinecie niemal godzinę, przedstawiając własną wersję wydarzeń. Kiedy przechodzili przez poczekalnię, chudzielec rzucił Justinowi pełen satysfakcji uśmiešek. Od tego czasu nikt na niego nie spojrzał. Kiedy pułkownik Marshall udał się na posiłek do oficerskiego kasyna, rozkazał swojej sekretarce, kobiecie w średnim wieku o ziemistej cerze, żeby pilnowała chłopca. Siedziała

teraz za przepierzeniem, czytała jakieś czasopismo i smutno pociągała nosem. Justin wbił paznokcie w dłoń i wma-
wiał sobie, że to przez ciągłe rozmyślanie o wydarzeniu w ubikacji czuje gwałtowną potrzebę opróżnienia pęcherza.
Nie potrafił się zmusić, by poprosić sekretarkę, żeby pozwoliła mu na chwilę wyjść. Drzwi się otworzyły.

Pułkownik Marshall wprowadził Toma Bridgera.

Pierwsze, co przyszło do głowy skonfundowanemu Justi-nowi, to to, że Bridger przyszedł tu w sprawie Carylla, ale
natychmiast odrzucił to przypuszczenie. Tych trzech śmierzeli z pewnością nie chciało sobie ściągnąć na głowę
kłopotu i nie wspomniało o udziale Carylla w całej awanturze. W inny sposób pułkownik nie mógł się o tym
dowiedzieć. Przyszedł tu ze względu na mnie, domyślił się Justin i policzki zaczęły go palić. Bardzo się starał
sprawiedliwie oceniać brata Hugh. Przecież widział go tylko dwa razy, podziwiał jego osiągnięcia, a poza tym, kiedy
większość Amerykanów sprzeciwiała się zaangażowaniu w europejski konflikt, Onyx wspierał Anglię budową
nowej fabryki. Jednak pierwsze spotkanie głęboko wbiło mu się w pamięć i pozostawiło po sobie zadawnioną
niechęć. To był człowiek, który nachodził jego matkę.

Wstał sztywno i strzelił obcasami

- Panie pułkowniku - zaszalutował. - Panie Bridger. -Jeszcze jeden salut.

Pułkownik dotknął czapki odwracając wzrok. Tom szorstko skinął głową patrząc na czarną przepaskę na ramieniu
Justina. Weszli do skapanego w słońcu biura i zamknęli drzwi. Po chwili rozległy się za nimi przytłumione, niezro-
zumiałe męskie głosy.

Tom wyłonił się po pięciu minutach.

- Idziemy - rzucił nie zwalniając kroku. Maszerował przez korytarz wyprzedzając Justina.

Skończył się lunch i dziedziniec roił się od chłopców w niebieskich mundurach. Niektórzy przykucnęli grając w
kulki, inni grali w baseball lub celowali piłką do kosza. Kiedy Justin pojawił się na schodach, na całym dziedzińcu
zaległa cisza.

Ktoś w pobliżu głośno cmoknął, naśladując mokry pocałunek. Chłopcy zachichotali. Justin wsiadł do Piątki, patrząc
wprost przed siebie. Tom

uruchomił samochód i okrążył błotnisty plac apelowy, po którym za karę maszerowało z dala od siebie ośmiu chłopców. Słońce odbijało się od skórzanych lakierowanych daszków ich czapek.

- To bardzo miło z pana strony, że pan po mnie przyjechał - odezwał się Justin. Wolałby umrzeć, niż pokazać Tomowi Bridgerowi, jak bardzo czuł się upokorzony, więc z zadowoleniem usłyszał, że jego głos zabrzmiał sucho i obojętnie.

- Zrobiłem to dlatego, że pułkownik Marshall nalegał. Hugh jest za ciebie odpowiedzialny i nie zamierzam się mieszać do twojego wychowania.

- I tak jestem panu bardzo wdzięczny.

- Gdyby to ode mnie zależało, wymierzyłbym ci tęgą chłostę. Przestań się głupio uśmiechać. Wiem, że przekupujesz chłopców z młodszych klas papierosami. Wiem, że ich bijesz, kiedy nie chcą spełniać twoich wynaturzonych żądań. Justin poczuł, że krew odplywa mu z twarzy. Siedząc godzinami w poczekalni ani razu nie pomyślał, że może zostać oskarżony o cokolwiek innego niż palenie papierosów i bójkę z szóstoklasistą. Cały się trząsał. Pęcherz mało nie pękł mu z bólu.

Tom jechał szybko. W skroniach pulsował mu ból. Ten chłopak, tak podobny do Antonii, jej ukochany syn, dla którego chciała zrezygnować z ich miłości, śmiał okazać się zboczeńcem i brutalem!

Zahamował ostro przed wejściem do domu brata.

- Idź na górę - polecił. - Opowiem Hugh, co zaszło. Justin tak urządził swój pokój, żeby jak najbardziej przypominał sypialnię przy Rutland Gate. Zgromadził tu stare pamiątki, bezużyteczne teraz kije do krykieta, rakiety do tenisa i sąasha, stare biurko ze znajomymi rysami na blacie. Tylko obraz, przedstawiający całą sylwetkę Antonii, wisiał dawniej w salonie. Przebrał się w stare spodnie i sweter tenisowy, który już trochę przetaił się na łokciach - ubrania z Anglii. Usiadł za biurkiem twarzą do gotyckich okien, przedzielonych kamiennymi słupkami. W głębi ogrodu murarze wznosili domek wielkości dwóch trzecich normalnego, który miał służyć Zoe do zabawy. Dalej, za drzewami, połyskiwało tandetnym błękitem jezioro St Clair. Stłumił łzy, ale nadal czuł się nieszczęśliwy i przerażony.

Po chwili na górę wszedł Hugh. Wkroczył sztywno do pokoju, jakby niósł wazę pełną gorącej zupy. Justin nie starał się robić dobrej miny. Przecież Hugh był jego przyjacielem.

Usiadł przy biurku.

- Daj spokój, Justin - zagaił. Był wstrząśnięty, że niespodziewany występek chłopca pokrzyżował mu nieco plany, ale widok nieszczęśliwej miny podopiecznego wywołał w nim gorące współczucie. - To jeszcze nie koniec świata.

Za kilka dni pójdziesz do lepszej szkoły.

- Wyrzucili mnie?

- Tak, zostałeś wydalony. Pułkownik Marshall powiedział to mojemu bratu.

- Hugh, przepraszam, że sprawiłem ci taki kłopot.

- Chłopcy w tym wieku przechodzą przez takie stadium, naprawdę. To część procesu dorastania. Jedynym twoim błędem było to, że dałeś się złapać.

Justin obwiodł drżącym palcem wydrapany na biurku inicjał. Co innego wiedzieć, że wrogowie wierzą w najgorsze kłamstwo o tobie, a co innego usłyszeć, jak Hugh mówi o tym tak obojętnie. Kiedy opiekun wyszedł, chłopiec rzucił się do wielkiej łazienki i wymiotował nad muszlą klozetową, aż w żołądku został tylko kwaśny śluz. Ocierał właśnie spocone czoło, kiedy usłyszał samochód, który przywiózł Zoe do domu.

Zapukała do jego drzwi.

- Co się dzieje? - spytała. - Dlaczego wcześniej wróciłeś ze szkoły? - Słysząc było, że stara się pozbyć ostatnich śladów brytyjskiego akcentu.

- Spływaj, Zoe - odparł. - Zostaw mnie w spokoju. Siedział opierając brodę na rękach. Wyszedł już z szoku i był w stanie analizować przyczyny, które legły u podłoża jego smutnych przygód na nowym kontynencie. Etyczny kod, powściągliwość i sposoby radzenia sobie z problemami, z jakimi wsiadł na pokład statku *Stephen Decatur*, po przekroczeniu Atlantyku okazały się zbędnym bagażem. Rozmyślał nad tym, starając się uniknąć obwiniania kogokolwiek, złości i uzalania się nad sobą samym. Jego charakter odznaczał się jakąś niezłomną cechą, która nie pozwalała mu łatwo się zaadaptować. A może był to tylko ślepy upór? Nie potrafił odrzucić przeszłości, w której był obecny jego ojciec i matka (wstydliwie wytarł niemęską łzę).

Nie umiał odmienić sumienia, wykształcić w sobie nowej osobowości, tak jak Zoe. Na starym biurku wyrył scyzorykiem: „Bądź wierny samemu sobie”. Puste, zawadiackie słowa jaśniały na dębowym blacie i wcale nie pomagały zwalczyć bólu ani poczucia samotności.

Hugh, samotnik, uszanował prawo Justina do prywatności. W porze kolacji znów zapukała do niego Zoe. I tym razem ją odprawił. Od śniadania nic nie miał w ustach i wydawało mu się, że już nigdy w życiu nie odczuje głodu.

O dziesiątej rozebrał się i zgasił światło. Kolejne pukanie do drzwi.

- Już późno, smarkulo - zawołał. - Dawno powinnaś leżeć w łóżku.

- To ja, Tom Bridger.

Tom wszedł do sypialni i włączył górne światło. Na widok portretu Antonii wciągnął głęboko powietrze.

Nowoczesny malarz długimi pociągnięciami pędzla i dziwną fioletową tonacją skóry oddał żywiołowy, porywający urok Antonii. Tom szybko się odwrócił.

- Caryll wyjaśnił mi, co się stało w szkole. Powiedział, że tych trzech gówniarzy bije kogo popadnie. Chcieli mu dołożyć, ale ty im przeszkodziłeś.

Justin nie czuł zasłużonej dumy, tylko pełen litości podziw dla małego, cichego chłopca, który miał odwagę się przyznać do wstydliwego faktu, że jest szkolną ofierą.

- Każdy starszy uczeń zachowałby się tak samo - odparł

i położył się na poduszce w nadziei, że Tom zrozumie to jako sygnał do zakończenia rozmowy.

Jednak Bridger podszedł bliżej i stanął w nogach łóżka.

- Dlaczego nie powiedziałeś prawdy pułkownikowi Marshallowi?

- Powiedziałem mu, jak było.

- Ale nie wszystko, zataiłeś najważniejsze. Inaczej nigdy by nie dał wiary Hoenigowi i Thatcherom. Dlaczego nie zadzwoniłeś do niego i nie oczyściłeś się z zarzutów, kiedy tylko się dowiedziałeś, co mu nakłamali?

Odpowiedź na to pytanie zawierała się w kodzie honorowym Justina. Caryll, młodszy i słabszy chłopiec, potrzebował jego opieki. Gdyby Justin się ugiął pod ogniem pytań pułkownika, dowiódłby, że się boi. Jednak fałszywe oskarżenia długo żyją i chłopiec wstydził się postawionych mu zarzutów tak mocno, jakby były prawdziwe.

- Proszę pana - odezwał się niskim głosem. - Ja już spałem.
 - Jeśli chciałeś, żebym poczuł się jak jeszcze większy osioł, to ci się udało. Zaraz pojedę do szkoły, żeby wszystko wyjaśnić.
- Justin poderwał głowę z poduszki.
- Nie!
 - Nie ma sensu czekać z tym do jutra.
 - W ogóle nie chcę, żeby pan to robił.
 - To niedorzeczne.
 - Niech pan zostawi wszystko, tak jak jest. - W głosie chłopca niespodziewanie pojawił się rozkazujący ton.
 - To co mam zrobić? Pozwolić mu nadal myśleć, że jesteś pedziem?
 - Dziś w drodze do domu powiedział pan, że to pana sprawa. - Justin odwrócił się do ściany.
 - Posłuchaj mnie. Chodzi tu nie tylko o cmokanie i drwiny. Wydalono cię ze szkoły, rozumiesz to? Nie dostaniesz się do college'u i... - Tom urwał. Oddech Justina zamienił się w urywany szloch, a kołdra zaczęła drżeć. Bridger spojrzał na portret, jakby błagał o wybaczenie za swoje wątpliwości i gniew. Miałaś rację, Antonio, że byłeś z niego taka dumna. To wyjątkowy chłopiec. - Postąpię, jak sobie życzysz -oznajmił cicho. - Dobranoc, Justin.

v

Następnego ranka Tom podrzucił Carylla do szkoły, minął Gaukler Point i pojechał do domu brata. Za pierwszym zakrętem podjazdu zobaczył dwa setery biegające z ujadaniem wokół Justina, który siedł ze spuszczoną głową i rękami w kieszeniach zbyt małej brązowej marynarki. Tom minął go. Chłopiec podniósł wzrok i skinął głową. Bridger zaparkował przy następnym zakręcie, wysiadł z samochodu i oparł się o maskę. Kiedy Justin się z nim zrównał, zapytał go:

- Prowadziłeś kiedy Piątkę?
- Dzień dobry panu - odparł chłopiec matowym głosem. - Nie.
- A jakiś inny samochód?
- Lanchestera mojej matki. Drum, który u nas pracował, nauczył mnie.

- Chciałbyś teraz spróbować?
 - Dziękuję, ale dzisiaj nie mam na to ochoty.
 - Aż tak źle?
 - To nie ma nic wspólnego z tamtą sprawą - wyjaśnił pośpiesznie Justin. Psy biegały w koło po trawie, wysuniętymi językami zlizując rosę. Chłopiec nie patrzył na Toma, tylko na nie. - Popełniłem błąd, że przyjechałem do Ameryki. Ja tutaj nie pasuję.
 - Słuchaj, Justin, wcale nie jestem dumny z tego, jak wczoraj postąpiłem...
 - Nie ma potrzeby dłużej się nad tym rozwodzić, proszę pana.
 - Pozwól mi skończyć. Rozumiem, że nie chciałeś się snłżyć do tego, żeby mi wszystko wyjaśnić. Ja również milczę, kiedy zostanę niesprawiedliwie zaatakowany. Ale nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, dlaczego nie powiedziałeś pułkownikowi, co naprawdę zaszło. Dopiero dziś rano to do mnie dotarło. Sądzisz, że jeśli tych gówniarzy spotka kara, to potem nie dadzą Caryllowi żyć, prawda?
- Justin poczerwieniał.
- Czy nie za dużo o tym rozmawiamy?
 - Pułkownik Marshall spotykał się już z tego rodzaju problemami. Będzie wiedział, jak postąpić.
 - Mniej więcej godzinę temu zatelefonował i oznajmił, że zadziałał zbyt pośpiesznie wydalając mnie ze szkoły. W zamian mogę za karę maszerować wokół placu. Tak robią w West Point. To nic wielkiego.
 - I na tym polega twój problem? Nie możesz się zdecydować, czy wrócić do szkoły?
 - Powiedziałem mu, że jutro rano stawię się w szkole - wyjaśnił Justin i zagwizdał. Psy rzuciły się do niego w podskokach i oparły zabłocone łapy na marynarce. Chłopiec głaskał jedwabistą, rudą sierść na pyskach. Tom nie odrywał oczu od chłopca, aż wreszcie roześmiał się krótko.
- Przebieranie się za żołnierzy, udawanie, że Detroit to West Point, dzieciaki salutujące starym piernikom, co za farsa! Masz rację, nie rozmawiajmy o tym dłużej. - Otworzył drzwi samochodu. - Wskakuj.
- Psy jeden przez drugiego wspięły się na tylne siedzenie. Justin chciał przejść na drugą stronę auta, ale Tom podał mu kluczyki.

- Masz. - Kiedy chłopiec usiadł na fotelu kierowcy, pokazał mu, gdzie się zapala.

Justin opóźnił zapłon.

- W Piątce trzeba pociągnąć do samej góry. Teraz lepiej. Tutaj jest dźwignia gazu.

Justin wcisnął ją i włączył akumulator. Cewka zaczęła brzęczeć. Chłopiec wyskoczył zza kierownicy, pochylił się i z całej siły zakręcił korba. Ostrożnie pociągnął za pręt przepustnicy, żeby nie zalać silnika, i jeszcze raz zakręcił. Silnik zaskoczył. Justin wrócił biegiem za kierownicę, przyśpieszył zapłon, zwolnił przepływ benzyny i włączył magneto. Silnik zawarczał triumfalnie.

Piątka sunęła po drodze podskakując. Justin zwiększał prędkość, w miarę jak nabierał pewności siebie.

- Słyszysz to? - zapytał Tom.

- Co takiego?

- No to! Coś nie gra. Zaprowadźmy ją do garażu.

Piątka otoczyła dom i z dygotem zatrzymała się w chmurze pyłu na wysypanej żwirze alejce przed garażem. Drzwi stały otworem, a nowy Packard gdzieś odjechał. Tom zdjął marynarkę i podwinął rękawy.

- Pomożesz mi, dobrze? - zapytał podnosząc maskę. Razem sprawdzili gaźnik, komutator i świece zapłonowe.

Popsuty był komutator. Tom wymienił sprężynę wirnika. Razem poszli do garażu, żeby się umyć.

- Panie Bridger. - Tom zanurzył trzy palce w szorstkiej paście mydlanej. - Ludziom się wydaje, że są genialni, jeśli potrafią naprawić samochód, a pan sam zbudował całe auto, nie mając żadnego wzoru. Wszystko pan wynalazł. W dodatku pomaga pan Anglii udźwignąć trudy wojny... - Zająknął się, a jego piegi stały się bardziej widoczne. - Ale...

- Lubisz wszystko wyjaśnić do końca, co? - Tom odsłonił zęby w uśmiechu. - Wczoraj zachowałem się jak dureń, ale to nie znaczy, że zawsze taki jestem. Zdaję sobie sprawę, że za mną nie przepadasz.

Justin skupił całą uwagę na szczoteczce do paznokci. Hugh, z płaszczem przerzuconym przez ramię, wszedł do garażu.

- Nic tak nie pomaga na zły humor, jak trochę uczciwej pracy - odezwał się. - Justin, pora na lunch.

- Już? - Chłopiec uśmiechnął się. Chwycił marynarkę

I wybiegł na słońce, z nadmiaru rozpierającej go energii klucząc i kopiąc żwir, jakby biegł za piłką.

Bracia spoglądali za nim, dopóki nie zniknął za tylnymi drzwiami.

- Pierwszy raz od przyjazdu tutaj widzę go w tak radosnym nastroju - oznajmił Hugh.

- Czy masz coś przeciwko temu, żeby ją sobie zatrzymał?

- Piątkę?

- Tak. Twój szofer może mnie podrzucić do Hamtramck. Wybiorę sobie nowy samochód dziś po południu.

Hugh z namysłem potarł kciukiem o płaszcz. Zeszłej nocy bracia rozmawiali w salonie. Hugh wymyślał sobie w duchu za to, że tak łatwo uwierzył w najgorsze oskarżenia pod adresem podopiecznego. Po kilku kieliszkach brandy stał się dla siebie jeszcze bardziej surowy i poważniej doceniał honorowe zachowanie chłopca. Szczerze żałował tego, co zrobił.

- Tom, całą noc nie spałem. Nie wiem, jak go przeprosić, żeby nie pogorszyć sprawy.

- On woli, żeby o tym zapomnieć - wyjaśnił brat. Hugh skinął głową.

- Więc przypuszczasz, że nie przyjmie samochodu? - spytał Tom.

- Domyśli się, że w ten sposób chcesz mu wynagrodzić krzywdę - odparł Hugh. - Jutro wraca do szkoły.

- Będzie mu ciężko.

- Co za okropna sytuacja.

- Może Caryll zaprosiłby go na zwiedzanie fabryki? Chłopak ma talent do mechaniki. - W głosie Hugh słychać było zadowolenie.

Tylko niech ci czasem coś nie przyjdzie do głowy - powiedział cicho Tom.

A czyj to był pomysł?

Przysiągłem, że nigdy się o niczym nie dowie. Do garażu wpadła jaskółka. Bracia nie zwracali uwagi na rozpaczliwy trzepot skrzydeł w mrocznym, pachnącym benzyną pomieszczeniu. W ten sposób Tom po raz pierwszy przyznał się do ojcostwa.

Nigdy bym mu tego nie zasugerował nawet jednym słowem. To by go za mocno zraniło. Zrobił z Claude'a

Hutchinsona swojego idola. Szaleje na jego punkcie. Chciałem tylko powiedzieć, że zmierzasz w słuszną stronę.

Chłopiec potrzebuje pomocy, żeby przetrwać te trudne chwile.

Tom włożył ręce pod kran i zaczekał, aż piana spłynie.

- Dam mu pracę w soboty.

- Świetnie - stwierdził cicho Hugh.

- Słuchaj no, Hugh. Nie wiem, po co sprowadziłeś tutaj tych dwoje, ale jeśli masz jakieś plany co do syna Antonii, to wybij je sobie z głowy. - Smutne westchnienie złagodziło stanowczość wypowiedzi Toma.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Hugh, to ja! Żadnych gier, zrozumiałeś? Nie włączę go do swojego życia. Między innymi dlatego, że nie byłoby to w porządku wobec Maud. Wiele musiała przejść i nie chcę jej więcej sprawiać bólu.

- Justin to też człowiek. I to najprzyzwoitszy, jakiego spotkałem.

- Ja też jestem z niego dumny.

- Więc chyba nie powiesz, że żądam za wiele, jeśli cię poproszę, żebyś był dla niego bardziej wielkoduszny? Przechodzi bardzo trudny okres przystosowywania się do nowych warunków i w końcu jest przecież twoim...

- Hugh - przerwał mu Tom ostrzegawczo.

Hugh spojrział na pustkę za oświetlonymi słońcem drzwiami garażu.

- Nikt mnie nie słyszał - powiedział.

- Jeśli kiedykolwiek to powiesz, gorzko pożałujesz. - Tom mówił cicho, ale w normalnym, niskim tonie jego głosu kryła się złowróżbna groźba.

Hugh cofnął się aż pod ciężarówkę, używaną przez ogrodników.

Brat wytarł dłonie w brudny ręcznik. Po chwili się odezwał:

- W ciągu tylu lat naszej znajomości poprosiła mnie tylko o jedno. To miało dla niej wielkie znaczenie.

- Przestań się zamartwiać, Tom.

- Jeśli zacznę się zachowywać jak dobry wujaszek, ludzie mogą się czegoś domyślić. Sam Justin nabierze podejrzeń.

- Nie rozumiem, dlaczego tak sądzisz. Jesteś bardzo życzliwy dla synów Sinclaira.

- Hugh, przestań knuć, przestań spiskować.

- Ja nie puszcę farby - zapewnił. Patrzył, jak brat zapina spinki przy mankietach. - Chodźmy na lunch.

- Nie.

- Kazałem postawić trzecie nakrycie.

Nie zjem z tobą lunchu - upierał się Tom. Masz jakieś spotkanie? Justin tu jest.

Naprawiałeś z nim samochód. Czy to, że zjecie wspólnie posiłek, coś między wami zmieni?

Hugh, zrozum wreszcie, że ja się boję. Co będzie, jeśli okażę mu zbyt wiele uczucia? - Głęboko westchnął. - Tylko wtedy będę spokojny, jeśli będą nas łączyły wyłącznie samochody.

Rozumiem.

Żadnych związków osobistych. Kiedy Tom uruchamiał Piątkę, brat obserwował go ze szczególnie zadowoloną miną, przywodzącą na myśl kota, który właśnie zjadł kanarka. Tom czuł się zobowiązany wobec Justina, podziwiał go, da mu wkrótce pracę w Hamtramek, i jeśli to jeszcze nie jest związek osobisty, to i tak na początek wystarczy.

KSIĘGA TRZECIA

Woodland

Zakłady w Woodland były jedyne w swoim rodzaju ze względu na wielkość i sposób organizacji.

Tutaj, nad rzeką Detroit, na terenie o długości ponad dwóch mil i szerokości trzech czwartych mili ucieleśniło się marzenie

Thomasa Bridgera o stworzeniu olbrzymiego kombinatu masowej produkcji samochodów.

Historia Stanów Zjednoczonych Edwardesa i Whitneya

Hamburger? - powtórzył ze zdziwieniem Justin.

- To mielona wołowina z bułką. Jeden z naszych ulubionych amerykańskich przysmaków - odparła Elisse Kapłan. Gryzącej ironii w jej głosie nie osłabiał uroczy uśmiech.

- Wiem. Jestem Amerykaninem. - Justin przysiągł szanować rząd Stanów Zjednoczonych i przestrzegać amerykańskiego prawa dziewięć lat temu, szóstego kwietnia 1917 roku, w dniu przystąpienia Stanów do wojny. Tego samego dnia, mimo protestów Hugh i własnych pacyfistycznych przekonań, zaciągnął się do wojska. - Nie wydaje mi się, żeby mieli tu coś takiego.

Rozejrzała się po sali Verony i wymownym wzruszeniem ramion dała do zrozumienia, co myśli o przyćmionych światłach, szybkich, usługowych kelnerach, stołach nakrytych sztywnymi, sięgającymi aż do podłogi obrusami i o siedzących za nimi dobrze ubranych gościach w średnim wieku. Justin uznał, że w ten sposób wyraziła również opinię o nim i jego pomysły, żeby olśnić ją zaproszeniem do restauracji, która była uważana za najlepszą w Los Angeles.

Prawie nie znał Elisse Kapłan.

Przedtem spotkali się tylko raz, w czerwcu tego roku w Londynie. Była kuzynką Rosburga, jego starego przyjaciela z lat szkolnych, która przyjechała z wizytą z Kalifornii. On wybierał się właśnie na inspekcję francuskiej fabryki Onyxa w Asnieres. Przez najwyżej kwadrans siedzieli na kanapce we wnęce okiennej w domu Rosburgów.

Popołudniowe słońce rzucało złote błyski na jej kręcone, ciemne, krótko obcięte włosy. Nowa znajoma na zmianę irytowała go i zachwycała. Energiczne, bystre i pewne siebie dziewczęta, takie jak Elisse, zawsze wytrącały Justina z równowagi. Nie uwierzył, kiedy Zoe powiedziała mu, że w Detroit cieszy się

sławą podrywacza, bo chociaż często towarzyszył na balach debiutantkom i starszym dziewczętom, miał za sobą jedynie dwa krótkie romanse, oba z mężatkami. W ciągu tych przygód jego uczucia, a nawet zmysłowa przyjemność stopniowo wygasały, tłumione koniecznością uciekania się do kłamstw i wykrętów. Nigdy nie wyrósł z chłopięcej uczciwości. Po przyjeździe do Los Angeles natychmiast odszukał nazwisko Elisse w książce telefonicznej (pamiętał, że jej ojciec nazywa się Harris Kapłan, prawdę mówiąc, każde słowo z ich rozmowy utkwilo mu w pamięci) i zaprosił ją na kolację. Zawahała się. Ze zdziwieniem stwierdził, że jej przedłużające się milczenie zabolalo go. W końcu zgodziła się z nim spotkać w studiu Columbia Pictures przy Gower Street w Hollywood. Patrzyła na niego kpiąco z drugiej strony stołu.

- Jeśli chcesz zjeść hamburgera, to przyszedliśmy do nieodpowiedniej restauracji - oznajmił.

- Nareszcie do ciebie dotarło.

Przez myśl przeleciało mu słowo „zołza”. Wstał i odsunął jej krzesło. Siwowłosy szef sali przybiegł do nich klucząc między stolikami.

- Coś nie w prządku, proszę pana?

- Nic, nic - odparł Justin i wsunął banknot w nadstawioną dłoń. - Zmieniliśmy plany, i to wszystko. - Pośpieszył za Elisse, której biała plisowana spódniczka kołysała się wokół zgrabnych nóg.

Na zewnątrz było ciemno. Wrześniowy upał złagodziła nieco nadciągająca mgła, która niosła ze sobą bagnistą, słoną woń morza.

- I co teraz? - Spojrzał na nią i po raz kolejny uderzyło go, jaka jest drobna i delikatnie zbudowana. Osobowość Elisse Kapłan znacznie przerastała jej fizyczne rozmiary. - Obawiam się, że nie znam Los Angeles. Gdzie pójdziemy?

- Do Philippe'a - zadecydowała bez wahania.

- Czy tam dostaniesz swojego hamburgera? Wykonała zamaszysty ruch dłonią.

- Mają tam bardzo zróżnicowany jadłospis.

- Ale czy dostaniemy stolik?

- Jeśli będą jakieś trudności, zawsze możesz dać napiwek.

- Elisse, mam wrażenie, że chcesz mnie za coś ukarać.

- Może raczej chcę cię odstraszyć, zanim uda ci się coś ustrzelić.

- Coś ustrzelić?
- Poderwać mnie - wyjaśniła.
- Masz nie najlepsze zdanie o moim charakterze.
- A więc masz też charakter? Nie wystarczy ci, że jesteś wysokim, przystojnym brunetem, i do tego inteligentnym?
- To o to chodzi - jęknął.

Otworzyła torebkę i wyjęła zwinięty numer tygodnika „Time”, najnowsze wydanie, z rysunkiem Piątki - dwudzie-stomilionowej - na okładce. Podsunęła czasopismo pod snop światła z ulicznej latarni i przerzucała kartki.

- „Chociaż bezspornie dziedzicem fortuny Onyxa jest Caryll Bridger, jedyny syn Thomasa K. Bridgera - czytała - mieszkańcy Detroit z napięciem śledzą błyskawiczną karierę dwudziestosiedmioletniego...”

- Mam dwadzieścia sześć lat - wtrącił Justin. - Oto jak wygląda rzetelność dziennikarzy.

Elisse czytała dalej:

-pochodzącego z Londynu, wysokiego, ciemnowłosego, przystojnego i inteligentnego Justina Hutchinsona, który po wojnie spędził dwa lata na praktyce u lorda (wtedy jeszcze używającego tytułu sir) Edge'a w brytyjskiej filii Onyxa. Pracował na stanowiskach kierowniczych w wielu krajach Europy. Thomas K. Bridger od dawna unika w swojej firmie tytułów dyrektorskich, jednak od powrotu Hutchinsona do Detroit w 1923 roku jego wpływy, szczególnie w Woodland, największym kompleksie przemysłowym świata, stale rosną i można powiedzieć, że dostał się do zaczerowanego kręgu głównych dyrektorów Onyxa. Plotka krążąca wśród uważnych obserwatorów przemysłu motoryzacyjnego głosi, że przygotowuje się go do objęcia stanowiska zastępcy naczelnego dyrektora, kiedy funkcję tę przejmie Caryll Bridger.”

- Można powiedzieć, że jesteś dzieckiem szczęścia.

- W artykule nie wspominają, że Hugh Bridger...

- Hmm, zaraz zobaczę... Jest. „Tajemniczy, przykuty chorobą do swojego domu brat magnata samochodowego, często nazywany szarą eminencją firmy, ma prawdopodobnie decydujący wpływ na wszystkie decyzje spółki.”

- Świetnie nas rozpracowali, prawda? Hugh był moim opiekunem.

- No i krewnym.

- Nie jesteśmy w żaden sposób spokrewnieni - zaprzeczył zirytowany Justin. Doszli do Piątki. Otworzył przed nią

drzwi z nadzieją, że zmiana miejsca odmieni również temat rozmowy. Elisse nie wsiadła. - Hugh był przyjacielem moich rodziców, i to wszystko. Ale stał się dla mnie opoką. Jest dobry i szczodry. Kiedy matka zginęła podczas wojny, sprowadził nas do Ameryki, mnie i Zoe, moją siostrę.

- Czy popieranie wychowanka może być również nazwane nepotyzmem?

- Nikt mnie nie popiera i nie przygotowuje do objęcia żadnej funkcji.

- Więc to zwykły zbieg okoliczności, że zostałeś jednym z zaczarowanych rycerzy okrągłego stołu Onyxa? - Zrobiła aluzję do fragmentu artykułu, w którym opisywano wielki, okrągły stół w jadalni dla dyrektorów.

- To właśnie dowód, że nie jestem członkiem zaczarowanego kręgu. Tom Bridger ani razu mnie tam nie zaprosił.

-Justin zauważył, że wypowiedział ostatnie zdanie przez ściśnięte gardło. Elisse również to usłyszała.

Położyła dłoń na jego rękawie.

- Wiesz, na czym polega twój problem? Jesteś zbyt dobrze urodzony i zbyt angielski, żeby uderzyć kobietę.

- Wolałbym już spróbować cię poderwać - wyrzucił. -Przepraszam.

- Za co?

- Nie czuję się zbyt pewnie. Nie umiem flirtować.

- Zupełnie nieźle ci idzie - zapewniła i wsiadła do samochodu.

II

Bar U Philippe'a znajdował się w pobliżu zajezdni kolejowej. Była to zatłoczona, obszerna sala z wysokimi stolikami o blatach wykładanych linoleum, posypaną trocinami podłogą i długim barem, za którym starszawe kielnerki szybko rozkrawały francuskie bagietki, maczały ich wierzchnią stronę w sosie i układały na niej mięso.

- Co z twoim hamburgerem? - zapytał Justin.

- Verona zbyt silnie na mnie działa, szczególnie w połączeniu z przystojnym, wysokim...

- Dajmy już temu spokój, dobrze?

- Może chciałam tylko dowieść swojej władzy? - odparła z uśmiechem. - Patrz. Są dwa wolne miejsca. Zajmę je dla nas. Justin, poproś o kanapki z podwójnym sosem.

Zaczekał w kolejce i zamówił cztery kanapki z podwójnym sosem, fioletowe marynowane jajka i miskę sałatki z białej kapusty. Jedzenie okazało się zadziwiająco smaczne. Elisse, której wrogość przekształciła się w zgryźliwy dowcip, zręcznie i schludnie dawała sobie radę z kanapką, co nie było łatwe ze względu na grubość bułki.

- Następnej już nie dam rady zjeść - oznajmiła.

- W takim razie ja dokończę, a ty mów. Podobało ci się w Anglii? Elisse, opowiedz mi o sobie.

Usiadła wygodniej i zaczęła wysokie obcasy o poprzeczkę stołka. Wyprawa do Anglii, jej pierwsza w życiu, od początku do końca okazała się cudowna. Unosząc jedną brew, Elisse zdradziła, że był to prezent z okazji ukończenia studiów. - A może raczej wyraz wdzięczności moich rodziców, za to że w Berkeley nie zapisałam się do partii.

- Zdobyła tam dyplom z literatury i wykorzystywała swoje wykształcenie pracując jako recenzentka dla Harry'ego Coh-na, właściciela Columbia Pictures, jednej z niewielkich wytwórni przy Gower Street, zwanej czasami zaułkiem biedy. Justin zapytał, na czym polega zadanie recenzentki. Wyjaśniła mu, że czyta powieści i sztuki teatralne, a następnie zapisuje ich streszczenia dla Harry'ego Cohna, który, jak głosi fama, nie potrafi czytać. - W zasadzie daję streszczenia Samowi Briskinowi. To jedyny piśmienny kierownik Columbii. - Była jedynaczką. Ojciec grał na altówce w Orkiestrze Filharmonicznej Los Angeles. - Mama i tata tak naiwnie podchodzą do życia. Nic nie wiedzą o polityce. - Mimo żartobliwej miny, kiedy mówiła o rodzicach, w jej orzechowych oczach rozblęśla czułość, jakiej Justin jeszcze nie widział.

Skończył jeść trzecią kanapkę.

- Kiedy cię zapraszałem na kolację, w pierwszej chwili chciałaś mi odmówić. Nie nosisz pierścionka zaręczynowego.

Podniosła lewą dłoń bez żadnych ozdób. Zauważył, że małe, wypolerowane paznokcie mają duże, białe półksiężycy.

- Nie, nie jestem zaręczona - oznajmiła.

- Czy jest ktoś w twoim życiu?

- Nikt specjalny. Czy żaden inny powód nie przyszedł ci do głowy?

- Nie rozumiem.

- Wiesz przecież, że jestem Żydówką.

- Oczywiście. Przecież jesteś kuzynką Rosburga.

- Nie przypominaj mi o tym. Victor to niezły spryciarz -odparła. - Często się spotykasz z żydowskimi dziewczętami?
 - W Detroit nie miałem okazji poznać zbyt wielu.
 - To wielkie miasto, w którym mieszkają tysiące żydowskich panien, niektóre z nich są nawet bogate tak jak ty. Ale jakoś nigdy ich nie poznałeś. To są dwa różne światy, Justinie. - Teraz mówiła poważnie.
 - To chyba zbyt mocno powiedziane.
 - Wcale nie. Te dwa światy przylegają do siebie, ale nigdy się nie łączą.
 - Daj spokój, Elisse. - Inni Żydzi, z którymi miał okazję się zetknąć, unikali rozmów na temat swojego pochodzenia; byli na tym punkcie bardzo drażliwi. Justin poczuł, że się czerwieni.
 - Nie powinnam narzekać. Nie mamy tu pogromów, gett ani ludzi w białych kapturach. Sama nie wiem, czy nie lepiej, żeby było odwrotnie. Przynajmniej wiedziałabym, jakich granic nie wolno mi przekraczać. Istnieją różne rodzaje barier, a najłatwiej rozbić sobie głowę o te niewidzialne. -Skóra wokół oczu napięła się. Justin zrozumiał, jak łatwo zranić tę pięknie opaloną, wesołą dziewczynę. Zapewne przydarzyło się jej to nieraz.
 - Elisse - odezwał się cicho. - Źle mnie zrozumiałaś. Ja już nie pasuję ani do tutejszego życia, ani do życia w Anglii. Nie należę do żadnej grupy, do żadnego świata.
 - Co? Nie próbujesz mi wmówić, że nie mam racji?
 - Nie zastanawiałem się nad tym problemem na tyle, żeby o nim dyskutować. Ja po prostu nie mam takich doświadczeń. - Odłożył widelec. - Religia niewiele dla mnie znaczy. Czy dla ciebie jest ważna?
 - Zamrugnęła, a potem posłała mu swój najpiękniejszy, najbardziej denerwujący uśmiech.
 - Czy przyprowadziłabym cię do mojego ulubionego baru, gdybym wierzyła w przestarzałe burżuazyjne przesady? Usiadł wygodniej na stołku.
 - A ja i tak kiedyś cię zabiorę do restauracji z kelnerami i białymi obrusami.
 - Jesteś bardzo władczy, chociaż tego nie okazujesz, prawda?
- Spacerowali po okolicznych ulicach. Mroczne, nieduże meksykańskie i chińskie sklepiki otaczała tajemnicza, gęsta

mgła. Wziął dziewczynę pod ramię, kiedy pokonywali wysoki krawężnik. Nie używała perfum, ale pachniała mydłem i delikatnym, naturalnym zapachem ciała, który przyciągał go jak wygłodniałego kolibra. Nie zwolnił uścisku na jej ramieniu, kiedy żartobliwie sprzeczali się o pogodę w Los Angeles, czy Charlie Chaplin jest geniuszem - ona twierdziła, że filmowy komik nim jest - i o decyzję Henry'ego Forda, który wprowadził czterdziestogodzinny tydzień pracy.

- Znów naśladuje Toma Bridgera - zapewnił Justin i zaraz się zląkł, że Elisse wypomni mu antysemicki brukowiec I orda, „Dearborn Independent”. Jednak ona tylko zapytała, czy czytał ostatnią powieść Prousta. Przyznał, że ma niewiele czasu na lekturę. Dziewczyna spojrzała na zegarek.

- Skoro mowa o czasie, to jest już pięć po dziesiątej.

- Czy to, że nie czytam powieści, to również minus?

- Oczywiście! - Uśmiechnęła się. - I nie zapominaj, że Jestem pracującą dziewczyną.

- Odwiozę cię do domu.

Mieszkała w Beverly Hills, przy ulicy przedzielonej szpalerem żywopłotu. Jej dom można by nazwać bungalowem, gdyby nie kwadratowy pokój w wieży. Z jego otwartych okien płynęły czyste dźwięki kwartetu Mozarta.

Kiedy wyjmowała z torebki klucz, zapytał:

- Przyjechać po ciebie jutro, jak skończysz pracę?

- Ci kapitaliści są tacy pewni siebie.

- Nie jestem kapitalistą, tak samo jak ty nie jesteś uciskaną robotnicą. Dlaczego chcesz udawać, że między nami wre walka klasowa? Ja spędziłem bardzo przyjemny wieczór i chciałbym znowu się z tobą umówić.

Muzyka gwałtownie się urwała, rozległ się męski głos i popłynęły dźwięki altówki. Elisse uniosła głowę, słysząc dźwięczną, radosną melodię.

- Czy jeśli ci obiecuję, że nie pójdziemy do Verony, to się zgodzisz? - zapytał Justin.

- Przepraszam, ale mam spotkanie - odparła szczerym tonem.

- Dzisiaj mamy czwartek. We wtorek wyjeżdżam.

- W takim razie, może znajdę czas, żeby coś przekąsić.

- Przed bramą o tej samej porze? Nadal słuchała muzyki.

- Tak. - Dotknęła jego ramienia i bez słowa pożegnania zniknęła za drzwiami.

III

Justin zatrzymał się w hotelu Ambassador. Przez szparę pod drzwiami wsunięto telegram. SPOTKAMY SIĘ W SEATTLE TRZYDZIESTEGO WRZEŚNIA TOM. Justin przeczytał i uśmiechnął się krzywo.

Jakie to typowe. Treść depezy doskonale wyrażała stosunek Toma Bridgera do niego. Szorstki i służbowy. Jediną poufałością, na którą po długich latach znajomości zgodził się Tom, było pozwolenie Justinowi, żeby zwracał się do niego po imieniu.

Zamieszkamy w tym samym hotelu, będziemy wspólnie jadać posiłki, ale Tom będzie zachowywał się tak, jakbyśmy stali na podwyższeniu przed wszystkimi pracownikami biura i każde słowo, które wypowie, będzie dotyczyło spraw Onyxa. Justin patrzył na żółty telegram z nieszczęśliwym uśmiechem. Po tak długim czasie powinien już przywyknąć do niezmiennej oschłości Toma, ale nie potrafił. Przeczucie, że w Seattle Tom znów przejmie nad nim chłodną kontrolę, nadwątląło i tak niewielką pewność siebie Justina.

Dawna niechęć do Toma zmieniła się w gorący podziw, lojalność i uczucie, które w głębi duszy nazywał miłością, pełną szacunku miłością, z którą nie chciał się zdradzić, ponieważ jego siwowłosey, kostyczny pan i władca zachowywał między nimi dystans, a Justin, z natury powściągliwy, nie potrafił go zniwelować. Roztarł ramiona, jakby wilgotna, chłodna mgła znad oceanu wkradła się do pokoju. Nie można zaprzeczyć, że boleśnie odczuwał takie traktowanie. Nigdy nie zaproszono go do nowego domu Bridgerów na farmie ani na żadną rodzinną uroczystość. Podejście Toma pogłębiało zadawnione odczucie Justina, że jest samotnym wygnańcem w obcym kraju. Jednak w końcu zdołał pozbyć się zenującej, infantylnej zazdrości o Carylla i nie musiał dłużej się wstydzić, że tak bardzo cierpi, bo znowu nie zaproszono go do okrągłego stołu w jadalni dyrekcji, chociaż trzech najstarszych synów Sinclaira regularnie tam jadało. Dawniej to wszystko doprowadzało go niemal do płaczu.

Pomyślał, że jest coś dziwnego w tym, że tak konsekwentnie odsuwano go w cień. Trwało to już zbyt długo. Zapalił papierosa i spoglądał roztargnionym wzrokiem na telegram. Zastanawiał się nad paradoksami ich znajomości. Kiedy zostawali z Tomem sami, wyczuwał emanujące z nie

go głębokie, ciepłe uczucie. Wtedy zwykle Tom przybierał sztywną postawę, jakby się zmuszał, żeby mówić tylko o interesach i ustrzec się przed jakimś czulszym gestem czy osobistym wyznaniem.

Justin zmiął żółty papier. Ciepło, głębokie uczucie, osobiste wyznanie! Akurat! Dziecinne mrzonki. Tom szybko go awansował, więc z pewnością go doceniał. Czuje do mnie szacunek, pomyślał Justin. To wszystko. Po prostu szacunek. Cisnął zmięty telegram do kosza na śmieci.

Zniknęła radość, którą czuł u boku Elisse. Był teraz zmęczony i przygnębiony.

Zdecydowanym ruchem rozluźnił krawat, otworzył teczkę i wyjął żółty brulion, w którym notował spostrzeżenia z inspekcji montażowni w Glendale. Nękało go wiele pytań o stosunek Toma do niego, ale co do jednego nie było najmniejszej wątpliwości. Pracodawca wymagał codziennych sprawozdań z służbowych podróży.

Chociaż w Onyksie nie używano tytułów, Justin był odpowiedzialny za pracę trzydziestu jeden zakładów montażowych. Kiedy trzy lata temu wrócił do Ameryki, w montażowniach panował bałagan. Wysyłki następowały nieregularnie i często ginęły po drodze. Całe miesiące zajęło mu planowanie skomplikowanego systemu rozrachunkowego, dzięki któremu można było śledzić drogę każdej części wysłanej z Hamtramck albo Woodland, koordynować dostawy i dopasowywać je do zapotrzebowania mniejszych fabryk. Było to jedyne w swoim rodzaju osiągnięcie. Pan du Pont osobiście wypytywał go, czy nie zechciałby się przenieść do General Motors. Jednak Tom został w Onyksie. Kierowało nim uczucie, lojalność i to dziwne wrażenie (a może tylko żalosna nadzieja), że Tom odwzajemnia jego emocje.

Justin przestał pisać i z namysłem stukał o zęby skuwką wiecznego pióra. W końcu ułożył ostatni akapit:

Dzisiaj spotkałem się z dealerami z obwodu Wilshire. Sytuacja wygląda źle. Nasze obroty w południowej Kalifornii również znacznie spadły. Z zaskoczeniem dowiedziałem się, że firma Kleinschmidt-Loring, jeden z naszych głównych klientów na tym terenie, przeczuciła się na Chevroleta. Sam Kleinschmidt był zażenowany, ale powiedział mi, że nie mogli już sprzedawać podążającym za modą kalifornijczykom

naszego czterocylindrowego, zbyt wysoko zawieszzonego i mato eleganckiego samochodu. Jutro odwiedzę tę firmę, żeby sprawdzić, czy coś się jeszcze da naprawić.

Podpisał się imieniem i nazwiskiem. Wrzucił list do skrzynki w holu i chwilę stał zamyślony z pochyloną głową. Potem zbiegł szerokimi, opustoszałymi schodami na parking.

Nie brukowana, szeroka jezdnia Wilshire Boulevard lśniła jak rzeka w światłach samochodu. Minęła już północ i na trasie spotkał niewiele aut. Skręcił z Rodeo Drive i zatrzymał się przed domem Kapłanów, po drugiej stronie ulicy. Zaszczekał pies, a potem słychać było tylko granie świerszczy. Jakieś drzewo albo krzew rozsiewało duszny, słodki cytrusowy zapach, który tłumił inne wonie wilgotnej, chłodnej nocy. Justin oparł lewe ramię na opuszczonym oknie i patrzył na majaczące we mgle białe gipsowe ściany. Cicho, ale z zadziwiającą pewnością zagwizdał kilka taktów z kwartetu Mozarta. Co mówiła jej ta muzyka? Nagle opadły go pytania i wspomnienia minionego wieczoru. Przed oczami stanęła zmysłowa postać dziewczyny i szczegóły ich spotkania. Rzadko zdarzało mu się działać impulsywnie, nie mówiąc już o dramatycznych gestach, więc sam się dziwił, że przyjechał pod jej dom. Wyrzucał sobie, że jest sentymentalnym gogusem, ale nadal siedział w Piątce i rozmarzony palił papierosa za papierosem. Nie czuje się tutaj samotny, pomyślał.

IV

Czy to spotkanie ma się odbyć w jakimś klubie kobiecym?

- A czy ja wyglądam na członkinię żeńskiego kółka studenckiego?
- Może poszedłbym z tobą i usiadł gdzieś z tyłu? Mógłbym cię potem odwiedzić do domu.
- To spotkanie jest po drugiej stronie barykady. Zaskoczony zmarszczył brwi.
- Nie rozumiem.
- Zebranie związku.
- Ach!
- Nie mów tak. To nie jest nielegalne. Chcemy założyć organizację dla dyżurnych planu z wytwórni.

Siedzieli w małej restauracji w Ocotillo, gdzie podawano potrawy, jakich nigdy jeszcze nie jadł, złożone głównie z kukurydzy, fasoli, ostrej papryki, sera i trudnych do zidentyfikowania kawałków mięsa. Przy zatłoczonym barze ramię Elisse od czasu do czasu ocierało się o niego. Zdawało mu się, że nigdy jeszcze nie próbował smaczniejszych potraw.

- Działaczka związkowa w ładnej, krepdeszynowej sukni i jedwabnych pończochach?
- To również nie jest zakazane. - Uśmiechnęła się.
- Perfumowałaś się dzisiaj.
- L'Heure Bleue. Jesteś bardzo spostrzegawczy.
- Czy to dla kogoś, z kim się tam zobaczysz?
- Dla ciebie, kolego.
- Wolę, jak tego nie robisz - odparł. - Elisse, gdzie ma się odbyć to spotkanie?
- Lubisz zawsze być górą, co? Chociaż tego po tobie nie widać.

Z otwartych okien małego, oplecionego barwnymi pnączami domku dochodził gwar głosów, więc Justin spodziewał się tłumu i kiedy znalazł się w środku, gdzie powietrze było ciężkie od papierosowego dymu i odoru ciał pocących, się w nocnej duchocie, odruchowo zaczął liczyć obecnych. Okazało się, że patrzy na niego tylko pięć par oczu. Postawna kobieta z siwymi warkoczami upiętymi w koronę, młody człowiek z cofniętym podbródkiem, rozparty na przykrytym narzutą tapczanie, jednoręki mężczyzna, który siedział wyprostowany po wojskowemu, i przysadzista kobieta patrząca na niego spod drgających powiek.

Mężczyzna w czarnym golfie wstał, żeby ich powitać. Justin zasiadał w tak wielu komitetach, że od razu rozpoznał w nim przywódcę grupy. Około trzydziestki, miał krótki, szeroki, spłaszczony nos, który być może złamano podczas walki na ringu, bo na twarzy tego człowieka malowała się czujność jak u zawodowego boksera. Również jego budowa przywodziła na myśl zawodnika wagi koguciej. Był niski, umięśniony i zwinny.

- Jestem Mitch Shapiro - przedstawił się, wymawiając swoje nazwisko Szap-aj-ro.
- To jest Justin Hutchinson - oznajmiła Elisse. Zdjęła żakiet odsłaniając opalone, krągłe ramiona. - Pracuje dla

Onyxa, więc mogę zapewnić, że nie jest wtyczką z wytwórni.

Mitch przedstawił pozostałych tylko z imienia.

- Czy Elisse ci wyjaśniła, co chcemy zrobić?

- Założyć komórkę związku w wytwórni - odparł Justin.

- Właśnie. Zastanawiamy się, jak ściągnąć dyżurnych planu na masówkę.

- Już ci mówiłam - wtrąciła Elisse. - Obiecuj im wolną miłość i darmowe piwo.

Justin oparł się o futrynę drzwi. Z rozmowy wywnioskował, że dyżurni planu to coś w rodzaju pomocników. Nie mają wielkich szans, pomyślał Justin. To prawie niemożliwe, żeby zainteresować wstąpieniem do związku stosunkowo dobrze opłacanych niewykwalifikowanych robotników, zwłaszcza gdy ich szef, w tym wypadku Harry Cohn, jest twardy i ma w kieszeni policję. Grupa burzliwie dyskutowała wciąż o tych samych problemach taktycznych.

Namacalne wręcz uczucie przyjemności i podniecenia przeszywało Justina za każdym razem, gdy Elisse wygłaszała jakiś trafny, złośliwy komentarz.

- Tak, Marto - zwróciła się do postawnej, siwowłosej kobiety. - Ciężarówka z megafonem jest niezbędna, szczególnie w przypadku, gdy spodziewamy się tłumów, czyli około tuzina ludzi.

- W Rosji na takim zebraniu pojawiłyby się tysiące - odcięła się Marta. - A policja czuwałaby nad bezpieczeństwem towarzyszy.

- Akurat! - mimowolnie wtrącił Justin. Wszyscy odwrócili się i wbili w niego wzrok.

- Nic dziwnego, że tak to skomentowałeś! - warknęła Marta. - Wiem, kim jesteś. Czytam kapitalistyczne szmatławce.

- Czy był pan u sowietów, panie Hutchinson? - zapytał Mitch.

- Mów mi Justin. Tak, pracowałem tam przez siedem miesięcy.

- Nigdy o tym nie wspomniałeś. - Chociaż Elisse mówiła obojętnie, w jej oczach zalśnił smutek.

- Jakoś się nie złożyło - wyjaśnił.

- W Gorkim jest fabryka Onyxa - powiedział Mitch.

- W pobliżu Gorkiego - sprostował Justin. - Pomagałem ją uruchomić.

- Nikt z nas nie był w Rosji - oznajmił Mitch. - Może byś coś nam o niej opowiedział?

Justin przeczesał palcami gęste czarne włosy. Ten mimowolny gest pomógł mu zebrać myśli. Po zastanowieniu opisał wielką, nie ogrzewaną fabrykę i robotników kulących się z zimna, ubranych w podarte waciaki albo brudne kożuchy. Jego rośła, budząca zaufanie postać i niski głos sprawiły, że wszyscy słuchali go w skupieniu, nawet Marta, która cały czas oblizywała uszmiłkowane usta, jakby za chwilę miała gorąco zaprotestować. Opowiedział im o Siergieju, swoim rosyjskim asystencie o dużych, sprawnych poznaczonych odmrożeniami dłoniach, który miał dyplom inżyniera jeszcze sprzed rewolucji i znał kilka słów po angielsku. Jego drobna, szczupła żona przypominała ptaka. Siergiej napisał trzy petycje, domagając się wstawienia piecyków do baraków robotników. Pewnego ranka żona Siergieja przyszła sama do stołówki, która zamiast podłogi miała gołe klepisko. Kobieta stała chwilę zgarbiona w grubym, niezgrabnym ubraniu, jak straszący piórka wróbel, a potem cicho usiadła za stołem w rogu, od którego inni jedzący natychmiast się poderwali, jakby zamiast miski z grochówką przyniosła tam śmiertelną zarazę. Justin wiedział, co oznacza takie nagłe, niewyjaśnione zniknięcie, i z dreszczem przerażenia i smutku pogodził się z faktem, że nigdy już nie zobaczy dzielnego Siergieja o szerokich dłoniach. Wiedział też, że robotnicy nie są okrutni ani bez serca, tylko jak normalni ludzie, dbający o własną skórę, boją się zbliżyć do rodziny dysydenta. Justin przysiadł się do stolika żony Siergieja i od tego dnia pamiętał, żeby jeść wszystkie posiłki w towarzystwie szczupłej, drżącej kobiety o zaczerwienionych oczach. Zawsze starał się zamienić z nią kilka słów, które znał po rosyjsku. Nikt inny do niej nie podchodził. Miesiąc później odwołano go do Detroit. Hugh powiedział mu, że sam Komintern zażądał jego usunięcia.

- Propaganda! - wrzasnęła Marta z niemal maniackim błyskiem w oku. Rozległ się chór powątpiewających głosów.

- Zapomnijmy na chwilę o partyjnym żargonie! - krzyknęła Elisse, podrywając się na nogi. - To prawda.

- Twój przyjaciel to zgniły kapitalista!

- I co z tego? To nie znaczy, że kłamie, prawda? Mitch Shapiro podniósł dłoń i uciszył zebranych.

- Zastanawialiśmy się, czy nie urządzić spotkania na

moim podwórku. Czy ktoś ma lepszą propozycję? Pablo? Germaine? Eric? Marta? Elisse? - Wprawnie nakłonił wszystkich do zorganizowanej dyskusji.

O dziesiątej trzydzieści, jakby wezwana przez niesłyszalny gwizdek, cała czwórka wstała i zaczęła się zbierać do wyjścia.

- Jak współwięźniowie - wyszeptała Elisse, gdy Justin pomagał jej założyć żakiet.

- Czy możecie jeszcze chwilę zostać? - zapytał ich Mitch. Justin spojrział na dziewczynę, a ona skinęła głową. Mitch wszedł do małej kuchni, widocznej za splekanym łukiem, a Elisse porządkowała pokój, wygładzała narzutę i opróżniała popielniczki. Widać było, że czuje się tu jak u siebie w domu. Justin zapalił papierosa i w zamyśleniu śledził ją wzrokiem.

Usiadła obok niego, przy stoliku do gry w karty. Obracając w palcach wypaloną zapałkę, odezwała się:

- Wygłosiłeś wspaniałe przemówienie, bardzo stosowne do okazji.

- Przynajmniej miałem okazję zobaczyć, jak mnie bronisz.

- Chociaż wcale tego nie potrzebowałeś. Teraz już rozumiem, dlaczego zrobiłeś taką błyskawiczną karierę. W środowisku filmowym powiedziano by, że nadajesz się na gwiazdę. Nie musisz wcale mówić tego, co ludzie chcą usłyszeć. Jesteś taki postawny, szczerzy i godzien zaufania, że wszyscy i tak cię słuchają. Mój Boże! Nawet Marta zamieniła się w słup soli!

Jej pochwała wywołała u niego dreszcz wielkiej radości. Dotknął dłoni, w której trzymała zapałkę, i wodził palcami po skórze między kciukiem a palcem wskazującym; była miękka, ale sprężysta i nasuwała na myśl rozgrzaną słońcem brzoskwinie. Dziewczyna rozchyliła lekko usta i opuściła powieki. Zaczął oddychać szybciej. Ten nieśmiały kontakt wywołał w nim takie napięcie erotyczne, że poczuł ucisk w pachwinach. Podniecony i zarumieniony cofnął dłoń.

- Kawa stygnie! - zawołał z kuchni Mitch. Pili z wyszczerbionych glinianych kubków.

- Nie chciałem potępić Rosji - wyjaśnił Justin. - To trudne zadanie, wydobyć ludzi z niewoli. Ale dlaczego mamy ich naśladować? Nawet jak u nas jest coś nie w porządku, to i tak mamy lepszy punkt wyjścia.

- Zgadza się - odparł Mitch.

Justin zapytał zaskoczony:

- To nie jesteś w partii?

- Nie, ale z nią współpracuję. Wychowałem się w ruchu robotniczym. Mój ojciec był jego organizatorem. Siedział w więzieniu z Samuelem Gomperssem. Często się przenosiliśmy. Kiedy miałem dziesięć lat, to było w Youngstown, konny policjant przyłożył mi pałką tak, że częściowo straciłem słuch w lewym uchu. Bili mnie skarpetą wypełnioną piachem, metalową rurką, czym tylko zechcesz. Wybili mi zęby i zamykali częściej, niż potrafię zliczyć. A za co? Powiem ci. Bo chcę walczyć o to, w co wierzę. Bo, moim zdaniem, każdy człowiek powinien móc zdecydować, jak chce spędzić życie. Głód nie może nikogo zmuszać do pracy w niebezpiecznych kopalniach i fabrykach.

Robotnikom należy wypłacać godne emerytury, z których mogliby się utrzymać, kiedy będą starzy lub kalecy. -

Mówił jak doświadczony mówca, ale na jego szerokiej, zniekształconej twarzy lśniła szczerść.

Justin pił kwaśną, pełną fusów kawę, czując na sobie badawcze spojrzenie orzechowych oczu Elisse.

- Jestem po twojej stronie - oświadczył. - Onyx nie jest rajem...

- Wykazujesz się niespotykanym obiektywizmem - wtrąciła dziewczyna.

- ...ale trzeba przyznać, że Tom Bridger zrobił dla swoich robotników więcej niż jakikolwiek związek. Dobrze im płaci i z fanatycznym zapalem dba o czystość, bezpieczeństwo i dobre oświetlenie. Założył szkoły, w których cudzoziemscy pracownicy mogą uczyć się angielskiego, zatrudnia ludzi bez względu na rasę i wyznanie, otworzył kasę oszczędności, która wypłaca większe odsetki niż bank.

- Cieszymy się i radujmy, bo przybył mesjasz - wymamrotała Elisse i dodała: - Już wiem, kto jest twoim ideałem.

- Przynajmniej Onyx nie wciąga członków związku na czarną listę - odezwał się Mitch.

- Nie mamy nic przeciwko nim - zapewnił Justin. - W naszych fabrykach związek działa.

- Wiem, kontrolowany przez spółkę - odparł ponuro Mitch.

- Dlaczego zawsze widzisz tylko ciemne strony, Mitch? - rzekła Elisse. - Robotnicy Onyxa mają bardzo przyjemny klub towarzyski.

Kiedy jechali po Sunset Boulevard, Justin zapytał:

- Gdzie poznałeś Mitcha? W Columbia Pictures?

- Nie, jest na czarnej liście we wszystkich wytwórniach -odparła. - Spotkaliśmy się w Berkeley, tej wylegarni anarchistów i rewolucjonistów.

- Jest od ciebie dużo starszy.

- Był kierownikiem mojej sekcji nauk politycznych. Justin wyminął stary Model T. Samochód miał kwadratowy tył i mosiężne latarnie, więc poznał, że jest albo z roku 1913, albo 1914.

- Umawiałaś się z nim?

- A jeśli tak, to co?

- Wciąż się spotykacie?

- Justin, nie składałam przecież ślubów zakonnych.

- Tak czy nie?

- Na przedostatnim roku pracowałam razem z nim w studenckim Komitecie Strajkowym. Umówiliśmy się kilka razy. Nie ma poczucia humoru, ale to bardzo dobry człowiek. Całkowicie oddany sprawie. Podziwiam to. Jeszcze jakieś pytania?

Przed nimi wyrósł znak stop i Justin ostro zahamował.

- Wyglądacie na bardzo zaprzyjaźnionych.

- Och, Justin, przestań mnie zdręzczać.

- Przy tobie tak dziwnie się czuję - wyznał z westchnieniem. - Nigdy się tak nie zachowywałem.

- Dlaczego jesteś zazdrosny? Los Angeles to dla ciebie tylko krótki przystanek - powiedziała stłumionym głosem. -A poza tym, to tylko przyjaciel.

v

W sobotę Justin zrezygnował z bankietu dla dealerów Onyxa z południowej Kalifornii i zabrał Elisse na kolację, a potem do kina na *Szejka*. Po filmie, przy lodach w Pig'n'Whistle, unosiła do nieba błyszczące, orzechowe oczy, naśladując zamglone spojrzenie Rudolfa Valentino. Tak dobrze jej to wychodziło, że Justin ze śmiechu zakrztusił się czekoladowymi lodami.

- Za takie uznanie należy ci się nagroda - stwierdziła. -Zabieram cię jutro na piknik w San Fernando Mission.

Dotknął dzwonka u drzwi. Chyba na niego czekała. Nie odjął jeszcze palca od guzika, kiedy otworzyła drzwi, wyszła i zamknęła je za sobą jednym płynnym ruchem. Skłoniła się i wręczyła mu ciężki kosz. Miała na sobie białą tenisową sukienkę z paskiem na biodrach i w kręconych włosach czerwoną opaskę. Uśmiechała się kpiąco, a jej skóra wyglądała jak brzoskwinia. Justinowi zaparło dech w piersiach. Znajdował dla niej tylko jedno określenie - słodka dziewczyna. Chciał wierzyć, że wyszła tak szybko z domu przez nieuwagę, a nie dlatego, żeby on nie wszedł do środka. Nigdy jednak nie umiał sam siebie oszukiwać. Nie chce, żeby zobaczyli mnie rodzice, pomyślał. Od kilku dni spotykamy się codziennie, ale mi ich jeszcze nie przedstawiła.

Elisse wskazywała drogę. Jechali krętą szosą przez góry Santa Monica, a potem minęli gaje pomarańczowe w dolinie San Fernando. Na terenie starej misji zjedli pieczonego kurczaka, sałatkę ziemniaczaną i wypili butelkę szampana, zakupioną od przemytnika z wytwórni. Uderzyły stare spiżowe dzwony, kiedy zwiedzali lepianki i zarośnięte ogrody. Jednak szczęście Justina zakłócało wspomnienie szybko zamykających się za nią zielonych drzwi.

W drodze powrotnej wskazała mu boczną ścieżkę.

- Pokażę ci Los Angeles - oznajmiła. Na niskim biegu wjeżdżali po krętej serpentynie, aż dotarli do zarośniętego placzyku na zboczu, z którego roztaczał się wspaniały widok. Jasnobrażowa równina była usiana cętkami osad, które ciągnęły się od miasta aż do wybrzeży oceanu.

W pobliżu nie było domów ani samochodów. W bezruchu późnego popołudnia zagruchał gołąb, a jakiś owad brzęczał hipnotyzująco. Spoglądali sennie na rozciągającą się przed nimi panoramę. Justin ostatnio sypiał krótko. Kładł się do łóżka po tradycyjnym już nocnym czuwaniu pod domem Kapłanów, a wstawał, jeszcze zanim obudził go zamówiony telefon z recepcji. Oparł głowę na obiciu fotela w zielone pasy. Piątki produkowano teraz w kolorach ciemnozielonym, szaroniebieskim, brązowym i jak dawniej, szarym. Światło drgało pod zamkniętymi powiekami Justina. Zobaczył szczupłą postać matki, która z opuszczonymi ramionami dźwięcznie nuci pięknym sopranem jakąś arię Pucciniego. Podobne sny nawiedzały go często (Antonia nieodmiennie śpiewała) i tak jak harfista szarpiąc struny wydobywa z nich długie, pełne akordy, tak te napełniały go nostalgiczną tęsknotą za przeszłością, kiedy to otoczony miłością nie czuł się samotny ani zagubiony. Drobne kropelki potu, lśniące na czole

Antonii sprawiały, że wydawała mu się jeszcze bardziej realna. Przestała śpiewać. Jej usta rozciągnęły się w radosnym, żywym uśmiechu, który zapowiadał, że zaraz wydarzy się coś pięknego. - Justin, kto to siedzi obok ciebie? - zapytała, a od wesołego śmiechu poruszał jej się koniuszek nosa. - To najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widziałam. Potrzęsął głową i obudził się.

Elisse go obserwowała. Dłoń, na której podparła głowę, rozciągnęła skórę na skroni i wokół oka. Dziewczyna wyglądała teraz jak egzotyczna mieszkanka wysp południowych.

- Zasnąłem.

- Taka kocia drzemka - powiedziała łagodnie.

- Przepraszam.

- Nie masz za co.

Nachylił się do niej i w tym samym momencie z uśmiechem otoczyli się ramionami. Pocałunek smakował przemycanym francuskim winem i kalifornijskimi winogronami. Kiedy się całowali, poczuł, że zatoczył pełne koło i wrócił tam, gdzie jest jego miejsce. Zapomniał o ograniczeniach, jakie Elisse wyznaczyła ich znajomości. Podniecenie dało o sobie znać jeszcze bardziej, kiedy dziewczyna rozchyliła wargi i dotknął jej języka. Sięgnął palcami pod wycięcie krótkich rękawów sukienki i przez jedwabną koszulkę wyczuł wzniesienie piersi. Z drżącym westchnieniem pieściła jego skórę pod rozpiętym kołnierzykiem koszuli. Jej ruchy stały się błędzące i lekkie, jakby inna Elisse, łagodna i delikatna jak kurczątko, wykluła się ze skorupy tamtej dowcipnej, twardej dziewczyny o starannie wypielęgowanym wyglądzie.

- Słodka - zaszeptał jej prosto do ucha.

- Justin... kochany...

W małej klatce ze szkła i metalu, ruchomym schronieniu, którego dostarczyła im era motoryzacji, Elisse odpowiadała na jego pieszczoty drzeniem i westchnieniami. Badał miękkość jej ciała, próbował jedwabistej, wilgotnej skóry. Kiedy dotknął najintymniejszej śliskiej, gorącej wilgoci, rozszalała się w nim euforia, o jaką się nawet nie podejrzewał.

- Najdroższa, czy ty... Czy ty już...

- Zawsze musi być pierwszy raz.

W trakcie miłosnych pieszczot, w narastającym pożądaniu, przypomniał sobie, co mówiła w barze Philippe'a. „To są

dwa różne światy." Znowu przypomniał sobie stanowczy ruch, jakim zamknęła przed nim drzwi swojego domu. Podniecona, rozpalona część jego osoby pragnęła połączyć się z nią już zaraz, ale jednocześnie było w nim inne pragnienie. Chciał wkroczyć w jej życie z podniesioną przyłbicą i z triumfalnym łopotem flag, chciał stać się częścią jej świata. Odsunął się, a kierownica Piątki wbiła mu się w bok. Wziął w ręce twarz Elisse i przyjrzał jej się. Na palcach czuł zmysłową, oszalamiającą woń intymnych części jej ciała.

- Justin, co się stało?

- Najdroższa, nie poznałem jeszcze twoich rodziców. Gwałtownie się odsunęła, wygładziła zmiętą sukienkę i zapatrzyła się w czerwoną kulę słońca, wolno pogrążając się w brunatnym oceanie.

- A co oni mają wspólnego z naszymi pieszczołami? -zapytała zaczepnie.

- Wszystko. Dlaczego nie chcesz, żebym ich poznał?

- To nieważne. W czwartek wyjeżdżasz.

- Czy są bardzo religijni?

- Dwa razy w roku chodzą do świątyni na Wilshire Boulevard.

- Więc dlaczego mnie im nie przedstawiłaś?

- Och, Justin, jak ty nic nie rozumiesz.

W zapadającym zmroku, ze startą szminką i krótkimi włosami w nieładzie wyglądała młodo i bezbronne. Justin zebrał odwagę i pytał dalej:

- Czy oni o mnie wiedzą?

- Masz mnie za krętacza? Pokazałam im artykuł o tobie w „Time” i wyjaśniłam, że spotkałam cię we własnej osobie u wuja, a teraz przyjechałeś na kilka dni do Los Angeles, więc pokazuję ci miasto.

- A oni ci zabronili?

- To nie w ich stylu. Ale mama ostatnio często wzdycha, a ojciec ma bóle w piersi. Jeśli zależy ci na tym, żeby cię zaakceptowali, te oznaki nie wróżą pomyślnie.

Justin poczuł ucisk w gardle. To odrzucenie jego osoby przez dwoje nieznanym mu ludzi nedorzecznie go zraniło. Przypomniał sobie wszystko, co słyszał o tym, że Żydzi zawsze trzymają się razem, o ich dziwnych zasadach dotyczących jedzenia, o ich strojach, synagogach i o dziwacznym dążeniu, żeby nie mieszać się z innymi, pozostać Narodem Wybranym. Natychmiast odrzucił te stereotypy,

ponieważ wcale się nie zgadzały z londyńskim domem Rosburgów, z ich wiejską rezydencją i z tą drobną, śliczną ciemnowłosą dziewczyną, w której się zakochał. Był w stanie tylko wyrzucić z siebie z goryczą:

- Wspaniale!

- Oni są dobrzy. To wina świata, nie ich.

- Mam winić świat za ich przesady? - Justin wyszedł z samochodu, odwrócił się tyłem, rozpiął spodnie i włożył w nie koszulę. Kiedy wrócił, jego gniew minął. Nie poruszyła się. Było ciemno i nie widział wyrazu jej twarzy. Kiedy na nią patrzył, przypomniawszy mu się drażliwość Żydów na punkcie swojej rasy. - Nie powinienem tego mówić. Przepraszam - wymamrotał.

- Lepiej wszystko otwarcie wyjaśnić - odparła znużona. - Nie zamierzam przeproszać cię za swoich rodziców ani za to, kim są. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to wcale nie jesteśmy tak uprzedzeni jak inni ludzie i częściej nadstawiamy drugi policzek, niż wymagają okoliczności. Nigdy nie słyszałam, żebyś tak się odzywał. Szorstko. Brzydko. A co ty sądzisz o Żydach?

- Znam ich niewielu. Rosburga, Millera, który był ze mną w plutonie. Razem siedzieliśmy o okopach, kiedy stracił nogę.

- To stamtąd ta blizna? Szrapnel zranił go w ramię.

- Tak. Lasy Belleau.

Oboje spojrzeli na rój świateł elektrycznych migoczących w szybko zapadającym, kalifornijskim zmroku.

- To, co powiedziałaś, zraniło mnie, więc ja też zaatakowałem. - Mówił z trudem. - Zwykle długo się zastanawiam, zanim coś powiem. Ale już nie jestem sobą. Od czasu śmierci matki byłem taki samotny. Teraz już nie jestem. Czuję się tak, jakby zwolniono mnie z miejsca odosobnienia.

- Siedzisz w samochodzie po drugiej stronie ulicy, kiedy już odwieziesz mnie do domu.

- Skąd wiesz?

- Kto inny zostawiłby stos niedopałków papierosów Craven A?

- Tak bardzo oszalałem na twoim punkcie, że nie wiem, co się ze mną dzieje. Nie mogę spać, nie mogę jeść.

- Wiem, jak to jest. - Jej głos brzmiał pusto, jakby przyznawała się do porażki. - Mam te same objawy.

Spojrzał na nią.

Mówisz poważnie? -.Och, Justin. Czy myślisz, że ofiarowuję swoje czyste, nieskalane ciało każdemu napotkanemu mężczyźnie?

- Wszystko popsulem, tak?

- Nie było już nic do popsucia. Zupełnie nie wiem, co robić. - Westchnęła, ujęła jego dłoń i pocałowała ją. - Jesteś moim księciem z bajki.

Przez umysł Justina przemknęły szalone wizje, w których porywał ją do pociągu w tej białej sukience i zakurzonych tenisówkach, razem stawali przed sędzią pokoju w Yumie, potem w jakimś zamkniętym przedziale spędzał z nią upojne godziny rozkoszy, zalegalizowanej w jakiejś nie związanej z żadnym wyznaniem świątyni, aż wreszcie, zapatrzonej w swoją żonę, żył z nią długo i szczęśliwie w jakiejś zielonej krainie marzeń. Małżeństwo? Czy jest tym samym Justinem Hutchinsonem, który rozważa każdy krok, ze wszystkich stron analizuje każdy problem, zapuszczając się w samo jego sedno? Co się stało z jego rozwagą i spokojem? Porwanie?

- Popraw szminką usta - polecił. - Jedziemy do twojego domu. Chcę ich poznać.

- Tata ma dziś koncert w Hollywood Bowl.

- W takim razie jutro - oznajmił stanowczo.

- Och, ty i twoje zdolności przywódcze! W takim razie zapraszam cię na obiad - odparła z dziwnym drzeniem w głosie.

VI

Zdecydowany podbić dom Kapłanów, wkroczył od razu do salonu, w którym dominował wielki fortepian. Kątem oka dostrzegł poukładane na stolikach czasopisma i liczne lampki z abażurami z jedwabiu, ozdobionymi frędzlami. Nagle ukazała się Elisse i ogarnęło go uczucie obsesyjnego szczęścia. Musiał powstrzymać się siłą, żeby nie wziąć jej w ramiona, kiedy przedstawiała go matce. Wyciągnął przed siebie długie pudło.

Pani Kapłan zajrzała w celofanowe okienko.

- Róże - uśmiechnęła się unosząc nieco drżącą górną wargę, co nadało jej wygląd bezbronnego dziecka. Czas zatarł kontury jej oczu i podbródka, jednak nie sposób było

nie zauważyć, że kiedyś wyglądała jak romantyczne, podobne do kwiatów dziewczęta z obrazów Alma-Tademy. - To bardzo miło z pana strony, panie Hutchinson - podziękowała szeleszczącym głosem z angielskim akcentem. - Biedactwa potrzebują wody. - Wypłynęła z pokoju powiewając szarą jedwabną suknią i zniknęła w łukowatym przejściu, wiodącym do jadalni.

Pan Kapłan sprawiał wrażenie energiczniejszego od swojej żony.

- Dzień dobry, panie Hutchinson - przywitał się wyciągając sprężystą dłoń muzyka. - Z przyjemnością widzimy tu przyjaciół Elisse. - Usta miał różowe, a ciepłe brązowe oczy powiększały szkła okularów. Kołysał niewysokim, okrągłym ciałem wspinając się na palce i znów opadając na pięty. -Córka nam powiedziała, że to pańska pierwsza wizyta w Los Angeles. Jak się tu panu podoba? - Jego angielski akcent brzmiał mniej elegancko. Justin uznał, że pan Kapłan pochodzi z Leeds.

- Nic dziwnego, że wszyscy chcą tu mieszkać.

- Zwiedził pan już miasto? Elisse mówiła, że nie był pan jeszcze w Hollywood Bowl. A może uznaje pan tylko muzykę synkopowaną?

- Bardzo żałuję, że nie byliśmy w czwartek na pana koncercie - odparł Justin. - Powiem szczerze, że jedyną muzyką popularną, jaką lubię, jest jazz.

- Gershwin korzysta z jej elementów w swojej *Błękitnej Rapsodii*.

Chociaż krytycy muzyczni chwalili *Rapsodię*, Justin uważał, że jest płytka, pompatyczna i nieznośnie irytująca.

Jednak Gershwin był Żydem, więc zastanawiał się, czy to nie pułapka, więc zagrał na zwłokę.

- W Detroit mamy kilka dobrych murzyńskich zespołów jazzowych. Czasami przyjeżdża do nas King Oliver z Chicago. Obawiam się, że mam niezbyt wyrafinowane upodobania muzyczne.

- Słyszysz, Elisse? - ucieszył się Kaplan. - Gershwin powinien się trzymać swojego gatunku muzyki. Jazz to sposób grania, a nie komponowania, a to wyklucza jego sposób orkiestracji. Ma pan wrażliwe ucho, panie Hutchinson.

Niedorzecznie uradowany tą pochwałą, Justin zerwał się z miejsca, ponieważ do salonu wróciła pani Kaplan, niosąc róże w wysokim chińskim wazonie.

Przestawiała bukiet z miejsca na miejsce, żeby sprawdzić, gdzie będzie najlepiej wyglądał. Wszystkie rodziny wyznaczają swoim członkom zwyczajowe role i Kaplanowie szybko w nie wpadli. Elisse, praktyczna cyniczka, przesuwała stopy pism i lampy unosząc lekko brwi. Pan Kaplan, koneser, tonem znawcy udzielał żonie rad, a pani Kaplan, miękka, niezdecydowana kobieta, pozwoliła się namówić na ustawienie wazy w miejscu, które od początku było oczywiste, na fortepianie. W tej krótkiej scenie było doskonale widoczne, że tę rodzinę łączą więzy uczuć, i Justin, postronny obserwator, przypomniał sobie inną trzyosobową rodzinę: Antonię, Claude'a i małego Justina.

- Czerwone róże wyglądają pięknie na tle tego żółtego hiszpańskiego szala! - powiedział pan Kaplan, cmokając z uznaniem.

- Podoba się panu miejsce, które dla nich wybrałam? -zapytała jego żona.

- Doskonale - odparł Justin. Jego głos brzmiał tak głucho, że Elisse zerknęła na niego pytająco.

Obiad podała ciemnoskóra, starsza służąca o srogiej minie, Coetta.

- Panie Hutchinson - odezwała się matka Elisse zatrzymując widelec nad udkiem kurczaka. - Skąd pan zna mojego brata?

- Ros... Victor jest moim przyjacielem ze szkoły.

- Mógłbyś wreszcie przestać się tym chwalić - powiedziała Elisse.

- Victor to miły chłopak, kochanie - stwierdziła pani Kaplan z roztargnieniem. Wciąż spoglądała na Justina.

-Mieszka pan teraz w Ameryce?

- W Detroit. Ale pani też pochodzi z Anglii, więc wie pani, jak to jest, kiedy człowiek się przenosi do innego kraju. Potem nigdzie już się nie jest całkiem u siebie w domu.

- Wszyscy znamy to uczucie - oznajmiła.

- Oprócz Elisse. - Uśmiechnął się. - Ona się tu urodziła.

- Chodziło mi o to, że wszyscy wiemy, co to znaczy czuć się obco - odparła pani Kaplan i chociaż jej szeleszczący głos i rozedrgany uśmiech się nie zmieniły, Justin, spoglądając na nią ponad białym obrusem, stwierdził, że nie jest taka głupiutka, na jaką wygląda, a nawet jeśli, to potrafi zrozumieć etniczne kompleksy córki lepiej niż on. - Elisse powiedziała, że jutro pan wyjeżdża.

- Tak. Wieczorem jadę pociągiem do San Francisco, a potem dalej, do Seattle. Jestem tam umówiony z panem Bridgerem.

- Z tym sławnym panem Bridgerem. Jak to miło. - Zadzwoń srebrnym dzwoneczkiem. - Coetto, ten kurczak jest pyszny. Czy mogłabyś przynieść dokładkę?

Po słodkim deserze owocowym, ozdobionym kandyzowanymi fiołkami, pan Kapłan zagaił:

- A może tak złamalibyśmy osiemnastą poprawkę do konstytucji, panie Hutchinson? Mam w studiu butelkę sznapsa. Justin czuł mrowienie między łopatkami, kiedy podązał za ojcem Elisse po wykładanych kafelkami schodach. Pokój w wieży, w którym stał jeszcze jeden wielki fortepian, umeblowano szafkami do nut, krzesłami i metalowymi stojakami.

- Tutaj udzielam lekcji. Bardzo starannie dobieram uczniów - oznajmił Kapłan i napełnił alkoholem kieliszki. Tutaj w swoim królestwie już nie chwiał się nerwowo na piętach.

Justin wziął od niego kieliszek.

- Dziękuję panu.

- To chyba miłe, jak za przewodnika po mieście ma się śliczną dziewczynę?

- Jasne.

- Nasza Elisse jest w dodatku bystra. Z wyróżnieniem skończyła college w wieku dwudziestu lat. Pracuje w wytwórni dopiero kilka miesięcy i już została główną recenzen-tką. Ale to nie nadęta intelektualistka. Jest... rozrywkowa, czy jak się tam teraz mówi.

- Nie ma słowa, które określiłoby Elisse. Ona jest wyjątkowa.

Kapłan usiadł na stolku przy pianinie i wychylił kieliszek.

- Nie umiem się zachować w takich sytuacjach, panie Hutchinson. Jeśli chce pan wiedzieć, jestem stanowczy tylko, kiedy chodzi o muzykę, o moją altówkę. - Potrząsnął głową i zabębnił palcami w pusty kieliszek. - Kiedyś chodziła na szkolne zabawy z chłopcem z katolickiej rodziny. Naturalnie, żona i ja próbowaliśmy to ukrócić, ale nie chciała nas słuchać. Powtarzaliśmy sobie, że to tylko jeden z jej nieżydowskich przyjaciół. Oboje skończyli szkołę jako najlepsi uczniowie i poszli do College'u Południowej Californii. Przez pierwszy semestr przyjeżdżał po nią swoim gruchotem. Trąbił, a ona wybiegała z domu, uszczęśliwiona. Elisse nie uznaje żadnych klubów, które stawiają swoim członkom

wymagania co do rasy czy religii. Nie zapisała się do stowarzyszenia żydowskich studentek. Ale on wstąpił do pewnego kółka. I kiedy tylko to się stało... - Kapłan krótkim, wymownym gestem strzelił z palców. - Okazało się, że nie wolno mu nawet podwieźć szesnastoletniej Żydówki do szkoły. Nie wiem, co jej powiedział, i czy w ogóle coś powiedział. Ale zgasło w niej jakieś światło. Próbowwała robić dobrą minę. Zauważył pan pewnie, że zawsze ma na wszystko gotową odpowiedź. Ale w środku jest miękka. I wrażliwa. Wyjechała na uniwersytet w Berkeley. Nie mogła o tym zapomnieć przez kilka lat. Jestem pewien, że do dzisiaj to w niej siedzi. - Spojrzał na gościa oskarżycielsko.

Justin poczerwieniał, jakby w zastępstwie tego tchórzliwego łajdaka, któremu miał wielką ochotę przyłożyć.

Kapłan mówił dalej:

- Czy pan wie, że w Europie przez wiele wieków obowiązywały prawa zakazujące Żydom poślubiania innowierców? W wielu krajach karano za to śmiercią. Nawet jeśli nie było takich ustaw, tłum często palił i pustoszył getto. Kiedy mężczyzna albo kobieta poślubiają kogoś z zewnątrz, odmawiamy modlitwę za zmarłych, kadisz. Dla nas stają się w pewien sposób martwi. Nie znajdują miejsca w żadnej grupie narodowościowej.

Justin zauważył, że w ostatnich zdaniach użył czasu teraźniejszego.

- Niewiele wiem o historii Żydów - powiedział.

- Jest częścią nas wszystkich, również Elisse. Następnym razem, kiedy pan tu przyjedzie, lepiej będzie, jeśli poprosi pan inną młodą damę, żeby oprowadziła pana po mieście.

- Czy powie pan to również Elisse?

- Myśli pan, że rozmawiałbym z panem o tych sprawach, gdybym już jej tego nie powiedział? - Westchnął. - Wczoraj wieczorem powiedziała nam, że zaprosiła pana na obiad i że ten dzień jest dla niej bardzo ważny.

- Jest ważny dla nas obojga. Kapłan wytarł czoło chusteczką.

- Widujecie się od niespełna tygodnia...

- Kiedy się na coś zdecyduje, nie łatwo zmieniam zdanie. Panie Kapłan, zapewniam pana, że nie jestem taki jak...

-Głos uwiązł mu w gardle.

Ojciec Elisse patrzył na niego nieszczęśliwym i bezradnym wzrokiem.

- Właśnie tego się obawiamy - wyznał. - Ona nie jest już małą dziewczynką. Moja żona i ja nigdy nie zgodzilibyśmy się, żeby wyszła za goja.

Justin zacisnął pięści. Jakim prawem Harris Kaplan wznosi zapory ze starych przewinień, których on, Justin Hutchinson nigdy nie popełnił? Czy ma prawo odrzucać go nie patrząc na jego zalety i miłość do Elisse, jedynie biorąc pod uwagę pochodzenie? To niesprawiedliwe, niesprawiedliwe.

- Elisse mnie uprzedzała. Nie chciałem jej wierzyć - odezwał się ostrym, rozkazującym tonem, wywołanym przez urażoną dumę.

- Byliśmy z żoną zaskoczeni, że w ogóle się z nią pan spotyka. - Słowa Kapłana były niczym wyciosane z kamienia.

- Przepraszam, że to mówię, ale Onyx to nie jest zbyt liberalna firma.

- To Henry Ford opublikował „Protokoły Mędrców Syjonu”, nie pan Bridger.

- Czy zatrudniacie Żydów na dyrektorskich stanowiskach?

- Mamy żydowskich dealerów, i to bardzo wielu.

- Ale nie dyrektorów? Justin potrząsnął głową.

- To nie ma nic wspólnego ze strategią firmy. - Znów czuł się niezręcznie, miał ochotę atakować i dręczyły go jakieś nieuzasadnione wyrzuty sumienia. Dlaczego wśród dyrektorów nie ma Żydów?

- A żony?

Justin znów potrząsnął głową.

- Czytałem w prasie, że wróży się panu świetlaną przyszłość - powiedział pan Kaplan.

- Moja praca nie jest tu problemem.

- Nie zdaje pan sobie sprawy, jakie kłopoty mogłyby wynikać w związku z tym, o czym tu rozmawialiśmy.

Najlepiej byłoby, i to dla was obojga, gdyby pan jutro wyjechał i więcej nie wracał ani nie pisał.

- Nie mogę panu tego obiecać, panie Kaplan. Elisse by sobie tego nie życzyła. - Miał wrażenie, że krew gotuje mu się w żyłach, ale zachowywał się spokojnie.

Usta Kapłana zaciskały się nerwowo. Justin odgadł, że w tej bolesnej, niezręcznej potyczce tęgi, sympatyczny muzyk przecenił swoje siły.

- Pana życie w Detroit nie jest dla niej, dla naszej Elisse.

To poważna decyzja - rzekł Justin. - Jeszcze nie rozmawialiśmy o niczym... zobowiązującym.

- Ale ma pan taki zamiar? Justin skinął głową.

Pan Kaplan otworzył klapę fortepianu i uderzył w klawisz.

- Kiedy masz dziecko, wydaje ci się, że twój system nerwowy jest z nim połączony. Czujesz cały jego ból, tylko nie możesz nic zrobić, żeby oszczędzić mu cierpienia.

- Ja nigdy nie skrzywdzę Elisse.

Niech pan mi wierzy, panie Hutchinson, żona i ja bardzo się martwimy tą... przyjaźnią. Ale to Elisse zostanie najboleśniej zraniona.

- Nie! - zaprzeczył Justin. Kaplan znowu uderzył w klawisz.

Nie jest pan dla niej odpowiednim człowiekiem, a ona też nie jest dla pana.

Justin wbił wzrok w kieliszek. Po długim milczeniu oświadczył:

Do niczego nie będę jej nakłaniał.

Zoe chodziła tam i z powrotem po peronie dworca Detroit, ciągnąc za sobą pełne podziwu spojrzenia i nabożną ciszę. Jej uroda wprost porażała oko.

Przejrzysta, delikatna cera nosiła ślad subtelnego rumieńca, oczy wydawały się jeszcze ciemniejsze w zestawieniu z rudozłotymi włosami, które falowały pod kloszowym kapeluszem, pełne usta czarowały śliczną linią. Ale tak naprawdę najbardziej oszałamiała jej figura - zaokrąglenia ciała i symetria kształtów w połączeniu z prostą sukienką i zakietem w kolorze zielonych wód Nilu. Wspaniałe ciało Zoe uginało się pod ciężarem emanującego seksu, który niepokoił, ale też i cieszył patrzących.

- Zoe! Zoe!

Caryll Bridger gonił ją szybkim, trochę kaczkowatym krokiem. Choć na listach najbogatszych ludzi świata wciąż pojawiały się te same nazwiska w różnych konfiguracjach i nadal nie rozstrzygnięto pytania, kto dzierży palmę pierwszeństwa - nizam Hyderabadu, Aga Khan, król Anglii czy Tom Bridger - Zoe nie widziała w Caryllu spadkobiercy nieogarnionej fortuny, lecz okrągłoliciego młodzieńca, którego łagodne szare oczy rozbłysły, kiedy uśmiechnął się do niej i elegancko uchylił kapelusza. Był dla niej jednym z potentatów przemysłu samochodowego, którzy wprost wariowali na jej punkcie.

- Caryll - mruknęła z irytacją. Tego dnia jego nie skrywana adoracja drażniła ją bardziej niż zwykle. - Widzę, że wzięłeś sobie urlop.

- Mam ich tu przywitać - powiedział dopasowując krok do jej tempa. Caryll odziedziczył po rodzinie matki masywne kości i niski wzrost. Na bosaka, w kostiumach kąpiel-

wych, byli z Zoe równi, ale teraz, kiedy Zoe miała na nogach zielone zamszowe buty na obcasie, wyraźnie nad nim górowała. - Nasza umowa na wieczór stoi? - zapytał.

- O czym ty mówisz?

- O tańcach - odparł. - Mówiłem ci o tym tydzień temu i powiedziałaś, że się namyśliśz. Pamiętasz? Na cześć Mavis i Teda.

Brzydkie kaczątko Ted z Akademii Wojskowej w Detroit wyrósł na przystojnego łabędzia i ku radości Carylla, w przedślubnych fanfarach, zaręczył się z dziedziczką fabryki farb. Tak niewiele było uroczystości, na które Caryll mógł zaprosić Zoe. Rodzina Bridgerów nie należała do klubów: Yondotega, Detroit ani do Bloomfield Country. Nie bywali na balach i rautach wraz z innymi rekinami przemysłu automobilowego - ich życie towarzyskie ograniczało się do spotkań rodzinnych. Na te zaś Justin i Zoe nie byli zapraszani. Caryll miał świadomość, że to pod wpływem jego rodziców ciotki wykluczyły Zoe i Justina z kręgu przyjmowanych osób. Ale ponieważ Maud nigdy nie napomknęła o żadnym oficjalnym zakazie, to dziwne zamknięcie drzwi przed nimi tak bardzo wytrącało go z równowagi, że nie spytał matki o przyczynę i nie zagadnął ciotki Melisandy, czy mógłby przyprowadzić swoją ukochaną i najlepszego przyjaciela na jej wspaniale organizowane *thés dansant* czy bale. Tak samo jak nigdy nie zapytał małej, pulchnej ciotki Yssy, czy nie mógłby ich zaprosić na jej rozhukane Dni Otwartego Domu.

- Paul Whitman przyjechał, żeby dla nich grać.

- Przypominam ci tylko, na wypadek gdybyś już zapomniał, że dzisiaj jest pierwszy wieczór Justina w domu.

- Może pójść z nami. Przecież Justin zawsze jest w formie. Zoe, pomyśl! Sam Paul Whitman! Będzie jeszcze inny zespół.

- A co to za różnica? Hugh nie może się już doczekać spotkania z Justinem.

- Przecież ty uwielbiasz tańczyć - Caryll nie dawał za wygraną. - Porozmawiają sobie jutro.

- A ty? Uważam, że powinieneś zostać w domu i trochę urobić ojca, zanim pokażesz mu nowy samochód.

- Chciałbym najpierw pokazać prototyp Justinowi - powiedział Caryll żałując, że zdradził się przed Zoe, która nigdy nie zadawała sobie trudu, by dochować jakiegokolwiek

tajemnicy. - Karoseria jest świetna, ale niepokoi mnie mechanika. Justin umie wypatrzeć każde niedociągnięcie.

- Boisz się ojca.

Uśmiech Carylla przygał. Choć znał na pamięć nagłe, niewyjaśnione zwroty chwiejnych nastrojów Zoe i wiedział, że jeśli okaże odrobinę hartu, Zoe zaraz zacznie się do niego przymilać, był w niej jednak nazbyt zakochany, żeby nie zwracać uwagi na docinki.

- Nie.

- Wszyscy się boją. Poza Hugh i Justinem.

- Tata jest żywą legendą, jest sławny. Nic dziwnego, że ludzie czują się przy nim skrepowani.

- Mówimy teraz o tobie.

- Zawsze ilekroć spieramy się na temat aut, nie mogę zapomnieć, że to przecież on zbudował przemysł samochodowy, a moje dotychczasowe osiągnięcie polega jedynie na tym, że jestem jego synem.

- Więc chcesz, żeby cię Justin osłaniał.

Caryll zagryzł wargę, by nie stracić nad sobą panowania. Tak, trafiła niemal w sedno. Chociaż Tom nigdy nie wyraził głośno respektu dla Justina i często był wobec niego szorstki, Caryll dobrze wiedział, że jedynie dla niego ojciec gotów był pójść na ustępstwa. Dlatego, kiedy Caryllowi zależało na przeforsowaniu jakichś nowych pomysłów, na ogół chodził do Toma z Justinem.

- Mogę po ciebie przyjechać o dziesiątej albo o jedenastej. Nawet później, jeśli chcesz.

- Kiedy błagasz, ślina kapie ci po brodzie. - Peronem wstrząsnęło drżenie. Pociąg z rykiem wtoczył się na stację. Zoe zostawiła czerwonego i śmiertelnie ugodzonego Carylla, przebiegła obok wagonu bagażowego, ominęła pasażerów, kolejarzy i zanim jeszcze steward podczepił schodki, zatrzymała się na końcu pociągu, przy prywatnej salonce Toma. Justin zeskoczył na peron.

Jego powściągliwość zniknęła, kiedy niedźwiedzim uściskiem porwał Zoe w ramiona i uniósł ją w górę.

- Zozo!

Odbiła koralowy stempel ust na jego policzku.

- Mój ty wspaniały! Tak za tobą tęskniłam! Roześmiał się.

- Kiedy miałaś na to czas? Z listów wynikało, że każdej nocy tańczysz do trzeciej nad ranem.

- Wykańczam się, kiedy ciebie tu nie ma - powiedziała zupełnie poważnie, znacząc jaskrawą szminką jego drugi policzek.

II

Tego popołudnia została w wykładanym boazerią gabinecie. Rozsiadła się w fotelu i przerzuciwszy piękne nogi przez obite skórą oparcie, przysłuchiwała się relacji brata. Justin opowiadał o tych sprawach fabryki, które były działką Hugh, o systemie zabezpieczeń socjalnych, o reklamie, o kontaktach z prasą. Zoe nie próbowała zrozumieć, o czym mowa - interesy nudziły ją śmiertelnie - wsłuchiwała się jedynie w głęboki tembr męskich głosów. Zerkając to na jednego, to nad drugiego; tylko w ich obecności czuła swoje miejsce w tym niepewnym świecie. Z zadowoleniem odnotowała, że spod marynarki Justina wystaje cały mankiet koszuli. Ubrania nigdy nie leżały jak trzeba na jego dużym, muskularnym ciele. Justina zawsze rozpięła energia i przez to wyglądał troszeczkę niedbale. Hugh, przeciwnie. W dwurzędowym garniturze w prążki był schludny i elegancki. Ich widok cieszył ją w równym stopniu.

Rozmowa trwała do końca kolacji. Sprzątnięto ze stołu i teraz siedzieli we trójkę przed trzema kieliszkami koniaku i wspaniałym półmiskiem od Paula Storra, z którego wprost wylewały się orzechy i duże, dojrzałe brzoskwinie.

- Odkryłeś, co się tam stało z obrabiarką w oddziale Glendale? - zapytał Hugh. - Doszły mnie jakieś plotki o sabotażu.

- Nic aż tak dramatycznego. Kierownik fabryki za bardzo dusi ludzi, to wszystko. Mówiłem już Tomowi.

- Wiesz, Justin, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć zawsze stajesz po stronie robotników? - Hugh się uśmiechał.

- Niech ci będzie, Hugh. - Justin odpowiedział mu uśmiechem. - Kierownik tak popędzał, że ludzie nie wytrzymali tempa. Jakies narzędzie dostało się między tryby. Gdyby majster natychmiast nie wyłączył maszyny, mielibyśmy jeszcze lepszy pasztet.

- Nie wspomniałeś nic o bankiecie dla dealerów w Los Angeles.

- Podobno bardzo się udał.

- Nie było cię tam?

- Akurat tam nie.

- Coś takiego! Ty nie poszedłeś? - zdziwił się Hugh. -Dlaczego?

Zoe zadrżała, domyślając się powodu. Znalazł sobie kogoś. Jakaś dziewczynę. Tę jedyną. Odejdzie ode mnie. Hugh dławił się ze śmiechu.

- Nie miej takiej strasznej miny, Justin. Tak harujesz, że masz wszelkie prawo do urlopu od czasu do czasu. - Wstał.

- Wy też musicie się dzisiaj nagadać. A na mnie czeka praca. Dobranoc, *mes enfants*.

Justin i Zoe szli spacerkiem w stronę jeziora St Clair, co jakiś czas trafiając w sadzawki niebieskawego światła, spływającego z żeliwnych latarni o koronkowym wzorze. Zoe, pełna obaw, szła ze ściśniętym gardłem i mocniej opatulila się gronostajowym kołnierzem pelerynki. Kiedy uznała, że może już mówić normalnie, spytała:

- A co to się stało tamtego wieczoru, kiedy wydawano bankiet? Poszedłeś do łóżka z Vilną Banky czy z Clarą Bow? A może z jakimś innym hollywoodzkim wampem?

- Nie znoszę, kiedy tak mówisz.

- Świntucha, to cała ja - odparła. - Byłeś z dziewczyną, prawda?

Słysząc było chrobot żwirku pod butami Justina.

- Z kuzynką Rosburga - przyznał powoli. - Spotkałem ją w Londynie, ale ona jest z Los Angeles.

- Jeśli to przez nią zaniedbałeś obowiązki związane z Onyxem, to musi być z niej nie lada dziewczyna.

- Jest.

- Hm!

Justin przeczesał palcami włosy i powiedział z zadowoleniem i jakby nieśmiało:

- Jest naprawdę porywająca, Zozo. Wielki rozum. Poczucie humoru... Zawsze umie powiedzieć coś ciętego. W każdej sytuacji. Tańczyliśmy trochę. Mówię ci, że charlestona śmiga równie genialnie jak ty. Jest troskliwa. I ma życzliwe serce.

- Boję się o ciebie, Justin. Ładna?

- Pytanie!

- Wysoka?

- Nie, mała. - Pokazał dłonią, że nie sięga mu ramienia. -

Ma kręcone kasztanowe włosy. Nie, właściwie nie są kasztanowe. Z przodu widać dużo złotych błysków. A oczy ma zielone, z iskierkami.

- A jak tam jej nos, co? - W pytaniu zabrzmiała nuta złośliwości.

- Przestań, Zoe - powiedział Justin w zamyśleniu. W jego głosie nie było gniewu. Pan Kapłan otworzył mu oczy na wiele spraw. Od tej pory Justin zaczął dostrzegać rzeczy, których dotychczas wcale nie zauważał: niedomówienia, protekcyjne rozbawienie i może nie tyle gwałtowny antysemityzm, ale wyraźną niechęć. Zasmucało go to i czuł się całkiem bezsilny, bo widział to wszystko w ludziach, których lubił i darzył zaufaniem.

- Jedno jest pewne. Nieźle ci zawróciła w głowie.

- Nie wiedziałem dotąd, kim jestem.

- Ty nie wiedziałeś? Ty, który zawsze wiesz, co robić?!

- Od czasu, kiedy zamieszkaliśmy tutaj, czułem się samotny jak kołek w płocie. Ty stworzyłaś sobie krąg znajomych.

Ja nie. Zozo, przy niej czuję się jak... Och, nie umiem tego wyjaśnić. Czuję, że żyję!

Zoe odsunęła się od niego i przeszła na skraj alei. Zawsze odpędzała od siebie myśl o małżeństwie brata, czy jak to nazywała na swój prywatny użytek, o jego dezercji. Nie było to trudne. Mroczny spokój Justina przyciągał do niego dziewczyny. Głupiutkie, hałaśliwe Dory, ale on umiał je przejrzeć na wylot. Widział, że pod trzepoczącymi rzęsami, krwisto umalowanymi ustami, które wabiły jak lep na muchy, i za ruchliwymi tyłeczkami kryje się wielka pustka.

Tak, Zoe przypisywała bratu niezliczone łóżkowe zwycięstwa, ale ponieważ dla żadnej z pokonanych nie stracił dotąd głowy, uznała, że jego serce na zawsze zostanie czyste, dziewicze. Tylko jej.

Weszli na sztucznie usypany pagórek i w milczeniu kroczyli ścieżką wiodącą do letniego domku. Oparty o balustradę werandy, Justin spoglądał w dół na wody jeziora czarne niby smar, po których sunął tylko jeden rozświetlony holownik, ciągnąc za sobą żółtą poświatę.

Zoe zacisnęła dłonie na wijącym się metalu balustrady.

- Czy ona wie, że masz wobec niej poważne zamiary?

- Tak, była o tym mowa. Ale jej rodzice sprzeciwiają się ostro małżeństwu z innowiercą.

- Sekretne zaręczyny.

- Nie prosiłem jej jeszcze o rękę. Jest młoda. W twoim wieku. Nie znamy się zbyt dobrze. Jej rodzice na pewno mają rację, nie będzie to łatwe. Czułbym się nie w porządku, przypierając ją teraz do muru. Dam jej czas.
- Nieskazitelnie szlachetny Justin!
- Rozmawialiśmy o tym cały wieczór. - Zdusił niedopałek. - Nie jestem naiwny. Wiem, że być Żydem to nie tylko sprawa innego wyznania. Ona uważa, że bardzo mi to będzie przeszkadzać w fabryce. Przecież to czysty absurd!
- Absolutnie tak. - Zoe kiwnęła głową.
- A jednak wciąż o tym myśli. Poza tym, nie chce ranić rodziców.
- Ile czasu daliście sobie na ochłonięcie?
- Do grudnia. Do Bożego Narodzenia.
- Będziesz umawiał się z innymi?
- Nie bądź obrzydliwa, Zoe.
- Nie, ty nie będziesz. A ona?
- Ona tak. Na tym to właśnie polega - wyjaśnił krótko i twardo. - Zimno tu, Zoe. Wracajmy do domu. - Kiedy otwierał przed nią drzwi, powiedział: - Nie chciałem ci płakać w rękaw.
- Czasami nawet ty, mój bracie, chcesz mieć przy sobie czyjeś przyjazne ucho.
- To prawda. Ale to wszystko zostanie między nami, zgoda?
- Jak mamę kocham - obiecała Zoe.

III

Rok po przyjeździe Justina i Zoe Hugh rozbudował swoją posiadłość z czerwonej cegły. Nowe skrzydło mieściło pomieszczenia na katalogi i szafki oraz pokoje biurowe na dole, na piętrze zaś znajdował się prywatny apartament Hugh, w którym pan domu mógł się czuć swobodnie, nie narażony na przypadkowe spotkania z gośćmi. Siedział właśnie w swojej bibliotece na piętrze i opierając stopy na poduszce, czytał zestawienia sprzedaży przywiezione przez Justina z Seattle, kiedy Zoe wpadła do pokoju jak burza.

Rzuciła się na krzesło obok Hugh.

- Znalazł sobie kogoś! - krzyknęła dramatycznie, a po jej ślicznych policzkach łzy płynęły jak grochy.

To naturalne, że zrozpaczona, zwróciła się właśnie do niego i że z nim chciała się podzielić sekretem Justina. W końcu kochała się w Hugh na zabój, zupełnie obsesyjnie.

A mimo to, on, wytrenowany czytaniem tajnych raportów prywatnych detektywów, otrząskany ze światem motywów, niczego nie przeczuwał. W jego oczach uśmiechy Zoe, to jak chłoneła każde jego słowo, jej nieograniczone zaufanie do niego były jedynie objawem przedłużonego stanu dziecięcej adoracji. W pewnym sensie miał rację. Kiedy Zoe miała osiem lat, na skrzypiącym pokładzie *Stephena Decatura* wymyśliła sobie własną wersję mitu Pigmaliona: Hugh ubóstwiał jej matkę, widział więc w niej, w Zoe, młodsze wydanie Antonii i chciał ją mieć na własność. Właśnie dlatego sprowadził Zoe, i naturalnie Justina, do Detroit. Uczucia dojrzewającej Zoe rzuciły ją w burzliwe odmęty pragnień. Budziła się bez tchu, ze ściśniętymi udami, po rozpalających snach, w których Hugh pieścił pączkujące piersi i intymne zakamarki jej kształtnego ciała. W czasie takich przebudzeń o świcie nauczyła się pewnej techniki manualnej, którą nazwała sobie „wspinaczką na sam szczyt i dalej”. Obraz Hugh pozostawał niezmiennie rdzeniem, wokół którego budowała napięcie tych chwil samouwodzenia. Zakochana w nim po uszy, uwielbiała jego bystry umysł, długie, szczupłe ciało, twardą, elegancką linię ust, przyprószone siwizną jasne włosy, dwadzieścia trzy lata różnicy wieku, Jego polityczną mądrość, nawet ciemnoczerwone blizny. Dlatego na tabun adoratorów, w tym i na Carylla, patrzyła Jak na stado cieląt.

Hugh ofiarował jej swoją chusteczkę.

- Podejrzywałem coś. To musiało się stać, wcześniej czy później.

- Ona jest z Los Angeles. - Głos Zoe wszedł na wyższe, plskliwsze rejestry.

- Dobrze, dobrze, Zoe - koił ją Hugh.

- Nie mogę znieść, że ktoś obcy go nam zabierze.

- On ją tu ściągnie. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Zawsze tak w pierwszej chwili reagujesz, kiedy Justin poświęci czemuś większą uwagę. Pamiętasz tę małą suczkę, którą mu kiedyś dałem? Nienawidziłaś jej najpierw. Potem Się z nią bawiłaś, a jeszcze później, kiedy wdarła się do twojego pokoju i pogryzła ci lalki, nawet nie wpadłaś w złość.

- To nie jest to samo. Ona to nie wyżeł, Hugh - zawodziła Zoe. - To kuzynka Rosburga.

Krew gwałtownie uderzyła mu do głowy.

- Rosburga? - Zapomniał się na tyle, że zwrócił okaleczoną część twarzy w jej stronę. - Rosburga?

- Jego kuzynka z Kalifornii. Justin poznał ją w te wakacje w Londynie.

- Jak ma na imię?

- Nie powiedział... A może mówił? Alice czy Elaine? Coś takiego.

- Ale to Żydówka?

- Właśnie. - Zoe otarła łzy. Wiedziała, że wywołała już w Hugh echo własnego niepokoju, nie rozumiała jednak, dlaczego fakt, że dziewczyna jest Żydówką, tak bardzo go poruszył. - Dał jej czas do Bożego Narodzenia na podjęcie decyzji. Ale on już zdecydował.

- Aż do tego doszło?

- Och, Hugh, a ty myślałeś, że o czym ja mówię?

- Nie przesadzasz czasem?

- Sam go widziałeś.

- W Los Angeles był tylko tydzień. Justin nie działa pochopnie.

- Wpadł po same uszy. Gorzej już nie można.

Hugh bębnił palcami o wnętrze drugiej dłoni, wbił wzrok w przestrzeń i zastanawiał się, jakie zagrożenia niesie ze sobą kalifornijska dziewczyna. Zoe, uspokojona, położyła ręce na krótkiej spódniczce jedwabnej wieczorowej sukni w kolorze akwamaryny. Teraz Hugh zajmie się wszystkim.

- Nie wierzę, żeby Justin aż tak dał się zwariować. Zoe mruknęła zachęcająco.

- Takie uczucia często szybko gasną - powiedział. - Zoe, kochanie, jestem zmęczony.

Wstała i poklepała go po ramieniu.

- Na pewno coś wymyślisz. Jak zawsze.

Stukot jej obcasów rozmył się w korytarzu apartamentu. Hugh oparł głowę na miękkiej poduszce fotela, przy każdym astmatycznym oddechu unosila się i opadała jego sztywno wykrochmalona koszula. Justin, myślał. Justin i jakaś Żydówka?

Hugh miał bardzo zaborczy stosunek do bratanka i jego uczucia do niego, wykraczały daleko poza miłość, jaką stryjowie zazwyczaj obdarzają potomków rodziny. Jego

szacunek i podziw dla młodego mężczyzny były bardzo żywe. Z początku Hugh miał głęboko za złe Tomowi, że nie wprowadził go osobiście w tajniki Hamtramck, nie przyjął z otwartymi ramionami na „farmie”, nie chwalił za osiągnięcia i prawy charakter ani za kierownicze zdolności. Tak, rozumiał ten podziwu godny wysiłek, z jakim Tom trzymał się z dala od chłopca. Tego oczywiście Justin nie mógł pojąć, I chociaż nigdy nawet nie napomknął o żadnej niesprawiedliwości, która go dotknęła - byłoby to z jego punktu widzenia zupełnie niehonorowe - Hugh dobrze widział, że jakaś część duszy Justina zmartwiała przez zimne zachowanie Toma.

Hugh wreszcie przyjął do wiadomości, że Tom nie zamierza odstąpić od dawnej obietnicy złożonej Antonii, że nigdy w życiu nie wysadzi wychuchanego Carylla z siodła i nie zastąpi go swoim pierworodnym - prawdziwym spadkobiercą.

Hugh przeniósł dotychczasowe zainteresowanie bratem na bratanka.

W ciągu tych lat, gdy przywiązywał się myślą do Justina, wymarzył dla niego pałac znacznie większy niż Onyx. W wyobraźni tworzył ogromną budowlę, taką, jaką wymyślił sobie George Selden. Monopol samochodowy. Wszystkie zakłady przemysłu automobilowego (Ford, Onyx, General Motors, Marmon, Hudson, Chrysler, Packard, Studebaker) miały być zjednoczone pod jednym dachem i zarządzane harmonijnie, skutecznie i godnie. Oczywiście przez Justina. Hugh już zaczął pracować nad tym projektem. Po cichu skupował udziały Stearnsa i General Motors, tu i tam szepnął ciche słówko i rozmiękczał dyrektorów, którzy kto wie, czy nie byłiby skłonni „sprzedać” spółki w zamian za udziały w nowym przedsięwzięciu. Te potajemne działania i rozpętana finansowa intryga były dla Hugh bardzo ciężkim zadaniem, zarazem szalenie niebezpiecznym. Czasem czuł, że przerażenie ściska mu gardło. Nie byłby w stanie prowadzić tych machinacji, gdyby nie miał z nim do czynienia na co dzień i nie podziwiał jego charakteru i zdolności. Naturalnie, sam Justin nie miał o niczym pojęcia.

Hugh wstał z fotela i wyjrzał przez okno. Patrzył na światła swojej posiadłości. Ta dziewczyna, myślał, jest zagrożeniem dla planu.

Nie żywił wrogości do żadnej grupy społecznej czy naro-

dowościowej. Jego zimna, obsesyjna niechęć dotykała wyłącznie tych, którzy patrzyli na niego ze wstrętem albo strachem. Ale przecież był zbyt bystry na to, żeby lekceważyć bigoterię innych. W tym przemyśle nikt nie poprze faceta ożenionego z Żydówką, skonstatował w myślach. Nawet za milion lat.

Muszę się dowiedzieć, na czym stoję, żeby znaleźć sposób na pozbycie się tej dziewczyny. Wrócił na fotel. Usiadł i czekał.

Około północy słyszał już drobne trzaski i westchnienia, które świadczą o tym, że dom zasnął. Wstał, przeciągnął się jak kot, zamknął na klucz drzwi do swoich pokoi i biblioteki, a potem podszedł do obrazu. Był to duży portret - jedna z tych renesansowych prób ujęcia bezkresu w ramy -dziewczyny o jasnej twarzy i jasnych jak łan pszenicy włosach. Jeden z historyków sztuki uznał, że obraz przedstawia Lady Jane Neville, i Hugh bardzo się nad portretem rozczulał. Teraz jednak nie zważał na swą domniemaną przodkinię i dotknął jednego ze środkowych zawijasów lewej części połączanej ramy, naciskając przy tym jej lewy dolny róg. Obraz wyjechał ze ściany na oliwionych zawiasach i odsłonił ukryty pod nim sejf.

Pracownicy firmy, podobnie jak Tom i Justin, sądzili, że wszystkie prywatne dokumenty Hugh, leżą schowane w pojemnej szafie panczernej. Jedynie on i rzemieślnik z Nowego Orleanu wiedzieli o istnieniu ukrytego schowka. Hugh przerzucał brązowe koperty podpisane ołówkiem własnym, schludnym pismem, aż wreszcie wyjął jedną z nich i zaniósł na stolik.

Pierwsza strona złożonych dokumentów też zapisana była jego ręką.

Dickson Keeley

Urodzony 5 stycznia 1892 r. jako dziecko Persis (z domu Dickson) i sędziego Barnsa Keeleya w Elizabeth w stanie New Jersey.

Skłonności seksualne. (Trzy fotografie w załączeniu). Informacje z prywatnego archiwum Woodrowa Wilsona, dotyczące okoliczności usunięcia K. z Princeton w 1912 r.

Dokumenty z Ministerstwa Wojny związane ze zwolnieniem K. w 1918 r.

Hugh czytał to *dossier* wcześniej, ale teraz jeszcze raz przewracał stronę za stroną, żeby upewnić się, czy Dickson Keeley na pewno okaże się właściwym człowiekiem. Zamknął kopertę w sejfie za obrazem i poszedł do sypialni. Podniósł słuchawkę telefonu.

IV

Zeszłej nocy nie zdradził pan żadnych szczegółów, do czego miałbym się przydać, panie Bridger, ale przyszło mi do głowy, że może zechce pan zerknąć na to - powiedział Dickson Keeley, rzucając aktówkę na elżbietański stolik. Wyjął plik papierów.

Zanim go usunięto z uczelni, Dickson Keeley należał do wioślarskiej załogi Princeton, i jak widać było po masywnych bicepsach pod spokojnym ciemnym garniturem, nie zarzucił uprawiania sportu. Detroit było całe lata głównym portem przerzutowym nielegalnego alkoholu do kraju i choć niesłusznie uważano, że Keeley osobiście sprowadzał niegdyś alkohol z Kanady, to niewątpliwie utrzymywał kontakty z rekinami podziemnego świata. Miał gładkie maniere i niebezpieczny uśmiech, dlatego też uchodził za bawidamka. Jego najbardziej zawzięci wrogowie, a było ich niemało, przyznawali jednak, że jest zatrwajająco odważny. Pułkownik Hazelford, szef Keeleya z wydziału bezpieczeństwa w departamencie opieki socjalnej, nie znosił go serdecznie. Ale ponieważ Hugh zatrudnił tam Keeleya osobiście - w końcu to jego poletko - był nie do ruszenia.

- Plany nowego projektu Carylla? - zapytał Hugh.

- A więc przedstawił je już rodzinie?

- Wprost przeciwnie. Ale mam swoje źródła. - Zoe mu powiedziała.

Dickson Keeley rozłożył papiery na stole.

- Trzeba było nieźle pogłówkować, żeby to zdobyć. W muzeum wszystkie okna i drzwi są zamknięte na głucho. Trudno się prześlizgnąć. Ciasno jak w szczurzym tyłku. -W zestawieniu z kulturalnym tembrem głosu Keeleya żargonowate określenia brzmiały jak obcy język.

Hugh machnął lekceważąco ręką.

- Niech je pan wypuści Fordowi albo General Motors.

- Co pan!

- I tak każda część zostanie zmieniona, jak tylko mój brat dostanie do ręki prototyp.
- Więc już nad czymś pracuje?
- Nie bardzo - odparł Hugh. - Ale Chevrolet zalewa rynek i jeśli szybko nie wprowadzimy czegoś w miejsce Piątki, wypadniemy z obiegu.
- Pański bratanek pokazuje dziś model Hutchinsonowi i jeśli on da zielone światło, wybiorą się wspólnie do szefa.
- Chcę być o wszystkim informowany na bieżąco.
- Na pewno mnie zaproszą z notatnikiem i aparatem fotograficznym!
- Niech się pan nie wygłupia - osadził go Hugh. - A skoro już mowa o Hutchinsonie, nic mi pan na niego nie przyniósł.

Keeleyowi opadła kwadratowa szczeka.

- O Hutchinsonie? Przecież on jest na miejscu!
- Keeley, czy pan pamięta, dlaczego dałem panu dodatkową stówę tygodniowo plus zwrot kosztów?
- Żeby przyglądać się z bliska grubym rybom. O co właściwie chodzi?
- W Los Angeles jest pewna dziewczyna.
- Nazwisko? - zapytał Keeley, patrząc bladymi, nieruchomymi oczami.

Hugh zwalczył nagle mdłości. Próbując ratować Justina przed tą dziewczyną, przed pogrążeniem się w mieszanym małżeństwie, musiał zdradzić bratanka. Nic na to nie poradzę, powiedział sobie w duchu, ale chwycił nożyk do papieru i gwałtownie rozciął kopertę, jakby tym jednym ruchem mógł wyciąć z ciała obrzydzenie, jakie czuł do siebie.

- Nic o niej nie wiem - mruknął i dodał: - Na razie.

v

Trzy dni później, o wpół do siódmej rano, jadąc noga za nogą, Tom przeciskał się przez bramę numer jeden w tłumie pracowników zdążających na kolejną zmianę w Woodland. Błyszczały reflektory aut, choć niebo zaczynało jaśnieć. Po lewej stronie widział trzy barki wyładowane po brzegi rudą, koksem i skałą wapienną, które wpływały z rzeki Detroit do specjalnie pogłębianego kanału przy fabryce. Na prawo, jakieś półtorej mili dalej, niewidoczne za blaskiem otwartych pieców stalowni, huty szkła, zakładu ogumienia i główną montażów nią paliły się olbrzymie lampy łukowe, a w ich świetle Piątki,

czekając na załadowanie na wagony-platformy, przechodziły ostatni sprawdzian pod okiem kontrolerów. Woodland przypominała ogromną samicę w nieustającej, głośniejszej i bez przerwy wyrzucała z łona nie kończący się strumień krępych, brzydkich, małych aut. Tego roku wypuła ich z siebie milion siedemset pięćdziesiąt tysięcy - mniej niż w ubiegłych dwóch latach, lecz mimo to wciąż więcej niż inne fabryki.

Kierowca samochodu obok, sedana 20, rozpoznał Toma i opuścił okno.

- Panie Bridger! Dzień dobry, szefie! - krzyknął z godnym słowiańskim akcentem, a trzech mężczyzn w jego samochodzie przytknęli dłonie do czapek.

Tom uniósł ramię i pomachał im sztywno. Nigdy się nie nauczył być królem, myślał. Coraz więcej robotników rozpoznawało go i pozdrawiało. Westchnął z ulgą, kiedy rzeka samochodów odpłynęła na jeden z licznych przyfabrycznych parkingów. Podskoczył kilka razy, przecinając tory, potem przejechał pod wielkimi taśmociągami, aż wreszcie zobaczył budynek administracji. Z zadowoleniem stwierdził, że choć urzędniczy dzień pracy zaczynał się dopiero o wpół do dziewiątej, w długim piętrowym budynku wiele okien jaśniało już światłem. Caryll wyjechał z domu wcześniej, dlaczego więc w jego biurze jeszcze jest ciemno?

W blasku lampy stał Justin i kreślił coś w długim notesie o żółtych kartkach - najbardziej je lubił. Na widok młodego mężczyzny wokół szarych oczu Toma zarysowały się drobne zmarszczki uśmiechu. Bardzo ograniczał wszelkie chwile sam na sam z Justinem, i dlatego te nie planowane minuty razem sprawiły mu tyle samo radości, co niespodziewany baton czekoladowy dziecku.

Tylko Tomowi wolno było parkować tuż przy głównym wejściu, zatem na widok hamującego samochodu Justin natychmiast zbiegł po schodkach i znalazł się obok wozu.

- Tom! Czekałem na ciebie.

- Co się stało? - Tom krył radość pod uważnie kontrolowanym chłodem.

- Wszystko jest w porządku. Caryll chciałby ci coś pokazać. - Widząc, że Tom podnosi wzrok na ciemne okna, dodał szybko: - W muzeum. Mam cię tam doprowadzić.

- No to wskakuj - powiedział Tom. A kiedy ruszał, zapytał: - Więc o co chodzi? Co to takiego, że aż zapomniał o śniadaniu?

Justin, niczego nie wyjaśniając, wzruszył ramionami i zapalił papierosa. Tom zerknął na oświetlony żółtym blaskiem znajomy profil. Jaki podobny do niej, skonstatował w duchu.

Sam nie wiedział, czy jego podekscytowanie spowodowane jest podobieństwem Justina do utraconej czarnowłosej kobiety czy może wynika z właściwych Justinowi zupełnie wyjątkowych cech. Tom polegał na nim, polegał na tym dużym, nad wyraz uczciwym młodym człowieku, który ruszał się z wdziękiem i pewnością sportowca. Nauczył się ufać mu bardziej niż komukolwiek, bardziej niż Hugh i Caryllowi, żeby już nie wspomnieć o szwagrach i trzech siostrzeńcach też zatrudnionych w Onyksie. Czasem przeklinał przysięgę złożoną Antonii, ale na ogół serdecznie ją błogosławił, zobowiązywała go bowiem do dyskrecji, której w normalnych warunkach nie byłby w stanie zachować. Cholera, Hugh wciąż dolewał oliwy do ognia podkreślając zdolności Justina! Gdyby nie ta dawna, a przecież wciąż obowiązująca obietnica, z jakąż łatwością można by bezwstydnie usunąć Carylla w cień - choć Tom ani na chwilę nie przestał go kochać. (Tom nie zdawał sobie wcale sprawy, jak często krytykował Justina i traktował go szorstkimi słowami. Ale nie uchodziło to uwagi dyrektorów Onyxa, którzy uznali, że dobrze to świadczy o szefie, skoro w interesie fabryki awansuje doskonałego pracownika, choć go tak strasznie nie lubi.)

- Nie zdradzisz co to za tajemnica? - zapytał Tom.

- To sprawa Carylla.

- Niewielu jest takich w Woodland, co by się odważyli tak mnie przetrzymywać - zauważył Tom, skręcając przy krajeźniku w stronę budynku muzeum. - Bardzo niewielu. -W jego głosie zabrzmiała nutka aprobaty.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Justin był wyraźnie zadowolony.

Czerwony budynek w stylu kolonialnym, w którym mieściły się modele Onyxów i Bridgerów, stał na dalekim końcu fabrycznych terenów. Pod portykiem wspartym na białych filarach nerwowo krążył Caryll. Teraz podbiegł do samochodu i powiedział:

- Dziękuję, że przyjechałeś, tato.

Wystawiane modele zniknęły i główna sala została przez dzielona ścianą z wbudowanymi w nią tablicami. Na ławach,

których blaty sięgały pasa dorosłego człowieka, leżały: sześciocyldrowy silnik, system hamulcowy, reflektory, amortyzatory Houdaille'a i inne części mechaniczne.

Ale tym, co naprawdę przyciągało oko, była karoseria w kolorze kasztanowym. Dwudrzwiowa, nisko przycupnięta, o eleganckich liniach Bugatti Breccii, wsparta na lśniącym ramie jak Marmon, miała opływowe zderzaki podobne do Dusenberga i pochyloną przednią szybę jak Oakland.

Tom zacisnął pięści w kieszeniach. Justin obserwował go spod drzwi. Caryll deptał ojcu po piętach.

- I co o tym myślisz, tato? - Leciutko zacinał się mówiąc, a jego pytanie odbiło się echem w pustce dużego pomieszczenia.

Tom nie mógł wydobyć z siebie głosu. Gotował się z wściekłości. Ci dwaj uknuli to przeciw mnie, myślał. Zrobili mi takie straszne świństwo! Mówią mi, że Piątka jest już stara. Mówią, że ja jestem już stary!

- Można go zmodyfikować pod każdym względem. Tom podszedł do ław. Głos rozsądku podpowiadał mu, że jego ból spowodowany jest wpływem czasu i przemijaniem hołubionego w sercu marzenia, podszeptował, że to nie Caryll i Justin go ranią. Ale kto słuchałby głosu rozsądku w chwili takiego wzburzenia? Na pewno nie Tom Bridger.

- Czy wy dwaj odrywacie się już od firmy i zakładacie swoją własną fabrykę? - wybuchnął. - Nie przypominam sobie, żebym komukolwiek zlecał zrobienie tego cholernego projektu!

- Uwzględniliśmy wszystkie sugestie dealerów. - Caryll starał się go uspokoić.

- Niech to jasny szlag!

- Ludzie na t...to czekają - jękał się Caryll. Justin podszedł do nich.

- Tom, dealerzy na tym cierpią. Tegoroczne zyski są daleko mniejsze niż te z zeszłego roku. Kilku dealerów ogłosiło upadłość. Caryll słucha ich uwag i skarg.

- Wiem, co robi Caryll! Sam dałem mu tę pracę! Justin ciągnął opanowanym głosem:

- Mówią, że klienci chcą mieć takie reflektory, które nie gasną, jak samochód staje. Żądają ruchomej przekładni biegów i nie mają ochoty stawać co kilkaset mil, żeby czyścić świece. Ludzie chcą jeździć wygodniej, równiej i ciszej. Przesiadają się z Piątek. Wolą kupić nawet używany

samochód niż nowego Onyxa. Chcą tego, co Caryll przygotował. Chcą widzieć klasę.

Tom jak zwykle nie umiał zdusić w sobie złości na Carylla. Szarpany bólem, zwrócił swój gniew przeciwko Justinowi.

- Chcą! Żądają! Wolą! Hutchinson, oni wszyscy mogą mnie w dupę pocałować! Nie będę robił gówna, które rozpadnie się jak krowie łajno na deszczu! - Huknął pięścią w zderzak. Metal nie ugiął się pod ciosem. Od bólu, który poraził mu ramię, Tomowi zakręciło się w głowie.

- Bóg jeden wie, jak często o tym rozmawialiśmy, Tom. -Justin nie dawał za wygraną. - Czy samochód to środek transportu, czy towar luksusowy. Szanuję twoje zdanie, Tom. Podzielam je. Po pierwsze funkcjonalność. Auto ma przede wszystkim przewieźć pasażerów bezpiecznie z miejsca na miejsce. A reszta? Nie warto sobie tym zawracać głowy. Ale to już przestało być akademicką dyskusją. Zdałem sobie z tego sprawę w czasie ostatniej podróży. Przesunął się punkt ciężkości. Nie mamy wyboru.

- My? Chyba się zapominasz! To ja sprzedaję Piątki i sprzedaję ich prawie tyle samo co w ubiegłym roku! To moja fabryka jest na pierwszym miejscu!

- W tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym sprzedawałeś pięćdziesiąt trzy procent wszystkich samochodów na rynku. Teraz, po dwóch latach, sprzedajesz czterdzieści jeden. - Justin mówił cichym, spokojnym głosem, który jednak rozbrzmiewał w całej sali. - Możesz mnie w każdej chwili wylać, ale nie zmienisz tym danych.

Tom zebrał się w sobie i tłumiał gniew, aż poczuł tylko bolesną grudkę w piersi. Dokonał cudu, ale to było dawno temu. Teraz ludziom nie wystarczała już sama jazda, teraz żądali błyskotek. Tak, zawiązał im świat i stworzył nowy symbol wartości. Dzisiaj pytanie brzmiało nie „czy jeździsz”, tylko „czym jeździsz?”

Nie mógł pozwolić, żeby domyślili się, jak szybko łomocze mu serce. Jezu Chryste. O, Jezu. Ale wali! Źle się zestarzało. Oparł dłonie na masce i patrzył w przednią szybę na swoje zniekształcone odbicie. Nienawidził ich za to, że mieli rację, że byli młodzi i nie wiedzieli, co znaczy upływający czas - nie wiedzieli nic o tym nieodwracalnym, smutnym procesie, który sprawia, że ciało więdnie i krew płynie wolniej.

Przez wysokie okna wpływało światło dnia.

Justin podszedł do kontaktu, żeby wyłączyć lampy osłonięte zielonymi kapturkami. Tom zaczął obchodzić prototyp. Justin śledził każdy jego ruch.

- To dopiero początek, Tom. Od tego możemy zacząć. Przyjrzyj się temu bez uprzedzeń.

Spokojny głos podziałał w końcu na Toma, zamienił rozwścieczonego Iwa w istotę myślącą w miarę racjonalnie.

Kiedy ponownie okrążał model auta, jego twarz nie zdradzała emocji, tylko głębokie bruzdy nadawały jej cyniczny wyraz. Teraz już nie odbierał tego pomysłu jako naśmiewania się z niego. Za dużo tu błysków i ozdobników, myślał. A jednak trzeba przyznać, że Caryll ma dobry smak i pod-kradł innym wszystko, co najlepsze.

Podszedł do silnika, żeby mu się przyjrzeć. Dotknął palcem cylindra.

- To nie jest szóstka - zauważył, wciąż bębniąc po metalu. - To ósemka.

- Ale tato, dzięki ósemce wyjdziemy poza krąg tanich samochodów - wyjaśniał Caryll z entuzjazmem w głosie.

-Chevrolet ma sześć.

- Od kiedy to małpujemy General Motors? - rzucił się Tom.

- Tato... - zaczął Caryll.

Nagle Justin wybuchnął głośnym śmiechem, młodzieńczym, radosnym. Teraz dopiero widać było, jak znakomicie panował wcześniej nad zdenerwowaniem.

- Caryll, zbudź się! Zbudź się! Caryll też zawtórował śmiechem.

- I w końcu model trafił pod lupę! - zawołał.

- Tak jest! Pod bardzo silną lupę - odparł Justin. Justin dał Caryllowi kuksańca w ramię. Ten odpowiedział mu klepieniem w plecy - to był ich uścisk. Tom patrzył na rozradowanych młodzieńców. Chciał nie chciał, pociągnął mnie za sobą w przyszłość. Moi synowie, pomyślał.

Dotychczas nie pozwalał sobie na to, by Justin dzielił jego serce na równi z Caryllem. Nie umiał narzucić sobie takiej dyscypliny, by nie myśleć o Justinie jako o darze niebios, o kimś bardzo bliskim, jednak ostatnim wysiłkiem woli zdołał jakoś wyłączyć z tego ojcowskie uczucia. Moi synowie, powtarzał w duchu. A ponieważ dotąd nigdy tak nie myślał, to świeże odkrycie miało w sobie przepotężną moc.

Moi synowie. Delektował się tymi słowami, jakby smakował najwspanialszy owoc.

VI

Tego ranka Tom wezwał swojego szwagra, Olafa Baardso-na - dawnego projektanta karoserii - i szefów czterech działów mechanicznych. Mężczyźni w watomanych kombinezonach roboczych tłoczyli się przy kasztanowym prototypie i częściach rozłożonych na ławach, wytykając niedociągnięcia, słabe strony modelu i strefy potencjalnych problemów.

Muzeum przeobraziło się w wielkie biuro projektów, warsztat i laboratorium. Stanowiło kuźnię nowego samochodu i powód do plotek, ale jego tajemnicy strzeżono tak szczelnie, że nawet carska policja nie zrobiłaby tego lepiej. Tam przynoszono jedzenie, tam rozstawiono łóżka. Tom rzadko wychodził. Jego nienawiść do Siódemki, jak wstępnie nazwali nowego Onyxa już gdzieś wyparowała. Unosiła go fala tworzenia, silna, niezawodna i tak pochłaniająca, jak ta, dzięki której zbudował kwadrycykl. 1 nie przypadkiem często śniła mu się młoda, szczupła Antonia, która jak dawniej mieszkała w wielkim domu majora Stuarta.

Caryll też biwakował w muzeum. Czuł się o niebo bezpieczniej niż wtedy, gdy sam był szefem i musiał samodzielnie wydawać polecenia. Prototyp został odrzucony. Caryll razem z projektantami usiadł nad rysunkami oryginalnej, nowej karoserii. Szkicowali linię wozu i wnętrza na tablicach - tak naprawdę były to ekrany z materiału - flanelę można było zrolować i zachować rysunek na później. Po raz pierwszy czuł się w fabryce szczęśliwy. Pomagał tworzyć nowe piękne auto i wykorzystywał przy tym swój dar - niezwykle wyczucie smaku. Rzadko się jękał. Nie zaciskał nerwowo szczęk i mógł wreszcie zrobić coś, na co wcześniej nie miał odwagi.

Zaprosił Zoe i Justina do domu.

I

Tego deszczowego dnia, w czwartek, kiedy szli na kolację do Bridgerów, Justin wrócił do domu na krótko przed siódmą. W sypialni, na tacy z korespondencją, pośród innych listów znalazł kopertę adresowaną ręką Elisse. Miał niecałe dziesięć minut, żeby się przebrać, ale podszedł z cieniutkim listem do biurka i nachylony przyglądał się badawczo drobnym, kanciastym literom i stemplowi pocztowemu z Beverly Hills, nie pominął wzrokiem nawet profilu Waszyngtona na karminowym znaczku. Potem wziął nóż do cięcia papieru. Kiedy rozkładał złożoną na pół pojedynczą kartkę, ściągnął brwi tak mocno, że trudno by było dojrzeć wyraz jego oczu.

Od czasu, gdy Tom, Olaf Baardson i Caryll zajęli się pochłaniającą robotą w muzeum, Justin kierował zakładami Woodland i Hamtramck oraz montażowniami. Te szesnastogodzinne dni pracy i nieustające interwencje uznał za zbawienie. Nie miał czasu rozmyślać nad listami takimi, jak ten. W pierwszym zwiewnym akapicie opisywała swoją pracę w Columbi, w drugim, równie lekkim, spotkanie w domu Mitcha. Kończyła jak zwykle tym samym: „Odezwe się jeszcze, Elisse”. Justin ponownie rzucił okiem na list, a potem westchnął. I co mu z tej uczciwości, ze wspomnienia, jak to razem siedzieli przed jej domem w ciemnym samochodzie, a on wplatał palce w jej miękkie kasztanowe kędziory i wspólnie decydowali, że muszą zrobić przerwę - na jakiś czas spróbować o sobie zapomnieć? Listy miłosne były absolutnie niedopuszczalne. Kto to właściwie powiedział, on czy ona? Tak samo jak niedopuszczalne było rozpamiętywanie wspólnie spędzonych chwil. Tamtego wieczoru na Zachodnim Wybrzeżu wszystko miało dla niego sens. Sądził, że oboje potrzebują próby czasu, by nabrać pewności, że

ich uczucie jest absolutnie prawdziwe. Teraz jednak okres rozłąki dławił go, dusił i raczej potęgował uczucia, niż je osłabiał czy zmieniał. Czuł do Elisse niezwykle intensywną miłość, a jej inteligentne, wyprane z emocji listy budziły w nim fale nieprzytomnego pożądania oraz wątpliwości, niestety, co do charakteru ukochanej.

Ukrył twarz w dłoniach i mocno ją ścisnął, jakby chciał zdusić kłębiące się pytania. Czyżby Elisse wodziła go za nos? Czy zdecydowała już, że nie będzie przejmować się religijnymi zakazami? A może znalazła sobie jakiegoś dobrze rokującego żydowskiego liberała? Czy Elisse Kapłan istnieje naprawdę, czy to może on, Justin, wymyślił sobie taką ciepłą dziewczynę pełną ideałów, ukrytą pod złotą kalifornijską opalenizną?

Nie zniosę tego dłużej, myślał. Zamówię międzymiastową - wyraźne pogwałcenie umowy.

- A diabła, tam! - mruknął i jego dłoń zawisała nad telefonem. Usłyszał stukanie do drzwi.

- Na golasa? - zawołała Zoe.

Szybko odwrócił list Elisse na podkładce do pisania i odkrzyknął:

- Wejdz!

- Jeszcze nie jesteś gotowy - zauważyła Zoe z pretensją. Oburzenie było zawsze eleganckim dodatkiem do jej oszałamiającej urody. Miała na sobie prostą wieczorową suknię, która lekko odsłaniała krągłości piersi i niczym śmietana spływała aż do kolan. Wąska brylantowa bransoletka, którą Zoe odziedziczyła po Antonii, obejmowała górną część młecznego lewego ramienia i stanowiła jedyną ozdobę stroju - bransoletka i wielkie, ciemne oczy.

- Wyglądasz jak chińska lilia - powiedział Justin. Zoe zlekceważyła ten ojcowski komplement.

- Justin, przecież wiesz doskonale, że Caryll pierwszy raz odważył się nas zaprosić do siebie. Mówił mi drżącym ze strachu głosem, że oni *manger* punktualnie o ósmej. Zupełnie jakbym tego do dawna nie wiedziała! -

Zdenerwowanie Zoe z powodzeniem mogłoby konkurować z paniką Carylla, a jego powodem były rzadkie, bardzo oficjalne spotkania z Bridgerami u Hugh. Niepokój Zoe nie wiązał się z faktem, że Bridgerowie należeli do elity bogaczy, lecz spowodowany był krótkim, zgryźliwym śmiechem Toma i nieruchomym spojrzeniem Maud.

Justin uspokajająco poklepał ją po ramieniu.

- Zdażymy, Zozo, nic się nie martw. - Wszedł do garderoby i zamknął za sobą drzwi.

Zoe chodziła bez celu po sypialni, dotykała grzbietów książek, przesunęła palcem po głośniku nowego radioodbiornika Atwater Kent i zainteresowała się listami brata. Usiadła w fotelu i czując jeszcze ciepło skórzanego obicia rozgrzanego ciałem Justina, zaczęła czytać. Z początku bez entuzjazmu. Złożyła kartkę, a potem przekopała szufladę starego, szkolnego biurka, by wreszcie znaleźć kilka równo poukładanych kopert, adresowanych tym samym drobnym, kanciastym pismem.

Przeczytała już osiem listów i właśnie wyciągała dziewiąty, kiedy otworzył drzwi. Włosy miał jeszcze wilgotne i zmierzwiłone, stopy boso - wkładał brzeg koszuli za pasek czarnych, prążkowanych spodni. Patrzył na nią z progu garderoby.

- Inteligentne i dowcipne - stwierdziła Zoe, unosząc nie czytana dziewiątą karteczkę.

Nagła bladeść twarzy podkreśliła mocno błękit jego oczu. Przeszedł przez sypialnię i wyrwał jej list z ręki.

- Ale z ciebie świnia! - Justin rzadko bywał wulgarny.

- Masz charakterek - mruknęła Zoe.

- Muszę wszystko zamykać na klucz, jak wchodzisz do pokoju? - Wrzucił listy i koperty do biurka. Róg jednej z nich wystawał nad brzeg szuflady, musiał więc mocno huknąć pięścią, żeby ją dobrze zamknąć.

- Ona organizuje strajk?

- Pilnuj swojego nosa!

- Na twoim miejscu chodziłabym na wszystkie możliwe zabawy i wracała w szampańskim nastroju. Nie masz najmniejszych szans u tej kalifornijskiej walczącej panienki.

Justin obrzucił ją wściekłym spojrzeniem i jak burza wpadł z powrotem do garderoby. Jedna z fotografii Claude'a przekrzywiła się trochę i Zoe poprawiła ją, mrużąc śpiwnie pod nosem. Przez moment patrzyła na przystojną twarz ojca z dołkiem w brodzie i bardzo jasną cerą, którą odziedziczyła po nim. Umarł, kiedy miała dwa lata, dlatego nie wiązała z nim żadnych wspomnień. Chwilowy szacunek, jaki zabłysł w jej oczach, wynikał bardziej z bałwochwalczego stosunku Justina do ojca niż z jej własnych uczuć.

Gdyby ktokolwiek inny pozwolił sobie wobec niej na taki

wybuch gniewu, już dawno stałaby pod drzwiami i ziała ogniem piekielnym. Ale to przecież Justin. Ta sama krew i najbliższa sercu osoba. Dlatego nie przejęła się jego krzykiem nawet w najmniejszym stopniu, podobnie jak swoimi okrutnymi słowami. Czekaj tylko! Teraz powiem Hugh, że nie ma się już co martwić tą Elisse Kapłan, myślała, unosząc ramiona nad głowę i przebierając palcami.

II

Maud i Tom dokupili ziemię wokół Bloomfield Hills i teraz ich posiadłość, „farma”, stała na gruncie liczącym osiemset hektarów. Większość terenów zostawiono w stanie dziewiczym i dom niemal dotykał plecami bujnego lasu, który pamiętał jeszcze rozbójników z Ottawy i Wyandot. Chropowate ściany ze skały wapiennej, masywny dach kryty dachówką, upstrzony niezliczonymi kominami, został zaplanowany, wedle życzenia Maud, z myślą o trwałości, a nie z przepychem i wdziękiem. A jednak mimo ciemnych boazerii i wysoko sklepionych sufitów korytarzy, w posiadłości panowała atmosfera prawdziwego domu - pachniało pastą do mebli i pieczonymi jabłkami. Ból Toma skryształizował się i okrzepł w ciągu lat, tworząc twardy jak diament rdzeń. Po pewnym czasie Tom nawet stwierdził ze zdumieniem, że potrafi żyć u boku Maud i być z tego zadowolony. W końcu dlaczego nie? Była matką Carylla, w dodatku kobietą o niepodważalnej uczciwości i lojalności - jego najlepszym przyjacielem. Czuł do niej wdzięczność za to, że nigdy nie wytykała mu kochanek o powabnych tyłeczkach, do których kusił go zdradliwe ciało. Zdaniem Toma, fizyczne pragnienia powinny być umrzeć wraz z jego wielką miłością.

Tom i Maud grali w bibliotece w domino, kiedy odezwał się dzwonek u drzwi. Caryll zapraszał gości do środka. Tom wstał, żeby ich powitać.

Maud nie była w stanie podnieść się z fotela. Dawno, dawno temu Tom postanowił nie zaogniać starych ran i nie wciągać Hutchinsonów w swoje domowe życie, ponieważ jednak nigdy nie mówiło się o tym wprost i głośno, Maud nie protestowała, kiedy Caryll poinformował ją, że zaprosił Zoe i Justina na kolację. Maud naturalnie widziała ich nieraz u Hugh, była więc już trochę przygotowana na spotkanie

z nimi, niemniej ciągle czuła do nich tępą i ciężką niechęć. Miała wrażenie, że to Antonia weszła przez duże szklane drzwi i wraz z wysokimi, urodziwymi dziećmi stała teraz w holu. To mój dom! - myślała Maud. W jej włosach nie było nawet śladu siwizny, a ciało (bezbłędnie działający organizm) przybrało tylko parę cali w pasie. Zniknęła już jednak młodzieńcza elastyczność ruchów i chociaż twarz nie straciła dawnej, pięknej karnacji i nie została zniszczona zmarszczkami, dwie fałdki pod brodą sprawiały, że w zestawieniu z mało ożywioną mimiką, wydawała się kwadratowa. Maud siedziała w kupionej przed trzema laty aksamitnej wieczorowej sukni i miała posępną minę jak ostatnia mandżurska cesarzowa-wdowa.

Zoe, wciąż rozradowana przeczytanymi listami, zachwycała się głośno:

- Och, pani Bridger, co za wspaniały dom! Maud zebrała się w sobie.

- Jest dużo skromniejszy niż pałac Hugh - odparła, przenosząc wzrok na Justina. Ponieważ był mężczyzną, mniej przypominał dawną rywalkę i jego obecność nie kłuła jej tak bardzo. - Uwierzycie państwo, że architekt powiedział, że jest w stylu posesji angielskich baronów?

- Rzeczywiście przypomina wiejską posiadłość Monty'ego - przyznał Justin.

Gdyby Justin sadził się na górnolotne uwagi, Maud gotowa by była nawet ostro warknąć. Poza tym, naprawdę spędziła bardzo miły tydzień w porośniętym bluszczem osiemnastowiecznym domu, który Edge odkupił od pewnego barona z Kentu, zrozpaczonego po śmierci obu synów.

- Nigdy mi to nie przyszło do głowy - mruknęła. - Tak, dom Monty'ego to wygodne i praktyczne miejsce.

Zegar na kominku rozdzwonił się srebrzyście. Maud wstała i wzięła Justina pod rękę, kładąc krótką, szeroką dłoń na rękawie jego marynarki.

- Kolacja już czeka - ozanajmiła.

Caryll spojrział nieśmiało na Zoe. Dziewczyna uśmiechnęła się i wsunęła mu rękę pod ramię. Tom siedł za obiema parami, a w jego szarych oczach pojawił się sardoniczny błysk. Ironia jego życia!

Młodzież śmiała się i swobodnie gwarzyła nad dużym posiłkiem nie przyprawionym ziołami ani korzeniami.

- To wymyślne jedzenie u Hugh tylko psuje żołądek -

zawyrokowała Maud. - A po szarlotce powiedziała: - Tom, tylko po jednym kieliszku brandy, kochanie. Nie więcej. My z Zoe wypijemy kawę w salonie.

Deszcz od pewnego czasu już nie padał. Kiedy obie panie weszły do salonu, duże krople znów bębniły o pochyłe tarasy.

- Co za pogoda! - rzuciła Maud, energicznie szturchając pogrzebaczem kłody drewna w palenisku. W salonie, ciągnącym się przez cały tył domu, na obu końcach wbudowano dwa wielkie kominki z czarnego marmuru.

Usiadła przy tacy z kawą, znowu w pozie owdowiałej cesarzowej. W okularach Maud odbijały się czerwone refleksy ognia, nadając jej twarzy dziwnie pusty wyraz.

- Jest pani tak wysoka, jak matka. I ma pani jej oczy. A mimo to pani brat jest bardziej podobny do Antonii.

Kiedy Zoe usiadła w fotelu, wyciągnęła przed siebie ręce, by ogrzać je ciepłem kominka. Teraz odwróciła się do Maud.

- Mama? - zapytała z drzeniem w głosie. Chociaż dziadkowie jej przyjaciół ciepło wspominali majora Stuarta, niektórzy nawet pamiętali jego ojca czy Oswalda Dalzella, nigdy nie mówili przy niej o Antonii. Nie padło jedno słowo na jej temat. Pod tym względem te kilka lat, które Zoe spędziła w Detroit, mogłoby równie dobrze zostać wymazane z kalendarza. - Była pani jej przyjaciółką?

- Ja? - Maud roześmiała się głośno i nieprzyjemnie. - Ja byłam tylko szwaczką, a ona mieszkała w wielkim domu przy Woodward Avenue. W tamtych czasach był bardzo szykowny. Przerabiałam jej czasem spódnice. - Maud zawiesiła głos, by po chwili ostro dodać: - Nie miała przyjaciół w tym mieście.

- Hugh...

- Był równie biedny jak ja. Spotkał ją raz czy dwa.

Zoe zmusiła się do uśmiechu. Wymyślona przez nią historia nieco się zachwiała, ale nie doszło jeszcze do trzęsienia ziemi. Najwyraźniej ten raz czy dwa wystarczyły Hugh, żeby tak mocno pokochać jej matkę jak Dante Beatrycze.

- Może dlatego tak jej tu było źle, bo czuła się bardzo samotna? Rozmawialiśmy o tym z Justinem. Nigdy sama z siebie nie wspominała Detroit, nawet za życia wujka Andrew.

- Z jego powodu wszyscy jej unikali.

Przez niego? - Na drobnej, ślicznej twarzy Zoe odmalowało się nieopisane zdumienie.

Maud mocno chwyciła kościane uszko dzbanka z kawą. Dużo się mówiło na ich temat.

Zoe zrozumiała, co Maud ma na myśli, i te słowa zapadły w nią głęboko. To nie kazirodztwo wstrząsnęło nią tak bardzo, tylko nekrofilia. Jak przez mgłę pamiętała majora. Wspomnienia pachniały kwaśnym odorem jego lekarstw.

Widziała go w dużym pokoju, gdzie odsiadywał wyrok: miał taką. Ten szkielet o żółtej skórze, ten chodzący trup, miałby się kochać z jasnym promykiem światła, jakim była Antonia? Obrzydliwe i niewiarygodne! Kłamstwo!

Naturalnie, że kłamstwo! Więc skąd wzięła się teraz gęsia skórka, która pokryła białe ramiona Zoe?

- Śmietanki?

- Poproszę - powiedziała Zoe zgaszonym głosem. - Przecież była jego bratanicą.

- Właśnie dlatego byli pod pręgierzem. Szyłam w wielu dużych domach. Bez przerwy się o tym mówiło. Przy mnie.

- Ale przecież mieszkał tam z nimi mój dziadek.

- Nikt go nigdy nie widział - stwierdziła Maud. - Zanim Antonia zamieszkała w tym domu, major zawsze miał jakąś dziewczynę przy sobie. Wiadomo jaką. Żyli razem. A po przyjeździe pani matki nie miał już nikogo. Kiedy wywiózł ją do Europy, wszyscy uznali to za ostateczny dowód. -Maud podała Zoe filiżankę. - Proszę nasypać sobie cukru.

- Nie słodzę - szepnęła Zoe. Małeńka filiżaneczka niebezpiecznie kołatała na złoconym spodeczku, kiedy Zoe odstawiała ją na stolik.

Maud poczuła, że pieką ją oczy. Jej zawziętość brała się z biblijnego przesłania o wyrównywaniu rachunków - nie szkodzi, że dopiero w następnym pokoleniu. Ale gdy przyglądała się tej pięknej młodej dziewczynie i spostrzegła, jak strasznie ją złamała, poczuła wyrzuty sumienia. Na dobrą sprawę kolacja minęła bardzo sympatycznie. Maud znad końca długiego stołu o masywnych nogach obserwowała syna i widziała, jak świetnie Caryll czuje się w towarzystwie przyjaciół - nie raz, nie dwa sama śmiała się z nimi.

- Ech, to tylko gadanie próżnych damulek, które z nudów wymyślały skandale - powiedziała składając broń.

- Jakie to paskudne - odpowiedziała Zoe matowym głosem.

- Chcę tylko, żeby pani wiedziała, że nigdy w to nie wierzyłam. - W ten sposób, okraszając słowa szerokim uśmiechem, złożyła podpis pod traktatem pokojowym, który zawierała z córką dawnej rywalki.
- Wiem, że pani w to nie wierzyła, pani Bridger - podchwyciła żywo Zoe i zaczęła wychwalać olbrzymi obraz martwej natury, wiszący nad fortepianem.

Korytarzem nadciągali mężczyźni.

Caryll usiadł na niskim stołeczku przy Zoe.

- Jak skończysz kawę, oprowadzę was po domu - zapowiedział.
- Chciałbym omówić z Justinem sprawy nowej produkcji. Obejrzy dom innym razem - powiedział Tom suchym, surowym tonem.

Jak zwykle, gdy mówi o Justinie, pomyślała Zoe. Czy chłód, jaki nam okazuje, może mieć jakiś związek z domniemanym romansiem mamy? - zastanawiała się w duchu. Zaplotła drżące dłonie.

- Jest dopiero wpół do dziesiątej, tato. Będziecie mieć dość czasu później.
- Ja też już myślałem o przestawieniu produkcji - odezwał się Justin. - Jak to zrobić, żeby nie spowodować długich przestojów w fabryce? Chciałbym mieć to już dobrze rozplanowane, zanim wezmę urlop w grudniu. - Ostatnie zdanie zabrzmiało bardzo chłodno.
- Idźcie z Zoe, Caryll - wyprawił ich Tom.

III

Zoe wsunęła dłoń w rękę Carylla. Ich kroki niosły się echem wokół basenu otoczonego szklanymi ścianami. Nie puściła jego ręki ani na chwilę. Zaglądali do salonu gier, gdzie stały dwa wielkie stoły Brunswick-Balke-Collender. Weszli do pokoju muzycznego i obejrzeli wielkie organy, a potem trafili na taras słoneczny, gdzie mimo tego, że wszystkie szklane drzwi były szczelnie zamknięte, wyraźnie pachniało deszczem. Zoe rzadko się odzywała, ale jej bujne ciało przekazywało Caryllowi sygnały - ocierało się o niego, przytulało. Caryll, uwrażliwiony na zmienne nastroje Zoe, czuł nie tylko dreszcz szczęścia i podniecenia, ale widział w tym ostrzeżenie, żeby się mieć na baczności. Zoe była wyraźnie wytrącona z równowagi, a on musiał się opance-

rzyć psychicznie, bo wiedział, że zaraz go zrani, zawsze to robiła, gdy miała humory.

Wchodzili bogato zdobionymi dębowymi schodami Maud codziennie przeprowadzała inspekcję klatki schodowej, sprawdzając białą rękawiczką, czy pokojówka dobrze starła kurz. Drzwi do jej pokoju były otwarte na oścież.

- Sypialnia mamy - powiedział Caryll.

Zoe skinęła głową w kierunku zamkniętych drzwi sąsiedniego pokoju i zapytała:

- A to sypialnia taty?

- Nie, szwalnia - odparł sztywno. Od dawna zdawał sobie sprawę, że rodzice unikają się nocą, a ojciec przeskakuje z łóżka w łóżko swoich kolejnych flam. Caryll jednakowo kochał rodziców czułą, synowską miłością i nigdy nie szukał w nich winy, ale ten fakt tworzył rysę na ich wizerunku.

- Cóż, w tym wieku... - mruknęła Zoe.

- Właśnie - przytaknął Caryll. Weszli do sypialni. Nocna lampka, w świetle której tonęła reszta mebli, rzucała jasną poświatę na duże łóżko z baldachimem.

- Caryll...? - mruknęła Zoe i spojrzała na niego znacząco. Podniecony jej zaproszeniem i słodkim, piżmowym zapachem bardzo kuszących perfum, uniósł dłoń Zoe do ust.

- Kochana...

Otoczyła go ramionami i wbiła mu paznokcie głęboko w pośladki, ocierając się łonem o jego krocze. Ten podwójny masaż spowodował, że jego ciało zdrzało bezsilnie i tylko jedna rzecz była niezaprzeczalna - miał monumentalną erekcję.

- Tak bardzo cię Kocham - szepnął jej w ucho.

- Że też musisz być taki lepki, kiedy akurat mamy to zrobić.

- To tyle dla mnie znaczy... Wszystko. Zejdźmy na dół i pożegnajmy się z nimi.

- Teraz - zażądała.

- Zoe...

- Naturalnie, jeśli nie chcesz...

- O, Boże, Zoe! Mój pokój...

- Tutaj - przerwała mu.

- Zoe, tak nie można.

- I ty mówiłeś, że mnie Kochasz! - Odsunęła się od niego i odwróciła. Choć nie pochyliła głowy i nie wydała najmniejszego dźwięku, wiedział, że płacze.

Przytulił się do jej pleców i pocierał brodą aksamitne ramię.

- Co się stało, kochanie?

- Ona mnie nienawidzi!

- Mama? Lubi cię! Zdziwiło mnie to, jak bardzo was polubiła. Znam się na tym.

- Powiedziała...

Caryll poczuł, jak drżenie przenika jej ciało.

- Cii, wszystko dobrze, Zoe. Naprawdę wszystko dobrze.

- Och, Caryll, co to za paskudny świat!

Zamknął drzwi i starł palcami łzy z twarzy żony. W obliczu jej dziwnych, szarpiących serce załamania i lęków ogarnęła go fala wzmożonej czułości. Zoe podciągnęła wysoko spódnicę, żeby mógł odpiąć perłowy guziczek przy talii; opadły wykończone koronką majteczki. Uniosła nogi, wychodząc z jedwabnej bielizny, zrzuciła czółenka i usiadła na brzegu stołeczka przy toaletce Maud. Caryll uklęknął przed nią. W przydymionym świetle pełne białe ciało nad jedwabnymi pończochami lśniło uwodzicielsko. Rozwarł jej uda i całował je aż do przyciętego, pachnącego wzdórka kręconych włosów. Obiema dłońmi podniósł jej biodra, żeby przyciągnąć bliżej jej wilgotne wnętrza. Niedługo potem sama położyła mu nogi na ramionach. Jej rwący się oddech wypełniał sypialnię Maud. Kiedy złamała się w pół i opadła na niego, długo całował jej pochyloną szyję. Potem wstał i drżącymi rękami rozpiął guziki rozporoka. Dla obojga był to pierwszy raz. Od czasu kiedy Zoe miała dwanaście lat, a on czternaście, uwielbienie, jakie czuł do czystego ciała, trzymało go z dala od innych dziewcząt, które z całą pewnością gotowe były pójść na całość. (Caryll nie był jednak aż tak naiwny, żeby nie wiedzieć, jak podniecająco pachną duże pieniądze). Czy dla Zoe był tym jedynym? Choć szarpały nim wątpliwości, miał niemal pewność, że tak.

Delikatnie wytarła się jego chusteczką. Podciągnął Zoe w górę i kiedy już stała, wziął ją w ramiona.

- Zoe, nie przejmuj się mamą.

- Już wszystko dobrze.

- Ona widzi, co do ciebie czuję, kochanie. I też uważa, że jesteś wspaniała.

- Wszystko już dobrze, kochany.

- Musisz mieć kogoś, kto się tobą zajmie, kogoś, kogo będziesz całkowicie pewna. Pobierzmy się - powiedział

i ręce mu opadły bezwładnie. Przełknął głośno. Był wstrząśnięty swoimi oświadczeniami. To prawda, że często o tym myślał, ale nigdy dotąd nie udawało mu się wpasować tych słów w nieoczekiwane zawirowania ich nierównego związku. - Wyjdź za mnie, Zoe.

- Jesteś za bardzo prawdziwy - odparła dotykając jego policzka. - Nie chcę cię tak rozstawiać po kątach, jak dotąd, Caryll. Ale czasami strasznie się boję...

- Daj mi szansę.

- Jesteś delikatny, wrażliwy - mówiła schylając się po jedwabną bieliznę. - Nic by z tego nie było.

- Byłbym dla ciebie bardzo dobry.

- Jest ktoś inny.

Krew zaszumiała mu w uszach i sztywno, jak ogłuszony, szedł za nią do pachnącej kamforą garderoby matki.

Sięgnął do kontaktu, żeby zapalić górne światło.

- To musi być ktoś żonaty - powiedział, przerażony grubiaństwem i niestosownością tej uwagi.

Wzburzyła sprężyste włosy.

- To ty tak uważasz.

- Więc dlaczego się z tobą nie żeni?!
Otworzyła torebkę wyszywaną koralikami i wyjęła szminkę. Umalowała górną wargę, a potem zacisnęła usta, żeby szminka odbiła się też na dolnej.

- To Phil Sinclair? A może Buzzie Thatcher? Jeśli nie jest żonaty, możesz mi chyba powiedzieć.

- Nie wiem, dlaczego miałoby cię to tak interesować - stwierdziła Zoe bez mrugnięcia, patrząc mu prosto w oczy.

Caryll opuścił wzrok. Nie pozwól jej na to, nakazywał sobie w duchu. Zrób dziką awanturę, powiedz, że straszna z niej dziwka. Ale już po chwili, kiedy ujrzał w lustrze jej piękną, smutną twarz i nieporównane oczy, musiał wręcz tłumić w sobie tę niegodną słabość - pragnienie, żeby ją koić i pocieszać.

Panie Boże, nie opuszczaj mnie, myślał. Dłużej tego nie zniosę.

IV

Na początku listopada Zoe położyła się do łóżka z zapaleniem gardła. W niedzielę gorączka jej spadła, drapanie w gardle przerodziło się w ogólne zaziębienie. Nisko wiszą-

ce, ciemne chmury zapowiadały śnieg. Zoe snuła się po sypialni, zawalonej nadesłanymi kwiatami - były tam głównie jej ulubione kamelie i gardenie. Na gramofonie obracała się płyta z murzyńskimi spiritualsami.

Żałobny, niski głos Paula Robesona doskonale pasował do ponurego nastroju Zoe. Samotność naturalnie zmusiła ją do wspomnień. Przypomniła sobie zasłyszane słowa o matce i wuju. Domniemane fakty dławily ją teraz nieznośnie. Nie chciana akcja z za grobu. Wuj Andrew kupił matce dom na Rutland Gate, mieszkał z nią już wcześniej, potem mieszkali razem, kiedy wyszła za męża. I później. Umarł w jej ramionach, a cały swój majątek - tymczasem zdeponowany w Bank of England - zapisał jej i jej dzieciom.

Płyta obracała się w kółko. Zoe drżącą ręką nastawiła ją od początku. Muszę poznać prawdę, myślała. Niezależnie od tego, czy mnie ucieszy czy nie, muszę ją znać. Jakiś szaleńczy błysk rozświetlił jej oczy i Zoe zaczęła się ubierać. Hugh siedział na górze w bibliotece i słuchał niedzielnego koncertu nadawanego przez WWJ. Kiedy weszła, wyłączył radio.

- Zoe! Dlaczego wyszłaś z łóżka?

- Muszę z tobą pomówić - powiedziała zdławionym głosem i podeszła do okna, by spojrzeć na zaśnieżony podjazd.

- Co się znowu stało? Niemożliwe, żebyś ciągle przeżywała ten romansik Justina - rzucił Hugh z serdecznym rozbawieniem. Sam przestał się już niepokoić. Po pierwsze Zoe opowiedziała mu o listach, po drugie Dickson Keeley poinformował go, że panna Kapłan spotyka się z jakimś działaczem robotniczym aż cztery razy w tygodniu.

- A może ta melancholia bierze się stąd, że Caryll, zajęty Siódemką, nie tańczy z tobą do świtu?

- To poważna sprawa, Hugh.

- Czy mogę jakoś pomóc?

- Chodzi o mamę - oznajmiła nieszczęśliwym, zakatarzonym głosem.

Poczuł, że zaczyna się dusić. Już lata temu doszedł do wniosku, że będzie musiał rozsupłać poplątane uczucia i skończyć ze skomplikowaną, rozdzierającą go lojalnością. Gotów był zawieść zaufanie brata i powiedzieć prawdę Justinowi. Ale nie był na to przygotowany już teraz, a z całą pewnością Zoe nie mogła być jego tubą.

Nie znałem jej zbyt dobrze - zaczął ostrożnie. Zoe usiadła koło niego.

Ale byłeś w niej zakochany? - spytała. Po długim wahaniu Hugh stwierdził: Emanowała szczęściem, promieniowała nim. Myślę, że każdy mężczyzna, który ją poznał, zakochał się w niej troszeczkę.

- Nawet wujek Andrew? Astmatyczne napięcie w piersiach ustąpiło.

- A z kimże ty rozmawiałaś? - Uśmiechnął się. - Z jakimś profesorem od starożytności?

Z panią Bridger.

Maud nie powinna powtarzać starych, głupich plotek.

- Ale... wuj Andrew mieszkał z nami... A kiedy zachorował, już pod sam koniec, płakał całymi nocami. Hugh, w domu były pielęgniarki, ale on chciał tylko mamę. Pamiętam, że spała na kanapie w jego sypialni.

- Naturalnie. Wyobrażasz sobie, że twoja matka zostawiłaby kogoś, kto boi się śmierci?

- A co na to mówił mój ojciec?

- Zoe, dobrze wiesz, że nigdy go nie spotkałem. Mocno przycisnęła rękę do plis spódnicy.

- Ale to był nasz ojciec, prawda? - zapytała z naciskiem. Cios trafił niebezpiecznie blisko. Hugh wstał i patrzył na nią złowrogo.

- To mój dom, Zoe. I tutaj imię Antonii wymawia się / . szacunkiem! Nie chcę słyszeć ani jednego słowa więcej. -Jego głos brzmiał lodowato i precyzyjnie - dyrektorzy Ony-xa umierali ze strachu, słysząc takiego Hugh przez telefon.

Nie mówiłaś o tym Justinowi, co?

Przestraszona, potrząsnęła śliczną główką, czubek jej nosa mocno się czerwienił.

- Tylko tobie.

- Złośliwe pomówienia. Żałośnie ściągnięte usta Zoe drżały.

- Jestem straszną kretynką. Oczywiście, że mama była cudownie dobra dla wuja, tak samo jak dla innych ludzi.

Hugh, nie gniewaj się na mnie.

- Nie gniewam się. - Uniósł ostrzegawczo palec. - Ale nie wolno ci o tym nigdy więcej wspominać.

- Nigdy.

- **I** nie powtarzaj Justinowi.

- Nawet mi to do głowy nie przyszło. On ją tak bardzo idealizuje.

- Grzeczna dziewczynka. - Znowu był serdeczny i dobry. Zoe wydmuchała nos, jakby na przypieczętowanie tego, że wszelka złość minęła. Wetknęła chusteczkę w rękaw swetra i powiedziała:

- Taka obraza wstrząsnęłaby nim śmiertelnie. Wiesz, Justin jest taki śmieszny. Był przecież na wojnie, pracował w różnych miejscach z najróżniejszymi ludźmi, ale w głębi serca jest zupełnie niewinny. Wiesz, o co mi chodzi? On w gruncie rzeczy wierzy, że wszyscy jesteśmy tacy dobrzy, jak jemu się wydaje. Chyba na tym polega tajemnica, że ludzie robią to, czego on od nich oczekuje. Odwołuje się do lepszej części naszego Ja".

Ma rację, myślał. Dlaczego dotąd tego nie dostrzegłem? Jej tak samo jak mnie zależy na Justinie. Rozgrzany nagłym odkryciem wspólnoty interesów, położył nogi na otomanie. Siedząc z Zoe przed kominkiem w śnieżne niedzielne popołudnie, poczuł jakieś miłe znużenie i zaczął wspominać. Rzadko myślał o tamtym dawnym Hugh, biednym chłopaku aż piszczącym do bogactwa, o chłopaku gotowym posunąć się do wszelkich występnych czynów, zbuntowanym przeciwko bratu, który go utrzymywał, i zazdrosnym o jego wielką urodę. Tak, to te plotki o Antonii uchylły drzwi przeszłości, brzask utonął w mroku, a wspomnienia wyślizgnęły się z ukrycia. Zoe, powstrzymywała kichnięcia i w wielkim skupieniu wpatrywała się w Hugh.

v

Wróciła do łóżka i odrzuciła kaszmirowy koc. Gorączka rośnie na noc. Zoe miała dobrze powyżej trzydziestu ośmiu stopni, ale nie czuła bólu głowy ani szczególnego zmęczenia.

Opowieści Hugh, żywe i barwne jak tropikalne papużki, wciąż zajmowały jej myśli. Jej opiekun przestał już być wszechmocną, nieskazitelną postacią, kimś, kto nie ulega drżeniom i zwątpieniom miłości. On też znał pierwszy zawrót głowy, niewyjaśnione sprzeczności uczuć; musiał wiedzieć, jak bardzo działa na kobiety.

Wychodził z pięknymi dziewczynami, myślała.

Lekkość, którą czuła w sobie, przeobraziła się w nagłą determinację. Weszła do łazienki. Wysoka elektryczna terma

oświetlała ją ciepłym różowym blaskiem. Zoe umyła się gąbką, a potem obficie skropiła perfumami piersi, uda i nadgarstki, w których krew pulsowała tak szybko. Zdjęła z siebie koszulę nocną i narzuciła nowy, wykańczany piórkami marabuta szlafroczek z atlasu w kolorze brzoskwini.

Hugh siedział sam, kandelabr jadalni oświetlał jego siwiejące jasne włosy.

- Czy nie dość już tego chodzenia jak na jeden dzień? - spytał.

Uśmiechnęła się, potrząsnęła głową i sięgnęła po brandy. Szybko wypiała jeden kieliszek, potem drugi. Kiedy po raz trzeci sięgnęła po karafkę, Hugh ostrzegł:

- To jest bardzo mocne.

- Muszę więc zacząć uważać. Spiję się, a ty mnie wykorzystasz.

Po raz pierwszy droczyła się z nim, prowokując go tak, jak swoich adoratorów.

- Chyba dość już wypijaś - zauważył niepewnie.

- Muszę się rozgrzać - wyrzuciła z siebie. - Hugh, dlaczego nigdy się nie ożeniłeś?

Cisza wypełniła pokój aż po sam rzeźbiony sufit. Otulał ich padający za oknem śnieg. Po jakiejś minucie Hugh odparł:

- Z oczywistych powodów. - Starał się, żeby wypadło to zupełnie naturalnie i zwyczajnie.

Ciemne oczy Zoe lśniły od gorączki i brandy.

- Odpowiednia dziewczyna nie zwracałaby na to uwagi. Propozycja padła.

Wiedzieli o tym oboje.

Hugh odczuwał pokusę. I nie chodziło tu o Zoe, choć jej zdumiewające oczy wpatrywały się w niego z takim rozkochaniem, że mało nie spadł z krzesła, (*jak to się stało, że wcześniej nie dostrzegł jej kipiącego zadurzenia?*) Nie, to nie Zoe go kusila. Dzieci - to było jego marzenie. Wysłanie własnych genów w przyszłość. Jego synowie mogliby zamieszkać w tym przestronnym pałacu jego planów. Byłby królem dynastii.

Podczas gdy on na chwilę zawiesił decyzję, Zoe pozwoliła sobie popełnić duży błąd. W obawie, że może Hugh nie zrozumiał jej dobrze, wstała, żeby ściślej opasać się szlafrockiem. Atlas opinał jej długie, nieskazitelnie piękne nogi, wąską talię, wspaniałe piersi o brodawkach w kształcie ma-

lin. Jakimś niezbadanym sposobem ciało Zoe wyraźnie odzwierciedlało jej nastrój. Miała przed sobą wybranego mężczyznę i potrzebowała spełnienia aktu miłości. Tylko jego miłość mogła ukoić straszny ból w sercu. Jej ciało zawierało w sobie obietnicę i stanowiło narzędzie seksualnej krucjaty. Hugh rozumiał to wszystko bardzo jasno. Nie czuł nawet jednego ukłucia pożądania. Przez całe lata żył w celibacie tak ścisłym, jakiego nie wymagano by nawet w najsurowszych zakonach. Fizyczną żądzę i każdą rozpustną myśl przetwarzał i sublimował, by całą energię poświęcić pracy i swoim machinacjom. Pot zrosił mu czoło. Nie mogę, myślał. Nie mogę.

- A niby skąd miałbym wytrzasnąć starą pannę, która byłaby skłonna zaszyć się w domu z takim zdeformowanym kaleką? - Nieszczery śmiech zakończył pytanie.

Zamroczona brandy Zoe nie zauważyła w jego głosie lęku.

- Jeśli dziewczyna kocha...

- Zoe!

- ...mężczyznę tak jak ja...

Hugh walnął pięścią w stół. Płomienie świec zadrżały od uderzenia.

- Co cię dzisiaj napadło?! - warknął. - Najpierw szargasz dobre imię matki, a teraz uwzięłaś się na mnie!

Twarz jej zwiotczała. Zoe otworzyła usta, westchnęła tak mocno, że piórka marabuta zmierzwiły się. Opadła na krzesło.

Otwierały się drzwi wejściowe. Łaskawy dla Hugh los sprowadził Justina i Carylla - sypiący śnieg wytłumił skrzyp opon na podjeździe.

Hugh pobiegł do holu.

- Chłopcy, jesteście tutaj, w jadalni! - zawołał.

Na widok Zoe Caryll zatrzymał się pod wybijanym drewnem wejściem.

- Cześć - mruknął i nie zrobił ani kroku dalej.

Justin wszedł z rumieńcami na twarzy. Nachylił się nad lśniąco rudymi włosami siostry.

- Świetnie. Widzę, że już wstałaś.

- Hugh zalecił mi swoją sławną kurację na przeziębienie. - Obróciła się na krześle i błyszczącymi od gorączki oczami spojrzała na Carylla. - Twój stryj nigdy ci tego nie proponował? Trzy lampki brandy, jedna za drugą. Paskudny z niego typ. Już sama nie wiem, co mówię.

Hugh zrozumiał, że za wszelką cenę musi ratować jej dumę. W przeciwnym razie, jeśli poczuje się ponizona, gotowa rzucić w twarz Justinowi to, co wie o pewnych zdumiewających zachowaniach Antonii.

- Brandy ratuje mnie w astmie. Dlaczego miałyby nie wyleczyć twojego zaziębienia? - zapytał dobrodusznie jak prawdziwy wuj. - Czy wy, niedzielni pracusie, jedliście już coś dzisiaj?

- Umieram z głodu. - Justin usiadł z lewej strony przy I lugh.

- A ty, Caryll? - Już trzymał nogę na dzwonku, zamontowanym w podłodze pod dywanem. - Zjesz coś gorącego?

- Nie, dziękuję. Jadłem z tatą w fabryce. Zoe nadal siedziała odwrócona do niego.

- A zatem możesz mi dotrzymać towarzystwa na górze.

- Podjechałem tu z Justinem, żeby pogadać o szybie odpornej na wstrząsy.

- Jak będzie rozmawiał o Siódemce nad talerzem, nabawi się wrzodów żołądka - powiedziała. - Na górę, już na górę. Wybiegła przodem. Stukot jej pantofli na obcasach ostro dźwięczał na parkiecie głównego holu, a rozpędzone nogi wyzwały pod atłasowym szlafrocikiem prowokacyjny ruch nagich, cudownie krągłych pośladków.

VI

Zatrzymała się na podeście, po czym czekając na Carylla, oparła się o stojącą tam komodę z czasów królowej Anny. Weszli na piętro bez słowa. Ramię w ramię. Czuł perfumy parujące z jej gorącego ciała. Weszli do jej maleńkiego saloniku.

- Tęskniłam za tobą, Caryll - powiedziała cicho i smętnie.

- Naprawdę? - Czuł, że usta ma sztywne.

Minęły już tygodnie. - Rozejrzała się po pokoju patrząc na flakony z białymi bukietami. - Choruję.

- Justin wspomniał, że się przeziębiałaś.

To niepodobne do ciebie, żebyś się trzymał z daleka. Harujemy ostatnio jak woły.

- Dobrze wiesz, że nie mogę znieść, kiedy ktoś się na mnie gniewa! - zawołała.

- Mam już dość tego ciągłego biczowania i kornego błagania cię o przebaczenie. - Obszedł przegrzany, duszny od

zapachu kwiatów pokój i stanął przy dalekim końcu szez-longa. - To Hugh, prawda?

- O czym ty mówisz?

- Hugh jest tym wolnym mężczyzną, którego kochasz. Roześmiała się wysoko, troszkę pijacko.

- To wcale nie jest śmieszne, Caryll.

- No bo kto inny? Podziwiasz go od zawsze i chcesz, żebym słuchał jego rad.

- Justin też go podziwia i też słucha. Myślisz, że i Justin się w nim kocha, co? Hugh jest dla nas jak ojciec.

Caryll patrzył na nią niepewnie. Pełne, gorące ciało pod kusząco opinającym je szlafrocikiem porażało jego zmysły.

Nie mógł skupić myśli, nie mógł sprawdzić, czy Zoe go nie oszukuje. - Więc kto to jest?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- O tym, którego kochasz.

- Och, Caryll, ty wariacie. - Podeszła do niego. - Misiu kochany, nie chciałam cię zranić ani wzbudzić w tobie zazdrości. Musiałam mieć czas, żeby to przemyśleć.

Jej perfumy drapały go aż w żołądku.

- Co przemyśleć?

- Pytanie, które mi zadałeś. - Uniosła rękę i pogłaskała go po twarzy.

Przez kilkanaście sekund patrzył w jej wilgotne oczy. Wtulił twarz w miękkie piórka szlafrocza.

- Boże, Zoe, przeżyłem istne piekło. Przywarła do niego rozpalonym ciałem.

- Nigdy więcej mnie nie zostawiaj. To straszne.

- Więc teraz mówisz poważnie? Wyjdiesz za mnie? - Naprawdę mnie kochasz?

- Nie dręcz mnie już. Wiesz, że tak.

- Jak bardzo?

- Tak bardzo, że aż się wstydzę.

- Będę dla ciebie zawsze najważniejsza?

- Zawsze.

- Ważniejsza niż matka?

- Tak.

- Niż ojciec?

- Tak. - Onyx?

- Tak. Ważniejsza niż wszystko inne, kochanie.

- A jeśli będziemy mieć dzieci?
- Od nich też będziesz zawsze ważniejsza.
- Nie zniosłabym, gdyby było inaczej.
- Będiesz tylko ty. - Opadł na kolana i dotknął ustami czubków jej atlasowych pantofelków. Całowanie jej obutych stóp było śmiesznie patetyczne, ale Zoe i Caryll nie zdawali sobie z tego sprawy.
- Nienawidzę tego domu - powiedziała. - Pobierzmy się Jak najszybciej.

Justin Hutchinson z przyjemnością zaprasza Szanownych Państwa do udziału w ceremonii ślubnej jego siostry Zoe i pana Carylla Bridgera. Uroczystość odbędzie się o szóstej wieczorem we wtorek, 23 grudnia 1926 r., na Farmie, w Michigan.

Jakiś stukot obudził Toma.

Na chwilę zeszywniał zdenerwowany, że zaspał i stracił spawanie tyłu Siódemki - był to jego nowatorski pomysł, który być może pozwoli w przyszłości zrezygnować z tradycyjnych śrub. Potem jednak, kiedy przypomniał sobie, że eksperyment odbędzie się bez niego, przeciągnął się z rozkoszą. Dziś nie jechał do Woodland. Pierwszy wolny dzień od wielu, wielu miesięcy.

Ziewając podszedł do okna i spojrzał na kłębiących się robotników, którzy stawiali rzędy markiz z zielonego płótna, tworzących zadaszenie dla samochodów gości. Miejmy nadzieję, że się nie przydadzą, pomyślał. Niebo opalizowało blado, zapowiadając słoneczny zimowy dzień. Szczęśliwa panna młoda, przeszło mu przez głowę i uśmiechnął się. Choć Caryll nie mógł już sobie wybrać gorszej pory (mechanicy pracowali „na trójce” na dwie zmiany, a pracownicy administracji z obłędem w oczach przygotowywali plany zamknięcia zakładów w związku z przestawieniem produkcji), Tom z radością przyjął wybór syna. Zoe była wspaniałą, pełną życia, czarującą dziewczyną, córką Antonii i naprawdę atrakcyjnym kaskiem. Jej ślub z Caryllem przybliżył też Justina do rodziny Bridgerów.

Tom wyciągnął górną szufladę biurka i wyjął z niej dwie kartki, które maszynistka zostając po godzinach, specjalnie dla niego przepisała. Jego długie, smukłe palce o czarno

obwiedzionych paznokciach z miłością układały i wyrównywały papiery na blacie.

Tom wciągnął kostium kąpielowy w nieco już wyblakłe zielone i niebieskie pasy, narzucił frotowy szlafrok i zbiegł na dół. Dębowe balustrady schodów tonały w sznurach mocno pachnących białych róż. Na parterze panowało kompletne zamieszanie. Florystki, stojąc wysoko na drabinach, dekorowały białymi różami dwa kandelabry z brązu, dostawcy kręcili się pod nogami, dwie drużyny flirtowały z odźwiernym, a tymczasem Mary, pokojówka z dołu, podawała im śniadanie.

- Wszystkiego najlepszego w weselny poranek, panie Bridger! - rzuciła śpiewnie Mary.

Rozbawiony, skłonił szarmancko głowę, a serdeczny śmiech aprobaty odprowadził go korytarzem aż do basenu.

Tam stanął przy kominku z szorstkiego kamienia i chwilę grzał plecy - ktoś pamiętał, by nawet w takim dniu rozpaścić ogień w palenisku. Caryll już pływał kraulem. Patrząc na jego pracowite, energiczne ruchy ramion, Tom poczuł łzy pod powiekami. Pewna wzruszająca, przepełniona miłością część jego życia nieodwracalnie dobiegała kresu.

Kończyły się spotkania w basenie o świcie, wspólne wycieczki do lasu, majsterkowanie w piwnicznym warsztacie i późne kolacje przy kwadratowym stole w kuchni.

Caryll dostrzegł ojca, gdy kolejny raz uniósł głowę nad wodę, żeby zaczerpnąć tchu.

- Cześć, tato - wydyszał. - Wskakuj! Tom kucnął na brzegu.

- Coś ci chcę najpierw powiedzieć.

Caryll dotarł na płytszy koniec basenu. Stanął na dnie; woda spływała mu z szerokich ramion, w dół nagej, nie owłosionej klatki i wpadała pod kostium.

- Jakaś rada dla młodego żonkosia?

- Nie, nie ośmieliłbym się poruszać tego tematu. - Tom parsknął zdławionym śmiechem. - Od dzisiaj jesteś właścicielem pięciu procent udziałów Onyxa.

Caryll gwałtownie odrzucił głowę.

Tom zachichotał na widok zaskoczenia syna.

- Jesteś współwłaścicielem zakładu. - Zawsze tak nazywał swoje fabryki: Hamtramck i Woodland, trzydzieści jeden hal montażowych, towarzystwo przewozu morskiego, trzy linie kolejowe, dwa banki, ogromne lasy, skąd czerpał drewno

dzierżawione od 1920 roku, od czasu kiedy zaprzestano produkcji drewnianych szkieletów do Piątek - dwadzieścia jeden fabryk na obcej ziemi, kopalnie w Kanadzie i Afryce i plantacje kauczuku wzdłuż Amazonki. - Masz pięć procent.

Caryll wreszcie odzyskał mowę. Odgarniając mokre kasztanowe włosy ze zdumionych zielonych oczu powiedział:

- Tato, toż to majątek! Strasznie mnie zaskoczyłeś! Zawsze zależało ci na tym, żeby nie mieć wspólników.

- Człowiek ma prawo czasem zmienić zdanie. To dobrze robi.

- Zawsze mówiłeś, że wspólnicy są gorsi od bandy kłusowników i okropnie łupią.

- Wiesz, czego naprawdę nie znoszę? Takiego mądrali jak ty, ze zbyt dobrą pamięcią. - Uśmiechał się. - To prezent ślubny, Caryll.

- Już nam przecież dałeś. - O milionie dolarów krzyczały nagłówki gazet. - Fantastyczny prezent.

Tom pogroził mu wskazującym palcem i zrobił srogą minę.

- Przestanieś się wyklócać ze starym ojcem?

- Zwaliliś mnie z nóg, tato. Dziękuję.

Nieśmiały, ale serdeczny uśmiech Carylla sprawiał, że chłopak wyglądał zbyt młodo, żeby się już żenić. Głos nieco się łamał Tomowi, gdy mówił:

- Zrobimy parę długości i pójdziemy na górę. Podpiszesz dokumenty.

- AZoe?

- Udziały są na ciebie.

Uśmiech Carylla przygasł. Zacisnął szczęki.

- Nie mogę w takim razie przyjąć tego prezentu, tato.

- Musisz - odparł Tom. Na jego radości pojawiła się rysa. - Jakże inaczej będę mógł ofiarować Justinowi jego część pakietu?

- Justinowi? - wykrzyknął Caryll, rozdziawiając usta. -Justinowi?!

- Dostaje tyle samo, co ty. - Tom obszedł basen i stanął przy trampolinie. Nie chciał o tym rozmawiać, a Caryll zazwyczaj w lot wyczuwał jego milczące nastroje.

Jednak tym razem Caryll, wzburzając wodę, poszedł za nim. Stanął, kiedy sięgała mu do ramion.

- Tato, zdumiewasz mnie coraz bardziej. Nic z tego nie

lozumiem. Dlaczego nagle zaczynasz rozdawać udziały Onyxa?

Możesz to uznać za wynik postępującej sklerozy -odparł Tom sucho.

- I to akurat Justinowi!

- Jest najlepszym zasmarkanym zarządcą, jakiego kiedykolwiek mieliśmy.

- Zgadza się. Ale nigdy nie okazałeś mu ani cienia sympatii. Wiem, że to nieprawda, co mówią ludzie. Mówią, że go wręcz nie lubisz.

- Teraz ma mi bardzo za złe, bo go prosiłem, żeby przełożył urlop do czasu, aż wrócicie z Palm Beach. Nie przyszło ci nigdy do głowy, że któregoś dnia może prysnąć do Forda albo do General Motors?

- Owszem, nawet nieraz, ale...

- No więc, dlaczego nie podsunąć mu pod nos kawałka marchewki, żeby utrzymać go przy nas? - Wyjaśnienie Toma niosło się echem przez przesiąkniętą zapachem chloru halę. Zalewała go fala wstydu, czuł niechęć do siebie; znalazł się w bardzo niezręcznej sytuacji. Nie życzył sobie dyskutować z nikim o tym najbardziej osobistym i utajonym związku uczuć, jaki go łączył z drugim synem. „Mówią, że go nie lubisz.” Chryste! Cóż, to i tak lepiej, niż mieliby kiedyś odkryć prawdę.

Szczęka Carylla zastygła w charakterystycznym dla niego uporze.

- I tak by nie odszedł. Jesteś jego idolem. Dlaczego nie dasz mu jakiegoś prezentu na Gwiazdkę? Wspomagałeś tak wujów, i to hojną ręką.

Nie mogąc dłużej bronić swych racji, Tom zrzucił z siebie szlafrok. Jego silne, zwarte ciało zadziwiająco opierało się upływowi czasu. Miał troszkę bardziej pochylone ramiona, trochę grubsze mięśnie pod żebrami - to wszystko.

- Przelewy zostały już zrobione, wszystko jest przygotowane. - Pobiegnął do końca trampoliny i wygiął się w łuk.

Kiedy wypłynął na powierzchnię, Caryll znalazł się tuż obok niego. Na jego twarzy widać było głęboką determinację. A przy tym był równie pokorny jak wtedy, gdy Tom zabierał go z akademii wojskowej.

- Tato, nie mogę przyjąć tych udziałów.

- Co cię tak gryzie? Przecież Justin to podobno twój najlepszy przyjaciel.

- Nie chodzi o Justina. To sprawa między mną i Zoe. Od tej pory to co moje należy również do niej. Tom roześmiał się śmiechem pełnym chloru i ulgi. Płynął pieskiem.
- Przedmałżeńska rada jest jednak konieczna, synu. Tak, od teraz, Caryll, co twoje, to jej. A to, co jest jej, nadal pozostanie w jej rączkach.
- Chyba nie zdajesz sobie sprawy, co do niej czuję.
- Nie jestem ślepy - powiedział Tom. Miał ochotę zapłakać, kiedy wyciągał ramiona, by uściskać zimne, śliskie ciało syna. Gdyby tylko dało się wykupić jakąś polisę ubezpieczeniową na okoliczność bólu, strat i nieuchronnych rozczarowań związanych z małżeństwem, wyprzedałby wszystko, byle ją tylko dostać dla Carylla.
- Wprowadzę poprawki w dokumentach - obiecał. - Po powrocie z Florydy podpiszecie papiery oboje.

II

Wysokie kosze z białymi różami tworzyły aleję prowadzącą od południowego kominka przez salon, potem hol, aż do ukwieconych balustrad klatki schodowej. Organy ucichły. Ostatnie akordy muzyki niosły się jeszcze echem. Sto osiemdziesiąt zaproszonych osób, które miały swą obecnością uczcić ceremonię zaślubin, siedziało sztywno na połączonych krzesłach. Walter Chrysler. Henry Ford z pulchną małą Klarą, obok Edsel i Eleanor. Alfred Sloan z General Motors, William Crapo Durant, dawniej związany z General Motors, obecnie właściciel fabryk Durant Cars, wraz z bardzo młodą drugą żoną. Carl Sandburg ze strzechą włosów na głowie. Senator Couzens - siedział teraz najdalej jak się da od dawnego współnika, a dzisiejszego wroga, Henry'ego Forda. Major Smith. Lord i lady Edge - ona, staroświecko ubrana w suknię z zimnoszarej tafty, on tryskający humorem, mimo zaziębienia, którego nabawił się po drodze na *Berengarii*. A na honorowym miejscu, rezerwowanym zwykle dla rodziców panny młodej, zasiadał piegowaty prezydent Coolidge o wąskich, zaciśniętych ustach. Pani Coolidge uśmiechała się pogodnie. Wielebny Johnson, wygładzając komżę, zbliżył się do stołu. Przez boczne drzwi weszli Caryll i Tom, obaj świeżo przystrzeżeni i ogoleni, i obaj we frakach. Przez salę prze-

biegł pomruk aprobaty - goście docenili, że Caryll na drużbę wybrał ojca. Wszyscy chłopcy Sinclair stali w drzwiach i kierowali ruchem. Najstarszy z piątki, Phil, wprowadził ciotkę różaną aleją. Suknia Maud, uszyta z beżowej koronki, była najbardziej wymyślną i najmniej praktyczną sukienką, jaką w życiu miała. Policzki Maud płonęły rumieńcem szczęścia. Bardzo polubiła Zoe w ciągu ostatnich kilku tygodni. Jeździła z nią do Nowego Jorku, przyglądała się jej w dużej, wybijanej jedwabiem przymierzalni Hattie Carnegie i pilnowała wyrobionym okiem szwaczki, by ta śliczna dziewczyna dostała to, co najlepsze - jakość i styl.

Organy zamilkły na chwilę. Rozbrzmiały pierwsze triumfalne takty weselnego marszu Lohengrina. Rosamunde Ba-ardson, w sukni z purpurowego aksamitu, z powagą zstępowała ze schodów z wiązanką białych róż, za nią schodziło dziewięć innych drухen.

Justin i Zoe stanęli na półpiętrze. Justin ujmował siostrę pod ramię, wolną rękę opiekuńczo zaciskał na jej dłoni. Zoe niosła przed sobą mnóstwo kamelii spływających kaskadą w dół, upiętych na cieniutkich białych wstążeczkach z jedwabiu. Jej ślubna suknia odsłaniała śliczne kolana z wdzięcznymi dołkami, z tyłu zaś przechodziła w długi tren. Głowa Zoe przybrana została obfitym welonem z weneckiej koronki, która jednak nie zasłaniała jej urzekającej twarzy -było to wyraźne odstępstwo od tradycji. Justin - piękny, czarnowłosy mężczyzna o rzymskim nosie i głębokich oczach - i Zoe, zwiewna i cudna, zeszli razem po schodach niczym para wysokich dorodnych ptaków, złączonych wdzięcznym lotem.

Tom patrzył na nich i myślał: Och, moja ukochana, jakże piękne są te twoje dzieci... Po prostu bosko piękne... Słumił szloch i powstrzymał łzy.

Uroczystość nie trwała długo.

Potem orkiestra Guya Lombarda grała walce Straussa, a goście tłoczyli się w bibliotece przy stołach z szampanem, dyskretnie schodząc z oczu człowiekowi, który publicznie przysięgał narodowi bronić praw tej ziemi. Na szczęście prezydent Coolidge nie gustował w przyjęciach i zaraz po złożeniu gratulacji nowożeńcom wyjechał z Farmy. Dzięki temu kelnerzy mogli swobodnie roznosić gościom drinki.

Lombardo ustąpił miejsca zespołowi Perraulta. Rozdźwię-czał skoczny charleston. Zoe przerzuciła tren przez ramię.

Oczy jej błyszczały jak czarne diamenty, welon podskakiwał na rdzawozłotych włosach, szczupłe, ale krągłe ciało podrygiwało rytmicznie, wspaniałe nogi obciążone białymi pończochami strzelały w górę i na boki. Zoe tańczyła z dopiero co poślubionym mężem, który był tancerzem wolniejszym i mniej zręcznym, za to wyraźnie rozpalonym emanującym od niej seksem.

- O, dzisiaj w nocy, to będzie gorąco - mruzcili odźwierni mrugając do siebie z zazdrością.

Kiedy goście zebrali się przy Zoe, która kroila sześciopiętrowy tort, Tom podszedł do Justina.

- Chcę, żebyś wszedł ze mną na górę, jak młodzi wyjadą.

- Nie, Tom. Robota może poczekać do jutra.

- Nie chodzi o nic wielkiego. Potrzebny mi tylko twój podpis. To potrwa ledwie minutę. - Tom drobił w miejscu, naśladowując taneczny krok Zoe. - Dzień ślubu i Święta są przecież wolne od pracy.

III

Justin z obowiązku obtańcowywał zaproszone damy, od czasu do czasu wzmacniając się szklaneczką szkockiej z wodą sodową. Wreszcie Tom poklepał go po ramieniu i odciągnął na bok.

- Zoe zabarykadowała się w pokoju - powiedział cicho. - Pokojówka twierdzi, że siedzi tam od godziny. Caryll próbował pertraktować przez drzwi. Martwa cisza. Doszedł do wniosku, że jej tam wcale nie ma i teraz miota się po domu, jak ryba wyjęta z wody. Sprawdzał garaże, lodowisko, szopy. Ostatnio wziął latarkę i poszedł oglądać samochody.

- Policzki Toma zapadły się. - Nie chciałbym go... właściwie nie chciałbym ich zawstydząć, więc nie wypuszczę swoich ochroniarzy na poszukiwania, chyba że będzie to absolutnie konieczne.

- Zaraz się zorientuję, o co chodzi.

Róże na schodach przywiedły, nasycając powietrze dusznym, stęchłym zapachem. Justin, nieco wstawiony, odczuwał przemożną chęć wyrwania się z tego przeperfumowanego i zatłoczonego domu - chciał jak najszybciej z tym skończyć. Miał ochotę utopić smutki w butelce i wreszcie zagłuszyć dręczące go wątpliwości związane z Elisse.

Gdy tylko ustalono datę ślubu, zamówił międzymiastową i wyjaśniał Elisse, dlaczego nie może przyjechać do niej na Święta. Obiecał, że zjedzie do Kalifornii na Nowy Rok. A potem dzwonił jeszcze raz, tłumacząc, że nie może wyjechać z Detroit przed powrotem Carylla z podróży poślubnej. Tom nigdy dotąd tak bardzo go nie prosił. Powiedział mu złamanym głosem: „To cholernie trudny okres. Zostań z nami, Justin”. Jak na Toma, można powiedzieć, że błagał. Obydwa połączenia telefoniczne były bardzo złe. Głos Elisse to wznosił się, to opadał, jakby płynął po wzburzonym oceanie, ryk fal pochłaniał fragmenty zdań. Prosiła, żeby powtórzył. Speszony technicznymi trudnościami, nie był w stanie powiedzieć jej, jak bardzo wykańcza go ten kolejny miesiąc zwłoki. Ale... Ale czy jego miłość i frustracja nie objawiały się dość wyraźnie tymi dwoma telefonami?! Wciąż przysyłała mu listy. Inteligentne, cięte, bezosobowe. Już ich nie zbierał. Palił od razu, jak materiał obciążający. Te listy kradły mu charakter. Nie był już jasno myślącym, rozsądnym, dorosłym człowiekiem, który postanowił chronić młodą dziewczynę przed jej żywiołowymi reakcjami. Stał się istnym demonem, którego roznosiła wściekłość, zazdrość, dławiliły wątpliwości i wprost zżerało pożądanie. Po jednym z zaręczynowych przyjęć wylądował pod drzwiami z pewną niczego sobie słomianą wdówką, jednak jej głębokie pocałunki na progu wywołały w nim natychmiastową chęć ucieczki. Źle sypiał i po raz pierwszy zaczął pokrzykiwać na ludzi w fabryce. Tylko jedno wiedział na pewno: chciał się ożenić z Elisse Kapłan i spędzić z nią resztę życia.

Przed pokojem Zoe zebrały się trzy ubrane na czerwono druhny, pośrodku których stała pokojówka - Belgijka w średnim wieku. Jej riuszkowany czepeczek przechylał się w stronę zamkniętych drzwi, kiedy tłumaczyła, co zaszło. Na myśl o tym, że miałyby publicznie naruszyć prywatność Zoe, Justinowi zrobiło się niedobrze. Wtem przez opary alkoholu dostrzegł inne, jak mu się wydało, inteligentniejsze rozwiązanie.

Wślizgnął się do pokoju sąsiadującego z prasownią. Otworzył jedno z kwaterowych okien i wychylając się daleko nad szeroką framugą, wystawił głowę na mroźne powietrze. Trzyście i pół metra niżej pusty kamienny taras jarzył się od świątecznych żarówek, które tworzyły rozma-

zane zielone i czerwone kręgi. Pod oknem musiał też być -tyle chyba pamiętał - gładki kamienny występ, który dekoracyjnie opasywał cały dom na wysokości piętra.

Justin rzucił buty i spuścił nogi za okno. Podtrzymał się mocno ramionami, dopóki stopami nie trafił na kamienną półeczkę. Była dużo węższa, niż mu się zdawało. Mogła mieć zaledwie parę cali. Palcami wyszukiwał punkty zaczepienia na chropawej ścianie i wolniutko przesuwał się wzdłuż półki. Justin Hutchinson, człowiek-mucha. Z wdzięcznością odetchnął wchodząc na szeroką krawędź pod oknem, a potem, płasko przyklejony do muru, zmusił się do dalszej wędrówki. Jedna stopa wypadła poza kamienny występ. Chwycił się ołowianej rynny, a serce waliło mu jak młotem. W duchu błogosławił zamięrowanie Maud do solidności.

Do zimnego kamiennego występu pod oknem Zoe dotarł zupełnie otrzeźwiony. Głośno dyszał i oblewał się potem na myśl, że może jednak Caryll miał rację, i Zoe rzeczywiście wcale nie ma w środku. Wtedy musiałby odbyć tę samą kretyńską drogę jeszcze raz, z powrotem.

Zastukał w ołowiany parapet.

- Zoe! - zawołał podenerwowany. - Zoe!

Zasłonka powędrowała w bok, światło oświetliło lśniące włosy. Pośpiesznie odsunęła zasłony i otworzyła najbliższe okno.

Wskoczył do pokoju, strzepując brud z fraka.

- Wchodzi hrabia Dracula - powiedziała Zoe wymachując niemal pustą butelką Mumm. Jej wielkie oczy były zaczerwienione, jakby niedawno płakała, ale uśmiech był rześki, wesoły. Na podłodze leżała byle jak rzucona suknia ślubna, za którą dopiero co zapłacił niezłą fortunę, a obok niej walał się welon. Nad koronką jedwabnej koszulki połączonej z majteczkami -ozdobionej jej imieniem - widniały krągłe, olśniewające piersi, a między wykończeniem majteczek a białymi jedwabnymi pończochami lśnił pas aksamitnych ud.

Justin zamknął okno.

- Ubieraj się - warknął.

- Tu w karpackim zamku chodzimy pijani krwią białych winnych wron... Winogron.

- Nie jesteś znów taka pijana - zauważył ponuro. -Ubieraj się, Zoe. Twój mąż odchodzi od zmysłów ze zmartwienia.

- To nie jest mój mąż - zaprotestowała przytykając butelkę do ust. - Przecież nie mogłam wyjść za mąż za chłopca, który pozwala ludziom deptać po sobie.

Justin wyrwał jej szampana z ręki.

- Wkładaj ubranie.

Ktoś dobijał się do drzwi. Zoe ze szlochom rzuciła się na łóżko. W jej łkaniu było o wiele więcej męki niż w zwykłym pijackim płaczu.

Justin przysiadł na brzegu materaca.

- Wszystko będzie dobrze, naprawdę dobrze - uspokajał. - Zozo, Caryll wcale nie jest słabeuszem. To wyrozumiały, delikatny chłopak.

- Zniszczyłam sobie życie - zawodziła. - Tak samo jak mama.

- Panny młode często miewają łzy na czubku nosa. Caryll to właściwy mężczyzna dla ciebie.

- Nic o tym nie wiesz. Zupełnie nic! Gdybyś znał się na tym, nie zawracałbyś sobie głowy jakąś nieosiągalną dziewczyną, która ma cię w pięcie. - Zoe uniosła głowę. Kosmyki uperfumowanych włosów przesłoniły jej oczy. - Mój ty braciszku, w sprawach miłości jesteśmy oboje skończonymi głupcami. Nie potrafimy dokonać właściwego wyboru.

U nas to rodzinne.

- Ja świetnie pamiętam naszych rodziców. Było im ze sobą bardzo dobrze. Mama i tata...

- A skąd ty to możesz wiedzieć? - przerwała Zoe piskliwym głosem. - Ojciec nasz, który jesteś w niebie?

Justin zmrużył oczy.

- Nie powinnaś pić. Stajesz się brzydka.

- Taka właśnie jestem! Brzydka i smutna! Wyszłam za mąż za niewłaściwego człowieka. Zupełnie jak mama. Moja teściowa, ucziwa aż do bólu... - Zoe zawahała się - ...mówiła mi, że mama powinna była raczej wyjść za wuja Andrew.

- Przestań, Zoe - warknął.

- Mamie mąż był zupełnie niepotrzebny. Chciała tylko mieć parawan, za którym mogłaby z wujem Andrew... - Zoe ukryła twarz w poduszce.

Justin patrzył przed siebie nie widzącym wzrokiem. Zacisnął pięści. Znowu odżyło w nim to straszne pytanie, którym się dręczył w dzieciństwie, pytanie związane z jego narodzinami. Rodzice nigdy nie wspominali o tym, jak przyszedł na świat, ani nie świętowali jego urodzin. Nie mógł nawet

myśleć, że jego kryształowy ojciec poddał się wrzeniu krwi, uległ fallicznemu napięciu i zabawiał się z tak anielską kobietą, jaką była matka. Nawet dziś Justin, dojrzały mężczyzna - świadom, że jego rodzice byli też ludźmi z krwi i kości, mieli swoje potrzeby i organy płciowe - myśląc o ich pożyciu, czuł, że kłamstwo. A to, o czym wspominała Zoe, wydało mu się obrzydliwe ponad wszelką miarę. Podo bnie jak siostra, on też pamiętał majora u schyłku życia - wykończonego starca.

Rozległo się ponowne walenie do drzwi i chór przytłumionych głosów.

- Zoe! Zoe!

- Wstawaj! - rozkazał siostrze.

Łkając i pociągając nosem, podniosła się z łóżka. Położył dłoń na jej nagich plecach i popchnął ją lekko w stronę wielkiej łazienki.

- Opłucz twarz zimną wodą i wyczyść zęby - nakazał. Obmył twarz i ręce nad umywalką i patrzył na spływającą brudną wodę. Wciągnął Zoe do garderoby, gdzie czekało na nią wdzianko w kolorze kości słoniowej i futerko z rosyjskich rysiów.

Dwadzieścia pięć minut później państwo młodzi przedzierali się przez tłum rozbawionych gości, obrzucani serpentynami, konfetti i ryżem. Młodszy goście nie ulękli się chłodnej nocy i wybiegli przed dom z kieliszkami szampana, głośno życząc nowożeńcom wszystkiego najlepszego. Caryll i Zoe wsiedli do robionego na specjalne zamówienie Onyxa. Noc poślubną mieli spędzić w salonie To ma, doczepionej do Royal Ponciany, która dowoziła ich do Palm Beach, gdzie czekała na nich zimowa rezydencja Baardsonów. Z głośnym strzelaniem gaźnika samochód zniknął w ciemnym lesie. Przyjęcie natychmiast straciło swój weselny charakter - przerodziło się w zwykłe spotkanie, gdzie wśród zgromadzonych znalazło się wielu zaciętych rywali.

Justin nie wrócił do środka. Nie oglądał się na nic, ledwie dostrzegł, gdzie jest - zapomniał o obowiązkach gospodarza. Mijał zaparkowane pod zieloną markizą limuzyny i wszedł do garażu, gdzie zostawił Piątkę.

Nie pamiętał nawet, że Tom prosił go o podpisanie jakichś dokumentów.

IV

Kiedy Hugh usłyszał warkot Piątki, siedział w głębokim Intelu biskupim z szesnastego wieku, który niedawno kupił do salonu. Jak zwykle, samotnie świętował uroczystości urodzinowe. Wstał i poszedł do głównego holu, żeby się upewnić, czy słusznie wyczuł Justina.

Tu jestem! - zawołał i wrócił, żeby nalać Dom Perignon do drugiego kieliszka.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie na zszarzałą twarz Justina, by wiedzieć, że coś straszego zdarzyło się na weselu. Usiadł na genueńskim eklezyjastycznym aksamicie i czekał.

Justin z uprzejmości umoczył usta w winie i odstawił kieliszek.

Hugh, Zoe przeżywała drobny kryzys. Wygląda na to, że zdenerwowały ją jakieś stare plotki na temat mamy. Nie chciałbym ich nawet powtarzać. Ale zawsze nękały mnie pewne drobne wątpliwości, związane z hmm... moimi urodzinami. Na kilka tygodni przed śmiercią mamy spytałem ją o to. Powiedziała, że mi to wytłumaczy, jak będę starszy. Wtedy byłem już na tyle duży, że w zasadzie wiedziałem wszystko, co trzeba. No w każdym razie, to zupełnie nie było w jej stylu, żeby zmyć mnie, tak ot, tłumacząc, że jestem za młody. - Justin przesunął palcem po brzegu kieliszka w kształcie tulipana. - Kiedy umarła, starałem się przestać o tym myśleć. Hugh, z przykrością o tym mówię, ale to, co usłyszałem od Zoe, jest dla mnie wprost niewyobrażalne.

- Te opowieści o Antonii i majorze Stuarcie?

- Więc ty też to słyszałeś?

- Plotki. Wstrętne, ohydne plotki.

- Ale... no wiesz. W tym wszystkim jestem ja. Urodziłem się ledwie w kilka miesięcy po ślubie.

Hugh złożył dłonie jak do modlitwy i ponad wypięgniętymi paznokciami spoglądał na bratanka.

Twara Justina nabrała bladożółtej barwy, ale jego oczy patrzyły bardzo stanowczo.

- Pamiętasz, jak to było, kiedy mieszkali w Detroit? Hugh, przychodzą mi do głowy najstraszliwsze myśli.

Hugh zwlekał z odpowiedzią. Dużo kosztowałoby go Ujawnienie prawdy. Wybuchy gniewu Toma miały moc wielkich pożarów lasów. Niszczyły Toma i innych, tych, którzy

akurat nawinęli mu się pod rękę - czasem okaleczały trwale. Hugh miał wiele do stracenia. A co mógł zyskać w zamian? Plany, które przygotowywał, wymagały jeszcze długiej pracy. Nie, ten interes mu się nie opłaca. Jednak głęboko osadzone, niebieskie oczy Justina wyrażały tak ogromną mękę, że Hugh westchnął głęboko. Jak taki młody, niezwykle prawy chłopak musi się czuć, podejrzewając, że jest owocem kazirodczego związku? Kłoda przepaliła się w połowie i głośno upadła na ruszt paleniska. Obydwaj obrócili głowy do przybranego zielenią kominka. Boże Narodzenie, okres spokoju i szczęścia, my ślał Hugh. Dar Wielkiego Maga.

- Są pewne dokumenty, które mogłyby rzucić trochę światła - powiedział ostrożnie.

- Dokumenty?

- Listy, na dobrą sprawę. Nikt nie wie o ich istnieniu i byłbym w dużych tarapatkach, gdyby to, o czym ci teraz mówię, kiedykolwiek wyszło na jaw.

- Nie nadużyję twojego zaufania.

- Oczywiście, że nie. Ale te listy... Cóż, okażą się dla ciebie na pewno wielką pokusą.

- Masz moje słowo.

- Będę na nie liczył.

Na górze Hugh podszedł wprost do portretu lady Jane Neville i odsłonił sejf, o którym Justin dotąd nie miał pojęcia. Ustawił szyfr, a potem wyciągnął gruby pakiet kopert przewiązanych wyblakłą czerwoną tasiemką. Wręczył go Justinowi.

- Pani J. Foreman - przeczytał Justin głośno. - Mama знаła kogoś o tym nazwisku... To byli jej znajomi. Nigdy nas nie odwiedzali. Od lat nie myślałem już o nich.

- Nie możesz o tym nigdy nawet wspomnieć. To bardzo ważne.

- Dobrze - zgodził się Justin. - Hugh, bardzo doceniam to, co dla mnie robisz. To niezwykle szlachetnie z twojej strony.

Szlachetnie, myślał Hugh. Toż to zupełnie wariactwo! Już niemal żałował tej swojej bożonarodzeniowej miękkości.

- Zostawię cię samego na kilka chwil - powiedział cicho i wyszedł do sypialni, nie zamykając sejfu. Był to znak absolutnego zaufania.

Justin usiadł na kanapie i zrzucił buty. Bezmyślnie pocie-

rał stopą o stopę - bolały go od tańców. Obie skarpety podarł na kamiennym występie. Zmęczenie i straszne przynębianie sprawiały, że niezwykle gest Hugh - wręczenie mu tego opasłego pliku tajemniczych listów - wydał się Justinowi jeszcze bardziej doniosły. O tak, dobrze wiedział, że Hugh stworzył centrum wywiadu i ochrony Onyxa, zbierał raporty detektywów, ale Justin go kochał i nie wyobrażał sobie, że sam mógłby się znaleźć w jego pajęczej sieci. Zapalił papierosa i trzymając go w ustach, powoli, z rozmysłem rozwiązywał tasiemkę.

Koperty listów pożółkły już od starości. Wszystkie adresowane były do pani J. Foreman - która mieszkała w Londynie przy Upper Swithin Place w mieszkaniu C - koślawym, niewprawnym pismem Toma. Tom! Tom zawsze dyktował wszystko maszynistce.

Justin otworzył pierwszą z brzegu.

„Antonio, najdroższa moja!

Tak bardzo za tobą tęsknię, że mógłbym nawet płakać. Czasami płacę.”

Pisane niezgrabnymi literami, poprzetykane błędami zdania skakały mu do oczu. Pełne intymnej czułości, namiętności, pragnienia. Czytał szybko. Czuł się w pewnym stopniu zakłopotany faktem, że wdziera się w prywatną korespondencję, a przy tym nie mógł się oprzeć swego rodzaju podziwowi -dlaczegoż to on w obawie, by nie wypaść z roli człowieka kulturalnego, nie zdobył się na podobne słowa do Elisse? List nie był opatrzony datą. Justin zerknął na stempel pocztowy na kopercie. Nadany dwudziestego szóstego marca 1911 roku. Kilka tygodni po tym, kiedy mama mu tłumaczyła, że pan Bridger strasznie się gniewa, podejrzewając wuja o celowe podpalenie. Justin przeczytał dwa kolejne listy, w których znalazł wzmianki o ich dawnym uczuciu i o „twoim chłopcu”. Czwarty list nosił datę jedenastego września 1914 roku. Przeskoczył wzrokiem do linijki, w której zobaczył swoje imię. Justin jest taki podobny do ciebie. Nikt nie będzie nawet podejrzewał, że jestem jego ojcem. Jeżeli o mnie chodzi, moim jedynym synem zawsze będzie Caryll. Przysiengam Ci, kochanie, że jak się pobieźemy, nikt nie domyśli się prawdy.”

Justin poczuł, że jego wykrochmalona śnieżnobiała koszula jest mokra od potu. Czuł, że ciężko oddycha, coś gniotło go za oczami, zrobiło mu się niedobrze. Nie mógł już czytać dłużej. Nie zapanowałby nad mdłościami. Ułożył

listy na ruszcie kominka. Miał kłopot z uruchomieniem nowej złotej zapalniczki, którą dostał w prezencie od Carylla przy okazji ślubu. Trzy razy próbował, zanim wreszcie udało mu się ją zapalić i zrobić maleńkie ognisko pod listami, które Hugh zdecydował się oszczędzić w innym czasie, w innym kraju, na innym kontynencie. Kiedy płomienie zgasły, przytknął zapalniczkę do nie dopalonych szczątków. Wciąż klęczał przy kominku, kiedy wrócił Hugh.

- Wiele spraw rozjaśniło się od razu, prawda? - zaczął Hugh. - To, dlaczego cię tu sprowadziłem, dlaczego Tom jest taki chłodny wobec ciebie. Justin, on nadal trzyma się tej obietnicy, którą złożył Antonii. To dla niego absolutnie najważniejsza sprawa.

Justin wstał patrząc na czarny popiół.

- Nie jestem już tym, kim byłem - powiedział głucho. - Tylko właściwie kim? - Pytanie nie miało znaczenia. Nie mógł myśleć, nie czuł zupełnie nic. Jakby padł ofiarą amnezji, która nie odebrała mu przeszłości, tylko teraźniejszość. -

Jestem nikim. Niczym.

- Nie mów takich bzdur. Jesteś synem najbogatszego człowieka w Ameryce. Kto wie, czy nawet nie w świecie?

- Głos Hugh, wzmocniony szampanem, miał działać kojąco. - Zawsze się zastanawiałem, jakby to było, gdyby Tom ożenił się jednak z Antonią. Zawsze chciałem naprostować to wszystko, ale on się przed tym bronił. Justin, ty jesteś jego pierworodnym. To ty powinieneś odziedziczyć zakłady. Ty jesteś prawdziwym spadkobiercą Toma.

Justin składał i rozkładał ręce.

- Jak je zdobyłeś? - zapytał matowym głosem.

- Kiedy pojechałem po was do Anglii, likwidowałem też mieszkanie.

- Tak. - Justin kiwnął głową.

- Tomowi zależy na tobie. Chciałby cię uznać, ale sam czytałeś, dlaczego nie może tego zrobić.

Justin przykucnął i grzebał wskazującym palcem w ciepłym popiele. Milczał.

Hugh zrobił jeden z nielicznych błędów w życiu - źle ocenił sytuację.

- Teraz sam widzisz, dlaczego twój związek z tą panną Kaplan jest absolutnie wykluczony.

Justin podniósł wzrok. Zmrużył oczy, a spod zwężonych powiek błysnęły rozwścieczone niebieskie oczy.

A ty skąd o niej wiesz?

Od Zoe. - Usta mu wyschły, kiedy zrozumiał pomyłkę. To miał być nasz sekret.

Znasz Zoe. - Hugh przysiadł na oparciu fotela, niedaleko bratanka.

A kiedy ci powiedziała, postanowiłeś sprawdzić Elisse -rzucił szorstko Justin.

- Mówisz od rzeczy.

Justin zerknął na otwarty sejf, gdzie piętrzyły się stosy kopert.

- Co, może nie?!

Twardy, napastliwy sposób, w jaki młody mężczyzna domagał się odpowiedzi, zmusił Hugh do wyznania prawdy.

- A gdyby nawet?

- Ty wścibski draniu, grzebałeś w jej prywatnym życiu?!

- Jest tyle innych rzeczy, o których powinniśmy rozmawiać - bronił się Hugh.

- Kto ci dał to cholerne prawo?

- Jesteś moim bratankiem, Justin. Jesteś wszystkim, co mam. Wierz mi, że ona nie jest ciebie warta. Pod żadnym względem. To zupełnie nikt. Mała aktywistka czerwonych. Już cię oszukuje z jednym takim, tego samego pochodzenia co ona. - Zaczerpnął głęboko tchu. - Zapomnij o niej, Justin. Zapomnij.

Pot spfywał po bladej twarzy Justina.

- Trzymaj się od niej z dala! I ode mnie!

Hugh nie wiedział właściwie, czego się spodziewać. Ale z pewnością nie oczekiwał, że ujrzy taką wściekłą, choć wciąż leszcze oszołomioną, mokrą od potu twarz bratanka i usłyszy jego pełen wrogości i oskarżeń głos. Co za temperament! To naprawdę stuprocentowy syn Toma, myślał. Powinienem był lo przewidzieć. Ale to przecież Justin! Uosobienie uczciwości. Na pewno docenia to, co dla niego zrobiłem. Wstał z oparcia fotela, ukazując bratankowi nie oszpecony profil.

- Powinieneś już się położyć. Miałeś długi, męczący dzień. Ślub, załamanie Zoe, a teraz jeszcze i to. To na pewno ogromny wstrząs dla ciebie. Rano wszystko będzie wyglądało Inaczej.

- Nie miałeś żadnego zasranego prawa!

- To ja stworzyłem ci takie życie.

- Mówimy o Elisse. Jak śmiałeś omotać ją swoją brudną siecią?!

Wyglądał jak urażone dziecko, a nie jak człowiek honoru, który przed chwilą dowiedział się, że wieloletni dobroczyńca jest przy okazji jego najprawdziwszym stryjem.

- Idź do łóżka - powiedział Hugh chłodno. - Porozmawiamy jutro.

- Jutro? - zapytał Justin, jakby się dziwił, że jutro też będzie dzień. Jego złość ustąpiła zatrważająco szybko. Mrugał oczami jakby oślepiony, otarł z czoła krople potu i krokiem robota wyszedł sztywno z salonu.

Kiedy już znalazł się sam w korytarzu, zatoczył się lekko. Nie pamiętał swojego wybuchu. Czuł zawroty głowy. Nie panował nad ciałem. Miał wrażenie, że jest pogruchootaną marionetką. Wiedział, że porównanie jest bardzo wyświechtane, ale jak trafnie oddawało sytuację! Tyle lat trzymał się pewnej tożsamości i kierował nią jak drogowskazem, ufny w swoje siły. Nie bał się nieszczęść i katastrof, bo żył w zgodzie ze sobą i to go chroniło.

Świeżo poznana prawda pozbawiła go tej podpory - nie wiedział, jak dalej żyć.

Szedł wolnym krokiem. Kiedy wchodził w masywne, rzeźbione drzwi prowadzące do apartamentu, zatrzymał się i stał przez kilka minut. Wreszcie wszedł w korytarzyk i dotarł nim do sypialni. Włączył jedyną stojącą lampę i ciężko opadł na brzeg łóżka. Bezwładnie opuścił ręce między kolana. Twarz matki na portrecie, ta sama, która mu była pociechą w najgorszych godzinach, w tym świetle nabrała szyderczego wyrazu - Antonia uśmiechała się znacząco. Liczne fotografie ojca - nie, ojczyma! - stanowiły sentymentalną parodię synowskich uczuć. Pochylony, ukrył twarz w dłoniach.

Kim jestem?

Ani Hutchinson, ani Bridger. Czy w ogóle jestem kimś?

Przyzwyczajony do zagładania w głąb siebie i do planowania, Justin miał wyjątkową zdolność samodyscypliny i koncentrowania myśli. Teraz jednak jego umysł przeskakiwał z pytania na pytanie: od wątpliwości związanych z tożsamością do rozważań na temat śmierci.

Śmierć...

Właściwie po raz pierwszy zastanawiał się nad dobrodziejstwem spokojnej śmierci. Nawet gdy był w okopach - kiedy go mdliło od błota i słodkiego odoru rozkładającego się ludzkiego ciała, gdy nienawidził siebie za ten strach przed

grubą Bertą, strach, który wywoływał w nim reakcje skurczowe, zupełnie nie do opanowania - nie myślał o śmierci, jako o miłej alternatywie wobec trudów życia.

Śmierć... martwy... umieranie.

Te słowa kołysały go jak śnieg, jak sen.

Martwym już niepotrzebna żadna tożsamość.

Myśli znowu zboczyły.

- Elisse... - wymruczał jej imię. Ciężki ból za oczami nieco osłabł.

Wstał i zdjął weselne ubranie, brudne, przepocone. Pół godziny później schodził z walizką po schodach.

V

Hugh poszedł do sypialni. Od dawna cierpiał na bezsenność i dlatego zazwyczaj czytał w łóżku. Dziś jednak nawet nie próbował brać książki do ręki. Leżał po ciemku i bolał nad tym, jak nieoczekiwanie i wstrętnie zareagował Justin. Przecież tak się dla niego poświęcił! A zamiast ciepłych uczuć i wdzięczności, został odsądzony od czci i wiary za to, że jest szpiegiem i węży! Justin odmienił się, myślał Hugh.

Usłyszał zapalany silnik. Wsłuchiwał się w charakterystyczne pykanie Piątki, odjeżdżającej prywatną aleją w kierunku jeziora. Dokąd to Justin jechał? Żeby się upić? Żeby znaleźć zapomnienie między udami dziwki?

Nagle usiadł i zapalił lampę, jakby demonstrował, że przyszła mu do głowy jakaś myśl, zupełnie jak w komiksach, kiedy takie procesy ilustrowano rozświetloną żarówką. Otworzył szeroko oczy, płonące w asymetrycznej twarzy.

A jeśli pojechał powiedzieć Tomowi?

Dał mi przecież słowo.

Tylko że to już nie jest dawny Justin, człowiek dusza, kwintesencja honoru. On teraz należy do niej. O Boże, co będzie, jeśli się wybrał na Farmę? Pamięć podsunęła mu obraz Toma myjącego się w ciemnym garażu. „Koniec z tobą, jeśli piśniesz słowo.”

Wszystkiego się wyprę. Jeżeli Justin wspomni coś o listach, powiem, że je ukradł. Powiem wszystko, co będę musiał powiedzieć. Sapał ciężko, zimny jak lód. Zażył lekarstwo na astmę, naciągnął kołdrę wysoko pod brodę i leżał, czekając na najgorsze. Na telefon od Toma i jego

rozwścieczony głos, miotający przekleństwa. Cisza. Nawet astma przywarowała w ukryciu.

Leżał sztywno, a jego gruczoły zaczęły wydzielać wzmożoną ilość kwasu. Powalił go przypadek Justinitis". Ale jakież to bolesne - zbyt bolesne! - obwiniać bratanka za tę zdradziecką reakcję. Przeniósł więc całą winę i zimną nienawiść na tę Żydówkę, Elisse Kapłan. To naruszenie jej prywatności tak bardzo wstrząsnęło Justinem, to ona zawróciła go z drogi prawości i cnoty.

Po godzinie usztywniającego mięśnie sycenia nienawiści i biernego leżenia w strachu Hugh nalał sobie wody ze srebrnego dzbanka i popił dwie żółte tabletki. Jedynym skutkiem zażycia podwójnej dawki silnego środka nasennego było lekkie odrętwienie twarzy.

Wstał, naciągnął szlafrok i stanął przy oknach. Nad ogołoconymi z liści drzewami, gdzieś w bezkresnej dali, błyszczwały gwiazdy. Nieogarniona, niepoliczalna liczba żarzących się, mrugających punkcików. Hugh chwycił się parapetu i wpatrywał się w śnieżny kurz Drogi Mlecznej. Ten jego szarpiący nerwy lęk przed bratem, fizyczny ból, jakiego doznał, obserwując reakcję Justina - czy aby nie była to wściekłość, która sprawi, że Justin odwróci się do niego plecami? - wyzwoliły w nim nienawiść zimną i równie nieczułą jak dalekie gwiazdy. Ta Elisse Kapłan zabrała mi jego serce, myślał. Niechęć do nieznaney dziewczyny przeradzała się w pełen zawziętości wstręt pustelnika, tak samo lodowaty i nieugięty jak srebrne latarenki na zimowym niebie.

Z głębokim westchnieniem podszedł do biblioteczki i wyjął z niej książkę. Ale tym razem *Myśli* Marka Aureliusza nie powstrzymały osaczającej go furii.

I

Elisse Hutchinson przeszła przez tonący w półmroku pokój hotelu Laguna i ziewając uniosła listki żaluzji, żeby spojrzeć na Pacyfik. Nie było jeszcze całkiem widno. Woda nie nabrała koloru, a krążące nad nią mewy i widoczne w dali łodzie rybackie - dwuwymiarowe i czarne - przypominały japoński obrazek.

Justina zobaczyła, jak szedł przez plażę - dokładnie naprzeciwko okna sypialni. Spojrzał w górę, upuścił ręcznik na piasek i pocierając ramiona pokazał jej, że jest zimno. Później wybiegł w ocean i zanurkował w łamiącym się pieniście grzywaczu. Elisse, ubrana w nowy szlafrok, zadrżała z zimna. Tylko ktoś wychowany na Wschodnim Wybrzeżu może robić podobne rzeczy. Żaden kalifornijczyk przy zdrowych zmysłach nie pływa zimą.

Sześć dni temu, dwudziestego ósmego grudnia, portier studia Columbia zadzwonił i spytał, czy może wpuścić niejakiego pana Hutchinsona. Po tych cholernie braterskich listach Justina, po dwóch bardzo angielskich i bardzo chłodnych rozmowach telefonicznych, w czasie których kolejny raz przesuwiał datę przyjazdu, fala radości po prostu zbiła ją z nóg. Nie pamiętała już wcale, jak tłumaczył nieoczekiwane przybycie, ani też słów, które padły w rozmowie o ucieczce i potajemnym ślubie. To dziwne kuglarstwo czasu sprawiło, że nagle, nie wiadomo jak i kiedy, znalazła się w zabłoconym Onyksie i już przekraczała granicę, w drodze do Tijuany. Justin przytrzymał jej dłoń na swoim silnym udzie, a ona siedziała odurzona mgiełką zmysłowych emocji. Rzeczywistość dotarła do niej dopiero wczesnym wieczorem, kiedy po przyjeździe do hotelu zamówiła rozmowę telefoniczną. Rodzice nie składali jej życzeń szczęścia, nie chcieli rozmawiać z Justinem - oboje płakali. Spodziewała

się takiej reakcji, ale to nie poprawiło jej samopoczucia. Z trudem odwiesiła słuchawkę. Łzy ciurkiem płynęły jej po twarzy.

- Nie jest mi wcale do żartów... - zwróciła się do męża. - Robią z tego dokładnie taki sam dramat, jak w objazdowym teatrze z *Abie's Irish Rose*.

To była cała ona. Jej dziarska, zadziorna osobowość bez przerwy toczyła walkę z charakterem, i zdaniem Elisse, ten bój był istnym dobrodziejstwem. Widziała się jako plazmo-watą bańkę, rozciągana to w jedną, to w drugą stronę porywami nazbyt miękkiego serca. Podziwiała Justina. Zazdrościła mu jego prawości i zasad honoru, którymi się kierował. Jej życia nie regulowały żadne trwałe zasady. Sympatie Elisse ciągnęły ją w najprzeróżniejsze strony. Zaczęła pomagać Mitchowi Shapiro w organizowaniu strajków nie dlatego, że wierzyła w walkę, ale dlatego, że łzy napływały jej do oczu, ilekroć mijała biuro zatrudnienia w Columbi, przed którym stała kolejka pokornych bezrobotnych, mających nadzieję na choćby kilkugodzinne zajęcie.

Wzdychając oparła czoło o szybę i patrzyła, jak Justin klasycznym stylem pokonuje fale. Choć kochała go do obłędu, miniony tydzień nie był dla niej ziemią obiecaną. Ból nie wiązał się jedynie z faktem, że rodzice nie zaaprobowali jej małżeństwa. Łączył się z ukochanym mężem.

W wielu dziedzinach sprawdzał się znakomicie. Wyjechała z nim bez jednej chusteczki. Kupił jej piękną suknię, cierpliwie czekał, aż przymierzy wszystkie po kolei buty w jej rozmiarze, jakie były w sklepie, spokojnie znosił nie kończące się przymiarki ubrania - tego na ten sezon i następny - jakie można było nabyć w mieście wczasowiczów. Śmiał się z jej dowcipów, czasem dorzucał coś dobrego od siebie, jadł szybko i schludnie, elegancko składał ubrania. A jednak, a przecież... Utrzymywał jakiś dziwny, niewyjaśniony dystans. Czy przedtem też tak było? Tak mało się znali. Poza tym jej uwielbienie dla męża mocno zakłócało obiektywny odbiór jego zachowania. Podziwiała wprost bezgranicznie tego mężczyznę, który był dla niej ucieleśnieniem wszystkich cnót - ślub nie wpłynął zasadniczo na jej adorację, nie sprowadził jej wcale na ziemię - ale gdzieś po cichutku sama przyznawała, że Justin we wrześniu był inny. Nie umiała określić, na czym polega różnica. Dlaczego - raz po raz zadawała sobie to pytanie - trzyma się od niej z dala?

Czasami, albo tak się jej tylko zdawało, w jego oczach pojawiał się smutek i chłód. Widziała zwężone źrenice, zupełnie jakby Justin patrzył na odległy krajobraz. Jediną konkretną rzeczą, jaką mogłaby mu wytknąć, było to, że używał „tych rzeczy”. Ona zawsze, porwana namiętnością -zdawało się, że przecież odwzajemnianą - zupełnie traciła głowę, lecz on niezależnie od tego, jak gorące i ciężkie stawały się ich oddechy, potrafił oderwać się od niej i sięgnąć na nocny stolik, żeby wziąć „to”. Uwielbiała gorącą, twardą, pulsującą część jego ciała. W gumowym pokrowcu Jego penis stawał się abstrakcyjny, anonimowy. Poza tym ten ochronny płaszcz stanowił dowód, że Justin nie chciał łączyć się z nią ostatecznie. Może nie chciał spłodzić żydowskiego dziecka? Ponieważ nie przeszli przez okres pozareczynowego oczekiwania, nie mieli też kiedy omówić kwestii dzieci czy metod antykoncepcyjnych. W gruncie rzeczy do teraz Elisse nie wiedziała w ogóle, że istnieją kondomy. Kiedy stanęła oko w oko z tym faktem, nie umiała zdobyć się na to, żeby mu powiedzieć, jak bardzo przeszkadzają jej w akcie miłości. Justin wypłynął poza pas przybrzeżny. Niebo pojaśniało. Elisse patrzyła na głowę męża i młóćące wodę ramiona. Wreszcie rozplakała się. Wróciła do łóżka, chwyciła poduszkę, która wciąż pachniała Justinem, i zapadła w sen.

II

Zbudziła się nagle. Ktoś pukał do drzwi.

- Obsługa hotelowa. - Usłyszała nosowy męski głos.

- Idźcie sobie - wymruczała. - Za wcześnie. - Idealny, pedantyczny Justin zamówił śniadania na dziewiątą.

Kolejne stuknięcie do drzwi.

- Obsługa hotelowa!

Sięgnęła po złotą Bulowę Justina. Za trzy dziewiąta!

Wyszedł przed siódmą! Podbiegła do okna. Zasnute chmurami niebo odbijało się w wodzie szarymi refleksami.

Ocean Jak okiem sięgnąć był pusty. Elisse dojrzała tylko jedną rybacką łódź, która dopływała do mola. Nikt się nie kąpał. Nikogo nie było na plaży. Jakaś wielka biała mewa przycupnęła na ręczniku Justina - leżał wciąż dokładnie w tym samym miejscu.

Szybkim krokiem minęła starszawego kelnera z wózkiem śniadaniowym i na bosaka pobiegła do windy. Kilkakrotnie nacisnęła guzik, ale nie czekała, aż winda przyjedzie, tylko zbiegła do holu wykładanymi czerwonym chodnikami schodami. Kurczowo złapała się kontuaru recepcji i zapytała bez tchu:

- Czy pan Hutchinson wrócił?

Podwójna broda recepcjonisty opadła na jej widok.

- Nie widziałem go jeszcze dzisiaj, proszę pani. Ale może zechce pani wrócić do pokoju, a jak tylko zobaczę pana Hutchinsona...

Oderwała się od kontuaru i pobiegła do wyjścia na plażę. Naparła ramieniem na jedną parę drzwi, pchnęła dłońmi drugą. Zamknięte na głucho. Następne ustąpiły. Przeskakiwała po dwa schodki wykładane czerwoną terakotą. Przewróciła się na ostatnim. Zerwała się na nogi i zbiegła zimnym piaszczystym zboczem aż nad sam brzeg morza, gdzie łamały się fale. Jakaś złowrózba energia rozpałała ją tak, jak prąd rozżarza włókno w żarówce."

- Justin! Justin!

Ryk fal zagłuszył jej nawoływania.

Popędziła w północnym kierunku, nie zważając na to, że piasek usuwa jej się spod nóg i jej koszula jest mokra aż po uda.

- Justiiiiin! Juuuuustiiiiin!

I nagle, jakby ktoś wypisał *mené, mené, tekel upharsin* wysoko na budce ratownika, zrozumiała poranne wyprawy Justina w morze.

Cały tydzień usiłował się zabić!

Dzisiaj miał szczęście. Dziś mu się udało. O, Boże, Boże! Dlaczego nie objawiłeś mi tego wcześniej? Żeniąc się, Justin popełnił błąd, i to właśnie pchnęło go do samobójstwa.

Obróciła się na pięcie i pełną parą biegła z powrotem do hotelu.

W holu Laguny wykrzyknęła:

- Szybko! Zadzwońcie po ratowników! Mój mąż wypłynął kilka godzin temu! - Obwisłe podbródki recepcjonisty drżały, kiedy mówił coś, czego nie słyszała. - Powiedziałam, żebyście ściągnęli tu cholernych ratowników!

- ...jest tu. - Skończył recepcjonista i ruchem głowy wskazał obrotowe drzwi.

Justin właśnie wchodził. Miał na sobie ciężki, zbyt obszerny sweter. Był blady, a na jej widok resztką krwi odpłynęła

mu z twarzy. Elisse nagle zdała sobie sprawę ze swojego wyglądu. Mokra koszula, oblepiona piaskiem, przykleiła się do ud i ukazywała ciemny trójkąt między jej nogami; włosy miała w nieładzie. Wariatka z plaży. Przez chwilę była zakłopotana, ale czuła zbyt wielką ulgę i nagłą słabość, by zrobić cokolwiek innego, niż puścić się jak strzała przez hol i przywrzeć do Justina. Rozszlochała się, wciskając usta w szorstką, słoną wełnę. Jesteś cały... Żyjesz...

- Nie wiedziałem, że prąd morski może być tu aż tak silny. Wypłynąłem trochę za daleko, to wszystko. Pan Sandoz akurat przepływał łodzią obok i zabrał mnie ze sobą.

Lisse spostrzegła krępego Meksykanina w żółtym sztormiaku i czarnych kaloszach - grzecznie odwracał wzrok.

- Chciałbym się jakoś odwdziżyć za jego trud - powiedział Justin. - Kochanie, chodź do pokoju.

Po chwili zszedł do holu z portfelem w ręku.

Elisse zabrała ubranie do łazienki i powiesiła je na drzwiach. Odkręciła prysznic. Mocny strumień wody uderzał o jej twarz i wrażliwe brodawki. Zmoczyła kręcone włosy, kiedy schyliła się, żeby porządnie namydlić podrapane przy upadku kolano. Z beznadziejną pokorą żalobniczy przyjmowała do wiadomości fakt, że nade wszystko na świecie pragnie tylko jednego - złączyć się, stopić, stać się częścią Justina. Jestem mu tak samo potrzebna jak trąd albo tężec, myślała. Ale ponieważ jest, kim jest, nie może wystąpić z propozycją rozwiązania tej strasznej pomyłki - mieszanego małżeństwa. Wielkie rozstanie. Płacze? No to co? Woda zmyje łzy.

Wycierała się już, kiedy usłyszała, że wrócił. Nie wychodziła z łazienki. Ubrała się w błękitny kostium, wyprostowała strzałki na pończochach, uważnie włożyła filcowy kapelusik. W tym stroju, w którym poszła do pracy dwudziestego ósmego grudnia, weszła do pokoju.

Justin, ubrany w szare flanelowe spodnie i miękką koszulę, uniósł brwi w zdziwieniu.

- A cóż tak oficjalnie?

- Wracam do Los Angeles - powiedziała cicho.

- Chcesz, żebyśmy zawarli pokój z twoimi rodzicami?

Czy w ogóle wpuściliby ją za próg? I czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Nie mogła już wrócić na Rodeo Drive.

Wrócić do domu rodziców byłoby zdradą wobec tych

wszystkich szalonych, gwałtownych uczuć, które wzbudzał w niej jej duży, przystojny, ładnie uśmiechnięty mąż.

- Wracam. Sama. Wstał.

- Bo pływałem dziś trochę za długo?

- Tak to miało wyglądać - odparła smutno. - Wypracowałeś sobie pewien zwyczaj, żeby to wyglądało na zwykły wypadek na morzu. Wszystko jak trzeba. Grzecznie... ładnie.

- Nie wierzysz chyba, że chciałem...

- Nie jestem głupia, Justin. - Westchnęła. - To tak oczywiste, że nie ma o czym mówić.

- Kochanie, to był dla ciebie duży wstrząs. Ale teraz naprawdę przesadzasz.

- Reagujemy bardzo emocjonalnie. Zwłaszcza wtedy, kiedy nasi bliscy i kochani próbują się zniszczyć. -

Zdejmowała z palca obrączkę. Jubiler z Tijuany wybrał najmniejszą, jaką miał, ale i tak jeszcze ją zmniejszał. Za bardzo. Teraz utknęła przy kostce palca. Kiedy Elisse położyła ją wreszcie na toalecie, metal zadźwięczał delikatnie o szklany blat. -Nie musisz mi niczego wyjaśniać. Do widzenia. Życzę ci szczęścia. Tu, za południową granicą, mówi się *adiós*.

Krew odpłynęła mu z twarzy, uwidaczniając drobne zmarszczki wokół oczu i ust.

- Ty chyba mówisz poważnie.

- Meksykański sędzia powiedział nam kilka słów, amerykański wkrótce je odwoła. Takie szybkie nieudane małżeństwo nie jest w końcu zbrodnią.

- Myślisz, że moje zachowanie ma związek z naszym małżeństwem?! - zapytał zdumiony.

- A niby z czym innym?

- Jesteś jedynym jasnym punktem w moim życiu.

- Ale postanowiłeś nakarmić sobą rybki? Westchnął i kiwnął głową.

- Codziennie rano wypływałem daleko w morze. Myślałem sobie, niech się dzieje, co chce. Dzisiaj porwał mnie prąd... Nie mogłem sobie w ogóle z nim poradzić. Boże, Elisse, jak ja strasznie walczyłem! Płynąłem jak szalony! Wycąlowałem Sandoza za to, że mnie znalazł.

- Nawet gdybyś miał mnie posądzić o solipsyzm, i tak cię zapytam. Dlaczego teraz, Justin? Dlaczego właśnie teraz? W czasie miesiąca miodowego?

- Ładnie się zachowałem wobec ciebie, co? - Stał przy otwartym oknie. Zimny słony wiatr podwiewał żaluzje.
- Zawsze mi się zdawało, że wiem, kim jestem. Nie byłem ideałem, ale pracowałem nad sobą. Teraz widzę, że uczciwość i przyzwoitość są luksusem, na który mogą sobie pozwolić tylko ludzie o uporządkowanym życiu. - Odwrócił twarz tak, żeby nie mogła jej widzieć. - Moim ojcem jest Tom Bridger.
- Elisse nic z tego nie zrozumiała. Uznała, że Justin używa symboli.
- Czy w tym podziw dla niego nie posuwasz się czasem za daleko?
- Sypiał z moją matką. Nie ożenił się z nią. Skonsternowana, usiadła sztywno - jej błękitny kostium nawet nie muskał oparcia ani poręczy krzesła. Nie mogła opędzić się od myśli o tym, co Justin mówił jej przed Veroną - Tom Bridger nigdy go nawet nie zaprosił na lunch w stołówce dla dyrektorów Onyxa.
- To dobrze strzeżony sekret - wydusiła wreszcie.
- Dowiedziałem się w dniu ślubu Zoe. Chciałem ci o tym powiedzieć. Często próbowałem. Nie mogłem. Źle się czuję w roli bękarta.
- Och, Justin. Nawet mnie się wstydzisz?
- Wszystkich. Z początku żyłem w jakimś szoku. Może trafniej zabrzmiałoby, że nie umiałem logicznie myśleć. Dalej nie potrafię. Nic we mnie nie jest takie, jak sobie wyobrażałem. Nawet najmniejsza częśćka. Nie mam się na czym oprzeć. Jestem kłębkiem sprzecznych uczuć. Prymitywnym potworem. Mam ochotę wykopać biedne kości matki i rozsypać je na wietrze. Nienawidzę swojego oj... Claude'a Hutchinsona. Traktował mnie wspaniale, jakbym naprawdę był jego synem. Mam przemożną ochotę udusić Toma i Hugh. Hugh był szalenie wspaniałomyślny, Tom -dobry. Ale wszyscy mnie okłamywali, Elisse. Wszyscy! Każda minuta mojego życia była czystym kłamstwem! Białe len koszuli napiął się na jego barkach, kiedy uniósł ramiona i wsparł się o framugę. Potrzebował ciepła, serdeczności. Tego nie miała pod ręką.
- Ale ja nigdy cię nie okłamałam - powiedziała twardym, zduszonym głosem. - Jak to się stało, Justin, że w tym twoim *Sturm und Drang* postanowiłeś przyjechać i ożenić się ze mną?

- Kierowałem się czystym instynktem. Nigdy go nie kwestionowałem.
- No tak, przecież mężczyźnie potrzebna jest kobieta u boku, kiedy sam gra w ruletę z oceanem!
- Nie...
- Gdyby pan Sandoz nie zjawił się na kutrze w odpowiedniej porze, czy wiesz, co byś mi wyrządził? Wiesz, z czym zostawiłbyś mnie na resztę życia? Sądziłabym, że zabiłeś się, chcąc uciec ode mnie. Cóż za miłe wspomnienie, prawda?

Wydał z siebie jakiś dziwny, stłumiony pomruk. Zorientowała się, że płacze.

Jej oburzenie wyparowało momentalnie. Zaskoczyło ją, że Justin, taki przystojny, bogaty, silny, zdyscyplinowany mężczyzna, człowiek, który ma wszystko, może płakać. Och, ty kretynko, myślała. Oczywiście, że może! Przecież chciał się zabić! Raz jeszcze niepokój o jego bezpieczeństwo przeszył ją na wskroś. Objęła Justina w pasie i przytuliła się ciasno do jego pleców. Odwrócił się do niej i ukrył mokłą twarz we wgłębieniu między jej szyją a barkiem.

Ogarnęła ją namiętność tak czysta, że prawie metafizyczna - pragnienie, jakie odczuwa znękana, stęskniona kobieta, kiedy jej mąż-wojownik wreszcie wraca do domu. Tylko przez akt prokreacji mógł ją uspokoić, zapewnić, że przetrwa, że przeżyje. Pocałowała jego czarne włosy, wilgotne i pachnące morzem, pocałowała go w policzek, a potem objęła ustami jego usta. Przesunęła ręce między jego pośladki. Pieścił ją z taką samą niepowstrzymaną niecierpliwością. Nie powiedzieli słowa. O rozbieraniu się nie było nawet mowy. Zrzuciła z nóg białe pantofelki, on szarpnął za pasek u spodni - oderwany guzik poleciał przez pokój. Upadli na nie posłane łóżko. Rozchyliła uda, uniosła biodra.

- Nigdy się nie rozstaniemy, Elisse. Nigdy - powtarzał wchodząc w jej ciało. - Należymy do siebie.

Mimowolne skurcze objęły jej łono. Czowała, że drzenie rozchodzi się na brzuch i uda, nabiera mocy, rozdziera ją po to, żeby narodził się jakiś nie poddający się rozumowi, ekstatyczny twór. Obróciła na Justina rozszerzone, zdumione żrenice.

- Kocham cię, kocham... Zawsze, na zawsze... - Sapnęła, trzymając go za ramiona tak, jakby zapraszała do jeszcze szybszych ruchów. Opadała i unosiła się, wychodząc mu

naprzeciw, niewyraźnie krzyczała, że go kocha... Na zawsze. Z głośnym szlochem przygniótł ją swoim ciężarem. Rześkie powietrze zza okna chłodziło ich lśniąco, spocone ciała. Justin okrył ich kocem.

- Kochany Justin - powiedziała.

- Kochana Elisse.

Pocałowała nieśmiało garbek jego nosa.

- Jedno, czego jestem pewien, to to, że jestem twój.

Zastanawiała się, czy nawet w chwili największego niepokoju kiedykolwiek w to naprawdę wątpiła. Jego wrodzona uczciwość nie pozwoliłaby mu ożenić się z nią bez miłości.

- A to... - zaczęła. - Nie użyłeś tego teraz. - Masz pretensję?

To ty zawsze pamiętałeś o tym. Dlatego, że nie chciałeś zostawić mnie z dzieckiem? Na jego twarzy odbiło się zakłopotanie.

- Ta sprawa już nie istnieje. Zapomnijmy o niej - powiedział zdecydowanie.

- Koniec z kąpielami polarnego misia.

- To najłatwiejsza obietnica, jaką przyszło mi składać. Nie mam skłonności samobójczych. Dziś przekonałem się o tym wyraźnie.

Leżeli obok siebie. Splotła swoje palce z jego palcami.

- Powiedz no prostej dziewczynie, jakie są inne sposoby, hm... zapobiegania ciąży.

- Myślę, że lekarz może przepisać kobiecie jakieś urządzenie. Też nie wiem o tym za dużo. - Pocałował ją w policzek. - Nie zdawałem sobie do tej pory sprawy, jak bardzo ten gumowy kapturek psuł ci...

Ależ skąd! - zaprotestowała gwałtownie. - Wszystko, co robimy, jest zawsze cudowne. Ale teraz... teraz to było coś niesamowitego! Prawdziwy raj. - Spojrzała na niego z przerażeniem. - Justin, co będzie, jak zajdę w ciążę?

Uśmiechnął się. Teraz już trochę za późno, żeby się tym martwić. Jak to co? To będziemy mieć dziecko. Jesteśmy już małżeństwem.

Skrzywił się. - Elisse, na litość boską, jak on mógł zostawić matkę w ciąży? Przecież ją kochał!

Przyciągnęła jego twarz do pogniecionego błękitnego materiału przysłaniającego jej piersi. Twój lud będzie moim ludem, kochany, myślała, ale, jak Bóg na niebie, nigdy go nie zrozumiem.

III

Niebo wciąż było zachmurzone i wielu hotelowych gości wyjechało. Justin i Elisse godzinami chodzili po opustoszałej plaży - on z podwiniętymi nogawkami spodni, ona na bosaka. Ich zaczerwienione z zimna stopy tworzyły równoległe szlaczki na mokrym piasku. To był zupełnie nowy Justin. Zupełnie oszołomiony - a kiedy mówił o przeszłości, między głęboko osadzonymi, niebieskimi oczami tworzyła mu się wyraźna zmarszczka. Elisse rozumiała, że chce się przed nią otworzyć, podzielić swoim życiem i że to otwarcie jest potrzebne także i jemu - oczyszcza go i uwalnia od strasznego napięcia. Zachowując dystans, starał się jak najobiektywniej opowiedzieć jej o stosunkach z Tomem i choć nie wspominał o najbardziej drastycznych zdarzeniach, i tak kilkakrotnie Elisse musiała udawać, że to przez niesione wiatrem drobiny piasku łzawią jej oczy. Najbardziej rozdzierający serce był obraz Toma pokazującego Caryllowi jakąś olbrzymią i głośną, nową maszynę w Hamtramck, podczas gdy Justin, chudy wyrostek - zbyt dumny, by błagać o uwagę, jednak głęboko urażony lekceważeniem okazywanym mu przez człowieka, którego podziwiał tak bardzo - ciągnął się z tyłu niby cień, przyklejony do chłopca skupiającego na sobie niepodzielną ojcowską miłość. Złamana bólem Elisse myślała o tym, że wtedy Justin był od niedawna sierotą i nawet gdyby nie był najprawdziwszym synem Toma Bridgera, to przecież, u licha, ten człowiek musiał wiedzieć, że każda kara na własną rękę i okrucieństwo wobec bliźnich jest prawnie zabroniona!

- Jeśli chodzi o moją sytuację finansową - zaczął Justin piątego dnia po wydarzeniu na morzu - to niestety, nie mam żadnych oszczędności. - Przemilczał fakt, że wspaniała suknia ślubna Zoe i koszty wesela wyczyściły jego konto do czysta. - Istnieje fundusz powierniczy, utworzony przez mojego ciotecznego dziadka. Ale my z Zoe nie możemy go ruszyć. Przeznaczony jest dla naszych dzieci. My mamy prawo dysponować jedynie odsetkami. A to nie jest majątek. Wypada rocznie po trzy tysiące dolarów na głowę.

- Dla mnie to dużo pieniędzy. Ja za swoją pracę dostaję sto dwadzieścia siedem miesięcznie - odparła. Dzwoniła do Columbii i choć pan Briskin nie był zachwycony jej nagłym porzuceniem pracy, to ponieważ w okresie świątecznym pisarze i scenarzyści nie przemęczają się zbyt, czekało na nią ledwie kilka powieści. Obiecał, że jeśli Elisse wróci

w ciągu dwóch tygodni gotowa usiąść do konspektów, utrzyma dla niej pracę. - Stoimy na rozdrożu, Justin.

Proponuję, żebyśmy odczekali chwilę i zastanowili się na spokojnie, co będziesz robił dalej.

Lepiej od niego zdawała sobie sprawę, że, szarpany na różne strony, w świetle nowo poznanych faktów genetycznego dziedzictwa beznadziejnie próbował stworzyć nową wersję siebie.

- Znam się wyłącznie na samochodach - powiedział.

- Bystry z ciebie chłopak - zauważyła dziarsko. - Nauczysz się innych rzeczy.

Zatrzymał się. Zmrużył oczy, wpatrzony w fioletową linię horyzontu.

- Niedługo będziemy tam wracać.

- Dokąd? Do Detroit?

- Poradzą sobie beze mnie z zamknięciem fabryki, ale przestawienie produkcji jest bardzo trudnym zadaniem. Nigdy dotąd nie było praktykowane na tak wielką skalę. Żeby wyprodukować Siódemkę, każdą część maszyny trzeba przerobić na nowo. Tylko w samym Woodland jest siedem tysięcy maszyn. Niektóre ogromne. Trzeba będzie od nowa zorganizować pracę w montażowniach.

- Chcesz powiedzieć... - głos jej się załamał - ...chcesz powiedzieć, że zostaniesz w Onyksie?

- Jeśli Tom zechce. - Puścił płaski kamyk na wodę. - Jeśli będziemy mogli spojrzeć sobie w oczy, kiedy prawda zostanie ujawniona. Oczywiście tylko między nami, broń Boże publicznie.

- Nie jesteś jego niewolnikiem, Justin. I nic nie jesteś mu dłużny.

- Nie mogę uciec od tego, kim jestem.

Zadrżała, już bojąc się o niego. Wracał do ludzi, przez których o mało co nie popełnił samobójstwa. Zresztą niepokoiła się również o siebie. W nieporównanie mniejszym stopniu, rzecz jasna. Lękała się spotkania z jego siostrą

- wspaniałą dziewczyną należącą do śmietanki towarzyskiej, pięknoscią, którą filmowano w kronikach. Nie próbowała go jednak zniechęcać. Justin szedł drogą wytyczoną przez mitologiczną historię ludzkości, szukał tego, co wiązało go z naturalnym ojcem. Objęła go w pasie. Brodzili w zimnej żółtobiałej pianie.

- W recepcji widziałam rozkład jazdy pociągów - powiedziała.

IV

Hugh nakazał wysłać telegramy do dealerów Onyxa na całym świecie. 8 STYCZNIA 1927 STOP TORUJCIE DROGĘ SIÓDEMCE STOP DZIŚ SCHODZI Z TAŚMY OSTATNIA PIĄTKA. Ściągnął też dziennikarzy do fabryki i zatrudnianych przez koncern fotografów, żeby filmowali i dokumentowali chwilę, kiedy Tom asystuje przy montażu ostatniej Piątki. Tom ścisnął dłonie najbliższym stojącym robotników, którzy potem spojrzeli na nagle bezczynne ręce i godzili się z faktem, że w środku wyjątkowo mroźnej zimy zostają bez pracy. Około drugiej po południu dokręcono ostatnią śrubę przy ciemnoszarym wozie. Dziwna cisza wypełniła olbrzymią halę. Połowa, prawie dokładnie połowa, wszystkich aut jeżdżących po Stanach, to Piątki, których od dziś miało więcej nie być. Kiedy Tom jechał ostatnim egzemplarzem Piątki do budynku oznaczonego trzema literami „E”, ze skłębionych ciemnych chmur sypał śnieg. Pod markizą osłaniającą replikę kwadrycykla zebrał się spory tłumek. Tom szukał w myślach tego, co łączy go jeszcze z tym dwudziestoletnim szaleńcem, który prowadził pierwszą na świecie Piątkę, ale spoglądając wstecz, widział jedynie ogromne, ciemne oczy Antonii. Zatrzymał auto. Dyrektorzy działów, mechanicy, reporterzy i goście zaczęli bić brawo. Potem rozstąpili się, żeby zrobić przejście dla Maud. W futrze z soboli była bardzo szeroka i ciężko schodziła po niskich schodkach.

- Niespodzianka! - zawołała uśmiechając się do męża od ucha do ucha.

Spodziewał się raczej jakiejś pamiątkowej części samochodu albo prezentu. Roześmiał się głośno. Tuż za Maud szli Caryll i Zoe. Zoe wysunęła się przed nich i pierwsza przycisnęła gładki ciepły policzek do policzka Toma. Odurzył go zapach jej perfum.

- Gratulacje, tato Bridger.

- Dlaczego nie pływacie w Palm Beach? - zapytał.

- Co takiego? I mielibyśmy stracić taką uroczystość? - zawołał Caryll i chwycił ojca w ramiona. Wymienili uśmiechy i szybko odstąpili od siebie, zakłopotani publicznym okazywaniem czułości.

Mechanik zakręcił korbą kwadrycykla.

- No, Caryll, pokaż im, co ten staruszek potrafi - zachęcał Tom.

- Nigdy nim nie jeździłem.

- Żadna sztuka. Jest już rozgrzany. Pamiętaj, że kierujesz sterownicą.

Caryll wsiadł więc w drżącą maszynę, która, niepewnie niczym ptak ze złamanym skrzydłem, podskakiwała i ślizgała się na przysypanej śniegiem fabrycznej alei. Tom dodał jej hamulec, ale Caryll nie umiał znaleźć dźwigni i przy akompaniamencie szczęku metalu wjechał w niski murek z cegły. Wygięły się wzmocnione rowerowe szprychy.

Caryll wysiadł purpurowy ze wstydu.

Kilka minut później Tom stanął na wyłożonym chodnikiem podium ustawionym w auli budynku 3 E i odpowiadał na pytania dotyczące Siódemki.

- Czy są już szczegółowe szkice do wglądu? - zapytał przysadzisty dziennikarz z „Automobile Age”.

- Brynie, przecież wiesz doskonale, że nikt jej nie zobaczy, póki nie zjedzie z taśmy! - odkrzyknął Tom.

- Ale prototyp jest już zrobiony? - dopytywał się reporter z „New York Times'a”.

- Jasne - skłamał Tom. - Piękny. - Choć nigdy nie czuł się swobodnie na konferencjach prasowych organizowanych przez brata, nauczył się tak rozmawiać z dziennikarzami, żeby fabryka czerpała z tego korzyści.

Z ostatniego rzędu odezwał się damski głos z obcym akcentem:

- Kto ukradł wam Justina Hutchinsona? Ford czy General Motors?

- Proszę przyjść i spytać go o to, jak wróci z urlopu! - Tom zwrócił się do Carylla: - Teraz twoja kolej.

Caryll wciąż jeszcze pąsowy po wypadku z kwadrycyklem, kompletnie wytrącony z równowagi znaczącymi spojrzeniami rzucanymi na niego i Zoe siedzącą w pierwszym rzędzie, ciężko wstał z krzesła. Tom siedział, swobodnie opierając kostkę nogi na kolanie i krzyżując przed sobą ramiona, udawał, że słucha. Nigdy nie porównywał swych synów i teraz też nie miał zamiaru tego robić, jednak nie mógł się pozbyć dwóch obrazów, które natrętnie jawiły mu się przed oczami. Widział, jak Justin, idealnie spokojny, bez trudu radzi sobie z każdym głupim pytaniem i jak swobodnie - z angielskim papierosem w ustach - przeprowadza test samochodowy na torze próbnym w Woodland. Myślał też ciągle o wystukanych na maszynie dokumentach, które wciąż leżały w szufladzie jego biurka. Prosiłem, żeby je podpisał, a on wyjechał.

Zamknięcie produkcji kierowane przez Phila i Artiego Sinclairów, było jedną wielką męką i pasmem potknięć. Tom miał okazję się przekonać, jak bardzo potrzebuje Justina. Ale tak naprawdę jego ból i uraza spowodowana nagłą ucieczką Justina - tak bardzo nie w jego stylu! - sięgały daleko głębszych pokładów i chaos w Onyksie nie był ich jedynym powodem. Chociaż Tom zachowywał się wobec Justina jak pracodawca, a nie jak starszy przyjaciel czy kumpel („Ludzie mówią, że go nie lubisz”), zawsze radował go okazywany przez Justina respekt, a jego wyraźne, choć nie demonstracyjne przywiązanie, rozgrzewało mu serce. Tak, w tej sytuacji fakt, że Justin nie zwierzył mu się ze swojej miłości, nie wysłał mu telegramu czy choćby zawiadomienia o ślubie, podziałał na niego jak kubeł zimnej wody. Do tej pory nie wiedziałby o małżeństwie Justina, gdyby nie Hugh. Jakaś szmatława Żydóweczka z Hollywood. W dodatku organizatorka ruchu związkowego. Nie możemy mu już więcej ufać, skoro ma taką żonę. To przez nią się tak znarowił. To już nie nasz dawny Justin, Tom. Mówię ci." Hugh włączył zupełnie nową płytę. Nagle zmienił front. Przez tę dziewczynę.

Tom miał w nosie, czy była tureckim derwiszem czy teściową samego Lenina.

Chciał mieć Justina przy sobie.

Gdy tylko minął pierwszy ból i Tom wydobył się już z dojmującej nagłej samotności, ogarnęły go wyrzuty sumienia. Wszystko to źle rozegrałem, raz po raz mówił sobie w duchu. Dlaczego nie utrzymałem pewnych niedomówień i nie przypieczętowałem tym trwale naszego związku?

Mocno wbił palce w mięśnie ramion. Nie widzącym wzrokiem przesuwiał po zgromadzonych w auli twarzach. Jak tylko Justin wróci, myślał, musi natychmiast podpisać udziały, a już ja je szybko poświadczę, gdzie trzeba. Muszę go zatrzymać przy sobie. To absolutnie najważniejsze.

- Tato? - Caryll patrzył na niego pytająco. - Ty chyba jesteś bardziej kompetentny, żeby odpowiedzieć na to pytanie. Tom wstał.

- Proszę wolno powtórzyć pytanie.

I

Ciężka brama z gęstej metalowej siatki, tak zwana "Jedynka", była zamknięta łańcuchami na głucho.

Trzykrotny klakson taksówki dźwięczał w śnieżnej ciszy. Po chwili otworzyły się drzwi budki strażnika i po drewnianych schodkach zszedł szczupły młody chłopak w mundurze khaki.

- Przepraszam, ale nie wpuszczamy taksówek do środka - oznajmił. Drobną, niemal delikatną rękę oparł na kaburze Colta, kaliber .45.

Zaskoczony widokiem broni, Justin opuścił szybę.

- Wszystko w porządku. Nazywam się Justin Hutchinson. Jestem asystentem pana Bridgera.

Chłopak zamrugł nerwowo.

- Taki mam rozkaz, proszę pana. Nie mogę wpuścić żadnej taksówki.

- Dobra. Pójdę piechotą. - Zrezygnowany, postanowił przejść tę nie całą milę do budynku administracji fabryki. - A niech to jasna cholera! - mruknął pod nosem, kiedy taksówka odjechała i znalazł się pod zamkniętą furtką dla pieszych. Wszedł do strażnicy i mocno załomotał w okienko. Za szybą pojawił się starszy mężczyzna z tłustym podbródkiem. Justin przedstawił się i zażądał otwarcia furtki.

- Przepraszam pana, ale musi pan mieć kartę identyfikacyjną. - Strażnik poklepał się po jakimś niebieskim kartoniku, przypiętym do klapy munduru pod srebrzystą plakietką zakładów Onyxa.

- Co tu się wyrabia? - warknął Justin. - Jestem przecież asystentem pana Bridgera.

- Rozpoznaliśmy pana, panie Hutchinson - powiedział strażnik pojednawczo. - Ale od czasu zamknięcia fabryki

obowiązują nas nowe zarządzenia. Nawet najważniejsi dyrektorzy nie mogą wejść na teren fabryki bez karty identyfikacyjnej.

- Połączcie mnie z kimś na górze.

Drewniana podłoga budki trzeszczała, kiedy dla rozgrzewki Justin chodził tam i z powrotem. Po kilku minutach strażnik ponownie otworzył okienko i wystawił przez nie okrągłą, łysą głowę.

- Powiedziałem im, panie Hutchinson, ale środki ostrożności obowiązują wszystkich z wyjątkiem obu panów Bridgerów. Chronimy Siódemkę.

- Ja tam zaraz zadzwonię! - rzucił Justin niecierpliwie.

- Przepraszam pana, ale nikomu nie wolno wchodzić do strażnicy.

- O co tu właściwie chodzi? Czego się boicie?

- Pana - odparł strażnik. - Pan tu jest ważną figurą, ale wykonujemy tylko swoją robotę, a jeśli ktokolwiek bez niebieskiej karty wejdzie na teren, pan Keeley wyleje nas z pracy.

Keeley? Justin szukał w myślach takiego nazwiska. Nie znał żadnego Keeleya zatrudnionego w ochronie. To pewnie jeden z pomniejszych zamordystów, którzy karmią się cudzym strachem. Będzie musiał porozmawiać z pułkownikiem Hazelfordem, żeby wyrzucić tego Keeleya. A potem zreflektował się. Nie wiedział, czy zajmuje tu jeszcze swoją dawną pozycję.

- Znajdę jakiś publiczny telefon - powiedział.

Knajpki z hamburgerami i Coney Islands przy Archibald, które zawsze działały całą dobę, teraz były zamknięte, a na jednym z okien wymalowano białymi literami: "Przerwa obiadowa, do otwarcia Woodland". Justin doskonale wiedział, jakie katastrofalne skutki dla wielu ludzi niesie z sobą zamknięcie nawet najmniejszej fabryczki samochodów, najdrobniejsza wymiana urzędzeń. A Onyx był przecież największym zakładem w kraju. To będzie długa, mroźna zima dla wszystkich w Detroit, myślał i włożył chronione rękawiczkami dłonie głęboko do kieszeni.

Dopiero na stacji benzynowej Paloverde, na rogu Jefferson, gdzie często tankował, kierownik - narzekając na straszne straty swojego przedsiębiorstwa - zaprowadził go do telefonu na ścianie. Carylla nie zastał w biurze, poprosił więc sekretarkę o szorstkim głósie, żeby go znalazła.

- Proszę mu powiedzieć, że czekam pod telefonem... -Podał numer.

Skostniały z zimna, złamany - czuł się jak wyrzucony za burtę rozbitek - niepokojąc się rozmową z Tomem, siedział w nie ogrzewanym warsztacie na stołku i czekał na telefon od Carylla.

II

Było dobrze po szóstej i sekretarki już poszły do domów, kiedy Tom gimnastykując zmęczone barki, wszedł do swojego gabinetu. Lampa na stojącym w dalekim rogu biurku nie rozpraszała w pełni mroku ogromnego pokoju. Tom, czując dym papierosów, rozejrzał się wokół.

Jakiś cień oderwał się od zasłoniętych okien.

- Dobry wieczór, Tom - powiedział cicho Justin. Nieopisana ulga i szaleńcza radość ogarnęły Toma. Mocno oparł się o dębową framugę drzwi.

- Justin! - wykrzyknął pogodnie. - Aleś mnie wystraszył! - Przekreślił włącznik i zapalił mosiężne kinkiety na ścianach.

- Przepraszam. Nie chciałem.

- Długo już jesteś?

- Z jakąś godzinę.

- Dlaczego nie kazałeś pani Collins mnie ściągnąć?

- Mówiła, że jesteś zajęty w odlewni.

- To prawda. Patrzyłem, jak odlewają korpus silnika. Pamiętasz, jak Olaf i cały jego zespół mechaników upierali się, że nie da rady odlać ośmiocylindrowego silnika w całości? No i wyobraź sobie, że znalazłem sposób! I wyszło! Do diabła, wyszło! Dwa rzędy po cztery cylindry, złączone pod kątem prostym, w kształcie litery „V”. Mówię ci, że Siódemka będzie ciągnąć jak złoto! - Tom wyjaśniał szczegóły i bacznie przyglądał się Justinowi. Obejmował wzrokiem całą sylwetkę syna, cudowne czarne włosy, rzymski nos i cokolwiek niechlujny strój, który z jakiegoś niezbadanego powodu zawsze uważał za wyraz osobowości Justina nierozzerwalnie z nim związany.

Ciemnoniebieskie, głęboko osadzone oczy unikały jego wzroku. Tom uznał to za przejaw zakłopotania. Ze strachu, że uszczęśliwiony jego powrotem, gotów nagle wziąć w ramiona swego wspaniałego syna, powiedział cierpko:

- Przypuszczam, że pani Collins nie widziała powodu, żeby mi przeszkadzać. Skąd po miesiącu ten pośpiech?

- Byłem w Kalifornii. Ożeniłem się, Tom.

- Hugh mówił.

- Hugh? - Oczy Justina błysnęły dziwnym blaskiem.

- Pobraliście się dwudziestego ósmego w Tijuanie. Zgadza się?

- Hugh najwyraźniej trzyma rękę na pulsie.

- Nie wysłałeś mu telegramu?

Justin pedantycznie gasił papierosa w popielniczce, którą już wcześniej zdążył wypełnić niedopałkami.

- Telegrafowałem tylko do Zoe. Oboje z Caryllem byli wtedy w Palm Beach, więc wątpię, żeby Hugh wiedział o tym od niej.

- No tak... - mruknął Tom. Rozpierała go dziecięca radość i satysfakcja, że Hugh też został pominięty. - Nic się przed moim bratem nie ukryje.

- Ona ma na imię Elisse.

- Elisse. Hm! - Uśmiechał się. Podszedł do długiego stołu, na którym stał mały model Piątki 12 i srebrna taca z kieliszkami i karafką. - Może się napijemy? - Chętnie, dziękuję.

Tom uniósł pytająco siwiejące brwi i wskazał głową butelkę ze szkocką.

- Tak? Bez wody?

Tom napełnił szklaneczki i wzniósł toast:

- Za Elisse Hutchinson!

Justin wychylił szkocką do dna, czuł, że ma zdrętwiały nadgarstek. Na ogół rozcieńczał szkocką wodą sodową i popijał trunek drobnymi łyżkami. W życiu go nie widziałem tak zdenerwowanego, myślał Tom. Może się boi, że będę go teraz łajał? Przez chwilę wyobrażał sobie moment, gdy wręcza Justinowi dokumenty (Caryll i Zoe podpisali swoje już w zeszłym tygodniu). Rozkoszował się tym - swoją radością i widokiem tego pięknego, ciemnowłosego mężczyzny, który stał kilka kroków dalej i czekał z niepokojem.

- Nie mam pojęcia, jak ci to powiedzieć - zaczął Justin.

- Nic nie mów. Nie spodziewam się żadnych przeprosin. To prawda, że wyjechałeś w fatalnym okresie, ale wróciłeś na uruchamianie nowej produkcji, i tylko to się liczy. - Tom z uśmiechem odstawił szklanę. - Rozumiem to, Justin.

W życiu każdego mężczyzny przychodzi taki moment...

- Nie chodzi o Elisse. Tylko o ciebie i o mamę. - Justin

poczerwieniał, patrząc Tomowi prosto w oczy. Ale mówił spokojnie jak zawsze. - Wiem, że jesteś moim ojcem. Jakiś oślepiający błysk zaćmił wzrok Toma. Tom Bridger poczuł gwałtowne uderzenie krwi do serca, miał uczucie, że napeężniałe arterie pękną lada moment i że pewnie za chwilę zemdleje.

„Twój syn nigdy nie może się dowiedzieć, że Claude Hutchinson nie jest jego ojcem.”

„Nie możesz tego obiecać.”

„Szef Onyxa może zrobić wszystko. Patrzysz na człowieka, który ma pieniądze, władzę... Przysięgam ci na moje życie, Antonio.”

Gwałtownie uniósł prawe ramię i dotknął nim piersi, po czym opuścił je bezwładnie.

W ciągu tej krótkiej chwili podjął decyzję.

Obietnica dana Antonii nadal go obowiązywała. I zawsze będzie. Nic tego nie zmieni.

To, co leżało u jej źródła - ochrona Justina - było tak głęboko wrośnięte w psychikę Toma, jak dawno zapomniane draśnięcie, które z czasem rodzi perłę. Obietnica, jedyna rzecz, do której Antonia go zobowiązała, przybrała już rozmiary i wagę przysięgi ślubnej, której nigdy sobie nie złożyli, i Tom zorganizował całe swoje życie tak, by nigdy nie zerwać tego świętego przyrzeczenia. Natychmiast zrozumiał też, dlaczego Hugh tak nagle odwrócił się od Justina i wieszał psy na jego małżeństwie. To Hugh zdradził Justinowi tajemnicę i teraz umierał ze strachu. Nie ma żadnych dowodów, myślał Tom. Jest tylko jego słowo przeciwko mojemu.

- Tom, źle się czujesz? Powinienem cię najpierw jakoś przygotować.

Tom trzymał się najwyższym wysiłkiem woli.

- Opowiadasz mi tu jakieś bajki - mówił głośniej, niż zamierzał. Jego głos brzmiał chłodno, cierpko. - Hugh znowu narozrabiał? Naprawdę zachowujesz się czasem jak ostatni osioł. Wydawało mi się, że masz więcej rozumu i nie będziesz wierzył w każdą bzdurę, jaką wymyśli Hugh.

Justin oniemiał. Robił wrażenie człowieka, który dostał obuchem w głowę. Zaciśnął nagle pobielające wargi.

- To nie ma z nim nic wspólnego - powiedział.

- Bzdury! Poznaję w tym jego rękę! Pasuje do niego jak ulał!

- Tu chodzi o mnie i o ciebie, Tom.

- Na pewno zorientowałeś się dawno, że Hugh nie pała

miłością do Carylla. Upatrzył sobie ciebie na spadkobiercę tego chrzanionego imperium.

- Zapomnij o Hugh. Porozmawiajmy o nas.

- To znaczy o czym?

Justin, śmiertelnie blady, długo patrzył mu prosto w oczy.

- Twoja siostra wyszła za mojego syna. Tu zaczyna się i na tym kończy całe nasze spowinowacenie. Nawet Hugh i to, co próbuje tu namieszać, nie może niczego między nami zmienić. Uwierz mi. Daję ci słowo. W końcu ja chyba powinienem wiedzieć.

- Nie przewidziałem tego - powiedział Justin wolno. - Nie przewidziałem, że będziesz kłamał.

- Kłamał? - Tom odrzucił głowę do tyłu. Jego krótki, urywany śmiech wypełnił cichy gabinet. Jedyne warunki, jakie narzucała mu przysięga złożona Antonii, warunki, który musiał spełnić, żeby jej dochować, polegał właśnie na tym. Musiał kłamać. Wciąż kłamać. Bał się nawet myśleć, jaką cenę zapłaci za te kłamstwa, jak to się odbije na związku, który go łączy z synem. Kochał Justina. - Zjawiasz się po miesięcznej nieobecności. Wyjechałeś w najgorętszym okresie. Po czym wracasz i opowiadasz mi jakieś banialuki, że jesteś moim dawno utraconym synem, i jeszcze twierdzisz, że ja kłamię? Wspania le! - Pokiwał długim, szczupłym palcem. - Jeśli to nie Hugh się za tym kryje, to wobec tego ona.

Justin spał się w sobie jak po ciosie.

- Tom, daruj to sobie. A ja i tak wiem. Po prostu wiem.

- Awansowałem cię, jesteśmy spowinowaceni małżeństwem Zoe, więc twoja żonka na pewno pomyślała, że okazja, żeby wyrwać więcej, zwyczajnie sama wchodzi w ręce! Wymyśliła sobie, że będzie mnie szantażować, co?

- No dobrze. Nie chcesz mnie uznać. Nie zrobiłeś tego dotąd, więc dlaczego miałbyś to zrobić nagle teraz? Ale daj mi jakąś możliwość... Zrób coś, żebym ci mógł spojrzeć w twarz. Tom...

- Muszę o tym powiedzieć Hugh. On wie różne rzeczy o tej twojej dziewczynie. Mówił mi, że...

- Nie przyszedłem tu po to, żeby rozmawiać o mojej żonie, Tom. - Justin ostro mu przerwał. W chwili, gdy wymawiał imię ojca, głos zadrżał mu lekko. Głęboko za czerpnął tchu. - Zapomnijmy o całej sprawie.

Tom już stracił kontrolę nad sobą i walką, którą toczy! z synem. Zupełnie jakby krew, boleśnie uderzająca mu do

głowy, rozcieńczona była kwasem akumulatorowym wypalającym rozsądek.

- Tak, to na pewno ona. Wyjeżdżasz do niej cichaczem, a potem wracasz i nagle usiłujesz zacząć mnie doić. Niech ona sobie dalej udaje, że jest taka czerwona, ale mnie na to nie nabierze. Dla niej i dla jej ziomeków tylko forsa się liczy!

Justinowi nagle obwisły mięśnie twarzy, a sińce pod oczami pociemniały.

Tom nachylił się nad stołem, jakby chciał objąć tego syna, wobec którego nigdy nie pozwolił sobie na żaden ciepły gest, ale z jego zaciśniętego gardła wciąż dobywał się chropawy, pełen sarkazmu głos.

- Powinna była zaczekać choć chwileczkę. Chciałem ofiarować wam część udziałów. Ale teraz już tego nie zrobię, chłopie. O nie! I muszę przyznać, że mnie zaskoczyłeś. Co ona z ciebie zrobiła... - Tom nie dokończył zdania, tylko westchnął ciężko i opadł na krzesło.

- Nic ci nie jest, Tom? - Głos Justina dochodził gdzieś z bardzo daleka.

- Cholera...-jęknął Tom.

Justin nalał dużą miarkę szkockiej i postawił szklaneczkę na biurku między Tomem a modelem samochodu. Tom sięgnął po drinka. Widać było, jak skacze mu grdyka, kiedy zmuszał się do picia alkoholu.

- Jesteś chory - zauważył Justin spokojnie. - Wezwać ci lekarza?

Tom czuł, jak ból przenika jego ciało i koncentruje się w okolicach serca. Potrząsnął głową.

- Ktoś powinien cię zawieźć do domu. Nie mam samochodu, ale zadzwonię do Farmy albo do 3 E.

- Nic mi nie jest - wymruczał Tom.

- Źle wyglądasz.

- Jeszcze nie umieram - burknął Tom głośnie. Justin spojrzał na swoje dłonie. Po chwili zapytał:

- Masz może gdzieś pod ręką jakąś wolną niebieską plakietkę?

- Co takiego?

- Identyfikator wydany przez fabryczną służbę bezpieczeństwa. Będzie mi potrzebny jutro, kiedy przyjdę opróżnić biurko.

Tom patrzył na niego ogłupiały. To stało się zbyt szybko, luslin zniknął z jego życia.

- Chcesz powiedzieć, że... że odchodzisz? Justin westchnął.

- Nie mam wyboru.

Przepróś go, myślał Tom w złowrogiej, ciężkiej ciszy. Powiedz, że ci przykro. Ugnij się. Pokrzep go tak, jak on krzepił cię szkocką. Nie musisz mu mówić, że jest twoim synem. Wystarczy, jak mu powiesz, że go szanujesz i że jest najprzystojniejszym, najbardziej prawym człowiekiem, jakiego znalazłeś w życiu.

Ale czy to nie będzie równoznaczne z przyznaniem się do ojcostwa?

I znów usłyszał swój własny, wstrętny, pełen jadu głos (najwyraźniej żył swoim życiem i Tom nie miał nad nim kontroli), którym dalej obrażał Justina.

- Sekretarka spakuje twoje rzeczy. Nie chciałbym cię odrywać od tej twojej, jak jej tam na imię... Sadie? Powiedz mi, co ona tam ma takiego niezwykłego pod spódnicą? He? To w łóżku natchnęła cię tą myślą o wielkim dziedzictwie? - Mówiąc to, Tom poczuł, że raz jeszcze znalazł się w zimnej kuchni i wylewa Antonii na głowę kubel pomyj pełen świństw i chorobliwych oskarżeń. Nienawiść do samego siebie dusiła go boleśnie. Śmierć byłaby z pewnością łatwiejsza niż ta straszna męka. - Ta twoja panienka pewnie zna jakieś specjalne sztuczki, co?

Bitwa się skończyła.

Umierający patrzyli na siebie jednakowo przegrani. Żrenice Justina nabrały ołowianego koloru, oczy wyglądały jak spłaszczone.

Bez słowa podszedł do drzwi i wyszedł na korytarz. Słysząc było tylko echo jego kroków.

Tom rozprostował palce zaciśniętych pięści i usiłował rozluźnić krtań, żeby zawołać, ale ból chwycił go za gardło i bum, bum, bum walił w niego mocno, przydusił do krzesła, utrudniał oddychanie. Ten fizyczny ból był tym gorszy, że wzmagał cierpienie, które Tom sam sobie narzucił. Och, Antonio... Dotrzymałem obietnicy, myślał, słysząc cicho zamykane zewnętrzne drzwi biura. Justin nie ma stuprocentowej pewności.

Nadal siedział na krześle i spływając potem masował pierś, kiedy prawie godzinę później, zaintrygowany światłem w gabinecie szwagra, rozentuzjasmowany Olaf Baardson wpadł, żeby opowiedzieć mu, jak świetnie udał się odlew nowego ośmiocylindrowego silnika.

III

Justin zatrzymał się za drzwiami biura Toma i przez chwilę stał w absolutnym bezruchu, by wreszcie ruszyć przed siebie pustym korytarzem. Nie miał żadnych planów, nie wiedział, dokąd idzie. Jego mózg pracował wolno, zacinając się, zupełnie jak wtedy, kiedy Justin przeczytał stare, pożółkłe listy miłosne. Zatrzymał się przed swoim gabinetem. „J. Hutchinson”.

Przyglądał się tabliczce, jakby był krótkowidzem. I cóż znaczyło to nazwisko? Że przyzwoity, rudowłosy mężczyzna na tyle kochał jego matkę, żeby i jego uznać za swojego syna, żeby mu dać ojcostwo i serdecznie spełniać święte obowiązki? Że jego prawdziwy stryj wykombinował plan, dzięki któremu on, Justin, zajął ten pokój?

Nagle inne myśli zaprzętnęły mu umysł. Zaraz, zaraz... Dlaczego Hugh i Tom tak się uwzięli na Elisse? I dlaczego tak go to dziwiło? Przecież stary Kaplan ostrzegał.

Śmieszne. Bigoteria Hugh nie wstrząsnęła nim tak mocno jak bigoteria Toma. Bo też i Hugh Justin nigdy tak bardzo nie považał jak Toma.

Westchnął i dotknął palcami złotych liter na drzwiach. Na jego twarzy odmalował się bezbrzeżny smutek, ale przede wszystkim zawładnął nim wstyd. Czuł się potwornie poniżony. Nie mógł wyzbyć się miłości i lojalności wobec tego nieobliczalnego geniusza, który go spłodził, wobec człowieka, który odrzucił go na tym najbardziej podstawowym poziomie uczuć... Justin aż zadrzał. Nie powinienem był poruszać tego tematu, którego Tom najwyraźniej nie może przełknąć.

Nie chce mnie jako syna.

Litery rozmazały mu się przed oczami i choć nie wiedział, co robi, ruszył w stronę wykładanych chodnikiem schodów, a potem znalazł się na dworze. Był przenikliwie zimny wieczór.

Szedł bez płaszcza, rękawiczek - kapelusza prawie nigdy nie nosił. I chociaż jego umysł pracował ociężale, Justin jak zwykle dziarsko maszerował dobrze oświetlonymi fabrycznymi uliczkami. Wreszcie załomotał w furtkę dla pieszych przy bramie numer jeden. Usłyszał za sobą wesołe pożegnanie strażnika:

- Moje, uszanowanie, panie Hutchinson. Do zobaczenia, panie Hutchinson!

Znalazł się na Jefferson. Kąsający, zimny wiatr znad Detroit River natarł na niego z rykiem i dopiero wtedy Justin ocknął się i włożył płaszcz.

Myślał o matce na szpitalnym łóżku, przypominał sobie jej obandażowaną głowę, twarz spękana jak marmur i jej bezwładną dłoń, którą trzymał w swojej, kiedy umierała.

Za nim z łoskotem przejechał tramwaj.

Innych dotąd w ogóle nie zauważał, ale z niezbadanych przyczyn akurat ten przenikliwy dźwięk dotarł do niego i wyrwał go z niemal kataleptycznego stanu.

Elisse, myślał. Elisse...

Wyjął zegarek. Po ósmej! O Boże! Powiedział jej, że wróci koło siódmej. Do centrum miał jeszcze straszny kawał drogi. Zaczął pędzić szerokim, oblodzonym chodnikiem, goniąc uciekający wagon. Tramwaj pierwszy dojechał do opustoszałego przystanku i nawet nie zwalniając, pomknął dalej. Lodowaty wiatr rozrywał płuca. Nadjeżdżał jakiś samochód. Zrozpaczony Justin podniósł rękę. Nowy Dodge nie przystanął, pojechał dalej na zachód.

IV

O ósmej Elisse, nieprzytomna ze zdenerwowania, siedziała na różowej narzucie na łóżku i kartkowała książkę telefoniczną. Już wcześniej prosiła telefonistkę z hotelu o połączenie z fabryką Onyxa w Woodland, lecz nikt tam nie odpowiadał. Wyglądało na to, że każda zmiana miała swoje numery, ale w książce podano tylko numery dziennej. Żadnego z Bridgerów też nie było w książce. Bez większych nadziei odszukała literę „H”. Znalazła. Hutchinson Justin. Lokaj Hugh dał jej numer telefonu domu w Indian Village, który wynajmowali Caryll i Zoe.

Jakaś kobieta podniosła słuchawkę.

Elisse poprosiła do telefonu panią Bridger.

- Proszę jej powiedzieć, że dzwoni pani Hutchinson. Nie, nie. Proszę powiedzieć, że to Elisse, jej bratowa.

- Zechce pani zaczekać, proszę pani.

Elisse skuliła ramiona, zastanawiając się nad tym, co powiedzieć siostrze Justina, tej bajecznie pięknej obcej osobie, której zdjęcia oglądała w gazetach i na kronikach filmowych, co jej powiedzieć, żeby się nie przestraszyła. Powie, że Justin się trochę spóźnia, więc chciałaby dostać jakiś numer, żeby go móc odszukać. Każde ułożone w myślach zdanie trąciło albo paranoiczną zazdrością albo histerią. Elisse przypomniała sobie pobladłą twarz Justina, kiedy

stał w drzwiach hotelu Laguna. A co tam, cóż to za różnica co ona sobie o mnie pomyśli? Usłyszała w telefonie głos pokojówki.

- Przepraszam bardzo, pomyliłam się. Pani Bridger nie ma w domu.

- Czy zechce mi pani podać telefon Farmy?

- Pani nie ma w domu! - Słuchawka została odłożona. Elisse zacisnęła powieki. Po chwili wyciągnęła się na łóżku i przez parę minut bezmyślnie przewracała kartki pisma, próbując czytać nic nie znaczące litery. Hej, Columbia nie płaci ci za czytanie tego, pomyślała. Usiadła gwałtownie. Nie wiedziała jeszcze, co zrobi. Ale na pewno nie mogła siedzieć lak beczynnie.

Hal na parterze Book Cadillac pachniał szklarnianymi kwiatami. Hotelowi boye w czerwonych marynarkach biegali to tu, to tam. Goście zmierzali do jadalni. Panie rozpinęły futra, panowie poprawiali ciemne dwurzędowe marynarki. Pułkownicy i majorzy przemysłu samochodowego, myślała. I dzięki Bogu Justin nie nosi takiego mundurka.

Portier w czerwonym kapeluszu otworzył przed nią drzwi. Elisse szła nerwowym krokiem w kierunku oświetlonego pomnika przypominającego weselny tort, który zajmował centralną część placu Cadillac. Zaglądała do wnętrza taksówek i co chwilę odwracała głowę, by rzucić okiem na odlane ze spiżu solidne odrzwia hotelu. Hulają-< y między wysokimi budynkami zimny wiatr przenikał jej lekki płaszczyk. Kupili go podczas tego jednego dnia pobytu w Los Angeles i płaszcz pomyślany był na ciepły klimat Kalifornii. Justin zaproponował wycieczkę do sklepu futrzarskiego u Robinsonów, ale Elisse była przeciwna wszelkim futrom. Kichała teraz siarczyście i właśnie rozważała, czy by nie wrócić jednak do hotelu po świeżą i husteczkę do nosa, kiedy usłyszała czyjeś „Jak się masz” luź za plecami.

Wymarzony wieczór na podryw, pomyślała i przyspieszyła kroku.

Nie rozmawiasz już ze starymi znajomymi, odkąd wyszłaś za mąż za wielkiego bonzę? Odwróciła się na pięcie.

Uśmiechnięty Mitch Shapiro!

Mój kochany! - wykrzyknęła. Pisała mu o ślubie, żeby wyjaśnić, dlaczego nagle przestała się z nim spotykać. -A cóż ty tu robisz na tym kole podbiegunowym?

Otoczył ją ramionami i poczuła ciepło jego masywnego ciała, bijące spod lichego palta.

- Ty drżysz! - zauważył. - Tu niedaleko jest mały barek. Porozmawiamy, a ty się tymczasem rozgrzejesz.

- Wolałabym pójść do kawiarni w Book Cadillac.

- Za drogo jak na moją kieszeń.

- Zatrzymaliśmy się tutaj. Podpiszę czek. No chodź, bądź *sznorer*. - Elisse rzadko używała nielicznych słów, jakie znała w jidysz, ale tego wieczoru, zupełnie załamana, powtórzyła: - *Sznorer*. - Rozsmakowywałe się w tej nielojalności serca i pociągnęła Mitcha do hotelu.

Uparła się, żeby siedzieć z widokiem na hol, i pożyczyła chusteczkę od Mitcha. Kiedy kelnerka przyjęła zamówienie na dwie zupy, rozsiadła się w kabinie wygodniej.

- Powiedz mi, skąd się tu wzięłaś - zaczęła. - I co tam słyhać w Columbii. Coś się dzieje? Nie. Przeczytałabym o tym w gazetach, gdyby strajki dotknęły nawet tak nędzne i biedne studio jak Columbia.

- Teraz Marta się tym zajmuje. Poproszono mnie, żebym tu przyjechał.

- Kto cię poprosił? Harry Cohn?

Kelnerka wróciła niosąc dwie dymiące miseczki rosółu wołowego z kluseczkami. Mitch odczekał, aż sobie wreszcie pójdzie. Jego szeroka poważna twarz z przetrąconym nosem stała się raptem tajemnicza.

- Wstąpiłem do partii. Elisse kichnęła w chusteczkę.

- Nie zaskakuje mnie to - powiedziała. W gruncie rzeczy, nieraz zastanawiała się, co powstrzymało go przed tym krokiem.

- Potrzebny jestem tu, w Detroit. Kiedy Onyx zamknie zakłady, będzie ogromne bezrobocie. Kierownictwo uważa, że to ogromna szansa na zorganizowanie związku zawodowego. Jak dotychczas jednak, przemysł samochodowy trzyma się bardzo mocno. To twardy orzech do zgryzienia.

- Ruch będzie sobie musiał radzić beze mnie. - Westchnęła.

- Co się stało, Elisse?

- Jakoś nie wyobrażam sobie, że mogłabym narażać karierę Justina, wpychając ulotki przez bramę w Woodland.

- Nie o to pytałem. Jesteś okropnie zdenerwowana i cały czas obserwujesz hol. A właściwie to gdzie jest Justin?

- Na rozmowie z szefem.

Mitch spojrzał na nią słowiańskimi oczami o kształcie migdałów.

- Masz przed sobą swojego dawnego mistrza. Mnie możesz zdradzić, w czym rzecz.

Uniosła łyżkę i powiedziała lekko:

- Co tu dużo mówić. Wiesz, jak to jest, w mieszanych małżeństwach. Nie ma się z czego śmiać. Moi rodzice nie chcą mieć z nami nic wspólnego. Urządziliby sobie *sziwę* z mojego powodu, gdyby wiedzieli, jak się do tego zabrać. Poza tym godzinę temu dzwoniłam do siostry Justina. Jeśli czytasz kroniki towarzyskie, wiesz, że wyszła za Carylla Bridgera. Była w domu. Dam sobie głowę uciąć, że była w domu, ale nie podeszła do telefonu! Zupełnie jakby mogła zarazić się czymś od mojego głosu!

- Biedactwo...

- Wiedziałam, w co się pakuję. - Postukała łyżką o szklanekę. - Miałam całe życie na to, żeby się przyzwyczaić do tego, że jestem Żydówką. Ale Justin jest zupełnie wstrząśnięty. Rano pojechaliśmy do Hugh Bridgera. Był opiekunem Justina... Sekretarka powiedziała nam, że nie ma go w domu. A to zupełnie tak, jakbyś usłyszał, że żółw nagle wyszedł ze skorupy!

- Hugh Bridger to kawał zimnego drania. To on steruje wszystkimi represjami w Onyksie.

- Daj spokój, Mitch. Nie rób mi wykładu. Rzecz w tym, że to przecież ludzie, których łączyły serdeczne uczucia, a teraz nagle zaczęli się tak bardzo ranić!

- Ja też wiem, co to jest uczucie, Elisse - powiedział cicho. - Jak sądzisz, dlaczego tak długo nie wstępowałem do partii? Dlaczego czekałem z tym, aż wyjdiesz za męża?

Mitch?

Elisse upuściła łyżkę. Łyżka spadła na podłogę, ale nie próbowała jej podnieść. Mitch? Tak, jej uroda i żywe usposobienie przyciągały mężczyzn, ale ten romans w szkole średniej wystraszył ją na dobre... Więc gdy tylko jakiś chłopak zaczynał mieć poważniejsze zamiary, wycofywała się, pełna poczucia winy, jakby celowo łapała go na fałszywe obietnice. Mitch? Pewnego razu w Berkeley, rok temu, pocałował ją pod dzwonnica. Dzwony śpiewały, bez pachniał, ale krew w niej nie zaszumiała. Mitch?

- Nie mógłbyś mnie kochać - powiedziała zadyszczonym głosem. - Znasz mnie na wylot. Jestem dyletantką Zachod-

niej Cywilizacji. A do ruchu włączyłam się z całkowicie niesłusznych powodów, pod wpływem odruchu serca. Mam pracę, której nie cierpię. Ty jesteś najprawdziwszym ateistą, a o religii wiesz więcej niż ja. Byłam wychuchaną, rozpieszczoną córeczką i wyszłam za mąż wbrew woli rodziców. Bóg jeden wie, jak bardzo skomplikowałam życie Justinowi.

- On ma naprawdę szczęście, Elisse, i wydaje mi się, że lepiej od ciebie wiedział, jak to będzie wyglądać. - Mitch spojrział na bułkę, którą kruszył nad nie dojeżdżoną zupą. - Nie chciałem cię wprowadzić w zakłopotanie, tylko cię pocieszyć. Byłaś taka smutna i wydawało mi się, że podniosę cię tym na duchu.

Patrzyła na niego pytająco, nos miała czerwony.

- Wstąpiłem do partii z oczywistych powodów. Potrzebne mi wsparcie. - Uśmiechnął się.

Miał krzywe zęby i chociaż jego uśmiech nie rozjaśnił mu twarzy, Elisse czuła, że był całkiem szczery. Rozluźniła się.

- Na szczęście. Inaczej byłoby to jeszcze bardziej dramatyczne. Jeżeli Justin zostanie w Onyksie znajdziemy się po przeciwnych stronach barykady.

- Co to znaczy, jeśli zostanie?

- Nie wiemy jeszcze, co będzie robił. Och! Już jest! Przepraszam.

Wybiegła z kawiarni na wążutkich szpilkach, mokrych i ubłoconych.

Tworzyli z Justinem wyspę wśród elegancko ubranych kręcących się po holu gości, zmierzających do sali balowej. Justin stał plecami do Mitcha, ale jego pochylone barki sygnalizowały zmęczenie lub porażkę. Elisse chwyciła go za ramię i choć jej oczy wyrażały głębokie współczucie, na widok męża policzki aż jej poróżowiły z emocji.

Mitch mieszał letnią zupę. Na jego szerokiej twarzy malowała się rozpaczliwie powściągnięta zazdrość zakochanego mężczyzny.

v

Kolacja z Mitchem zmusiła ich do odłożenia rozmowy na później. Kiedy już wrócili do pokoju na piątym piętrze, oboje po swojemu radzili sobie z ranami, których Justin doznał w Woodland.

Justin usiłował pomniejszyć swój ból, ogarniając go

pusztkę, zaskoczenie i poczucie, że nie jest nic wart. Elisse dosłownie wieszała Toma w myślach na kolczastym drucie, aż wreszcie wykombinowała, że listy do Antonii były na pewno fałszerstwem Hugh. No i w ogóle, jak to możliwe, żeby Justin wywodził się z takiej podstępnej i wiarołomnej rodziny? Nie, niemożliwe! W łóżku pocieszała go najczulej, Jak umiała.

Nie zastanawiała się nad przyszłością. Przeżyjmy najpierw tę noc, powtarzała sobie w duchu, obejmując ciasno nagą talię męża. W końcu, wyczerpana zdenerwowaniem i popołudniowym lękiem, odprężona, ale i zmęczona zbliżeniem, usnęła. Jej ramiona, które miały go chronić przed światem, zsunęły się z Justina.

Obrócił się na plecy i zatopiony w bezdennym oceanie, patrzył w ciemność. Tom nie chciał się przyznać do żadnych związków krwi, nawet w cztery oczy. O tym właśnie myślał. Ale jego nie wyartykułowana podświadomość sprawiała, że po raz pierwszy w życiu czuł się człowiekiem gorszej kategorii. Podobnie jak trędowaci, wyrzutki społeczeństwa, ludzie pogardzani. Po prostu okazał się niegodny tego, żeby być synem Toma Bridgera.

Ogarnął go przejmujący ból i Justin zapłakał piekącymi łzami.

Elisse obróciła się na drugi bok. Przytulił się do jej ciepłych pleców i skierował myśli ku praktycznym działaniom. Żonaty mężczyzna musi gdzieś pracować. Co będzie robił? Ból, jaki czuł w sercu, podpowiadał mu, żeby uciec daleko od tego, co przypomina mu Toma, i trzymać się z dala od przemysłu samochodowego. Jednak logika narzucała inne rozwiązanie - trzeba przyjąć którąś z ofert, jakimi zarzucany był w świetniejszych czasach. jedno wszakże wiedział niezbitnie: cokolwiek miałby robić, musi wyjechać z Detroit. Nie, w Detroit nie mógłby już mieszkać.

VI

Elisse obudziła się z podwyższoną temperaturą i chorym gardłem. Justin zamówił jej herbatę z miodem, zjechał na dół i wrócił z aspiryną i wazonikiem z matowego szkła, pełnym najpiękniejszych azjatyckich storczyków, jakie w życiu widziała, a potem pobiegł po gazety, cytrynowe

pastylki do ssania i listerinę do płukania gardła. Kiedy po raz drugi wrócił do pokoju, leżała już wsparta wysoko na poduszkach. Zajmuje się mną, żeby nie myśleć o swoich kłopotach, pomyślała i kichnęła głośno. Zawstydzona sięgnęła po czystą chusteczkę. Tak, to było zbawienie Justina, że umiał działać nawet wtedy, kiedy świat się wali. Na poparcie tego jej odkrycia usiadł przy biurku i zaczął wydzwaniać do ewentualnych przyszłych pracodawców. Z podziwem przysłuchiwała się jego rozmowom i kichała.

O wpół do dziesiątej zaczął się głośno zastanawiać, czy nie wezwać do niej lekarza.

- Nie traktuj tego jak śmiertelnej choroby - zachrypiąła przez obolałe gardło. - To tylko przeziębienie. Zwyczajne przeziębienie i pewnie też się niebawem zarazisz.

- Od lat nie chorowałem.

- Coś takiego! Jak to możliwe, że wiem o tobie wszystko i nie wiem nic? - Ssała pastylkę. - Ja też nie choruję często, ale jak mnie już dopadnie, zamieniam się w niedźwiedzia. Pozwól mi zapaść w sen zimowy, dobrze? Odwiedź jakiegoś przyjaciela. Kogokolwiek.

Usiadł na brzegu łóżka, pieszczotliwie przesuwając grzbietem dużej dłoni po jej policzku.

- Chciałem cię dzisiaj zabrać do Zoe.

Nie wspomniała mu o swoim nieudanym wczorajszym telefonie. Po krótkiej chwili pocałowała go w rękę i powiedziała:

- Idź sam, Justin. Będę zdecydowanie bardziej czarująca, jak się już dobrze wykicham.

VII

W śródmieściu Detroit śnieg albo się stopił, albo został sprzątnięty, ale w eleganckich dzielnicach mieszkalnych, takich jak Indian Village, jeszcze był widoczny. Długa, półkulista łąka śniegu leżała na wąskim trawniku biegnącym środkiem Seminole, a białe kopce przykrywały rozległy trawnik przed nowym domem, stylowo wykończonym drewnem. Caryll wynajął go tuż przed ślubem.

Tylko sypialnia małżeńska była w nim zawczasu umeblowana. Mimo nawału pracy w fabryce tuż przed weselem, Caryll zdążył urządzić ten jeden pokój. To miała być niespodzianka dla Zoe po powrocie z Florydy. Okradał powstającą

Siódemkę z cennego czasu i poświęcał go na projektowanie sypialni. Szkice pomysłów wysłał do Sloane'a w Nowym Jorku. Olbrzymi, tłoczony chiński dywan w kolorze kości słoniowej przykrywał całą podłogę, srebrzyste tapety promieniowały głębią ze ścian, nowoczesne kandelabry od Baccarata zwisały z sufitu niczym stalaktyty, a na podłodze, jak powtórzone echem, stały stalagmitowe ozdoby z kryształu. Na podwyższeniu, do którego wiodły dwa płaskie schodki, królowało rozłożyste łóżo wybijane białym surowym jedwabiem. Tak jak Caryll to sobie zaplanował, sypialnia przypominała pałac Królowej Śniegu, idealne tło dla żywych, ognistych kolorów otaczających Zoe.

Kilka minut po dziesiątej Zoe opadła na malusieńkie poduszeczki z białej koronki i wolniutko delektowała się słodką, czekoladową polewą ciasteczka.

Bardzo grzeczna pokojówka, Belgijka, zajrzała do sypialni i oznajmiła:

- Pan Hutchinson czeka na dole.

- Justin? - Zoe gwałtownie usiadła na łóżku. Potrąciła tacę ze śniadaniem. Filiżanka od Belleeka przewróciła się i na atlasowy monogram białej jedwabnej narzuty, która stanowiła część wyprawy zafundowanej Zoe przez brata, wylała się strużka kawy. - Jest sam?

- *Oui, Madame.* Jest sam. Powiedziała Mary, żeby wprowadziła pana Hutchinsona do biblioteki, więc...

- Zabierz to - przerwała Zoe wysokim podekscytowanym głosem, niecierpliwie odsuwając od siebie tacę, i wsunęła maleńkie ciasteczko w usta.

Podczas gdy pokojówka przygotowywała kąpiel, Zoe wyciągnęła z szafy najróżniejsze ubrania i rozrzuciła je po całej sypialni. W końcu zdecydowała się na sukienkę z żółtej wełny.

O jedenastej schodziła półkolistymi schodami. Na ostatnim stopniu stanęła, a w jej pięknych ciemnych oczach zabłysła niepewność. Co będzie, jeśli żona Justina powiedziała mu o wczorajszym telefonie? Zoe wciąż kochała Hugh - kto wie czy nawet nie bardziej od czasu, gdy ją odtrącił - i niezwykle go szanowała, ale za nic na świecie nie mogła zrozumieć jego kąśliwych uwag na temat wyznania żony Justina. Jej uczucia miały bardziej zasadniczy i prostszy charakter. Kipiała zazdrością. Ta kobieta ukradła jej brata. Nie mogła przyjąć telefonu, bo słowa „Pani Justinowa Hutchinson” wybuchły w niej z siłą dynamitu.

Justin usłyszał kroki siostry i stanął w drzwiach biblioteki. Otworzył szeroko ramiona. Podbiegła do niego z krótkim, cichym okrzykiem.

- Ten sam mój brat? - spytała obejmując go mocno.

- Powiniennem się zmienić? - Pocałował ją w czoło.

- Jesteś teraz żonaty.

- To jest właśnie to, co nazywają *non sequitur*, o ile się nie mylę. - Ujął jej ręce i odstał o krok. - Miałem rację, prawda, Zozo? Nigdy nie wyglądałaś piękniej. Małżeństwo dobrze ci służy.

Dawne, niczym nie zakłócone zaufanie do brata wróciło i powiedziała mu z całą szczerością:

- Aż kręci mi się w głowie ze szczęścia na twój widok. Zachmurzone oczy Justina patrzyły na nią z troską.

- A co z Caryllem?

- Och, sam dobrze wiesz. Zawsze był dla mnie wspaniały.

- Nieco pogardliwie wzruszyła ramionami. Małżeństwo niewiele zmieniło. Tak, bardzo lubiła Carylla, ale jego czułość i adoracja na co dzień wyzwalały w niej najgorsze cechy. -Kazałam przygotować twój ulubiony lunch. Zupę krem ze szpinaku, różne mięsa z rusztu, pieczone ziemniaki...

- Będę musiał niedługo uciekać. Elisse się rozchorowała. Przeziębła się paskudnie. Dlatego nie przyjechała ze mną.

- W jego głosie nie słyhać było ani złości, ani potępienia. Zoe z ulgą kiwnęła głową. Skrzywienie jej pełnych ust wyrażało współczucie, ale w ruchach można było dostrzec pewną sztywność, kiedy prowadziła Justina do prawie pustej biblioteki i zapewniała go:

- Nie mogę się już doczekać, kiedy ją zobaczę.

- Ona też chciałaby cię poznać. - Justin pochylił się i zapalił papierosa. - Czy Caryll wspominał ci o mnie?

- Wczoraj powiedziałam mu, że jesteś już w Detroit i mało nie oszalał ze szczęścia. Liczy na ciebie. Planuje duży zamach, Justin. Dziś rano pojechał skoro świt na Farmę. Pan Bridger (Zoe wciąż tak właśnie myślała o swoim nieobliczalnym teściu) nie czuje się najlepiej.

Justin upuścił papierosa.

- Co się stało?

- Wczoraj wieczorem wujek Olaf przywiózł go do domu z jakąś dolegliwością żołądkową. Pani Bridger chciała, żeby Caryll przekonał go, że doktor Fairbourne powinien go zbadać.

- Jesteś pewna, że to nic poważnego? Tylko żołądek?

- Caryll zupełnie nie był tym przejęty. Rzecz w tym, że właśnie robią jakiś odlew i on się zupełnie gubi, kiedy przy takiej robocie musi zastąpić ojca. Jest zupełnie wykończony, biedaczek. Justin, musisz tam dzisiaj pójść po południu i przejąć pałeczkę.

Justin nachylił się, żeby podnieść papierosa. Skrupulatnie zbierał popiół z parkietu, gdy mówił:

- Już nie pracuję w Onyksie.

- Co takiego?!

- Odszedłem.

- Ale... - Cudowne, ciemne oczy patrzyły w niego z najwyższym niedowierzaniem. - Piorun w ciebie strzelił czy co?

- W pewnym sensie.

- Justin, przecież ty nigdzie indziej dotąd nie pracowałeś!

- Wiem o tym doskonale.

- Nic z tego nie rozumiem.

- To trochę skomplikowane - przyznał. - Tak czy owak, Ford potrzebuje kierownika montażowni w Shreveport. Jutro mam spotkanie z Edselem.

Zoe nie zwróciła uwagi, jaka to dla niego degradacja. Ledwie mogła oddychać.

- To znaczy, że wyjeżdżasz z Detroit - szepnęła.

- Muszę - powiedział bezbarwnym głosem. - Nie będziemy tu mogli żyć z Elisse.

- Jesteś moją jedyną rodziną!

- Państwo Bridger będą o ciebie dbać. Caryll cię uwielbia.

- Oni nie są moimi krewnymi!

- Zoe, proszę cię. Nie zniosę dziś żadnej awantury.

- Zostawiasz mnie!

- Nie masz już ośmiu lat, Zozo. Jesteśmy dorośli. Ty masz męża, ja żonę.

Szloch wyrwał się jej z gardła - mimowolna oznaka bólu. Czy to, że opuszcza ją teraz fizycznie, ma jednak znaczenie? Przecież ta kobieta i tak go jej wcześniej skradła. Na zawsze. Był już stracony. Tylko przy nim jednym na świecie Zoe mogła być prawdziwie sobą - egocentryczną, upartą, a przecież żywą i czarującą. I właśnie on ją opuścił! Była teraz po wsze czasy uwieczniona w czarnej dziurze, na zawsze pozbawiona światła, w którym mogła promienić. Justin zaciągnął ją do dopiero co sprowadzonej tapicerowanej kanapy. Posadził ją na niej i poklepał po ramieniu. W końcu otarła oczy.

- Pax? - zapytał, jak wtedy, gdy byli dziećmi.

- Pax.

- Wiesz, że zawsze, kiedy mnie będziesz potrzebować, choćby w najdrobniejszej sprawie, możesz na mnie liczyć. Będę natychmiast przy tobie.

Kiwnęła głową i przyjrzała mu się po raz pierwszy inaczej, bez emocji.

- Justin, wyglądasz okropnie. Jakbyś nie spał od tygodni.

- No cóż, ta decyzja nie jest dla mnie łatwa. - Potrząsnął głową. -1 to tak wyszło akurat na początek mojego małżeństwa...

- Biedna Elisse - skomentowała Zoe odruchowo.

- Elisse nie wzbudza litości. To najbardziej rzutka i zebrana w sobie osoba, jaką znam. Jestem pewnie niestranny wychwalając jej zalety, ale sama zobaczysz, jak ją poznasz. Poza tym ona nie ma siostry. Jestem pewien, że będziecie sobie tak bliskie, jak ja i Caryll. - W tym miejscu zaczerwienił się pozornie nie wiadomo dlaczego. Wyjął kolejnego papierosa i przypalił. - Jeśli nie boisz się grypy, możemy umówić się na jutro na lunch. W hotelu. Poznacie się wreszcie.

Zoe wiedziała, że nic na świecie nie zmusi jej, by dobrowolnie weszła do budynku, żeby nie wspomnieć już o pokoju, w którym przebywa dziewczyna, która ukradła jej brata, ale dawno odkryła fakt, że łatwiej jej (i o niebo uprzejmiej) przyjąć zaproszenie i wymigać się od niego w ostatniej chwili, niż od razu odmówić. Powiedziała zatem z uśmiechem:

- Cudowny pomysł.

- Zadzwoń do ciebie jutro z rana - zapewnił Justin i chwytając ją za ramiona, przytulił do siebie i pocałował w czoło.

Zoe poczuła niespodziewany wstyd, uświadamiając sobie, jak ważna dla niego jest jej udawana zgoda.

VIII

Ale to w końcu Justin odwołał spotkanie.

Był już mniej więcej od godziny w hotelu, kiedy zadzwonił telefon. Elisse podniosła słuchawkę.

- Mama! - krzyknęła. - Jak nas tu znalazłaś? - Tak... Bardzo sprytnie... Możesz mówić głośniej?

Elisse. Co się stało? - zaniepokoił się Justin.

Rozumiem... Tak, mam... Tak, ale co mówią inni lekarze? - Łzy płynęły jej po policzkach. Osuszała je zmiętą chusteczką. - Mam, wszystko będzie dobrze... Naturalnie, że wyzdrowieje... Nie mów głupstw... Najszybciej, jak się da. Przytknęła słuchawkę do koszuli. - Tata, miał jakiś atak. Justin wyjął jej słuchawkę z ręki.

Pani Kaplan, gdzie jest pani mąż?

W szpitalu Cedars of Lebanon - odpowiedział daleki, d/lewczy g/los. - Doktor Levin nie chce mi nic powiedzieć. Spróbuję z nim zaraz porozmawiać. I oddzwonię do pani jak najszybciej.

Och, dziękuję, bardzo dziękuję!

Przyjedziemy ekspresem z Chicago, wyjeżdża o dziewiątej. A teraz proszę mi podać numer telefonu doktora Levina, jeśli ma go pani pod ręką. I telefon do szpitala. - Otworzył mały notesik. Elisse wyjmowała już ubrania z szafy.

KSIĘGA CZWARTA

Zjednoczony Ruch Robotników Przemysłu Automobilowego

Kiedy cię szykanują i na związkowca plują Ty strajkuj! Strajkuj!
Kiedy śruby ci dokręcają i odetchnąć nie dają Też strajkuj! Strajkuj!
Kiedy szef cię unika, nie schodź mu z krawężnika I strajkuj! Strajkuj!

Kiedy zostali zarejestrowani? - przerwał mu Justin, jakby prowadził suche oficjalne dochodzenie.

- Dziś rano. Przetrzymani ich całą noc - odparł Mitch. - Policja jak zwykle wykorzystwała wszelkie możliwe środki.

Justin ułożył usta w bezgłośny komentarz. Skurwysyny.

- Pod jakim zarzutem?

- Jak zawsze tym samym. Organizowania nielegalnych zgromadzeń i zakłócania porządku.

Zadzwoił telefon. W świetle słońca zatańczyły drobiny kurzu, kiedy Mitch wyciągnął nad biurkiem ramię po słuchawkę. Przytknął ją do zdrowego ucha.

- Centrala Zjednoczonego Ruchu. Shapiro, słucham... Naturalnie, że wiem, kim pani jest... Tak, żoną Pete'a Fannina.

Dziesiąty grudnia 1934 roku.

Ciepły słoneczny poniedziałek w Los Angeles. Okna garsoniery Mitcha były otwarte. Ta garsoniera stanowiła również kwaterę główną Zjednoczonego Ruchu Robotników Przemysłu Automobilowego, jednej z licznych organizacji, które bezskutecznie obrastały dotknięty kryzysem przemysł. Pokoik zastawiony był sfatygowanym biurkiem, dwiema szarymi szafkami katalogowymi z metalu, licznymi składanymi krzesłami i pudłem z ulotkami, które wydzielają chemiczny zapach farby drukarskiej. Na drzwiach do sypialni wisiały przypięte pinezkami zdjęcia Mitcha w towarzystwie zwalistego Johna L. Lewisa o krzaczastych nastroszonych brwiach, Williama Z. Fostera, Earla Browdera i innych ludzi z kierownictwa Amerykańskiej Federacji Pracy i partii komunistycznej.

Justin uprzejmie podszedł do okna, żeby stworzyć wrażenie, że teraz już nic nie będzie słyszał. Miał trzydzieści cztery

lata i przedwcześnie posiwiałe skronie. Była to cecha dziedziczna, która nieźle służyła mu w zawodzie prawnika -Justin robił wrażenie energicznego, dojrzałego mężczyzny.

Dwa dni po tym, jak Edsel Ford zaproponował mu kierownictwo montażowani w Shreveport, nadszedł list od Henry'ego Forda, w którym stary zrywał umowę wstępną. Zwykle zagranie starego Forda, którym chciał upokorzyć swojego utalentowanego, wrażliwego syna. Ale wtedy to już i tak nie miało znaczenia. Justin nie mógł odstąpić od łoża pobladłego pana Kapłana, który uwięziony w szpitalu, czekał na operację woreczka żółciowego, ani też pani Kapłan, tonącej we łzach i bezradnej. Elisse ciągle miała mdłości -okazało się potem, że już była w ciąży. Los sprzysiął się, żeby zatrzymać Justina w Kalifornii. Justinowi wydawało się zupełnie naturalne, że powinien wstąpić na wydział prawniczy kalifornijskiego uniwersytetu. Dopiero po kilku miesiącach pierwszego roku, kiedy już sam był ojcem, ze zdumieniem stwierdził, że rzucił przemysł stworzony przez swojego rodzzonego ojca i wszedł do zawodu uprawianego przez Claude'a Hutchinsona. Podświadomie chciał podtrzymać tę tradycję i zachować nazwisko - skoro już nie geny -człowieka, którego kochał po dziś dzień i o którym przez większość życia myślał jak o naturalnym ojcu.

Mimo że skończył studia w czasie najbardziej rozszalałego kryzysu gospodarczego, został od razu zaproszony do współpracy z dwiema najbardziej prestiżowymi firmami prawniczymi w Los Angeles. Doszli jednak z Elisse do wniosku, że w tym trudnym okresie przemian i zawieruchy pieniądze i pozycja nie mogą być dla nich celem w życiu, więc jakoś dawali sobie radę korzystając z pieniędzy napływających co kwartał z Londynu. Justin miał mnóstwo roboty z nadsyłanymi pismami z Centrali Amerykańskich Związków Robotniczych i charytatywną działalnością na rzecz rozrastającego się związku kierowanego przez Mitcha. Gdyby miał wartościować te dwa nurty swojej drogi zawodowej, na pewno niżej oceniłby lata walki z nakazami eksmisji i boje o zaległe zapłaty robotnicze, ale przecież jego twarz emanowała wtedy najprawdziwszym zadowoleniem i satysfakcją. Czerpiąc radość z udanego małżeństwa, tryskał energią i roztaczał wokół pełen godności wdzięk, z czego w gruncie rzeczy wcale nie zdawał sobie sprawy.

Mitch odłożył słuchawkę.

- Mollie Fannin. Kolejna smutna historia. - Potrząsnął głową. - Jej mąż, Pete, pracował przy dziurkarce w montażowni Chevroleta. Parę miesięcy temu po kryjomu zapisał się do Zjednoczonego Ruchu Robotników i po cichu płacił składki. A mimo to wyniuchali. Wylali go z roboty. Jest na czarnej liście. Nie mają pieniędzy. Mollie pyta, czy nie słyszałem o jakiejś pracy dla niej. Choćby na kilka dni. Nie dlatego, że już nie mają co jeść, ale chciałyby zrobić dzieciom Święta. Czego to ludzie nie wymyślą! Zupełnie jakbyśmy nie wiedzieli, w czym rzecz i nie znali tego od podszewki.

- Może rzeczywiście chce im kupić drobiazgi do skarpety.

- I urządzić Świętego Mikołaja, kiedy system się wali? Justin uśmiechnął się.

- Musisz się jakoś pogodzić z faktem, że jesteśmy tylko ludźmi. Większość z nas, ułomnych, myśli o pogodzie i dzieciach, a nie o rewolucji. - Wyciągnął zniszczony portfel. - Weź ją do sprzątanania biura.

- Wszystkie datki powinny trafić do kasy funduszu zapomogowego.

- Dobrze, dobrze. To jest dla Mollie Fannin. - Justin wyciągnął cztery zmięte jednodolarowe banknoty. - To wszystko, co mam przy sobie. Elisse trzyma nasze finanse.

- A ona jest jeszcze bardziej sentymentalna od ciebie -zauważył Mitch, chowając pieniądze do kieszeni. Wstał, żeby rozłożyć wygięte metalowe krzesło. - Proszę, siadaj. Jest coś, o czym chciałbym z tobą pogadać. - Zaczekał, aż Justin siądzie. - Od czwartku za tydzień nie będziemy się już tu spotykać.

- Znów musisz się przenieść? - zapytał ze współczuciem Justin.

- Choć raz właściciel trzyma z nami - odparł Mitch. - Nie. Wracam do Detroit.

- Znowu? No nie!

Mitch trzykrotnie próbował zorganizować związek w stolicy przemysłu automobilowego. W czasie ostatniego pobytu służbowego w Detroit przypuścił szturm na Woodland i Dickson Keeley, obecnie szef Służby Ochrony Fabryki, osobiście wykopał go przez bramę numer jeden, przy okazji łamiąc mu żebra.

- Tracę tu czas, Justin. Po co kąsać macki? Trzeba trafić w serce.

Dziwna mgła, jaka zasnęła Justinowi oczy, nie miała

bezpośredniego związku z niepowodzeniami Mitcha. Na wspomnienie Detroit, księstwa Bridgerów, odczuł znowu przejmującą falę poniżenia - znów był niechcianym bękartem - i ból, spowodowany dojmującą tęsknotą za bliskimi sobie ludźmi. Z trudem wyjął ostatniego Camela ze zmiętej paczki - od lat już nie pozwalał sobie na takie luksusy, jak importowane papierosy.

- ...w Detroit pięćdziesiąt trzy procent robotników fabryk samochodowych jest bez pracy - mówił Mitch. - To zbrodnia. Niewolnikom powodziło się lepiej, bo ich przynajmniej karmili. Przy masowej produkcji łatwo jest zmieniać ludzi. Łatwiej się ich pozbyć niż najtańszego narzędzia.

- Tam warunki życia zawsze są gorsze.

- Dzieci plądrują po śmietnikach - ciągnął Mitch. - Jedź ze mną, Justin.

- Co?!

- Wróc ze mną do Detroit.

- Niemożliwe. - Justin zacisnął usta. - Mam w terminarzu sprawy na miesiąc roboty.

- Nie myślałem o wyjeździe na urlop. Przeszedłeś szkolenie we wszystkich działach. Nie będziesz miał kłopotów z dostaniem pracy.

Wniosek był oczywisty. Justin poczuł nagły ucisk w głowie.

- Chcesz, żebym pojechał tam jako aktywista i organizator ruchu związkowego?

Mitch patrzył na niego z zawałonego rupieciami biurka.

- Sam sobie na to odpowiedz. Tam jest twoje miejsce.

- A co z moją rodziną? Co z nimi?

- Elisse może przyjechać z dziećmi pociągiem - stwierdził Mitch. - Wiem, że nie chcesz się mieszać do polityki, więc nie będę cię przekonywał na gruncie ideologicznym. -Poglądy Mitcha nie zawsze pokrywały się z partyjną ideologią; omal nie wystąpił z partii, kiedy kierownictwo nakazało mu objąć szefostwo Komisji do Spraw Bezrobocia. Mitch sercem i krępy, muskularnym ciałem należał do ruchu związkowego. - Nie jesteś tchórzem, Justin. Nie cofasz się przez przeszkodą. Tam nie robi się lepiej, tylko coraz gorzej. Nie możesz już dłużej przymykać oczu. Detroit to jedna wielka ropiejąca rana.

- Nie potrafię wywrócić wszystkiego do góry nogami.

- Już najwyższa pora, żebyśmy mieli kogoś znaczącego po swojej stronie. Wiesz, że masz cechy urodzonego przy-

wódcy. Mógłbyś przekonać tych smutnych, przestraszonych ludzi, że ich jedyną szansą jest wspólne działanie. - Mitch przerwał, by po chwili dorzucić mniej oficjalnym tonem: -No i jesteś związany z Bridgerami.

- To ma być Onyx? Tam się wybierasz? Chcesz, żebym zakładał związek w Onyksie?!

- Poza zakładami Forda, tam represje są najsilniejsze. Woodland dzięki staraniom oprawców Keeleya zamieniło się w prawdziwe więzienie. - Mitch poklepał zrosnięte żebra. -Możesz mi wierzyć na słowo.

Justin siedział jak skamieniały. Najmniejszy ruch, a eksploduje wściekłością na tego zwariowanego zapaleńca i najlepszego przyjaciela zarazem.

- Jeśli chcesz, żebym zaczął się kumać z Bridgerami, to nie licz na mnie.

- Doskonale wiem, że nie siedzisz z ręką w kieszeni rodziny swojego szwagra, ale przecież ich znasz. A każda nieoficjalna informacja o Tomie i Hugh to punkt dla nas.

Ręce Justina drżały. Zgasił papierosa i włożył dłonie między ściśnięte kolana. Zaatakowano jego najslabiej broniony bastion, lęk strasznie brakowało mu Toma, Hugh, Carylla! Tak pragnął zobaczyć Zoe! Nie odpowiedziała na żaden jego list. Kiedy wyczytał w gazetach, że na świat przyszła Lynn, najstarsza z jego trzech siostrzenic, wysłał jej srebrną miseczkę. Caryll przysłał krótkie podziękowanie i podpisał je w imieniu Zoe. Teraz tylko oni dwaj z rzadka wymieniali powściągliwe listy, w których pisali głównie o przeszłości, a nie o tym co teraz.

Mitch nie spuszczał z niego oczu.

- Nie pojedę z tobą.

- Są tylko dwie strony. Ciężyciele i ciężeni.

- Obawiam się, że widzę tu jeszcze jedną stronę, Mitch. Prawnika. - Posłał przyjacielowi, starej pile, wymuszony uśmiech. - Mój dom jest w Los Angeles - oznajmił.

Mitch sięgnął do bliższej metalowej szafki i otworzył szufladę, gdzie piętrzyły się listy. Wrzucił garść kopert do lekturowej teczki.

- Masz. Przeczytaj. Potem się zdecydujesz.

II

Tego popołudnia zadzwoniła pani Gunther i poinformowała Elisse, że Ben został zatrzymany po lekcjach i że Elisse

sama go musi odebrać. Ponieważ już nieraz słyszała, jak nauczycielki Bena mówiły o nim podniesionym głosem, opanowało ją znajome drżenie. Zostawiła rozbabrane ciasto na stole i pobiegła zbudzić Tonię.

Szkoła usytuowana była sześć ulic dalej. Elisse pchała przed sobą lakierowany angielski wózek, mijając gipsowe parterowe domki, przed którymi na schludnych trawnikach zakwitły przesadzone z doniczek gwiazdy betlejemskie i czerwone figurki Mikołajów. Tu i ówdzie w ogródkach migają przybrane lampkami choinki - widomy znak, że właściciele są dość zamożni, żeby pozwolić sobie na takie marnotrawstwo prądu. Kryzys nie wszystkim daje jednakowo popalić, pomyślała.

Przed salą drugiej klasy czekała pani Gunther - jej siwe włosy miały ten sam odcień szarości, co nieśmiertelny kostium z grubo tkanego tweedu. Elisse kołysała dobrze amortyzowany wózek, żeby powstrzymać Tonię od płaczu, podczas gdy nauczycielka tonem prokuratora okręgowego wyliczała przewinienia Bena: bójkę z chłopcami i kradzież śniadania koledze.

Elisse zerknęła przez szklane drzwi klasy. Ben siedział sam jeden w opustoszałej sali i z całą pewnością musiał wiedzieć, że rozmawiają o nim. A jednak trwał nieporuszony w ostatniej ławce ze wzrokiem utkwionym w tablicę i wysoko zadartą brodą. Zachowywał olimpijski spokój. Po matce odziedziczył delikatną budowę i wijące się jasnokasztanowe włosy, które w tej chwili, zmierzwione, leżały mu na czole i ocieniały ciemnoniebieskie, głęboko osadzone oczy. Elisse aż straciła dech podziwiając ten cud dziedziczenia i natury. Brzoskwiniowa cera, rozświetlona złocistymi piegami, opinała wyraźne kości policzkowe, nadając twarzy chłopca nad wiek dojrzały wyraz.

Odchylił się na krześle i najpierw uważnie przyglądał się kciukowi, by wreszcie włożyć go między zęby. Nie obgryzał paznokci, coś mu tam musiało naprawdę przeszkadzać. Miał wrażliwe dłonie i chociaż rzadko płakał, skaleczona kostka u ręki wywoływała łzy najprawdziwszego bólu. Dziadek już dawno uznał, że Ben ma ręce muzyka, i uczył go gry na skrzypcach. Chłopiec, typ nerwowego intelektualisty, był bardzo zdolny. Samotnik. Nie spotykał się po lekcjach z kolegami. Elisse kochała go gorąco, do utraty tchu, i zupełnie go nie rozumiała.

- Nigdy nie było z nim takich problemów. Nigdy nic nie ukradł - tłumaczyła.

Złoty łańcuszek przy *pince-nez* pani Gunther zakolysał się.

- Znalazłam torebkę ze śniadaniem Jerrolda w jego ławce.

- Nie chciałam powiedzieć, że wątpię w pani słowa - wyjaśniła Elisse rozdarta dwoma przeciwstawnymi pragnieniami: chciała bronić syna i nie zantagonizować sobie przy tym kobiety, która go miała we władaniu przez sześć godzin dziennie. - Czy prosiła go pani o wyjaśnienie tego?

- To już należy do rodziców - odpowiedziała pani Gunther sztywno.

Jędza, pomyślała Elisse.

W drodze do domu spytała Bena z ironią:

- Nie smakowała ci własna kanapka i ciastko?

- W torebce nie było nic oprócz kilku starych okruchów chleba.

- O Boże! To dziecko chodzi głodne - wymruczała.

- Może i chodzi.

- Zabieranie komuś jedzenia to straszna rzecz. Piegi na buzi Bena pociemniały.

- Nie ja zacząłem!

- Ale ty mu zabrałeś śniadanie! Jak tylko wrócimy do domu, pomaszerujesz prosto do swojego pokoju! - Ze łzami w oczach ścisnęła mocniej rączkę wózka. Czuli, że jako matka całkiem się nie sprawdza. Była wściekła na siebie, że dała upust złości. Żal jej było biednego Jerrolda. Mimo mgły na oczach widziała wyraźnie, że odświętnie przystrojone domy nie są oazami spokoju i radości, lecz ciemnymi norami, gdzie w kątach czai się bieda.

Nakrywała do stołu - Tonią na wysokim krzeselku żuła sucharek - kiedy kuchennymi drzwiami wszedł Justin. Pocałował Elisse, a ona wzrokiem pokazała mu zamknięty pokój, w którym Ben głośno atakował Mozarta na skrzypcach.

- Kłopoty...

Justin podrapał Tonię po brzuszku i przytknął usta do Jedwabistych, niemal białych włosków.

- Jak tam moja córeczka? - W odpowiedzi usłyszał zadowolone gruchanie i ujrzał prześliczny niemowlęcy uśmiech, odsłaniający dwie dolne jedyńki i kawałki rozmiękczonego sucharka. - Jakże znów kłopoty?

- Przesłuchaj zatrzymanego.

- Będzie z pewnością mniej uchylającym się świadkiem.
- Och, wy mężczyźni! - rzuciła kpiarsko, jak wtedy, kiedy obydwaj wyjeżdżali w sobotnie poranki na plażę albo do parku Griffitha; z powodzeniem mogłaby do nich dołączyć, zabierając Tonię, ale doskonale wiedziała, jak bardzo Justin i Ben cenili sobie te rozhukane godziny sam na sam. - Jest wpół do siódmej. Za kwadrans przychodzą rodzice.

III

Kiedy Justin wszedł do pokoju, Ben odłożył skrzypce. Nie zaciskał już nerwowo szczęk, za to niezwykle pedantycznie zabrał się do składania jedwabnej chusteczki.

- *Eine Kleine Nachtmusik?*

- Tak - wybąkał nie podnosząc wzroku. - Dziadek dał mi to wczoraj i chcę mu dziś zrobić niespodziankę. - Był urażony, nie tyle obecnością Justina, ile strachem przed nim, zupełnie jak lis, który bardziej obraża się na swoją łapę niż na trzymającą ją w potrzasku sidła.

Justin usiadł na łóżku i patrzył, jak syn wkłada małe skrzypce i smyczek do wyściełanego czerwienią futerału.

- Byłem dziś w komisariacie przy Georgia Street.

- Dlaczego?

- Sześciu mężczyzn pikietowało fabrykę Chevroleta. W zeszłym tygodniu zostali wyrzuceni z pracy, a potem zakład zatrudnił na ich miejsce sześciu innych za połowę stawki. Chodzili z plakatami, na których wypisali swoją historię. Mieli na to zgodę, ale przyplątało się kilku oprychów i zaczęło się czepiać.

Ben przysiadł koło ojca, pod ciężarem którego materac uginał się tak, że kiedy chłopiec usiadł, od razu wpadł w dołek i teraz obydwaj dotykali się udami.

- Tamci im oddali?

- To raczej była przepychanka. Z tamtych nikt nie został aresztowany, tylko pikietujący.

- Więc poszedłeś tam i wyciągnąłeś ich z aresztu?

- Nie ja, Ben. Prawo. Prawo daje nam...

- Przywilej korzystania ze statutu *habeas corpus*. Już mi mówiłeś. Zostawili pieniądze, a to się nazywa wpłacili kaucję i znaczy, że muszą się stawić na rozprawie - skończył Ben. - To niesprawiedliwe, że aresztowano tylko robotników. Zupełnie jak w szkole. Jak z panią Gunther. Jest niesprawiedliwa.

Nawet jeśli ktoś inny zawinił, zawsze karze mnie. Powinieneś ją zobaczyć. Pisze jedno słowo na tablicy, a potem literuje je i literuje w nieskończoność. A najlepsze jest to, że pisze je tak wysoko, że każdy głupi może zobaczyć litery!

Niespokojna, żywa inteligencja Bena nie cieszyła zbytnio nauczycieli. Ben wszystkie zadania zawsze kończył pierwszy, a potem ostentacyjnie gwizdał Bacha bądź Mozarta, czym wytrącał belfrów z równowagi.

- Pani Gunther musi pomagać innym, Ben.

- Głupki!

- Żadne głupki. Potrzebują tylko trochę więcej czasu niż ty, to wszystko. Ty bardzo szybko się uczysz. To ogromna odpowiedzialność, Ben. Fakt, że się jest zdolniejszym, silniejszym czy bogatszym, narzuca obowiązek, żeby pomagać innym.

- Też coś!

- Takie jest moje przekonanie.

- A co ma być ze mną? - zawołał Ben. A ponieważ wciąż / całą dziecięcą niewinnością nie krył nic przed ojcem, obnażył własne rany. - Mam im pozwolić, żeby mnie bili i zabierali mi rzeczy? Żeby mnie przezywali?

Ben w tym semestrze został przeniesiony do starszej klasy. Bezcelny nowy w drugiej „a”. Młodszy, drobniejszy, stanowił obiekt bezlitosnych żartów. A nie potrafił puścić płazem obelgi.

Justin westchnął.

- Ciężko mi było, kiedy przyjechałem do Ameryki.

- Naprawdę?

- Bardzo naprawdę. Wdałem się w bójkę, a potem wszyscy odsunęli się ode mnie. Wiesz, co to jest „izolatka”?

Ben potrząsnął głową.

- Nikt z tobą nie rozmawia. Czuję się bardzo samotny. Nienawidziłem szkoły.

- Tak... - Ben westchnął. To, że ten jego ojciec, wszechwiedzący, najmądrzejszy na świecie, mocarniejszy niż Bóg, cierpiał też swoje katusze, zdecydowanie poprawiło mu nastrój. Przytulił się mocniej do jego dużego, ciepłego ciała.

Justin otoczył syna ramieniem.

- Dziś rano rozmawiałem z wujkiem Mitchem. Chce, żebym pojechał z nim do Detroit i pracował dla ZRRPA, czyli dla Zjednoczonego Ruchu Robotników Przemysłu Automobilowego. Powiedziałem mu, że to niemożliwe, żebyśmy

wszyscy się tam przenieśli. Ale pamiętasz, co ci mówiłem przed chwilą? Że mamy obowiązek pomagać innym, którym się gorzej powodzi? Zaczynam się zastanawiać... Wiesz, Ben, dla mnie świat byłby najpiękniejszy wtedy, gdyby nikt nie potrzebował pomocy.

- Mhm... - Rozmowa zeszła na tematy ogólne, a te już nie interesowały Bena. Podzielowanymi obcasami stukął w obramowanie łóżka.

- W Detroit tylu ludzi jest bez pracy, że gotowi są zrobić wszystko, byle ją tylko dostać. A ja nie mogę pogodzić się z tym, z jakim zimnym wyrachowaniem duże zakłady wykorzystują ich słabość.

- Ale co za karę wymyśliłeś dla mnie? - wybuchnął Ben. Justin spojrzął na syna.

- Opowiedz mi, co się stało.

- Wczoraj Jerrold mnie pobił, zabrał mi śniadanie, zjadł wszystko i zbił mój termos. Mama była naprawdę wściekła. A dziś nazwał mnie brzydko, więc dzisiaj ja mu zabrałem śniadanie. A potem pani Gunther znalazła je w mojej ławce i powiedziała, że to ja jestem wszystkiemu winny. A wiesz, co on tam miał? Tylko stary, suchy chleb!

- I co zrobiłeś z tym chlebem? - Natarczywe, pełne napięcia pytanie ojca przeniknęło drżące ciało Bena.

- Wrzuciłem do kosza na śmieci - wyszeptał przestraszony.

- Nigdy więcej nie zabierzesz nikomu jedzenia. Nigdy. Do końca swoich dni.

- Nie zabiorę.

- Przyrzekasz?

- Słowo honoru, tato.

Justin mocniej ścisnął ramię syna.

- Dobrze, Ben. Dobrze. - Pocałował kasztanowe kędziory Bena, tak samo jak przed chwilą całował jasne włoski Toni.

Na twarzy Bena, skurczonej od powstrzymywanych łez, odmalowała się ulga.

- No dobrze. Wyjaśniliśmy to sobie - stwierdził Justin. - Chodź, obmyjemy się trochę. Lada chwila przyjdą dziadkowie.

IV

Kiedy Tonią pełną zachwyty zebrała już wszystkie pieszczoty dziadków - huśtanie, przytulanie, drapanie po brzuszku - i została położona w kołysce, Elisse wniosła kolację.

Na stół wjechała sałatka z awokado, którą Justin, mimo ośmiu lat spędzonych w Kalifornii, wciąż uważał za delikates, a potem faszerowana cielęcina, obłożona bogactwem lśniących jarzyn. Dorośli rozmawiali i jedli z apetytem. Ben kopał tunele w tłuczonych ziemniakach, ukrywając w nich fasolkę i marchew. Piernik, skąpany w bitej śmietanie i polewany przez każdego z biesiadników gęstym karmelowym sosem w kolorze bursztynu, uciszył wszystkich.

- Wspaniałe jedzenie - pochwalił pan Kaplan, ocierając okrągłe czerwone usta. Ubrany w hollywoodzkim stylu, z rdzawą apaszką zawiązaną w węzeł na pulchnym gardle i kołnierzykiem koszuli wyłożonym na granatową sportową marynarkę, wyglądał jak człowiek, któremu się dobrze powodzi. I rzeczywiście powodziło mu się świetnie. Wraz z narodzinami dźwięku w kinematografii filmy tworzyły na widowni klimat między innymi za pomocą muzyki, a pan Harry Kaplan wiódł smyczkiem po skrzypcach w bardzo utalentowanej i wysoko opłacanej orkiestrze studyjnej. Sytuacja finansowa odwróciła się - teraz był bogatszy od swojego zięcia. Procenty z funduszu powierniczego dawały Justinowi trzy tysiące sto dziesięć dolarów rocznie, co stanowiło dokładnie tyle, ile zarabiali zasłużeni profesoro wie kalifornijskiego uniwersytetu, ale na tym tle, w dobie załamania gospodarczego, dziesięć tysięcy pana Kapłana błyszczało jak żyła złota.

- Czy mogę już odejść? - wymamrotał Ben i uciekł zza stołu, chwytając garść miętowych wafelków.

Na ładnej, pomarszczonej twarzy pani Kaplan malowała się troska.

- Nie wiem, jak sobie ze wszystkim dajesz radę, kochanie. Zajmujesz się Benem i Tonią, robisz zakupy, gotujesz. - Państwo Kaplan nie mogli zrozumieć tej szaleńczej, upartej niechęci Elisse, opartej na socjalistycznej filozofii, do zatrudnienia stałej pomocy domowej. - I jeszcze masz czas dla Justina.

Pan Kapłan kiwał się nad stołem niczym rozgrzany słońcem gołąb i wyjaśniał zięciowi niuanse koncertu.

Elisse siedziała z zaróżowionymi policzkami. I kto by to powiedział, myślała z radosnym niedowierzaniem, że te dorosłe dzieci nie chciały zaaprobować swojego męża?

- Cisza! Jestem gotowy! - Krzyknął Ben z bawialni. Na Jego skupionej, brzoskwiniowej twarzy pojawiła się rosa

drobniutkiego potu. W eleganckich półbutach, gnąc drobne ciało we wszystkie strony, wypuszczał spod palców i smyczka dźwięczne tony, które wypełniały pachnący kolacją pokój. Niewiele znalazło się tam fałszywych dźwięków, zważywszy, że Ben zostawił nuty u siebie w pokoju.

Tuż po dziewiątej pani Kaplan włożyła nowy płaszcz z grubego sukna. Orkiestra grała dziś wcześniej.

Był to miły, spokojny - *gemütlich* - wieczór, taki jak setki innych.

v

Elisse wyszła z kuchni wsmarowując krem w dłonie i uśmiechnęła się do Justina, który siedział przy uprzątniętym stole przed otwartą aktówką. Wyciągnęła się na zielonej sofie - jej głowa znalazła się w ciepłym świetle lampy - i otworzyła wypożyczone z biblioteki *Pożegnanie z bronią*. Po chwili położyła otwartą książkę w szarych okładkach na piersi i poddała się rozkoszemu uczuciu szczęścia, które odbierała bardziej jak otulający kokon niż przepełniające ją uczucie. Nasycona dobrym, własnoręcznie przygotowanym posiłkiem, mile zmęczona, nie miała w perspektywie żadnej pracy, nie goniły jej żadne zadania. Nie musiała nawet kończyć powieści. Leżała, nie gubiąc się w myślach, nie martwiąc o nic, nieświadoma upływu czasu - zupełnie jak świerszcze za oknem. Zdawało jej się, że jest częścią ich słodkiego, smutnego cykania, częścią chłodnej, wilgotnej kalifornijskiej nocy, dwojga dzieci śpiących w wyłożonych tapetami sypialniach i częścią tego dużego, zamyślnego mężczyzny, którego pochylona głowa lśniła srebrem jak cyna. Przeciągnęła się niczym kotka, powiedziała „Kochany Justin” i podeszła do niego, by dotknąć ustami jego włosów, pachnących tytoniem.

- Co to za papiery?

- Listy do Mitcha. Z Woodland.

Na dźwięk nazwy zakładu radość gwałtownie z niej wyparowała, a twarz, nagle pozbawiona rumieńca, lśniła jedynie gładką opalenizną. Nerwowo uniosła w górę jedną delikatnie zarysowaną brew.

- Pokazuje ci swoją korespondencję?

- Wiesz, od razu powiem ci wszystko. Za mniej więcej tydzień Mitch wraca do Detroit. Chce, żebym z nim pojechał.

- Najlepszy okres na wycieczki przez skuty lodem kraj -powiedziała siadając przy stole, żeby go lepiej widzieć.
- Wymyślił sobie, że wszyscy się tam przeniesiemy i że ja będę pracował dla ZRRPA jako organizator ruchu.
- Cały Mitch! A niech to! Justin, ten pomysł jest tak absurdalny, że szkoda wszelkich słów!
- To właśnie mu powiedziałem.
- Mam nadzieję, że bardzo stanowczo.
- Stanowczo.
- Więc po co ta mina, Justin? Nie jesteś agitatorom. Wspierałeś go dotychczas w pracy jako prawnik, wspomagałeś fundusze. To naprawdę duża rzecz, i już wystarczy. Nawet tobie.
- Straszne rzeczy tam się teraz dzieją.
- To jest wielki kryzys gospodarczy - stwierdziła. - Tu, w Los Angeles, też go odczuwamy. Czy Ben opowiadał ci o awanturze? Zabrał koledze śniadanie, ale w torebce był tylko stary, suchy chleb.
- Obiecał, że nie zabierze już nikomu jedzenia.
- To na pewno rozwiąże wszystkie kłopoty w południowej Kalifornii - rzuciła cierpko. Chwyając się mocno błyszczącego blatu, który pastowała rano, spojrzała na męża przenikliwie. - Nie możesz tego, co mówił Mitch, traktować poważnie. Pomijając fakt, że to oznacza koniec twojej praktyki adwokackiej, to przecież chodzi o Detroit. A oboje wiemy, że to dla ciebie zabójstwo. Pamiętasz, jakie koszmary śniły ci się tu w pierwszym roku? Do głowy mi przedtem nie przyszło, że można się tak pocić. W nocy częściej zmieniałam prześcieradła nam niż Benowi. Powiedz, że nie myślisz o tym na serio.

Justin uniósł pisany na maszynie list.

- Posłuchaj tego, Elisse. „Z chwilą, gdy przejdiesz przez bramę w Woodland, ogarnia cię strach. Nie wszyscy ludzie z ochrony noszą mundury, więc człowiek nie jest pewny, z kim rozmawia. Są wszędzie. Przy taśmie nie wolno się odzywać. Nawet w czasie przerwy trzeba zachować ciszę. Czasem wystarczy jedno słowo, a już cię klepią w ramię. A potem zaraz odsyłają cię pod bramę czwartą.” - Justin podniósł wzrok. - Przy bramie czwartej mieści się biuro zatrudnienia. To znaczy, że dostajesz kopa - tłumaczył Elisse.

„Bez przerwy cię szpiegują. Masz wrażenie, że nawet wtedy, kiedy zamykasz za sobą drzwi do własnego mieszkania.”

- Ładnie pisane - skomentowała wysokim, pełnym napięciem głosem. - Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Justin uniósł kawałek zmiętego szarego papieru, jakby wyjętego z torby, w jakiej przynosi się zakupy. „Tempo na taśmie jest tak straszne, że w ogóle trudno to sobie wyobrazić. Wracam do domu zdenerwowany i wrzeszczę na dzieci. Źle śpiam. Mam kłopoty z trawieniem. I już nie mogę wygodnie żonie, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ale trzymam się tej roboty pazurami. Przynajmniej mam z czego płacić za komorne.”

Elisse miała łzy w oczach. Odwróciła głowę, żeby Justin ich nie zobaczył.

- Związki to żywioł Mitcha, a nie twój. On chce cię tylko wykorzystać.

- Sam nie napisał tych listów.

- Niech sobie weźmie kogoś z Centrali. Ktoś tam z nim pojedzie.

- A kto inny zna ten przemysł tak dobrze jak ja? - Justin układał listy w stos. - To krzyżująca niesprawiedliwość, Elisse. Trzeba pomóc tym zrozpaczonym biedakom.

Fakt. Kochała go za tę wewnętrzną prawość, zawsze czujną i w pogotowiu. Przede wszystkim to właśnie chwyciło ją za serce.

- Nie musisz jechać do Detroit, Justin! Żeby odgrywać Chrystusa, nie musisz nigdzie jechać! Niepotrzebny ci krzyż i gwoździe! Wystarczy, że staniesz i otworzysz ramiona! - Jej słowa dzwoniły w powietrzu. - Idę do łóżka!

Przyszedł po półgodzinie. Leżała sztywno, odwrócona twarzą do okien. Musiał wyczuć, że jeszcze nie śpi, lecz nie zapalił światła - rezebrał się po ciemku. Kiedy wyszedł z łazienki, jak zwykle zajrzał do sypialni dzieci. Słyszał było tykanie budzika.

W łóżku położył dłoń na jej ramieniu i obrócił ją do siebie. Przez kilka chwil, odmierzanych tykaniem zegara, trzymała się z daleka od męża, a potem przytuliła się do niego kładąc mu dłonie na plecach, powyżej i poniżej pasa. Ich sprzeczka była jak szczelina na powierzchni ziemi, nie trzeba było słów, żeby ją wypełnić. Elisse usiadła. Zrzuciła koszulę nocną, która ułożyła się miękko jak mgła ektoplazmy. Długie kasztanowe włosy tańczyły na podbrzuszu Justina, kiedy Elisse obsypywała gwałtownymi pocałunkami jego wzwiedzioną męskość. Potem go dosiadła. Podniecające zapachy ich ciał, wilgoć kraszająca łóżko, jego palce malujące wzory

na jej piersiach... A ona unosiła się i opadała. Nagle znieruchomiła, odrzuciła głowę w tył w pełnym oczekiwania transie - tylko żyłka wyraźnie pulsowała na jej szyi. Gwałtownie pociągnął ją w dół, na materac, i kiedy już był na niej, natarli na siebie z siłą, jakby chcieli zatopić się w sobie, /łać w jedno, znieść różnice swoich osobowości.

VI

Mitch sam pojechał na wschód.

Justin spędził te ciepłe święta Bożego Narodzenia wając wszystkie za i przeciw. Z jednej strony była tragedia robotników w Detroit, z drugiej rodzina. Przede wszystkim myślał o Elisse. Tu był jej dom i rodzice, z którymi łączyły ją bardzo silne więzy. Jemu też byłoby trudno zostawić łagodną teściową o wdzięcznie pomarszczonej twarzy i krępego, niedużego do-brodiwego muzyka, który gadał i gadał bez końca. A Ben? Ten tajemniczy, zamknięty w sobie mały geniusz? Jak tak skomplikowane dziecko znieś przesadzenie w obcy grunt? No i Tonią. Słodką, małą Tonią. Pewnie będzie mieć katar całą zimę. Łatwiej byłoby mu podjąć decyzję, gdyby Mitch wybrał sobie jakąś inną fabrykę, innego fabrykanta zamordystę. Synowska miłość Justina, jego nienawiść, uraza i podziw były wprost niewypowiedzianie silne i wciąż zaćmiewały obraz sytuacji. Bez końca zadawał sobie w myślach pytanie, czy będzie umiał skutecznie pracować przeciwko Tomowi. Przeciw temu Tomowi, który co niedzielę, na zakończenie godzinnego programu radiowego „Rozmaitości Rodziny Onyxa”, suchym, mało dźwięcznym głosem zapowiadał, że żadne związki zawodowe ani rządowe agencje nie będą go uczyć, jak ma prowadzić swój „zakład”. Czy Justin Hutchinson był wystarczająco silny, żeby przeciąć ten węzeł miłości

i niechęci i włączyć się w długą, gorzką, pewnie z góry przegraną walkę?

Nie myśl o Tomie, powtarzał sobie w duchu.

Chodzi tylko o to, czy można w to wciągać żonę i dzieci.

Co wieczór Elisse widziała, jak mąż pali Camela za Came-lem. Skamieniała ze strachu, jakim strasznym zagrożeniem będzie dla niego Detroit, umierała z lęku, że Justin dojdzie do wniosku, do którego sama już dawno doszła, że ich miejsce jest właśnie tam.

Gwiazda Dicksona Keeleya zaczęła wschodzić dwudziestego piątego maja 1932 roku.

Tego ładnego wiosennego dnia Zoe wraz z dwiema dziewczynkami (Petra miała urodzić się dopiero rok później) wybierała się na przyjęcie urodzinowe w dzielnicy Grosse Pointe. Od pewnego czasu tam właśnie mieszkali. Na rogu cichej uliczki Ottawa Lane, gdzie żywopłoty rosły bardzo wysoko, ukośnie parkował czarny Ford, tarasując jezdnię. Robiona dla Zoe na specjalne zamówienie limuzyna Swallow zatrzymała się. Z tylnego siedzenia Forda wyskoczyło trzech mężczyzn, o twarzach zakrytych czarnymi jedwabnymi chustkami. Wymachiwali pistoletami maszynowymi Thompsona. Dwaj muskularni szoferzy Zoe dostali w głowę i stracili przytomność. Guwernantka, oglądająca tę scenę zza szyby oddzielającej szoferkę od kabiny, zbladła, zzieleniała i zemdląła. Zoe zawsze miała w sobie ten szczególny rodzaj odwagi, dzięki któremu umiała się przeciwstawić fizycznemu zagrożeniu. Siedziała wyprostowana sztywno na wybijanym skórą siedzeniu, zamknęła w dłoniach małe, ubrane w rękawiczki ręczki Lynn i Clarice i powiedziała dzielnie:

- Będziemy udawać, że to film gangsterski.

Zamaskowani mężczyźni, nie próbując zbić wzmocnionych szyb w oknach, uciekli do Forda i odjechali z piskiem opon.

O tej porze, o godzinie wpół do czwartej, dostarczano Caryllowi do biura korespondencję. Na jednej z kopert ktoś napisał: „Pilna sprawa osobista”. List, zupełnie jak w filmach, o których Zoe wspomniała dzieciom, złożony był z liter wyciętych z gazet. „Milion w dwudziestkach koło tego samego żywopłotu, co dziś, jutro o czwartej rano. Jak nie, to

potraktujemy żonkę i córeczki kwasem. Żadnej policji. Żadnego kombinowania. Możemy je dopaść w każdej chwili." Bogactwo Carylla przyciągało łobuzów, męty i bandytów, tego rodzaju groźby przekazywał Ardenowi, szefowi miejskiej policji. Dławiony przerażeniem, upuścił list na biurko. Jego śliczne dziewczyneczki... piękna żona... Już wzywał sekretarkę, żeby połączyła go z Ardenem, kiedy zadzwonił telefon. Usłyszał wysoki, zdyszany głos Zoe.

Błądy i zdenerwowany Tom zawiózł roztrzęsionego syna do centrum, do banku handlowego Michigan, który mieścił się w wieżowcu z cegły w kolorze musztardowym - niższe piętra wykładane były mozaiką w aztecki wzór. Budynek należał do Toma. Prezes banku udał się osobiście do rozmaitych instytucji, które bank kontrolował, żeby zebrać właściwe nominały. Przed północą ojciec i syn złożyli dwie metalowe walizki z pieniędzmi pod wskazanym żywopłotem.

Hugh wziął na prywatną rozmowę Keeleya, który nieoficjalnie pozostawał w kontakcie z niektórymi dawnymi znajomymi.

Następnego popołudnia, kiedy Tom i Caryll wrócili na Ottawa Lane, ujrzeli walizki nie tknięte i w tym samym miejscu. Pod koniec tygodnia czarny Ford z ciałami trzech mężczyzn został wyłowiony z jeziora Erie. To mogło być dziełem przypadku - chłopcy z Oakland Sugar House Gang, Purple Gang, Palma i Tocco regularnie urządzali sobie nawzajem rzeź - ale w samochodowym schowku na rękawiczki znaleziono trzy czarne chustki z jedwabiu.

Tom zlecił Keeleyowi opiekę nad swoją rodziną. Ciche rezydencje wokół Detroit stały się terenem działań Keeleya, który też osobiście wybrał ludzi do ochrony rezydencji na plantacji Toma w Wirginii (w dniu odejścia Justina Tom doznał poważnego ataku serca i Maud słysząc lekarskie zalecenie, że powinien oderwać się od „tego wszystkiego”, natychmiast kupiła plantację), jachtu Carylla i Zoe, ich hai jendy w Palm Beach, i apartamentu przy Sherry Netherlands w Nowym Jorku.

Następnej zimy pułkownik Hazelford przeszedł na emeryturę. Tom, zirytowany siedemdziesięcioprocentowym spadkiem sprzedaży i przestraszony, że mimo przyzwoitych plac w Onyksie wykwitnie tam związek zawodowy, który jeszcze bardziej zawęzi mu pole manewru, wyznaczył Dick-

sona Keeleya na szefa ochrony fabryki. Najwięksi bonzowie Onyxa, w tym pułkownik Hazelford, przenieśli swoje biura do „wieży”, koło bramy piątej, ale kiedy Keeley przejął władzę, ochrona wróciła do dawnego budynku administracji. W odseparowanym od fabryki budynku na dużej ściennej mapie zapalały się czerwone lampki, wskazując zmieniające się położenie patroli ochrony na terenie Woodland, a telefonistki przy centralce bezustannie przyjmowały rutynowe codzienne telefony od trzech tysięcy mundurowych strażników i tajniaków, którzy kontrolowali te patrole. W budynku administracji mieściła się też kasa funduszu specjalnego przeznaczenia - za radą Hugh w każdym zakładzie Onyxa na terenie kraju jeden robotnik na czterech dostawał kilka dolarów ekstra, w zamian za donosy o choćby najdrobniejszych przymiarkach do założenia związku wśród załogi. Tom nie darzył Keeleya najmniejszym zaufaniem i w duchu przeklinał czasy, które zmuszały go do zatrudniania takiego typu. Caryll nie znosił go za butę i podejrzanych koleśków. Jednak od czasu napadu na samochód Zoe obydwaj zawierzili mu bezpieczeństwo rodziny, a z czasem zrozumieli, że Keeley jest wprost niezbędny w Woodland, jeśli nie chcą wpuścić związków na teren fabryki. Ani Tom, ani Caryll nie zdawali sobie do końca sprawy, jaki terror zapanował na terenie ich zadbanego, dobrze oświetlonego zakładu.

II

W drugim tygodniu stycznia 1935 roku nadciągnęły burze śniegowe znad Koła Arktycznego i chociaż fabryczny pług śnieżny oczyścił całą drogę z Farmy do miasta, Tom postanowił i tak zostać w domu. Nadeszły rozliczenia za ubiegły rok. Po śniadaniu w ponurym nastroju poszedł do biblioteki, gdzie ze zmarszczonym czołem siedział nad płachtami zestawień i wykazów. Onyx stracił sześć milionów siedemset tysięcy, a zakład produkujący Swallow, choć sam przecież niewielki, powiększył straty o kolejny milion. Pod wpływem upartej namowy Carylla Tom kupił tę fabryczkę w roku 1930, kiedy stała wobec perspektywy oddania w ręce zarządu komisarycznego. Luksusowy samochód! Kogo było dziś na to stać! W minionym roku sprzedali niecały

tysiąc sztuk. Deficyty zakładów Tom pokrywał z własnej kieszeni, podobnie jak poprzedniego roku. Nigdy nie przywiązywał zresztą wagi do pieniędzy, więc to nie fakt, że uszczuplał prywatny majątek, spędzał mu sen z powiek, tylko ta cholerna, paraliżująca niemoc. Stracił kontrolę nad Interesami. Może już pora rzucić ręcznik na deski? - myślał, a potem oczami wyobraźni widział tysiące robotników wylewających się z bram fabryki. Cóż, jeśli zwinie interes, ci ludzie znajdą się na bruku.

Gwałtowny podmuch wiatru i szum świerków zagłuszył brzęczenie telefonu. Dopiero po drugim dzwonku podniósł słuchawkę.

- Zostałeś dzisiaj w domu - odezwał się Hugh.

- Idealna pogoda na robienie rachunków - odparł Tom. -O co chodzi?

- Hutchinson przyjeżdża do Detroit!

Ręka Toma zadrżała i wypadł z niej złoty ołówek Eversharpa. Bracia rzadko rozmawiali o Justinie. Z początku, tuż po ataku serca, dzielił ich namiot tlenowy, a potem jakoś bezpieczniej było nie dyskutować o dobrowolnym wygnaniu Justina. Tom nie wiedział do końca, co Justin usłyszał od Hugh. Hugh zaś nie miał pewności, czy bratanek nie złamał jednak obietnicy i nie wspomniał Tomowi o listach. Uniki i niepewność pozwalały im co prawda prowadzić interesy, ale bardzo nadwerzężyły ich prywatne stosunki. Hugh bał się Toma jak ognia, natomiast Tom zachowywał wobec brata chłodną powściągliwość.

- Tom? Jesteś tam jeszcze?

- Tak. - Jego oczy przypominały spopieliałe węgielki widoczne zza czarnego dymu.

- Rzucił praktykę. Wynajął dom.

- Skąd wiesz, że jedzie właśnie tu?

- Wysłał tu swoje meble. To ona! Na pewno ona się za tym kryje. Nie ma dwóch zdań. Żydzi! - prychnął.

- Masz zupełnego fioła.

- Jeśli o to chodzi, to tak. Dobrze chociaż, że Keeley będzie go trzymał z dala od fabryki.

- Nie!

- A to co znowu?

- Nie dotknie go nawet palcem. - Tom nie miał pojęcia, że Keeley był zausznikiem brata.

- I ty mówisz, że to ja mam fioła! - wykrzyknął Hugh.

Przez długą chwilę obaj milczeli, a potem Hugh odezwał się przymilnym, przekonującym głosem: — Tom, Justin był uczciwym, przyzwoitym chłopcem, ale ona go odmieniła. Mówię ci. Wystarczy, że ktoś taki jak ona chwyci go ledwie za palec, a w ciągu najbliższego roku będziemy tu mieć agentury Moskwy i Jerozolimy. Ich czerwony przyjaciel, Shapiro, już zdążył do nas przyjechać.

- Keeley wie, jak powstrzymać ludzi od podpisywania list związkowych. Nie mamy właściwie żadnych takich kłopotów.

- Tom, posłuchaj mnie...

- Nigdy nie pozwolę na zamykanie bram zakładu przed Justinem! - Tom rzucił słuchawkę.

Z trudem łapiąc powietrze, jak cierpiący na rozedmę płuc, podszedł do okna i obserwował tańczące płatki śniegu.

Osiem lat. Niemal co do dnia, myślał. Osiem lat.

Choć dobrze wiedział, że poczucie winy i koszmar zapierania się spowodowały wtedy atak serca, gdyby miał jednak powtórzyć tę straszną, hańbiącą scenę, po prostu wstrzymałby się od wszelkich obrzydliwych uwag. Ale to wszystko. Dalej byłby wierny obietnicy, którą złożył Antonii. To było dla niego sprawą najważniejszą. Kłamałby w zaparte, byle tylko dotrzymać słowa. Pozbierał się już fizycznie, odzyskał dawną żywotność. Ale bardzo się zmienił wewnętrznie. Jego pełen wyrzutów sumienia smutek wciąż go oplatał, niczym powykęcana artretyzmem dłoń, która ani na chwilę nie pozwala zapomnieć o chorobie.

Oparł głowę o szybę. Odrzucony syn, syn, którego się wyparł, wracał teraz, żeby stoczyć z nim bój. Gorzka prawda. Mimo to jakaś przytłumiona w głębi serca iskierka podpowiadała mu, że każdy kontakt z Justinem jest lepszy od uczucia martwej pustki, z którym żyje już od ośmiu lat. Jakże mogłem tak oblać pomyjami jego żonę? - myślał już nie wiadomo który raz. Milczenie Justina przypisywał temu nieobliczalnemu wybuchowi jadu. (Hugh, równie wykończony brakiem kontaktu z bratankiem, poddał się własnej bigo-terii i łatwiej mu było o wszystko obwinie Elisse niż Justina.)

Powoli, jakby każdy ruch sprawiał mu wielki ból, Tom wyjął portfel. Ukryte w fałdach jaszczurczej skóry tkwiły dwa zdjęcia, które wykradł z gabinetu Carylla. Na jednym, z żyłką załamania biegnącą przez środek kartonika, widać było uśmiechniętego Justina, pochylonego nad rozłożonym niemowlęciem. Nasz wnuk, myślał Tom. Nasz jedyny

wnuk. Pocieszała go myśl, że wszystkie jego wnuki są też wnukami Antonii - dzięki temu oboje z Antonią mieli przed sobą przyszłość. Na drugim zdjęciu, nowym, nie zniszczonym, widniało inne niemowlę. Leżało na kocyku w rozwiązanym czepeczku i wyciągało pulchne ramionka w stronę osoby, która robiła fotografię - cień kobiety kładł się ukosem na kocyku.

Tom spoglądał raz na jedno, raz na drugie zdjęcie Podniósł słuchawkę.

- Żadnych sztuczek, Hugh - powiedział, gdy usłyszał głos brata. - Jesh cokolwiek mu się stanie, zapłacisz mi za to głową.

III

Niezależnie od koniunktury na rynku, zakłady tak wielkie jak Woodland codziennie przyjmowały nowych ludzi do pracy. Biuro zatrudnienia miało być otwarte dopiero o wpół do szóstej następnego ranka, ale kiedy Justin pojawił się przy bramie czwartej o dziesiątej wieczorem, około stu bezrobotnych kłębiło się już pod murem. Skuleni pod płaszczami, kaszleli i chuchali w ręce obleczone w przetarte rękawiczki. Żeby przetrwać noc, niektórzy dodatkowo narzucili na siebie płócienne worki. Tu i ówdzie małe ogniska na dnie koszy na śmieci rozświetlały mrok. Justin zajął kolejkę i przytupywał dla rogrzewki, błocąc nowe buty w topniejącym śniegu - niewiele ten zabieg pomagał zziębniętym na kość stopom. I tak miał szczęście. Większość mężczyzn miała buty na cienkich podszwach.

Do północy nadciągnęło jeszcze pięciuset czy sześciuset nieszczęsnych ludzi. Stanęli pod nie kończącym się murem fabryki, wzdłuż którego przejeżdżały patrole policji konnej Kiedy ucichł odgłos końskich kopyt, wysoki mężczyzna stojący kilka osób przed Justinem wyjął coś błyszczącego z kieszeni - harmonijkę ustną, którą schował w stulonej dłoni. Rzewne nuty wzbily się w lodowatą ciemność i ułożyły w ludową balladę z okolic Appalachów, która toczyła się nad ich głowami, by rozwiać się w smutnej ciszy. Długo nikt nic nie mówił.

O wpół do szóstej za bramą zjawiała się grupka mężczyzn z ochrony, uzbrojonych w strzelby.

- Dziesięciu wchodzi, dziesięciu do domów. - Usłyszeli głos w megafonie.

Pośród przepychania się i krzyków, pierwszych dziesięciu z kolejki zostało wpuszczonych za bramę, kolejnych dziesięciu przepędzonych.

Czekający pod murem ludzie wychylali się niespokojnie z ogonka i zatrwożeni nerwowo odliczali stojących przed sobą. Za drugim razem, kiedy otwarto bramę, wpuszczono jednak dwunastu.

- Co tu się dzieje? - spytał Justin.

- Często to robią - odpowiedział duży, kościsty mężczyzna gdzieś z przodu. - Niektórzy uważają, że to sposób Dicksona Keeleeya na odsiew.

Piętnastka, w której znalazł się Justin, była już ostatnią grupą wpuszczoną na teren zakładu, nim wywieszono na bramie tabliczkę: „Dziś już nie zatrudniamy”.

Urzędnik za barierką w sieni budynku odsunął z czoła zielony daszek ochronny i ziewnął przyglądając się starającemu się o pracę mężczyźnie. Czarne włosy robotnika mocno kontrastowały z bladymi policzkami.

- Stary - burknął urzędnik. - Nie nabierzesz mnie na tę farbę.

- Mam trzydzieści trzy lata, przysięgam - zaklinał się mężczyzna. - Wyglądam starzej przez zęby. Straciłem zęby, jak mnie zwolniono z odlewni w zeszłym roku.

- Facet w twoim wieku nie wytrzyma tempa - oświadczył urzędnik. - Nie mam nic dla ciebie.

- Proszę pana, niech mi pan da chociaż jedną szansę. Jestem tak samo silny jak inni.

- Strażnik!

Czarnowłosy mężczyzna wycofał się w stronę wyjścia. Urzędnik za barierką przyjrzał się Justinowi.

- Ty chociaż nie farbujesz włosów. Nazwisko?

- Artur Hutchins. H-U-T-C-H-I-N-S.

Urzędnik przejrzał cztery długie strony przypięte do tekturowej podkładki - czarne listy z nazwiskami związkowców

- i nakazał Justinowi przejść za barierkę do maj str. Niski, łysy mężczyzna obszedł go dokoła i sprawdził własnoręcznie twardość jego ramion i brzucha. Justin z wściekłości mocno napiął mięśnie.

- Pracowałeś kiedyś na wulkanizacji?

Justin pocił się kilka tygodni przy produkcji opon w zakładach w Gorkim na Ukrainie.

- Robiłem opony.

Majster kiwnął głową.

- Jak długo?

- Dwa lata. W Los Angeles. U Firestone'a.

- Wyglądasz mi bardziej na profesora! - Łysy parsknął. - Ale mnie tam bez różnicy. Pan Bridger przyjmuje wszystkich jak leci. Masz dobry wzrost i mięśnie. Za chwilę się przekonamy, jaki z ciebie kozak. - Wyciągnął lśniąca niebieską plakietkę wydaną przez ochronę z pieczętką CZASOWO przybitą nad numerem. - Idź do budynku 8311. - Skręcił grubą szyję i głową pokazał kierunek. - Tylko się nie grzeb. Nowa zmiana zaczyna za dwadzieścia minut. - He dostanę?

- Jak będę z ciebie zadowolony, pogadamy o forsie. Justin zawahał się. Praca przy oponach wymagała krzepy, umiejętności i stawka podstawowa była dość wysoka. Majstrowie bez skrupułów kantowali za to na premiach. Ciężka niebieska plakietka zadyndała łysemu w palcach. Majster odwrócił się do pełnych niepokoju i nadziei ludzi stojących przy barierce ubranego na zielono urzędnika.

- Jak ci się nie podoba robota, wystarczy tylko słówko. Justin wyciągnął rękę po kartonik.

Przystanął na schodkach na zewnątrz; zaczerpnął duży haust powietrza lodowatego poranka. Tym razem nie znalazł się w Woodland dzięki tajemniczemu rodzinnym związkom. Został tu przyjęty dlatego, że był dużym, silnym i zdrowym zwierzęciem. Zjadliwy grymas wykrzywił mu usta. W tej chwili jego fizyczne podobieństwo do Toma było wprost uderzające.

IV

Woodland Park było dzielnicą, która w latach dwudziestych wyrosła w sąsiedztwie świeżo zbudowanych zakładów. Wynajmowany przez Hutchinsonów trzypokojowy domek rle różnił się niczym od innych, kruchych i lichych jak pudełka od zapalek. Miał spadzisty dach, spod którego wзираły okna pokoi na piętrze. Na zewnątrz ściany domu pokrywała łuszcząca się tania farba - hałdy soli pod Detroit dokonywały straszliwych zniszczeń w ubogich dzielnicach. Z prawej strony Hutchinsonowie sąsiadowali z domkiem, w którym gnieździła się dwupokoleniowa rodzina robotników z Inland Steel. Z lewej mieszkał pan Milacek, pracujący

przy montażu karoserii w Chrysler Main. W domu pana Milacka huczało radio, nastawione na stację Ojca Coughlina, w związku z czym szczekliwy antysemityzm mieszał się ustawicznie z zapachem makowców, pasztecików z serem i zupy pieprzowej. Najwyraźniej jednak antyżydowska indoktrynacja nie wnikała pod siwiejącą trwałą pani Milacek, pulchna sąsiadka bowiem niezmiennie i ochoczo przytulała Elisse i dzieci do obwisłego łona.

Elisse jednak nie miała wiele czasu na sąsiedzkie pogaduszki przy kawie. Jako skarbnik ZRRPA- pilnie strzegła czarnej metalowej skrzynki ze związkowymi funduszami. Kiedy Justina przyjęto do Woodland przy podstawowej stawce jednego dolara i pięciu centów za godzinę brutto i z niezbędnym dziesięciocentowym haraczem dla majstra, zaproponowała, żeby w tej sytuacji pieniądze z funduszu powierniczego przekazali związkowi i zasilili ubogą kasę. „Trzeba wynająć jakieś biuro, założyć fundusz strajkowy, zorganizować się jak John. L. Lewis i jego chłopaki” -powiedziała i Justin uległ. Wystukiwała korespondencję Mitcha i Justina na swoim starym Remingtonie, organizowała zebrania dla Stowarzyszenia Kobiet - na razie zwerbowała raptem trzy członkinie. Wypisywała wojownicze ulotki namawiające robotników do wstępowania w szeregi związku, odbijała je na starym powielaczu, wciśniętym w ciemny kąt jadalni, potem wkładała Tonię do wózka i pchając go przed sobą wąskimi ulicami, dyskretnie wrzucała je ludziom do skrzynek - połowa mieszkańców Woodland Park pracowała w Onyksie. Między rozliczne zajęcia wciskała też sprzątanie i gotowanie. Pracowała całymimi dniami i przez większość wieczorów, a od czasu do czasu czuła wyrzuty sumienia, że wszystko to sprawia jej po prostu przyjemność. Wygłaszając do siebie piętnujące monologi, powtarzała sobie, że powinna być złamana i rozbita tęsknotą za rodzicami, przerażona upartą niechęcią Bena do naginania się do nowych warunków. (Jej Ben miałby się przystosować?!) A jednak mimo tylu lat spędzonych w zaciszu spokojnego kalifornijskiego domu, pod pełnymi żaglami wypływała na niespokojne wody w Detroit. Zebrana w sobie. Ożywiona. W studiu filmowym Columbia Pictures nie podzielała entuzjazmu Mitcha do ruchu związkowego. A jednak znalazła się tu przez te jego listy. Pracowała u boku Justina jak opętana, bo wszystko, co wyczytała

w tamtych listach o strasznych represjach i rygorze w fabryce Bridgerów, okazało się prawdą.

Pod koniec śnieżnego marca ZRRPA liczył sobie aż ośmiu członków, łącznie z Mitchem, który po tym, jak wyrzucono go z zakładów automobilowych, pracował na godziny jako kierownik do spraw kultury w WPA. Justin natomiast - choć tego nie okazywał - dryfował wiecznie między ponurym uczuciem czarnej beznadziei a gniewem. Kryzys i starania Dicksona Keeleya skutecznie zamroziły prace na rzecz związku.

W Woodland pedantycznie przestrzegano zasady nierozmawiania przy taśmie, a w czasie przerwy przechadzający się dwójkami ochroniarze tłumili wszelkie rozmowy w zarodku. Justin kupił używaną Siódemkę i chętnie odwoził kolegów po pracy do domów. Gdy tylko wyjeżdżali za bramę, przypominał im o prawie robotników - gwarantowały to przepisy związane z Narodowym Planem Odrodzenia Gospodarczego - do zrzeszania się w związkach zawodowych. Mężczyźni milkli, a gdy tylko Siódemka stawała pod ich domami, czym prędzej dawali nogę. Szpiedzy byli wszędzie. Niezależnie od złowrogiej i nieludzkiej władzy ochroniarzy praca była pracą, a znalezienie się na czarnej liście Keeleya oznaczało, że rodzina będzie przymierać głodem na zasiłku, jeśli go w ogóle dostanie. Poza tym większość robotników czuła się zobowiązana do lojalności wobec Toma. Trudno było winić szefa za te paskudne czasy. Zresztą wciąż płacił najwięcej w mieście.

Ośmiu braci związkowców dwa razy w tygodniu spotykało się po kryjomu na zapleczu starego, nie używanego sklepu z obuwem. W płaszczach, które chroniły ich przed zimnym wieczornym wiatrem, siedzieli wokół pękatego piecyka, planując metody werbowania zastraszonych ludzi, którzy w swej udreće unikali ich i bardzo potrzebowali zarazem.

Po jednym z takich spotkań Paul Zawitsky został trochę dłużej. Był to świeżo owdowiały chłop jak tur, który pracował w Onyksie od dwudziestu pięciu lat, i choć rozpoznał Justina - pamiętał jego poprzednie wcielenie - nigdy nie wspomniał o tym przy kolegach. Justin zaprosił go na rozchodniaka i Elisse od razu zapalała do Paula sympatią. Kiedy znaleźli się tylko we dwóch, Zawitsky powiedział: - Pozbądźcie się brata Winsteady. To wtyka.

- Skąd wiesz?

- Ja też dostaję swoich kilka groszy od ochrony, Profesorze. - Przewisko ukute przez majstra przyłgnęło do Justina na stałe.

- Więc dlaczego mówisz mi o Winsteadzie?

- Bo jestem z wami.

Justin z hukiem ustawiał składane używane krzesła pod ścianą. Pięknie, myślał. Mamy co najmniej dwóch szpicli w ośmioosobowej grupie!

- Wiesz - zaczął Zawitsky pykając fajkę. - Mój syn jest w klasie maturalnej. Zdolny chłopak i przyjęcie na studia ma już w kieszeni. Sprzedałbym duszę diabłu, byle tylko skończył uniwersytet. Co roku robią odsiew w fabryce. Nie mam dużych szans na ponowne przyjęcie, dlatego gotów jestem całować majstra w dupę i współpracować z ochroną tak, jak mi każe. Ale uważam, że żaden szanujący się człowiek nie powinien w ten sposób bronić swojej pracy.

- Dzięki za ostrzeżenie. Doceniam to. Do domu wracał w grobowej ciszy.

Kiedy rozbierał się na środku sypialni - dach ścięty był pod tak ostrym kątem, że Justin nie mieścił się przy ścianach - marszczył brwi w zamyśleniu. Powinni go wylać z Woodland już kilka tygodni temu. Mitch nieraz napomykał, jakie to szczęście, że jeszcze go nie wytropili. Elisse, szczęśliwa, że nic nie zagraża mężowi i nie dręczą go żadne koszmary nocne (mordercze tempo przy taśmie tak bardzo go wykańczało, że zasypiał w łóżku jak kłoda), droczyła się też z Mitchem, że Justin jest sprytniejszy od niego.

Rozpinając koszulę doszedł jednak do wniosku, że nie jest ani sprytny, ani też nie sprzyja mu wyjątkowe szczęście. Ktoś w Onyksie go chronił.

Kto?

Na pewno któryś z Bridgerów. Który?

Caryll? Po przyjeździe do Detroit Justin zadzwonił, żeby umówić się z Zoe. Wykręciła się zadyszczanym głosem, podając jakiś czarująco nieprawdopodobny powód. Akurat tego popołudnia wyjeżdżała z rodziną, żeby popływać sobie *Beaufortem* po Morzu Karaibskim. Tydzień później zauważył Carylla idącego do wieży. Czy Caryll w ogóle wiedział, że Justin jest w mieście? Pewnie nie.

Za to na pewno wiedział Hugh. Jeśli nawet nie miał jeszcze

donosów swoimi kanałami - w końcu trzymał rękę na pulsie tajnych służb fabryki - na pewno wiele dało mu do myślenia nazwisko organizatora związku. Wiedział, że Artur to imię nie żyjącego przyrodniego brata Justina, a Hutchins... Hm, Hutchins to Hutchins. Czyżby Hugh rozpościerał nad nim opiekuńcze skrzydła? Bardzo wątpliwe. Może Tom? Kiedy widział go kilka razy, siedzącego sztywno za kierownicą srebrzystej Siódemki, jakiś prąd przenikał ciało Justina. Bolesny, głęboki, wszechogarniający.

Justin stał pośrodku sypialni na poddaszu i myślał o swoich krewnych, o wrogach, których kochał - słumiony jęk wyrwał mu się z gardła.

W samych skarpetkach zajrzał do pokoju obok. Elisse siedziała tuląc Tonię, która zbudziła się z zapchanym katarem noskiem. Uklęknął przy fotelu na biegunach i objął je obie, żonę i córkę. Oparł policzek na zmechaconym, zno- szonym szlafroku z flaneli. Pocieszył go dotyk smukłego uda Elisse.

I

Kilka dni później Caryll dowiedział się, że Justin jest w Detroit. Jak zwykle w piątki, siedzieli z Tomem na lunchu u Hugh.

Te cotygodniowe narady przy stole zaczęły się w 1933 roku. W tym czasie prezydent Roosevelt, który dopiero zaczął urzędowanie, podjął próby oczyszczenia kraju z kryzysu, wymachując nową miotłą świeżo powołanych agencji rządowych i zatwierdzonych ustaw, w tym również Planem Odrodzenia Gospodarczego. Nowe zasady gry - eksperyment mający na celu samoregulowanie się rynku przemysłowego - zostały w patriotycznym uniesieniu podpisane przed fabrykantów, a później beztrosko pomijane w sytuacjach, w których uzgodnione zasady i przepisy były im nie na rękę. Tom od początku był temu przeciwny i niczego nie podpisał. W prezydenckim planie widział jedynie kolejną ustawę Seldena, łapę ograniczającą konkurencyjność na rynku, i nie bez racji uważał, że mądrale z Waszyngtonu nie mają zielonego pojęcia o robieniu samochodów. Co więcej, Onyx i tak płacił dwukrotnie wyższe stawki godzinowe niż te, które ustawa przewidziała jako niezbędne minimum. Caryll prywatnie podzielał nieugiętą opinię ojca w tej sprawie, ale ponieważ gospodarka coraz bardziej złowrogo zwalniała obroty, uważał za stosowne walczyć - na swój sposób, łagodnie i umiarkowanie - o wsparcie dla planu Roosevelta, który chciał ustawami nakręcić koniunkturę. Ameryka zgadzała się z Caryllem. Dealerzy przysyłali mu setki, tysiące popierających jego punkt widzenia listów, w których utrzymywali, że czasy są i tak dość paskudne i nie należy dodatkowo utrudniać sprzedaży ciężarówek oraz Siódemek - trzeba na przednich szybach przyklepać naklejki z niebieskim orłem, symbolem całego programu odbudowy gospodarki, czyli Nowego Ładu.

Hugh wymyślił, że Tom powinien przemówić w radio i wyłożyć swoje poglądy. „Godzina Rozmaitości Rodziny Onyxa”, którą nadawała NBC Blue w niedzielę o ósmej wieczorem, stała się najpopularniejszym programem wszystkich czterech stacji radiowych i tematem ożywionych poniedziałkowych dyskusji i komentarzy. Wszyscy rozmawiali o dobrych, staroświeckich przekonaniach Toma Bridgera i jego wierze w indywidualny wysiłek oraz amerykańską pomysłowość. No i na Boga! - robotnicy Onyxa naprawdę nosili do domów koperty wypchane pieniędzmi. Sprzedaż skoczyła natychmiast. Hugh namawiał brata, by nie rezygnował z krewkich uwag wygłaszanych beznamiętnym głosem na początku każdej audycji.

Na piątkowych lunchach trzej panowie Bridger omawiali sedno niedzielnego wystąpienia radiowego, gdy tymczasem Argo MacIvray białymi, pulchnymi palcami szybko robił notatki. Po *oeufs a la neige* Hugh dawał znak głową i obła postać w ukłonach wycofywała się z jadalni.

Hugh wciągnął bukiet koniaku.

- A jeśli idzie o sytuację w związku - zaczął. - Jesteś zadowolony, Tom?

Tom bez słowa odepchnął się na krześle od stołu.

- Liczy sobie aż ośmiu członków - ciągnął Hugh. - Niedługo już się poddadzą. Keeley ich załatwił.

W ciągu ostatnich kilku lat okrągła twarz Carylla mocno się zaostrzyła i teraz, kiedy na dźwięk nazwiska Keeleya mocno zacisnął zęby, widać było wyraźnie zarysowane szczęki.

- Jakiś nowy lokalny działacz, wuju?

- Mówimy o twoim szwagrze - odparł Hugh z lekkim sarkazmem, ale w jego bladoniebieskich oczach malowało się cierpienie. Upadek planów, jakie sobie roił dla Justina, okaleczył jego psychikę.

- Co u niego słyhać? - zapytał Caryll.

Hugh zerknął w stronę okna, gdzie tyłem do nich stał Tom.

- Pracuje w zakładzie wulkanizacji - odparł. - I jest agitator.

- Justin? - wydusił zaskoczony Caryll. - Pracuje w Woodland?

- Tak. Towarzysz Justin. - Hugh pociągnął łyk koniaku. - Nie kontaktował się jeszcze z Zoe?

Caryll już dawno temu odrzucił wszelkie podejrzenia związane z Hugh i Zoe.

- Ona nic o tym nie wie.

- To, że nie miał czasu skontaktować się z siostrą, najdobitniej świadczy o tym, z jakim oddaniem pracuje dla sprawy.

- Miliony ludzi uważają, że wspólny robotniczy głos byłby najlepszym partnerem w dyskusji z fabrykantami i dochodzeniu sprawiedliwości społecznej - uciał Caryll, a potem dodał ugodowo, pełnym ubolewania tonem: - Ludzie mówią, że ostatnie podkręcenie tempa zamienia pracę w istny wyścig na wytrzymałość, ale wujek Olaf nie chce tego słuchać.

- Olaf wie, że robimy bokami. Ciągle walczymy z deficytem.

Caryll poczuł ostre klucie w brzuchu. Te obfite, wysokokaloryczne lunche niezmiennie kończyły się niestrawnością. Wyjął fiolkę z pastylkami na nadkwasotę.

Hugh patrzył, jak bratanek połyka pigułkę.

- Za miękki jesteś, Caryll - powiedział. - Kiedy wreszcie skończą się te agitki i ludzie wezmą się do uczciwej roboty, rozwiążemy problemy tego kraju. Robotnicy dają sobą manipulować przez obcych agitatorów.

- Justin nie jest obcy.

- Ale jego żona tak. I jej przyjaciel, który jest członkiem partii komunistycznej. Justin dopasował się do ich sposobu myślenia.

Tom milczał. Pochylił nieco ramiona, jakby to miejsce przy oknie, gdzie stał, miało wzmożoną siłę przyciągania.

II

O piątej przed wieżą na Carylla czekał już samochód. Zimny, drobny deszcz nikał w zapadającym zmroku i Hoskins podciągnął narzutkę z bobrowych futer wyżej na kolana. Caryll zazwyczaj rozkoszował się przejażdżką w wykładanym tekowym drewnem i wybijanym świńską skórą wnętrzu Swallow, które zresztą w dużej mierze sam projektował, ale dzisiaj, pochylony w przód, bacznie obserwował tłum zmierzający do fabryki na kolejną zmianę. Nie mógł pogodzić się z myślą, że między tymi obdartymi, śpieszącymi do pracy robotnikami, może ujrzeć odmienionego Justina. Justin? Justin, którego oczyma wyobraźni

widział w srebrzystej poświacie jako Sir Galahada, Justin, który w dzieciństwie ratował go z różnych opresji, ten sam, który umiał przeciwstawić się Tomowi, Justin-przyjaciel miałby być wśród nich?!

Limuzyna wyjechała bramą numer dwa i skręciła w stronę Grosse Pointę. Caryll opadł na tył siedzenia i rozmyślał nad upadkiem Justina, który przeistoczył się w zwykłego robotnika. Czy nie było w tym jednak szlachetnej prawości? Justin zawsze bronił uciśnionych. Sam stanął przy taśmie, ho wierzy, że tylko zorganizowany wysiłek może pomóc ludziom.

Caryll wyprostował się gwałtownie. Zamrugał oczami. A jeśli Justin ma rację? Jeśli okaże się, że związek będzie tym forum, do którego robotnicy będą zanosić skargi, a my z kolei będziemy mogli tłumaczyć im nasze problemy? -myślał.

Dlaczegoż wciąż prowadzimy tę odwieczną, uwłaczającą walkę, żeby temu zapobiec?

To, że dotąd nie zadał sobie tego pytania, wynikało z bardzo prostego powodu - utożsamiał konieczność ochrony własnej rodziny z rozwojem sytuacji w zakładach.

Ale po cóż, do licha, strzec tych zakładów jak więzień? Po co zatrudniać nieprzebrane tysiące ochroniarzy, zniżać się do nagradzania donosicieli i za wszelką cenę usuwać aktywistów związkowych? Bo niby co się stanie, jeśli zaakceptują związek i wpuszczą go na teren fabryki? Mózg Carylla pracował na maksymalnych obrotach. Justin był człowiekiem o najwyższym morale i najuczciwszym z ludzi. Razem popracują nad systemem niezbędnych reform i wspólnie przedstawią gotowy projekt ojcu.

Nie był już tak naiwny, by wierzyć, że obejdzie się bez walki. Wiedział, że ojciec będzie się bił do ostatniej kropli krwi, zanim pozwoli, żeby ktokolwiek mówił mu, jak ma prowadzić „zakład”. Ale wiedział też, że Tom uważa służbę ochrony fabryki za chorą narośl - złośliwy nowotwór. Skoro kiedyś z Justinem mogli przekonać go o zaniechaniu produkcji Piątki, dlaczego dziś nie mieliby go namówić choćby tylko na rozważenie możliwości paktowania ze związkiem?

Podeksytowany i lekko spocony Caryll nie zauważył nawet, kiedy dojechał pod dom.

Obrośnięty bluszczem dach wyginał się łukiem od bramy zewnętrznej przez cały podjazd. Dwaj mundurowi strażnicy

(najlepsi ludzie Keeleya, zresztą zupełnie przyzwoici) pode szli, żeby otworzyć solidną dębową, wzmocnioną żelazem bramę. Podjazd zawijał obok wielkich, nagich drzew i koń czył się przed sterczącymi skrzydłami domu w kolorze miodu. Caryll miał do tych spraw niezawodne oko i przez trzy lata pracował z architektami, żeby osiągnąć taki efekt -jego dom był wyjątkowy na tle prymitywnych imitacji pałacu Hampton Court i jemu podobnych, jakie w owym czasie królowały w zamożnych dzielnicach Detroit.

Jeden pokój przechodził w drugi, trzeszczało drewno na kominkach, a nieprzebrane ilości szklarnianych kwiatów roztaczały wokół intensywny zapach. Dwa irlandzkie setery przybiegły do holu i nadstawiły łby w oczekiwaniu pieszczoły; Clarice i Petra rzuciły się ścisnąć ojca. Lynn - poinformowały go słodkimi głoskami - nie skończyła jeszcze lekcji gry na pianinie.

Uklęknął i posadziwszy je sobie na zgiętych łokciach, podniósł obie dziewczynki. Petra, najmłodsza, rumianymi policzkami i ciemnymi włoskami przypominała Maud, pod czas gdy spokojna Clarice, jego najukochańsza córka, miała szare oczy i przydymioną, strzechowatą czuprynkę. Przytulił nos do ich szyjek i wchłaniał czysty, maślany zapach. Piszczwały radośnie i ucichły dopiero wtedy, kiedy je wniósł dół pokoju brydżowego, gdzie siedziała Zoe w towarzystwie Bérénice Rocheville oraz Agnes i Joan Sinclair. Zaproszone panie, ubrane w ciemne popołudniowe suknie, ozdobione brylantowymi szpilkami na lewym ramieniu, powitały go ciepło. Zoe, nie przerywając rozgrywki, nachyliła lśniąca, ognistą głowę poddając się jego zdawkowym pocałunkom. Jako gospodyni występowała w popołudniowej sukni w szafirowym kolorze, idealnie dobranej do pory dnia.

Caryll podszedł do srebrnej tacy, nalał dziewczynkom lemoniady imbirowej do wysokich szklanek, a sobie szklaniczkę szkockiej z sodą. Słuchając szczebiotu córek, bezustannie zerkał na Zoe.

Bardzo wypiękniała przez ostatnie lata. Rotograwiurowa-ne strony dzienników i pisma kobiece z pewną egzaltacją okrzyknęły ją najurodziwszą kobietą świata i nawet powściągliwi obserwatorzy, spoza kręgu najwyższej socjety, przyznawali, że Zoe należy do najbardziej atrakcyjnych kobiet na ziemi. Gęste rzęsy ocieniały jej policzki, w skupieniu zagryzła pełną, choć delikatnie zarysowaną dolną wargę.

Nagle z okrzykiem triumfu uniosła się nad stołem i kołysząc piersiami pod jedwabnym stanikiem sukni, zebrała ostatnie lewy. Wspaniała uroda jej dojrzałego ciała dzięki modnej, obcisłej linii była tym bardziej zauważalna. Kuzynki Agnes i Joan, rozweselone, przypisywały zwycięstwo szczęściu Zoe, gdy tymczasem Berenice, jej koleżanka z lat szkolnych, wyjęła książeczkę czekową.

- Bogaci ciągle się bogacą - powiedziała z westchnieniem i wydarła czek. - Miejmy nadzieję, że nie jest bez pokrycia. Wy, dziewczyny, nie macie nawet pojęcia, jak to jest w dzisiejszych czasach żyć tylko z dywidend.

Trzy duże samochody zajechały w deszczu przed dom. Do pokoju wbiegła Lynn; skończyła już ćwiczyć palcówki. Panna Henderson, odslaniając w uśmiechu źle dopasowaną angielską sztuczną szczękę, czekała, by zabrać dziewczynki na kolację. Caryll i Zoe poszli na górę się przebrać.

Zoe przeszła przez sypialnię i skierowała się do toaletki.

- Zoe, muszę z tobą pomówić.

- Później. Jemy dziś sami kolację.

- Nie chciałbym, żeby nawet służba słyszała. Zoe zrobiła zabawną minkę.

- Chodź na moją poduchę, zachęcał pająk muchę.

W grubym dywanie o długim włosie tonęły obcasy jej butów. Podeszła do toaletki i odwróciła się do męża. Tafle weneckich lusterek odbijały niezliczone wizerunki przeciętnie urodziwego mężczyzny o lekko przeredzonych włosach, który spoglądał na niecierpliwą się piękność.

Po długiej chwili ciszy Zoe wreszcie spytała:

- Aż tak źle, mój kochany? Kolejna walka z potworem znad jeziora?

- Tak, to ma związek z wujem. - Caryll przeniósł wzrok z lusterek na twarz Zoe. - Wspomniał, że Justin jest w Detroit.

Ręka Zoe gwałtownie podskoczyła. Flakon z perfumami upadł. Nie był porządnie zamknięty korkiem, i teraz słodki, zmysłowy zapach Guerlaine'a, specjalnie skomponowany dla Zoe Bridger, wypełnił całą sypialnię. Zoe gwałtownie wycierała perfumy chusteczką. Pobladała, palce jej drżały, rzęsy trzepotały, ale nie była zdziwiona.

- Wiedziałaś! Skąd?

- Nie pamiętam.

- Zoe, rozmawiamy o twoim jedynym bracie.

- Chyba dzwonił. Tak, teraz sobie przypominam. W sty-

czniu. Mówił coś, że chciałby mnie zobaczyć. Dziewczynki. Ciebie.

- Nie wspomniałaś mi o tym ani słowem. Zmarszczyła nos i powąchała wilgotną chusteczkę.

- Odsunęłam to od siebie. Wiesz, że myśl o nim jest dla mnie zbyt bolesna. - W olbrzymich, ciemnych oczach pojawiły się łzy. - Byliśmy sobie tacy bliscy i nagle przestałam się dla niego liczyć.

- Zawsze o tobie pisał. - Caryll mówił łagodnie, kojąco. - Kochanie, on o tobie pamięta... I tęskni za tobą tak bardzo. Mówił ci, dlaczego tu przyjechał?

Potrząsnęła głową.

- Organizuje ruch związkowy.

Usiadła na wybijanym jedwabiem stołeczku.

- Chcesz powiedzieć, że zrobiła z niego bolszewika?

- Tylko teraz ty nie zaczynaj. - Caryll westchnął. - Mam tego potąd. Wystarczy mi jeden wuj Hugh. Chryste, jakby Justin kiedykolwiek działał pod czyjeś dyktando! Jest jedynym na świecie człowiekiem, który umiał przeciwstawić się ojcu! On po prostu tak widzi walkę o poprawę warunków.

- Ale stał się rewolucjonistą.

- Nie ma nic rewolucyjnego w tym, że ktoś wierzy w zbiorową umowę. Naprawdę nie jest jedynym człowiekiem, jakiego znamy, który uważa, że związki powinny wejść do fabryk. Jestem o tym zupełnie przekonany. Zoe, jutro z samego rana zadzwonię do biura zatrudnienia i wezmę jego adres i telefon.

- Pracuje w Onyksie?

- Tak. W Woodland.

- Więc jak to się stało, że jeszcze go nie widziałeś?

- Może widziałem, tylko go nie poznałem. Pracuje w zakładzie wulkanizacji.

- Jako robotnik? - wyszeptła Zoe.

- Kochanie, to jeszcze nie katastrofa - uspokajał Caryll i przypomniał sobie, jak ledwie godzinę temu, wpatrując się w szaty tłum, też nie mógł się oprzeć uczuciu przerażenia, konsternacji i niedowierzania.

- Ale... nasza babka była hrabiną. Justin był na samym szczycie...

- Robotnicy nie bardzo by mu wierzyli, gdyby zajmował biuro w wieży - zauważył. - Spotkamy się z nimi w niedzielę.

- Co? - Zamrugła oczami.

- Zaprosimy ich na lunch albo na kolację.
- Caryll... nie mogę. - Szantażowała go zażawionymi oczami.
Caryll nie zważał na to.
- Lunch jest lepszym pomysłem. Wystąpimy z dziećmi. Pokażemy im Lynn, Clarice i Petrę. Poznamy jego synka, córeczkę, i żonę.
- Pracują przeciwko nam - szepnęła.
- Rozpracowują ten sam problem, tylko z drugiego końca - sprostował Caryll. - Za dużo zła zdarzyło się w Woodland w ciągu ostatnich trzech lat. I po co? Po co trzymamy uzbrojoną po zęby armię Keeleya? Połowa z jego ludzi powinna siedzieć w Sing Singu. Mamy po to najmować hordy zbirów, żeby nie dopuścić do fabryki kilku aktywistów robotniczego związku? Dlatego właśnie zależy mi na szybkim kontakcie z Justinem. Im wcześniej zaczniemy rozmawiać, tym lepiej.
- Co ci się stało, Caryll? Dobrze wiesz, że tata Bridger w życiu nie zacznie rozmawiać z żadnym związkiem!
- O to właśnie chodzi. Nie mówimy o związku, tylko o Justinie. Jego zawsze słuchał.
- Wciąż powtarza, że nikt nie będzie nim dyrygował, jak ma prowadzić zakład. Przypomnij sobie, ile razy namawiał go sam prezydent, i jemu też nie uległ!
- Ojcu zawsze zależało na stworzeniu przyzwoitych warunków pracy. We dwóch z Justinem przekonamy go, że fabryka ze związkiem pracowniczym będzie działała sprawniej, sprawiedliwiej i przy mniejszych kosztach. Nie trzeba będzie zatrudniać tabunów ochroniarzy. - Caryll nieświadomie przybrał oficjalny ton, którym przemawiał dyskutując o sprawach w podległych mu zakładach.
- Zoe patrzyła na niego, a jej piękne, pełne usta ułożyły się w twardą linię.
- Zdaje się, że mówisz poważnie, prawda, kochanie?
- Ten kraj stoi nad przepaścią, a ja czuję się zupełnie bezradny. Jedyne, co mogę zrobić, to spróbować poprawić sytuację w Onyksie.
- Naturalnie, że go zaproszę. To znaczy ich wszystkich. Pewnie znajdę jego numer w książce telefonicznej. Zadzwoń jutro. Masz rację. Wspaniale będzie zobaczyć go znowu i poznać jego dzieci. - Podniosła głos. - Caryll, jestem z ciebie taka dumna. Pomogę ci tak, jak umiem.

Jej poddanie się było udawane, ale właśnie wtedy Caryll, zawsze tak wrażliwy, zupełnie nie wyczuł nastroju żony. Z głową nabitą planami, pełen wdzięczności, pocałował Zoe w czoło i ruszył do swojej garderoby, żeby się przebrać do kolacji.

III

Następnego ranka świeciło słońce. Caryll zasiadł za kierownicą Swallow coupe i pojechał do klubu Grosse Pointe Country. Zaczynał się sezon. Wolał co prawda spędzać weekendy w domu, bawiąc się z dziewczynkami bądź malując akwarele. Golf nudził go śmiertelnie i nigdy nie mógł zrozumieć, jak dorośli mężczyźni mogą robić aż takie „halo” wokół zdobytych punktów, porażek i turniejów. Do klubu zapisał się, bo uznał, że Onyx ma obowiązek ratowania kraju z opresji, a tymczasem ani jego wuj-pustelnik, ani też ojciec-samotnik nie podejmowali starań, by utrzymywać kontakty z innymi rekinami przemysłu automobilowego. Wziął więc tę rolę na siebie i spotykał się towarzysko z innymi fabrykantami na kanałach żeglownych i w klubie.

Do domu wrócił po trzeciej.

Zoe leżała w łóżku, podparta stosem maleńkich poduszek. Jaskrawe, nie uczesane włosy zdawały się wysysać kolor z jej policzków. Na cudownie gładkiej, ślicznej twarzy między brwiami widniała jedna zmarszczka bólu. Okna były zasłonięte. Powietrze w sypialni wisiało ciężkie i przesiąknięte dymem. Tuż koło Zoe stał niebezpiecznie postawiony spodeczek pełen niedopałków.

- Tak długo cię nie było - wyszeptała.

- Zagadałem się z Edselem na temat dofinansowania funduszu zapomogowego. - Ucałował ją w czoło. - Głowa?

- Jak zwykle. - Przycisnęła dwa palce do skroni. - Przepraszam cię, kochanie, nie mogłam zadzwonić do Justina.

Caryll, wyczulony na nastroje żony, wiedział, że nie udaje migreny. Usiadł na łóżku.

- Nie szkodzi, moja słodka. Złapię go w poniedziałek i się umówimy.

- Nie jesteś na mnie zły?

- Martwię się o ciebie. Zadzwońię do Agnes, że nie wpadniemy wieczorem.

- Do wieczora mi przejdzie.

Całując ją przelotnie, powiedział:

- W takim stanie nie będziesz mogła tańczyć.
- Pod koniec dnia zawsze mi przechodzi.
- Kochanie, zostajemy w domu - oświadczył najbardziej stanowczym tonem, na jaki mógł się zdobyć.
- Artie i Agnes liczą na nas. - Podała mu spodeczek. -Zabierz to, dobrze?

Patrzył, jak niedopałki wirują w muszli klozetowej, i mocno zaciskał zęby. Choć nauczył się już, że Zoe nie sterowała swoim złym samopoczuciem, nie umiał jednak nabrać dystansu do wynikających stąd jej działań i drobnych okrucieństw, które przerażały ich oboje w takim samym stopniu i równie mocno raniły.

IV

Sunęła krokiem shimmy po woskowanym parkiecie i przechylając głowę uśmiechała się do kolejnych partnerów. Nad szmaragdową suknią balową jej ramiona, plecy i dekolty były niemal przezroczyste, a przy tym aksamitnie białe jak wnętrza lilii. Olśniewała, jaśniała, zaćmiewała pozostałe kobiety i nie było na sali mężczyzny, który by oparł się zmysłowej pokusie obserwowania jej. Caryll tańczył fokstrota z żonami kuzynów, przyjaciół i paniami z towarzystwa, które patrzyły na niego z podziwem. Ale on pragnął tylko żony.

Kończyła tańczyć zdradziecką rumbę, kiedy widział ją po raz ostatni. Potem stracił ją z oczu. Szukał wzrokiem szmaragdowej tafty w tłumie przy barku, zajrzał do salonu gier, gdzie goście jedli późną kolację. Z uśmiechem pełnym zamyślenia odwiedził na dole wszystkie pomieszczenia domu Agnes i Artiego Sinclairów - do złudzenia przypominającego Mount Vernon. Zoe pojawiła się znów w sali balowej na ostatni walc. Płynęła w tańcu - jej płomienna głowa mieściła się idealnie pod kwadratową szczęką Dicksona Keeleya.

O Boże, Boże, myślał Caryll. Dickson Keeley!

W drodze do domu śpiewała zmysłowo *Body and Soul*, a jej oddech poruszał delikatne włoski futrzanego kołnierza z białego lisa.

- Mam ochotę napić się czegoś przed snem - powiedziała w holu z ożywieniem.

Długo siedział na przepastnej kanapie, a w jego szarych oczach odbijały się dogasające ogniki dREW. Dopił drinka i z niechęcią zaczął wchodzić po schodach.

Zoe, w wiśniowym kimonie, siedziała przed lustrem i gwałtownymi ruchami szczotkowała włosy, które trzeszczały od rudokasztanowej nasady aż po różowozłote końce.

- Zjadłam kolację z Dicksonem Keeleyem - oznajmiła.

- Zoe, jest już pod drugiej. - Usiadł, żeby zdjąć nowe buty. - Jestem wykończony. Nie zaczynajmy teraz.

- Powiedział, że we dwóch dacie sobie z tym wszystkim radę.

- Jak mogłaś z nim o mnie rozmawiać? - Głos mu zadrżał.

- Masz rację. To paskudny chamowaty typ. Gada jak Edward G. Robinson na gangsterskich filmach. Przechwalał się, że nic nie przytył od czasów Princeton. Dał mi pomacać bicepsy i umięśnione uda. Ten jego konserwatywny strój to tylko poza. Nosi czarne jedwabne gatki z wyhaftowanym smokiem, wiesz gdzie.

- Zamknij się - mruknął Caryll złowrogo. Wysoko na czole, w miejscu, gdzie zbiegały się jego rzednące włosy, zaśniły kropelki potu.

- Ma mniejszego niż ty. I nic nie było. Po prostu uwiądnął, i tyle.

Caryll wszedł do garderoby. Poszła za nim, z twarzą nabrzmiałą od wzbierających łez.

- Dlaczego musiałam powiedzieć ci o tym, Caryll? Dlaczego zawsze to robię? Wolałabym nie żyć! Śmierć jest spokojna, kojąca. Umarli nic już nie czują i nie mogą też ranić innych.

Rozwiązywał biały krawat.

- Powinnaś była się trzymać Maurin - powiedział chłodno.

- Maurin! Po co wciąż wałkować bez końca, że ponieważ umarł mój ojciec, potem matka, a wreszcie i Justin mnie opuścił, boję się, że zostanę sama? I w czym mi ta wiedza pomogła?

- Trzeba znaleźć innego psychoanalityka. - Caryll zachowywał narzucony sobie chłód.

- Och, Caryll. Nie zachowuj się tak, jakbym była wariatką, od której, nie daj Boże, jeszcze zarazisz się wścieklizną! Mogę z tym żyć.

- No to poszukaj współczucia u jednego z mężczyzn, za którymi tak wiecznie gonisz. Może znajdziesz takiego

wśród moich kuzynów, przyjaciół albo jeszcze lepiej, wśród moich pracowników?

- Masz rację, że mną gardzisz. Jesteś taki dobry, Caryll. faki wspaniały...
- Najlepszy, najwspanialszy jelen w całym Detroit.
- Nigdy nie pozwalam im wejść we mnie, do środka...
- Byłoby uczciwiej.
- Proszę cię, proszę, powiedz, że mnie kochasz.
- Dlaczego? Dlatego, że Keeleyowi nie stanął?
- Caryll, ja tonę!

Caryll zrezygnował z udawanego chłodu i rzucił krawat na podłogę.

- Chciałem zrobić coś dobrego, zadziałać wreszcie jakoś, a ponieważ łączy się to z koniecznością rozmowy z twoim bratem, i moim przyjacielem zresztą, postanowiłaś mnie ukarać!
- On jest jej. Tej Żydówki.
- O Boże!
- Wzięłaś jego stronę! On znaczy dla ciebie więcej niż ja!
- Posłuchaj, co ty mówisz!
- Jesteś dla mnie wszystkim. Mam tylko ciebie.
- Tym razem nie zmienisz mojej decyzji, Zoe. Będę uparty. W poniedziałek, tak jak mówiłem, skontaktuję się z Justinem.

Przytuliła się do niego i ciasno oplatając ramionami szyję męża, wyciskała pocałunki na jego odwróconej brodzie, uchu... A kiedy to nie poskutkowało, cofnęła się o krok i zsunęła z siebie kimono, które po chwili, niczym różana sadzawka, leżało u jej bosych, wysoko sklepionych stóp. Chirurg plastyczny przyjechał aż z Rio de Janeiro, żeby usunąć blizny po trzech cesarskich cięciach, więc teraz tylko cieniutka pionowa kreska znaczyła jej gładki brzuch nad przyciętym, perfumowanym trójkątem włosów. Caryll oglądał jej nagość od wczesnych, młodzieńczych lat, a jednak nie umiał panować nad swoim podziwem, czy - kiedy chciała - ogarniającym go pożądaniem. Wiedział jednak, nawet wówczas, gdy delikatnie, z wprawą pieściła jego męskość, że to nie tylko zapierająca dech uroda Zoe czy zmysłowość tak bardzo go do niej przyciągają. Najsilniej wiązało go z nią jej niezaspokojone, przestraszone serce.

Obejmując się przeszli do łóżka.

Potem drobnymi pocałunkami obsypywała jego szyję.

- Nie mogę znieść myśli, że przedkładasz cokolwiek nade mnie.
- Nigdy tego nie robiłem.
- Nie zadzwonisz do Justina? Zawahał się.
- Nie pozwól, żebym utonęła!

Westchnął głęboko i przewrócił się na bok, żeby zgasić lampkę.

- Dobrze, Zoe.
- Nie zobaczysz się z nim?
- Nie zobaczę się. - Obiecał i w duchu przeklinał tę ślepa, pełną litości miłość, która była jego największą słabością.

I

W prawym górnym rogu sztywnej kartki w kolorze kremu widniał tłoczony napis BIAŁY DOM, a niżej grube, ostre, pochylone pismo:

Tom,

Bylibyśmy z żoną bardzo szczęśliwi, gdybyś wraz z panią Bridger zechciał nas odwiedzić w piątek wieczorem, trzeciego maja. Zapraszamy również twojego syna i synową.

Niecierpliwie czekamy na okazję, żeby odświeżyć naszą przyjaźń,

FDR

RS. Nie będziemy rozmawiać o Nowym Ładzie.

Postscriptum miało być żartobliwe. Prezydent, chcąc nakłonić Toma do podpisania Karty Przemysłowca, oprócz dwukrotnego wysłania do Detroit sekretarza pracy, pani Francis Perkins, nieraz składał Tomowi różne dowcipne propozycje przez telefon. Choć Tom mało nie uległ jego czarowi, dobrze wyczuwał, że w Rooseveltcie siedzi najprawdziwszy lew. To napisane odręcznie zaproszenie oznaczało, że prezydent oczekuje od niego jakiejś przysługi, na której Tom zapewne źle by wyszedł. Hugh i Argo MacIvray ułożyli uprzejmą odmowę. Caryll i Zoe polecieli do Waszyngtonu rodzinnym Lockheed Vega.

II

Tuż przed czwartą w niedzielne popołudnie jeden z członków personelu obsługi Białego Domu z kamienną twarzą prowadził Carylla korytarzami do małego, wygodnie

urządzonego saloniku. Czerwonawe światło wpadało ukośnie przez okna i kładło się na siwych gęstych włosach prezydenta. Roosevelt siedział za wykładanym skórą blatem biurka, które zasłaniało jego sparaliżowane nogi. Miał na sobie granatowy dwurzędowy blezer ze złotymi guzikami i apaszkę zawiązaną w supeł na masywnej szyi - robił wrażenie człowieka silnego i potężnego.

Pilot Caryll uklonił się i wyszedł z pokoju.

Caryll spędził już kiedyś weekend z Roosevelтами, kilkakrotnie siedział przy kolacji z Hardingiem, pokazywał Hooverowi Woodland, a Coolidge był honorowym gościem na jego weselu. Teraz jednak po raz pierwszy znalazł się sam na sam z prezydentem. Czuł, że poci się pod pachami; wróciły chłopięce kłopoty z wystawianiem się.

- Dzień d...d...dobry, p...p...panie prezydencie.

- Usiądź wygodnie, Caryll. - Roosevelt mówił przez zaciśnięte zęby, bo uśmiechając się i wskazując Caryllowi fotel, nie wyjął z ust szklanej lufki z papierosem.

- Dziękuję.

- Widziałem cię przez okno, jak grałeś w krokieta z moją żoną, Eliottem i twoją śliczną Zoe.

- Spędziliśmy tu wspaniałe dwa dni, p...p...panie prezydencie.

- Szkoda, że twoi rodzice nie mogli przyjechać.

- Tata na pewno przyjedzie następnym razem.

- Przyjedzie, co? - Za szkłem *pincenez* zalśniły iskierki wesołości. - No cóż, Tom Bridger najwyraźniej zmiękł od naszych ostatnich rozmów przez telefon. Dawniej jego odmowa naprawdę znaczyła: „nie”.

Coraz bardziej skrepowany Caryll zmusił się do bladego uśmiechu.

- No cóż, ma pan tu mnie, panie prezydencie.

- Zdziwiający człowiek z tego twojego ojca. Prawdziwy wizjoner epoki maszyn. Świat niewiele by się zmienił, gdyby zabrakło na nim któregoś z nas, polityków. Ale bez Toma Bridgera mieszkalibyśmy na zupełnie innej planecie. Nie wiem, czy w pełni zdaje sobie sprawę, jakim autorytetem cieszy się wśród ludzi.

Caryll niespokojnie poruszył się w fotelu.

- Panie prezydencie, ojciec co prawda nie podpisał się pod ustawami Krajowej Administracji Odbudowy, ale stosuje się w pełni do zawartych w niej zasad.

- Nie musisz mi tego mówić! Słucham godziny Onyxa w radiu. - Uśmiech zniknął z twarzy Roosevelta. - Prawdą jest też, że zgadzam się z twoim ojcem. Przyznaję, że pakiet ustaw nie jest doskonały. Za dużo chcieliśmy naraz. Włożyliśmy zasady konkurencyjności w ramach danej gałęzi przemysłu do jednego worka z pracowniczym prawem do zrzeszania się w związkach i zatwierdzania umów zbiorowych. Ale cóż, przecież obiecałem, że o tym rozmawiać nie będziemy. Poprosiłem cię tutaj, żebyśmy mogli omówić najważniejszy problem tego kraju. To znaczy bezrobocie. Zgadzasz się ze mną?

- Absolutnie tak, panie prezydencie. Właśnie bezrobocie.

- Zasiłki nie rozwiążą problemu. Człowiek potrzebuje pracy, żeby czerpać z niej nadzieję i dumę. Potrzebuje jej też po to, żeby określić swoją tożsamość i poczuć, że jest istotą ludzką.

- Zrobił pan dużą rzecz, tworząc Cywilną Służbę Ochrony Środowiska oraz Administrację Robót Publicznych.

- To raptem tylko początek, ot co. Potrzebne nam wsparcie wielkiego kapitału.

- Mamy plany rozwoju Onyxa. Zamierzamy zbudować hutę szkła w Nashville i zakład obróbki stali na zimno w Hamtramck.

- O! Świetnie, świetnie. To krok we właściwym kierunku. Ale problem jest bardzo rozległy. Mamy piętnaście milionów bezrobotnych. - Roosevelt zamilkł. - Wymyśliliśmy rozwiązanie na wielką skalę.

- Rozwiązanie, panie prezydencie?

Nie zaspokajając ciekawości Carylla, prezydent wkładał w lufkę nowego papierosa. Caryll zerwał się na nogi i pochylony nad biurkiem podał Rooseveltowi ogień.

- Dziękuję. A co byś powiedział na to, gdyby tak w miejsce jednego robotnika fabryka zatrudniała dwóch?

- Słucham?!

- Nie patrz tak na mnie. Nie żądam, żeby Onyx płacił podwójnie. Wpadliśmy jednak na pomysł, że można by zredukować tygodniowe godziny pracy o połowę. I dać robotę dwóm ludziom zamiast jednemu.

Z tego samego powodu, z jakiego Tom został w Detroit, Caryll przyjął zaproszenie do Waszyngtonu: miał nadzieję, że prezydent obarczy go jakimś zadaniem. Od rytualnego, niepełnego cudzołóstwa Zoe (Maurin, jej psychoanalityczka,

uznawała te wysoki za próby samodestrukcji) rozwiały się jego nadzieje na szybkie porozumienie z Justinem, i Caryll popadł w przygnębienie. Jego wiara w siebie, nigdy niezbyt mocna, skurczyła się wyraźnie. Codziennie rano, gdy w czasie golenia oglądał w lustrze swoją namydloną twarz, myślał: Ty pantoflarzu, ty beużyteczny mięczaku. Tylko dzięki jakiemuś ważnemu zadaniu mógłby pozbierać się w sobie i znów poczuć, że jest mężczyzną. Ale to? To?!

Pierwsze, co mu przyszło do głowy, to pytanie, czy jakakolwiek rodzina przetrwa na połowie minimalnej stawki godzinowej, co wynosiło dwadzieścia pięć centów. Omal nie wyrzucił z siebie gwałtownie tej wątpliwości, zanim zreflektował się, jak głupio zabrzmiałoby to pytanie w uszach tak wytrawnego polityka, jakim jest Roosevelt. Musiał na pewno dyskutować nad tym z członkami gabinetu i swoimi doradcami - kilku z nich poznali z Zoe na piątkowej kolacji.

Roosevelt rozsiadł się wygodniej na krześle. Promień słońca błysnął na złotej oprawce jego *pince-nez*.

- Dałoby się to zrobić w Detroit?

- Hm, przemysł samochodowy... - Caryll odchrząknął. - Całkiem przyzwoicie płacimy naszym ludziom.

- A zatem jesteście po naszej stronie.

- Panie prezydencie, to oznaczałoby drastyczny spadek wynagrodzeń.

- Zdaję sobie z tego sprawę. - Złotoczerwone światło przygasło, na bladej twarzy Roosevelta pojawiło się zmęczenie.

- Ale pomyśl o tych, którzy od pięciu lat nie przynieśli do domu nawet najmniejszej wypłaty. Co powiesz o nich? Czy wobec nich nie mamy żadnych zobowiązań?

Caryll westchnął. Myślał o mężczyznach, którzy pod zniszczonymi garniturami nie mieli nawet koszul. Myślał o tym, jak powłócząc nogami odchodzili przybici spod bramy czwartej, kiedy urzędnik biura zatrudnienia wywieszał informację, że nie ma wolnych miejsc pracy. Caryll w swych planach roił sobie, że poprawi ludziom warunki pracy, ale prezydent, oczywiście, widział rzeczy w szerszej perspektywie. Bezrobocie, niczym straszny rak, toczyło płuca i serce kraju, w którym nie mogło dziać się lepiej, dopóki jego zniszczone, odtrącone komórki nie zostaną na nowo przywrócone społeczeństwu.

Roosevelt obserwował go i odgadywał jego myśli.

- Jeśli nie stworzymy tym ludziom miejsc pracy, po prostu umrą. I to szybko. Może wciąż jeszcze będą oddychać, ale będą martwi. Tak samo jak ich rodziny.

- Zgadzam się z panem, panie prezydencie. Jakiej reakcji robotników spodziewają się inni przemysłowcy?

- Jesteście pierwszymi, do których się z tym zwróciłem. Detroit jest miejscem najbardziej newralgicznym.

Bezrobocie u was wprost szaleje. I od Onyxa należałoby zacząć. Twój ojciec nie ma akcjonariuszy ani wspólników, z którymi musi się liczyć. Poza tym, jest idealistą. Tak... Tom śmiałyby się do rozpuku, gdyby to usłyszał, ale tak między nami, jak inaczej go nazwać? Jego minimalna stawka siedmiu dolarów dziennie I to, że zatrudnia wszystkich, bez względu na przekonania I kolor skóry, najdobitniej o tym świadczą. - Uśmiech odsłaniający duże, zwarte zęby był pochlebny, ale i szczery. - Za parę tygodni chciałbym omówić sprawę z Fordem i Chryslerem oraz z Arturem Sloanem. Moje argumenty miałyby większą moc, gdyby Onyx stanął po mojej stronie.

- Decyzja należy do mojego ojca, panie prezydencie.

- Przecież wiem! - Roześmiał się. - Ale ty jesteś jego zastępcą.

- I tyłem samo mogę co wiceprezydent Garner - powiedział Caryll i zarumienił się ogniem. Z prezydentami się nie żartuje.

Roosevelt wybuchnął śmiechem.

- *Touche.*

- Opowiem ojcu o pańskim planie. Postaram się mu wytłumaczyć, że mamy rozległe zobowiązania. - Znów splotywał potem.

- To bardzo biedni ludzie, Caryll. Zapomoga nie jest dla nich rozwiązaniem. Muszą odzyskać szacunek do samych siebie.

- Zrobię, co będę mógł, żeby ojca przekonać.

- A więc jesteś z nami?

- Całym sercem, panie prezydencie. Zrobię, co w mojej mocy.

- Liczę na ciebie, Caryll - powiedział Roosevelt tym ciepłym tonem, jakim zwracał się do przyjaciół w audycji „Rozmowy przy Kominku”.

Gdzieś w głębi serca Caryll czuł bezmiar wątpliwości, ale nie dawał się im sprowadzić na manowce i w ogóle ich nie

rozważał. Postanowił za wszelką cenę uwolnić się od poczu cia winy z powodu tamtej chwili słabości i wydawało mu się, że zdobycie przychylności ojca dla planu Roosevelta będzie momentem przełomowym w obmyślanej kuracji psychicznej. Do samolotu wsiadał pełen niezłomnych postanowień, mocno prostując ramiona.

III

Biały Dom, wylęgarnia błyskotliwych pomysłów! - krzyczał Tom. - Ci, którzy tam mieszkają, tak się rozochocili, że wymyślają kombinacje, które normalnemu człowiekowi w ogóle nie przyszłyby do głowy!

Caryll siedział mocno oparty plecami o kryty skórą fotel i oddychał głęboko. Przyjechał do Woodland wprost z miejskiego lotniska i choć w powietrzu nie rzucało specjalnie, żołądek wciąż wywracał mu się do góry nogami.

- Z początku też sądziłem, że to zupełnie szaleństwo - rzucił. - Ale rozmyślając nad tym, doszedłem do wniosku, że Roosevelt ma rację. Co trzeci człowiek w wieku produkcyjnym jest w tym kraju bez pracy. Tym ludziom trzeba rzucić linę ratowniczą.

- Można utopić tym samym ratującego, chłopcze. Nie zapominaj o tym.

- Płacimy wysokie stawki. Wiele rodzin utrzymuje się z połowy tej kwoty.

- Nigdy nie byłeś głodny, synu. Uwierz mi, że to nieprzyjemne. Odmawiam głodzenia ludzi, którzy dla mnie pracują. Caryll znów zaczął dyszeć, ale się nie poddawał.

- Profesorowie i inżynierowie mieszkają w kartonowych szałasach na wysypiskach śmieci. W Inkster umierają murzyńskie dzieciaki. Onyx nie jest wyspą.

- Czy pan Roosevelt obiecał, że przekaże im swe humanitarne posłanie? - Tom rzucił głową w kierunku zakapanych deszczem okien. Z dziesiątego piętra „wieży” ogarniał wzrokiem połowę terenów Woodland. Nagle zagotowało się w nim, nie z powodu Carylla czy Roosevelta, tego błyskotliwego i zręcznego polityka, ale na myśl o warunkach życia rodzin skazanych na szałas z tektury i niedożywionych dzieciach w Inkster. - Nie!

- Tato...

- Wiedziałem, że wyprawa do Waszyngtonu okaże się kata-

strofalna. Ten człowiek każdemu wmówi wszystko! To chyba hipnotyzer! - Tom usiadł za biurkiem; mężczyzna o pociągłej, przedwcześnie postarzałej twarzy, w dobrze skrojonym szarym garniturze. - Od czasów, kiedy zacząłem najmować ludzi, zawsze płaciłem stawkę, jaką sam chciałbym dostawać. I nie zmienię tego. Nie będę płacił połówek. Nie ja!

IV

Urodziny Lynn wypadły w tę niedzielę, którą Caryll i Zoe spędzili w Waszyngtonie, więc przyjęcie przesunięto o tydzień. Popołudnie było ciepłe, dlatego zabawę zorganizowano na powietrzu. Wiosenne słońce rzucało różowawą poświatę - podobnie jak na obrazach Renoira - na, wydawałoby się, bezkresne tereny wokół domu. Dwadzieścia małych dziewczynek (w tym dziewięć potomkiń Trelinacków) w białych sukienkach z organdy ciągnęło za sobą kolorowe balony przez zielone trawniki i uczestniczyło w konkursach urodzinowych pod wielkimi pokrytymi świeżymi liśćmi drzewami, podczas gdy ich rodzice uśmiechali się do nich z tarasu, znad szklaneczek koktajli. Potem wszyscy weszli do domu, żeby popatrzeć, jak Lynn kroi urodzinowy tort. Tom filmował podskakujące dzieci nową hałaśliwą, amatorską kamerą Bella i Howella, a później wrócił na taras. Zajrzał do biblioteki i zobaczył syna. Caryll siedział na kanapie skurczony, zgięty we dwoje i oplatał ramionami kolana.

- Caryll, co się dzieje?!

- Niestrawność - wymamrotał. Pot spływał mu po policzkach.

Tom pobiegł do telefonu i wezwał Fairbourne'a, swojego lekarza, i Balashova, internistę Carylla i Zoe.

Goście odjechali, zanim Lynn zdążyła rozpakować prezenty

pani Henderson powierzono pocieszenie rozczarowanej dziewczynki. Najbliższa rodzina siedziała w urządzonej z wdziękiem salonie. Zoe co chwilę wybuchała szlochem, Maud przecierała okulary, Tom stał przy oknie i w ponurym nastroju obserwował, jak służba sprząta bałagan po przyjęciu.

Balashov zszedł na dół i obie kobiety wstały, Zoe wiotka jak kwiat i Maud, masywna niczym kolumna, choć przecież nie nadmiernie tęga - jej niegdyś wąska talia i nieduży biust zostały okryte warstwą postklimakteryjnego tłuszczu.

- Skurcz jelit - oznajmił lekarz zacierając ręce, jak przy myciu.
- A z czego to? Z wrzodów?
- Nie wydaje nam się, żeby ścianka dwunastnicy została uszkodzona - tłumaczył doktor ostrożnie. - Ból jest intensywny, bo jest samonapędzający się, jak w zakętym kręgu. Zrobiliśmy zastrzyk. Na ogół te rzeczy uspokajają się po przerwaniu cyklu.
- Ból nie bierze się z niczego - zauważył Tom. - Co go spowodowało?
- Nie mamy pewności - odparł Balashov. - Przypuszcza my, że stres.
- Ale wyzdrowieje? - zapytała Zoe cieniutko.
- Tak sądzimy - uspokajał głosem pełnym zastrzeżeń, jak wszyscy lekarze, kiedy zwracają się do najbliższej, nieprzytomnie bogatej rodziny uspionego narkotykiem pacjenta. - W poniedziałek zaczniemy przeprowadzać stosowne badania.

Maud zdjęła okulary i znów je przetała.

- Nie podoba mi się, że będziemy aż tak długo czekać.
- Nie możemy mu teraz przeszkadzać, pani Bridger - wyjaśnił lekarz z lekkim ukłonem.
- Ale zrobicie wszystko, żeby mu pomóc? - spytała Zoe.
- Absolutnie wszystko - powtórzył za nią Balashov i znowu się skłonił.

Tom nastawał, żeby lekarze spędzili noc z chorym.

Sprowadzono do domu wysokie szpitalne łóżko i umieszczono je w gabinecie na piętrze. Starsza pielęgniarka - były dwie, dyżurujące na zmianę - upięła lnianą ściereczkę na abażurze małej lampki. W tym przytłumionym świetle Tom siedział i obserwował, jak pod nieskazitelną wymagowaną pościelą unosi się i opada pierś jego syna. Twarz Carylla, rozluźniona dawką środków odurzających, była zmęczona i pocięta zmarszczkami. To już mężczyzna, pomyślał Tom, wstrząśnięty. Mężczyzna u progu wieku średniego i wygląda staro jak na swoje lata. To odkrycie było przerażające. Czy kiedykolwiek potraktowałem go jak dorosłego? Dla mnie zawsze był chłopcem. Chłopcem, którym należy się opiekować, którego należy prowadzić za rękę... chronić przed złem pod każdą postacią. Chłopiec, któremu nie trzeba okazywać szacunku, zasięgać jego opinii, liczyć się z jego zdaniem. Tom poprawił gładko napiętą pościel. Stres,

powiedział Balashov. Stres? Odkąd Caryll wrócił z Waszyngtonu, był wciąż zdenerwowany i blady. Caryll, znów ci się nieźle oberwało ode mnie, co? Próbowałeś mnie przekonać do pomysłu Roosevelta, a ja, z właściwą sobie finezją, kolejny raz dałem ci po głowie.

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Zoe. Zawiązywała wokół talii jedwabną podomkę. Zaglądała tu już trzeci raz w ciągu godziny. Spojrzała na męża, a jej nieporównane z niczym oczy napęłniły się łzami. Od dobrych kilku lat Tom tłumił w sobie niechęć, jaką żywił do córki swojej ukochanej, żony syna i matki swoich wnuczek, do tej przepięknej kobiety, która biegła po Detroit jak zgoniona klacz w poszukiwaniu ogiera. Ale za te łzy w ciemnych oczach przebaczył jej wszystkie uwagi, gwałtownie ucinane w jego obecności. Darował jej wszystko, bo tak bardzo kochała Carylla.

- Nie poruszył się - wyszeptła.

- Śpi mocno, pani Bridger. Dostał morfinę. - Pielęgniarka mówiła normalnym głosem. - Może i pani poszłaby się zdrzemnąć? Niech pani weźmie tę pigułkę, którą dał pani doktor Balashov.

- Jak, miałabym teraz spać?

- Ja i tak nie sypiam dłużej niż trzy godziny - powiedział Tom. - Posiedzę teraz przy nim.

- Zawołasz mnie natychmiast, gdyby coś się działo?

- Jak tylko się obudzi.

- Myślisz, że... - Głos się jej załamał. - Wygląda tak... Tom widział w ciemności Antonię i jej bezbronne, kochające, wilgotne oczy. Położył dłoń na ręce Zoe.

- Caryll na pewno wyzdrowieje, kochanie. Wróciła do sypialni.

Tom trzymał wartę przy synu.

Kiedy Caryll obudził się, nie czuł już bólu. Lekarze, uszczęśliwieni, że mogą zejść ze służby, przepisali siemię lniane oraz zalecili picie śmietany i poszli do domów. Tom jadł z synem śniadanie.

- Myślałem o tym posunięciu Roosevelta - zaczął. - Chude koperty z wypłatą nie są rozwiązaniem na dzisiejsze czasy. Potrzeba nam dużo pieniędzy, żeby gospodarka ruszyła z kopyta. Ale prawdę mówiąc, sam nie znalazłem lepszego rozwiązania. Niechaj więc będzie. Wejdziemy w ro-

łę królika doświadczalnego. Zobaczmy, jak to pójdzie na przykład w zakładzie wulkanizacji.

Caryll uderzył łyżką w miseczkę. Opadł na poduszki i patrzył na ojca.

- Tato, skąd ta nagle zmiana?

- Patriotyzm. A co myślałeś?

- To z powodu ostatniego wieczoru?

- Jasne. Przecież wszystkie ważne decyzje podejmuję w zależności od stanu twojego brzucha.

Cierpka uwaga ojca uspokoiła Carylla.

- A więc zakład wulkanizacji...

Tom za późno przypomniał sobie, że tam właśnie pracuje Justin.

Wybór tego zakładu nie był wprawdzie do końca przemyślany, ale też i nie był przypadkowy. Połowę niespokojnej nocy Tom spędził rozmyślając o swoim drugim synu. Ileż to razy od powrotu Justina do Detroit przemyślał, czyby nie odwiedzić go jednak, nie uściskać jedyne go wnuka i małej - imienniczki Antonii - i nie poznać nareszcie dziewczyny, którą wyobrażał sobie jako ciemnowłosą, monumentalną postać z Biblii? Czy mogło być coś złego w tym, że wpadłby z wizytą do dawnego pracownika i przyjaciela zarazem? W oprawionym w skórę, rozgrzanym ciałem, małym notesie Toma widniał nagryzmołony adres i numer telefonu Justina. Ale mimo że często otwierał notes na literze „H”, nie mógł przełamać się, żeby zadzwonić. Wydawało mu się, że decydując się na gest pojednania, tym samym potwierdzi swoje ojcostwo, i to równie skutecznie, jak zrobiłyby to badania krwi. Skoro zniósł atak serca, byle tylko dochować tajemnicy, może także zaczekać na krok ze strony Justina. Prawda?

Odstawił filiżankę i niespokojnie podszedł do okna. Nie chce pakować w to Justina, ale jeżeli teraz zmienię zdanie, kto wie, jakie pytanie zaraz zada Caryll?

- Tak jest. Zakład wulkanizacji - potwierdził.

- Kiedy zaczynamy?

- W miesiącu szczęścia i ślubów - odparł Tom sucho. Oczy miał pochmurne. - W czerwcu.

Badania laboratoryjne Carylla nie wykazały nic szczególnego, ale lekarze, którzy woleli dmuchać na zimne, nadal trzymali go na diecie wrzodowej.

I

W poniedziałek dwudziestego siódmego maja Sąd Najwyższy ogłosił decyzję - Krajowa Administracja Odbudowy Jest ciałem utworzonym niezgodnie z konstytucją.

Do cichego gabinetu Hugh wpadł z tą wiadomością sekretarz. Hugh w pierwszej chwili skonstatował, że Tom znowu miał rację, a później, rozsiadłszy się wygodnie, zaplatał i rozplatał palce, przemyśliwując, jak by ten fakt wykorzystać z pożytkiem dla Onyxa. Niezależnie od rozmaitych zakrętów lojalności wobec brata, na jakie Hugh pozwalał sobie od chwili, gdy tamtej zimnej nocy jechał przed kwadrycyklem Toma, nigdy nie przestał wkładać serca w pracę. Jego zasługą był to, że reklama Onyxa szła gładko i działała skutecznie, właśnie dzięki niemu gazety w kraju więcej uwagi poświęcały Tomowi, Onyxowi i Woodland niż Garbo, Chaplinowi, Willowi Rogersowi, Lindberghowi i księciu Walii razem wziętym. Hugh siedział w bezruchu i wpatrywał się w stiuki na suficie. Po kwardansie kiwnął głową, leszcze przez kilka dobrych minut nawet nie drgnął, aż wreszcie sięgnął po słuchawkę wewnętrznego telefonu.

- MacIlvray, do mnie - rzucił.

Do końca dnia wraz z pulchnym sekretarzem przygotowywali, zmieniali, szlifowali ogłoszenie, które miało zostać wydrukowane przez dwieście dzienników.

Tom Bridger, który odmówił złożenia podpisu pod hasłami nieprawnie działającej Krajowej Administracji Odbudowy, postanowił wesprzeć prezydenta w walce z bezrobociem. My w Onyksie nazywamy to tygodniem podwójnego zatrudnienia.

Tydzień podwójnego zatrudnienia...

To przyniosło olbrzymi oddźwięk pośród ludzi, męż-

czyni i kobiet, którzy nagle otrząsnęli się z niemocy. Tom Bridger, ten niezwykły geniusz przemysłu, ten sam, dzięki któremu świat jeździł na czterech kółkach, postanowił zwalczyć kryzys. Nadzieja przetoczyła się przez kraj wielką falą. Dealerzy zawiadamiali o cudzie nie notowanym od czasów krachu finansowego. Ludzie wpłacali pierwsze raty na poczet zakupu nie ukończonego jeszcze modelu '36.

W Woodland robotnicy pytali pod nosem jeden drugiego: „Tydzień podwójnego zatrudnienia? A czym to się je?”

Odwracali się szybko od siebie, by nie okazać dławiącego strachu - przecież to mogło dotknąć właśnie ich!

Pracujący w zakładzie wulkanizacji usytuowanym w budynku z czerwonej cegły, starzy i młodzi, którzy wynosili pękate koperty, wiedzieli, co to podwójne zatrudnienie oznacza: nie będzie mleka i nowych butów dla dzieci, nie będzie lekarza przy żonie, kiedy zaczną rodzić następne...

Justin przebierał się w umywalni w ubranie robocze, kiedy jeden z robotników zapytał półgębkiem:

- Profesorze, a gdzie jest siedziba ZRRPA?

- Przy Miller Road 2415.

- Myślałem, czyby się nie przyłączyć - mruczał pod nosem mężczyzna, ukrywając ruch ust przerwaniem aromatyzowanego tytoniu pod drugi policzek. Bydynek zakładu zapyłony był sproszkowanym steatytem, który drapał w nozdrzach i w gardle. Jednak ponieważ od picia wody ludzie stawali się ocieźzali i wzdęci, żeby ugasić pragnienie, woleli żuć tytoń. - Chłopaki, macie rację z tym związkiem. Chyba trzeba się postawić razem.

Wielkie chłopisko zagadnęło Justina w imieniu większości zespołu robotników pracujących przy wyrobie opon.

Mitch zrezygnował z zajęcia przy Administracji Robót Publicznych. Oboje z Elisse pracowali w kwaterze związku.

Tonią raczkowała między szafkami katalogowymi, a tymczasem robotnicy skrupulatnie wypełniali i podpisywali karty przynależności do ruchu. Dławiący zapach gumy unosił się w zaduchu letnich dni, odgłosy zaniepokojonych głosów robotników wypełniały nieduże pomieszczenie, kiedy ustawiali się w kolejce przed pomalowanym kuchennym stołem, za którym siedziała żona Profesora, skarbnik ZRRPA.

Elisse wpisywała nazwiska do księgi, układała zmięte banknoty i monety w czarnym blaszanym pudełku. Wpisowe wynosiło pięćdziesiąt centów, miesięczna składka drugie

tylko. Czasami zawstydzony robotnik pytał, czy może na razie dać tylko dziesięć centów albo pięć. „Ostatnio kruczo u mnie z forszą.”

- Wobec tego przy następnej wypłacie - mówiła Elisse energicznym, rzeczowym tonem, wkładając monetę do właściwej przegródki, ale oczy zachodziły jej mgłą, gdy wpisywała nazwisko do księgi dłużników.

Dzień po dniu przychodzili robotnicy po krótkiej, wykańczającej pracy, przy której, żeby utrzymać wyśrubowane tempo, musieli dać z siebie wszystko. W oczach mieli jakiś gorączkowy blask, kiedy wchodzili otwarcie, nie kryjąc się po kątach. No i co z tego, jeśli nawet ktoś ich na tym przyłapie? Co mieli do stracenia?

II

Jak tylko dostaniemy sygnał, damy im popalić - powiedział Dickson Keeley. - Niełatwo jest dostać zapomogę, a nawet jeśli ją dostaną, nie na wiele im starczy.

- No więc jak wytłumaczysz fakt, że mają już prawie dwanaście tysięcy członków?

Popołudnie było duszne, gorące. We dwóch szli wysypaną żwirem ścieżką do wybiegu lwów. Tego roku Hugh sprowadził sobie dwa lwy schwytane w Serengeti i naturalna odwaga tych zwierząt wciąż nie przestawała go fascynować.

- To proste - odparł Keeley. - Dwa razy więcej zmian, dwa razy więcej ludzi, którzy sądzą, że robi się ich w konia. Zachowują się jak zdezonizowani władcy, bo ja wiem?

- Trzeba zatrudnić więcej ludzi w ochronie.

- Co trzeci człowiek z zakładu wulkanizacji jest na mojej liście płac. Co szefowi strzeliło do głowy, że wybrał akurat ten zakład? Przecież tam jest Hutchinson! Nawet osobiście przeze mnie dobierani ludzie nie składają mi pełnych raportów. Są po stronie tego przebiezańca!

Słowo „przebiezańiec” wywołało dziwaczny uśmiech na rasowym, nie oszpeconym profilu Hugh. Po kilku krokach zapytał:

- A co z Shapiro? Ludzie są też za tym komunistą?

- Shapiro jest częścią układu. Gdyby nie Hutchinson, już dawno rozpędzilibyśmy cały ten związek.

- Na tym polega wasza praca.

- No to niech mi pan da zielone światło! - Keeley był Hugh

posłuszny, bo gdyby on szepnął szefowi choćby słówko na temat preferencji seksualnych Keeleya, byłby to koniec jego świetnej kariery. Ale przecież Keeley nie był tylko bezwolnym narzędziem. Wyciągnął w górę zaciśniętą pięść.

-Ziuuu! Hutchinson już by siedział w pociągu i uciekał, gdzie pieprz rośnie!

Hugh przyspieszył kroku. Ścieżka skręciła i doprowadziła ich do ogrodzonego wybiegu. Zabłąkany podmuch wiatru znad jeziora St Clair przeleciał nad polem dzikiego owsa, zmieniając kolor zboża z kremowego na miodowy. Hugh usiadł na ławce w cieniu i przykładał złożoną chusteczkę do prawego policzka - zabliźniona tkanka z lewej strony nie pociła się nigdy. Lew o wspaniałej grzywie szedł w ich stronę. To Aries, większy samiec.

- A gdzie małe? - zapytał Keeley. Hugh wyciągnął przed siebie rękę.

- Jeszcze się karmią. Ale wracając do Hutchinsona... Z nim trzeba ostrożnie. Pamiętaj, że to szwagier mojego bratanka.

- Ale ostatnio nie bardzo się kolegują, co? To dlatego, że ona zajeżdża cebulą? Dlatego wszyscy go unikają?

- Rodzina Bridgerów to nie twój interes.

- Pewnie, że nie. A jak się rodzina Bridgerów zapatruje na żonkę i na dzieci?

Aries przeciągnął się przy ogrodzeniu; Hugh nie odrywał wzroku od jego rdzawych wąsów. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by wiedzieć, że Tom dostałby furii, gdyby jakaś krzywda miała wydarzyć się jego nieznanym wnukom -wnukom Antonii.

- Chyba nie kombinujesz żadnych numerów z dziećmi, co?

- Nic by się im nie stało. Ale Hutchinson mógłby się nieźle przestraszyć. No i dlaczego nie?

- Nie ma o czym mówić.

- Wie pan, wołałbym mu się wprost dobrać do skóry. To chyba jasne? - Keeley usiadł na ławce. - A co z nią?

Hutchinson natychmiast wróciłby do Los Angeles, gdyby pisnęła choć słówko.

- Skąd wiesz?

- Wszyscy wiedzą, że ma na jej punkcie fioła.

Hugh wstał i podszedł do ogrodzenia. Stukał nerwowo ręką o metalową barierkę. Aries popatrzył na niego spiżo-

wym nieludzkim wzrokiem, a spojrzeniu temu towarzyszył głęboki pomruk ze złotej piersi.

- Nikt z nas nie życzyłby sobie rozgłosu wokół tego.

- Domyślam się.

- A zatem rozumiesz już zasady gry.

- Trzymać się z dala od niego i od dzieci, żadnych wzmianek w prasie i nic takiego, co mogłoby dojść do uszu szefa.

Zgadza się?

- Zgadza.

- Ale ona jest... - Wyuczony elegancki akcent rozpląnął się w powietrzu.

Hugh zrozumiał tę ciszę. Łatwą zdobyczą, chciał powiedzieć Keeley. Wujowska miłość nieodwracalnie ustąpiła miejsca ciemnej stronie natury Hugh, który podobnie jak dawniej obmyślał zemstę na majorze Stuarcie za swoje oszpecenie, tak teraz chętnie odpłaciłby za wszystko Elisse, która dla niego spokojnie mogła być „bezbронną zdobyczą”. W końcu nic się takiego nie stanie, jeśli po cichu złożą jej trochę skórę. Nie odwracając wzroku od lwa, powiedział:

- Kieruj się własnym wyczuciem.

- To prawie tak, jakby już siedzieli w pociągu do Los Angeles.

- Nikt nie może się dowiedzieć, że maczaliście w tym palce.

- Żartuje pan? Nikt się nie dowie.

III

Tego lata temperatura w lipcu dochodziła do czterdziestu stopni. Cienkie ściany wynajmowanego przez Hutchinsonów domku długo utrzymywały wewnątrz wilgotny upał. Tamtego wieczoru, w ostatni czwartek lipca, lepkie powietrze przesycone było dźwiękami nadawanej w radio *Sinfonietty* Alfreda Wallensteina, których, o dziwo, nawet nie zagłuszały powtarzające się piski wygrywane na skrzypcach przez Bena.

Ben nie pytał, dlaczego rodzice przywieźli go do Detroit, tylko wymyślił sobie sposób, żeby tę przeprowadzkę uczynić znośniejszą dla siebie. Ciągłe ich karał: zapamiętał ćwiczył na skrzypcach, wiecznie wchodził w konflikty z nauczycielami, trzymał się z daleka od chłopców z ulicy i jeszcze głębiej skrywał synowskie uczucia. To skupienie się

na własnej osobie stało się dla niego aktem twórczym. Justin rozumiał, w czym rzecz, Elisse nie. Przywdziewała na siebie włosiennicę utkaną z poczucia winy i od czasu do czasu za jakiś wyłuskany grosz kupowała mu gumę do żucia Fleers Double Bubble, którą on pogryzał wojowniczo - nie zwracała uwagi na jego manifestacyjnie złe zachowanie. Ale to w końcu ona podkręciła radio.

Justin oparł zmęczone stopy na jednym z kartonowych pudeł, które zagracały małą bawialnię. Trzymał „Detroit Free Press” przed sobą, ale patrzył na żonę - siedziała za biurkiem nad księgą handlową. W różowej bawełnianej sukience, w skarpetkach i sandałach, z podkrążonymi oczami i skupieniem na twarzy, wyglądała jak uczennica nad lekcjami. Od czerwca, odkąd zaczął się okres „tygodni podwójnego zatrudnienia”, nastawiała budzik na wpół do piątej rano, żeby zdążyć posprzątać i wyprasować przed świtem - cały dzień zajmowała jej praca dla związku.

Ze znużeniem prostując plecy, uniosła kasztanowe loki, by ochłodzić kark. Nagle zdała sobie sprawę, że Justin ją obserwuje.

- Hej, kolego! Nie powinien pan czasem być już na jakimś zebraniu?

- Mam jeszcze trochę czasu. Co tam się nie zgadza?

- Przekroczyliśmy budżet związku. Na szczęście nadeszła dziś z Londynu nasza kwartalna wypłata odsetek. Z trudem się powstrzymałam przed popełnieniem oszustwa i złożeniem tego w banku na procent.

Justin w zamyśleniu drapał się w stopę.

- Zatrzymuję dwieście pięćdziesiąt na naszym koncie.

- Te pieniądze należą do związku!

- Przynoszę teraz tylko połowę wypłaty.

- Umówiliśmy się, pamiętasz? Umówiliśmy się, że całą kwotę będziemy przekazywać do kasy. A kasa świeci pustkami, możesz mi wierzyć na słowo.

- To gdzie są pieniądze za wpisowe i składki?

- Opłaciliśmy czynsz za siedzibę, za światło, wodę i telefon - odparła stukając palcem w księgę. - Kupiliśmy papier na ulotki. Nowy wałek do powielacza. Dwa używane Remingtony. Matrycę i radio. Pięćdziesiąt używanych krzeseł składanych. Kawę, pączki, mleko. Zakupy spożywcze dla Stowarzyszenia Kobiet. - Trzystu jedenastu członków związ-

ku, zadowolonych i pełnych entuzjazmu z powodu przynależności do organizacji, traktowało dwa razy tygodniowo wydawany lunch - duszoną fasolę i spaghetti - jako akt solidarności i symbol nadziei. Poza tym wielu z nich naprawdę nie miało co jeść. Elisse przerzuciła kilka kartek. - O, proszę. Są jeszcze pożyczki. Dla Pete'a Ogoczy, Armanda Choix i Johnny'ego Colemana. Widać tu około trzydziestu takich adnotacji. Połowa z nich wpisana jest twoją ręką.

- Będę się musiał pilnować. - Poczzerwieniał. - No i etatowi pracownicy związku dostają pensje. Płacimy Mitchowi. Ty też pracujesz na pełnym etacie.

- Dwieście pięćdziesiąt kwartalnie daje osiemdziesiąt trzy trzydzieści miesięcznie. Czy to nie za dużo jak na sekretarkę?

- Bardzo schudłaś ostatnio.

- Na litość Boską, Justin! Specjalnie, specjalnie.

- Wkładasz sobie mikroskopijne porcje na talerz, a nam ciągle dokładasz.

- Chcesz, żebym była taka gruba jak Kate Smith?

- Martwię się tobą.

Skrzypce Bena ucichły. Orkiestra w radiu grała poloneza z *Eugeniusza Oniegina*. Elisse zanuciła pod nosem.

- Uwielbiam tę operę. Tata też. Mówiłam ci, że koniecznie chciał mi dać na imię Tatiana?

- On mi mówił. Kochanie, przesadzasz z tym wszystkim.

- Wiesz, że takie niby spokojne gderanie rozwściecza mnie jak diabli - powiedziała. - Justin, nie przyjechałam tu mieszkać pod kloszem. Przestań się zamartwiać. Trafiła ci się silna żona, która ma jakiś cel przed sobą i będzie żyć wiecznie.

- Czasami czuję, że jesteśmy tylko częścią jakiejś głupiej układanki. Dokąd nas to wszystko prowadzi?

- Do tysiąca stu trzydziestu siedmiu członków - oznajmiła z triumfem.

- W samym zakładzie wulkanizacji.

Przymknęła jedno oko i przyjrzała mu się uważnie. Nie dawała się już dłużej nabierać na postawną sylwetkę męża i jego niezachwianą pewność. Wiedziała, że ulega głębokiej, smutnej melancholii. Zaczął się nękać pełnymi wątpliwościami pytaniami dotyczącymi tego, co już za nim, i tego, co go czeka po tym, jak odkrył swoje nieślubne pochodzenie. Przeszła przez rozgrzany, zagracony pokój.

- A więc uważasz, że zrzeszenie związkowców nie prowadzi donikąd? - Wcisnęła palce pod jego pachy. Justin miał szalone łaskotki. Śmiejąc się, zupełnie bezradny, usiłował się przed nią obronić. Nacierала na niego nie ustępując na krok, równie rozweselona. Dopiero kiedy oboje nie mogli już złapać tchu, a oczy mieli wilgotne od łez, przestała. Wciąż dławiąc się śmiechem, pociągnął ją na kolana. Oparła policzek o jego wilgotne od potu włosy.

- Jak to się dzieje, że tu siwiejesz, a w innych miejscach nie?

- To informacja zastrzeżona dla wybrańców. Oboje uśmiechnęli się.

- Justin, nic mi nie brakuje. Słowo harcerza. Ale jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, wpłać pięćdziesiąt na nasze konto.

- Pięćdziesiąt to za mało na trzy miesiące.

- Nie mogę przecież obciąć pożyczek czy zrezygnować z lunchów dla pań.

- Elisse...

- Och, daj spokój, kochany. Przecież i tak jest nam świetnie. - Jej głos nabrał ciemniejszej barwy.

Uśmiechy zniknęły z ich twarzy. Radio, mrugając chłodnym szmaragdowym okiem, roztaczało rzewne nuty Rachmaninowa. Elisse wciągnęła głęboko powietrze, rozkoszując się dotykiem męża. Uwielbiała dotyk jego rąk, uwielbiała to, że nigdy nie gubił się, nie stawał się szorstki, porywczy. Teraz wolno pocierał palcami bawełnę sukienki, tuż nad jej sutkami, a Elisse czuła, że końce wzbudzanych przez niego strun trafiają dokładnie w jej podbrzusze. Ich oddechy straciły regularny rytm i właśnie pomyślała, jak to cudownie, że oboje wciąż są sobą tak zajęci, że wręcz gotowi kochać się tu i teraz, kiedy usłyszeli spuszczaną na górze wodę.

Odsunęli się od siebie.

- Później - powiedział Justin zachrypniętym głosem.

- Jesteśmy umówieni - odparła całując go w czoło. Zasznurował buty, przyczesał włosy, poprawił krawat i pojechał do hotelu robotniczego w Hamtramck, gdzie w pokoiku, w którym tłoczyli się spoceni, przestraszeni mężczyźni o polskich nazwiskach, miał wygłosić pogadankę na temat: dlaczego robotnicy przemysłu samochodowego powinni utworzyć jeden związek.

IV

Mniej więcej godzinę później Elisse trzymała przed sobą parę brązowych chłopięcych spodni. Przy połowie zarobków rodziny zrzeszone w ZRRPA nie miały pieniędzy na takie luksusy jak nowe ubrania, więc pisała nagłałe listy do wszystkich przyjaciół Kapłanów z prośbą o przysyłanie używanych ubrań, które panie ze Stowarzyszenia cerowały i obszywały łatami. Znoszona flanela cuchnęła moczem, spodnie miały dziurę wydartą na kolanie, brakowało guzików. Z niechęcią wrzuciła je do pudła opatrzonego napisem: „Śmieciarz”.

Odezwał się dzwonek u drzwi.

Elisse oderwała wzrok od ubrań. Zarówno Justin, jak i Mitch ostrzegali ją, by nigdy nie otwierała nikomu, kiedy jest w domu sama. Pobicia były jedną z metod siepaczy ochrony, którymi zniechęcali ludzi do związku. Już dwukrotnie pobili Mitcha do nieprzytomności, kiedy wrócił po pracy do pokoju w hotelu. Wszystko to jednak jakoś nie trafiało jej do przekonania, zwłaszcza że w takie upalne wieczory jak ten pani Milacek, najbliższa sąsiadka, często przynosiła Elisse dzbanek z mrożoną kawą i zasiadała do niewinnych pogaduszek.

- Już idę!

Na ciemnym ganku ujrzała sylwetkę dużego mężczyzny w słomkowym kapeluszu. Widziała tylko ciemny zarys jego postaci, bo miasto, nie mogąc wygzekwować od ludzi opłat za prąd, przestało oświetlać ulice niektórych dzielnic, w tym Woodland Park.

- Pani Hutchinson?

- Hutchins - poprawiła czując, że włos jej się jeży na karku, i usiłowała czym prędzej zatrzaskać drzwi.

Mężczyzna zablokował je ramieniem.

- Elisse, pisane przez dwa „s”, z domu Kapłan, po mężu Hutchinson. Pani Justinowa Hutchinson?

Jej oczy nauczyły się już widzieć w mroku. Zobaczyła jeszcze dwie niewyraźne postacie u stóp schodów.

- Kim jesteście?

- Pracuję dla Onyxa. Być może słyszała pani o mnie. -Mówił przyjemnym głosem o miłym patrycjuszowskim, wschodnim akcencie. - Nazywam się Dickson Keeley.

We własnej osobie, pomyślała. Niedobrze, bardzo niedobrze.

- Panie Keeley, męża nie ma w domu - oświadczyła. I dzięki Bogu.
- Chcieliśmy porozmawiać z panią. - Dwie postacie przestały wyglądać jak duchy, bo kiedy ciężko wchodziły na schody, zamieniły się w dwóch ogromnych, cuchnących potem mężczyzn. We trzech wepchnęli ją do wąskiego, dusznego korytarza.
- To jest pan Smith. - Keeley wskazał wysokiego, szerokiego w biodrach mężczyznę w garniturze z pasiastej, szorstkiej bawełny.
Smith zdjął panamę, odsłaniając lśniąca różową łysinę.
- A to pan Potter. - Nazwisko zupełnie nie pasowało do postaci. Zwalisty mężczyzna o ostrych rysach i muskularnym ciele, ubrany w dwurzędowy garnitur, odpowiadał wizerunkowi licznie ostatnio przybywających do Stanów imigrantów z Sycylii.
- Miło mi panią poznać - powiedział Potter, z jakimś rozmytym, nieokreślonym akcentem.
- Mąż wróci lada moment. - Jak to się działo, że kłamała gładko, gdy tymczasem nogi dygotały jej ze strachu? Jakim cudem w ogóle jeszcze stała? - Przyprowdzi kilku znajomych.
- Jest teraz w Hamtramck i agituje trzech naszych robotników i czterech z zakładów Chryslera. - Dickson Keeley zerknął na swoich kompanów, którzy zajęli pozycje, odcinając Elisse wszelką drogę ucieczki - gruby Smith opierał się o drzwi wyjściowe i wyciągnął pilnik, którym teraz piłował paznokcie u miękko wyglądających rąk, smagły Potter usadowił się na schodach i z dłońmi na uniesionych kolanach, siedział spięty jak sprinter przed olimpijskim biegiem. Keeley wszedł do bawialni.
- A cóż to znowu? Wyprzedaż kłamotów? - Odsunął karton z napisem „Śmieciarz” i z pietyzmem położył kapelusz na stoliku do kawy. - Muszę przyznać, że jest pani dla mnie niespodzianką. Nawet w tych starych szmatach wygląda pani zabójczo. Duża klasa. Pani zdjęcia z lat szkolnych nawet się nie umywają do tego, co teraz widzę.
- Czy tak pan spędza wolny czas? Przegląda pan stare roczniki absolwentów uniwersytetu Kalifornii? - Bicie serca rozsadało jej uszy, ale Elisse umiała panować nad rozdygotanym wnętrzem. Trzymała się dzielnie i rzucała uszczypliwe uwagi. W jej głosie nie słyhać było lęku.

- Proszę! Ładna i bystra! Lubię bystre. Niech mi pani coś powie. Dlaczego taka dziewczyna jak pani traci czas na buntowanie jakichś Polaczków, Madziarów, buraków i różnych kmiotów? I co się dzieje z Justinem? Przecież mimo kryzysu, jako prawnik, w dodatku z brytyjskim akcentem, może opływać w dostatki. Gdyby to mnie miała pani ogrzewać, zadbałbym o najlepsze futra.

Drżące uda Elisse uginały się pod nią, ale wiedziała, że jeśli teraz siądzie, będzie to błąd taktyczny. Podeszła więc do okna, gdzie nawet oparta o parapet mogła nadal wyglądać swobodnie.

- Niech się pani uspokoi, dziecinko. Przyszedłem tu jako kumpel - zapewniał Keeley. - Przyszedłem z dobrą radą. I niech ją pani przekaże Justinowi. Powinien wracać na zachód.

- Pan raczy żartować.

- Detroit nie jest dla niego. Powiedziałbym mu to osobiście, ale, cóż, pani Zoe Bridger jest jego siostrą... - Usta Keeleya skrzywiły się dwuznacznie w głupawym uśmiechu. - Sprawy rodzinne mogą wiele skomplikować. Pani wie, co mam na myśli. Zresztą, bardziej go zabol, jeśli to pani przekaże mu to, co mamy do powiedzenia.

- Nie posiadam się wprost z radości. Spojrzał na nią ostro.

- Pan chce, żebyśmy się stąd zabierali - powiedziała. -A to może oznaczać tylko jedno. Związkowcy stanowią dla was jednak zagrożenie.

- W Los Angeles codziennie świeci słońce. Niebo jest błękitne od rana do nocy. Będzie tam pani szczęśliwsza i zdrowsza.

- Czy to ma być groźba? - spytała zdyszonym głosem. -Mógłby pan się lepiej postarać. Przypomina pan kiepskiego gangstera z podrzędnego filmu.

Zadzwiećczał pilnik Smitha.

- Niech pani będzie rozsądna - ciągnął Keeley. -I przestanie udawać, jaka to z pani dzielna dziewczyna. Skończmy z tymi docinkami. Czy rozumiemy się dobrze? Powie mu pani, że przemyślała pani sprawę i jest gotowa spakować się i jechać do domu.

- Nie mam najmniejszego zamiaru.

Jego źrenice skurczyły się w nagłym porywie gniewu, co przypomniało jej, że dwóch mężczyzn zmarło po anonimo-

wym laniu, jakie spuściła im ochrona. Ale kiedy Keeley przemówił, jego głos nadal brzmiał elegancko.

- Ostra z pani dziewczyna. Naprawdę nie widzi pani, że cały ten wasz związek to śmiech na sali? Chyba nie sądzi pani, że szef będzie sobie zawracał głowę jakimś lokalnym zrzeszeniem, co? Nie będzie przecież gadał z kupą złomu.

Jego nagła przemiana w rozszalałe zwierzę wzmogła przerażenie Elisse. Dygotała w wieczornym upale, a mimo to zmusiła się, by odpowiedzieć spokojnie:

- Ludzie to nie kupa złomu. Ludzie myślą. Czują.

- Płacą mi majątek za to, żeby nie wpuścić związku do zakładu. Inne fabryki też nie skąpią grosza. Nie bądź uparta, Elisse. Nie ma powodu, żebyście mieszkali w tej norze i zaharowywali się na śmierć. Naprawdę nie ma powodu.

Grube ryby nie dadzą wam odgryźć sobie nawet kawałka palca. A Onyx?! No, sama powiedz. Skoro szef nie ugiął się przed prezydentem i Kongresem, dlaczego miałby teraz mięknąć przed bandą obdartusów, co?

- Bo będzie musiał, jeśli nie chce zamknąć fabryki.

- Nie rozśmieszaj mnie! Ponad połowa ludzi w mieście jest bez pracy. Każdy robotnik Onyxa może odejść jutro z fabryki, a następnego dnia i tak kupa ludzi odejdzie z kwitkiem spod bramy. Jak sądzisz, skąd wziął się ten pomysł podwójnego zatrudnienia, co?

- Gdyby wpuścić związek do fabryki...

- Nie wpuszczają, więc szkoda śliny. - Nachylił się do niej.

- Dzisiaj pogadasz z mężem.

- Nigdy. Nawet pod lufą pistoletu.

- No i po co ci były te studia? - zapytał łagodnie i wstał.

- Chłopcy.

Smith przestał piłować paznokcie. Potter podniósł się jednym płynym ruchem. Obydwaj weszli do małego, dusznego pokoju. Zza napiętych, rozciągniętych w grymasie uśmiechu warg, błysnęły zęby.

Słowiąle tapety w kolorze musztardowym, pudła z kartonu, zniszczona kanapa i fotele ściągnięte z południowej Kalifornii zniknęły Elisse z oczu. Niezdolna do jakiegokolwiek ruchu, dyszała jak małe, sparaliżowane strachem zwierzątko, zagonione na śmierć. Po bokach spływały jej krople ziemnego potu, poczuła dziwny skurcz żołądka, jakby jej wnętrzości wypełniały kawałki kruszonego lodu.

Nikt nie odezwał się słowem.

Ten gruby, Smith, szarpnął za pasiastą marynarkę i zrobił jeden duży krok w stronę okna. Nagle Elisse wyrwała się z odtrętwienia i ogarnęło ją szaleństwo. Zagięła palce, usztywniła kciuki i szykowała się, żeby wydrapać mu oczy. Ale zanim zdążyła unieść ramiona, złapał ją za nadgarstki. Jego szybkość i siła miękkich, nakrapianych piegamii rąk powinny ją zaskoczyć, lecz nie było już czasu na zdziwienie. Ogarnęła ją panika. Kopała, wykręcała ręce, żeby uwolnić się z uścisku. Seledynowa lampa z porcelanowym abażurem cicho spadła ze stolika na kanapę. Nie zbiła się. Smith wykręcił Elisse ramiona i przytrzymał za jej plecami. Obrócił ją przodem do pozostałych dwóch mężczyzn. Nikt nie odezwał się słowem.

Dickson Keeley przekroczył kartonowe pudło, podszedł do radia i podkręcił je na pełną moc tak, że szkolony głos aktora w piosence *You can't get away with this* osiadł na startych podeszwach sandałów Elisse i jej zadyszany oddechu.

Smith siłą zawlókł ją do korytarza, ciągnąc jej stopy po podłodze. Odezwał się w niej głos rozsądku - postanowiła nie krzyknąć, żeby nie zbudzić dzieci.

W wąskim, ciasnym korytarzyku, poczuła kopnięcie w łydkę. Sandały spadły jej z nóg i wystrzeliły do przodu. Przewróciłaby się, gdyby jej Smith nie trzymał, osunęła się miękko na linoleum.

Dickson Keeley przypalił sobie zapalką cygaro.

Do końca swoich dni, ilekroć myślała o tym interludium, kiedy Dickson palił Hawanę, miała uczucie, że została wtedy wrzucona w jakąś inną, równoległą rzeczywistość sąsiedniego świata - piekielną rzeczywistość, zbudowaną z atomów zakłócających równowagę psychiczną.

Smith przyciskał jej łopatki do chropawego linoleum. Jej twarz znajdowała się raptem kilkanaście centymetrów od czarnych butów Keeleya - zapach pasty mieszał się z zapachem zakurzonej podłogi. Potter nachylił się nad nią i zdarł z niej bawełniane majtki. Leżała obnażona od pasa i miotła się jak ryba w sieci. Bała się zamknąć oczy, by na zawsze nie stać się więźniem tej strasznej rzeczywistości. Uporczywie patrzyła na rozrzucony koniuszek cygara. Kątem oka dostrzegła, że Potter rozpina spodnie. Dickson Keeley kopnął ją od niechcienia między kolana, Potter rozłożył jej dygoczące uda.

Kiedyś Justin opowiadał jej, że Niemcy jako bagnatów nie używali zwykłych noży, lecz takich ostrych, specjalnie pod-

kręconych jak śrubokręt. Ta trawestacja aktu miłosnego przypomniła jej uwagę Justina - Elisse czuła ostre rany w miejscach, które w myślach dawno temu oddała tylko mężowi i skąd oboje czerpali dotąd radość.

Wpatrywała się w ruchomą czerwoną gwiazdę, podczas gdy jej drobne ciało objęło się po zniszczonym linoleum w wąskim, źle oświetlonym korytarzu.

v

Głośno ryczący w radiu *Green Hornet* obudził Bena, który stanął u szczytu wąskich schodów.

Gdyby mężczyźni bili matkę, popędziłby na dół bez namysłu i, wiedziony wojowniczą odwagą, zareagował in stynktownie. Ale jeden z nich spokojnie palił cygaro i patrzył, podczas gdy grubas przyciskał jej barki do podłogi, a długi leżał między jej nogami, ze spodniami spuszczoneymi do kolan, i podrzucał nerwowo nagi tyłek, przypominający dwie zlepione gumy do żucia. Ben zaakceptował fakt, że krzywda, którą jej wyrządzają, należy do tych tajemniczych rzeczy świata dorosłych, w których nie może wziąć udziału, nawet jako obrońca. Stał w ciemnościach i drżał. Tłuscioch, który ją dotąd przytrzymywał, zajął miejsce drugiego.

Przestała się szamotać, na długo zanim skończył.

Mężczyzna z cygarem nachylił się nad nią i jej obnażonym brzuchem. Muzyka w radiu ucichła, dlatego Ben usłyszał jego głos:

- Los Angeles jest twoim miastem, Elisse. - Rozległo się ciche syczenie, kiedy wcisnął cygaro między jej bezwładnie rozrzucone nogi. Muzyka znów ryknęła.

Mężczyźni wyszli. W radio zaczął się inny program. Ani Ben, ani Elisse nie drgnęli. Stał, jak mu się zdawało, długie godziny, zanim nie odwróciła się na brzuch i nie podniosła na dłoniach i kolanach. Wokół miejsca, gdzie leżała, rozlała się kałuża ciemności.

Ben wrócił na palcach do łóżka i leżał z ramionami sztywno splecionymi na piersi.

Radio ucichło. Nigdy już nie będzie słuchał *Green Hornet*. Nigdy, nigdy. Udawał, że śpi, kiedy przyszła, żeby zaprowadzić go do ubikacji, by nie zmoczył łóżka. Strasznie drżały jej ręce. Ben nie mógł siusiać.

VI

Leżała wciśnięta w materac. Oddychała mechanicznie, głośno i ciężko, jakby podłączono jej żelazne płuco. Nie płakała. Z początku nie mogła myśleć, nie czuła nic poza oparzeniem. Stopniowo jednak zaczął ją ogarniać jakiś upór, który wyrastał z jej krwawiącego, znieważonego wnętrza. Dziwny, nie sprecyzowany do końca upór, który z każdą chwilą nabierał mocy.

Brutalność Dicksona Keeleya nie odniosła spodziewanego skutku - Elisse nie miała zamiaru wśród rozedrganych szlochów wracać do Los Angeles. Choć nie odzyskała jeszcze wartkiego tempa myślenia ani jasności umysłu, wiedziała, że nie wróci do Kalifornii, zanim tu nie osiągną wytyczonego celu.

Ze znużeniem powtarzała sobie w myślach - podobnie jak dziecko, które się uczy na pamięć: Muszę położyć temu kres. Tak. Zmuszę Bridgerów, żeby zrezygnowali z tych metod. Jej poczucie humoru przeobraziło się w wolę walki. Nie widziała nic niedorzecznego w tym, że drobna kobieta wypowiada wojnę znienawidzonym i nie znanym sobie krewnym męża oraz molochowi produkcji masowej - raptem jedna z fabryk Onyxa, Woodland, zatrudniała więcej ludzi, niż mieszkało ich w całym stanie Nevada. Nie myślała o terrorze i gwałcie; jej bardzo chwiejna równowaga rozpadłaby się w kawałki, gdyby Elisse odtworzyła spokojnie to, co przerodziło się w radiowy melodramat. To musi się skończyć, powtarzała w duchu raz po raz. W oszołomieniu czerpała pokrzepienie z tysiąca stu trzydziestu siedmiu członków ZRRPA. Ze związkiem u boku położą temu kres.

Minęło kilka godzin.

Przed domem zatrzymała się używana Siódemka Justina. Elisse powolutku odwróciła się na bok, dławiąc jęk bólu poduszką. Kiedy Justin wszedł na górę, nie odezwała się ani nie otworzyła oczu. Gdy znalazł się w pościeli, pocałował jej odwrócone do ściany ramię. Kiedyś obiecali sobie dzielić ze sobą pragnienie, namiętność, miłość, ale ona tymczasem odwiedziła jakiś nieznany świat i teraz jego pocałunki zostawiały tylko wilgotne ślady i irytująco drażniły nagą skórę.

- Elisse? - szepnął. Nie odpowiedziała. Pomyślał, że śpi, więc tylko przytulił się do jej pleców i wkrótce jego oddech nabral regularnego, wolniejszego rytmu. Dopiero wtedy, nareszcie, dziwnie zniekształcone łzy spłynęły spod jej mocno zaciśniętych powiek.

Nowy ekspres o opływowych kształtach i srebrzystych żłobieniach, sugerujących szybki skok w przyszłość, przyciągał uwagę ludzi stłoczonych przy torze czternastym i tylko nieliczni podróżni zwracali uwagę na urządzającego głośną scenę Bena. Potykając się na schodach, gwałtownie objął matkę i wcisnął twarz w jej biały żakiet z piki. Objął ją w pasie mocnym, dramatycznym uściskiem. Nachyliła się i pocałowała jego wijące się kasztanowe włosy. Nie dała poznać po sobie bólu, jaki wywoływał w niej mocny uścisk syna - rozrywał jej brzuch i serce.

- Hej, Ben! Wiesz, że nazwali go Zefir?

- Jedź ze mną - wybełkotał.

- To ty jedziesz na wakacje do dziadków - przypomniała mu.

Była połowa sierpnia. Minęły dwa tygodnie od wieczoru, kiedy Dickson Keeley złożył jej wizytę. Posiłkując się podstępem, namową i telegrafem, zdołała w końcu zorganizować dzieciom „wakacje”. Wyjazd Toni i Bena odczuwała jak najwyższą ofiarę - oddawała na przechowanie część siebie, żeby przetrwać najgorsze czasy.

- Nie chcę jechać tym głupim pociągiem. Pociągi są dla mięczaków.

- Zgodziłeś się, żeby dziadek kupił ci bilet.

- To co? Chciałem zobaczyć, jak wygląda ekspres! Pan Kapłan oparł rękę na ramieniu wnuka.

- A co będzie z tymi duetami, które mieliśmy zagrać? Pani Kapłan podeszła bliżej.

- Przedziały w Zefirze są po prostu cudowne.

- Proszę wsiaaadaaaać!

Elisse przytuliła Bena, niezdecydowana, czy ma go moc-

niej przyciągnąć do siebie czy wepchnąć w bezpieczny korytarz rozedrganego pociągu.

Justin, który dotąd trzymał w ramionach córkę, postawił Ją ostrożnie na peronie. Przez moment krzywiła się, jakby za chwilę miała uderzyć w płacz, ale potem podreptała w białych butkach do babci i wyciągnęła rączkę po jej ukrytą w rękawiczce dłoń. Był to słodki gest zaufania, który chwycił Elisse za serce.

- Mam dla ciebie prezent na pożegnanie, Ben - powiedział Justin, kiedy oderwał syna od Elisse. - Chodź, popatrz tylko. - Odciągnął chłopca na bok.

- Nie wiem, co mu się stało - mruknęła Elisse do ojca. - Nigdy nie był maminsynkiem.

Kaplanowie wymienili nie zauważone przez córkę spojrzenia. Klękając przy małej i przytulając policzek do jej gładkiej, jedwabistej buzi, Elisse zastanawiała się, jak może powierzać swoje szczęście tej słodkiej, delikatnej kobiecie i nieco dziecinnemu, krępemu mężczyźnie w hollywoodzkich białych spodniach i granatowym blezerze.

- Kocham cię, moja maleńka - szepnęła Toni.

- Kocham cię, mamó - odpowiedziała dziewczynka i mocno zaplotła jej rączki na szyi.

Pasażerowie już wychylali się z okien i machali odprowadzającym na pożegnanie.

- Wsiadaaaać!

- Tata dał mi znaczek związku - oznajmił Ben zadziornym, opryskliwym tonem i nie patrząc na matkę pobiegł do pociągu.

Ostatnie uściski.

- Pilnujcie ich, tato... Mamó, pamiętaj, że Tonią nie może jeść truskawek. Pa, pa!

Rozległ się przeciągły, ostry gwizd i Zefir opuścił stację. Elisse, ocierając łzy jedną ręką i machając drugą, przypomniała sobie, co mówiła jej matka. Ich daleka kuzynka z Niemiec odesłała dwie małe córeczki do ciotki i wuja w Londynie. „Hitler - szeptała matka, z rozdzierającym westchnieniem - w Niemczech jest okropnie.”

Kiedy szli po pustoszejącym peronie, Justin ujął ją pod obnażony łokieć. Kiedyś jego dotyk wywoływał w niej fale podniecenia i przyjemności, ale teraz jedynie pogłębiał smutek, bo już nic podobnego nie czuła. Jestem jak drewniany kołek, myślała. Odsunęła się od męża.

Ranek był gorący i smutny. Słońce już prażyło. Opuścili szyby w samochodzie. Jadąc Fort Street mijali dużą fabrykę bębnow hamulcowych, Milford Dome, która stała na terenie dawnej fabryki mebli Stuarta. Tu właśnie Tom Bridger po raz pierwszy jeździł swym pierwszym benzynowym kwadrycy-klem. Tu Hugh stracił połowę anielskiej urody. Stąd pochodziły pieniądze, od których Justin dostawał odsetki.

- Harris niepokoi się o ciebie - zaczął Justin.

- Tata? - To pani Kapłan wiecznie powtarzała: „Kochanie, jesteś taka blada, przyjedź na krótkie wakacje do domu, a będziesz jak nowo narodzona”.

- Powiedział, że prosiłaś ich, żeby wzięli do siebie Bena i Tonię.

- Połączenie było fatalne. Nie pamiętam już, kto co powiedział.

- Nie rozumiem, Elisse. Nigdy nie rozstawaliśmy się z dziećmi nawet na weekend. A teraz uparłaś się, żeby wysłać je trzy i pół tysiąca kilometrów stąd.

- Zrywam z nadopiekuńczością. Nie ma przecież żadnego dramatu, kiedy dzieci jadą z wizytą do dziadków. Sam mówiłaś, że to dobry pomysł. Wyjechali z tego zakurzonego upału. - Co ja znów wymyślę, żeby zostali tam na jesień?

- Harris zastanawiał się, czy czasem nie jesteś w ciąży.

- Pogawędziliście sobie jak starzy kumple.

- A jesteś, Elisse?

- W dziesiątym miesiącu. Daj spokój, Justin!

- Dziwnie się zachowujesz od ostatnich dwóch tygodni. No i... przedtem nigdy mnie nie odtrącałaś.

Poczuła, że się czerwieni. Ucieszyła się, że ma na głowie niemodny kapelusz z męskim dużym rondem.

- Mam pewne damskie kłopoty. Spojrzał na nią zaniepokojony.

- Nie ma się czym martwić, byłam już u ginekologa.

- Nic mi nie mówiłaś.

- U niejakiego Irvinga Wienera.

- I co powiedział?

- Zapalenie szyjki macicy. Przykro mi, że musisz znosić tę niedogodność.

Usłyszała, jak Justin głośno przełyka ślinę. Zawstydzona swoim okrucieństwem, spojrzała przez okno. Widziała Guardian Building, wieżę Penobscota, Michigan Bank of Commerce Toma Bridgera i Ford Building, nie mający związ-

ku z Henrym Fordem. Błękitne niebo i słońce w połączeniu z dymem fabryk nadawało wiezowcom miasta teatralny wygląd nowoczesnego krajobrazu miejskiego rzuconego na płótno introligatorskie.

- Ale jestem świnia, że to powiedziałam.

- Napisz do rodziców. Niech wiedzą, że to nie ciąża.

- Justin, nie chciałam tego powiedzieć. Lewą ręką dotknął jej kolana. Rozgrzeszenie.

- A teraz powiedz mi, o co chodzi.

- O nic. Zapalenie ustępuje. Przybrałam kilogram, wedle rozkazu, i przysięgam, że będę już powściągać język. Nic złego się nie dzieje.

- Ostatnio wyglądasz tak... Tylko jedno słowo przychodzi mi do głowy... Tak, jakbyś się czegoś bała. Jesteś cały czas spięta. - Wjechali w bardziej zatłoczone ulice. Włączył niższy bieg. - Powinniśmy wrócić do domu. I zacząć wszystko od miejsca, w którym skończyliśmy.

- Po tym, co tu widzieliśmy?

- Niech diabli wezmą cały ten ZRRPA! Ty jesteś dla mnie ważniejsza.

- Przestań rozdierać szaty. To typowa kobieca dolegliwość. I już się cofa.

- Powiedziałaś, gdyby coś cię dręczyło?

- Wywierciłabym ci tym dziurę w brzuchu!

II

Justin szedł na drugą połowę zmiany. Kiedy odjechał do fabryki, Elisse zostawiła naczynia w zlewie i weszła do bawialni. Wyblakłe, powalane palcami tapety w musztardowym kolorze wpędzały ją w depresję. Podniosła jednouchego słonia, którego Tonią przed wyjściem upuściła na podłogę. Dzwoniąc do Mitcha, przytulała do siebie zabawkę. Obiecał, że jak tylko zamknie biuro, wsiądzie w pierwszy tramwaj.

Słyszając pukanie do drzwi, podskoczyła.

- Kto tam? - rzuciła drżącym głosem.

- To ja! Mitch.

Odsunęła zasuwę, przekręciła nowo wprawiony zamek i uchyliła drzwi, wciąż spięte metalowym łańcuchem.

Uspokoila się, widząc znajomą krępą sylwetkę.

Zaparzyła mu kawę i podsunęła cząstkę przekładanego masą ciasta.

- Resztki z kolacji - powiedziała lekko, ale na jej twarzy malowało się napięcie.
- Już za nimi tęsknisz?
- A co myślisz? - Napełniła mu filiżankę. - Mitch, czy możesz pożyczyć samochód?
- Po co?
- Potrzebny mi ktoś, kto mnie zawiezie do lekarza. Ściągnął grube brwi.
- Po to, co mam na myśli?

Jej twarz wyostrzyła się, źrenice rozszerzyły. Opierając ramiona na kuchennej ceracie w kratkę, ukryła głowę w dłoniach. Rozszlochała się głośno.

Mitch stanął za nią i masował jej barki.

- Biedactwo, moje biedactwo.

Wyprostowała się i wtuliła mokrą od łez twarz w jego spłowiałą niebieską koszulę z bawełny, która pachniała ostrym potem i szarym mydłem. Nie pozwoliła dotknąć się Justinowi, ale krępe ciało Mitcha nie wywoływało w niej żadnych bolesnych wspomnień pełnych poetyckiej delikatności początków uczucia ani reminiscencji spełnionej namiętności - niczego, co przypominałoby jej, że cielesne radości życia małżeńskiego umarły dla niej na zawsze. Po kilku minutach odsunęła się od Mitcha i wydmuchała nos.

- Znalazłaś przyzwoitego lekarza? - zapytał. - Nie wezmę cię do rzeźnika.

- To nie skrobanka.

- Kochanie?

- Wybieram się do doktora Weinerja w tym szarym budynku kliniki przy Griswold.

- Zaskakujesz mnie. Skoro to coś innego, dlaczego Justin nie może cię tam zabrać?

- To długa historia - odparła, znów siadając. Nie miała zamiaru mu się zwierzać, ale płacz zadziałał jak szklanka dżinu, nie była już tak skrępowana. Krusząc w palcach resztki czekoladowego ciasta, opowiedziała mu z grubsza o wizycie Keeleya, wyszeptła coś o podwójnym gwałcie

i o oparzeniu. Mitch przechylał głowę w jej stronę, łowiąc zdrowym uchem ciche zdania.

- Cholerny skurwysyn! Banda cholernych skurwysynów! -mrucał zachrypniętym z wściekłości głosem, jakiego nigdy wcześniej u niego nie słyszała.

- Oparzenie nie chce się goić. Dostałam jakąś maść, ale niewiele pomaga. Wczoraj dzwoniłam do niego i powiedział, że potrzebny jest zabieg. Dzięki Bogu, tata wetknął mi trochę grosza.
 - Justin będzie się musiał dowiedzieć, że jesteś w szpitalu.
 - Płakałam w słuchawkę i doktor Weiner zgodził się przeprowadzić zabieg w ambulatorium.
 - Teraz już rozumiem, dlaczego odesłałaś dzieci.
 - Nie mogłam ryzykować... Mitch popijał zimną kawę.
 - Powinnaś powiedzieć Justinowi.
 - Jakbym słyszała Keeleya! - wykrzyknęła. - Nie rozumiesz, Mitch? O to mu chodziło! Justin jest bratem „księżnej” Zoe, dlatego bał się go tknąć. Uznał, że go wystarczająco nastraszy, jeśli dobierze się do mnie.
 - Powinien cię zabrać do domu.
 - Co?!
 - Jeśli ty mu nie powiesz, ja zrobię to za ciebie.
 - Czy to mówi oddany sprawie działacz Shapiro? - Od czasu, kiedy w Book Cadillac wyznał jej nad rosołem, że jego beznadziejna miłość do niej popchnęła go w szeregi partyjne, a potem, zakłopotany do cna, odwołał wcześniejsze wyznanie, pytanie, czy ją kocha czy nie, wciąż niejasno wisiało w powietrzu. Tylko czy nie byłoby zbytnim zarozumiałstwem myśleć, że wciąż walczy z nieodwzajemnianą namiętnością?
 - To co innego pobić mężczyznę...
 - Jakoś przeżyłam.
 - Kochanie, wiem, że oddałabyś swoje serce...
 - Dajże spokój, Mitch! - Uderzyła pięścią w otwartą dłoń. - Jak możesz tak mówić? Zwłaszcza teraz, kiedy jesteśmy już tak blisko celu!
- Mitch nie spuszczał z niej wzroku. Jej twarz - wychudła i blada, z zaróżowionym od płaczu nosem, rozpalona wewnętrznym ogniem - oszałamiała go i rozczulała, wydawała mu się jeszcze piękniejsza niż miękka, gładka, opalona. Z westchnieniem skapitulował.
- Leo Jackson ma Piątkę.
 - Jestem umówiona na jutro, na dziesiątą rano.
 - A co powie Justin?
 - Przechodzi na drugą zmianę.

III

Elisse zagryzała dolną wargę, kiedy Mitch prowadził pożyczoną Piątkę, rozklekotanego starego gruchota z 1924 roku z niesprawną świecą zapłonową.

Przekrzykując głośnie kichanie gaźnika, zapytał:

- A co myślisz o Zawitskim? Elisse odpowiedziała bez namysłu:

- A co to za pytanie? - Niedźwiedziowaty wdowiec, po dwudziestu pięciu latach pracy w Onyksie stracił niedawno robotę. Ktoś z ochrony klepnął go w ramię, i koniec. Tego samego dnia jego syn dostał wiadomość, że otrzymał stypendium na studia. - Zawitsky to swój chłop.

- Przyszło mi na myśl, że Zawitsky mógłby zamieszkać w pokoju Bena, a ja w sypialni Toni. W ten sposób zawsze ktoś byłby z tobą w domu.

- Więc nie powiesz jednak Justinowi?

- Naprawdę myślałaś, że to zrobię?

- Byłeś nieswój. Nie widziałam cię takiego od czasu, kiedy Marta zarzuciła ci, że jesteś trockistą. - Błysnęła ładnym, przekornym uśmiechem. - Dziękuję, Mitch. - A potem zaplotła dłonie i umilkła.

Kiedy doktor Weiner wszedł do gabinetu, Elisse odezwała się z fotela ginekologicznego:

- Oto i jestem. Gotowa do saturnaliów. - Pozwoliła sobie na ten smętny dowcip, nawiązując do przypominającego togę prześcieradła, pod którym leżała.

Obła twarz lekarza nie zmieniła powściągliwego, wyniosłego wyrazu. Ten zabieg powinien się odbywać w szpitalu, gdzie można by zastosować międzykręgowe znieczulenie. Ale doktor Weiner musiał ostatnio uprawiać bardzo niedoskonałą medycynę. Leczył niedożywione, zniszczone kobiety - z których wiele zgłaszało się do niego z krwotokami po sfuszerowanych aborcjach - i ukrywał swą trwożę pod maską profesjonalizmu. Nie pytał Elisse, skąd wzięło się to straszne oparzenie, a nie zrobił tego z prostego powodu, że nie znajdował już w sobie współczucia, którym mógłby obdarzyć pacjentki. Zerknął na żyłastą pielęgniarkę, uciekinierkę z Niemiec. Włożyła mu gumowe rękawiczki.

Elisse patrzyła przez otwarte okno na szaleńczo błękitne niebo i starała się o niczym nie myśleć, żeby pigułki przeciwbólowe zaczęły działać jak naszybciej. Obrazy skakały

jej po głowie, zdecydowane i wyraziste, niczym rysunki z komiksów. Widziała ojca w studiu razem z Benem. Grali w duecie. Justina, który ją trzymał za rękę na jednym z filmów z Gretą Garbo. Tylko na którym? Leżała na plaży w Santa Monica i wystawiała plecy do słońca. Gdzieś w sąsiedztwie, w wysokim budynku, grało radio. A może też jej się tylko zdawało? Szkolony tenor śpiewał. „Z dali, z odległego kraju...”

Lekarz mruknął coś do pielęgniarki, która odpowiedziała mu zachrypniętym szeptem. Rozległ się syk sterylizatora, szcęk narzędzi.

A potem się zaczęło. Ból roztopiał się w niej jak lód i sączył przez rozedrgane palce rąk i nóg.

„U brzęgów modrego ruczaju...”

Środek odurzający powinien przecież wytłumić ten ból! Oddychała głęboko, głośno. Ale nie krzyczała. Słuchała.

„Co to za wieże, dachy...?”

Odwieczny, nie kończący się, lodowaty ból był zawsze częścią jej istnienia. „Z dali, z odległego kraju...” Ból!

IV

Hugh i Caryll zakopali topór wojenny i sprzymierzyli siły we wspólnej walce o to, by Tom wprowadził podwójne zatrudnienie we wszystkich zakładach Woodland. Hugh gonił za reklamą, żeby zwiększyć sprzedaż nowych modeli, a Caryll odebrał już trzy telefony z Waszyngtonu, w których Roosevelt czarował go swym dowcipem i wdziękiem i namawiał na więcej. Tom jednak, tak samo jak przedtem, nienawidził cienkich wypłat, co więcej, doszedł do wniosku, że takie działanie stawia kolejne barykady między nim a Justinem. Hugh i Caryll argumentowali logicznie, że z powodu tego manewru na terenie fabryki Woodland nie odnotowano więcej niepokoju niż w innych konkurencyjnych zakładach produkcyjnych, nie objętych rooseveltowskim programem. Produkcja opon stała się wydajniejsza (majstrowie i strach poganiali robotników) więc dlaczego by dalej nie działać patriotycznie? Z najwyższą niechęcią Tom w końcu im uległ. Pierwszego września podwójny tydzień zatrudnienia wprowadzono z zakładzie produkcji akumulatorów.

Cztery wiszące sześćdziesięciowatowe żarówki oświetlały główne pomieszczenie siedziby związku, które mimo późnej pory - dochodziła jedenasta w nocy - było wciąż pełne gwaru i ludzi. Elisse, z narzuconym pogodnym wyrazem twarzy, siedziała za kulawym biurkiem na krześle z poduszką i podsuwała do podpisu ostatnie karty członkostwa; kończyła się już długa kolejka robotników, głównie z zakładu akumulatorów. Mężczyźni w grupkach rozmawiali o ZRRPA. W rogu, zbite w ciasną kupkę, siedziały trzy kobiety, ściskając torebki na kolanach. Wśród nich była też wysoka Klara Jannings, dawna nauczycielka o wydatnym biuście, która namówiła wiele swoich koleżanek do wstąpienia do związku.

Elisse włożyła ostatniego naddartego dolara do metalowej kasetki i spojrzała na Justina. Wszedł na skrzynkę po pomarańczach. Głosy ucichły. Zapiszczały rozkładane krzesła ustawiane rzędami przed Justinem. Tu nie obowiązywała ustawa Roberta o porządku publicznym. Justin wciągnął dawno przyjętych i świeżo upieczonych związkowców do dyskusji na temat celów ZRRPA. Mówiono o zabezpieczeniu przyzwoitych warunków pracy. O emeryturach. O zlikwidowaniu ochrony. O wyrzuceniu nieludzkich majstrów i o powrocie do pełnego dnia pracy, bo tylko pełny wymiar godzin w fabryce daje szansę na utrzymanie rodziny.

- Jak długo jeszcze będziemy to znosić? - zapytał chudy mechanik rozszłoszczonym głosem. - Kiedy wreszcie pokażemy tym sukinsynom?

- No właśnie. Może by tak zrobić jakiś strajk? - Zawtórował ktoś.

- Mamy sześć tysięcy ludzi. I to już jest coś - odparł Justin. - Ale i wy wiecie, i ja wiem, że jeśli jutro wyjdziemy z fabryki wszyscy jak jeden mąż, zabraknie miejsca na parkingach dla tych, którzy przyjdą po naszą robotę.

- Skoro świat jest pełen łobuzów, to po co ten związek?

- Prawda! Po co nam to wszystko, skoro nie możemy ich przyprzeć do muru?

- Jest inna forma strajku - powiedział Justin cicho. - Taki strajk, kiedy ludzie nie wychodzą za bramę. Zostają w środku. Strajk okupacyjny.

Potężny spawacz wstał i zapytał:

- A co z szefem? Co on zrobi? Nie wyśle nas wszystkich na bruk?

- W takiej sytuacji kierownictwo fabryki staje przed pewnym problemem. Wyrzucenie wszystkich za bramę naraziłoby cenny sprzęt na zniszczenie.

Po krótkiej ciszy mężczyźni zaczęli kiwać głowami.

- Tak! Tak!

- Profesorze, opowiedz nam o tym.

Justin wyjaśnił, że strajki okupacyjne były przeprowadzane w Europie przed wielką wojną.

- No więc zagramy tak jak w Europie i zostaniemy w fabryce, aż nas wezmą głodem. I co? - rzucił spawacz z goryczą. - I tak będą bez nas dalej tłuc te swoje samochody.

- Nie będą. Na tym polega ten manewr - odparł Justin. - Woodland jest precyzyjnie działającym mechanizmem.

Produkcja kolejnych części jest ze sobą ściśle związana. Jeśli, powiedzmy, stanie robota na wydziałach wulkanizacji i akumulatorów, nie będą mogli poskładać samochodów.

- Tak jest! Z przestojami nie będzie produkcji!

- Jak to się nazywa, Profesorze?

- Strajk okupacyjny.

v

Raz w tygodniu jeździła do miasta tramwajem na badania kontrolne do milczącego doktora Weinerja. W ostatni piątek września, po oczyszczeniu operowanego miejsca lodowatym środkiem odkażającym, powiedział:

- Wygojone.

- To wielkie przemówienie, jak na pana, doktorze.

- Może pani znowu spać z mężem.

Stały, ciągnący ból nie opuszczał jej ani na chwilę. Ciało przy szwach było nadwrażliwe, napięte, wzdęte jak balon. Na jej wyobrażenia namiętnej miłości nakładały się obrazy gwałtu, krwotoku, rozpulchnionego, zmacerowanego ciała, czerwone bagno... Ogromnie potrzebowała słów otuchy, ale spojrzała w zamkniętą, pozbawioną wyrazu, surową twarz lekarza i nie mogła się zdobyć na żadne pytania.

Oszołomiona wyszła na wilgotne, zatłoczone ulice i bezwiednie skierowała kroki do pobliskiego domu towarowego Hudsona, by znaleźć ukojenie pośród mnogości zabawek. Epidemia polio w Detroit stanowiła dobry pretekst, żeby przedłużyć pobyt dzieci w Kalifornii. Elisse strasznie za nimi tęskniła i teraz, żeby złapać równowagę po wizycie

u doktora Weinerja, postanowiła wybrać dla dzieci zabawki, na które w żadnym wypadku nie mogła sobie pozwolić. Czuli, że drżą jej kolana. Przysiadła na tapicerowanym stolku. Za szklanym kontuarem wyłożono zabawki, od których kręciło się w głowie. Była tam też duża lalka udająca Shirley Tempie, ubrana w białe futro i futrzany beret. Elisse bezmyślnie odwróciła metkę. Pięćdziesiąt dolarów!

Jakiś mężczyzna podszedł, żeby przyjrzeć się lalce. Miał ze trzydzieści kilka lat, łysiejące skronie, okrągłą twarz i delikatnie zarysowany podbródek. Kogoś jej przypominał, ale jego dyskretne ubranie pochodziło od najlepszych krawców, a Elisse nie знаła w Detroit nikogo z wyższych sfer.

Zauważył, że patrzy na niego, i pośpieszył z wyjaśnieniem:

- Mam trzy dziewczynki.

- A ja jedną. O, taką... - odparła.

Starszawa sprzedawczyni podeszła do nich z uśmiechem.

- Prawda, że śliczna, panie Bridger? Dostaliśmy ją wczoraj. To są prawdziwe ludzkie włosy. Ma jeszcze walizkę pełną ubrań. Czy chciałby pan, żebym dopisała ją do rachunku?

- Mmm... Clarice ma zupełnego bzika na punkcie Shirley Tempie. Tak. Proszę przesłać ją do domu z innymi rzeczami.

- Naturalnie, panie Bridger.

Namolne powtarzanie tego nazwiska odkryło tożsamość mężczyzny. A jednak suchy ból, który Elisse odczuła w piersi, nie miał nic wspólnego z nienawiścią do Bridgerów ani też z oburzeniem, że ten oto mężczyzna lekką ręką wydaje kwotę, na którą wulkanizator, wypruwając z siebie flaki, musi harować dwa i pół tygodnia. Dopiero po kilku odmierzonych dławiącymi oddechami chwilach uświadomiła sobie, że to zazdrość. Obezwładniająca, sycząca zazdrość. Carylla stać na zakup takiej lalki, podczas gdy Justin nie może sobie pozwolić na żadną zabawkę w tym sklepie!

Kiedy sprzedawczyni odeszła z lalką, Caryll Bridger zwrócił się do Elisse:

- Pani chyba nie chciała jej kupić, prawda?

Czy zadając to uprzejme pytanie, nie chciał przez to powiedzieć: „Panią na to nie stać”?

Umarłaby. Raczej by umarła, niż by miała przyznać, że Justin jest gorszy od Carylla.

- Nie. Kupuję to - odparła wojowniczo jak Ben i nagłym

ruchem chwyciła kłapouchego, niebieskiego pieska. - Jestem Clisse Hutchinson.

- Żona Justina! Co za spotkanie!

- Mówił pana żonie, że jesteście w Detroit. Chciał ją zobaczyć.

- Wiem... Ale sama pani rozumie... Rodzina, obowiązki...

- I szwagierka Żydówka na okrasę?

Spurpurowiał, na jego szyi pokazały się napięte ścięgna.

- To nie ma nic do rzeczy.

Przecież to jedyny człowiek w tej rodzinie, który utrzymuje kontakt z Justinem, przypomniawszy sobie. Złość w niej wygasła, choć zazdrość - ta zwariowana zazdrość - nadal mocno kłuła.

- Nie chciałam się tak unieść, panie Bridger.

- Caryll - poprawił. - Bardzo mi przykro, że nie doszło do spotkania nas wszystkich. Naprawdę nie chodzi o pani wyznanie. Czuję się okropnie, że mogła pani tak to zinterpretować. Chodzi o to, że moja żona... tak bardzo zapatrzo-
na była w J...J...Justina, że nie zaak...k...ceptowałyby żadnej kobiety. - Wyciągnął rękę po niebieskiego pieska, którego trzymała pod pachą. - Proszę pozwolić, że kupię to waszej c...c...córeczce.

Wyrzuty sumienia? Łaska dla ubogich?

- Nie wygłupiaj się! - rzuciła. Wróciła siwowłosa sprzedawczyni. Elisse cisnęła zabawkę na ladę. - Biorę to.

W czasie, kiedy Elisse kupowała zabawkę, Caryll obnażał zęby w uprzejmym, pojednawczym uśmiechu. Kiedy sprzedawczyni wreszcie podała nad ladą papierową torbę ozdobioną wykaligrafowaną nazwą sklepu, Caryll zwrócił się do Elisse:

- Może masz trochę czasu na filiżankę kawy? Spojrzała w jego okrągłą twarz i zobaczyła w niej niemą prośbę, która wzruszyła jej serce.

- Marzę o kawie.

Wysoka sala pustoszała już po wychodzących po lunchu gościach. Kelnerka powiodła Carylla i Elisse do cichego kąciaka. Elisse zrzuciła żakiet, żeby lepiej zaprezentować ładną różową bluzkę z żabotem, którą dostała od rodziców w czasie ich krótkiego pobytu w Detroit. Zirytowała ją zarówno własna próżność, jak i potrzeba udowodnienia Caryllowi, że Justinowi świetnie się powodzi. Czy można by wymyślić coś bardziej absurdalnego? Co chciała właściwie

wykazać? Że mieszkają w Detroit z powodu olśniewających warunków? Kelnerka podjechała z wózkiem z ciastkami.

- Proszę bardzo. Wybierz - namawiał Caryll.

- Ekierka wygląda ładnie - przyznała.

Pokrzepiona cukrem i kofeiną usiłowała go przekonać, że nie wyszła za nędzarza, a za człowieka światowego. Nawet w jej uszach te zapewnienia brzmiały sztucznie, nienaturalnie, a mimo to Caryll uśmiechał się i głośno chichotał.

- Mój szwagier ma dużo szczęścia - podsumował.

- A ja nie jestem czasem łamistrajkiem, że tak się bratam z wielkim kapitałem? - Co za uwaga! Przesadny żart.

- Nawet podczas wojny dochodzi do zawieszenia broni. - Uśmiechnął się.

- A to jest niewątpliwie neutralne terytorium. - Ogarnęła wzrokiem eleganckich ludzi, którzy po zakupach wpadali tu na kawę.

- To prawda - przyznał. - Ale źle mnie zrozumiałaś, Elisse. Jestem całym sercem za związkiem.

Poczuła skurcz w brzuchu, przypominając sobie palone nad jej głową cygaro.

- Nigdy bym na to nie wpadła. Przypuszczam, że ludzie ochrony to też tylko zjawa.

Poczerwieniał.

- Mój ojciec zawsze wyznawał dwie zasady. Onyx płaci najwyższe stawki i nikt się nie miesza do prowadzenia fabryki.

- Ktoś musi. On nie ma nawet pojęcia, jak to jest, pracować w tak maksymalnie wyśrubowanym tempie.

- Elisse, nie rozmawiamy tu o jakimś bankierze czy finansistcie z Nowego Jorku. Tata z początku był biedny jak mysz kościelna i zaczynał jako zwykły robotnik. Urodził się na farmie w Dakocie Północnej, tak oddalonej od ludzi, że moja babka nie wytrzymała i popełniła samobójstwo. Dziadek zmarł na zapalenie wyrostka robaczkowego, bo żaden lekarz nie chciał jechać pięćdziesiąt mil, żeby go obejrzyć. Przypuszczam, że główną siłą napędową ojca była chęć ucieczki od takiej izolacji. Jako chłopiec pracował trzynaście, czternaście godzin na dobę przy spinaniu bali drewnianych, od czego pękał mu krzyż. Potem wracał do siebie i myślał nad swoim wynalazkiem. Zbudował pierwszy automobil, kiedy nikomu w Detroit jeszcze się o tym nie śniło.

Odmówił konstruowania drogiej maszyny, co robili inni, bo nie chciał budować tylko dla bogatych. Stał na głowie, żeby uruchomić produkcję Piątki.

- Nigdy nie odmawiałam mu wielkości. Ale od roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego piątego minęło już czterdzieści lat.

- Nie obwiniaj ojca o kryzys. Stracił na nim majątek.

- Po prostu nie wiecie, co się dzieje w Woodland. Trzeba na to spojrzeć od dołu. Ludzie usychają, głuchną, mają stargane nerwy. To ciężka, straszna praca. Boże, jak ciężka! Tempo jest mordercze. W dodatku wszyscy bez przerwy się martwią, czy nie zostaną wylani. Bez względu na to, ile lat przepracowali dla Onyxa, mogą wylecieć na bruk w każdej chwili. Wasza ochrona jest gorsza od niemieckiego gestapo.

Westchnął.

- Wiem, że jest fatalnie. Wiem, Elisse. Ale powiedz mi tak zupełnie uczciwie, czy życie jest łatwiejsze u Forda czy u Hudsona? Czy w ogóle gdziekolwiek indziej?

- Spróbuj utrzymać rodzinę z płacy za dwadzieścia godzin tygodniowo.

Uszy Carylla poczerwieniały i zaczął się bawić łyżeczką.

- To moja wina. To przeze mnie. Największym problemem kraju jest dzisiaj bezrobocie. To ja namówiłem ojca, żeby wprowadził tydzień podwójnego zatrudnienia.

- A zatem tobie składam wielkie dzięki. To ty zbudowałaś ZRRPA.

Caryll odłożył łyżeczkę.

- Dlaczego nie wybraliście sobie innej fabryki? Tata bardziej niż inni przemysłowcy broni związkowi wejścia na teren zakładów. Uważa, że dba o swoich ludzi najlepiej ze wszystkich...

- Dobre sobie!

- ...i prędzej stanie na głowie, zanim pozwoli, żeby jakiś robotnik wydawał w Onyksie rozkazy.

- My nie żartujemy.

- Nie macie żadnych szans.

- Porozmawiajmy o tym, w jakich nastrojach są robotnicy na wulkanizacji i akumulatorach, kiedy nie mogą wykarmić dzieci, które się gnieźdzą w jednoizbowych norach! Porozmawiajmy o tym, jak wszyscy w Onyksie umierają ze strachu na myśl, że za chwilę dotknie ich ten sam los! Porozmawiajmy o wszystkich członkach naszego związku!

- Elisse, tatę nie zawsze łatwo jest zrozumieć, ale mnie możesz uwierzyć. Póki on żyje, nie będzie żadnego związku w Onyksie. - W głosie Carylla brzmiała niezachwiana pewność. W świetnie skrojonym garniturze robił wrażenie czło wieka, który rządzi światem i jest straszliwie bogaty, bogaty do zawrotu głowy. Zjednoczone szeregi kapitalistów...

Energia nagle ją opuściła. Poczowała, że jest jej słabo i wszystko wiruje przed oczami, jak wtedy, gdy wychodziła po wizycie u doktora Weinerja.

- Po co o tym dyskutować? Jesteśmy po dwóch stronach barykady i krzyczymy do siebie ze szczytów odległych gór.

- Kroiła ostatnie kawałki ekierki. - Nic mi jeszcze nie powiedziałaś o Petrze.

Uśmiechnął się. Czy ktoś, kto ma takie łagodne spojrzenie szarych oczu, może być krwiopiczym kapitalistą?

Opowie dział jej o swojej najmłodszej córce. Kiedy podawał jej zakiet, wyjąkał:

- Zoe... No, cóż, Zoe to Zoe. Nie ma mowy o żadnych odwiedzinach. Ale Justin zawsze będzie moim najlepszym przyjacielem. A teraz już i my jesteśmy przyjaciółmi, pra wda? Gdybyś kiedykolwiek czegoś potrzebowała, zadzwoń do mnie, Elisse.

Kiwnęła głową.

- Mówię poważnie. Jestem po waszej stronie.

- Nie mam do ciebie pretensji, Caryll - odparła i wykrze sawszy z siebie nieco ożywienia, cmoknęła go w policzek pachnący drogą wodą toaletową.

- Hej, hej, zapomniałaś zabrać zabawkę.

Kiedy wzięła do ręki lekką, wydętą papierową torbę, poczuła, że znów musi usiąść. Panika mąciła jej myśli. Co najlepszego zrobiła? Wydała pieniądze przeznaczone na życie i za całe trzy dolary kupiła zabawkę, tylko po to, żeby zrobić wrażenie na spadkobiercy największego jednoosobowo zarządzanego imperium na świecie, ot co! Nie da się jeść ani dumy, ani pluszowych piesków. Teraz czworo dorosłych ludzi będzie musiało się żywić fasolą i puszką pomidorów do następnego dnia wypłaty, a to dopiero w przyszłym tygodniu!

Wymyśliła pretekst, że musi na chwilę wstąpić jeszcze do toalety i poczekała, aż Caryll zniknie w windzie. Potem pobiegnęła do następnej i zjechała na piętro z działem zabawkarskim.

Siwowłosa ekspedientka odmówiła zwrotu pieniędzy.

- Ta zabawka była już przeceniana, proszę pani.

- Skąd miałam wiedzieć?

- Proszę. Widzi pani na metce? „Towar przeceniony. Nie podlega zwrotowi.”

- Nie chcę, żeby moje dziecko dostało jakiegoś przecenionego bubla! - Elisse podniosła drżącą dłoń do czoła.

Widziała jak przez mgłę, że ekspedientka wzywa chudą kobietę z zaplecza, prawdopodobnie kierowniczkę działu.

Obie schyliły głowy i co jakiś czas zerkały w jej stronę. Zdawało jej się, że słyszy nazwisko „Bridger”. Sprzedawczyni wróciła ze złożonymi banknotami i kilkoma monetami.

Elisse uciekła wyjściem awaryjnym.

Oparła się o zimną jak lód metalową poręcz schodów i zwinięta wpół, płakała. Co stało się z drobną, energiczną i bystrą Elisse Hutchinson, że odesłała dzieci do rodziców, urządza sceny w sklepie i unika jak ognia pełnego słodczy uścisku męża?

I

w połowie października lord Montgomery Edge doznał zawału serca i Edwina zakończyła wysyłany do Detroit telegram, mrozącymi krew słowami: LEKARZE NIE DAJĄ NA DZIEL

Tom natchmiast zarezerwował sobie bilet.

Kiedy znalazł się w Londynie, ozdobiona od frontu kołu mnami miejska rezydencja Edge'a tętniła gwarem.

Monty w pikowanym szlafroku rozprawiał z grupkami mężczyzn związanych z produkcją i sprzedażą małego, zgrabnego czterocylindrowego Onyxa, nazywanego Euro pean Tiny Onyx. Monty był nie tylko pełnomocnikiem Toma w Wielkiej Brytanii, ale kontrolował też fabryki Onyxa we Francji, Hiszpanii, Belgii, Holandii, Szwecji, Norwegii, Austrii, Turcji i we Włoszech. Poza tym był szefem dealerów Onyxa od Morza Śródziemnego aż po Koło Polarne.

Tom nie ukrywał ulgi, widząc przyjaciela w tak dobrej formie. Po wstydlwym, wzruszającym męskim uścisku na powitanie, powiedział:

- Odpocznij trochę. Stań na nogi. Ja tymczasem przejmę na chwilę ster.

- Staruszk, mam niezłomny zamiar jutro pokazać się w biurze!

- Wystraszyliście mnie nie na żarty, ty i to twoje płatające figle serce. Masz odpoczywać. To polecenie służbowe!

Uśmiechnęli się do siebie.

Tom harował jak wół cały tydzień w imponującym, starym budynku przy St Paul's Cathedral, który nazywano już Onyx House. W następnym tygodniu w poniedziałek, Edge poka zał się w City wypoczęty i z wyrazem determinacji na czerwonawej twarzy.

Nie było już powodu, żeby Tom zostawał dłużej w Londy-

nie. Później zastanawiał się, po co w ogóle się tak szastał. Jednak w czasie pobytu w Londynie krzepiły go wspomnienia lat spędzonych z Antonią, mniej dręczyły go wyrzuty sumienia spowodowane odejściem Justina, mniej bolał nad tym, że wcale nie widział swych wnuków. To „wcale” niezupełnie odpowiadało prawdzie, często bowiem przejeżdżał obok brzydkiego domku Justina i raz nawet nagrodzony został widokiem żwawego chłopca, który rzucał scyzorykiem w pożółkłe kępki trawy - chłopiec miał gniewny, zawzięty wyraz twarzy. Przykuło to uwagę Toma. Płatał się jeszcze trochę po Londynie i zarezerwował sobie bilet na powrót dopiero na koniec listopada. Kiedy wysiadł na brzeg w Ameryce, gazeciarze w dokach Hobokena sprzedawali dodatek nadzwyczajny:
ROBOTNICY PRZEJĘLI FABRYKĘ ONYXA.

II

Podczas nieobecności Toma Caryll z niechęcią zajął miejsce ojca. Bez końca zastanawiał się, jak rozwiązać kolejny problem, żeby się podobało Tomowi. W zastępstwie ojca prowadził „Godzinę rodziny Onyxa” i wiernie wygłaszał jego poglądy, przekazując słuchaczom jego wiarę w mobilizującą gospodarkę rolę tanich samochodów, wysokich płac i masowej produkcji. Siadał też na przydzielonym miejscu Toma przy dużym okrągłym stole w stołówce dla kierownictwa.

Tydzień po wyjeździe Toma Dickson Keeley zauważył:

- Od dwóch lat nie prowadziliśmy już badań tempa pracy w fabryce.

Caryll nie przerywał krojenia pieczonego udźca z jagnięcia. Jego dawna niechęć do Keeleya wzmogła się znacznie od czasu, kiedy Zoe pozwoliła sobie zniknąć z nim na przyjęciu; nie mógł w ogóle na niego patrzeć.

- Co o tym myślisz, wujku Olafie?

- Mhm. Dojrzeliliśmy do tego. - Sztuczna szczeka Olafa wzmocniała jego norweski akcent. - Rozmawialiśmy już o tym z Tomem.

Caryll skinął Keeleyowi głową.

- Zaczynajcie.

Tego samego popołudnia dwójki mężczyzn - młody buhaj, który miał ustalać tempo pracy, i mechanik ze stoperem w ręku - rozproszyły się po całym Woodland. Młodzieniec

pracował przy danej robocie przez trzy dni i średnia tempa jego pracy ustalała nową normę. Ponieważ młodzieńcy ci byli zdrowymi, atletycznie zbudowanymi mężczyznami, którzy za wszelką cenę chcieli wykazać się krzepą, zasuwali jak opętani, a że przy tym należeli do ochrony, majstrowie nie śmieli utyskiwać, kiedy któryś z nich zapomniał tu czy ówdzie zrobić odwiertu, przyspawać czegoś, dokręcić czy zrobić dziurki w części, która szybko odjeżdżała na taśmie. Widok młodego byczka, który z twarzą nabiegłą krwią uwijał się przy taśmie, doprowadzał robotników do szału. Przecież to pokazowe tempo zostanie zatwierdzone jako norma pracy! Takiej wydajności majstrowie będą od nich oczekiwać już zawsze, w dodatku bez żadnych fuszerek.

Za plecami par osiłków i mechaników ze stoperami rozhulały się złowieszcze plotki: „tydzień podwójnego zatrudnienia” zdał egzamin i szef postanowił w całym Woodland przejść na zmiany czterogodzinne, w czasie których robotnik będzie miał - dzięki przyśpieszonemu tempu - wykonać normę, która teraz obowiązywała w ciągu sześciu godzin. Co oznaczało - a w każdym razie taką wiadomość przekazywali sobie szeptem przestraszeni mężczyźni - że co trzeci robotnik straci pracę. Perspektywa zmniejszenia płac i wprowadzenie zabójczego tempa przy taśmie była przerażająca, ale to, co mroziło im krew w żyłach, to wizja, że zostaną zwolnieni.

Robotnicy wszystkich zakładów Woodland wlewali się szeroką falą przez tylne metalowe drzwi siedziby związku. W większości przypadków stawali się jego anonimowymi członkami, co oznaczało, że nie podpisywali kart przynależności, ale płacili składki i gotowi byli poprzeć działania ZRRPA.

III

Leżał na niej, serce waliło mu jak oszalałe, w rozgrzanych uszach pulsowała krew. Znalazł zaspokojenie, ale nie czuł tej dawnej triumfalnej radości, bo wiedział, że chciała tylko sprawić mu przyjemność - by nie powiedzieć: jakoś z trudem go znosiła. Wiedział, że jej westchnienia wywołane były tylko szybkim rytmem jego ciała.

Zapalił lampę. W świetle żarówki ujrzał twarz niemal tak białą, jak poszewka poduszki.

- Co się dzieje? - wyszeptał. Ściany były cienkie, a Mitch i Zawitsky może jeszcze nie spali.

- Sam mi to powiedz - wymruczała.

- Sprawiam ci ból?

Jej rzęsy opadły na policzki, pokręciła głową.

- Chodzi o dzieci? Denerwujesz się, że wciąż są poza domem?

- Naprawdę było mi dobrze, Justin.

- Najróżniejsze rzeczy przychodziły mi już do głowy. Twoja choroba. I to, że pracujesz za ciężko, o wiele za ciężko...

Przerwała mu, przyciągając jego głowę do siebie.

- Jeśli to mają być komplementy po zbliżeniu, to lepiej sobie daruj - szepnęła mu do ucha.

Chciał jej powiedzieć, jak bardzo się czuje odepchnięty, jak bardzo go to zasmuca, jak brakuje mu tej iskry, dzięki której Elisse obracała jego najzwyczajniejszy dotyk w przeżycie erotyczne. Ale wydawało mu się, że wszelkie wyjaśnienia zabrzmiały jak oskarżenie albo przyznanie się -w dodatku fałszywe - rozkochanego w żonie męża do niepowodzeń jego pragnień. Znow uniósł się na łokciu.

- Musimy wyjechać z tego okropnego miasta.

- Dlatego, że nie miałam orgazmu?

- Odkąd twój lekarz powiedział, że już można, kochaliśmy się trzy razy.

Wywróciła oczami z udawanym, kpiącym niedowierzaniem.

- Za każdym razem tak samo. Jak Pan Bóg przykazał - nie poddawał się.

- Ho! Ho! A nam się marzą przygody? Zacisnął usta.

- Jest ktoś inny?

- Och, Justin. - Westchnęła. - Przy tobie każdy mężczyzna wygląda jak Quasimodo.

- Więc o co chodzi, najdroższa? Odwróciła głowę.

- Od czasu zapalenia szyjki z początku trochę mnie boli. - Zamknęła oczy. - Nie zwracaj na to uwagi. Dobrze? - Jej szept zadrżał w powietrzu. Błagalnie ścisnęła jego dłoń.

Ucałował jej włosy.

- Chyba za bardzo cię kocham, ot co.

- Kocham cię dokładnie tak samo.

Zgasił lampę, a Elisse przywarła do niego mocno. Pocie szło go to, ale i tak nie mógł się pozbyć wrażenia, że ich miłość ostatnio stała się zabiedzonym, okaleczonym stwo rzonkiem.

IV

Elisse potrzebny był samochód, żeby przywieźć panie zrzeszone w stowarzyszeniu na zajęcia szycia, więc Justin, który teraz pracował na zmianie od szóstej do dziesiątej, wsiadł do tramwaju. Nie otrząsnął się jeszcze z nocnej melancholii i kiwając się wraz z tłumem gęsto stłoczonych mężczyzn w cuchnących ubraniach, czuł, że przepełnia go zimowy smutek. Był grudzień. Minał niemal rok, od kiedy Mitch pokazał mu listy z Detroit. Rok temu całował dzieci na dobranoc, rok temu Elisse nie uciekała z jego ramion z błyskiem przestrochu w oczach, rok temu żył w świecie utraconego szczęścia. Bez względu na to, czy związek mnie potrzebuje, bez względu na protesty Elisse musimy wrócić do domu.

Przy fabryce tramwaj stawał aż pięć razy. Justin wysiadł na ostatnim przystanku, podobnie jak reszta pasażerów. Wszyscy skierowali się do kładki. Stąd rozciągał się widok na olbrzymie oświetlone tereny zakładów. Szczyty pieców hutniczych czerwieniały na tle pędzących ciemnych chmur, nie kończące się szeregi okien rzucały żółte światło na zaśnieżone płace. Justin przystanął, przywołując w pamięci obraz Toma krążącego wokół stołu w tej samej, tylko pomniejszonej do rozmiarów modelu scenerii. Wygląda jak Bóg, myślał wtedy, mając szesnaście lat. Teraz też wciąż odczuwał ten podziw dla Toma-giganta. Jak to możliwe, że jeden człowiek ogarniał umysłem rzecz aż tak wielką?

Później, jako jeden z wyrobników, liliputów, zszedł po metalowych stopniach.

Mężczyzna przed nim miał jakieś kłopoty z odbiciem karty zegarowej. To Coleman, członek ZRRPA.

W szatni Justin powiesił swoją kurtkę obok kurtki Colemana. Mierzyli tyle samo, ale Coleman był o wiele szczuplejszy; wyglądał jak wyrostek ledwie po dwudziestce. Kiedy ściągnął czapkę z nausznikami, zmierzwione jasne włosy, duże uszy i błądy meszek na policzkach sprawiły, że wydał się jeszcze młodszy. W tym roku farma jego rodziców w za-

chodniej Wirginii poszła pod młotek i jego staruszkowie przyjechali do Detroit, żeby gnieździć się w ciasnej norze z Colemanem, nieśmiałą, ciemnowłosą synową i dwójką małych dzieci. Niemowlę chorowało na szkarlatynę. Justin wypłacił Colemanowi pożyczkę z kasy na opłacenie lekarza.

- Jak twój mały? - zapytał, nie poruszając ustami. Ochroniarz w okularach stał oparty o umywalkę i w notesie zapisywał numery gadających.

- Kiepsko - odparł Coleman kącikiem ust. Ręce mu drżały, gdy wieszał robiony na drutach szalik.

Razem weszli do tętniącego hałasem i szczękiem budynku zakładu wulkanizacji. Nie mogło być najmniejszego przestoju w pracy maszyn, więc na ostry dźwięk gwizdka nowa zmiana mężczyzn zajęła stanowiska, gdy tymczasem robotnicy wcześniejszej zmiany, przepoceni i pijani ze zmęczenia, jednocześnie zeszli z posterunków.

Justin pracował jak oszalały. Jego dłonie tańczyły wokół wirującego bębna, kiedy nakładał ukośnie pas ogumowa-nego materiału i zaginał brzegi kolejnych, dokładanych warstw. Pomocnik wciąż donosił mu świeży materiał. Kiedy opona już była gotowa, Justin zdejmował duży płaski cylinder z bębna i unosił ciężar w górę, żeby zawiesić go na haku, który podzwaniał na taśmie ponad jego głową. Jednym ruchem odwracał się znów do maszyny. Ogłuszony szumem przesuwającej się taśmy, wizgiem bębna i klekotem silnika, nie słyszał kroków ochroniarzy, ale wiedział, że wciąż jest pod obstrzałem patroli.

Kątem oka zauważył, że majster wstaje-zza biurka. Niski i wredny, stanął za Colemanem. Ten, żeby utrzymać tempo, miotał się jak tonący i upuścił pasek gumowanego materiału.

Krępe ramię majstra wystrzeliło w górę. Czekający zmiennik stanął przy maszynie.

Jedyny żywiciel czworga dorosłych i dwójki dzieci został wylany z roboty za to, że raz upuścił skrawek gumy.

Justin widział, jak Coleman usiłuje coś mówić, jak przy błagalnych prośbach drgają mu wystające obojczyki.

Podeszło dwóch ochroniarzy, wąsaty wykręcił mu ramiona do tyłu, a drugi uniósł lewe kolano i trafił nim w chłopięce krocze Colemana.

Justin poczuł, że z wściekłości pęcznieje w nim każda komórka, czerwona ciemność zaćmiła mu wzrok. Ode-

rwał ręce od maszyny. Wyprostował się. Nie ocierając nawet potu, który zalewał oczy, podszedł do głównego wyłącznika na hali.

Chwycił stalową rączkę i z całej siły pociągnął.

Bezruch.

Cisza.

Taśma przestała dzwonić, motory burczeć, bębny obracać się.

Mężczyźni, zapadając się w tę cudowną ciszę, spoglądali niepewnie dokoła. Patrzyli na zamarłą halę, wąsatego ochroniarza, który przytrzymał Colemana, jeszcze raz uniesione kolano w spodniach khaki i płaską, czerwoną głębę obserwującego scenę majstra.

- Puście go! - ryknął Justin. W jego głęboko osadzonych niebieskich, twardych oczach zabłysło coś bardziej przerażającego niż wściekłość. Ścisnął dźwignię w dłoniach jak policyjną pałkę.

Zaskoczeni ochroniarze odstępili od Colemana, który zgiął się wpół i otoczył podbrzusze ramionami. Jego rwący się jęk słyszeli nawet ci, którzy stali przy oknach. Bracia związkowcy, a na dole w zakładzie wulkanizacji, niemal wszyscy należeli do ZRRPA, wyprostowali grzbiety i chwycili za ciężkie narzędzia. Gniew obejmował kolejnych robotników, rozlewał się po hali odczuwalnymi, niemal namacalnymi falami.

- Włącz ten cholerny prąd! - krzyknął majster piskliwie. Z różnych miejsc hali rozległy się głosy innych majstrów.

- Co się dzieje z tym pieprzonym wyłącznikiem?! Tracimy czas! Nie wyrobimy normy! Włączcie prąd, do cholery!

Usłyszeli czyjś wysoki głos o południowym akcencie:

- Strajk!

Wredna gęba małego majstra wykrzywiła się w grymasie złości.

- Albo włączysz natychmiast ten pieprzony prąd, skurwysynu, albo wszyscy wylecą na bruk! - W jego groźbie drżała nuta strachu.

Duży, obnażony do pasa czarny robotnik zrobił krok w jego stronę. Inni zaczęli podrzucać w dłoniach narzędzia, jakby sprawdzając ich wagę. Mały, krępy majster wycofywał się w kierunku wyjścia awaryjnego - jego podkute blaszkami buty dzwoniły na cemencie. Drugi majster poszedł w jego ślady. Jeden z ochroniarzy usiłował rozpiąć kaburę

przy pasku. Justin obrócił na niego twarde nienawistne spojrzenie i facet też zaczął umykać. Reszta majstrów i mundurowych szpicli dołączyła do pochodu uciekinierów. Ktoś zaintonował rytmicznie głębokim głosem:

- „Kiedy cię szykanują i na związkowca plują...” Inne głosy podchwyciły.

- „Ty strajkuj! Strajkuj!”

- „Kiedy cię wywalają i dzieciom jeść nie dają...” - Ciągnął ten sam baryton.

- „Też strajkuj! Strajkuj!”

Spontaniczny chór głosów przebił się przez gruby ceglany mur zakładu, wyrwał się przez okna i płynąc nad zimnymi, ciemnymi placami tworzył wątlę, niezaprzeczalnie ludzki dźwięk w fabryce w Woodland.

v

Kiedy majstrowie i ochroniarze uciekli z zakładu wulkanizacji, Justin usiadł przy najbliższym biurku i podniósł słuchawkę. Wiedział, że jak tylko w centrali dowiedzą się o strajku, wyłączą telefony.

Chóralne skandowanie ucichło. Rozgorączkowane mężczyźni zaczęli rozmawiać o tym, co się zdarzyło, co przeżyli w ciągu ostatnich kilku minut. Justin zasłonił ręką ucho

i słysząc gwar kobiecych głosów po drugiej stronie kabla, wyobraził sobie, że Elisse, też przyciskając jedno ucho do słuchawki, zasłania dłońią drugie.

- Ruszyliśmy, Elisse! Zaczęliśmy strajk okupacyjny. Natychmiast skontaktuj się z Mitchem. Wszystko już mamy od dawna ustalone. - Kłamał. Nie po to, żeby ją oszukać, ale by uspokoić mężczyzn, którzy tłoczyli się przy biurku.

Choć nie było zebrania, na którym nie rozmawialiby o strajku, ani on, ani Mitch, ani nikt z kierownictwa związku nie miał nawet mglistego planu, jak to zrobić.

Trudno się dziwić.

Tego wieczoru, drugiego grudnia 1935 roku, po raz pierwszy w historii Ameryki Północnej robotnicy zasiedli przy maszynach do strajku okupacyjnego. Ale Mitch, który od kołyski angażował się w ruch związkowy, na pewno wymyślił coś na poczekaniu.

Wielki robotnik, stojący tuż obok, coś krzyczał. Justin usłyszał tylko koniec odpowiedzi Elisse.

- ...tak nagle.
- To dobrze! W każdym podręczniku sztuki wojennej podkreślają, że zaskoczenie jest połową sukcesu!
- A co na to ochrona?
- Uciekli w popłochu jak potulne baranki.
- Wiesz, że dużo ich tam u was w fabryce. I nie zapominaj o policji, Justin.
- Nikt nas nie tknie palcem. Za bardzo boją się o maszyny.
- Jak długo tam zostanieie?
- Dopóki Tom Bridger nie zgodzi się na negocjacje.
- A zatem do końca świata.
- Złap Mitcha - rzucił cierpko.
- Nie chciałam, żebyś odebrał to jako krytykę, kochanie. Ale bardzo mnie tym zaskoczyłeś. Martwię się. I jestem taka dumna...

Połączenie zostało przerwane.

Na innych wydziałach w zakładzie wulkanizacji praca też ustała i odwieczną kakofonię mechanicznych dźwięków zastąpił głośny gwar ludzi, którzy przychodzili opowiadać o swoich zwycięstwach i wysłuchać rozmaitych wersji tego, jak Profesor pociągnął za dźwignię. Ścisano dłoń Justina, klepano go po plecach. Coleman, ośrodek następnego kółka, już doszedł do siebie i teraz stał z gorejącymi czerwienią uszami, obsypanymi jasnym meszkiem włosów.

Justin w pojedynkę chwycił za gardło siły, jakie sprzysięgły się przeciwko robotnikom: ludzi Dicksona Keeleya, policję Detroit, Gwardię Narodową, główne urzędy federalne

i stanowe, gazety, opinię publiczną, a ponieważ sam był z wykształcenia prawnikiem, to również i sądy.

Objął spojrzeniem zaczerwienionych, rozemocjonowanych mężczyzn. Niebawem ich podniecenie opadnie i staną się tylko zbieraniną trzech tysięcy sponiewieranych ludzi, gotowych w każdej chwili się poddać. Trzeba ich zorganizować. Justin zacisnął mocno usta i w zamyśleniu ściągnął brwi.

Otworzył szufladę biurka. Znalazł ołówek i luźne kartki w kolorze łososiowym. Wyjął cztery i odruchowo sięgnął do kieszeni po papierosy. Ze względów oszczędnościowych rzucił nałóg, ale palenie było jego głęboko zakorzenionym przyzwyczajeniem, kiedy jako dyrektor robił listy na takich właśnie kartkach.

Na górze jednej z nich napisał: KOMITETY. Każdy wydział zakładu wulkanizacji będzie musiał mieć swoją służbę porządkową, swój oddział utrzymujący czystość, no i trzeba stworzyć stanowiska, przy których ci, którzy jeszcze nie należą do związku, będą się mogli zapisać. Jak to dobrze, pomyślał mimochodem, że nie ma z nami tkaczek - Onyx zatrudniał kobiety tylko na dziennych zmianach.

JEDZENIE I ZAKWATEROWANIE. Wiedział, że w piwnicy budynku jest stołówka oraz magazyn, i wiedział, że paranoicznie uczulona na strajki ochrona zgromadziła duże zapasy jedzenia w puszkach i worki mąki na wypadek, gdyby im przyszło karmić łamistrajków. Może znajdą się nawet łóżka polowe...

PRZYWÓDCY STRAJKU. Justin zastanawiał się nad możliwymi kandydaturami, kiedy poczuł, że policzki mu się zapadają i ogarniają go dreszcze. Nie powinienem był siadać w przepoconym ubraniu, pomyślał przelotnie.

- Skurwysyny! - krzyknął czerwony z wściekłości robotnik z wydziału gumy. - Wyłączyli ogrzewanie!

- O Chryste! Zamarniemy! Doigraliśmy się tylko tego, że nas wszystkich wyrzucą na bruk!

Na czole Justina drgnął mięsień; wszedł na biurko i składając dłonie w trąbkę przy ustach wykrzyczał:

- Więc myślą, że mogą nas wziąć zinnem, co? - Odwrócił się, żeby go wszyscy słyszeli. - Kierownicy i dyrektorzy też nie chcą stracić posad! Szefa nie ma teraz w Detroit, ale wszyscy wiedzą, jak bardzo się trzęsie nad swoimi maszynami. Nie zniszczymy mu maszyn, ale nie zaszkodzi, jak trochę nastraszymy tych panów na górze.

Ludzie zaczęli krzyczeć, tupać, stukać narzędziami w metalowe rury. Po tym gwałtownym wybuchu hałasu para znów zasyczała w rurach.

Tak jak przedtem nie okazywał cienia niepokoju, tak teraz nie mógł zdradzić uczucia ulgi. Pewnymi dłońmi ujął kartki w kolorze łososiowym. Nie widział już swoich przeciwników jako monolitu, twardego jak granit. Walczył z Caryllem, przyzwoitym Caryllem, który zawsze stronił od przemocy.

Za kwadrans dziesiąta do budynku zakładu wulkanizacji wpadło trzech mężczyzn o twarzach zaczerwienionych z zimna, opatulonych postawionymi kołnierkami. Przynieśli wiadomość, że zakład akumulatorów i zakład montażu podwozia też przyłączyły się do strajku. W ten sposób połączy-

na ze sobą taśmami i przekaźnikami produkcja stanęła. Przed bramami zgromadziły się już grupki pikietujących i policja. Policja i ochrona dostały polecenie od Carylla, żeby wypuszczać za bramę wszystkich, którzy chcą wyjść. Pikietujący robotnicy zostali poinstruowani przez Mitcha, żeby nie wpuszczać do fabryki łamistrajków. Karabiny maszynowe ustawione na strażnicach przy bramach przeniesiono na dachy pobliskich sklepów. Obsługiwali je ludzie Dicksona Keeieya.

W niecałe dwie godziny fabryka w Woodland przemieniła się w oblężoną fortecę.

I

Niespokojny lot z Nowego Jorku wciąż jeszcze wywoływał zaburzenia równowagi, dlatego schodząc po przystawionych stopniach Tom przytrzymał się metalowej balustrady. Na płycie lotniska czekał na niego Caryll. Ujął ojca pod ramię i we dwóch, walcząc z wiatrem, podeszli do parkującej Swallow.

- Woodland - rzucił szoferowi Tom. Caryll usiadł obok ojca.

- Tato, od trzech dni fabryka jest strzeżona ściślej niż najbardziej chroniony skarbiec. Wyglądasz kiepsko. Mama czeka na ciebie w domu. Wystarczy jak do Woodland pojedziemy jutro.

- Brama numer jeden. - Tom zwrócił się do szofera, który czekał w skupieniu.

- Nie ma powodu jechać już teraz. Żadnego powodu. I tak się nie przebijemy. Pod bramą pikietują.

- Brama numer jeden - powtórzył Tom.

Szofer dotknął skórzanej lamówki nad daszkiem czapki.

- Tak jest, panie Bridger.

Limuzyna prześlizgnęła się między hangarami. Caryll zdjął kapelusz i pocierał palcami zmarszczki na łysiejącym czole. Wysyłając Vegę na nadbrzeże po Toma, wręczył pilotowi raport dla ojca - pięć gęsto wystukanych na maszynie kartek, na których brał na siebie całkowitą odpowiedzialność za zamknięcie fabryki. Gryzło go poczucie winy, świadomość faktu, że zawiódł pokładane w nim zaufanie -czego nigdy sobie nie wybaczy - jednak serdeczne słowo ojca, który siedział tuż obok, blady i sztywny jakby połknął kij, z całą pewnością zmniejszyłoby bolesny ucisk w żołądku.

- Napisałeś w liście, że nie niszczą maszyn. Skąd ta pewność?
- Justin jest w środku. Tom stał się czujniejszy.
- Nie miałeś żadnego przeczucia, że urządzą sobie takie wakacje w Woodland?

Caryll nerwowo poluzował szalik z kaszmirowej wełny.

- Problemy na wulkanizacji zaczęły się od chwili, kiedy wprowadziliśmy podwójne zatrudnienie. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Ale nigdy nie słyszałem o nie pokojach w zakładzie akumulatorów i montażu podwozia. Telegrafowałem do ciebie, gdybym się zorientował, że coś jest nie w porządku. Teraz oczywiście stało się. Zaczęli się hurmem zapisywać do ZRRPA. Ostatnie trzy dni były naprawdę straszne. Mamy rannych i trzy ofiary śmiertelne. Policja pod bramami pacyfikuje bójki między tymi, którzy chcą wejść do fabryki i pracować, a pikietują cymi, którzy nie odchodzą od bram - pilnują całą dobę. Są zdyscyplinowani i dobrze zorganizowani. Wuj Hugli uważa, że ściągnęli organizatorów aż z siedziby partii, z Nowego Jorku. Moim zdaniem ma rację. Jednym z nich jest Mitch Shapiro. Komunista.

- W raporcie nie wspomniałeś nawet słowem o Keeleyu. To niepodobne do niego, żeby siedział ze spokojnie założonymi rękami. Jaka jest jego rola?

- Po rozpoczęciu strajku spotkaliśmy się u mnie w domu. Wuj Olaf, wuj Rogers, kuzyni, Zemliner, Jackson, Falconet. I Keeley. Keeley chciał wszystkich wykurzyć z Woodland siłą.

- To cały on - zauważył Tom. - Jedno trzeba mu przyznać, ten łobuz jest konsekwentny - powiedział bezbarwnym głosem.

Caryll nie wiedział, czy to nagana czy może pochwała.

- Odrzuciłem ten pomysł. Wuj Olaf chciał ściągnąć Gwardię Narodową. Na to też nie przystałem. Prawdopodobnie straciłem naszą wielką szansę, ale nie chciałem dopuścić do rozlewu krwi.

- Więc dalej siedzą w środku?

- Tak. Są izolowani. To szach-mat. Wuj Hugh i Argo MacIlvray wymyślili oświadczenie do prasy. Nie wiem, czy już je widziałeś. - Sięgnął po jedną z gazet, złożonych na dywaniku z jagnięcej wełny.

CHCEMY PRACOWAĆ

Od dwóch dni nielegalny strajk grupy robotników w fabryce Onyxa w Woodland uniemożliwia innym podjęcie pracy. To się nam nie podoba. Chcemy pracować.

Tom zerknął w gazetę i wyrztał przez okno. Caryll odkaszlnął ze zdenerwowania.

- Tato, jest jeszcze jedna sprawa... W raporcie napisałem ci, że do początku strajku doszło na zmianie Justina. To nie wszystko... To właśnie on zatrzymał maszyny.

- Co zrobił?! - W ponurym świetle twarz Toma nabrała odcienia zieleni.

- Doszło do jakiejś utarczki między majstrem a robotnikiem. Słyszałem tylko relację majstra, więc nie znam całości sprawy. Wygląda na to, że Justin stracił nad sobą panowanie... Jestem przekonany, że miał do tego powód, ten majster to wredny typ. - Caryll oblizwał wargi. - Chcę ci tylko powiedzieć, tato, że moja decyzja zamknięcia fabryki nie wypływa z faktu, że przywódcą strajku jest mój szwagier. Obawiam się, że masz syna pacyfistę.

Tom wzruszył ramionami - tak dziwnie je unosił. Był rozgoryczony, że to właśnie Justin powstał przeciwko niemu. Czuł potworną, wprost niewyobrażalną gorycz. Justin podniósł rękę, by zrobić mu takie świństwo! Z prawej strony pokazały się niezliczone kominy Woodland. Dziwacznie wyglądały, kiedy nie unosił się z nich dym. Tom zadrżał na ten widok i ukrył ból, rzucając z sarkazmem:

- Witajcie na cmentarzu.

Caryll zapadł się w obity skórą fotel.

- Nie wiem, co powiedzieć, tato. To ja cię wpuściłem w rozmowy z nimi.

Tom, ciągle marszcząc czoło, przyglądał się ogromnym, pozbawionym czap dymu kominom.

- Teraz będziesz musiał, tato. Chociaż o tyle dobrze, że Justin jest ich przywódcą. On się zawsze zachowuje etycznie.

Tom znowu wzruszył ramionami.

Na Archibald Avenue, przy bramie numer jeden, około pięciuset mężczyzn deptało w kółko po okręgu. Tworzyli tak gęsty mur, że oddechami ogrzewali kark najbliższego sąsiada. Niektórzy z nich, obwiązując twarze kawałkami

linoleum, chronili je przed ostrym wiatrem, na którym łopotały transparenty z hasłami.

DOŚĆ PODWÓJNEGO ZATRUDNIENIA ZAPISZCIE SIĘ DO ZRRPA

WALCZCIE Z OCHRONĄ ONYXA ZAPISZCIE SIĘ DO ZRRPA

NIE TRAĆCIE PRACY BĄDŹCIE Z NAMI ZRRPA

Tom patrzył na pikietujących zwięzonymi oczami. Jego niejasne, ojcowskie wyrzuty sumienia przerodziły się w gwałtowną wściekłość. Te skurwysyny! Te skurwiele! On miałby się z nimi dogadywać? Nigdy! Choćby przyszło mu smażyć się w piekle!

- Skreć tutaj! - rzucił szoferowi.

Zanim samochód zatrzymał się na dobre, wyskoczył. Z białymi, rozwianymi włosami i dumnie uniesioną głową, skierował się na Archibald Avenue.

Caryll patrząc przez tylną szybę rozdziawił usta, nie dowierzając, że ojciec zamierza sam stawić czoło wrogiej, agresywnej pikiecie. Zupełnie sam. Zadławił się własnym oddechem, a potem z dziwnym wysokim skowytym opuścił bezpieczne wnętrze Swallow i pognął za tym nieustraszo nym szaleńcem, swoim ojcem.

- Tato... Wracaj... - Wiatr tłumiał jego krzyk.

Dogonił go, kiedy Tom zrównał się już z kręgiem pikietujących. Jakaś duża kwadratowa postać w grubej watowanej kurtce wystąpiła z szeregu.

- A panowie dokąd, jeśli można spytać?

- Do środka - warknął Tom.

- To nie jest komitet powitalny. Przechodźcie przez linię pikiety.

- Idę do mojej własnej zasranej fabryki!

- Tato... - ostrzegł Caryll przenikliwym szeptem i szarpnął ojca za ramię.

- Ludzie! Szef wrócił do Detroit! - ktoś krzyknął. Wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy. Niespodziewane pojawienie się Toma, który przyszedł do fabryki tylko

w towarzystwie syna, pasowało do wizerunku szefa jak ulał. Tom Bridger, o czym wszyscy wiedzieli, był przecież odważnym, nieprzewidywalnym w działaniu samotnikiem. Drżąc z zimna, ciasno zbici ludzie posłali mu niepewne uśmiechy, ale nadal bronili wejścia do fabryki.

- Kto tu rządzi?

Przez zwartą linię robotników przeciskał się jurny mężczyzna w wełnianej czapce mocno naciągniętej na wyszczypaną wiatrem twarz.

- Ja dowodzę pikietą, panie Bridger - mówił eleganckim akcentem człowieka dobrze urodzonego, gdzieś w Georgii.

- Przepuście mnie, do cholery!

- Nie mogę tu nic zdecydować. Bracia związkowcy ustalili w drodze głosowania, że nikt nie ma prawa przekroczyć linii kręgu.

- Głosowali, he? Kiedy w październiku wyjeżdżałem z kraju, człowiek mógł jeszcze wchodzić do swojej fabryki. Czyżby od tamtej pory zmieniło się prawo w tym kraju? Jeśli nie, to powiedz im, żeby ruszyli tyłki i zeszli mi z drogi!

- Tato...

- Panie Bridger, sądzę, że jeśli chce pan wejść do fabryki, będzie pan najpierw musiał porozumieć się z ZRRPA.

Tom patrzył rozgnionym wzrokiem, a potem odwrócił się na pięcie i z rozwianymi połami szarego palta zawrócił do samochodu.

- Niepotrzebnie ryzykowałeś, tato. To desperaci.

Tom puścił uwagę mimo uszu i zagrzmiał w trąbkę wpasowaną w dzielącą go od kierowcy szybę, przekazując szoferowi polecenie:

- Do sklepu żelaznego!

W jego głosie słyhać było pozorną, narzuconą sobie chłodną powściągliwość i Caryll, odczuwając nagły skurcz brzucha, przyjął do wiadomości, że ojciec wpadł w najstraszliwszą wściekłość. Dopóki złość w nim nie wygaśnie, nie będzie słuchał głosu rozsądku.

Minęli dwie przecznice i znaleźli się pod zapuszczonym warsztatem, przy którym łuszczący się afisz informował, że można tu kupić galanterię metalową. Tom wszedł do środka, a po chwili pokazał się z dużą, rozdętą i podzwaniającą torbą z brązowego papieru. Kazał szoferowi wieźć się z powrotem pod bramę numer jeden. Caryll milczał. Ojciec nie zniósłby najmniejszego sprzeciwu.

Tym razem Tom zaczekał, aż zzieleniały ze strachu szofer otworzy mu drzwi. Długa smukła limuzyna ściągnęła na ulicę siedzących w pobliskim barze reporterów i policjan tów. Policjanci bez przerwy zerkali na niedalekie dachy barów, gdzie ochroniarze obserwowali scenę z bezpiecz nych kryjówek za karabinami maszynowymi.

- Przepuście mnie do bramy - zażądał Tom. - Nie wejść na teren mojej własnej zaszrannej fabryki!

Pikietujący spojrzeli niepewnie na swojego przywódcę, a Tom wykorzystał ten moment wahania i przebił się przez linię mężczyzn. Rozerwał brązową torbę. Metal zadźwięczał o metal, kiedy Tom omotywał długim lśniącym łańcuchem filary i tak zamkniętej bramy. Zacisnął na łańcuchu dużą kłódkę Schlage'a.

- Proszę bardzo! - wykrzyknął głośno. - Niech siedzą w środku, aż zdechną! - Na jego skroniach pokazały się żyły. Słyszeli go najbliżej stojący robotnicy. Zamrugali, jakby poraziła ich nagła jasność.

- Co pan powiedział, panie Bridger? - wykrzyknął młody reporter.

- Pozwoliłem nielegalnym intruzom dalej okupować moją własność. Zamknąłem fabrykę.

- To myśmy ją tobie zamknęli! - zawołał jakiś chudy mężczyzna o twarzy czerwonej od mrozu.

- Świetnie! - burknął Tom. - A zatem obie strony się zgadzają, że świat poradzi sobie bez Onyxa.

- Pan zdecydował się ostatecznie zamknąć fabrykę? - dociekał reporter.

- Wszystkie moje decyzje są ostateczne. Niech pan wraca do redakcji i napisze czytelnikom, że się wycofałem.

- Pan się wycofał?

- Wycofałem się z interesu. Czy to jest dość jasne? Pełen trwogi pomruk przetoczył się przez krąg pikietujących robotników. Strzelcy na dachach zmrużyli oczy przy celownikach. Tom wetknął ręce w kieszenie i zawrócił do samochodu. Jechali na Farmę w milczeniu.

Caryll mocno zaciskał szczęki, a wokół jego ściągniętych ust pojawił się niezdrowy niebieskawy odcień. Ojciec jak zwykle z hukiem stracił nad sobą panowanie i na jego oczach popełnił harakiri. Wstrząśnięty Caryll nie był na razie w stanie połapać się, jakie to będzie miało skutki dla obu walczących stron.

Po kilkunastu milach jazdy Tom ukrył twarz w dłoniach, a Carylla na widok pochylonego dumnego karku ojca przejęło synowskie współczucie. Poczul piekące łzy.

II

Dodatek nadzwyczajny! Dodatek nadzwyczajny!

Krzyki gazeciarzy konkurowały z gwizdzącym wiatrem. Dodatki nadzwyczajne nie pojawiały się w Detroit często, więc wielu ludzi sięgnęło po trzy centy, żeby mieć to rzadkie wydanie. Telegraficznie przekazywane wiadomości sprawiły, że dodatek ten pojawił się we wszystkich możliwych językach. Miliony solidnych krępych Piątek ciągle jeździły po ulicach, Siódemki też na stałe weszły do krajobrazu świata. Teraz Onyxy się skończyły.

Dla większości ludzi wiadomości dodatku nadzwyczajnego miały wagę nie mniejszą niż wybuch wojny, ale dla milionów, których dobrobyt zależał bardziej czy mniej bezpośrednio od działalności Onyxa, miały wymowę daleko bardziej dramatyczną.

III

Caryll pocierał tył karku, czytając szkic odpowiedzi na list premiera Baldwina, i wykreślał nawet najmniejszy ślad śmiertelnego przerażenia, jakiego można by się doszukać między wierszami. Na marginesie strony, przy końcu drugiego akapitu dopisał: „Panie Premierze, ojciec podjął tę decyzję po latach ponoszenia dużych strat finansowych”.

Podobnie jak niemal wszyscy inni, premier Wielkiej Brytanii nie chciał dać wiary temu, że symboliczna kłódka, jaką Tom zawiesił na bramie w Woodland dwa tygodnie temu, miała oznaczać koniec. Nikt nie chciał wierzyć, że ktoś mógłby nagle rzucić fabryki, plantacje kauczuku, kopalnie, linię oceaniczną, linie kolejowe, połączenie drewnodajnych lasów. Tom zaś zamknął się na Farmie i uporczywie odmawiał otwierania listów - tych, które przychodziły na grubym papierze urzędów rządowych, tych na szarej papeterii Onyxa czy tych w lichych, ubożuchnych kopertach. Nie czytał żadnej poczty, która nadchodziła do niego z całego świata -nierzadko adresowana po prostu: „Tom Bridger, USA”. Nie chciał rozmawiać z nikim przez telefon i dopuszczał do

siebie tylko Carylla. Zawstydzeni strażnicy przy bramach Farmy nie wpuścili do środka ani Hugh, ani oflagowanego Cadillaca sekretarza pracy, Perkinsa. Wysuszone, spękane usta Toma układały się w tak gorzki uśmiech, że nawet gruboskórna, mało wrażliwa Maud trzymała język za zęba mi. Caryll bał się zapytać, jak ma sobie radzić z tym zamkniętym na kłódkę międzynarodowym kartelem-kolo sem. Wyjąkał z siebie kilka pytań, ale nie doczekał się odpowiedzi. W nieprzerwanej ciszy było coś niezdrowego, coś, co Caryll łączył z atakiem serca, jaki ojciec przeszedł po wyjeździe Justina. Wiedział, że wciąż obecny grymas na twarzy ojca spowodowany jest śmiertelnym bólem. Jakaś niepowstrzymana siła natknęła się na mur nie do przebiccia i... tak, to mogło spowodować kolejny zawał. Za szklami okularów matki dostrzegął ten sam niemy lęk.

Dwa tygodnie pracy w zastępstwie ojca przy robocie, którą uważał za krzywdę wyrządzaną społeczeństwu, zbierały swoje żniwo. Czuł ucisk w żołądku, zaczął się znowu jąkać, dwa palce miał oklejone plastrem, bo obgryzł paznokcie do krwi. Niezdolność do wszczęcia dyskusji z ojcem na temat otwarcia fabryk stanowiła nie gasnący powód drama tycznych samooskarżeń.

Nacisnął brzęczyk wzywający sekretarkę - pokoje gościn ne zostały przemeblowane i urządzono w nich biura dla ludzi, którzy dawniej pracowali w „wieży”. Pulchna, żwawa Betty śpiesznie weszła do gabinetu, szeleszcząc układaną spódnicą. Zebrała stos korespondencji do przepisania i położyła na biurku garść wycinków prasowych. Caryll obsesyjnie śledził rozwój strajku w Woodland. Mężczyźni z odmrożonymi twarzami, obwieszani plakatami, bez przerwy maszerowali przed bramami fabryki, a tymczasem ci, którzy skazali się na uwięzienie wewnątrz, nadal okupowali martwe serce Woodland i w ten groteskowy sposób zadawali kłam wieściom o ciszy w fa bryce. A przecież Caryll rozumiał, że ani Justin, ani inni przywódcy strajku nie mają wyboru. Rzeczywistość była okrutna: w samym tylko Detroit zamknięcie Woodland spowodowało, że sto dwadzieścia pięć tysięcy ludzi zasiłowało armię bezrobotnych. Nie było pracy. W kasach przeciążonych biur opieki społecznej brakowało gotówki na wykarmienie rodzin choćby przez tydzień, o pieniądzach na węgiel czy komorne w ogóle nie było mowy. A zatem

strajkujący mogli już tylko siedzieć bądź maszerować i mieć nadzieję na cud. Zadzwoił telefon.

Brewster Vance, doradca Carylla, łączył go tylko w pilnych sprawach albo gdy dzwonił ktoś naprawdę ważny. A więc znowu jakiś rządowy dygnitarz, przywódca narodu albo ktoś z rodziny chciał go nakłonić do zrobienia czegoś, czego Caryll pragnął tak samo jak oni - a za swą niemoc omal się nie biczował. Ktoś żądał uruchomienia fabryk. Caryll połknął jedną z pudrowych tabletek na nadkwasotę i podniósł słuchawkę.

W ciągu tego popołudnia rozmawiał z sekretarzem Morgenthau, generałem McArthurem, majorem Murphym i wujem Olafem. Przyjął delegację poblądłych dealerów. Zdenerwowany Edsel Ford wpadł, żeby zapytać czy w plotkach, że Onyx stanie się częścią General Motors, jest ziarno prawdy.

- Tata nie wyprzedaje majątku, zamyka interes - uspokajał Caryll. - Edsel, powiedz mi jedno. Jak likwiduje się takie imperium? Od dwóch tygodni wrywam sobie włosy z głowy. - Synowie dwóch potężnych, autokratycznych geniuszy wymienili żalosne spojrzenia.

O wpół do szóstej lokaj przyniósł szklankę mleka i zaciągnął zasłony - dopiero wtedy Caryll zaczął spokojnie przeglądać wycinki prasowe.

„Dwie rodziny w izbie, żeby oszczędzić na węglu” - głosił podpis pod zdjęciem nie ogolonych mężczyzn, wychudłych kobiet i jeszcze chudszych dzieci stłoczonych wokół pękatego żelaznego piecyka.

„W Hamtramck ostatniej nocy spłonęły trzy domy zamieszkiwane przez rodziny członków ZRRPA. Policja podejrzewa podpalenie.”

CZY GOSPODARKA AMERYKAŃSKA PRZETRWA BEZ POŁOWY FABRYK PRZEMYSŁU SAMOCHODOWEGO? NOWOJORSKI DEALER SKOCZYŁ Z MOSTU W BROOKLYNIE. NIEZNANY SPRAWCA ŚMIERTELNIE POBIŁ STRAJKUJĄCEGO ROBOTNIKA.

„Stróż z Woodland zamarzył na śmierć w szalasię w Inkster.”

Caryll ostrożnie odstawił pustą szklankę i zgiął się wpół,

opierając łokcie na kolanach. To chyba wrzód, myślał. Niech sobie wyniki pokazują co chcą, to na pewno wrzód. Choć nie analizował stanu swojego zdrowia, święcie wierzył, że jego dolegliwości żołądkowe mają charakter psychosomatyczny. Bolesne skurcze brzucha łączył z uwielbieniem dla Zoe, które powstrzymało go od kontaktów z Justinem. Kto wie, czy razem z nim nie odwróciliby biegu wydarzeń, nie zapobiegli katastrofie.

Przycisnął spocone czoło do kolan.

Za późno już? - myślał. Tata chciał dać Justinowi pięć procent udziału Onyxa. Bardzo dziwne. A przecież to dowodziło co najmniej jego ogromnego zaufania i szacunku, jeśli nie uczucia. Gdyby Justin napisał list... Tata nie otwiera żadnej korespondencji. Ale gdyby Justin napisał list, prze czytałbym go tacie. Zmusiłbym go do wysłuchania listu. Może jakoś, wspólnymi siłami, przekonalibyśmy go do kompromisu. Ha! Śmiechu warte! Tata odmienił świat, ale przecież nigdy nie zmienił żadnej swojej decyzji. Raz! Wtedy, kiedy obaj z Justinem przekonaliśmy go do produkcji Siódemki. Kto wie, co tam tacie chodzi po głowie? Może czeka na jakąś oznakę poddania się przeciwnej stronie? Justina?

Caryll uniósł głowę i ostrożnie wyprostował plecy. Skurcz przechodził. Rozmasowywał sobie brzuch i myślał: Rozpęta się istne piekło, kiedy Zoe to wykryje. Muszę jednak spróbować.

Przez garderobę przeszedł do sypialni wypełnionej słodkim zapachem perfum i wdzięcznym, przytłumionym głosem Zoe, która mocząc się w wannie rozmawiała z kimś przez telefon.

- Muszę na chwilę wyjść - zawołał.

- Poczekaj, Joan. - Usłyszał chłopot wody. - Caryll, Rocheville'owie i Artie z Agnes przychodzą dzisiaj na kolację.

- Nie martw się. Na pewno będę na czas.

Z ogrzewanego garażu, gdzie stało dziesięć samochodów, wyprowadził jedną z tych Siódemek, którymi jeździła służba. Jechał jak zwykle ostrożnie, trzydzieści mil na godzinę, a w Woodland Park zwolnił i zaczął bacznie przyglądać się znakom przy nie oświetlonych skrzyżowaniach.

Zahamował przy brzydkim domku, przypominającym pu dełko zapalek. Drzwi otworzył niski, barczysty mężczyzna, który ścisnął w rękę serwetkę i spoglądał na niego pytająco.

Caryll słyszał ożywione głosy - jak na przyjęciu - i poczuł zapach duszonej z papryką kapusty. Był pewien, że trafił pod niewłaściwy adres.

- Czy to dom pana Hutchinsona? Mężczyzna przyjrzał się mu badawczo.

- Pan Caryll Bridger, prawda?

- Przepraszam, że przeszkadzam...

- Elisse! Masz gościa! - W okrzyku słyhać było triumf.

IV

Cienka warstwa materiału, której zwinięty w kłębek Justin używał jako materaca, nie była dość miękka, by nie czuć twardości podłogi (w fabryce były setki skrzynek z puszkami żywnościowymi, ale nie znalazł nic do spania). Miał niemiłe uczucie, że kości przebijają mu ciało i wtapiają się w ciemny cement. Ale nawet nie drgnął. Gdyby wstał, musiałby przybrać pewną siebie minę niezłomnego przywódcy kwaśno cuchnących braci, skazanego na zagładę związku.

Kierownik zakładu wulkanizacji zostawił w szafce radiolę i dzięki temu trzeszczącemu połączeniu ze światem wiedzieli, że strajkują w fabryce umarłego kolosa. Ale nawet strajkujący zamknięci na terenie Woodland śmiali się na myśl, że ktoś na świecie, choćby sam Tom Bridger, mógłby zrezygnować ze spokojnego biliona dolarów. „Stary postanowił nas przechytryć. W ten sposób chce rozwalić strajk.” Tak to odbierali. Po głodowych pensjach zarabianych w tygodniach podwójnego zatrudnienia, po nerwówce, kto następny zostanie wylany z roboty, po morderczym tempie pracy, poniżającym istnieniu jako numer z identyfikatora, a nie człowiek z nazwiskiem, po terrorze rozsiewanym przez służby ochrony, nareszcie odzyskiwali godność, bo mogli oddać cios. I mimo dwóch tygodni bez kontaktu ze światem i niepokojów o rodziny, podtrzymywała ich na duchu niezachwiana pewność, że odniosą zwycięstwo.

Ale Justin znał Toma, wiedział, że jego pobudki mogą być złożone, lecz nie wypływają z podstępного charakteru, dlatego nie podzielał optymizmu braci związkowców. A teraz udając, że śpi, widział w tym opustoszałym kompleksie fabrycznym metaforę całego świata. Ktoś cofnął kierującą dłoń (Tom? Bóg?), i życie toczyło się dalej, tylko przypadkowo, bez celu i bez znaczenia.

- Hej, Profesorze!

Zamruczał coś i zamrugął oczami.

Ujrzał nad sobą czyjąś ciemną, zarośniętą twarz.

- Obudź się, Profesorze! Przyszła twoja pani.

- Co, u licha...

- Stoi przy głównym wejściu.

Justin zerwał się na nogi i oniemiały pozerzał wzrokiem drobną, ładną kobietę, która uśmiechając się do niego z ożywieniem, odwijała z głowy długi szal, ukazując skrecone kasztanowe włosy. Rzucił się do niej, łupiąc o podłogę nie zasnurowanymi butami. Stał przed Elisse, a kiedy wybuchnęła śmiechem, porwał ją w uścisku i uniósł wysoko. Zawsze był powściągliwy w publicznym okazywaniu uczuć i słyszał wyraźnie dobrodusze mruknięcia kolegów, nie mógł sobie jednak odmówić przyjemności trzymania jej w ramionach, choćby jeszcze trochę, i wdychania świeżego, wyjątkowego zapachu jej ciała. Niestety nie mógł też pozbyć się niepokoju, że w ich związku fizyczne pragnienia stały się ostatnio smutnie jednostronne.

Opuścił ją na ziemię i spytał:

- Co ty tu robisz? Jak przedarłaś się przez policję przy bramie?

- To czary - odpowiedziała ze śmiechem. - Pomóż mi zdjąć płaszcz.

- Co tam masz? Cegły?

Dramatycznym gestem rozchyliła płaszcz i pokazała mu dwie poduszki. Rozpinając agrafki, wyjęła spomiędzy poduszek zrobioną z szarego papieru kopertę.

- W umowie nie było słowa na temat korespondencji, więc przemyślałam to cichaczem.

Zbiegli się mężczyźni ogarnięci nagłym podnieceniem. Elisse zobaczyła Colemana. Podeszła do niego i oparła dłoń na jego rękawie.

- Johnny, mały... mały umarł, następnej nocy po rozpoczęciu strajku... Bracia przyszli na pogrzeb. Było mnóstwo ludzi... Jest mi... - Głos uwiązł jej w gardle, potrząsnęła głową.

Justin zawiązywał buty, jednocześnie wyznaczając ludzi do sortowania i rozdawania listów. Elisse otarła oczy i rozglądała się po wielkiej hali, zdumiona wielkością maszyn i przekaźników.

Justin ujął ją pod ramię.

- Człowiek się tu czuje jak karzeł... - powiedziała. -Wiesz, że w życiu nie byłam w żadnej fabryce?
 - To wyznanie ma swoją wymowę, pani działaczko -odparł z uśmiechem.
 - Hm, nie przyszedłam tu na wycieczkę. Mamy sprawy do omówienia, panie Hutchinson. Dałam słowo, że wrócę na siódmą.
 - Będzie się pan musiał nieźle uwijać, Profesorze - ktoś zawołał. Usłyszeli śmiech.
- Elisse spłonęła rumieńcem, ale wykrzesła z siebie drobny uśmiech.
- Strajkujący przeznaczyli biuro kierownika na pomieszczenie na narady i zebrania i tam właśnie Justin prowadził teraz Elisse. Biuro kierownika było ponurym miejscem pomalowanym na zielono. Na środku stało metalowe biurko, obok kanapka z aluminiowych rurek, na ścianach wisiały obłożone czarnym papierem tablice. Zamknął drzwi z prostokątem szkła u góry i chwycił Elisse za rękę, odsuwając od siebie chwilę, kiedy fizyczna radość będzie musiała ustąpić miejsca rozsądkowi.
- Dotknęła jego policzka.
- Jak to się dzieje, że nie masz brody?
 - Prowadzę wzorowy zakład. - Za kartonami z brzoskwiniami w puszkach leżały brzytwy i maszynki do golenia.
 - Co to za niewiarygodne miejsce! Wszędzie budynki i budynki. Ciągną się bez końca. Nie znalazłabym cię tu wcale bez mapy. - Wyjęła jedną z żółtych map, które wręczono jej w dziale zatrudnienia. Spoważniała. - Wiesz, że twój umiłowany autorytet likwiduje interes?
 - Znaleźliśmy radio.
 - Dziennikarze pysznie to przedstawiają, co? - Pogrubiała głos, żeby zabrzmiał równie głęboko i aksamitnie, jak głosy spikerów w serwisach radiowych: - „Mamy teraz nową formę strajku dla leniwych. Siedzenie w nieczynnej fabryce.” Justin, to niesamowite, ile uprzedzeń jest w ich przekazach. W ogóle nie mówią o tym, że ochrona stworzyła tu prawdziwą linię Maginota i rozstawiła karabiny maszynowe, żeby nas tylko utrzymać z dala od was.
 - Ale ty przyszedłaś. Jakim cudem?
 - Dzięki Caryllowi.
 - Dzięki Caryllowi? Westchnęła.

- Chicken Little miał rację, Justin. Ziemia zadrżała w posiadach. Na zewnątrz jest ciężko, zwłaszcza rodzinom ludzi z wulkanizacji. Po miesiącach pracy za pół pensji naprawdę jest im ciężko. Większość z nich cały zarobek przeznaczają na spłaty kredytu za żywność, którą zjedli w poprzednim miesiącu. Opieka społeczna nie ma już pieniędzy, nasza kasa świeci pustkami. Tata zebrał trochę pieniędzy od ludzi ze swojej orkiestry i od B'nai B'rith, dzięki temu razem z paniami ze stowarzyszenia gotowałam dla ludzi zupę, ale te pieniądze też się już skończyły. - Westchnęła. - Chcą nas wykończyć głodem. Straszna metoda łamania strajku.

- Tom nie blefuje. Kiedy dzwoniłaś do Carylla?

- Żartujesz chyba? ZRRPA miałyby się poddać? Nigdy! Caryll przyjechał do nas wczoraj wieczorem. Justin, ten biedny chłopak jest na granicy załamania nerwowego. Wszyscy bez przerwy bombardują go żadaniami, żeby otworzył fabryki. A on niczego innego nie pragnie, tylko że nic nie może zrobić.

- Co mówił?

- Że jego ojciec, szlachetny i hojny pracodawca, zawsze dbał o ludzi świata pracy. Działa w pośpiechu, a za grzechy żałuje w ciszy i spokoju. Powiedziałabym, że nawet w luksusie. Wiesz, że na Farmie kręcą film z Gretą Garbo?

- Słyszę to w każdym wydaniu wiadomości.

- No więc Caryll wymyślił pewien plan. Wielki szef będzie miał pretekst do jakiegoś działania, jeśli ty do niego napiszesz.

Justin zacisnął usta.

- Caryll wie o mnie? - zapytał chropawym głosem.

- Nie, skądże. Nic nie wie - uspokajała. - Kochanie, moim zdaniem, to jest zawracanie głowy. Gdyby wielki Tom czuł do ciebie cokolwiek, miał w ciągu dziewięciu lat mnóstwo okazji, żeby podnieść słuchawkę i do ciebie zadzwonić.

- Ja też bardzo chciałem zadzwonić do niego, ale nie mogłem...

- Czasem jesteś niemożliwie sprawiedliwy. Aż do zawrotu głowy.

- On się szybko zapala. Ja wykrzesalem iskrę.

- Na litość Boską! Tom Bridger chce zagłodzić setki tysięcy ludzi, a ty się bijesz w piersi i wołasz: *mea culpct*.

- Co mamy do stracenia, jeśli zrobimy pierwszy krok?

- Twoją dumę.

- Z mojej dumy nie da się stworzyć nowych miejsc pracy, co?

- Napiszesz do niego, Justin. Więc siadaj i pisz.

Justin podszedł do biurka i wyjął z szuflady długi notatnik z kartkami opatrzonymi nadrukiem „Świadectwo zwolnienia”. Oderwał pierwszą, odwrócił nadrukiem do blatu i zanim umoczył pióro w kałamarzu, jakiś czas wpatrywał się intensywnie w niebieski papier. Pisał szybko.

Skończył i złożył stronę na pół raz, a potem jeszcze raz. Wręczył Elisse złożoną kartkę i obserwował, jak pieczołowicie wkłada ją do torebki.

Policzki miała zaróżowione od spaceru o zimnym poranku. Pod jego spojrzeniem opuściła rzęsy, które rzuciły cienie na jej jasną cerę. Delikatnie zarysowana, pełna górna warga ułożyła się miękką arabeską na dolnej. Bez tego szybko zmieniającego się, nieco wyzywającego wyrazu na twarzy była uosobieniem kobiecości, które jakimś cudem znalazło się tu, w martwym, obojętnym miejscu, gdzie jeszcze dwa tygodnie temu mężczyźni z zapamiętaniem wypacali z siebie życie - była ukojeniem na pustyni strachu i uwalniała go z ascetycznej samotni. Powoli - ona wciąż nie podnosiła powiek - objął jej piersi, a kiedy jej westchnienie zadrżało na czubkach jego palców, upadł przed nią na kolana i ukrył twarz w jej miękkim ciele. Czuł, jak mocno, urywanie bije jej serce.

- Boże, jak za tobą tęskniłem... - wymruczał w różowy sweterek.

Objęła dłońmi jego twarz.

- I ja tak samo, kochany. - W jej zachrypniętym głosie słychać było nutkę zdziwienia.

Nagle ogarnęło go pożądanie - gwałtowna, nie kontrolowana fala pożądania. Taka, jakiej doświadczył tylko raz, tamtego ranka, kiedy omal nie utonął w Pacyfiku. Cudownym zrzędzeniem losu jego Elisse wróciła. E>ługi okres nie zaspokojonych pragnień i frustracji był już za nimi - żywy dowód tego trzymał w rękach. W jednej chwili znalazł się pod drzwiami. Wyrzwał przez szybę, żeby popatrzeć na halę, gdzie rozdzielano listy - to działało na mężczyzn jak magnes. Postawił krzesło pod klamką - drzwi nie miały zamka - i rzucił się do Elisse, żeby przyciągnąć ją do siebie, mocno w siebie wtulić. Gorączkowo gładziła jego szyję, włosy, a on tymczasem podciągał spodnicę. Uniósł Elisse wysoko i oparł

plecami o tablicę, potem całował szyję i opuścił jej ciało w dół, na swoją męskość. Jęknęła głośno - nie wiedział czy w ekstazie, czy z bólu.

Później nie mogła odtworzyć kolejności zdarzeń. W jednej chwili triumfalnie przekazywała mu słowa Carylla i patrząc na Justina czuła na przemian to radość, to zawstydzenie - czyż nie napawała się do woli widokiem męża, podczas gdy inne żony strajkujących w Woodland robotników cierpiały nędzę i głód? A zaraz potem ujrzała jego oczy... wpatrzone w nią tak mocno i znacząco jak dawniej. I wtedy znów poczuła tę wilgoć i ten głęboki, cudowny ból, to gorące pełne chaosu pragnienie, żeby się z nim połączyć, być częścią Justina i dopełnić się zespoleniem. Niewytłumaczalny był ten powrót namiętności, ale nie zastanawiała się nad tym. Zapomniała o niszczycielskiej zimnej wojnie, jaką świat pracy prowadził z wielkim kapitałem, zapomniała o rozognionym dydaktyzmie argumentów. Dla niej zawsze nie było innej prawdy niż ta mała, prywatna prawda miłości. Przygarnęła do siebie Justina, rozgorączkowana, niecierpliwa, pieściła go, zsuwała z siebie bieliznę. Otoczyła go mocno nogami, kiedy ją uniósł. Choć cicho jęknęła, prawie nie czuła bólu, unoszona wielką namiętnością. Szeptał jej w ucho śmiałe słowa czułości, owiewał urywanym oddechem, a ona tańczyła z nim na falach życia i miłości.

- Najdroższa, najdroższa... - Jego szept wypełniał wszechświat.

Och, teraz, teraz, myślała. Teraz...

Trwali tak wtuleni w swoje ciała jeszcze przez dobre kilka minut, a kiedy wreszcie odstępili od siebie, posłała mu nieśmiały, zawadiacki uśmiech.

- Szybka robota, Profesorze - powiedziała podciągając bieliznę.

- Nie ma mnie bez ciebie. Pocałowała go lekko, czule.

- Nic się nie martw. Utknąłeś ze mną na zawsze. Trzymając się od siebie demonstracyjnie daleko, przeszli po wyszorowanej podłodze do głównego wyjścia.

- Pójdę z tobą kawałek - powiedział otwierając metalowe drzwi.

- Łatwiej będzie rozstać się tutaj.

Patrzył, jak idzie lekkim, szybkim krokiem - filigranowa figurka pośród bezkresnie długich budynków. Skreśliła za

zakładem wulkanizacji i zniknęła mu z oczu. Spojrzał na wirujące nad głową mewy, których chrapliwy krzyk był żałobnym, pełnym bólu płaczem po stracie.

v

Zamknięcie Onyxa - choć akurat nie swojej impulsywności najbardziej żałował i jego strapione serce było tego najlepszym dowodem - miało niezwykle dramatyczne skutki. Umiejscowiony nad oczami ból bez przerwy rozsadał mu głowę, niespokojny sen przerywany był koszmarami, bez końca oblewały go fale wstydu z powodu tego, co zrobił. Chciał się wycofać ze swojej decyzji. I nie mógł tego zrobić. Izolował się od świata i ludzi, jak zapowietrzony. Ze swoich pokoi wychodził tylko na posiłki albo wtedy, gdy wpadał do niego Caryll.

We dwóch w milczeniu spacerowali po usłanych igłami dziewiczych ścieżkach terenów wokół Farmy. Tego mroźnego, pochmurnego ranka szesnastego grudnia wybrali się w kierunku stawu.

Z lasu, tuż przed nimi, nagle wypadł jeleń. Postawił biały ogonek, wyrzucił w górę tylne nogi. Caryll aż podskoczył.

- Jezu... - sapnął drżącym głosem, kiedy zwierzę z trzaskiem gałęzi zniknęło na powrót w lesie.

Tom odwrócił się i spojrzał na zbiegające wargi syna i jego rozbiegany wzrok.

- To tylko jeleń.

- Wiem, wiem.

- Napędziliśmy mu więcej strachu niż on tobie. - Wciąż badawczo obserwował Carylla. - Nie chodzi o tego jelenia, co? To przy mnie jesteś taki rozedrgany. Chryste, Caryll! Dlaczego?

Caryll odetchnął głęboko, wypuszczając wyraźny obłok pary. Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął podwójnie złożoną niebieską kartkę, znaną Tomowi jako blankiet, na którym wypisywano zwolnienia z pracy.

- Jeśli s...s...sam tego nie p...p...przeczytasz, przeczytam « i na głos.

- Dajesz mi w każdym razie jakiś wybór.

- Tato?

łom wyjął kartkę z chronionych rękawiczkami dłoni Carylla i jednym strzepnięciem ręki otworzył złożony list. Nie przygo-

towany na cios w postaci znajomego pisma, poczuł nagie pieczenie nadgarstka, takie, jak przy złamaniu. Oparł się o pień drzewa i odwrócił plecami do Carylla. Mrugał nerwo wo, żeby odpędzić plamy, które wirowały mu przed oczami

Drogi Tomie!

Trudno mi pisać, bo wiele czasu minęło i wiele się wydarzyło od naszego ostatniego spotkania. Mam jednak głęboką nadzieję, że jak dawniej poświęcisz mi uwagę; ja wciąż czuję dla ciebie podziw i przywiązanie.

To, co w najwyższym stopniu zaprzęta moje myśli, to sytuacja ludzi, którzy pracowali dla ciebie w Onyksie. Nic wierzę, byś chciał w taki sposób zakończyć dzieło życia. Podobnie jak nie mogę uwierzyć w to, że nie chcesz wysłuchać słusznych skarg twoich robotników. Ten strajk nie jest bronią wymierzoną przeciwko tobie.

Tom, czy to naprawdę takie bezzasadne, że ludzie chcą porozmawiać ze swym pracodawcą o skutkach kryzysu, które ich dotyczą boleśnie? Jestem przewodniczącym ZRRPA, ale jeśli to cię zniechęca do rozmów, chętnie ustąpię z funkcji. Błagam Cię jednak na wszystko, byś zechciał się spotkać z naszymi negocjatorami. Tej katastrofalnej sytuacji należy położyć kres.

Łączę wyrazy szacunku.

Justin

Pewna oficjalna nuta zawarta w liście była bardzo charakterystyczna dla Justina, tak samo jak trafnie dobrane słowa, jedynie „błagam Cię” nie pasowało do niego. Tom patrzył na niebieską kartkę, której czarny napis przebijał od spodu. Nie znalazł w liście najmniejszych aluzji do nieporozumienia, które stało się przyczyną ich rozstania, najmniejszej wzmianki o związkach krwi, a to - co Tom przyjął z ulgą oznaczało, że Justin nie wierzy już, że jest jego synem.

W czasie długich lat rozłąki z Justinem Tom pragnął takiego listu, dzięki któremu mógłby się z nim spotkać bez potrzeby osobistych wynurzeń. Ten list niósł ze sobą wielki ładunek emocji jak i niemożliwe do zrealizowania pragnienie, by jeszcze raz wziąć Antonię w ramiona. Tom zamrugał zażalonymi oczami. Oparł się o pień płatanu i mobilizował siły, patrząc na brązowo-beżowy wzór kory.

- Jak to do ciebie trafiło?

- Przez Elisse Hutchinson.

- Czytałeś?

Caryll potrząsnął głową.

- Ale domyślam się, co napisał. Chce, żebyś uruchomił fabryki. Wszyscy tego chcą.

- Ty też?

- Gdybym był innego zdania, czy bawiłbym się w listonosza?

Tom parsknął śmiechem. Jego synowie stanęli po drugiej stronie barykady. Ale łączyła ich wspólna cecha - przyzwoitość. Jeszcze raz, dzięki Bogu, działali ramię w ramię. Popychali go tam, gdzie zawsze chciał być - na ścieżki prawości i uczciwości.

Caryll źle zinterpretował sobie śmiech ojca. Zrozumiał, że łom naśmiewa się z listu i z niego.

- Tato, są olbrzymie naciski - zaczął żarliwie. - Dzieją się straszne rzeczy. Monty telegrafował, że przyjeżdża do Stanów. Nie powinien jeszcze wypuszczać się w taką podróż. Niemal codziennie odbieram telefony od prezydenta Roosevelta. A od majora Murphy'ego nawet dwa razy dziennie. Miasto ogarnęła panika większa niż w trzydziestym trzecim, kiedy zamykano banki.

Tom uważnie złożył kartkę, zgodnie z zagięciami, i schował ją w kieszeni palta.

- Powiedz żonie Justina, że będę z nim rozmawiał.

- Naprawdę? Mówisz poważnie, tato?

- Czy kiedykolwiek cię zawiodłem?

- Będiesz negocjował ze związkami?

- Będę negocjował z Justinem. - Nieliczne resztki liści łańczyły nad jego rozpaloną, rozjaśnioną twarzą. - Będę rozmawiał z Justinem.

VI

Wbrew głębokim przekonaniom panującym w dobrze ogrzewanych dużych rezydencjach Grosse Pointe i Bloomfield Hills, żadna znaczona dynamitem nic nie łączyła kierownictwa partii komunistycznej w Nowym Jorku z Detroit. Elisse i Mitch zdecydowanie odrzucili partyjne propozycje przysłania do Detroit doradców do spraw strajku - Elisse dlatego, że znała antypatię Justina do tego, co nazywał „sowieckim eksperymentem”, a Mitch, który miał co

najwyżej letni stosunek do czerwonych, dlatego że tyle lał poświęcił na zbudowanie tego potężnego związku i wierzył, że sam będzie umiał go teraz obronić.

ZRRPA samodzielnie prowadziło tę nową formę strajku. Dlatego, niezależnie od faktu, jakie komentarze miałyby paść potem, sześciu członków komitetu strajkowego tego dnia, w południe, podjęło niezależną politycznie decyzję. Na parterze małego domku Hutchinsonów tłoczyli się strajkujący na zewnątrz fabryki robotnicy wraz z rodzinami i po silali się chlebem cienko smarowanym masłem orzechowym i polewanym syropem (czerstwy chleb ofiarował im związek piekarzy), więc zebranie odbywało się w niskiej sypialni na górze. Elisse, jako protokółantka, czekała cicho przy toalecie z drewna klonowego, trzymając przed sobą notatnik, gdy tymczasem rozradowani mężczyźni przycupnęli na kordon kowej narzucie albo na chodniczku na podłodze, gdzie krzyżowali i rozprostowywali nogi i rozmawiali głośno, z oży wieniem o nieoczekiwanej propozycji Toma Bridgera.

- Udało się!

- Alleluja!

- Strajk jeszcze się nie skończył - zauważył Mitch. - Nic wywalczyliśmy jeszcze ani jednego ustępstwa.

- Chryste, Mitch, a to, że stary Tom zgodził się z nami rozmawiać, nie jest czasem zwycięstwem?

- Widziałem wiele przegranych strajków, rozłożonych tylko przez to, że jedna ze stron działała zbyt pochopnie.

Szeroka, poorana bruzdami twarz Mitcha była bardzo po ważna.

Zawitsky mu przytaknął.

- Tak bardzo nam pilno do roboty, że zapominamy, o co walczymy.

Elisse spojrzała w owalne lustro i obserwowała w nim odbicie wyblakłych męskich twarzy. Wszyscy zgromadzeni w tym pokoju aż nadto dobrze rozumieli, co znaczy głodne płaczące dziecko w nie ogrzewanym domu, na drzwiach którego przy czepiono nakaz eksmisji, wiedzieli też, jak zareagowałiby członkowie związku - których lojalność była bardzo chwiejna - na wieść o ponownym otwarciu fabryki. Robotnicza solidarność ległaby w gruzach i każdy pojedynczo rzuciłby się do działu zatrudnienia w Onyksie, błagając o najgorszą nawet pracę, i to na każdych warunkach. Tylko trzymając się razem mogli przeciw naprzód, żeby nie zrobić kroku w tył.

- Musimy wymyślić coś, żeby pokazać, że wszystko dobrze idzie.

- Tak, tylko co?

Głowili się nad różnymi pomysłami działań, które natchnęłyby ludzi odwagą i przekonały, że muszą jeszcze wytrwać.

- A może by tak, jak Profesor wyjdzie, stary Tom uściskał mu rękę?

Jeden po drugim kiwali głowami.

- Dobra.

- To byłby znak, że jesteśmy na dobrej drodze.

- I gdyby tak zorganizować to na kładce, żeby każdy mógł ich zobaczyć?

- Tak jest. O to chodzi.

Pierwszą uchwałę na posiedzeniu komitetu strajkowego ZRRPA uchwalono jednogłośnie. Ustalono, że początek spotkania inauguruje negocjacje ma nastąpić na kładce przy Archibald Avenue na oczach zebranych ludzi. Tam miało dojść do uściśnięcia dłoni Toma Bridgera z przewodniczącym związku, Profesorem.

Elisse zaczęła notować.

VII

Caryll przeczytał listę żądań Tomowi, który patrzył przez osadzone w głębokim wykuszu okno na tonący w szarówce zmierzchu taras. Miał pochyloną głowę, ręce wetknięte w kieszenie. Caryll widział w tej postawie przegranego człowieka. Czuł ucisk w gardle, chciał w ojcu znów zobaczyć dumnego, niezłomnego mężczyznę. Że też akurat on musiał wysłuchiwać warunków, jakie stawiają mu jego robotnicy!

Kończąc Caryll nerwowo obliznął usta.

- Tato, sądzę, że nie powinieneś się zgadzać na to spotkanie na kładce.

- Czy to nie ty chciałeś wreszcie załatwić tę sprawę?

- Będzie tłum ludzi. Olbrzymi tłum. Tom nie odwracał głowy.

- To by mnie nie zdziwiło.

- Wszyscy wiedzą, że po mieście krążą tabuny komunistów. A prowokowanie incydentów to ich taktyka.

- Nalej sobie drinka.

- Co takiego?

- Nieduża szklaneczka szkockiej uspokoi ci nerwy.
- Nie przyszło mi do głowy, że będą stawiać warunki.
- Idealista z ciebie - zauważył Tom cierpko. - Czekaają na odpowiedź?
- Mam zadzwonić do Elisse.
- Jaki tam numer?
- Nie powinieneś się tam spotykać. Bądź twardy. Będą musieli spuścić z tonu, bo nie mają wyjścia.
- Daj mi ten numer.
- Tato, nie możesz się tak narażać. To poniżające i nie bezpieczne...
- Numer, Caryll.
- Ona spodziewa się telefonu ode mnie.
- Żebyś przekazał jej moje słowa? A kto ty jesteś? Charlie McCarthy? - Tom odwrócił się od okna.

Ku zdumieniu Carylla ojciec uśmiechał się, w dodatku bez śladu cynizmu. W jakimś dziwnym ożywieniu unosił górną wargę i Caryllowi wydało się, że pewnie tak musiał wyglądać za swoich chłopięcych lat.

- Tato, pamiętasz ten marsz głodowy na Rouge kilka lat temu? Były ofiary.
- Napij się, synu. To cię pokrzepi. - Tom wyciągnął rękę, przebierając długimi palcami. - No daj.

Caryll wyjął mały czarny notes oprawiony w krokodylą skórę. W jego uszach rozmowa ojca dźwięczała nienaturalnie głośno.

- Pani Hutchinson?... Mówi Tom Bridger... Tak, wiem, że spodziewała się pani telefonu od niego, ale wszystko stoi na głowie. Będzie się pani musiała zadowolić rozmową ze mną. - W stonowanym głosie Toma zabrzmiał śpiewny akcent. - Przyjdę jutro w południe na kładkę przy Archibald Avenue, jeśli Justinowi... jeśli pani mężowi będzie to po drodze. Może namówię go, żeby nas sobie przedstawił. A więc do zobaczenia w przyszłości.

Caryll wyrwał mu z ręki słuchawkę.

- Elisse, tata będzie miał obstawę trzech ludzi.

Nie zdawał sobie sprawy, że zdążyła już odłożyć słuchawkę.

VIII

Rodzina nie posiadała się z radości, że Tom zamierza uruchomić fabryki. Jednak później, gdy dowiedzieli się o pla--

nowanym spotkaniu, zaczęli ostro protestować. Spotykać się z Justinem - tym bolszewickim renegatem - to przyznać się do słabości! Po co ulegać teraz? Przecież na miejscu Toma każdy z szefów przemysłu samochodowego po prostu otworzyłby biura zatrudnienia. Układać się z robotnikami? To nie do pomyślenia! Tego już za wiele! Nadszedł czas, żeby dać tym strajkującym w fabryce nauczkę, której nie zapomną. Niech odczują na własnej skórze, że obcy agitatorzy ściągnęli im na głowę tylko głód i niskie płace. Szeptali po kątach, że po Tomie nie wiadomo czego można się spodziewać.

Hugh wszędzie widział złe znaki, ale nie miał kiedy wybuchnąć. Dzwonił na Farmę, lecz Tom uporczywie odmawiał rozmowy z nim. W końcu Maud nadstawiła duże płaskie ucho, w które sączył jej swoje obawy.

- Ostrzegałam go, nie myśl, że tego nie zrobiłam. - Głośno dźwięczał jej uczciwy głos. - Ale wiesz, jaki jest Tom, kiedy sobie czymś nabije głowę.

- Siedzi na Farmie odcięty od świata. Nie wie, co tu się dzieje.

- Próbowaliśmy mu to z Caryllem wytłumaczyć.

- Detroit ma długą historię buntów i zamieszek. Do tego ci komuniści! Uprawiają swoją propagandę na lewo i prawo. Kto wie, co nagadali na niego.

- Tom odchodzi, kiedy zaczynam o tym mówić.

- Zamienili ludzi w prawdziwe zwierzęta. Dzikie zwierzęta! To szaleństwo wystawiać się na widok publiczny! Nikt nie jest w stanie przewidzieć, czym to się jutro może skończyć.

- Czasem go nie rozumiem. - Maud westchnęła. - Cały czas był taki niezłomny i nagle się poddał. Zupełnie nie rozumiem.

- Jesteś rozsądną kobietą, Maud. Spróbuj do niego przemówić.

Przy kolacji Maud wyrzuciła z siebie wszystkie swoje uzasadnione niepokoje i przekazała treść alarmujących telefonów Hugh. Tom, nie kończąc ciasta, podniósł się od stołu i uciekł do sypialni.

Jakie to dziwne, że nikt nie dostrzegął, jak bardzo jest szczęśliwy. Co się stało Caryllowi? - zawsze w mig odczytywał wszelkie nastroje. Jak mógł nie zauważyć, że ojciec, który tyle lat żył w poczuciu opuszczenia, a przez ostatnie dwa tygodnie tak wyraźnie cierpiał, nagle jest nieprzytomnie uszczęśliwiony i omal nie tańczy z radości? Tom po-

trząsnął głową i roześmiał się w głos. A potem zrobił to, na co wciąż miał wielką ochotę - przy łóżku wyciął hołubca.

IX

O tej samej godzinie Hugh przemierzał nerwowo swój gabinet i świstał astmatycznie przez rozchylone usta. Kiedy mówił Maud, że strajkujący to dzikie zwierzęta, rozumiał to bardzo dosłownie. Siedząc w swojej samotni wytworzył sobie zdeformowany obraz ludzkości i rzeczywiście w strajkujących robotnikach widział ciemne postacie neandertal czyków o krwiożerczych zębach. Jutro ów prymitywny motłoch miał otoczyć jedyną osobę, którą naprawdę kochał. Ten bolszewicki drań! - wytrząsał się bezgłośnie, opluwając w myślach niegdyś równie ukochanego bratanka, i dalej głowił się nad tym, jak ochronić Toma przed niebezpieczeństwem. Zadzwoił już do majora Murphy'ego i szefa policji, Ardena, i pociągnął za odpowiednie sznurki. Jutro wszystkie siły porządkowe wylegną na miasto. Z własnej kieszeni opłacił setki emerytowanych funkcjonariuszy. Zatrudnił kapitana Nugenta, właściciela Nugent Chemical Company, największego na środkowym zachodzie producenta bomb gazowych, żeby miał baczenie na Archibald Avenue.

Rozległo się głośnie stuknięcie w drzwi.

- To ja, Keeley.

Hugh rzucił się do elżbietańskiego stolika, którego używał jako biurka do pracy, i z jedynej szuflady pod blatem wyciągnął przeciwastmatyczną fajkę z białej porcelany. Zaciągnął się raz głęboko i odkrzyknął:

- Przyszedłeś trochę za wcześnie, ale wejdź! - A kiedy Dickson Keeley znalazł się w gabinecie, zapytał: - No więc co będzie jutro? Co ustaliłeś?

Szef ochrony fabrycznej wyjaśnił, jakie kroki przedsię wzięł, a potem uzasadnił wybór dwóch spośród najbardziej zaufanych ludzi, którzy mieli towarzyszyć Tomowi. On sam miał być tym trzecim.

- Najważniejszą sprawą jest nie dopuścić do jakichkolwiek zamieszek, kiedy mój brat znajdzie się na kładce - podkreślił Hugh.

- Paskudna banda, ci strajkujący.

- Poślij ludzi w tłum, żeby zapobiegli kłopotom - przypomniał Hugh piskliwym głosem.

- Cztery tysiące chłopów.
- Razem z oddziałem policji to powinno wystarczyć.
- Wie pan co? Skoro wymyślili nową formę strajku, trudno przewidzieć, co jeszcze wyciągną z rękawa. Nie mogę dać stuprocentowych gwarancji. Ale co się w ogóle stało szefowi? Nie ma powodu, żeby teraz rzucał ręcznik na deski.
- Ty martw się tylko o jedno: żeby mu jutro włos z głowy nie spadł.
- Powinien trwać przy swoim. Jeszcze dwa tygodnie i wykończyłby związek na dobre.
Hugh był dokładnie tego samego zdania.
- Liczę na ciebie jutro - oznajmił wstając. Chciał w ten sposób odprawić Keeleya.
On jednak nie podnosił się z krzesła. Prostując mocno wyćwiczone barki, powiedział cichym tonem wykształconego człowieka:
- Te kmioty mnie nie cierpią. Kiedy ten sukinsyn Hutchinson wywali żądania na stół, moi chłopcy mocno dostaną po głowie. I ja też.
- Niezależnie od wyniku negocjacji, ty będziesz miał u nas pracę.
- W Woodland?
- Tego naprawdę nie wiem. Może nie.
- To co, wylecę jednak na bruk?
- Zawsze nam będziesz potrzebny.
- Do czego? Do niańczenia dzieci i żon? Będę dla pana podsłuchiwał przez dziurkę od klucza?
Hugh, wciąż miotany niepokojem o Toma, zachował się niepolitycznie.
- Jeśli tak chcesz to ująć, proszę bardzo. Tak. Ale pensję będziesz brał taką samą. A jeśli mojemu bratu nic się jutro nie stanie, dostaniesz dużą premię. - Podeszedł do drzwi i je otworzył. - Niech twoi ludzie będą na Farmie rano o dziesiątej.
Dickson Keeley, poinformowany, że jego dni władzy prawdopodobnie dobiegają końca, wstał i uniósł wysoko kwadratową szczękę. Twarz mu jakoś obrzmiała, oczy się zwięziły. Nigdy nie zachowywał się jak poddany, ale to wyjście było godne zdetronizowanego Nerona.
Hugh zbyt mocno martwił się o Toma, by zauważyć, że brytan mocno oberwał po nosie. Znow zaczął nerwowo przemierzać gabinet.

I

Jeszcze przed świtem Mitch i niedźwiedziowaty Zawitsky wychodzili z domu - mieli wynająć samochód z megafonem. Mitch zatrzymał się na szczycie schodów.

- Ochrona będzie dziś latać po mieście jak z pieprzem, Elisse. Uważaj na siebie.

- Nic się nie martw. Nikogo nie wpuszczę.

- Będziesz na kładce przed dwunastą?

- Jak mi będzie po drodze.

Lakoniczne zdanie Toma Bridgera w ciągu jednego wie czoru stało się ulubionym zwrotem w siedzibie ZRRPA i Mitch parsknął teraz tak rzadkim u niego głębokim śmiechem.

- Do zobaczenia w południe! Trzymaj się, mała. Wyglądało na to, że wszystko sprzysięgło się tego dnia przeciw niej. Z niczym nie mogła zdążyć.

Telefonistka zadzwoniła z informacją, żeby czekała na zamówione w Los Angeles połączenie. Kiedy Elisse odkurzała i pastowała dom na przyjęcie wszystkich, którzy wpadną później w odwiedziny - przywódcy pikiet i przewodniczący komitetów strajkowych bez wątpienia zechcą się spotkać z Justinem - układała sobie w myślach najbardziej naturalne zdania, w jakich chciała oznajmić rodzicom, Benowi, nawet małej Toni, że wkrótce, już bardzo niedługo, wszyscy znów będą razem. Jej wspaniałe nastrój wynikał z dwóch zwycięstw: z tego, że Justin wracał już do domu i że tak nieoczekiwanie odzyskała dawno utraconą jedwabistą radość... Oczywiście, że rozsadzało ją szczęście! Przecież mało nie odeszła od zmysłów, zrozpaczona perspektywą utraconych na zawsze pragnień. A teraz mogła się znowu cieszyć. Ranek upłynął jej na cudownych marzeniach i nagle okazało się, że spotkanie zacznie się już za trzy kwadransy!

Zakładała wcześniej, że wyjdzie o jedenastej. Wykręciła „O”. Telefonistka z centrali międzymiastowej powiedziała, że linie są ciągle zajęte.

Elisse poczuła dreszcz zniecierpliwienia.

Nie zerknąwszy nawet w lustro, naciągnęła na głowę niebieski filcowy kapelusik, wbiła się w płaszcz - na podszewce ze sztucznego jedwabiu pozostały w wielu miejscach ślady szpilek z tablic - i zapominając zamknąć drzwi na klucz puściła się ulicą do oddalonego o cztery przecznice przystanku tramwajowego.

Było zimne przedpołudnie. Dziwnie białe niebo przysłaniały wysokie cirrusy, które nie przepuszczały blasku słońca, dlatego żadne cienie nie zasłaniały brzydoty Woodland Park. Elisse nerwowo przemierzała chodnik, wpatrzona w róg ulicy, skąd miał przyjechać tramwaj. Kiedy wreszcie z łoskotem podjechał na przystanek, okazało się, że wszystkie miejsca siedzące są już zajęte. Elisse jechała na stojąco i trzymając się metalowego słupka niespokojnie bębniła weń palcami, podczas gdy tramwaj włókł się, sunąc przez zatłoczone ulice. Motorniczy nieustannie korzystał z dzwonka, chcąc utorować sobie przejazd między pojazdami i pieszymi, co Elisse wydało się zupełnie absurdalną metodą oczyszczania przedpola. Niebawem korek zatarasował szyny na dobre. Elisse wyskoczyła z wagonu.

Policja obsadziła funkcjonariuszami barykady przy Jefferson.

Na szerokiej, zamkniętej dla ruchu kołowego ulicy ludzie maszerowali w kierunku fabryki w isticie świątecznym pochodzie. Rodziny szły z podskakującymi wesoło dziećmi, obok, ramię przy ramieniu, młodzi ze Związku Młodzieży - chłopcy z czerwonymi apaszkami zamiast krawatów, dziewczyny w czerwonych beretach. Był tam też sprzedawca z wózkiem z hot dogami i grupki braci związkowców z ZRRPA, którzy otwarcie i dumnie wpięli w płaszcze swój emblemat - niektórzy z nich machali do niej z daleka. Elisse wyminęła trzy korpulentne panusie niosące własnoręcznie przez siebie wymalowany transparent: MODYSTKI Z LOCAL 163 POZDRAWIAJĄ ZRRPA. Rozkrzyczana banda nastolatków zepchnęła ją na bok i obcas jednego z jej porządnych niebieskich członków ugrzązł w szynie tramwajowej - musiała wyjąć nogę z buta i mocno go wyszarpnąć.

Wkładając stopę w but, denerwowała się i wyrzucała sobie

w myślach: A niech to wszyscy diabli! Co mnie tak zaćmiło? Powinnam przewidzieć, że ulice będą zamknięte. Dlaczego nie wyszłam wcześniej? Po diabła płatałam się po domu i czekałam na ten głupi telefon? Przecież wiadomo, że rodzice i tak zadzwonią później. Ależ ze mnie kretynka!

Biegając co sił, bez przerwy urągała swojej bezdennej głupocie. Jasne, wielka z niej była mądrała w teorii, mogła to nawet udowodnić przynależnością do elitarnego stowarzyszenia najlepszych studentów, Phi Beta Kapa, czasami również potrafiła coś szybko i celnie powiedzieć, ale gdy należało podjąć jakąś decyzję, wszystko jedno dużą czy małą, logika pryskała, a ona stawała się kłębkim nagich uczuć. Każdy dokonany przez nią wybór, począwszy od zaangażowania się w ruch robotniczy, na zgodzie na powrót Justina do Detroit skończywszy, podyktowany był miękkimi, nieracjonalnymi przesłankami. Uniosła oczy. Na tle dziwnego, bezbarwnego nieba widniały zaskakująco bezwymiarowe poczerńiałe wieże królestwa Toma Bridgera. Poprzedniego dnia wciąż słyszała w radiu często nadawaną wypowiedź Toma. Jego matowy głos pobrzmiwał humorem i przekorą - poddała mu się, poczuła do niego sympatię. No i proszę! Nie stać ją nawet na to, żeby wytrwać w nienawiści do ojca, który się wyrzekł własnego syna!

Jakiś szum wypełnił jej uszy, zupełnie jak pomruk Pacyfiku. Najpierw uznała, że to skutek forsownego biegu, dopiero po chwili zrozumiała, że słyszy ryk zgromadzonego tłumu. Przyciskając rękę do piersi nad mocno bijącym sercem, zmusiła się do jeszcze szybszego galopu.

II

*Obfity plon zbierają, choć karku nie zginają,
A to nasz pot i znój tryby w maszynach obracają.*

Zza zamkniętych okien wolno jadącej Swallow Caryll nie rozróżniał słów, ale rozpoznał zniekształconą melodię *Hymnu walczącej Republiki*, która płynęła z tysięcy gardeł. Ubrani po cywilnemu ochroniarze jechali z tyłu, wbici w dwa długie samochody, a kolumnę złożoną z trzech wozów osłaniał kordon policjantów. Przed nimi policja konna torowała drogę wśród zebranego tłumu.

Caryll mocno zaciskał szczęki, a na jego szyi wystąpiły wyraźne jak powrozy mięśnie. Nienawidził strachu, ale nie mógł nad nim zapanować.

- Przyszło sporo narodu - zauważył Tom. Dobry humor ojca wprowadził go w popłoch.

- Nie przypuszczałem, że będzie aż tak gęsto.

- Ponad pół miliona. - Tom wykręcał szyję, wyglądając przez okna z ciekawością dziecka, rozentuzjasmowany jak na wystawie samochodów. - Według ocen porucznika Eastlake'a.

- Zdaje się, że więcej.

- Pewnie mniej - odparł Tom. - Przedstawiciele prawa lubią operować dużymi liczbami. Im większy tłum, tym bardziej się czują niezbędni.

- Skąd tyłu ludzi o tym wie? Nie było żadnej wzmianki w porannych wydaniach.

- W gazetach? A gdzie tam! Biedni nie czytają gazet. Dowiadują się z radia.

- Jakim cudem dotarli aż tutaj? Większość tych biedaków nie ma chyba na bilet tramwajowy.

- Na własnych kopytach. - Tom roześmiał się i klepnął Carylla w łydkę.

Caryll zmarszczył brwi.

- Tato, wejdę z tobą na kładkę.

- Tego nie było w umowie.

- Justin jest moim szwagrem. Będzie ci bezpieczniej ze mną.

- Hugh już wszystko zaplanował. To jego działka. - Tom uśmiechał się od ucha do ucha. - „Dlaczego? Po co? O to nie pytamy, my tylko walczymy bądź umieramy.” - Caryll zamrugał nerwowo. - Uspokój się, uspokój. Mam tylko uścisnąć dłoń Justinowi.

- Nie zostawaj na kładce ani sekundy dłużej niż to konieczne.

Policjanci wytaczali do tyłu wózek z watą cukrową i gromada dzieciaków zajrzała do wnętrza samochodu. Tom pomachał im ręką.

- Przestań się martwić, Caryll. Mamy dziś wielkie święto. Która godzina?

Caryll zerknął na złoty Patek Philippe.

- Za dziesięć.

Tom leciutko poklepał syna po kolanie.

- Uśmiechnij się.

III

Karki im zegniemy, wolność odzyskamy, Teraz, gdy już wiemy, że razem siłę mamy.

Hymn związkowy unosił się nad rykiem tłumu i wpadł na puste place fabryczne, gdzie stał Justin z Colemanem.

- Posłuchaj tylko, jak śpiewają - powiedział Coleman. Uszy aż mu poczerwieniały z emocji.

- Mają furgonetkę z megafonem - zauważył Justin i spojrzał na swoją Bulowę.

- Myślisz, że tamci nie dostaną furii, jak zobaczą, że idę razem z tobą?

Dzień wcześniej wieczorem na teren fabryki wpuszczono dobrze opatulonych dwóch członków Krajowego Zarządu Stosunków Pracy - poinformowali strajkujących o wstępnej zgodzie Toma Bridgera na postawione żądania. Kiedy ciepło ubrani przybysze z Waszyngtonu wyszli i ustały głośnie wiwaty, robotnicy uchwalili, że jeden z nich powinien towarzyszyć Justinowi w drodze do kładki. Strajk okupacyjny miał trwać do końca negocjacji, ale wszyscy wiedzieli, że ich przywódca wyjdzie już za bramę, by brać udział w posiedzeniach z Tomem. Dlatego dobrze by było, gdyby Coleman mógł im dokładnie zrelacjonować przebieg spotkania na kładce, bo przecież wiadomościom radiowym wcale nie można wierzyć.

- Oczywiście, że nie - odpowiedział bez zastanowienia. Miał spotkać się z Tomem po raz pierwszy od czasu tamtej rozmowy. Czuł, że targają nim różne emocje, i ciągle dźwięczały mu w pamięci linijki tego wiersza, którego uczył się w czasie ostatnich miesięcy pobytu w Eddington. „Lecz w twarzy mej liczni towarzysze widzą ojca mojego oblicze.”

- Na pewno nie będzie kłopotów?

- Na pewno. Chodź. Już czas.

Przeszli przez oszkloną główną montażownię i wyszli na szeroki dziedziniec, gdzie stały zakurzone nowe Siódemki, nie wwieszone na załadowane do połowy transportery. Od tej chwili widziały ich już pierwsze szeregi ludzi tłumnie zgromadzonych na Archibald Avenue. Na ich widok niektórzy w napięciu przycisnęli głowy do metalowego ogrodzenia, a kilku chłopców wspięło się wysoko, żeby pomachać im małymi amerykańskimi flagami. Policjanci z niesłyszalnymi w hałasie gwizdkami usiłowali ściągnąć chłopaków na

ziemię - robili to dla porządku i bardziej dobrodusznie niż w złości.

- Profesorze, spójrz tylko na ten tłum! Tylko spójrz! Justin omiół wzrokiem pustą kładkę, potem dachy barów i piwiarni. Zobaczył furażerki ochroniarzy za celownikami karabinów maszynowych.

- Chodź - mruknął ponuro.

Obydwaj wysocy, szli równym krokiem, w rytm haseł skandowanych przez rozemocjonowany tłum:

Solidarność! Solidarność! Solidarność! W jedności nasza siła!

Zatrzymali się u stóp metalowych schodów i Justin ponownie zerknął na zegarek czekając, aż obie wskazówki się zetkną. Za trzy minuty stanę z nim oko w oko, myślał. W tej chwili gorąco zazdrościł katolikom, że mogą się zabobonnie przeżegnać, zazdrościł wszystkim ślepo wierzącym tego, że potrafią swe wątpliwości złożyć w modlitwie w ręce Najwyższego. Zamknął oczy i uspokajał się przywołanym obrazem Elisse, jej wdzięcznym, kpiarskim uśmiechem, drobnym, zwartym ciałem, widokiem zgrabnych nóg.

Punktualnie o dwunastej wszedł na metalowy stopień i idąc w górę, ogarniał wzrokiem nieprzebrany tłum gęsto stłoczonych ludzi, którzy zamasyście wywijali kapeluszami, flagami i transparentami. Ta ogromna ludzka rzeka tryskała niemal widoczną gołym okiem energią. W czasie urlopu w Paryżu w Dzień Zwycięstwa znalazł się koło Łuku Triumfalnego, ale tamta manifestacja nie mogła się w niczym równać z tym, co widział teraz po drugiej stronie bramy, na Archibald Avenue w Detroit, w stanie Michigan. Dostrzegł reporterów na dachach unieruchomionych tramwajów i słupach ulicznych latarni.

Wchodząc na pierwszy metalowy podest, zobaczył Toma.

Depcząc mu po piętach szło trzech mężczyzn. Jednym z nich, tym muskularnym, w granatowym garniturze i w miękkim kapeluszu z lekko wygiętym brzegiem, był Dickson Keeley.

Na moment Justin stracił ostrość widzenia i poczuł zawrót głowy. Za każdym razem, gdy ktoś zachował się niehonor-

wo, czuł to samo młodzieńcze oburzenie. Zmądrzej wreszcie, zmądrzej, przywoływał się w duchu do porządku.

Odwrócił się i osłaniając usta dłońmi krzyknął:

- Coleman! Chodź na górę!

Coleman przytknął ręce do uszu na znak, że nic nie słyszy.

Justin ruchem zagiętego ramienia kazał mu iść za sobą. Coleman ruszył po schodach. Widząc mężczyznę na przeciwnym podejściu, oburzył się:

- Co za cholerne dranie! A ja się zastanawiałem, czy mogę czekać na dole!

Obie strony pokonały ostatni stopień jednocześnie.

Tom zatrzymał gestem ręki Keeleya i jego kompanów i sam ruszył w kierunku Justina. Coleman też przystanął na samym końcu kładki. Miał czerwoną z przejęcia twarz i patrzył twardo przed siebie, jak na wartownika przystało.

Tom spostrzegł buty Justina na grubej podeszwie i watowaną kurtkę. Ubranie robotnika. Szpakowate włosy. Przedwcześnie posiwiałe, jak moje, pomyślał. Potem wpił się wzrokiem w wygięty, wąski nos, mocno zarysowane usta -to ożywiało nawiedzające go wciąż wspomnienia o umarłej miłości. Jakże on zmężniał przez te lata! Jaki w nim spokój i siła!

Justin ujrzał gibką, szczupłą sylwetkę Toma, rozwiane wiatrem siwe włosy. Szare oczy wydawały się ciemniejsze pod opuszczonymi powiekami, a na policzkach pojawiły się nowe zmarszczki. Wyglądał dużo starzej... Czyżby to skutek ataku serca czy tylko nieuchronne, smutne zmiany wieku? Minęło przecież dziesięć lat.

Żaden z nich nie zauważył, jak bardzo miniony okres podkreślił ich podobieństwo.

Tom zaczerpnął tchu i zawołał:

- Justin!

Justin nie spodziewał się, że na widok Toma poczuje taki przypływ miłości i żalu. Przez chwilę miał wrażenie, że zapada się w pustce. Zrobił jeszcze krok, tak że teraz czuli już ciepło swoich oddechów. Przełknął głośno ślinę.

- Jak się masz, Tom. Słyszałem, że miałeś kłopoty ze zdrowiem.

- Stara pompa trochę się zbuntowała parę lat temu. Ale od tamtej pory - poklepał okolicę serca - jestem zdrów jak rydz. A ty?

Justin z powagą pokiwał głową. Bał się, że głos go zdradzi.

- Wyglądasz świetnie - zauważył Tom. - Znakomicie ci służy małżeństwo. Rozmawiałem wczoraj z twoją żoną. Na wzmiankę o Elisse coś odetkało się w Justinie - miał wrażenie, że całe współczucie i miłość dosłownie z niego wyciekają. Przypomniawszy sobie ostatnie, okropne spotkanie z Tomem, jego bezwstydną kłamstwami, obelżywą bigoterię.

- Co oni tu robią? - spytał cierpko. - Umowa była, że spotykamy się sami.

- O czym ty mówisz, Justin? Caryll powiedział twojej żonie, że przyjdę z obstawą. Sam słyszałem. - Dodał coś. Z uśmiechem sądząc, jakiś żart na boku.

Justin nie słyszał już tych słów, po części dlatego, że tłum głośno ryczał, a po części dlatego, że szumiało mu w uszach. Nogi mu drżały.

- Elisse nie kłamie.

- Nie miałem tego na myśli. Posłuchaj, chciałem ją poznać...

- O czymś takim z całą pewnością by nie zapomniała.

- A cóż to, do diabła, za różnica?

- Gdybyś pracował przy taśmie, nie pytałbyś nawet. Od czasu, kiedy wróciłem do Woodland, dzięki waszej ochronie kilkuset związkowców znalazło się w szpitalu. Czterej zostali tak strasznie pobici, że zmarli. Keeley to bandyta. Morderca. Powinien siedzieć w więzieniu. Jest ostatnim człowiekiem, jakiego powinieneś być zabrać, jeśli chcesz zmanifestować swoją dobrą wolę.

- To twoi ludzie wymyślili spotkanie w miejscu publicznym - przypomniał Tom sucho.

Justin odetchnął głęboko, żeby rozwiać gromadzące się w nim czarne chmury. Jak to się działo, że albo ogarniała go miłość pełna podziwu albo rozsadzająca wściekłość? Dlaczego nie potrafił - zwłaszcza w takiej chwili - spokojnie spojrzeć na Toma, tak jak patrzyłby na kogoś obcego.

- Owszem - przyznał.

- Słyszałem, że masz dwoje dzieci. - Głośne okrzyki zagłuszyły dalszą część tego, co mówił Tom. - ...świetna dziewczyna z tej twojej żony. Wiem od Carylla.

- Tom, miło mi to słyszeć, ale wolałbym, żebyśmy z naszej rozmowy wyłączyli wątki osobiste.

Szare oczy załśniły.

- Jesteś bratem Zoe. Należysz do rodziny.

Jestem twoim synem, twoim synem, myślał Justin i czuł, że mózg mu się kurczy i rozszerza zupełnie jak rozszalałe serce, ale na tyle panował nad twarzą, że Tom widział w nim j tylko prawość i uczciwość. Tom przestąpił z nogi na nogę. Gdyby nie ta obietnica dana nieżyjącej kobiecie, to jak Bóg na niebie, odwołałby wszystkie swoje kłamliwe słowa na oczach półmilionowego tłumu!

Wyciągnął rękę.

Uścisnęli się, jak to zwykle robią politycy, przesadnie, pod publiczność - mocno zwarte dłonie, chwyt za barki, głowy blisko siebie. Justin miał jasną świadomość tego, że Tom objął go pierwszy raz w życiu.

Ogłuszający ryk wzbił się pod białe niebo. Wszystkie aparaty fotograficzne zwróciły się w ich stronę. Z niezliczonych gardeł wyrwał się krzyk:

„W jedności nasza siła...”

- Do zobaczenia punktualnie o ósmej w Book Cadillac powiedział Tom. Negocjacje miały się toczyć na neutralnym gruncie.

- Jutro rano - przytaknął Justin.

Tom odwrócił się i żwawym krokiem ruszył do schodów. Dickson Keeley i pozostali dwaj goryle schodzili po stopniach tuż za nim. Policja powstrzymywała rozentuzjzmo wany tłum przed zatarasowaniem przejścia do limuzyny.

- O czym rozmawiliście z szefem? - krzyknął Coleman. Justin potrząsnął głową. Nie mógł odpowiedzieć, bo zaprzątał go niepokój, jak zdoła przebrnąć przez spotkania z Tomem nie tracąc twarzy, skoro emocje wywoływały w nim albo szalony gniew, albo łzy. Chwycił lodowatą metalową poręcz i spojrzał w dół przekrwionymi, nie widzącymi oczyma. Tłum odebrał to jako pozę zwycięzcy, więc ze wzmogoną energią zaczął wymachiwać kapeluszami, transparentami, flagami.

- Hurra! Hurra!

Obok furgonetki z megafonem stał Mitch - wyrzucił w górę zaciśnięte pięści jak bokser po triumfalnej walce. Krug szaleńczo ruszał ustami w rozemocjonowanej czerwonej twarzy. Zawitsky bez przerwy podrzucał czapkę.

Przywódcy ZRRPA bili mu brawo. Ale gdzie jest Elisse? Jego rozterki, pogmatwane poczucie lojalności, lęk przed zblażnieniem się w Book Cadillac zbladły, gdy przywołał w pamięci obraz żony. Tak bardzo jest mi potrzebna.

Limuzyny o lśniących dachach odjeżdżały w stronę Jef-

ferson. Policjanci splekli ramiona, powstrzymując napierających zza ich pleców ludzi. Gdzie ona jest?

- Lepiej zostań z tobą - odezwał się Coleman tuż przy jego uchu.

- Co?

Coleman oblizwał spierzchnięte wargi i krzyknął:

- Szkoda, że nie wzięliśmy ze sobą łomów!

Po schodach, z jakimś wyraźnym zamiarem, wchodził Dickson Keeley. Miał kapelusz zsunięty na czoło, twarz odętą. Tuż za nim sunęło kilkunastu jego ludzi. Byli bez płaszczy, pod ciemnymi marynarkami wybrzuszały się kabury pistoletów.

Justin poczuł skurcz w gardle, usta wyschły mu ze strachu. Daj spokój, zganił się w myślach i spojrzał na rozkrzyuczany tłum oddany mu całym sercem; widział też reporterów, którzy nie opuścili jeszcze swych stanowisk.

- Nie ma powodu do obaw - powiedział.

- Oni nie idą tu z gratulacjami, Profesorze.

- Wracaj do zakładu, Coleman. Powiedz ludziom, że wszystko poszło dobrze i że ruszyliśmy do przodu. Nikt nie zrobi mi krzywdy. Na pewno nie tutaj.

Ale Coleman postawił ciężki, znoszony but tuż obok buta Justina.

IV

Od chwili, kiedy Hugh Bridger potwierdził obawy szefa ochrony, że dni jego potęgi mają się ku końcowi, Dickson Keeley miał nieustające poczucie wielkiej straty i nie znajdował ukojenia w fakcie, że nic na tym nie ucierpi finansowo. Czymże bowiem był sam dobrobyt wobec utraty nieograniczonej władzy? Nie był ani mściwy, ani sadystyczny - przemoc traktował jako środek ostateczny, instrument rządzenia. Teraz jednak jego gorycz przeobraziła się w falę nieokiełznanej wściekłości. Zaatakowanie Justina na kładce było czystym wariactwem, ale nikt z niezliczonych wrogów Keeleya nigdy nie zarzucił mu tchórzostwa.

Podchodząc do dwóch działaczy ZRRPA, krzyknął:

- Chyba się nie śpieszycie do kumpli na dole, co?

Wokół ust Justina pojawiły się białe plamy. Coleman pociągnął nerwowo za kołnierz kurtki, jakby coś nagle zaczęło mu przeszkadzać.

- Twoja żonka na pewno już na ciebie czeka - powiedział Keeley patrząc na Justina. - Niezła z niej kobitka. Nie wiedziałem, że jest Żydówką.

- Przepuście nas.

- Pyszny z niej cukiereczek. - Dickson gwizdnął z uznaniem. - Gorąca bestyjka.

Jeden z krępych mężczyzn, w którym Justin rozpoznał goryla towarzyszącego Tomowi i Keeleyowi na kładce, za chichotał nieprzyzwoicie.

- Zamknij się. Ani słowa o mojej żonie.

- Składam jej wyrazy uznania - obruszył się Keeley. Kiedy Justin oderwał dłoń od lodowatej poręczy, zostawił na metalu płatki zdartej skóry, jednak wbijając paznokcie w okaleczone dłonie, nie czuł bólu.

- Powiedziałem już, żebyś odwalił się od niej, Keeley.

- Profesorze - zaczął Coleman, ciągnąc go za rękaw. - Nie ma się co sprzeczać. Chodźmy już.

- Ochrona zajmuje się też rodzinami - zauważył Keeley.

- Zdziwiłbyś się, ile czasu nam to pochłania. Pilnuję twoje j siostry. Z tej to jest dopiero niezłe ziółko.

Radosne okrzyki ludzi tuż pod kładką przerodziły się w ryk gniewu, kiedy połowa ludzi Keeleya zaszła Justina i Colemana od tyłu.

Gwałtowna furia, spowodowana zerwaniem zawieszenia broni, zaćmiła wzrok Justina.

- Zejdźcie nam z drogi - warknął.

- Nie mamy najmniejszego zamiaru, stary. Nie wypuści my cię, dopóki nie skończymy rozmowy. - Keeley nie tracił eleganckiego akcentu. - A wracając do twojej Elisse, strasz nie z niej słodka dziewczyna.

- Zamknij gębę!

- Co ci powiedziała o naszej krótkiej wizycie? Potworne podejrzenie zaczęło dławić Justina i odebrało mu zdolność racjonalnego myślenia.

- Ty pieprzony sukinsynu - zawarczał. Ugiął kolana, wychylił ciało w tył i zaciśniętą pięścią z całej siły chciał walnąć Keeleya w szczękę. Na to tylko czekała ekipa ochroniarzy. Cios nie doszedł celu. Jeden z chłopaków stojących za Justinem chwycił go za kurtkę, naciągnął mu ją na głowę

- zasłaniając tym samym oczy - i unieruchomił ramiona. Justin dusił się pod waciakiem. Tak samo załatwili Colemana. Wzięli ich w dwa ognie, otaczając ciasno, niczym stado

zajadłych, choć zdyscyplinowanych wilków. Walili w brzuchy, w nerki, pięściami uzbrojonymi metalowymi kastetami. Któryś zasunął Justina kolanem w krocze, inny przykopał leżącemu Colemanowi w genitalia. Ludzie z ZRRPA usiłowali wdrzeć się na schody, ale dostali pałkami od policji. (Policja ściśle współpracowała z ochroną: dostawała od nich łapówki, pieniądze, a zwolnieni funkcjonariusze nierzadko znajdowali zatrudnienie w oddziałach Keeleya.)

Ktoś puścił kurtkę. Trzy precyzyjnie wymierzone krótkie, okrutne ciosy Keeleya wylądowały na obnażonej twarzy Justina. Upadł w tył na Colemana, który próbował odpełznąć w bok, żeby uniknąć kopniaków.

Uniesiono ich za ręce i nogi, rozbujano w powietrzu i zrzucano w dół schodów. Potem wleczono ich za nogi aż na sam dół metalowych stopni.

„So-li-dar-ność...”

Reporterzy na dachu unieruchomionego tramwaju wymierzili aparaty w kierunku brutalnej sceny.

- Usuńcie tych cholernych fotografów! - rozległ się głos w policyjnym megafonie.

Policjanci rzucili się w kierunku reporterów. Dickson Keeley i jego ludzie, wyciągnąwszy przed siebie rewolwery, ruszyli szybko do czekających limuzyn.

Cała operacja nie trwała dłużej niż trzy minuty.

W ciągu trzech minut tłum gapiów pękł jak szkło, rozpadając się na okruchy strachu bądź wściekłości.

Rozsierdzeni związkowcy parli w stronę kładki. Przerażeni gapie, którzy przyszli tu w poszukiwaniu emocji, runęli w tył, uciekając z miejsca bójki. Teren pod schodami stał się sceną nieopisanego zamieszania. Plakaty i torebki poszły w ruch. Ludzie zaczęli unosić dzieci w górę, ze względu na realną możliwość zatratowania.

- Powstrzymać ich! Powstrzymać! - rozległy się nawoływania wzmocnione metalowymi tubami.

Obleczone w granat i khaki ramiona uniosły się w górę i opadły, mechanicznie młócąc na lewo i prawo.

v

Kiedy ochroniarze otoczyli Justina i Colemana, Elisse uwięzła w grupce mężczyzn, którzy wściekle wykrzyki-

wali coś po polsku i cuchnęli potem. Była zbyt niska, by widzieć cokolwiek zza ich pleców, podskakiwała więc co jakiś czas, widząc tylko fragmenty sceny na schodach. Zobaczyła Justina z naciągniętą na głowę kurtką, uginające go się pod ciosami i kopniakami otaczającej go hordy. Och, nie! Nie!!!

Źrenice jej się rozszerzyły, mięśnie zeszywniały i z siłą, która zaskoczyła ją samą, przepchnęła się przed pomstujących i nieustępliwych Polaków.

Nagle coś bardzo jasnego wybuchło w powietrzu.

Czerwonawa łuna zbliżała się wielkim łukiem w stronę tłumu, niczym kometa, której zadaniem jest zniszczyć ludzki ród.

Przerażeni mężczyźni i kobiety, obnażając zęby, napierali nawzajem na siebie, a niski, głuchy pomruk uniósł się nad Archibald Avenue, gdzie ludzie tłoczyli się jak bydło w za grodach rzeźni.

Błysk flary był sygnałem ostrzegawczym.

Strzelcy na dachach naciągnęli gumowe maski. Policjanci i ochroniarze na ulicy rozpychali rozszalały tłum, żeby zrobić to samo.

Elisse zamrugła, żeby lepiej widzieć. Podskoczyła. Na kładce nie było już nikogo.

Z nieprawdopodobnym krzykiem rzuciła się naprzód, torując sobie drogę ramionami. Przeciskała się przez cuchnący odorem potu, rozszalały, prący w odwrotną stronę tłum. Miała uczucie, że porusza się wolno jak w najkoszmarniejszym śnie. Dławiącą ją wściekłość przenosiła w myślach z tego potwora, Dicksona Keeleya, na jego szefa, Toma Bridgera - który widać zezwolił na tę napaść - a wreszcie na tłum ludzi dzielących ją od kładki.

- Przepuście mnie! - krzyczała w poczerwieniałe twarze. Czy jeszcze go biją?

Kapitan Nugent, który wystrzelił racę świetlną, uniósł ramię. Jego ludzie odpięli pękate granaty z wojskowych pasków i wysokim łukiem, niczym śniegowe kule, rzucili je w tłum na dole.

- Uwaga! - krzyknął jakiś mężczyzna.

Coś, co przypominało dziecięcą piłeczkę w niebieskie

paski upadło tak blisko Elisse, że słyszała, jak to coś pęka niczym porcelanowa kulka.

Z kuli tej zaczęła wydobywać się strużka zielonawego dymu, która po chwili rozeszła się na boki i utworzyła ciemnoszary obłok.

Kłęby gazu zawisły w powietrzu.

Ludzie zaczęli dławić się drażniącym gazem i chcąc zaczerpnąć tchu, wciągali coraz więcej piekącego, mdlącego powietrza. Zalane łzami matki usiłowały pod płaszczami chować niemowlęta, krztuszący się ojcowie zasłaniaли dzieciom buzie.

Ktoś - nie wiadomo, mężczyzna czy kobieta, głos był bardzo przenikliwy - krzyknął:

- Gaz trujący! Gaz trujący! Już po nas!

Tłum wokół Elisse drgnął konwulsyjnie. Z jeszcze większą siłą, niczym siódma fala, która zmiata wszystko co na drodze - wymiotujący, ogarnięci paniką ludzie rzucili się do ucieczki w boczne ulice.

Elisse poczuła, jakby ktoś wlał jej w gardło rozpalone żelazo, oczy ją piekły i nieustannie łzawiły. Gaz łzawiący, pomyślała. „To gaz łzawiący, ludzie! To tylko gaz łzawiący!” - krzyczała jak mogła najgłośniej, w nikłej nadziei, że opanuje tę panikę, a potem upuściła torebkę, żeby zasłonić usta i nie poniżyć się otwarcie wymiotując. Wokół niej rozhisteryzowani, rzygający ludzie rzucali się we wszystkie strony, nieskładnie, bezmyślnie, jak ziarna kukurydzy na rozgrzanej patelni. O Boże, Boże, myślała. Muszę się dostać do Justina. Muszę go z tego wyciągnąć.

Jakiś ochroniarz, kryjący ludzką twarz pod czarną gumową maską, stał nieporuszony jak skała, tylko co jakiś czas unosił i opuszczał pałkę. Śmiertelnie przerażona kobieta w filcowym kapeluszu całą swą miękką kobiecością natarła na Elisse i wepchnęła ją w zasięg jego ramienia. Elisse poczuła mocny cios w bark. Zachwiała się. Nieznany barczysty mężczyzna z chusteczką zawiązaną na twarzy uchronił ją przed upadkiem, przytulając do skórzanej kurtki o kwaśnym zapachu.

- Wyciągnę cię stąd, mała! - krzyknął.

- Pomóż mi! - wrzasnęła, waląc pięściami w jego pierś.

- Daj mi tylko szansę.

- Mój mąż został uwięziony na schodach! - darła się ile sił.

- Później go znajdziesz.

- Teraz!

- Trzeba uciekać od kładki!

Przez chwilę walczyli ze sobą, próbując nawzajem zmusić się do biegu w odwrotną stronę. Tańczyli w tym oszalałym tańcu, póki ich tłum nie rozdzielił. Znów nią szarpnęły mdłości. Ramię w rękawie khaki - kto wie, czy nie to samo? - wylądowało na jej głowie.

Niebieski kapelusz potoczył się na ziemię. Czują, że stopy ma jak z ołowiu, że ciągną ją w dół. Ugięła kolana.

- Justin...

Mitch nie zdejmował ręki z klaksonu, przedzierając się przez uciekających w popłochu ludzi. Zawitsky i jeszcze dwaj mężczyźni wisieli z boku na stopniach, podczas gdy na przednim fotelu furgonetki siedział zgięty wpół Justin z obwiązanym chusteczką, broczącym krwią czołem i opie rał się o ciało nieprzytomnego Colemana.

I

Dom zamieniono na punkt udzielania pierwszej pomocy. Rozklekotane stare Piątki i Modele T dowoziły rannych, a młody rudowłosy lekarz ryzykował karierę w szpitalu Forda i szyl rany, nastawiał złamane kości, przepłukiwał czerwone, zaognione oczy. Odór krwi, wymiocin i środków odkażających wypełniał mały salonik, gdzie kobiety, mężczyźni i dzieci splukiwali kwaśny niesmak w ustach napojami przygotowanymi przez Elisse i zagryzały czerstwymi paluszkami i bułkami ofiarowanymi przez związek piekarzy. Niektórzy popijali też kawę albo czerwoną oranżadę.

Okazało się, że Coleman ma złamany kręgosłup. Karetki na sygnale zabrały jego i innych ciężko rannych do szpitala Harpera przy John R. Street.

Justin siedział zgarbiony na stołku w zatłoczonej kuchni. Prawe oko napuchło mu tak mocno, że prawie nic na nie widział, a guz na czole urósł do rozmiarów moreli. Choć był bardzo oszołomiony, ścisnął dłonie rozwścieczonym związkowcom, by ich uspokoić. Udało mu się nawet w miarę zrozumiale przekonywać zaniepokojone rodziny wciąż strajkujących w zakładzie robotników, że nikomu na terenie Woodland niczego nie brakuje i nikomu nie stanie się krzywda. A jednak to Mitch zwołał przywódców pikiet i pogonił ich wraz z robotnikami z powrotem pod bramę fabryki. To Mitch udzielał oficjalnych wywiadów. Reporterzy, rozgniewani atakiem policji na nich i ich aparaty, snuli się teraz po małych pomieszczeniach i z prozwiązkowym nastawieniem notowali co bardziej interesujące opowieści z życia wzięte - błyskali fleszami robiąc zdjęcia. (Nieliczne ocalałe płytki z zarejestrowanym napadem na kładce miały ukazać się jeszcze tego wieczoru w każdej gazecie, a te

przedrukowywane w pismach i książkach przez kolejne dziesięciolecia były dowodem ciemnych rys na reputacji Toma Bridgera.)

Chudy mężczyzna o wystających zębach nachylił się nad Justinem.

- Daley z „New York Post” - przedstawił się. - Stary, wygląda na to, że potrzebne ci jakieś lekarstwo. - Odkręci! wytartą przez palce nakrętkę płaskiej srebrnej piersiówki, bez wątpienia reliktu okresu prohibicji. - Pij, to zalecenie lekarza.

- Na zdrowie - powiedział Justin odruchowo. Słodki rum palił mu przełyk i ożywiał, wrywał z odrętwienia. Zdał sobie sprawę z tego, że ma mdłości, a głowę nad oczami i uszami rozsadza mu ostry ból - jakby ktoś łupał mu w czaszkę niczym w skorupkę jajka. Mało przytomnie roz ważał, czy czasem nie są to objawy wstrząsu mózgu.

- Jeszcze jednego - zachęcał chudy dziennikarz. Justin posłuchał grzecznie, upił łyk i oddał mu butelkę. Reporter odwrócił się do wzburzonych działaczy ZRRPA, otaczających Mitcha.

Justin wyprostował się sztywno. Wracała mu zdolność myślenia.

Elisse.

Mitch mówił, że w ogóle nie dotarła do drugiej furgonetki i wobec tego pewnie wracała do domu zatłoczonymi tramwajami. Ale czy to nie trwało już zbyt długo? Zmrużył oczy i spojrzał na czerwony zegar nad drzwiami. Jak za mgłą widział rzymskie cyfry na tarczy.

- Chryste! - mruknął. - Za pięć czwarta!

Powinna już dawno tu być. Przecież już powinna tu być! Mitch i dziennikarz konferowali właśnie przy zlewie. Justin postukał Mitcha w ramię.

- Chodź ze mną - przerwał im bezpardonowo i nie czekając na odpowiedź wyszedł kuchennymi drzwiami na dwór. Mroźne powietrze ocuciło go na dobre.

- To Daley z „New York Post”. Nie możemy go zlekceważyć - powiedział Mitch, kiedy stanął przy Justinie.

- Do diabła, gdzie ona może być?

- Kto?

- Elisse.

- O czym ty mówisz? Jeszcze nie wróciła? Justin potrząsnął głową.

Mitch w zafrasowaniu ściągnął krzaczaste brwi. Widział, jak pakowano przypadkowych ludzi do karetek policyjnych.

- Musieli ją zgarnąć - powiedział ostrożnie. - Areszty aż trzeszczą w szwach.

Ich parujące oddechy mieszały się ze sobą w powietrzu. Patrzyli na siebie z przerażeniem.

- Przecież zadzwoniłaby stamtąd - zauważył Justin.

- Telefon był ciągle zajęty. - Dziennikarze dyktowali przez telefon prozwiązkowe relacje wydarzeń.

- Jadę do miasta.

- Nie możesz w tym stanie. Ja pojedę.

- Jestem adwokatem.

- Ale nie w takiej kondycji. Zresztą kaucję może wpłacić każdy.

- Nie sprzeczasz się. Masz trochę grosza? - Szarpany kolejną falą mdłości, Justin mówił głośno, jak do głuchego.

Mitch patrzył na niego badawczo, a potem wetknął dłonie w kieszenie i wyjął zniszczone, zmięte banknoty, które otrzymał jako darowiznę dla związku od dziennikarzy. Justin odliczył trzydzieści dolarów.

Od dwóch tygodni miał na sobie to samo ubranie. Zesztywniała od krwi koszula i ciężka kurtka wyglądały jak psu z gardła wyjęte. Poszedł na górę, żeby się przebrać. W trzech sypialniach siedzieli ludzie ledwie dyszący porażonymi gazem płucami. Błede dzieci pokasływały, leżąc w poprzek małżeńskiego łóżka, a młody rudowłosy doktor kłęczał na dywaniku między dwiema nieprzerwanie kaszlącymi kobietami. Justin precyzyjnie przesunął się od szafy do biurka i czekał niecierpliwie, aż ktoś wyjdzie z zamkniętej łazienki. Gorącej wody brakowało już od dawna. Trząśnięty pod szybkim lodowatym prysznicem, a potem się ogolił, już drugi raz tego dnia. Kiedy włożył na siebie garnitur i najlepszą czystą białą koszulę, spojrzął w lustro. Nie widział w nim swojej poharatanej twarzy, tylko Elisse promieniejącą miłością, kiedy mówiła ze śmiechem: „Szybka robota, Profesorze”.

Pojechał do ośmiopiętrowego budynku komendy policji przy Beaubien Street. Nie notowano jej tam. Pośpieszył do dwóch najbliższych komisariatów. Tam też nie mieli jej w areszcie.

Na zewnątrz drugiego komisariatu zatrzymał się pod latarnią. Skrzywił się - mroźne wieczorne powietrze wzma-

gało ból pod czaszką. Policja, oddając przysługę ochronie, przerzucała czasem aresztowanych związkowców z miejsca na miejsce, po drodze usiłując wybić im z głowy solidarność, aż wreszcie gdzieś, po długiej drodze, odnotowano przyjęcie ich do aresztu. Zorientują się, że to moja żona, myślał i zmrużył zdrowe oko tak, że zwęziło się do identycznej szparki, jakie tworzyło to drugie, podbite. Hugh.

Hugh będzie wiedział, za jakie sznurki pociągnąć. Justin zacisnął zziębnięte, poharatane dłonie. Jeśli odmówi, zabije go.

II

Minął wysadzaną wysokim żywopłotem prywatną aleję, która prowadziła do bram posesji Hugh. Nikt by go nie przepuścił przez wspaniałą osiemnastowieczną angielską żelazną bramę. Tereny wokół posiadłości zostały podzielone między kilku właścicieli. Justin, jako włóczący się samotnie chłopak, często tędy przechodził. Jechał teraz między przestronnymi nowymi domami stojącymi na niespełna jednohekatrowych działkach i zdążył do miejsca, gdzie stożkowate wieże dachu rezydencji widniały wyraźnie na tle osrebrzonych księżycem chmur. Zaparkował na podwórzu.

Bruk ścieżki nad jeziorem był zalany wodą albo wyrzucił się nierównościami. Justin szedł ostrożnie w ciemności i trzymając przed sobą ręce, chronił twarz przed gałęziami przerośniętych krzewów. Nagle doznał wrażenia, że ma towarzystwo, że ścieżką idzie on, miotany wściekłością i niepokojem o żonę, i on - nastolatek, przepełniony bezbrzeżną adoracją dla Toma. Boże, jakże podziwiał i nienawidził tego heroicznego geniusza, który zmotoryzował świat! Szlachetna dusza tego naiwnego młodzieńca widziała w Hugh jedynie dobroć i wielkoduszność. Jakie dziwne było to dualistyczne współistnienie wskrzeszonego w pamięci młodego chłopaka i dziś już dojrzałego mężczyzny. Dotarł do oblodzonej zatoczki jeziora, gdzie siedziały dzikie kaczki, znieruchomiałe, zawieszane między falowaniem w górę i w dół. Południowy kraniec tej zatoczki został ogrodzony murem. Kiedy Justin obchodził mur dokoła, kurczowo uczepiony tworzących go kamieni, nie raz, nie dwa słyszał trzask pękającego pod stopami lodu. Postawił wreszcie nogę na grząskiej ziemi Hugh Bridgera. Podskoczył nerwowo, słysząc daleki, niewyraźny ryk.

Potem przypomniał sobie artykuł o Iwach Hugh, który czytała mu Elisse. Okrasiała go wówczas kilkoma uszczypliwymi uwagami i powiedziała, że za koszt dziennej porcji wołowiny dla lwów można by karmić czteroosobową rodzinę przez cały miesiąc. Kiedy Justin kroczył swojskimi ścieżkami wspaniałej samotni wuja, gniew dorosłego mężczyzny i jego niepokoje zaczęły z wolna ustępować, a w ich miejsce pojawiły się dawne chłopięce uczucia; znów zamienił się w oddanego mu całym sercem, lojalnego ucznia Hugh. Zaczął patrzeć na świat oczami wuja. Przecież on przyjął go pod swój dach, ofiarował cały swój pałac, przywiązanie, zaplanował mu wspaniałą karierę i co dostał w zamian? Uciekłem z dziewczyną, której nie aprobowałem. Wróciłem do miasta tylko po to, by walczyć ze świętą zasadą Bridgerów.

Ogarnęło go gwałtowne drżenie. Wszedł przez szatnię dla służby. Nagła zmiana temperatury oszołomiła go. Przysiadł na ławie. Na chwilę złożył obolałą głowę na kolanach, a potem rozejrzał się za szczotką. Czyścił nią ubranie i zupełnie bez związku miał nadzieję, że Hugh nie będzie kręcił w czasie rozmowy.

III

Siedzieli w bibliotece i czekali na kolację.

Tom miał na sobie to samo szare ubranie, w którym wystąpił na kładce, ale Caryll i Hugh przebrali się w wieczorowe garnitury. Zoe przysiadła na oparciu fotela przy mężu, pochylała głowę nad nim tak nisko, że jedno rudozłote pasemko służyło na schludnie uczesane, rzednące ciemne włosy Carylla. Minione lata nie osłabiły jej namiętności do Hugh ani też nie wymazały ciemnej plamy upokorzenia, więc w jego obecności zawsze podkreślała swój i tak przecież serdeczny stosunek do męża. Niech nie zapomni, że mu się ofiarowałaś, szeptało jej dziwne serduszko. Pokaż mu, co stracił. Maud siedziała naprzeciwko Carylla i Zoe, a na obfitym podołku trzymała cieniutki różowy batyst, z którego robiła sukienkę dla Petry - ona w żadnym razie nie zamierzała płacić zawrotnych sum za ręcznie szyte dziecięce ubranka! Niski stolik zasłany był popołudniowymi wydaniem gazet. We wszystkich na pierwszych stronach zamieszczono zdjęcia ludzi Keeleya, atakujących Colemana i Justina Hutchinsona.

Ziarniste reprodukcje wywoływały w Tomie fale wstydu, a jego poczucie winy jak zwykle manifestowało się wybuchami furii. Zarzucał więc brata agresywnymi pytaniami, aż wreszcie Hugh wycofał się w stronę srebrnego wózka, żeby nałożyć sobie łyżeczkę czarnego kawioru na grzanekę. Palce mu tak drżały, że zrezygnował z dodania siekanych jajek i surowej cebuli.

- Powtarzam ci cały czas - odpierał ataki podniesionym głosem. - Przysięgam na wszystko, że nie wiem, dlaczego Keeley wrócił na kładkę. Ale we wszystkich raportach czytam, że Hutchinson pierwszy go zaatakował. - Przełknął kawior, nie tylko śmiertelnie przestraszony gniewem brata, ale też głęboko urażony. - Usiłowałem cię chronić, to wszystko.

- Masz o mnie niezłe zdanie - rzucił Tom. - Naprawdę sądzisz, że nie mogę się już pojawić na ulicy bez oddziału goryli, armii ekspertów od gazu i asysty wszystkich policjantów stanu Michigan?!

Igła Maud zamarła w bezruchu.

- Tom, Hugh ci już tłumaczył. Bał się o ciebie. Jak my wszyscy zresztą. Od chwili zamknięcia zakładów Detroit zamieniło się w beczkę prochu. Wszystkie fabryki samochodów zatrudniły więcej ludzi w ochronie. Hugh zrobił, co uznał za konieczne. Co cię napadło? Nigdy dotąd nie widziałam cię w takim stanie.

Tom robił co mógł, żeby panować nad sobą. Justin na pewno uważa, że działania Hugh, zbiry Keeleya, popis gazowania rozentuzjzowanego tłumu, jaki odstawił kapitan Nugent, wszystko to odbyło się za jego zgodą...

Chryste!

- Od dzisiaj będę się słodko uśmiechał na widok przygotowanych do działań wojennych okopów wokół Woodland.

- Och, ten twój wieczny sarkazm! - westchnęła Maud bez śladu nagany w głosie.

- Ludzie byli szczęśliwi. A potem przyszli czerwoni i zrobili burdę.

- Szczęśliwi? - Caryll nerwowo obgryzał skórkę przy paznokciu. - To po co ściągnęliśmy aż pięć tysięcy ochro-niarzy?

- Caryll, Caryll, ty zawsze byłeś idealistą. - Hugh wrócił na krzesło, skrzyżował nogi i skorzystał z okazji, by nieco zmienić temat. - Każda fabryka samochodów musi mieć ochronę. I dobrze o tym wiesz. Inaczej Polacy wiecznie się leją z Irland-

czykami, wieśniacy grzmocą czarnych, Włosi mordują się nawzajem, a Żydzi kradną wszystkim pieniądze. Nie dałoby się pracować ani jednego dnia, gdyby nie służby ochrony.

- Tata sobie radził.

- Ale przed tym piekielnym kryzysem. Czytałeś raport kapitana Nugenta, słyszałeś, co mówił. - Brylant w spince przy mankiecie koszuli Hugh błysnął ostrym światłem. - Wichrzyciele paliliby teraz miasto, gdybyśmy ich nie powstrzymali. Coś ci powiem, Caryll. Gdybyś posłuchał mojej rady, gdybyś nie był taki miękki, kiedy bolszewicy zaczęli okupację zakładu wulkanizacji, nie doszłoby nigdy do dzisiejszych zajść.

- Wiem, że uważasz, że nie byłem dość twardy, wuju - odparł Caryll. - I może masz nawet rację. Ale nigdy się nie pogodzę z tym, żeby kierować fabryką jak obozem niewolników.

- A co złego widzisz w rządach twardej ręki? - zdziwił się Hugh.

- Ty to tak nazywasz - wtrącił Tom kwaśno i dodał zgryźliwie: - W szpitalu Harpera mają w końcu zaledwie setkę poszkodowanych, a wśród nich tylko siedemnastu ludzi w stanie krytycznym.

- Ten potworny gaz! - wykrzyknął Caryll. - Nic dziwnego, że w panice rzucili się do ucieczki.

Zoe oparła wąską dłoń na kolanie męża.

- Nie możemy porozmawiać o czymś innym? - zapytała z nieśmiałym uśmiechem.

- Zoe ma rację - zauważyła Maud. - Co się stało, już się nie odstanie. Zamieszki się skończyły.

- Dobry początek negocjacji - burknął Tom.

- *Toujours l'audace* - powiedział Hugh. - W życiu nie zrozumieję, dlaczego nie chcesz zmanifestować swej siły.

- O Chryste... - jęknął Tom.

- Posłuchaj tylko. Można to wykorzystać z pożytkiem dla ciebie.

- A ty do końca jesteś Machiavellim, co Hugh? Chcę podejść do tego uczciwie.

- MacIlvray i jego chłopcy pracują już nad następnymi wydaniem.

- Wydaniem? Jakimi wydaniem? Hugh pokazał ręką stos gazet.

- Tu mamy tylko jedną stronę. Trzeba naświetlić sprawę z naszego punktu widzenia.

- Wstydzę się tego jak wszyscy diabli - powiedział Tom chłodno.

- To bardzo istotne, Tom. Prasa nigdy dotąd nie krytykowała ciebie osobiście. Co najwyżej nie piała z podziwu. Dzisiejsze wydania atakują cię wprost. Być może ciebie to nie złamie. Ale twój kiepski obraz w środkach przekazu może załatwić sprzedaż naszych aut na długie lata. Zaufaj mi.

- To ty mi zaufaj. - Tom podszedł do marmurowego kominka, gdzie zielona roślinność oplatała pamiątki Nevil-Ie'ów. Choć ze względu na resztę rodziny panował nad głosem, jego oczy nabrały tej samej barwy szarego granitu, jaką miały wtedy, gdy jako wyrostek, zmuszony występować w roli *in loco parentis*, został zbyt mocno wyprowadzony z równowagi hi-pochondrią czy lenistwem swego anielsko pięknego brata. -Nie będzie żadnych oświadczeń ze strony Onyxa.

- Tom...

- Żadnych cholernych sprostowań i naświetlań. A ten sukinsyn Keeley już u mnie nie pracuje. Od tej chwili nie będzie też pracował u nikogo z mojej rodziny. Jasne? Czy wszyscy dobrze zrozumieli...

Przerwał, gdy drzwi się otworzyły. Przez chwilę w bibliotece zaległa martwa cisza, a potem Tom wydał z siebie paskudny dźwięk podobny do beknięcia - zupełnie, jakby dostał cios w żołądek. Cofnął się o krok i położył ramię na półce kominka. Oparł się ciężko o marmur i patrzył w otwarte drzwi jak zahipnotyzowany.

Krzesło zatrzeszczało - Hugh się podnosił. Blizna na jego policzku wydawała się jeszcze bardziej śliwkowa, kiedy krew odpłynęła mu z twarzy.

Caryll odwrócił głowę, oczy mu się rozszerzyły, usta otwarły i zastygły, jakby, ogłupiały, chciał powiedzieć „O”.

Potem też wstał.

Robótka Maud upadła z szumem na ziemię i przykryła jej szerokie atlasowe buty.

Obelkowana w stylu Tudorów biblioteka zastygła w ciszy i bezruchu - tylko polana trzaskały w kominku.

IV

Justin czekał w progu trzymając dłoń na antycznej mosiężnej kłamce drzwi. W świetle kandelabrow dużego holu sińce na jego twarzy były jeszcze bardziej fioletowoczarne.

Czterej mężczyźni stali. W tej chwili ogromnego napięcia łączyło ich tak silne rodzinne podobieństwo, że trudno go było nie dostrzec. Mimo blizn Hugh, jego kruchej budowy i szczupłej sylwetki oraz rozjaśnianych włosów (dziwna to próżność u takiego samotnika), mimo łysiejących skroni Carylla i jego mocnej postawy odziedziczonej po Trelina-ckach, podobieństwo rysowało się bardzo wyraźnie.

A Tom i Justin byli wprost łudząco do siebie podobni, wręcz porażająco.

Ślady pobicia na twarzy Justina przywodziły na myśl obraz, na którym malarz impresjonista dodaje kilka pociągnięć pędzlem, żeby wydobyć z modelu jego prawdziwe cechy. Obydwaj z Tomem byli wysocy i obydwaj mieli ciała pełne energii i wigoru, co pomagało im przetrwać długie dni wyczerpującej, fizycznej pracy. Szpakowate i siwe włosy w ten sam sposób odbijały światło.

Hugh przenosił wzrok z jednego na drugiego i chociaż wstrząs, jakiego doznał na widok ukochanego i znienawidzonego zarazem bratanka, był tak wielki, że dławiał mu gardło, uśmieшек satysfakcji wykrzywił twardo zarysowane usta. Uśpiona długo genetyka, która wreszcie dała o sobie znać, dokładnie pasowała do jego teorii i wiary w związki krwi. Skrywane dziedzictwo nie może na zawsze pozostać w ukryciu.

Spojrzenie Carylla też wędrowało na przemian od ojca do Justina, aż wreszcie przycisnął rękę do brzucha, kiedy w bardzo fizyczny sposób dotarło do niego wstrząsające odkrycie ściśle strzeżonej tajemnicy.

Maud przyglądała się zza okularów tylko Justinowi, nie patrzyła na Toma, bo i po co? Znała twarz męża na pamięć.

Jej rumiane, nigdy nie różowane policzki zapadły się nagle, a z głębi pulchnej piersi wydobył się dziwny skowyt.

Zoe, która nie odrywała dotąd wzroku od Carylla, wreszcie odwróciła głowę. Zobaczyła Justina.

Dla niej był tylko cudownie zmaterializowanym bratem -w galimatiasie uczuć dostrzegła tylko to. Palce omsknęły jej się na kryształowej nóżce kieliszka, krople martini spadły na wymyślnie udrapowany błękitny dżersej wieczorowej sukni. Odstawiła kieliszek na stolik i w niezwyklej ciszy dźwięk szkła rozdzwonił się nienaturalnie głośno.

Justin zamknął drzwi.

Oboje patrzyli na siebie z natężeniem i tęsknotą, które

przegnały wszelkie żale i nieubłagane zwycięstwa czasu. Wróciły niewinne duchy przeszłości: silny, nieprzejednany uczciwy starszy brat i pełna temperamentu, kapryśna, piękna dziewczyna, którzy mieszkali w wysokim wczesnowiktoriańskim domu u boku radosnej, ciemnowłosej kobiety.

Justin otworzył ramiona, a Zoe rzuciła się do niego przez bezcenny antyczny dywan z Aubusson. Objęli się w pół i przywarli do siebie.

- Och, twoja biedna twarz - szepnęła zadyszana. - Twoja biedna, biedna twarz.

- Zozo, tak mi cię brakowało.

- Posiwiłeś. - Przytuliła ciepły, pachnący perfumami policzek do jego policzka. Delikatny dotyk jej twarzy wyzwolił w jego głowie nową falę bólu. Łzy zalśniły mu w oczach. Pocałował Zoe i odsunął się od niej, biorąc jej dłonie w ręce.

Tom nie odrywał oczu od Justina, a Maud swoim wzrokiem obserwowała zespolonych w uścisku brata i siostrę.

Tylko Caryll wciąż patrzył to na jednego, to na drugiego mężczyznę, a na jego twarzy malował się ból i przestroch.

Zoe? - jego wargi poruszyły się bezgłośnie. Zoe też?

Hugh bębnił palcami o poręcz krzesła, wywołując tym samym irytujący dźwięk, z którego wcale nie zdawał sobie sprawy. Zaskoczony radością, jaką odczuł na widok Justina, wstrząśnięty nagłym odrodzeniem się miłości do bratanka, przerażony obrażeniami Justina, powiedział pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy:

- Nie słyszałem samochodu.

- Szedłem ścieżką nad jeziorem od strony Guelina. Prze skoczyłem przez mur, a potem wdarłem się wejściem dla służby.

- Tak, to wejście jest zawsze otwarte.

Justin oparł się o framugę drzwi. Chciał jak najszybciej zapytać o Elisse. Zawroty głowy skłonny był bardziej przypisywać niepokojowi o żonę niż skutkom pobicia. Spodziewał się samego Hugh. Nie brał pod uwagę ceny, jaką zapłaci za emocje związane ze spotkaniem siostry i całej rodziny Bridgerów. Głęboko wciągnął powietrze, żeby odzyskać równowagę.

- Tato? - wymamrotał Caryll, wyciągając dziecinnie rękę w stronę ojca. - O Boże, tato!

Zniknął ten charakterystyczny, cyniczny wyraz twarzy

Toma. Dolna część jego długiego, prostokątnego oblicza zapadła się, jakby Tom nagle stracił zęby i stał się smutnym, żalonym starcem. Odwrócił wzrok od oskarżającej, pokaleczonej twarzy Justina i palących, przerażonych oczu Caryll-la. Oparł łokcie na półce nad kominkiem.

Szlifowane topazy unosiły się i opadały na spokojnym, burobrazowym atłasie sukienki. Z nagłym, nieoczekiwanym wybuchem śmiechu Maud wyrzuciła z siebie:

- Teraz już rozumiem, dlaczego tak bardzo chciałeś się z nią żenić!

Tom nie drgnął. Blask ognia kładł się rdzawymi wzorami na jego siwych włosach.

- Mamo, więc to prawda? - zapytał Caryll.

- Wszyscy mówili, że to dziwka.

- Co to ma znaczyć? - Zoe wykrzyknęła piskliwie.

- Mamo? - powtórzył Caryll.

- Masz oczy - odparła Maud głośno. - Sam osądź. Caryll nie spojrzał ani na ojca, ani na Justina. Dotykając czubkiem języka górnej wargi wyszeptał:

- Tak...

Zoe przeszła przez bibliotekę i stanęła przy mężu.

- Caryll, proszę cię. O co chodzi?

W pierwszej chwili objął żonę. Potem gwałtownie cofnął ramię, jakby jej wspaniałe ciało odlane było z rozpalonego metalu.

- Ona nie jest twojego ojca. - Maud zaśmiała się z goryczą. - Do Anglii pojechał dopiero po jej urodzeniu. Inaczej, mogę cię zapewnić, że jak nic byłaby jego.

- O czym wy wszyscy mówicie? - krzyknęła Zoe, potrząsając burzą płomiennych włosów w charakterystycznym geście gniewu z okresu dzieciństwa. - Nie mogę tego znieść!

- Justin i Caryll są braćmi - oznajmiła Maud z mściwym zadowoleniem.

- Szwagrami - sprostowała Zoe.

- Przyrodnimi braćmi - powtórzyła Maud z naciskiem. Zoe opadła na kanapę. Po chwili obróciła zaskoczone oczy na Justina. - To prawda?

„Lecz w rysach mych, liczni towarzysze Widzą ojca mojego oblicze.”

- Chyba tak. Tak.

- Tato Bridger? Mamo?

Skinął głową.

- Ale to niemożliwe... Był też stryj Andrew... Taki potworny... Straszny... - Szept Zoe był ledwie słyszalny. - Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym?

- Kiedy się sam dowiedziałem, wyjechałem z Detroit. Czułem... wstyd. Zozo, chyba to rozumiesz, prawda? Wstyd. Ramiona Toma wyraźnie drgnęły pod świetnie skrojoną marynarką, ale poza tym trwał bez ruchu. Jego wewnętrzny niepokój spowodowany wyjawieniem największej tajemnicy Antonii przyćmił narastającą w bibliotece historię.

- A więc jesteś bratankiem Hugh. Dlatego przywiózł nas do Ameryki. - Na nieskazitelnie okrągłej szyi Zoe pojawiły się czerwone plamy. - Kto ci o tym powiedział?

Hugh wstrzymał oddech i bębnił palcami po nodze. Gdzieś w biurowych pomieszczeniach zadzwonił telefon, potem umilkł.

- Dowiedziałem się, i już.

- Jak? - nalegała Zoe.

- Einstein. - Justin wykrzesał z siebie krzywy uśmiech. - Udowodniłem teorię względności.

Hugh odetchnął nerwowo. Listy Toma na zawsze pozostaną jedynie kupką popiołu. Justin nigdy go nie zdradził, i gdybyż tylko o tym wiedział, zaoszczędziłby sobie tego dziesięcioletniego stapania na palcach wokół brata i wszelkich niepokojów. Dawne, rodzinne uczucia z każdą chwilą brały go w coraz mocniejsze władanie.

- Zoe...? - wydusił z siebie Caryll.

- Twoja matka ma rację, Caryll - odparł Justin. - Nie martw się. To nie ma nic wspólnego z Zoe. Tylko ja jestem czarną owcą. - Zmusił się do kolejnego, ponurego uśmiechu.

- Wyglądasz fatalnie - zauważył Hugh. - Może się napijesz. Jak dawniej szkockiej?

- Nie, nic. Dziękuję.

- Trzeba cię trochę pokrzepić.

- Naprawdę źle wyglądasz - włączyła się Zoe.

- Nic mi nie jest.

- Po co przyszedłeś? - spytała Maud obcesowo.

- W związku z negocjacjami? - zapytał Caryll.

Justin rozstawił zabłocone buty. Na jego posiniaczonej twarzy pojawiła się czujność i pewna wrogość - zupełnie tak, jakby nagle uświadomił sobie, że jest na terytorium wroga. Spojrzał Hugh prosto w oczy.

- Moja żona zniknęła.
 - Twoja żona? - W głosie Hugh nie słychać było już ciepła.
 - Chcę ją mieć z powrotem.
 - Nie ma jej tu - odparł Hugh aż nadto grzecznym tonem. - Mogę cię solennie zapewnić, że tutaj jej nie ma.
 - Elisse też tam dzisiaj była? - zapytał Caryll.
 - Tak. Miała mnie spotkać przy furgonetce, kiedy zejść z kładki. W ogóle tam nie dotarła. Nie wiem, gdzie jest, ale policja zgarnęła dziś wielu ludzi.
 - Jeśli ją aresztowali, możesz wpłacić kaucję.
 - Próbowałem. - Między szparkami opuchniętych powiek błysnęły intensywnie niebieskie tęczęwki. - Nie została odnotowana.
 - To znaczy, że jej nie aresztowali.
 - Znajdź ją.
 - Obawiam się, że nie mam takich środków.
 - Policja siedzi ci w kieszeni.
 - Nie nazwałbym tego w ten sposób. Proponuję, żebyś zadzwonił do jakichś jej koleżanek ze związku. Może wpadła do którejś na plotki.
- Tom odstał od kominka. Zaciskał i rozprostowywał lewą pięść. Przemówił pierwszy raz od chwili, gdy pojawił się Justin: - Dzwon do Ardena.
- I co, mam powiedzieć, że zgarnęli ją pod fabryką? - sprzeciwił się Hugh. - Skąd miałby coś o niej wiedzieć? Szef policji?! W taki dzień jak dziś?
 - Dzwon. - To był rozkaz.
 - Nie mam po co.
- Tom podszedł do zacienionej niszy, gdzie na elżbietań-skiej komodzie o cienkich nóżkach stał telefon.
- Jaki jest jego telefon domowy? - warknął. Hugh wyrecytował z pamięci.
- Tom wykręcił numer, przedstawił się i poprosił komendanta Ardena. Czekać włączył stojącą lampę i elektryczne światło zaalało ciemną niszę. Bez słowa powitania powiedział do słuchawki, że szuka pani Elisse Hutchinson, tak, owszem, żony przewodniczącego ZRRPA. Poinformował Ardena, że ostatnio widziano ją w zamieszaniu na Archibald. Potem milczał i słuchał, a przez jego twarz przebiegł lekki skurcz. Uniósł górną wargę i obnażył nierówne białe zęby. „Rozumiem” - powiedział matowym głosem, po czym słuchał

Ardena jeszcze przez pół minuty i w końcu odłożył słucha wkę - delikatnie, jakby była zrobiona ze szkła. Justin podszedł do niego.

- Gdzie jest?

- Sporo kobiet zwieziono do piątego komisariatu.

- I jest tam?

- Prawdopodobnie. Zawiozę cię.

- To zupełnie zbędne - zaprotestował Hugh. - Gallagher odprowadzi go do samochodu.

- Właśnie - przytaknęła Maud. Wokół jej ust zmarszczki ułożyły się koncentrycznie i teraz jej twarz przypominała ilustracje rozgniewanego boga wiatrów. - Zostajesz na miejscu, Tom.

- Idziemy, Justin.

- Nie wolno ci iść! - wykrzyknęła.

- Maud... - upomniał ją Tom prosząco, ale w jego głosie zabrzmiała groźba.

- Urodziła ci bękarta...

- Dosyć! - warknął Tom.

- Zawsze byłem uczciwa wobec ciebie! Ale ty okłamywałeś mnie każdego dnia!

- Porozmawiamy o tym, jak będziemy sami.

- Ha! Jakby to w ogóle dało się wytłumaczyć! Nie rozumiem cię. Najpierw z całych sił pchasz go w górę, potem przez wiele lat nie zamieniasz z nim choćby słowa, a teraz znów stajesz po jego stronie, jak gdyby nigdy nic! Kto zgadnie, co się tam lęgnie w tej głowie poza samochodami i metodami produkcji! Niech będzie. Ja cię nie mogę zrozumieć, ale ty możesz zrozumieć mnie! Tom, nie wyjdiesz z tego domu!

- Chodźmy, Justin.

- Tom... - zaczął Justin.

- Ani się waż, Tom! - krzyknęła Maud przenikliwie.

- Ruszamy - Tom zwrócił się do Justina.

- Jeśli wyjdiesz z tego pokoju, to z nami koniec! - Maud nie chciała go szantażować, ale nie mogła stłumić w sobie ani uczucia, że, pokonana przez martwą rywalkę, zawsze grała drugie skrzypce w sercu Toma, ani też niewzruszonej uczciwości. Było tak samo jak tamtego dnia przed laty w prywatnej kabinie na statku, kiedy syreny zawodziły we mgle. Otworzyła usta i wyrzuciła z siebie całą gorycz i mękę: - Idź z nim, a jeśli idzie o mnie,

to tak samo, jakbyś znowu położył się na tej chudej, czarnej suce!
Tom chwycił Justina za ramię i wypchnął go z biblioteki.

v

Przez kilka minut żadna z czterech siedzących w bibliotece osób nie odezwała się słowem, ale przestronny ciepły pokój aż tętnił echem podniesionych głosów.

Hugh odsłonił okno i obserwował oddalające się czerwone światła. Myślał o bratanku i o Tomie, teraz prowadzącym Onyxa. Poczł dreszcz na skórze. Dopiero po dobrej chwili dotarł do sedna swych uczuć. Został odstawiony na boczny tor. Odrzucony. Osamotniony. Zapomniany. Powinienem być z nimi. To moja rodzina, myślał. (Nigdy nie czuł takiej więzi z mniej żywiołowym Caryllem.) Ale kim ja dla nich jestem? Karłem rozdętym wielkimi marzeniami z przeszłości, opętanym myślą o stworzeniu wspaniałej dynastii. Zeszpeconym i pokancerowanym. Jestem samotny, myślał Hugh. Samotny i zapomniany.

Tylne światła samochodu zniknęły za zakrętem. Hugh podszedł do barku i nalał sobie dużego drinka. Jestem sam, za to otoczony zbytkiem, pocieszał się w myślach. Mam słowiańskie delikatesy: rosyjski kawior i polską wódkę. To jednak wcale go nie koło.

Maud zacisnęła ręce na podołku. Siedziała jak wykuta z granitu, jakby nagle przybyło jej piętnaście kilo. Po co rzuciła to wyzwanie? Chociaż odkrycie, kim naprawdę jest Justin, wstrząsnęło nią i poraziło, już dawno powiedziała sobie, że mężczyźni są, jacy są, a przeszłość jest przeszłością. Dlaczego więc fakt, że Tom chciał swego naturalnego syna zawieźć na komisariat, uznała za tak potworną zdradę? Czyżby padła ofiarą irracjonalnej zazdrości? Antonia nie żyła, a jeśli idzie o „tamto” - tak właśnie myślała o cudzołóstwie Toma - Maud zawsze była realistką. Okłamał mnie. Oszukiwał od samego początku, zbudował życie na kłamstwie, dlatego jestem teraz w takim stanie. Jej uczciwość buntowała się przeciw temu. Ale skoro to właśnie oszustwo doprowadziło ją do wybuchu furii, skąd brały się te straszne, gorączkowe wizje, w których dźgała Antonię nożem, strzelała do niej z rewolweru i zaciskała ręce na jej wiotkiej, długiej szyi? Skąd te mordercze instynkty? Zgięła się sztywn-

no i po omacku szukała robótki. Nie wiedząc, co robi, zaczęła szarpać różowy materiał, rozrywając drobny szew.

- Mam Bridger... - bąknęła Zoe. - Niszczysz sukienkę... Maud nie przestawała ciągnąć materiału.

Z oczu Zoe ciekły nieme łzy w niczym nie umniejszające jej urody. Ten płacz nie miał nic wspólnego z teściową. Choć odkrycie, że Justin pochodzi z nieprawego związku, wstrząsnęło nią do głębi, największe wrażenie zrobił na niej jego wygląd - biedny Justin, tak strasznie pobity, a taki jej drogi. Wreszcie, po latach, zapomniała o sobie i pomyślała o nim. Płakała ogarnięta litością spowodowaną jego bolesnymi ranami na twarzy i tym pełnym poniżeniem, zawstydzonym uśmiechem. Justin, którego zawsze uważała za człowieka silnego, nie do pokonania, okazał się nieodporny na ciosy, zupełnie tak samo jak ona. Może nawet jego łatwiej było zranić, bo dobro nie umie się skutecznie bronić. Osuszając łzy chustką, spojrzała na Carylla.

Jego schludnie zaczesane kasztanowe włosy były zlepione potem. Podchwyciwszy wzrok żony, powiedział:

- Mam nadzieję, że tam jest.

- Kto?

- Elisse. Musi tam być. - Potrząsnął głową i wrócił do bolesnych myśli.

Od najwcześniejszych lat z rozpaczliwie niewielkim powodzeniem usiłował wypełnić swą łagodną artystyczną duszę formą, jaką stworzył dla niego ten żelazny gigant, który zbliżył do siebie krańce ziemi i wykuł narzędzia masowej produkcji. Choć jako dorosły człowiek zaczął po cichu kwestionować dobrodziejstwa linii montażowej, nigdy przecież nie zwątpił w geniusz ojca. Tom Bridger był wielkim człowiekiem. Altruista-miliarder - ofiarował światu pierwszą siedmiodolarową dniówkę - i błyskotliwy oryginał - od czubka pełnej intuicji, formalnie niewykształconej głowy aż po wąskie, czasem znoszone obcasy. Nawet jego wybuchy złości wobec syna nosiły znamiona wielkości i dlatego były godne podziwu.

Po raz pierwszy w życiu Caryll dostrzegł ciemne, szpecące plamy na wizerunku idola.

W jakimś skomplikowanym przeblasku jasności, zrozumiał, że to nie fakt, iż ojciec spłodził nieślubne dziecko, obrażał jego godność. (W gruncie rzeczy, kochając i szanując Justina, ze świadomości, że jest jeszcze jeden syn tego

ludzkiego giganta, czerpał poczucie bezpieczeństwa). Nie. To sposób, w jaki ojciec traktował Justina, wywołał w nim ból, zapewne zbliżony do tego, jaki odczułby stojąc nad grobem Toma. Caryll analizował w myślach surowe, hańbiące zachowanie Toma, który tak bardzo trzymał Justina na dystans - nawet po tamtej historii w szkole, kiedy odrobina serdeczności byłaby całkiem naturalna. Znalazł wreszcie odpowiedź na swoje tłumione pytania, związane z hojnością ojca okazywaną Justinowi. Najwyraźniej Tom żywił gorące uczucia wobec drugiego syna, choć za nic nie chciał przyznać się do ojcostwa. Caryll, oddany, czuły rodzic, był tym dogłębnie wstrząśnięty. Zgarbił barki, jakby ktoś włożył mu na nie cały świat. Usłyszeli pojedyncze stuknięcie do drzwi.

- Podano do stołu - oznajmił wysoki, szczupły lokaj.

- Nie zostajemy na kolacji - powiedział Caryll zaskakująco nieuprzejmie. - Sprowadź mój samochód.

- Oczywiście, proszę pana. - Kroki lokaja ucichły raptownie, kiedy zamknął za sobą metalowe przeciwpożarowe drzwi, prowadzące do kuchennego skrzydła.

- Pojadę z wami - odezwała się Maud. Jej twarz znów nabrała koloru, na policzkach wystąpiły czerwone plamy.

- Z przyjemnością cię podrzucimy.

- Nie wracam na Farmę.

Caryll przyjrzał się matce badawczo, a potem spytał cicho:

- Chciałabyś pomieszkać jakiś czas z nami?

- Tak. - Maud wrzuciła rozprutą sukienkę do torby z przyborami do szycia. - Dopóki nie rozejrzę się, komu najlepiej byłoby zlecić przeprowadzenie rozwodu.

Wszyscy na nią spojrzeli.

W pierwszej chwili Hugh rozdął nozdrza, ale już zaraz opanował się i przywołał na twarz wyraz zatroskania; wszedł w dawno ustaloną rolę opiekuna i ochmistrza Toma. Wszystko się do tego właśnie sprowadzało. Tak, Tomowi będzie lepiej bez żony.

- Daj spokój, Maud. Jesteś na to przecież zbyt rozsądna.

- Mam tego potąd! - krzyknęła.

- Rozumiem, że to dla ciebie szok, ale, Maud... Nie można tak po prostu zrezygnować z całego życia spędzonego wspólnie ani z dobrego małżeństwa...

- Zawsze chciał tylko jej!

- Ty jesteś jego żoną. Ty mu pomogłaś, kiedy nie miał nic. Ty stworzyłaś mu dom i dałaś dziedzica. Zawsze polegał na tobie i twojej uczciwości.
- A cały czas ona trzymała go pazurami. Poprzez Justina.
- Teraz mówiła głośnym, pełnym bólu szeptem.
- To mnie powinnaś oskarżać - prostował Hugh. - To ja wsadziłem palec między drzwi i ściągnąłem Justina do Detroit.
- Zawsze wyręczałaś go w każdej brudnej robocie! Hugh skrzywił się, ale powiedział gładko:
- Przynajmniej zostań na kolacji.
- Nie odwiedzisz mnie od niczego, Hugh! - wykrzyknęła.
- Dlaczego nie powiedział mi prawdy? Ja go nigdy nie oszukałam. Dbał o jej reputację czy co? Dlaczego kłamał? To mnie właśnie tak boli. To oszukiwanie, udawanie. Zupełnie, jakby mi zależało na tym, gdzie wtyka swojego małego! Buchnęła z niej wulgarność, na twarzy odmalowało się cierpienie. Hugh spojrzał na Maud, na jej czerwone policzki i spocone czoło i przez krótki moment odczuł nawet współczucie dla szwagierki. Podobnie jak on, Maud też żyła w cieniu Toma i jak on pragnęła, by odwzajemniał jej uczucia.
- A tu maskarada i kłamstwa! Dobrana z was para! Zawsze oszukiwaliście, gdy tylko chodziło o tę dziwkę... Zoe zakryła uszy i wybiegła z biblioteki. Caryll ruszył za nią. Trzymał się z tyłu, za jej zmysłowo tańczącymi krągłymi pośladkami, aż doszli do wąskiego korytarza o marmurowej podłodze, gdzie nie słychać już było krzyków Maud.
- Nie mogłam tego dłużej znieść - powiedziała cicho, nie odrywając wielkich, przepaszających oczu od twarzy męża.
- Och, Caryll, wracajmy do domu.
- Musimy poczekać na mamę - odparł ze łzami. Rzucił się do szatni dla gości, żeby wyjąć stamtąd ubrania i odzyskać panowanie nad sobą. - Pamiętasz, Zoe, jak nabijaliśmy się z tego nabożnego stosunku Justina do ojca, twojego ojca, ze zdjęć i pamiątek, jakie przechowywał? - Obrócił się, żeby nałożyć jej etolę na ramiona, i poczuł w nosie łaskotanie specjalnie skomponowanych dla Zoe perfum, unoszących się z futra z brunatnych kun. - Wyobrażasz sobie, jak musiał się poczuć, kiedy odkrył prawdę?
- Było mi go tak strasznie żal... Nigdy nie widziałam, żeby się wstydził.
- Ja też nie mogłem na niego patrzeć. Boże! W tym, jak go

tata traktował, jest coś patologicznego! Nigdy go nie zapraszał, w ogóle was nie zapraszał na Framę. Nigdy. Nawet wtedy, kiedy byłoby to zupełnie naturalne. A kiedy latem, rok po roku, pracowaliśmy w Hamtramck razem z Sinclairami, wiesz jak to było? Nasza czwórka zawsze jadła w dyrektorskiej stołówce, ale Justin nikt tam nigdy nie zachęcał. Prócz tego, że ja wziąłem go ze sobą kilka razy. I to wszystko robił ojciec?! Ciągle go pomijał?! Zawsze przydzielał mu najtrudniejsze zadania i bardzo rzadko chwalił.

- Ale później dawał mu odpowiedzialne stanowiska.

- Justin zasłużył sobie na awans. Ale owszem, masz rację, jest w tym pewien paradoks.

- Paradoks?

- Od chwili, kiedy Justin pojawił się w Onyksie, tata o mało ze skóry nie wyskoczył, żeby nauczyć go wszystkiego. Wszystkiego o samochodach, silnikach, mechanice, o planowaniu przemysłowym, tego wszystkiego, w czym sam jest genialny. - Zmrużył oczy. - Teraz, jak się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że najwyraźniej chciał ograniczyć ich stosunki do układów czysto zawodowych. Ale dlaczego? Mógł powiedzieć o tym przynajmniej rodzinie. Mama czułaby się daleko mniej dotknięta niż teraz, kiedy dowiedziała się o wszystkim w taki sposób. I Bóg mi świadkiem, że ja też jestem tym złamany. - Caryll niezręcznie wciągnął na siebie palto. - Pamiętasz, jak to było z naszym prezentem ślubnym? Mówiłem ci, że chciał zapisać Justinowi dokładnie tyle samo akcji co nam. Kiedy spytałem go dlaczego, wykręcił się mówiąc, że chce go zatrzymać w Onyksie. Ale teraz sądzę, że chciał zadbać o to, byśmy obydwaj dziedziczyli wszystko po połowie.

- To chyba o czymś świadczy, prawda?

- Ale o czym?

- Myślisz, że bardzo zależy mu na Justinie?

- Zawsze miałem takie wrażenie, że zależy mu bardziej, niż chce się do tego przyznać. Ale kiedy Justin wyjechał, nigdy nie próbował się z nim kontaktować. Dopiero dzisiaj w południe zobaczył go pierwszy raz. Wyobrażasz sobie, że mogłabyś dziesięć lat przeżyć nie widząc Clarice, Petry czy Lynn?

Zoe oddana sercem swym małym córeczkom, odpowiedziała:

- Nie wyobrażam sobie tego. W ogóle niewiele z tego

rozumiem... Myślisz, że ojciec nie szukał z nim kontaktu dlatego, że...że ona jest Żydówką?

- W tej rodzinie to Hugh jest bigotem, nie tata - przypomniał Caryll chropawo. - Słuchaj tylko, jak autorytatywnie to mówię! Cóż ja wiem o tacie? Tylko tyle, że dla mnie był wzorowym ojcem, a drugiego syna traktował wprost potwornie.

- Caryll...

- Tak?

- Czy twoje uczucia do mnie są wciąż takie same?

- Co za pytanie.

- A jeśli okaże się, że ze mną jest podobnie jak z Justi-nem...?

- Że jesteś moją siostrą?

- Tak.

- Zachowałem się idiotycznie, zadając to pytanie. Jednej rzeczy jestem absolutnie pewien. Hugh za bardzo dba o czystość dynastii, żeby pozwolić nam na kazirodztwo. -W jego głosie zadźwięczała niezwykła dla niego ironia. Po omacku opatulał się szalikiem.

- Ale załóżmy, że... - Opuściła gęste, ciemne rzęsy. - Czy nadal byś mnie kochał?

- Och, Zoe, gdybym umiał przestać cię kochać, zrobiłbym to już wiele lat temu.

Jej westchnienie zmierzwiło włoski futra.

- Dziwnie się czuję, kiedy pomyślę, że twój tata romansował z moją mamą.

- Spotkałem ją tylko raz, na otwarciu fabryki w South-wark, ale była taka czarująca, że jeszcze dziś pamiętam, jak dobrze czułem się w jej towarzystwie. Z całą pewnością nie była dla niego jedną z wielu przygód.

- Skąd ta pewność? Przecież ledwie przed chwilą mówiłeś, że tata jest dla ciebie wielką mroczną tajemnicą.

Mimowolnie westchnął.

- Kolos na glinianych nogach - mruknął.

Zoe w srebrnych wieczorowych sandałkach była wyższa od męża. Spoglądając w zmartwione, zmęczone oczy Caryll-a, z czułością poprawiła jego biały jedwabny szalik.

- To nie twój kłopot, Caryll.

- Naprawdę? Przed chwilą właśnie odkryłem, że tyle lat unikał wywiązywania się z najbardziej podstawowego obowiązku!

Twoja mama chce od niego odejść. Ty też gotów jesteś to zrobić?

Mam zbyt duży mętlik w głowie, żeby teraz się nad tym zastanawiać.

- Biedny misiaczek.

- Tata mnie potrzebuje - powiedział wbrew swojej woli, a potem dodał ze złością: - Ta praca jest wykańczająca!

- Tak. Stąd twoje kłopoty ze zdrowiem.

- Połowę czasu tracę na to, żeby odgadnąć, co on zrobiłby na moim miejscu.

- Caryll, wiem, że czasami jestem... niedobra. Ale to nie znaczy, że nie stoję u twego boku. Bardzo mi na tobie zależy. Bardzo. Cokolwiek postanowisz, możesz na mnie liczyć.

Ujął jej ciepłą, wąską dłoń, wdzięczny, że mimo wszelkich niedoskonałości charakteru jego piękna żona nigdy nie była chciwa i zachłanna. A potem przypomniał sobie twarz ojca podczas rozmowy z komendantem Ardenem.

Zobaczył znów wargę obnażającą zęby, błysk przestachu w oczach. Co takiego usłyszał, że postanowił pojechać z Justinem? Caryll poczuł, jak dreszcz biegnie mu po krzyżu. Mam nadzieję, że nic się jej nie stało, myślał i choć cieszył się rzadką chwilą, kiedy on i Zoe rozumieli się bez słów, znał ją na tyle dobrze, żeby nie wypowiadać swoich obaw głośno.

Usłyszał z holu ciężkie kroki matki i wszedł do szatni po futro z soboli.

I

Zimne stare ulice Detroit zalegała ciężka cisza. Zarówno w rezydencjach, jak i biednych domkach zaciągnięto zasłony, opuszczono rolety. Wystawy sklepów zabezpieczono kratami. Tu i ówdzie przejechał zbłąkany samochód, na chodnikach nie widać było pieszych. Po przeżyciach dnia miasto lizało rany.

Komisariat mieścił się na wschodnim krańcu Highland Park, daleko od domu Hugh. Tom siedział przygarbiny, mocno ściskając kierownicę i prowadził małą Siódemkę coupe, gazując jak na wyścigach.

Pędził Lake Shore Drive w zupełnej ciszy.

Mimo dławiącego niepokoju o Elisse Justin nie mógł pozbyć się skrępowania - nie, to było coś więcej niż tylko niemieckie roztrzęsienie, ogarniające go w obecności Toma. Między nimi na skórzanych fotelach przysiadły lata życia w zakłamaniu. Choć prawda wybuchnęła w bibliotece Hugh przed kilkoma zaledwie minutami, dopiero wtedy, gdy Tom naprawdę uzna swoje ojcostwo, dzieląca ich bariera zniknie, a Justin odzyska utraconą godność. Stara jak świat historia. Tak, Justin chciał - choć to może szalenie dziecinne - usłyszeć, jak Tom, lakonicznie i bez emocji, przyznaje, że jest jego ojcem. Dziecinne to, może i naganne, ale bardzo mocno w nim tkwiło. Spojrzał na Toma. W przyćmionym świetle widziana z profilu znajoma twarz wydawała się całkiem spokojna. Czyżby ta katastrofalna scena w ogóle go nie obeszła? Jak mógł udawać, że nic się nie stało, tam, wśród drogocennych białych kruków Hugh? Dlaczego nie chce uznać prawdy? Dlaczego milczy tak zawzięcie?

Zagubiony pośród pytań bez odpowiedzi, szarpany lękiem o żonę, usiłował oderwać myśli od swoich prywatnych

spraw i zaczął opracowywać w głowie główne punkty mających się nazajutrz zacząć negocjacji.

Tom zahamował na czerwonym świetle przy pustym skrzyżowaniu. Gdy mrugnęło zielone, ruszył dalej ulicą Jefferson.

- Powinieneś był skrócić, Tom.
- Nie bój się. Dowiozę cię na miejsce.
- Zbaczamy z drogi.
- Małeńki objazd.

Po zwykle zatłoczonym centrum teraz prawie nikt nie jeździł. Pod jasno oświetlonymi kinami nie stały kolejki po bilety. Nie było nikogo nawet pod Hindu, kinem Foxa przy Woodward. Dopiero po chwili Justin zrozumiał, że jadą w kierunku domu zbudowanego przez jego stryjecznego dziadka, domu, w którym mieszkała matka. Ulga. Rozluźnił zeszywniałe mięśnie. Tak miało być. Miał jechać opustoszałym miastem. Takie było widać przeznaczenie, że Tom chciał mu o tym powiedzieć właśnie w starym domu. Przestał się martwić, ból głowy ustąpił.

Ciężkie czasy nastały dla Woodward Avenue. Wspaniałe zadaszanie z koron starodrzewu zniknęło. Biura handlowe, sklepy, byle jakie restauracyjki, tanie spożywczaiki wciskały się między niegdyś dumne rezydencje, z których wiele, oszpeconych od frontu metalowymi schodami przeciwpożarowymi, zamienionych zostało na pensjonaty albo kamienice z pokojami do wynajęcia.

Między białymi wieżami rezydencji majora lśnił biały neonowy napis: KAPLICA POGRZEBOWA NALLEYA.

Pieczołowicie zadbane ongiś ogród zamienił się w zadaszony parking dla samochodów żałobników.

Tom zaparkował przy krawężniku. Wyłączył bieg, podga-zował gasnący silnik i spojrzał na dom.

- Wersal w starym Detroit.
- Architekt miał w oczach Chenonceaux, przynajmniej tak mówiła mama. - Coś ścisnęło go w gardle, kiedy ją wspomniał.

Tom zrobił jakiś niezdecydowany ruch, wyciągając rękę do Justina - nieudana próba kontaktu fizycznego, przez co tym bardziej gorzka. Oparł dłoń na dźwigni zmiany biegów.

- Minęło dużo czasu. Brakowało mi ciebie, Justin. Radosna wdzięczność ogarnęła Justina, poruszył się nie-

spokojnie na fotelu, spodziewając się, że zaraz dojdą do głosu jego własne wyrzuty sumienia.

- Często pisałem.

- Naprawdę? Nie dostałem żadnego listu.

- Nigdy ich nie wysłałem.

- Wykradłem Caryllowi zdjęcia twoich dzieci - wyznał Tom.

- Wykradłeś? - Justin słyszał, że głos drży mu niepokojąco, zupełnie tak jak w arii u Verdiego, gdy kompozytor chciał podkreślić desperacką nadzieję. Powiedz to wreszcie, myślał. Powiedz teraz.

- Trzeba było iść prawie godzinę, żeby dotrzeć aż tutaj. Oczywiście jeśli nie miało się roweru - zaczął Tom. - Nawet dorożką trwało to pięć razy dłużej niż teraz. Odległości, mój drogi, gdybyś wcześniej o tym jeszcze nie słyszał, bardzo się skurczyły.

Nagła zmiana tematu, bliskość dźwięcząca w stłumionym głosie, która przeobraziła się w żartobliwą rubaszość, pozabawiły Justina wszelkich złudzeń.

- Miałeś w tym swój znaczący udział - stwierdził beznamiętnie.

- Nie mówię tego, żeby podbijać sobie bębenek, ale siedzisz obok człowieka, który przyczynił się do upadku obyczajów w młodym pokoleniu, zwiotczenia mięśni, bólów krzyża i dręczącej naszą populację obstrukcji. Dodajmy jeszcze zmniejszoną liczbę wiernych w kościołach. Przeze mnie więcej jest też dzisiaj rabunków, złodzieje mogą szybciej uciec z miejsca przestępstwa. Pijakom i imbecydom dałem do ręki śmiercionośną broń. Zniszczyłem krajobraz motelami i wielkimi tablicami przy drogach. Dołożyłem kłopoty z parkowaniem i wyludnianiem wsi, zachęcając młodzież własnym przykładem do ucieczki do miast.

Tom rzadko zdobywał się na długie monologi i nigdy nie wyliczał swoich osiągnięć, nawet mimochodem. Justin znów poczuł przypływ nadziei, kiedy uznał, że Tom musi się trochę rozpędzić, zanim przejdzie do sedna sprawy.

- Nigdy nie myślę o tobie jako o chłopcu ze wsi.

- A byłem nim, byłem. Powstaje teraz pytanie, czy nie byłoby lepiej, gdybym nie ruszał się z Dakoty Północnej?

- Świat lepiej na tym wyszedł, że stamtąd wyjechałeś. Tom odwrócił się do Justina. Biel zębów i siwizna włosów błyszczały jasno w ciemnym wnętrzu samochodu.

- Nie potępiasz mnie?
- Życie stało się bardziej demokratyczne. I na pewno zdrowsze. Pamiętam roje much krążących nad końskimi odchodami na wszystkich ulicach.
- A zatem uważasz, że nie zapaskudziłem bardzo tego świata?
- Dlaczego mnie pytasz? Czy moje zdanie się liczy? - No dalej, dalej! Boże, był równie cierpliwy jak Ben i jeszcze łatwiej dawał się ranić. Jakże pragnął mieć trochę tego spokoju w sobie, który inni mu przypisywali. Przez chwilę słysząc było tylko silnik na wolnych obrotach.
- Moim zdaniem, Justin, życie ludzkie składa się z cykli, tak jak praca silnika. Przy pierwszym suwie, jako dziecko jeszcze, nabierasz powietrza i paliwa, czyli pomysłów na życie. Przy drugim dorastasz, sprężasz swój ładunek. To znaczy określasz cele, decydujesz, kim chciałbyś być. Przy trzecim, jako człowiek dorosły, pracujesz pełną parą. Robisz to, co sobie wybrałeś. - Tom wzruszył ramionami. - A potem nagle jesteś stary, spoglądasz na spaliny i próbujesz ocenić dzieło życia. Jeśli masz szczęście, stworzysz coś dobrego, co można przekazać następnym pokoleniom.

Justin kiwnął głową.

Tom wpatrywał się w wygięte litery neonu.

- Chryste, co tu się porobiło! Dom pogrzebowy! - Potrząsnął głową i zamilkł.

Mroźna, cicha noc otuliła Justina nieznośną niecierpliwością. Pierwszy przerwał ciszę.

- Dlaczego mnie tu przywiozłeś, Tom? - Próbował mówić normalnym głosem, ale coś w nim pękło. Błagam, przemknęło mu przez głowę. Ja go błagam!

- Kiedy po raz pierwszy zostałem tu zaproszony, poznałem twoją matkę. Ona... Ścinała róże, o tam. - Tom kiwnął głową w stronę nowego, wysokiego biurowca, który stanął na miejscu willi we włoskim stylu. - Ja... Był jeszcze pies... Poszedłem sprawdzić, czy nic jej nie zagraża...

W monotonnym głosie Toma pojawiła się czuła, marzycielska nuta. Justin nie przypuszczałby nigdy, że Tom jest do tego zdolny, gdyby nie czytał jego listów miłosnych.

Ogarnęła go jakaś zwariowana, bezsensowna euforia, kiedy przypomniał sobie scenę sprzed lat. Stał wtedy w drzwiach wejściowych i trząsł się na zimnie, zdecydowany bronić matki, a tymczasem jakiś wysoki, obcy mężczy-

zna o jasnych, szarych oczach przyglądał mu się ze świdrującą uwagą. Jakimś niewidzialnym przewodem tamta chwila była złączona z obecną.

- Opowiedz mi o niej. Opowiedz mi o mamie.

- Była piękna... - Tom potrząsnął czupryną. - Właściwie nie wiem, czy była rzeczywiście piękna. Ale jaśniała, promieniała... Nie sposób wyrazić...

Zapadła cisza.

- Przeszedłeś przez ulicę, żeby się z nią zobaczyć.

- Oblaskawiła już psa... Powiedziałem... powiedziałem... Długie, wąskie palce Toma chwyciły kluczyki w stacyjce i dziwnie nieopanowanym, mimowolnym odruchem zgasiły motor. W nadjeżdżającym świetle reflektorów Justin ujrzał pełną zaskoczenia i bólu twarz Toma, widział, jak pot spływa mu po czole i policzkach. Najwyraźniej walczył z czymś, co wymykało się spod kontroli umysłu. Jego mięśnie ścisnęły się w skurczu, zupełnie tak, jakby jakieś nieludzkie siły walczyły wewnątrz jego szczupłego, silnego ciała. Wykrzywioną cierpieniem twarz oparł na kierownicy.

Justin, zaniepokojony możliwością kolejnego ataku serca, zapytał:

- Tom? Źle się czujesz?

Siódemka zakołysała się w fali powietrza wywołanej przez przejeżdżający samochód. Wyraz twarzy Toma uległ gwałtownej zmianie - jedna walcząca bestia pokonała drugą. Ułożył usta w sardonicznym uśmiechu.

- Co ci jest, Tom?

- Przyjechałem tu i znów się poczułem jak śmieć, ot co. Wspomnienia młodości.

- Tak - przytaknął Justin chropowatym głosem. - Opowiadałeś mi o mamie.

- Major zaprosił mnie na śniadanie. Możesz sobie wyobrazić, że drżałem jak liść osiki. Ale jakoś zdołałem wykrztusić z siebie prośbę, żeby pozwolił mi w składziku urządzić warsztat. Tak się zaczęło.

- A co z mamą?

- Nie jadła wtedy z nami.

- Pytam, czy to był też początek między wami?

- Wyglądała jak księżniczka.

- Ale co wtedy czułeś? Powiedz mi, co czułeś!

- Przepraszam cię, Justin, ale pamiętam, że napalałem się

na nią tak, jak to zwykle robią młodzi chłopcy, widząc ładną dziewczynę całkowicie poza ich zasięgiem.

- Tom, na litość boską! Przecież wszyscy zauważyli to dziś gołym okiem! Słyszałeś, co mówili!

Tom patrzył przed siebie, jego profil nie zdradzał żadnych uczuć.

- Słuchaj, jeśli chcesz bajek, zwróć się z tym do Hugh. On ci poopowiada chętnie.

Brutalnie odtrącony Justin zawył głucho i czym prędzej zagryzł dolną wargę, żeby powstrzymać jęk. Rozpętała się w nim burza uczuć. Czuł gniew, ból, wstyd, zdumienie i zawód, spowodowane rozwianiem się pełnych nadziei mrzonek. Winę. A jednak mimo to nie umiał stłumić w sobie uczucia litości dla Toma, który znów uciekł w kłamstwo.

„Lecz w rysach twarzy mej liczni towarzysze
widzą ojca mojego oblicze.”

Przycisnął mocno pięść do czoła i przeszywający ból sprowadził go na ziemię.

Elisse. Okoliczności jego narodzin wydały mu się zupełnie nieważne w zestawieniu z koniecznością natychmiastowego działania. Elisse. Dostała się w ręce policji i jeden pan Bóg raczy wiedzieć, co z nią teraz robią. A ja tu siedzę w najlepsze i się użalam nad sobą, myślał. Dlaczego nie jestem w komisariacie i nie wpłacam kaucji?

- Ruszamy, Tom - ponaglił krótko.

- Tak jest. - Tom zapalił silnik. - Przepraszam za to nadłożenie drogi.

Po jakichś pięciu minutach jazdy minęli jasno oświetlone delikatesy.

- Stań! - rzucił Justin.

Samochód zatrzymał się z piskiem opon.

- Co się stało?

- Sklep był otwarty. Cofnij wóz. Muszę kupić kanapki.

- Jedzenie? Teraz?!

- Dla kobiet. Zawsze staramy się tak robić, kiedy naszych zamkną. Większość z nich nigdy nie była w areszcie i trzeba ich podtrzymać na duchu. - W jego głosie dźwięczała złość. Cholerne kanapki dla uwieczonych kobiet zwyciężyły jego niepokój o żonę.

Tom włączył wsteczny.

- Istnieje coś takiego, jak zbyt wysoko ustawiona poprzeczka, Justin. Niech Bóg cię ma w swej opiece.

Pod dwupiętrowym budynkiem komisariatu, przypominającym warowną fortecę, Justin gwałtownie otworzył drzwi samochodu.

- Pójdę z tobą - zaproponował Tom.

- Nie ma potrzeby. - Postawiwszy jedną nogę na krawężniku, Justin wyjmował dwa kartony, od których unosił się zapach przypraw.

- Głos poważnego podatnika usprawnia działanie maszyny prawa.

- Lepiej wracaj do Hugh. - Justin nie mógł się powstrzymać, żeby nie dać upustu swej złości spowodowanej piekielnym zawstydzeniem po tym, jak Tom odrzucił go ostatecznie. - Pani Bridger była chyba czymś zdenerwowana - dodał beznamiętnie.

- A niech cię wszyscy diabli!

- Dzięki za podwiezienie - powiedział Justin bezbarwnie.

- Zaczekam tu na...

- Ktoś po nas przyjedzie. Nie jesteś nam potrzebny! -wybuchnął Justin i mocnym kopniakiem zamknął drzwi. Onyx się zakołysał.

II

Zatłoczone cele miały kraty nawet pod sufitem i przypominały klatki ze zwierzętami. Komisariat cuchnął rzygowinami, spoconymi ciałami i otwartymi sedesami. Policjant z kluczami u pasa wrzasnął, przekrzykując gwar kobiecych głosów:

- Przyszedł wasz alfons, dziewczyny!

Z sześćdziesiąt zaczerwienionych ze wstydu kobiet podniosło się z nagich prycz i zaczęło nerwowo wygładzać zdefasonowane płaszcze. Dla większości z nich pobyt w areszcie, bez względu na powody, był straszliwą hańbą. Justin rozejrzał się wokół.

Elisse tu nie było!

Znów zakręciło mu się mocno w głowie. Ściskając kurczowo dolne pudło, odezwał się dźwięcznym, pełnym głosem:

- Mówię do tych z was, które mnie nigdy nie widziały albo teraz nie rozpoznają. Jestem przewodniczącym Zjednoczonego Ruchu Robotników Przemysłu Automobilowego. Jestem z was dumny. Dumny z tego, że aresztowano was za to, że broniłyście praw amerykańskiego robotnika do zrze-

szania się. Jutro rano przyślemy tu prawników, żeby wpłacili za was kaucję i wyciągnęli was stąd. Tymczasem przyniosłem wam coś na przekąskę od związkowych braci.

Podając kobietom kanapki z mieloną wołowiną lub szynką, zadawał wciąż te same pytania:

- Widziałyście Elisse? Moją żonę? Jest tego wzrostu. -Przytykał dłoń do swojego ramienia. - Ma kasztanowe włosy.
 - Mężczyźni, oj mężczyźni... - westchnęła jedna z kobiet nie tracących animuszu. Rozpoznał w niej członkinię ZRRPA. Przełknąwszy kęs kanapki, powiedziała: - Elisse zbija z nóg. Podobna do Janet Gaynor. Tak trzeba mówić.
 - Też jestem tego zdania, Gertie. - Uśmiechnął się. -Widziałaś ją dzisiaj?
 - Nie, nie dzisiaj. Dziś jej nie widziałam.
 - **Ja** ją widziałam! - krzyknęła krępa kobieta z sąsiedniej celi.
 - Gdzie? - podszedł do niej.
 - Koło kładki.
 - Kiedy?
 - Na jakąś minutę przedtem, zanim zaczęli nas gazować. - Miała na głowie podniszczony męski kapelusz, który nadawał jej nieco wulgarny wygląd. Szalała tam pod kładką. Patrzyła tylko, jak cię biją.
 - Aresztowali ją?
 - Wsadzili mnie do czarnej suki.
 - Na pewno jej nie wzięli?
 - Z nami nie jechała. Potem jej już nie widziałam, więc miejmy nadzieję, że nie.
- Justin śpieszył się, żeby jak najprędzej rozdać ostatnie kanapki.

III

Sierżant o nalanej twarzy nie przerywał rozmowy przez telefon i nie zwracając uwagi na Justina, spokojnie dłużył w uchu gumką na końcu ołówka.

Kiedy odłożył słuchawkę, Justin spytał:

- Gdzie jest Elisse Hutchinson? Sierżant ziewnął szeroko.
- Nie znalazłeś jej w południowym bloku?
- Doskonale wiesz, że wszystkie kobiety tam zamknięte masz zarejestrowane w książce.

- I co z tego? Od kiedy to wy, towarzysze, podajecie prawdziwe nazwiska, co?
 - Przetrzymanywanie jej w areszcie bez rejestracji jest niezgodne z prawem.
 - Wy i wasze bolszewickie prawa!
 - Gdzie ją trzymacie? - Justin huknął otwartą dłonią w kontuar, aż zagrzechotały ołówki w pojemniku. - Ty pieprzony skurwysynu, gdzie ona jest?
- Tłuste policzki zatrzęsły się.
- Mało ci było tego na kładce? Chcesz jeszcze?
 - Komendant Arden sądził, że pani Hutchinson pewnie jest tutaj - odezwał się powściągliwy głos z tyłu.
- Sierżant wybałuszył oczy.
- Pan Bridger... - wymamrotał z szacunkiem. - Co... Co pana tu sprowadza?
 - Jesteśmy razem. - Tom wskazał Justina. - A ta kobieta?
 - Wszystkie są w celach, panie Bridger. Tom skrzywił usta.
 - Arden wspominał mi o jednej... - powiedział niskim głosem, w którym zadźwięczał strach.
- Spokojnie, spokojnie, powtarzał sobie Justin. Miał wrażenie, jakby zamarła w nim każda kropla krwi, unieruchomiona straszliwym wysiłkiem, z jakim powstrzymywał się od wszelkiego ruchu i od wykrzykiwania pytań. Teraz musi czekać. Słuchać. Tykanie zegara na ścianie rozsadzało mu uszy. W tej obszernej, śmierdzącej stęchłym dymem tytoniowym dyżurce wszystko zastygło w bezruchu. Niewielki wianuszek gliniarzy za dębową podniszczoną barierką tworzył niebieską plamę. Obejmujący czaszkę ból rozrywał Justinowi głowę.
- Tłusta twarz sierżanta za kontuarem spoważniała.
- Szef mówił panu o tym?
 - Tak.
 - Wszystko?
 - Skąd mogę wiedzieć? Jest w domu. Niech pan do niego zadzwoni, sierżancie.
 - Nie ma powodu, panie Bridger - odparł sierżant i odwrócił się do jednego z policjantów. - Mushski, zaprowadź tego od związków do sto siedemnastej.
 - Ja? - Młody chłopak nerwowo przeczesywał gęste, jasne włosy.
 - Ty, Mushski - potwierdził sierżant z zawołowaną mściwością. - Nie możemy nikomu odmawiać jego praw.

Tom ruszył za młodym policjantem i Justinem. Wsiedli do windy towarowej i w milczeniu zjechali do piwnicy pociętej labiryntem korytarzy. Naddarte mięśnie krocza zeszywniały i Justin kulał, idąc za Mushskim. Skręcili w jeden z korytarzy. Na końcu znajdowały się drzwi, a nad nimi, nad zniszczoną drewnianą framugą, widniał numer: 117.

Mushski chwycił za gałkę przy drzwiach i burknął:

- Jesteśmy na miejscu.

Justin zamrugał nerwowo, a Tom chwycił go za ramię.

Wijące z wewnątrz chłodne powietrze o zapachu karbolu i lekkim odorze martwych ciał powiedziało im, gdzie są, zanim Mushski zdążył zapalić światło. Cztery wiszące pod sufitem żarówki oświetliły surowe ściany z cegieł i szarą cementową podłogę, z wilgotną, ciemną plamą przy kratce odpływu - widomy znak, że niedawno używano tu węża z wodą.

Pod ślepyimi ścianami stały wysokie stoły. Na czterech leżały okryte prześcieradłami ciała, spod których wystawały nagie, żałosne stopy - białe, poprzecinane żyłami, obrośnięte zgrubieniami i odciskami. U ich dużych palców zwisały plakietki.

- Nie podaliśmy tego jeszcze oficjalnie do wiadomości i nie kontaktowaliśmy się z rodzinami - powiedział Mushski przepraszająco. - Cztery osoby zginęły dziś na Archibald. Trzech mężczyzn i kobieta. Kobieta nie miała przy sobie żadnych dokumentów.

Tom słyszał już o tym przez telefon w gabinecie Hugh, ale cały czas miał nadzieję wbrew wszelkiej nadziei...

Justin pokuśtykał do stołu, gdzie policjant zdejmował prześcieradło z najdrobniejszych zwłok.

IV

Ramię w rękawie koloru khaki opadło i gumowa pałka uderzyła ja w głowę. Kapelusz sfrunął na ziemię. Poczula, że stopy ma jak z ołowiu, że ich ciężar ciągnie ją w dół. Ugięła kolana.

- Justin - krzyknęła bezgłośnie.

Stopy nieubłaganie ciągnęły ją coraz niżej.

Stratują mnie, pomyślała znowu, tym razem pogodzona ze sobą. Jeśli upadnę na ziemię, stratują mnie na śmierć. Ale nie bała się. Śmierć była zjawiskiem abstrakcyjnym, nierozzerwal-

nie związanym ze starością; zjawiskiem niewiarygodnym. Ona miałaby umrzeć? Była młoda, potrzebna Justinowi, dzieciom. Nie mogą zostawić Bena i Toni, myślała, nie na tak długo. Muszę poczekać, aż dorosną. Jestem im potrzebna. Chwyliła jakiegoś mężczyznę za klapy płaszcza. Cios w głowę osłabił połączenia między mózgiem a dłońmi. Mokry od wymiocin materiał płaszcza wyslizgnął jej się z rąk. Opadła na kolana, słabo odgarniając od siebie nacierające spódnicę i spodnie. Musisz się wziąć w garść, mówiła sobie, zmuszając się rozpaczliwie do przytomnego myślenia, a jej ręce bezwolnie spływały po szorstkich włosach futra. Zapadała się coraz bardziej w zatłoczoną, pędzącą ciemność; ciemność, wszechogarniającą i nieuniknioną. Walczyła mimo słabnących sił. Chciała wstać. Rozkrzyczany skowyt przybierał na sile, aż wreszcie wypełnił wszechświat.

Ciężki, robotniczy but przygwoździł jej kark, coup de grace. Upadła pod nogi kaszlących, zdjętych paniką, uciekających w popłochu ludzi.

Ciężkie buciory i czółenka przetaczały się po niej, dziurawiąc jej organy, jelita, rozdeptując ciało. Nie było litościwego omdlenia ani odrętwienia. Jej przerażony krzyk ucichł wtedy, gdy wąska damska szpilka przebiła jej krtań.

W straszliwym bólu, jakiego nie wywołałby najsprawniejszy oprawca, życie Elisse zostało z niej dosłownie wyduszone. Ale na szczęście w tych ostatnich chwilach, gdy jeszcze nie odarto jej ze zdolności sądzenia i czucia, doznała wreszcie ukojenia. Całe życie towarzyszyła jej świadomość porażki. We własnych oczach była niedobrą córką, nieudolną matką, ostatnimi czasy również złą żoną. Żydówką tylko z nazwy i kompletnym zerem, jeśli idzie o ugruntowane przekonanie do sprawy. Wszystkie decyzje podejmowała zawsze pod wpływem uczuć. Na każdym kroku jej słaba wola śmiała się jej w nos. W każdym razie tak jej się wydawało niemal do ostatka. Nigdy nie miała takiego kompasu, który bezbłędnie wskazywałby, gdzie jest logika i odwieczne prawdy etyczne. Teraz jednak spojrziała na swe życie inaczej. Na tym skrawku rozdeptanego błota, ona, Elisse, jeden atom w bezkresnym wszechświecie, podjęła mało znaczącą decyzję, płynącą z jedyne miejsca, jakiemu mogła zaufać. Z jej własnego miękkiego, śmiertelnego serca.

Czyjeś ciało przygniotło ją ciężarem, wyciskając z niej ostatnie tchnienie.

A potem nadeszło wspomnienie z dzieciństwa. Stała wraz z rodzicami przy stole zastawionym piękną czerwoną porcelaną, sztuccami z angielskiego srebra z kościanymi trzonkami. Na stole stał półmisek z natką pietruszki, kawałkiem udźca jagnięcego, jajkiem ugotowanym na twardo i połamaną macą - ze wszystkimi symbolami Paschy. Ojciec, z nieprawdopodobnie szczęśliwym uśmiechem, podnosił kielich czerwonego wina z uwieczonym wewnątrz sakramentalnym rubinem. Za ojcem jaśniała jakaś duża postać. Anioł Eliasza - pomyślała - przyszedł napić się wina. Jakże to cudowne, że ma twarz Justina...

Nikt na tym świecie nigdy się nie dowie, że Elisse Kaplan Hutchinson, zanim poznała ostateczną tajemnicę, w ostatniej chwili przytomności myślała o tym, o czym przez pięć tysięcy lat myśleli Żydzi, witając się ze śmiercią. Jednocześnie z mamą i tatą, dychawicznie wyszeptała jedyne znane jej hebrajskie słowa: Adonai elohenu, Adonai echod.

Pan, nasz Bóg, Bóg jest jeden.

v

Moja Najdroższa, moja Najdroższa - wyszeptał Justin.

Kiedy pochylał się, żeby ucałować to, co zostało z czoła Elisse, ogarnęło go znów to przemożne pragnienie, jakiego doznał wiele lat wcześniej. Chciał porwać Elisse, zabrać ją do krainy wiecznej zieloności, gdzie mógłby ją kochać z całych sił i chronić. Spędzić u jej boku wszystkie swoje dni - rozśmieszałyby go celnymi, dowcipnymi uwagami, dzieliłaby z nim życie i miłość, a ciepło jej serca roztopiłoby gorzkie przekleństwo samotności.

Dopóki nie zawiezie jej do tej krainy, jego udręczone, pękające z bólu serce, podobnie jak jej, skazane będzie na śmierć równie ostateczną i nieodwołalną.

Wstrząsany rozdierającym, gwałtownym szlochem, nachylił się, by wziąć w ramiona jej umęczone ciało.

Tom i młody policjant ujęli go pod ramiona i wyprowadzili z lodowatej kostnicy.

VI

Dochodziła trzecia nad ranem.

Tom trząsał się skulony w samochodzie. W słabym świetle żarówki na ganku domu Justina w zwariowanym tańcu

wirowały kawałki starych gazet niesione podmuchem lodowatego wiatru.

Po tym szaleńczym, rozdzierającym serce wybuchu rozpaczy Justin, wyprowadzony na korytarz, oparł czoło o ścianę i trwał tak, zdawało się, całą wieczność. Głośno dyszał, próbując się opanować. Potem wyszedł na górę, nie zwracając uwagi ani na Toma, ani na policjanta. Odwrócił tylko od nich głowę, kiedy dzwonił najpierw do siebie, do Woodland Park, potem do domu pogrzebowego Nalleya. Mówił cichym, bezbarwnym głosem.

Niedługo później przyjechał Mitch Shapiro. To właśnie on, krępy i silny bojownik walki związkowej, głośno płakał, kiedy otoczył Justina ramionami. To on posłał Tomowi tak nienawistne, pełne wzgardy spojrzenie, że Tom wycofał się do Onyxa i czekał w samochodzie, aż obaj z Justinem wyjdą z komisariatu. Nie mógł zostawić Justina.

Rozpaczliwy szloch syna nad martwym, okaleczonym ciałem Elisse rozbił Toma do głębi. Nigdy dotąd nie widział tak strasznej, wszechogarniającej rozpaczy. A jej moc była podwójnie niszczycielska, gdy wybuchała z tak przerażającą siłą w człowieku tak bardzo opanowanym jak Justin. Choć Tom wiedział, że nikt nie przyjmie od niego pomocy, i tak pojechał za nimi pod dom w Woodland Park.

Wiatr z dziką wściekłością natarł na Siódemkę i zimne powietrze wdarło się pod rozpięty płaszcz - Tom rozmasowywał sobie drętwiejący bark i lewe ramię.

Obietnica dana Antonii, ta obietnica, której chciał dotrzymać za wszelką cenę, została złamana przez nieubłagane i nie podlegające zmianom prawa natury. Tam, w bibliotece Hugh, zatrwożony rozwojem sytuacji, zaakceptował fakt, że musi otworzyć serce przed Justinem, i dlatego właśnie zawiózł go pod dawny dom majora. Miał zamiar wyznać mu wszystko, lecz patrząc na wapienne ściany, bezradnie szukając właściwych słów, by wytłumaczyć skażone kłamstwem życie, poczuł kłujące odrętwienie lewej strony ciała. Te drobne szpileczki szybko przerodziły się w nieduże, ale wyraźne i bolesne skurcze. Wyznać prawdę znaczyło zerwać ostatnie więzy, które łączą go z Antonią, a to przerastało jego siły. Skurcze utrzymywały się i przypominały, że miał już kłopoty z sercem.

Tylko w domu Justina paliło się światło. W jego blasku Tom widział dwa sąsiednie pudełkowate domki, które kiedyś zapewne podobałyby mu się. Potrząsnął głową, myśląc

o swoim bogactwie, i spojrział w bezkłęskowe zimowe niebo... w gwiazdy jasne i dalekie, w drogi gwiazdne... Ogarnęła go fala zmęczenia po tym nie kończącym się dniu i przymknął oczy.

Na chodniku stała Antonia. W mdłym świetle żarówki na ganku widział jej smukłe kostki w białych pończochach i bladą twarz z niesfornie opadającymi pasmami czarnych włosów. Jej widok przeraził go nieprawdopodobnie, bo przecież wiedział, że ciało Antonii od ponad dwudziestu lat leży w wilgotnej londyńskiej ziemi, sam oglądał jej marmurowy grobowiec.

To tylko sen, powiedział sobie i z najwyższym wysiłkiem otworzył oczy.

Nie zniknęła. Stała tam jak żywa, trójwymiarowa, szarpana podmuchami wiatru. Nachyliła się i z błyskiem gniewu w oczach zbliżyła twarz do okna.

- Dotrzymałem słowa, kochanie - powiedział. - Nie przychodź do mnie w taki sposób, dotrzymałem obietnicy.

- Obietnicy? Nie było żadnej obietnicy. Stworzyłeś coś, co miało nas ze sobą wiązać, coś, co dawało ci przekonanie, że ciągle jestem z tobą. Nie było w tym nic ludzkiego ani dobrego.

- Ale... przecież tak bardzo ci zależało, żeby się nie dowiedział...

- Zależało mi na Justinie. To on był dla mnie ważny. Mój syn. Czy nie ma w tobie żadnych ludzkich uczuć? Dlaczego zachowywałeś się jak bezduszna maszyna? Wtedy, lata temu, kiedy przyjechał do Detroit taki samotny i dumny, powinienś być mu powiedzieć, pomóc mu. A już na pewno tego wieczoru w Woodland, kiedy tak bardzo cię błagał... Trzeba było otworzyć ramiona i uścisnąć go. - Kiedyż to Antonia zwracała się do niego równie głośno i stanowczo? - A teraz go zabiłeś.

- Justin żyje.

- Jest martwy.

- Nie! Przysięgam ci! Jest w domu.

Jej oskarżycielski, ostry ton przedzierał się przez szybę.

- Widziałś go w kostnicy. Umarł. Justin umarł. Zabiłeś go. Zabiłeś mojego syna.

- Na rany Chrystusa, on żyje!

- Bez żony jest już martwy.

Głowa Toma opadła w przód. Obudził się.

Serce waliło mu nieprzytomnie (jakże to możliwe, żeby

serce biło tak gwałtownie i boleśnie i nie mogło przepchnąć krwi przez delikatne naczynka?), ale myślał jasno i logicznie. Nie miał wątpliwości, że rozmowa, którą we śnie odbył z Antonią, jest wytworem jego własnej podświadomości i nieczystego sumienia. Dla niego obietnica, którą jej złożył, była chlebem i winem, symbolem niewidzialnej świętości. A jeśli idzie o to, że Justin przecież żyje... Sam przez to przeszedł i wiedział, że to fałszywy argument. Antonia miała rację. Tak, ciało Justina wciąż funkcjonuje, ale jego dusza jest równie okaleczona jak martwe szczątki Elisse.

Minęła pewnie minuta, zanim zorientował się, że jego syn wyszedł przed dom. Miał ciężką, watowaną kurtkę na ramionach i stał, kurczowo ściskając balustradę ganku; z opuszczoną głową, łkał wstrząsany szlochem. Z tej postaci zrozpaczonego mężczyzny, przeżywającego swój ból z daleka od wszystkich, biła straszliwa samotność. Sprawiał wrażenie rozbitka na bezludnej wyspie, jedyne ocalałego rozbitka, któremu łaskawszy los dałby po prostu zginać. Zesztywnia-łymi palcami zapiął guziki płaszcza.

Słyszając trzaśnięcie drzwi samochodu, Justin podniósł głowę. Tom, skulony z zimna, przedzierał się pod wiatr. Kiedy dotarł na ganek, Justin wycierał nos.

- Justin... - zaczął cicho. - Nie miałem okazji powiedzieć ci tego... Ale jest mi straszliwie przykro z powodu twojej żony... z powodu Elisse.

Nie powstrzymał niskiego, urywanego szlochu. Potem odszedł od Toma na przeciwległy koniec ganku. Zatrzeszczały deski.

- Mogę mówić dalej? Justin skinął głową.

- Czekałem, żeby ci coś powiedzieć - zaczął. - Zdrzemnąłem się, miałem pewien sen...

Znów chciał wyrzucić z siebie historię miłości do Antonii, opowiedzieć mu o tej niesłusznej potrzebie dochowania jej lojalności, lecz lodowaty wiatr i ostre klucia w lewym ramieniu i barku sprawiały, że w jakiś dziwny sposób nie wiedział dobrze, gdzie jest. Miał wrażenie, jakby go ktoś przepuścił przez maszynkę, jakby on sam przemawiał już z zaświatów albo był zbyt pijany, by w ogóle mówić. Nie mogę tego powiedzieć. Nawet teraz nie mogę. Jestem potworem, nie człowiekiem.

Justin patrzył na niego. W słabym oświetleniu widać było,

jak drżą mu mięśnie wokół ust, kiedy z trudem usiłował nad sobą panować. Tom, co prawda, powtarzał sobie, że nie powinien podczas tej pełnej rozpaczyny nocy krążyć tu jak drapieżnik i paść oczy bólem syna, a jednak został na smaganym wiatrem ganku.

- Pamiętasz, mówiłem ci, że życie człowieka podobne jest do suwów silnika? - zapytał. - Cóż, jakaś część mnie trafiła kulą w płot. Zawsze chciałem stworzyć ludziom godziwe warunki pracy, ale sprawy wymknęły się spod mojej kontroli. Tak właśnie działa władza. Jest niczym punkt podparcia dla dźwigni. Człowiek jest tylko niedoskonałą istotą, ma swoje wady. A im większą ma władzę, tym większy zasięg jego oddziaływań. Zgodnie z prawami mechaniki. Rozumiesz? Podnoszę najmniejszy palec, a tu powstaje kolejny tysiąc Siódemek. Wystarczy, że zatrudnię jednego Dicksona Keeleya, jednego łobuza, a upadają całe fabryki.

Słysząc było tylko zawodzenie wiatru. Tom złożył dłonie, stykając je czubkami palców, jak do modlitwy.

- Czuję się straszliwie winny za śmierć Elisse.

- Ja też - wydusił Justin.

- Ty? Dlaczego ty? To ja zatrudniłem Keeleya. Hugh opłacił oddział kapitana Nugenta. Dlaczego miałbyś brać na siebie winę za to, co dzisiaj się stało?

- Elisse w ogóle nie powinna była tu przyjeżdżać.

- Daj spokój, Justin. - Tom zaprotestował łagodnie.

- Zabieram ją jutro do domu.

- Pociągiem?

- Tak. Wyjeżdżamy w południe. Zdażę jeszcze przyjść na otwarcie.

- Co takiego? - Tom nie posiadał się ze zdumienia.

- Na początek negocjacji.

- Do licha, przesuniemy je o kilka dni!

- Ludzie głodują.

- Mogę otworzyć fabrykę. Zrób, co trzeba zrobić w Los Angeles, i wracaj. Dogadamy się później.

- Komitet strajkowy ZRRPA zjawi się w Book Cadillac o ósmej.

- Tymczasem możesz już chyba odwołać pikietę i puścić strajkujących w Onyksie do domów.

- Żeby sobie myśleli, że ich sprzedałem, co? - rzucił Justin cierpko. - Wszystko już umówione. Wyłożę nasze

warunki, a przedstawiciele komitetu przejmą dalsze negocjacje.

Kłucia w klatce piersiowej i w barku ustępowały powoli, ale wciąż utrzymywał się artretyczny ból w kościach. Tom podszedł do Justina i położył dłoń na waciaku syna.

Justin cofnął się.

- Co za potworna śmierć - powiedział wydmuchując nos. - Elisse była taka drobna. Zawsze mnie zdumiewało, że taka jest krucha, a tyle w niej energii i woli. Dla mnie była wielka... - Oparł czoło o słupek ganku.

- Co mogę zrobić, żeby ułatwić negocjacje?

- Przyślij ze swojej strony Carylla.

- To znaczy, że powinienem trzymać się od tego z dala?

- Tak. - Justin wyprostował plecy. Kawałek łuszczącej się farby przywarł do jego posiniaczonego policzka. - Przebywanie z tobą jest ponad moje siły. To już nie powinno mieć żadnego znaczenia, ale ciągle ma. Gardzę sobą za to, że jestem twoim bękartem.

- Justin...

- Powiedzieliśmy sobie już wszystko, Tom. - Otworzył drzwi i wszedł do domu. Tom słyszał, jak zakłada łańcuch. Dźwięk żelaza na pożegnanie.

Stał na ganku jeszcze może z minutę, a potem zszedł koślawymi schodkami i przedzierając się przez wiatr dotarł do samochodu, którego wszystkie części - metalowe, gumowe i drewniane - pochodziły z jego własnych fabryk.

Zgarbił się za kierownicą i zamknął oczy. Wciąż myślał o tym, co usłyszał od syna. „Gardzę sobą za to, że jestem twoim bękartem.” Fakt, że jego potomek, ten kryształowo uczciwy, nad wyraz przyzwoity człowiek, gardził sobą, wydał mu się najcięższym z własnych grzechów.

Onyx zadrżał i krztusił się goryczą oraz poczuciem niepowetowanej straty.

VII

Przez pięć dni reprezentanci komitetu strajkowego ZRRPA, ubrani w znoszone, pedantycznie odczyszczone niedzielne garnitury, konferowali z przedstawicielami Ony-xa w apartamencie hotelowym na siódmym piętrze, skąd rozciągał się widok na Michigan Bank of Commerce, wieżowiec należący do rodziny Bridgerów. Tom Bridger nie zjawiał

się na żadnym z tych posiedzeń, a Justin Hutchinson wpadł tylko na godzinę pierwszego dnia obrad, bo zaraz potem wszedł do ekspresu, który wiozł trumnę jego żony. Dlatego to Caryll Bridger i Mitch Shapiro spoglądali na siebie znad długiego blatu orzechowego stołu. Wynik negocjacji ogłoszony trzeciego stycznia 1936 roku zelektryzował cały kraj. Najczęstszym nagłówkiem, krzyczącym czarnymi, tłustymi literami był: „Związek automobilowy górą!” Przez wiele dni o niczym innym się nie mówiło. Porozumienia gwarantowały robotnikom więcej zdobyczy, niż związek zażądał. Niektórzy sądzą, że wrzawa, jaką podniosły masowe środki przekazu z powodu śmiertelnych wypadków na Archibald Avenue oraz pobicia dwóch działaczy na kładce, skłoniła Toma Bridgera do kapitulacji. Inni uważali, że wynik negocjacji robotnicy zawdzięczają uczciwości Carylla. Ale ogólnie uznano, że podpisane porozumienie jest przede wszystkim konsekwencją postawy wielkiego Toma, pioniera motoryzacji, który nigdy nie uznawał półśrodków.

Kiedy otwarto bramy Woodland, pierwsza zmiana robotników weszła na teren zakładów ze śpiewem na ustach, machając małymi niebiesko-białymi flagami związku. Zrezygnowano z systemu podwójnego zatrudniania, nieliczni pracujący w Onyksie ochroniarze mieli nosić mundury, przyjmowanie do pracy i zwalnianie ludzi miało się odtąd odbywać według systemu starszeństwa, a majstrowie mieli zostać wybrani przez załogi już w ciągu pierwszego tygodnia. Ci, którzy dostali wilczy bilet za działalność związkową, zostali przyjęci do pracy i kłębili się pod biurem zatrudnienia, żeby odebrać zaległe wynagrodzenie - postanowiono, że będą przyjmowani do pracy zgodnie z nowo wprowadzonym systemem.

Ku konsternacji innych bonzów przemysłu, Onyx ogłosił, że od tej chwili do wszystkich jego fabryk będą musiały wejść związki zawodowe i kierownictwo poszczególnych zakładów będzie automatycznie potrącać z wynagrodzenia stosowne składki i przekazywać je zarządowi ZRRPA.

- Tom Bridger zrobił z naszego przemysłu prezent Moskwie - oświadczył starzejący się Henry Ford. Podobnie wrogie uczucia, wyrażane jeszcze jawniej, zapanowały we wszystkich gabinetach dyrektorów każdej fabryki samochodów.

W późniejszych latach to porozumienie uznano za kamień

milowy w historii amerykańskich stosunków pracowników z pracodawcami i najhojniejszy gest wobec robotników. W 1946 roku, kiedy ZRRPA zjednoczył siły ze Zrzeszeniem Pracowników Przemysłu Samochodowego, Walter Reuther powiedział: „Amerykański świat pracy widział w zwycięstwie ZRRPA światło, które rozjaśniło mrok kryzysu gospodarczego”.

Za każdym razem, kiedy Tom Bridger dostrzegał biało-nie-bieskie znaczki związkowe w klapach wielotysięcznej rzeszy robotników, myślał o Justinie i za każdym razem na nowo przeżywał ten szarpiący, zabarwiony poczuciem winy ból - ale nigdy nie żałował, że w końcu wpuścił związkowców do fabryk. Dzięki tym znaczkom czuł, że duch starszego syna wciąż unosi się nad jego „zakładem”.

Epilog

W nowym Muzeum Onyxa nie świeciły się już reflektorki nad eksponatami wystawy, dlatego wysoki, siwowłosy mężczyzna i niższy, sprężysty młody chłopak w mundurze sierżanta sztabowego, rzucali rozmyte, wolno przesuujące się cienie, kiedy szli przez trzy ciche wielkie sale wypełnione samochodami.

Tom, jak zwykle nieco ironicznie, i trochę ze smutkiem, skończył już opowiadać historię swego życia, więc gdy dotarli do ostatniego, powojennego modelu z roku 1947, obydwaj milczeli. Szafirowy lakier auta mienił się głębią, uzyskaną przez czterdziestokrotne nałożenie warstwy farby - kiedyś takie wozy polerowano ręcznie i trafiały wyłącznie w ręce arystokracji. Samochód miał długą, wysmukłą maskę, białe obręcze kół lśniące jak kość słoniowa wokół chromowanych dekli, a jego wspaniałej sylwetki nie psuły boczne listwy. Obydwaj mężczyźni patrzyli jak zahipnotyzowani, nie dostrzegając stojących obok samochodów do przewozu drewna, zielonoburych gazików, wozów terenowych i ambulansów. Linia szafirowego samochodu wyczarowywała w wyobraźni obraz spokojnej autostrady.

Tom odwrócił wzrok, nie mogąc patrzeć na spuściznę po Caryllu, na to, co zrujnowało jego wielką kompanię.

Ben obszedł wóz szybkim nerwowym krokiem i zaczął czytać na głos informacje z tabliczki: „Moc stu koni mechanicznych, hamulce hydrauliczne, przekładnia Hotchkis-sa”. I tak dalej, i dalej. Ułożył kciuk i palec wskazujący w kółko.

- *Perfecto* - stwierdził. - Ma pan tu świetne muzeum. Jakim sposobem uznano pana za kolosa taniego rynku?

Dwa, może trzy towarzystwa samochodowe tak właśnie uważają - odparł Tom. - I co?

Czeka pan na komentarz do pańskiej opowieści?

zapytał Ben. - Historia rozwoju przemysłu samochodowego jest historią ludzkiej zbrodni i nieszczęść.

- Naprawdę tak uważasz?

- A po cóż inaczej miałbym parafrazować Woltera?

- Zawsze reagujesz tak nerwowo?

- Jestem typem alergika. Niech mi pan wierzy lub nie, ale zawsze dostaję wysypki, kiedy przypominam sobie, że jestem wnukiem legendy wieku motoryzacji.

- Nie ubodziesz mnie ciętymi uwagami, Ben. Kiedy miałem dwadzieścia lat, to choć brakowało mi twojego wykształcenia, mówiłem tym samym językiem.

- A skoro już o tym mowa, to dzisiejsze popołudnie przywróciło mi wiarę w Mendla. Do tej pory ciągle się zastanawiałem, dlaczego mając za ojca współczesnego sir Galahada, wyrosłem na takiego nicponia.

Tom uśmiechnął się. Ben też. Ale natychmiast potem doszedł do wniosku, że to zdrada, więc zmarszczył czoło, dodając:

- Nie wiem, jak to się prawnie załatwia, kiedy ktoś zrzeka się darowizny, ale możecie na mnie liczyć.

- Nic nie rozumiem.

- Mówię o tych udziałach, które wuj Caryll zapisał mi w testamencie.

- Dlaczego, u licha, miałbyś się tego zrzec?

- Gardzę wszelkimi odszkodowaniami. Czy to wystarczy?

- Wiem tylko tyle, że jest pięć procent udziałów, które nie należą do mnie. Prezent ślubny Carylla i Zoe. Caryll zostawił swoją część tobie. Te dwieście pięćdziesiąt akcji to dwa i pół procent całej firmy.

- Całego Onyxa z przyległościami?

- Tak.

Ben aż zagwizdał.

- Niezła fortunka.

- Kilka dobrych milionów - zgodził się Tom.

- Doskonale. Świetnie. Dla wszystkich dobre. Ja to odrzucę, a ciocia Zoe będzie się bardzo cieszyć.

- Nie sądzę.

- Hm, to pan zna tę piękną damę, nie ja. Muszę więc uwierzyć panu na słowo, że nie ma w niej tego zmysłu kupieckiego, jakim się wykazała pańska żona.

Olbrzymie kwoty, o jakich pisali reporterzy w związku z rozwodem Toma i Maud, uzmysłowiły zgłodniałym, drę-

czonym kryzysem ludziom, że niewyobrażalnie bogaci też mają swoje problemy. Ponowny - cichy - ślub państwa Bridgerów, który odbył się w zeszłym roku, trafił jedynie na końcowe strony gazet.

- Co miała znaczyć ta uwaga na temat odszkodowań?

- Zaraz wyjaśnię. - Głos Bena uniósł się o pół oktawy. -Przez Onyxa straszliwie ucierpieli pewni bardzo porządni ludzie. Moi rodzice. To właśnie miałem na myśli, mówiąc o odszkodowaniu. Żadne miliony tego nie odrobiją.

- Twój wuj chciał, żebyś dostał jego udziały. - Tom westchnął z głębokim smutkiem. - To był dobry człowiek.

Zapytaj ojca.

- Byłem w Buchenwaldzie przy wyzwoleniu. I widzi pan, jakoś zawsze kojarzę Buchenwald z fabryką Onyxa.

- Jak można mówić coś podobnego!

- Naprawdę takie to dziwne? - Na króciutką chwilę napięcie wyostrowające rysy Bena zniknęło. Nad źle dopasowanym mundurem Tom ujrzał zdezorientowaną twarz zagubionego dziecka. - Czegoś brakuje w tej pańskiej opowieści.

Drobnego kawałka o mamie.

- Zawsze czuję się winny jej śmierci.

- Nieszczęśliwy wypadek. Oczywiście i ja winię pana za to. To naturalne. Ale ten incydent nie rzuca pełnego światła na zło, jakie pan jej wyrządził. Któregoś wieczoru odwiedzili ją pańscy wysłannicy...

- Co takiego?

- Nie wiedział pan?

- Przysięgam, że nie. Kto taki?

- Później rozpoznałem jednego z nich na fotografiach. Był to pański główny siepacz, Dickson Keeley. - Ben wpatrywał się w sam środek błyszczącej przedniej szyby i opowiadał o tym, co zdarzyło się pewnego wieczoru przed laty, a co obserwował ze szczytu ciemnych schodów. Mówił o melodramatycznie ryczącym z radia „Green Hornet”, przy akompaniamencie którego pastwiono się nad jego matką.

Tom osunął się na zimny marmur podłogi. Oparł zgarbione plecy o koło samochodu, ręce mu drżały.

- O Jezu Chryste, Jezu Chryste...

- Mama i ja byliśmy Żydami. On nam nie pomógł.

- Czy twój ojciec wiedział o tym?

- Mama natychmiast wysłała mnie i Tonię do dziadków -powiedział Ben z nieszczęśliwym uśmiechem. - Ale jestem

pewien, że tata nigdy się nie dowiedział. Pan Keeley zmarł bez naszego udziału.

W 1942 roku Lincoln, którego prowadził Keeley, nagle wybuchł. Podejrzani kumple Keeleya zgotowali mu śmierć w płomieniach. Hugh wiedział coś na ten temat. (Hugh w swojej samotni nad jeziorem coraz bardziej zamieniał się w motającego sieć pająka, aż wreszcie wszyscy prócz Toma przestali go odwiedzać. Komuż potrzebny człowiek, który pasie się ludzkimi słabościami i potknięciami?)

- Dziękuję panu za rundę po muzeum. - Ben zasalutował z ironią. - Ciekawe eksponaty, fascynujące historie.

Przeszedł do opustoszałego okrągłego holu. Zatrzymał się.

Opuścił ręce wzdłuż boków i przebierał palcami, jakby grał na skrzypcach. Gniew napinający skórę wokół jego oczu i ust zaczął ustępować. Ben odwrócił się i spojrzał na siedzącego w sali Toma - siwowłosego Leara, skurczonego, pomniejszonego, osaczonego maszynami, które sam zbudował.

Zawrócił wolnym krokiem. Tom nie podniósł wzroku.

- Muzeum już zamknięte - powiedział.

Ben oparł smukłą dłoń na szafirowej karoserii.

- Już nie winię pana za to, co stało się z mamą. Już nie.

- Powinieneś.

- Wie pan co? Od tamtej nocy widziałem w panu samego Lucyfera. Ucieleśnienie zła. Był pan dla mnie księciem ciemności. Dał nam pan samochody, którymi mogliśmy się rozkoszować i rozbijać. Był pan sto razy większy od diabła i tysiąc razy bardziej złowrogi. Wysłał pan swoich pomocników, żeby zniszczyć mamę. Przeczytałem chyba wszystko, co napisali o panu. Biografie, artykuły, prace doktorskie, notatki w gazetach. W wielu z nich krytykowano pana wyłącznie dlatego, że odniósł pan tak oszałamiający sukces.

- Miałem w sobie zapał, ot co.

- Do licha! Jest pan jak ogromna góra. Wielki, nad wszelkie poziomy, a na tej wysokości wszystkie pańskie wady i pomyłki nabierają ogromnych rozmiarów. Każdy błąd to pełna katastrofa.

- Daruj sobie tę litość.

- Myśli pan może, że mówię tak, bo jest pan już stary i dopiero co stracił pan jednego syna, a drugi nie chce pana

znać? Nie. To nie ja. Nigdy. Nie Ben Hutchinson. Nie robię takich numerów. Ale właśnie przed chwilą zadałem sobie pytanie, dlaczego miałbym przykładać do pana inną miarę niż do mojego drugiego dziadka, który jest cudownym, wesołkowanym *szlepem* i który przez całe życie nie robił nic innego, tylko pitolił na skrzypcach? On też nie jest bez wad. Ale jego wad przecież nie wyolbrzymiam. - Ben szybkim krokiem obszedł nowego Onyxa. - Wierzę panu - powiedział. - Wierzę, że nigdy nie chciał pan skrzywdzić mamy. A jeśli chodzi o tatę i o to, że nie umiał pan wyduśić z siebie, co naprawdę pan do niego czuje, to... Cóż, ja też nie potrafię mu powiedzieć, jak bardzo go kocham.

- Słowa wymknęły się szybko, *staccato*. Tom spojrział na kanty czarnych spodni.

- A jak on się miewa? Twój ojciec...

- Tata? Żyje. Ale jest samotny. Coraz bardziej samotny. Powinien już pogodzić się ze śmiercią mamy, ale nie umie tego zrobić. Wie pan, że nielegalnie przewoził ludzi do Palestyny? W czasie ostatniej podróży *Elisse* zatonąła.

- Słyszałem, że był ranny.

- Skoro pan wie, to po co pan pyta?

- Hugh zawsze jest na bieżąco. Z nogą już wszystko w porządku?

- Niezupełnie. Kula rozbiła kolano. Ale jak tylko ojciec usłyszał o wuju Caryllu, wypisał się ze szpitala w Jeruzolimie i popłynął do Nowego Jorku. Ja koszaruję w New Jersey. Obydwaj przyjechaliśmy ofiarować męskie ramię najpiękniejszej wdowie świata. Cytuję Hearsta.

- Ten marmur jest diabelnie zimny. - Tom podniósł się z podłogi. - A więc zdecydowanie odmawiasz przyjęcia udziałów, Ben?

- Zastanowię się nad tym na spokojnie.

Z okrągłego holu dobiegły ich czyjeś nierówne kroki. Obydwaj odwrócili się w tamtą stronę.

- Ben? - zawołał Justin.

- Tutaj, tato. Tu jesteśmy.

Justin szedł kulejąc. Ciężko opierał się na lasce - duży, silny mężczyzna w tweedowym płaszczu, z rozwianymi wokół opalonej twarzy siwymi włosami. Tom i Ben wyszli mu naprzeciw. Spotkali się na skraju holu i tu, skąd widać było trzy wielkie sale wypełnione po brzegi samochodami, wszyscy trzej stanęli speszeni.

Justin uniósł prawe ramię w dziwnie niezręcznym geście, jakby chciał odegnąć coś od siebie, a w rzeczywistości wyciągał rękę, żeby się przywitać. Zimna wrogość jego głęboko osadzonych niebieskich oczu też wprowadzała w błąd. Już od dawna nie czuł tej skomplikowanej mieszaniny najróżniejszych uczuć ani pełnej sprzeczności niechęci do mężczyzny, który był jego ojcem. Przestał go już oskarżać. Teraz znów poczuł dawne, pełne miłości uwielbienie i równocześnie przeżył wstrząs widząc, jakiego spustoszenia zdołał dokonać czas. Tom jest już stary, myślał. Stary... Jak to możliwe? Kiedy minęły te lata?

- Serwus, tato - powiedział Ben.

- Cześć.

- Pan Bridger opowiadał mi właśnie o obietnicy, jaką złożył Antonii Hutchinson. Bardzo chciałby się z tobą spotkać i, wyjaśnić ci, jak to było. Głosuję, żeby dalszy ciąg rokowań pokojowych odbył się w jakimś miejscu, dokąd wybierzemy się bez Onyxa.

Tom uniósł brwi, ale czuł, że nie zdoła spojrzeć Justinowi w oczy, więc milczał i czekał. Po chwili, która trwała bez końca, Justin spytał:

- Co ty na to, Tom?

Coś zakłuło Toma pod powiekami.

- Mamy tu naprawdę bystrego chłopca - odparł drżącym głosem.

- A zatem idziemy! - rzucił Ben i objął ramionami ojca i dziadka. Przez parę chwil trwali tak razem złączeni luźnym uściskiem, a potem dostosowując tempo do kroku Justina, obeszli pierwszy przypominający ważkę, napędzany benzyną wehikuł i wolnym spacerkiem ruszyli w stronę mglistego światła zimowego zmierzchu.